



Zdeněk Mlynář
MRÓZ OD WSCHODU



ZDENĚK MLYNÁŘ

```

      x
xxxxxx xxx xxxxxx xxxxxx
xxx xxx xxx xxx xxx xxx
xxx xxx xxx xxx xxx xxx
xxx xxx xxx xxx xxx xxx

```

```

xxxx xxxxxx
xxx xxxxxx
xxx xxxxxx
xxx xxxxxx
xxx xxxxxx

```

```

      x
      x
x x x xxxxxx xxxxxx xxxxxx xxxxxx xxxxxx x x
x x x x x x x x x x x x x x x x x x x x x x
x x x x x x x x x x x x x x x x x x x x x x
xxxxxxx xxxxxx xxxxxx x x xxxxxx xxxxxx xxxxxx

```

Przełożył Paweł Heartman

Warszawa 1981

Tytuł oryginału czeskiego:
Mráz přichází z Kremłu

Tytuł wydania niemieckiego:

Nachtfrost. Erfahrungen auf dem Weg von realen zum menschlichen Sozialismus

Copyright c : Europäische Verlagsanstalt, Köln, 1978

Copyright for the Czech edition : Index e. V., Köln, 1978

Copyright for the Polish edition in Poland: Niezależna Oficyna Wydawnicza
Warszawa 1981



318392

Wstępując wiosną 1946 r. do partii komunistycznej, nie miałem jeszcze szesnastu lat. Należę więc do tego pokolenia czechosłowackich komunistów, które w lutym 1948 r. - w czasie narodzin totalitarnej komunistycznej dyktatury - miało około dwudziestki, i moje doświadczenie polityczne jest specyficznym doświadczeniem tego pokolenia. Ci, którzy wtedy liczyli sobie ponad dwadzieścia lat, na wiele spraw patrzyli inaczej: mieli inne doświadczenie życiowe i polityczne, nie tylko z wojny, ale także z ostatnich lat przed wojną. W normalnych okolicznościach pięć lat nie ma dla doświadczeń życiowych tak wielkiego znaczenia. Ale jeśli przez tych pięć lat toczy się wojna światowa, to ci, którzy na jej początku byli już dojrzałi, różnią się znacznie od tych, co dojrzewali wtedy, kiedy już się kończyła.

Burzliwe wydarzenia owych czasów sprawiły, że moje pokolenie było przedwześnie upolitycznione, a jednocześnie nie miało politycznego doświadczenia. Jedynym doświadczeniem, jeszcze na pół dziecięcym, były lata wojny i hitlerowskiej okupacji. Prowadziło to przede wszystkim do czarno-białego obrazu świata: po jednej stronie wróg, po drugiej jego przeciwnik. Zwyciężyć musi jeden albo drugi - trzecia możliwość nie istnieje. Jedynym doświadczeniem zaszczerpało nam więc pogląd, że zwycięstwo słusznej koncepcji równa się likwidacji, zniszczeniu koncepcji innej.

Przeciwstawialiśmy się wrogowi z całą pasją właściwą ludziom w tym wieku. Przy naszym widzeniu świata główną cnotą polityczną były oczywiście konsekwencja i radykalność. Po uszy mieliśmy ostrożności pokolenia rodziców, w czasach Protektoratu tak łatwo usprawiedliwiającej kolaborację. Wszystkie argumenty, którymi usiłowano wyperswadować nam prymitywny radykalizm w pierwszych latach po wojnie, załatwowały nam asekurancją i tchórzostwem. Czym jest demokracja, że jest czymś całkiem innym, że zwycięstwo jednej koncepcji nie musi w niej oznaczać likwidacji i wykorzenienia innej - tego z własnego doświadczenia nie wiedzieliśmy. Byliśmy dziećmi wojny, lecz sami podczas wojny nigdzie nie walczyliśmy. Przenosiliśmy więc naszą wojenną mentalność na pierwsze lata po wojnie, kiedy to otworzyła się dla nas możliwość walczenia o coś.

Na pytanie, przeciw komu i o co walczyć, epoka także podsuwała łatwą odpowiedź: po stronie tego, kto najkonsekwentniej i radykalnie występuje przeciw przeszłości, kto nie jest asekurantem, nie zawiera z przeszłością kompromisów, ale rewolucyjnie likwiduje ją i przewycięża. Taką siłą zdawał się nam być Związek Sowiecki, taką osobistością polityczną - J.W. Stalin. Dziś brzmi to absurdalnie, lecz pierwsze lata po wojnie wyglądały inaczej.

W 1945 r. w Czechosłowacji apoteoza Związku Sowieckiego i Stalina nie była sprzeczna z ogólnonarodowym entuzjazmem dla wolności i sprawiedliwości, mającej pomóc zapanaować na całym świecie. Przeciwnie, była jego składnikiem, a co więcej, nadawała mu konkretne wymiary: dążenie do sprawiedliwości społecznej i do równości wszystkich ludzi. Pod tym względem Związek Sowiecki był wtedy krajem nadziei dla tych, którzy wierzyli, że po wojnie zerwie się radykalnie z przeszłością - a jednocześnie nie mieli najmniejszego pojęcia o stosunkach w samym Związku Sowieckim. Z wewnętrznego przekonania, bez kalkulacji i motywów ubocznych, te pierwsze wyobrażenia z zakresu polityki prowadziły nas do partii komunistycznej i jej ideologii.

Trudno powiedzieć, że w pierwszych latach naszej aktywności komunistycznej znaleźliśmy marksizm. Poznaliśmy i chłoniliśmy łapczywie ideologiczne popłuczyny marksizmu owych czasów. Artykuł Stalina "O materializmie dialektycznym i historycznym", "Krótki kurs historii WKP/b/", "Manifest komunistyczny", "Anty-Dühring" Engelsa, "Państwo a rewolucja" Lenina i "Zagadnienia

leninizmu" Stalina - to już były szczyty marksistowskiego wykształcenia. Fragmenty tych książek, zaczerpnięte z różnych partyjnych broszur ideologicznych, łączyliśmy w system poglądów i postaw - politycznych i ludzkich.

Jak i dlaczego taka literatura mogła być wtedy dla mnie czymś na kształt Biblii światopoglądu politycznego, i to światopoglądu akceptowanego przez całą mą ośobowość? Po latach jedna odpowiedź wydaje mi się słuźna: Człowiekowi, który w istocie wie bardzo mało lub nie wie zgoła nic, ideologia zawarta w tej literaturze daje samowiedzę kogoś, kto poznał i opanował prawidłowości rozwoju ludzkości i świata. W zamian wymaga tylko jednego: by w nią uwierzyć. Lecz właśnie człowiek, który nic nie wie, a pragnie wiedzieć wszystko, łatwo tę wiarę przyjmie: skoro bowiem uwierzy, poczuje się jakby już posiadał wiedzę. Świat jego ducha zmienia się, zyskuje orientację: wprawdzie nadal nic nie wie, ale umie już wszystko oceniać, wie, co jest postępowe, a co reakcyjne, co dobre, a co złe z punktu widzenia perspektyw ludzkości. I nie trudząc się konkretnym badaniem naukowym wie także, co jest naukowe, a co nienaukowe. Niemal z dnia na dzień staje ponad innymi ludźmi, nie uświadomionymi, którzy błądzą wciąż po omacku, nie znając własnych perspektyw: on widzi wszystko jak należy. Nie jest wprawdzie uczony, jest jednak uświadomiony.

Sam fakt, że wiara subiektywnie stawia człowieka wierzącego ponad niewierzącymi, nie jest niczym szczególnym, zjawiskiem specyficznym jedynie dla ideologicznej wiary komunistycznej. Wiara chrześcijańska też sprawia, że jej wyznawca uważa się za stojącego wyżej od pogan i ateistów. Problem polega jednak na tym, do czego wierzący czuje się dzięki swej wierze uprawniony w stosunku do niewierzących, co w jego postępowaniu wobec nich znajduje usprawiedliwienie we wspomnianym poczuciu własnej nadrzędności. Otóż wiara w ideologię komunistyczną stalinowskiej proveniencji, którą przyjąłem wraz z dziesiątkami tysięcy moich rówieśników, od początku usprawiedliwiała krucjatę przeciw niewiernym.

W ogromnej większości wypadków nawet dlatego właśnie przyjęliśmy tę wiarę tak łatwo i spontanicznie, że w sposób naturalny wiązała się z naszym - będącym żywiołowym płodem wojny - czarno-białym światopoglądem politycznym. Nadal istniał wróg oraz jego przeciwnik, nadal istniał wyraźny cel: zlikwidowanie wroga /tym razem "jako klasy"/, zrobienie tego radykalnie i bez kompromisów, tym samym otwarcie drzwi do nowego, sprawiedliwego społeczeństwa /tym razem - społeczeństwa komunistycznego, w którym zapanuje równość, znikną źródła napięć społecznych i wojen, zacznie się era szczęścia dla całej ludzkości/. Należało konsekwentnie i energicznie wygrać ów "bój ostatni", o którym śpiewa się w "Międzynarodówce". Dla naszej niewyżytej mentalności wojennej ideologia ta była atrakcyjna.

Przed 1948 r. i przez kilka lat po nim nasze wyobrażenia o socjalizmie były jeszcze prymitywniejsze i bardziej jednostronne od wyobrażeń starszych pokoleń stalinowskich komunistów, których dogmatyczną wiarę mimo wszystko korygowały tu i ówdzie doświadczenia własnego życia. Tym większa była nasza pewność siebie, porównywalna chyba tylko z pewnością siebie zachodnioeuropejskich maoistów i innych prądów "nowej Lewicy" z końca lat sześćdziesiątych. Byliśmy szczególną sektą, że wszystkim, co łączy się nierozdzielnie z każdą prawdziwą sektą: czuliśmy się w niej szczęśliwi, powiązani własnymi wartościami i własną moralnością, co wciąż na nowo dawało nam poczucie uzasadnionej wyższości nad światem niewiernych, a więc nie uświadomionych. Tam, gdzie wiara wymagała bezinteresowności i ofiarności, można było na nas liczyć. Ochotniczo i bez wynagrodzenia szliśmy na szczyty do kopalń, do pracy na budowach i na polach, tyraliśmy po nocach, w niedziele, w święta, podczas urlopów. W sekretariatach nie tylko schodziliśmy się na zebrania - my tam żyliśmy. Nieliczny aparat polityczny komunistycznego Czechosłowackiego

Związku Młodzieży w pierwszych latach pobierał uposażenie poniżej poziomu ówczesnych zarobków robotników.

Z zapałem jednak robiliśmy nie tylko to - i nie tylko stanowiliśmy ozdobę, publiczny sztafaż przy wszystkich akcjach partii komunistycznej. W rzeczywistości byliśmy również zaprzysiężymi bojówkarzami tej partii, których jej kierownictwo zrećnie używało tam wszędzie, gdzie jego interes wymagał, byśmy nie tylko radykalnie pokrzykiwali, ale w ramach swych możliwości także działali. Nikogo jeszcze nie sądziliśmy i nie prowadziliśmy na szafot, ale już uważaliśmy za skuteczne, że partia tak robi. Własnymi rękami realizowaliśmy inne represje: różne weryfikacje i czystki, które uniemożliwiły studia, znalezienie odpowiedniej pracy i właściwego miejsca w życiu wielu przeciwnikom i krytykom naszej wiary, rekrutującym się z naszego pokolenia, jak i z pokoleń starszych. I uważaliśmy za naturalne, moralne i sprawiedliwe, że to nas właśnie władza polityczna, władza rodzącej się totalitarnej dyktatury, broni i preferuje. Bo to także łączyło się z naszą wiarą i moralnością. Nic więc dziwnego, że niewierzącą wiarą ta nie wydawała się bezinteresowna. Krytykę jednak uważaliśmy wtedy jedynie za przejaw "wrogości klasowej" do naszego zbawczego programu, a tych, co ją głosili, gnębiliśmy i niszczyliśmy, podobnie jak robiły to pokolenia starsze.

W różnych prywatnych, a niekiedy również publicznych dyskusjach między komunistami na temat odpowiedzialności za zbrodnie reżimu z lat pięćdziesiątych wiele razy spotykałem się z argumentem: Ale my wtedy naprawdę wierzyliśmy w to, co głosiła partyjna ideologia. Jako stwierdzenie faktu jest to skuteczne. Nie może być jednak argumentem w dyskusji o odpowiedzialności i współwinie za to, co działo się /i do dziś dzieje/ pod rządami partii, której ten człowiek wierzący jest albo był członkiem i którą aktywnie wspomagał. Odpowiadamy bowiem także za to, w co wierzyliśmy. Zatem fakt, że wierzyłem, nie jest argumentem przeciw mojej współwinie, lecz w istocie przyznaniem się do niej. Różni mnie to oczywiście od kogoś, kto występki i zbrodnie reżimu aprobował albo realizował wcale nie wierząc, że "z klasowego i historycznego punktu widzenia" robi rzecz dobrą i potrzebną. Może to jednak tylko oznaczać, że nie jestem kajakami, że nie wspierałem zła dla pieniędzy i kariery. Wszystko to wprawdzie jest pozytywne, lecz nie oznacza, że nie ponoszę współodpowiedzialności i nie jestem współwinny.

Patrząc dziś wstecz na wszystko, co od tych czasów przeżyłem, na rolę mej stalinowskiej wiary, muszę przyznać, że wiara ta była czynnikiem zwiększającym nawet moją odpowiedzialność: m.in. także dlatego, że to właśnie ona utrudniała mi wcześniejsze wyciągnięcie logicznych wniosków z przesłanek, których tak wiele dostarczała codzienna praktyka. My, przekonani młodzi komuniści, żyliśmy przecież w tej samej rzeczywistości, co inni - ale do nas przemawiała ona innym językiem niż do nich; długo uważaliśmy ją nawet za dowód skuteczności naszych postaw, podczas gdy inni dawno już dostrzegali wiele argumentów właśnie przeciwko nam.

Moja komunistyczna wiara w owych latach była bowiem zamkniętym układem logicznym i systemem wartości, odpornym na zewnętrzne wpływy wszelkich myśli, argumentów oraz doświadczeń. Nie chcę wdawać się w rozważania, czy stanowi to również właściwość filozofii marksistowskiej w postaci nie zwulgaryzowanej, gdyż w danym kontekście nie uważam tej sprawy za istotną. Ważne jest, że takie zasklepienie cechuje ideologię komunistyczną w postaci, jaką w swej codziennej praktyce aprobowali wtedy /a w innych warunkach i w innych partiach komunistycznych często aprobują po dziś dzień/ ci komuniści, którzy w swoją ideologię wierzyli, którzy byli "uświadomieni ideologicznie".

Dla tak wierzącego Komunisty kryterium oceny rzeczywistości stanowią bowiem nie tylko wartości, które jego ideologia uznaje za ważne dla swoich własnych celów. Mierzenie rzeczywistości innymi wartościami już z góry

nie ma dla niego większego znaczenia, a krytyka, której punktem wyjścia jest inny system wartości, absolutnie nie może zachwiać jego przekonaniem o słuszności celów własnej ideologii, gdyż jego zdaniem celów tych w gruncie rzeczy nie dotyczy.

Podstawową wartością w systemie naszej ówczesnej wiary komunistycznej było abstrakcyjne pojęcie "interesu klasy robotniczej": temu interesowi podporządkowywało się wszystko, ekonomię tak samo jak moralność. Moralne jest to, co służy klasie robotniczej - mówi dosłownie Lenin. Argument, że jakiś krok polityczny jest ekonomicznie nieefektywny, był nam nie znany, gdyż pochodził ze świata burżuazyjnego, podobnie jak argument, że jakiś akt polityczny sprzeczny jest z którymś z dziesięciorga przykazań.

Ale co w gruncie rzeczy uważaliśmy za kryterium pozwalające stwierdzić, co leży, a co nie leży "w interesie klasy robotniczej"? Demokratycznie ukształtowana opinia większości robotników? Nie, dla przekonanych stalinowców nie było to argumentem, gdyż w ich systemie ideologicznym nie chodzi o poszczególnych żywych robotników, lecz o klasę robotniczą jak o abstrakcyjny podmiot postępu historycznego. Konkretni, żywi robotnicy mogą być i często są nieuświadomieni, nie rozumieją należycie swych interesów historycznych, często widzą jedynie - gdyż tego nauczyło ich społeczeństwo kapitalistyczne - interesy doraźne, codzienne. Gdzie więc stalinowiec weryfikuje interes klasy robotniczej? Koniec końców znów w swojej własnej ideologii i w swojej partii, która - jako twórca tej ideologii - jego zdaniem jedyna należycie wyraża podstawowe, historyczne interesy klasy robotniczej.

Dopóki wyznający taką ideologię komuniści porusza się w granicach swego systemu logicznego i swego systemu wartości, dopóty bieg jego myśli nie ma dla innych ludzi poważniejszego znaczenia niż bieg wiewiórki we wstawionym do klatki młynku dla świata poza klatką. I oczywiście również odwrotnie: otaczający świat raczej nie ma wpływu na bieg tej wiewiórki, gdyż polem jej działania jest tylko sam młynek.

Uświadomieni ideologicznie stalinowcy naturalnie także dostrzegali te aspekty rzeczywistości, które budziły wątpliwości co do ich wiary. Ale problem polegał na tym, że żadna indywidualna sprzeczność z naszą wiarą nie mogła być dostatecznie silnym argumentem przeciw wierze jako całości. Jedynie przekonanie, że cała rzeczywistość jest niezbitnie sprzeczna z "intereselem klasy robotniczej", mogło wyzwolić wierzących stalinowców z błędnego koła tej ideologii.

Ludzie stanowiący oparcie totalitarnej dyktatury typu stalinowskiego z przyczyn ideologicznych byli więc poniekąd poważniejszą przeszkodą na drodze do praktycznych zmian w polityce komunistycznej niż ci, którzy przyłączyli się do komunistów ze względów koniunkturalnych, bez wewnętrznego przekonania i ideologicznej wiary. Zmiana postawy i postępowania tych koniunkturalistów zależała tylko od tego, kiedy będzie korzystne opowiedzieć się za innymi, zmienionymi kryteriami. Wierzący, uświadomieni ideologicznie komuniści musieli natomiast sami przekonać się o potrzebie zmiany. Zarazem odmienne były także możliwe role tych dwóch kategorii komunistów: koniunkturaliści raczej nie mogli przeforsować zmiany, gdyż oznaczałoby to forsowanie czegoś nowego wtedy, kiedy nie jest to jeszcze korzystne dla kariery i może być ryzykowne, a nawet niebezpieczne. Aktywnymi rzecznikami zmian mogli być natomiast uświadomieni - lecz w ich przypadku zakładało to długotrwałą, pełną wewnętrznym rozterkom ewolucję ich poglądów.

Członkiem KPCz byłem dwadzieścia pięć lat - od 1946 r. do wykluczenia mnie w 1970 r. Z tego przez lat dwadzieścia przechodziłem ten skomplikowany proces ewolucji poglądów. I jeszcze po usunięciu mnie z partii musiało minąć kilka lat, zanim przebyłem ostatnią jego fazę.

We wrześniu 1950 r., w okresie, kiedy w Czechosłowacji machina produkująca procesy polityczne już nie niekomunistów, ale czołowych działaczy KPCz, zaczęła pracować pełną parą, wyjechałem na studia prawnicze do Moskwy. Wszyscy, którzy tam studiowali, należeli do elity młodego pokolenia komunistów, mieli za sobą kilkuletnią działalność w aparacie KPCz i oczywiście byli uświadomionymi ideologicznie stalinowcami. Fala podejrzliwości i chęć zdemaskowania ukrytych wszędzie "wrogów klasowych i agentów imperializmu", wzmożenia własnej "czujności ideologicznej" - wszystko to, co zaczęło bujnie krzewić się w kraju, rozrastało się także wśród nas, w Moskwie. KC KPCz w Pradze wzywał wszystkich komunistów, żeby swymi informacjami przyczynili się do zdemaskowania "zbrodniczej bandy szkodników" w partii, toteż my również wnosiliśmy swój wkład.

Mój list, wysłany wtedy do partyjnej komisji badającej działalność aresztowanych już działaczy - Ottona Szlinga i Marii Szvermowej - spotkał los absolutnie wyjątkowy. Nie wtedy, kiedy spoczął w partyjno-policyjnych archiwach pośród tysięcy innych, lecz znacznie później, po upływie dwudziestu sześciu lat. 1 maja 1977 roku "Rude Pravo" ogłosiło cytaty z tego listu, aby na tym przykładzie poglądowo wykazać, że jestem pozbawionym charakteru donosicielem, który pod rządami Husaka nie powinien wypowiadać się o prawach człowieka i którego podpis pod "Kartą 77" trzeba uważać za kolejną próbę zrobienia kariery, dorwania się do władzy.

Ale moje pragnienie przysłużenia się do zdemaskowania "szkodników w partii" nie otworzyło mi wrót do kariery nawet wtedy, w 1951 r. W ciepłarnianej atmosferze, w jakiej żyła młoda elita partyjna w Moskwie, było zupełnie naturalne, że wkrótce rozpoczęło się szukanie "szkodników" w samej moskiewskiej ciepłarni: tu zaś mieliśmy do dyspozycji jedynie samych siebie. Zgodnie z logiką, która święciła triumfy w Pradze, największy szkodnik winien ukrywać się wśród działaczy wyższego szczebla - a ja byłem podówczas sekretarzem partyjnym naszych studentów w Moskwie.

Wnet więc powędrowały do Pragi, do centrali, listy innych uświadomionych stalinowców, sygnalizujące, że przypuszczalnym "szkodnikiem w partii" wśród studentów moskiewskich jestem także i ja. W moich metodach pracy koledzy nagle zaczęli dopatrywać się cech zbieżnych z metodami głównego "agenta imperializmu" - sekretarza generalnego KPCz Rudolfa Slanskiego, który został właśnie aresztowany. W mych wypowiedziach i w poglądach na rzeczywistość sowiecką dostrzegano brak dostatecznie świadomego stosunku do ZSSR. Zostałem odwołany z funkcji i czekałem na wyrok z Pragi. Nie byłem oczywiście sam: kilku innych, równie uczciwych stalinowców w naszych szeregach też oskarżono o podobne grzechy, głównie o niewłaściwy stosunek do Związku Sowieckiego.

Do dziś świetnie pamiętam moją reakcję. Było dla mnie zupełnie oczywiste, że koledzy, którzy mnie oskarżyli, działali z takich samych pobudek jak ja, gdy oskarżam innych. Tylko nielicznych podejrzewałem, że kierują się motywami osobistymi - lecz większość rozumiałem i uważałem za dobrych komunistów. Powodów oskarżenia szukałem w sobie samym - i szereg z nich znalazłem: prawdą było np., że w pracy partyjnej stosowałem metody typowe w tamtym okresie - ale to było do niedawna zaletą. Analizowałem też wszystkie swoje myśli i wypowiedzi o ZSSR - i prawdą było, że odbiegały one od wymogów uświadomienia ideologicznego; wynikało to stąd, że sowiecki dzień powszedni był dla nas wszystkich doświadczeniem bezlitośnie burzącym nasze przywiezione z Pragi wyobrażenie o "człowieku sowieckim".

Złożyłem wtedy zupełnie szczerą samokrytykę, w której uznałem wszystkie te zarzuty, lecz odmówiłem przyznania się do jakichkolwiek zamysłów

antypartyjnych, i spokojnie czekałem na decyzję z centrali partii, przekonany, że przecież nic mi się stać nie może, bo w istocie zachodzi tu pomyłka i nieporozumienie. A myślałem tak całkiem serio również w dniach, kiedy w Pradze toczył się proces Rudolfa Ślanskiego i innych oskarżonych, z których jedenastu dostało wyrok śmierci. I nie miałem naturalnie pojęcia, że tych jedenastu było uświadomionymi stalinowcami, którzy jeszcze po swym aresztowaniu spodziewali się, że wszystko okaże się "nieporozumieniem".

W odróżnieniu od nich ja jednak rzeczywiście doczekałem się tego, na co z ufnością czekałem. W grudniu 1952 r. dwaj najwyżsi funkcjonariusze KPCz - Antonin Zapotocky i Wiliam Sziroky - osobiście przybyli na zebranie moskiewskich studentów, by zakończyć sprawę "demaskowania wrogów". Zapotocky ogłosił na tym zebraniu treść listów nadsyłanych do centrali partii, jak nauczyciel w szkole wywoływał ich autorów i przyglądał się im. Potem miał krótką przemowę, że takie listy to umie pisać każdy, że partia nie po to wysłała nas na studia, żebyśmy nauczyli się tego, że nie powinniśmy się podejrzewać, że mamy sobie ufać i studiować. Manierą znaną z jego przemówień wiecowych opowiadał nam anegdotkę, jak to dobudowywał do swego domku jakąś tam przybudówkę, lecz nie umiał obliczyć, jak wykonać sklepienie, żeby mu się nie zawaliło. Że więc partia potrzebuje ludzi, którzy potrafią to zrobić, bo na przemówieniach politycznych sklepienia naszych budowli socjalizmu nie utrzymują się. I że to jest naszym zadaniem - mamy ukończyć studia i naprawdę coś umieć. Co się tyczy oskarżeń o brak uświadomienia i postawy antysowieckie, Zapotocky oświadczył:

- Wy żyjecie tu i widzicie, że nasi ludzie w takich warunkach, w jakich żyją ludzie sowieccy, nie żyliby i żyć by nie chcieli. Więc kiedy rozmawiacie o tym między sobą, nie róbcie z tego problemu, starajcie się to zrozumieć i rozsądnie ustawić.

Następnie rzekł, że z tym wszystkim trzeba skończyć, więc niech nikt nie pisuje już niczego do Pragi, i że nie ma powodu, aby z dotychczasowych podejrzeń wyciągać jakieś wnioski przeciwko komukolwiek. I że taki jest również pogląd tow. Gottwalda.

Osobiste doświadczenie potwierdziło mi więc moją partyjną wiarę: wszystko zostało osądzone sprawiedliwie i uznane za nieporozumienie. Potem długo nie mogłem uwierzyć, że Zapotocky, który wywarł tak pozytywny wpływ na mój los, w kierownictwie partyjnym mógłby aprobować stracenie swych długoletnich współpracowników i przyjaciół, jeśli nie byłby przekonany o niezbitych dowodach ich winy. Dopiero wiele lat później dowiedziałem się, że zaledwie na miesiąc przed swoim przemówieniem do moskiewskich studentów tenże Zapotocky podniósł rękę, głosując za jedenastu wyrokami śmierci, choć dobrze wiedział, że cały proces "centrum spiskowego z Rudolfem Ślanskim na czele" opiera się wprawdzie na fikcji, ale taka jest wola Stalina, a tej nie wolno się sprzeciwiać. Na rok zaś przed swą roztropną przemową tenże Zapotocky zaprosił Ślanskiego do siebie, wiedząc, że w drodze powrotnej jego gość będzie aresztowany. Gdy wizyta dobiegła końca i Ślansky wkładał już palto, Zapotocky osobiście zadzwonił do kierującego aresztowaniem oficera policji i zgodnie z uprzednią umową powiedział mu: "Już idzie". Dziś nie wątpię, że właśnie Zapotocky wolał jak dobry tata napominać sfanatyzowanych studentów w Moskwie niż występować jako policyjny naganiacz i samozwańczy sędzia. Był jednak zdolny grywać obydwie role.

Dopiero po latach zrozumiałem rzeczywisty charakter mej sytuacji z 1952 r. Należałem wtedy do tak bardzo obiecującego narybku partii, że samo najwyższe kierownictwo KPCz uznało za wskazane oszczędzić mi oraz całej elicie skutków swojej ówczesnej polityki. Narybek dopiero w przyszłości miał podzielić się na oskarżycieli i nowych oskarżonych - i dopiero przyszłość miała zdecydować o tym, komu przypadnie jaka rola. Póki co byłoby

to przedwczesne, dla partii niepotrzebne, póki co mieliśmy uczyć się i nie występować w rolach, do których jeszcze nie dorosiliśmy. Moje doświadczenie z okresu stalinowskiego terronu było więc wyjątkowe, zawstydzające salony: twórcy terronu sami chronili mnie jako obiecujący narybek. Moje przeżycia z tego okresu tak diametralnie odbiegały nie tylko od doświadczeń ofiar tego terronu, ale również od przeżyć ogromnej większości narodu, kulającej się ze strachu w nadziei że może uda się jakoś ten okres przeczekać, iż musiało upłynąć kilka lat, zanim w ogóle zdołałem pojąć, co ten okres oznaczał dla normalnych ludzi w Czechosłowacji.

Bardziej niż stalinowski terron szalejący w Czechosłowacji, przyczyniały się do narodzin wątpliwości osłabiających moją wiarę ideologiczną doświadczenia z pięcioletniego pobytu w Moskwie.

Nie chodzi mi tu nawet o doznania, które szokowały wtedy i szokują do dziś większość odwiedzających Związek Sowiecki przybyszy z Zachodu: zetknięcie się z niskim poziomem życia obywateli sowieckich, z ich nędzą i z zacofaniem cywilizacyjnym ich codziennego życia. Problem nie polegał też przede wszystkim na tym, że Moskwa była gigantyczną wsią z drewnianymi domkami, że ludzie nie mogli porządnie się najęść, że najbardziej typowym ubiorem w pięć lat po wojnie był stary, wyfasowany podczas wojny mundur, że większość rodzin mieszkała w jednej izbie, że muszle klozetowa zastępowała dziura w podłodze, prowadząca do rury odpływowej, że w domu akademickim i na ulicy smarkało się w palce, że czego człowiek mocno nie trzymał, to w tłoku zawsze mu ukradziono, że na ulicach leżeli pijani, których tłum mijając nie interesując się, czy w ogóle jeszcze żyją, że istniały dziesiątki, setki podobnych zjawisk.

Wszystkie te fakty dawały się jakoś wytłumaczyć przeszłością. Jadąc do ZSSR nie wyobrażaliśmy sobie rajy konsumpcyjnego. Wtedy zresztą, w pięć lat po wojnie, nigdzie w Europie nie był on jeszcze miernikiem życia. Biedę z nędzą, widzianą w Rosji, uważaliśmy przede wszystkim za bezpośrednie następstwo wojny, a sposób, w jaki ludzie znosili trudności materialne, był dla nas świadectwem siły "nowego sowieckiego człowieka". Widoczne zapóźnienie cywilizacyjne dla nas stanowiły przede wszystkim dowód strasznego zacofania Rosji carskiej. Istnienie zjawisk negatywnych nie było głównym niebezpieczeństwem dla naszej stalinowskiej wiary: znacznie bardziej nadwierała ją nieobecność zjawisk pozytywnych, nieobecność wartości, które wiara ta wysuwała na pierwszy plan jako mające doniosłe znaczenie dla perspektyw komunizmu.

Podczas gdy my za niemal podstawową właściwość "nowego człowieka" mającego zbudować komunizm uważaliśmy żywotne zainteresowanie sprawami publicznymi, gdy dla nas było oczywiste, że całe nasze życie osobiste wiążemy z wielkimi celami społecznymi, że podporządkowujemy się "nakazom historii" i "interesom klasy robotniczej" - większość obywateli sowieckich, których dane nam było poznać, starała się oddzielić politykę od swego życia osobistego. Sprawom publicznym składali daninę, formalnie, zgodnie z obowiązującym rytuałem wykazując "postawę polityczną" - a poza tym zajmowali się problemami własnego życia, zupełnie nie zwracając uwagi na tę postawę. Podczas gdy dla nas było oczywiste, że to, co mówimy publicznie, myślimy również prywatnie - w życiu obywateli sowieckich wcale to tak oczywiste nie było.

W okresie, gdy przyjechałem na studia do Moskwy, znaczną część słuchaczy szkół wyższych stanowili zdemobilizowani żołnierze frontowi, toteż ówczesne sowieckie środowisko studenckie znacznie różniło się od standardowego zarówno wiekiem i składem społecznym, jak też doświadczeniem życiowym wielkiej części studentów. Do nawyków frontowców należało również picie wódki. W akademiku piło się przy najróżniejszych okazjach, od świąt osobistych po państwowe, lecz najczęstszą okazją była po prostu obecność butelki wódki.

Pełna muśztardówka - to była podstawowa porcja, którą piko się duszkiem na znak, że zaczyna się pić. My, niedoświadczeni frajerzy ze środowiska nierosyjskiego, początkowo szybko upijaliśmy się w trupa. Dopiero z czasem, gdy przywykliśmy, co zrównało nas nieco z doświadczonymi frontowymi wyjadaczami, zacząłem pojmować, jakie znaczenie ma wódka w życiu człowieka w ZSSR: pozwala mu na chwilę zapomnieć o rzeczywistości i daje złudzenie swobody. Dopiero pod wpływem alkoholu zaczyna się normalne, ludzkie porozumienie.

Jeśli chodzi o polityczny aspekt sprawy, w pokoju, w którym mieszkaliśmy razem z sześcioma byłymi frontowcami, wszystkiemu temu towarzyszył wprost symboliczny rytuał. Wisiał tam w ramach plakat przedstawiający J.W. Stalina, na mapie ZSSR kreślącego okółkiem leśne ściany wiatrochronne na stepach nadwołżańskich, a więc - kreślącego konkretne kontury komunizmu. Kiedy na stół wjeżdżała butelka, odwracało się plakat do ściany i miał niego w pokoju królował namalowany na odwrocie amatorski portret kurtyzany carskiego Petersburga. Jednocześnie zamykało się drzwi - i zaczynał się kilkugodzinny okres, gdy nie trzeba było udawać i gdy ludzie, których języki plątały się coraz bardziej, mimo wszystko mówili coraz sensowniej.

Tu po raz pierwszy słyszałem opowieści z wojny, diametralnie rozbieżne z wyobrażeniem o stosunkach w armii sowieckiej, jakie wyrobiliśmy sobie jeszcze w Pradze na podstawie sowieckich filmów i literatury. Nagle pojąłem, że ujawniając wobec tych ludzi swoje uświadomienie, wydam się im nie tyle rewolucjonistą, ile takim samym idiotą jak kadet Biegler z "Przygód dobrego wojaka Szwejka" Haszka. Tutaj członek sowieckiej partii komunistycznej opowiadał mi, jak to na Ukrainie w jego kołchozie czekano, że z chwilą wkroczenia armii hitlerowskiej kołchoz zostanie zniesiony, chłopci dostaną ziemię na własność - i nastanie rajskie życie. Jak potem Niemcy przyszli, podpalili wieś i zastrzelili wszystkich, którzy nie uciekli. I jak ci, co uciekli do lasu, zastali tam już sekretarza partii, który organizował oddział partyzancki - i w ten sposób stali się partyzantami. I jak potem naprawdę z narażeniem życia walczyli, bo wiedzieli, że chodzi o ich głowy, a żaden raj nigdzie na nich nie czeka ani czekać nie będzie.

Najczęściej jednak wódka nakłaniała do racunku sumienia. Pogarda dla własnej słabości moralnej, a zarazem liłość nad sobą, połączona z niezdolnością zmienienia czegokolwiek w tym, czym się gardzi - wszystko to, co znaleźliśmy z klasycznej literatury rosyjskiej i uważaliśmy za problemy Rosji przedrewolucyjnej, wypływało nagle na powierzchnię jako podstawowe, główne problemy mentalności i życia młodych studentów sowieckich. Klasyczne pytanie rosyjskich pijaków - jestem człowiekiem czy może nim nie jestem? - pojawiało się w niezliczonych wariantach, lecz nigdy nie wiodło do utożsamienia się z zawołaniem Gorkiego, że "człowiek - to brzmi dumnie!".

- Świnia jestem, powiedz, że jestem świnia! - płacze na mojej piersi pijany funkcjonariusz partii bolszewickiej, gdy na zebraniu przegłosował akurat wyłanie z uniwersytetu kolegi, który założył się, że obiegnie korytarz akademika w samych tylko spodenkach gimnastycznych, i zakład wygrał /z punktu widzenia purytanizmu panującego oficjalnie w ówczesnej Moskwie był to czyn równy ukazaniu się całkiem nago/. I kajakający się bolszewik nie uspokoił się póki mu nie potwierdzę, że istotnie jest świnia.

Chociaż byłem podпиты, zaciekawiło mnie, co mu pomoże, jeżeli mu przyświadczę. Zapytałem go o to.

- Bo ty nie jesteś świnia, ty w to wierzysz - brzmiała jego odpowiedź.

Starałem się przekonać go, że wcale nie wierzę, by skuszone było usuwanie z uniwersytetu za to, że ktoś biega po korytarzu w gimnastycznych spodenkach, że nie mogę tak myśleć choćby z tego powodu, że u nas jest to całkiem normalne.

- Bzdura! - przerwał, - Nie o to chodzi. Ty sam dla siebie czytasz dzieła Lenina, sam rozumiesz, bo ty w to wierzysz.

Był to więc problem znacznie głębszy, niż początkowo myślałem. Ale skruszony grzesznik wyspał się, poczuł się lepiej - i o ile pamiętam, nadal zachowywał się tak samo do końca studiów, po których został prokuratorem Wojskowym. Najprawdopodobniej do dziś upija się po niejednym procesie i ktoś mu musi przyświadczyć, że jest świnią. I raczej nie domyśla się, że także jego żywy przykład pomógł podkopać moją wiarę w ideologię, którą on na swój sposób szanował.

Dla nas dzieła Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina były lekturą, w której szukaliśmy odpowiedzi na pytania naszego własnego życia. Dla studentów sowieckich były obowiązkową lekturą szkolną. Przygotowanie do egzaminu z marksizmu-leninizmu dla większości z nich polegało na wykuciu się na pamięć całych ustępów z tych dzieł. Egzaminator nie mógł im wtedy zarzucić żadnego błędnego sformułowania - a o nic więcej nie chodziło. Studenci sowieccy tak samo jak my potrafili "prawidłowo po marksistowsku" oceniać nawet to, o czym nic nie wiedzieli. Ale podczas gdy dla nas w tej "ocenie" zawierała się również wiara w jej słuszność, dla większości studentów sowieckich była ona jedynie wyuczonym schematem wypowiedzania się, do którego przywykli, ale który z własnymi ich przekonaniami nie miał wiele wspólnego. Często bowiem nie mieli żadnych własnych poglądów, jakoby same problemy, o które chodziło - problemy polityczne i ideologiczne - były im obojętne. W rzeczywistości żyli czym innym, często wyznając inne systemy idei i wartości.

Po pięciu latach spędzonych w Moskwie doszedłem ostatecznie do wniosku, że dla poznania mentalności mieszkańców ZSSR o wiele większe znaczenie ma czytanie Tołstoja, Dostojewskiego, Czechowa i Gogola, niż całej produkcji literackiej socrealizmu. Że również wszystkie niewątpliwie pozytywne cechy tych ludzi w znacznie większym stopniu wyrastają z dawnej rosyjskiej formy wartości ogólnoludzkich, niż z owej cywilizacji industrialnej, z którą ludzie ci mają do czynienia w jej postaci sowieckiej. I że cechy, które naprawdę wytworzyły się dzięki ustrojowi sowieckiemu, są często - wprost przeciwnie - negatywne, a ich wspólnym mianownikiem jest koniec końców schizofreniczne rozdwojenie życia na sferę publiczną, oficjalną, rytualnie sformalizowaną, w której obowiązują idee i wartości "marksizmu-leninizmu", oraz sferę prywatną, sferę idei i wartości całkiem innych, wyrastających z dawnej historii Rosji.

Mimo to jednak na początku lat pięćdziesiątych istniał pewien istotny punkt, w którym rzeczywiste poglądy, przekonania i wiara obywateli ZSSR w szczególny sposób spotykały się z oficjalną ideologią "sowieckiego patriotyzmu". Przy niezliczonych okazjach mieliśmy możliwość przekonać się, iż ogromna większość ludzi w ZSSR naprawdę wierzy, że gdzie indziej na świecie, w państwach kapitalistycznych, lud pracujący żyje znacznie gorzej, niż oni - i to również pod względem materialnym, konsumpcyjnym. Jak przedstawia się rzeczywistość tego innego świata, praktycznie nie wiedzieli jednak zupełnie nic.

Pewnej nocy obudzili mnie studenci z innego pokoju. Chcieli, żebym rozstrzygnął spór: czy to możliwe, że w Czechosłowacji wszędzie pó wsiach domy są zbudowane z kamienia oraz z cegły, a nie z drewna i gliny, i że dachy mają kryte dachówką, a nie wiechciami słomy. Frontowiec, który widział Czechosłowację podczas wojny, twierdził, że tak. Student, który widział tylko swój kołchoz, a potem Moskwę, nie wierzył. Pozostali nie wiedzieli, czy to możliwe. Było tam około dziesięciu ludzi w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat. Przyznałem rację żołnierzowi, który ten cud oglądał. Zakończyło to dyskusję, ale z miny głównego oponenta poznałem, iż nie jest w pełni przekonany. Widocznie podejrzewał, że wykorzystuję sytuację, by wychwalać

swój naród, i najpewniej kłamię jak z nut.

Ludzie o takich horyzontach łatwo łączyli rzeczywiste przekonania z ideologią i propagandą oficjalną, co dzieła zapewniająca ich, że ich kraj stanowi pod każdym względem wzór dla całego świata. Ale także ludzie bardziej wyrażeni, którzy pomimo wszystko mieli bardziej konkretne i prawdziwe wyobrażenie o świecie, na ogół wierzyli w mesjanistyczne posłannictwo swego kraju: tradycyjny mesjanizm wielkoruski łączył się tu w przedziwną mieszankę ideową z oficjalnym mesjanizmem sowieckim, marksistowsko-leninowskim. Fundamentem tego wszystkiego było wówczas głównie przekonanie, że podczas wojny Związek Sowiecki za cenę niezmiernych ofiar zdecydował o losach całej ludzkości i dlatego ma naturalne prawo do szacunku ze strony innych narodów. Myślący tak obywatele sowieccy często uważali krytycyzm za niewdzięczność, za brak szacunku dla ich ofiar - podobnie jak ich rząd, na który w wielu innych sprawach sami zapatrywali się krytycznie.

W podobną zadziwiającą mieszankę łączyła się ideologia oficjalna z rzeczywistymi poglądami mieszkańców ZSSR także w innej, bardzo ważnej dziedzinie. Składnikiem rzeczywistego światopoglądu wielu obywateli sowieckich jest fatalizm, w Rosji też tradycyjny. Podczas gdy nas ideologia marksistowska ze swą tezą o zdeterminowaniu rozwoju społecznego prowadziła do aktywnego radykalizmu, zgodnie z tym determinizmem przekształcającego istniejące stosunki, oni gładko łączyli zwulgaryzowane "nauki" marksizmu-leninizmu z fatalistyczną biernością: wbrew losowi nic się nie działo. W codziennej praktyce za ramy wyznaczone przez los uznawali obszar w istocie wytyczony życiu człowieka przez sowiecką biurokrację. Tę sowiecką filozofię na co dzień dobrze charakteryzują niektóre bardzo często powtarzane rosyjskie porzekadła: "Niczewo nie padiełajesz", "Niet naszewo uma dieko", "Na wierchu widnieje" itp. To, co ideologia oficjalna przedstawia jako osiągnięcia uświadomionego, socjalistycznego kolektywu, świadome podporządkowanie się jednostki ogółowi, przejaw świadomej dyscypliny społecznej "nowego sowieckiego człowieka" - w rzeczywistości ukazywało się nam najczęściej jako pochodnia światopoglądu fatalistycznego: człowiek zawsze napotka jakieś granice, a ustrój jest mądrzejszy od jednostki.

Studia w Moskwie oznaczały jednak zetknięcie się nie tylko z żywymi obywatelami ZSSR, ale także z sowieckimi instytucjami, z codziennością gigantycznej, panującej nad wszystkim biurokratycznej maszynierii sowieckiego państwa. Spotkaliśmy się z nią wszyscy, niezależnie od kierunku studiów, ale mnie studia prawnicze umożliwiły ten kontakt w zupełnie wyjątkowym zakresie: działalność tej maszyny była w istocie przedmiotem moich studiów, a w ramach praktyki studenckiej spędziłem kilka miesięcy bezpośrednio w sowieckim aparacie państwowym.

A mimo wszystko po pięciu latach nie miałem najmniejszego pojęcia o zakresie i formach stalinowskiego terroru politycznego. Masowy terror nie tylko mnie, ale o ile wiem, również innym studentom wydawał się raczej sprawą przeszłości, historii. Główną rolę odegrała tu bodajże okoliczność, że młode pokolenie owych lat jako całość nie było tym terrorem dotknięte - tym mniej zaś jego elita na wyższych uczelniach. To była sprawa znajomych, niekiedy krewnych, ludzi, których znało się osobiście - ale ofiary pochodziły z pokolenia ich rodziców albo z pokoleń jeszcze starszych.

Czasami zresztą młodzi ludzie sami nie wiedzieli, jak tragiczny wpływ wywarł na nich stalinowski terror. Skrajnym przykładem jest historia jednego z moich kolegów. Należał do najmłodszych, do tych, którzy na wyższą uczelnię przyszli prosto z moskiewskiej dziesięciolatki jako prymasi. Był aktywnym komsomolcem, jednym z niewielu ideologicznie wierzących wśród studentów sowieckich. Na seminariach z marksizmu-leninizmu bojowo i z przekonaniem deklamował wszystko, czego uczono o trockistowskich i innych

odchyleńcach, agentach imperializmu. Po 1956 r., w okresie chruszczowowskich rehabilitacji, doręczono mi niespodzianie urzędowy dokument o rehabilitacji jego rodziców: oboje zginęli jako trockiści w stalinowskich obozach koncentracyjnych. Dopiero wtedy dowiedział się, że gdy był jeszcze niemowlęciem, został adoptowany przez partyjną parę małżeńską, że ludzie, których uważał za ojca i matkę, nie są jego prawdziwymi rodzicami. Chruszczowska rehabilitacja pomogła mi w końcu tylko trafić do zakładu psychiatrycznego.

Jako praktykant w prokuraturze wiele razy asystowałem przy przesłuchaniach w moskiewskich więzieniach, w tym także w więzieniu Lefortowo. Nigdy nawet mi się nie śniło, że w innym skrzydle tego więzienia rozgrywa się coś ze spraw, którym daje świadectwo Sołżenicyn. Więzienie lefortowskie robi przygnębiające wrażenie, jako stare więzienie z ubiegłego stulecia - ale to, co tam widywałem, było normalnym zgodnym z kodeksem postępowania karnego przesłuchiwaniami przestępców kryminalnych. A ci przestępcy bynajmniej nie wyglądali na więzionych nieskutecznie lub poniżanych. W ZSSR zbrodniarze są często bardzo brutalni, pod wielu względami podobniejsi do przestępców amerykańskich niż środkowoeuropejskich. Policjanci, którzy miewają z nimi do czynienia, często noszą na ciele niejedną bliznę od noża albo kuli, co w Pradze jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym. Można być stykać się nawet blisko z tą częścią sowieckiego aparatu policyjnego i wymiaru sprawiedliwości - i nie mieć najmniejszego pojęcia o realności i zasięgu sąsiadującego z nią imperium GULAG-u.

W samej nauce prawa na wyższej uczelni tematyka przestępstw przeciwko państwu /t.j. politycznych/ przerabiana była bardzo skrótowo i powierzchownie. Nie było też w niej nic skomplikowanego, jeśli tylko akceptowało się zasadniczy punkt wyjścia: że działalność polityczna niewygodna dla rządu jest automatycznie porównywalna z działalnością kryminalną jakiegokolwiek innego rodzaju. A był to akjomat akceptowany zarówno przez wykładowców, jak i studentów moskiewskiego wydziału prawa w owych latach.

Pamiętam, jak na seminarium poświęconym przestępstwom przeciwko państwu zapędziłem w kozi róg docenta, który te zajęcia prowadził. Powiedziałem mianowicie, że w odniesieniu do tego rodzaju przestępstw presumpcja niewinności nie obowiązuje - i dowodziłem tego na przykładzie procesów politycznych w Pradze: najpierw dokonuje się kwalifikacji politycznej określonego postępowania, określonych postaw oraz idei jako klasowo wrogich, a dopiero następnie wkracza, respektując tę kwalifikację, aparat wymiaru sprawiedliwości.

Była to oczywiście prawda, trudno z nią było polemizować. Ja, jako szczerze przekonany stalinowiec, uważałem to za słuszne. W dyktaturze proletariatu prawo jest "wolą klasy robotniczej podniesioną do godności ustawy". Napisano tak również w sowieckich podręcznikach. Interpretatorem woli klasy robotniczej jest partia komunistyczna, naturalne jest więc, że jeżeli instancje partyjne interpretują dane fakty jako działalność wroga klasie robotniczej i państwu, to zobowiązuje to także klasowy aparat wymiaru sprawiedliwości.

Docent prowadzący seminarium oczywiście wiedział, jak przedstawia się sprawa presumpcji niewinności w procesach politycznych. Nie mógł jednak przyznać mi racji, gdyż ryzykowałby, że sam będzie krytykowany: była to prawda, ale nie należało jej mówić. On wiedział, czemu - lecz ja tego wówczas nie rozumiałem. Dlaczego nie postawić sprawy otwarcie? Doświadczony docent strzelił piłkę na aut i zapowiedział przeniesienie dyskusji na seminarium z marksizmu-leninizmu, gdzie jednak nigdy już nią się nie zajęto.

Znacznie później, dopiero w dalszej fazie wyzwalań się z zaczarowanego kręgu stalinowskiej wiary komunistycznej zrozumiałem, że całe moje studia na wydziale prawa w Moskwie miały niezwykle mało wspólnego z rozu-

mieniem prawa oraz jego znaczenia dla społeczeństwa ludzkiego. Stalińska /ale również dzisiejsza oficjalna sowiecka/ nauka prawa kwestię, czym ma być prawo, zawsze bowiem rozstrzyga odwołując się do tautologicznego twierdzenia z arsenału prawnego pozytywizmu: Prawem jest to, co państwo /jego formalnie kompetentne organy/ uzna za prawo. W myśl tej "nauki marksistowsko-leninowskiej" hitlerowskie ustawy norymberskie także są prawem - tyle tylko, że prawem burżuazyjnym, imperialistyczno-faszystowskim. Nauka ta krytykuje je nie jako zaprzeczenie prawa, lecz jako wyraz koncepcji burżuazyjno-klasowych i rasistowskich. Prowadzi przeto do wniosku, że nie do przyjęcia jest tylko treść klasowa tych norm; jeśli jednak sama treść klasowa jest inna /jeżeli ucieleśnia "interes klasy robotniczej"/ - nie ma powodu do krytyki. Zgodnie z takim sposobem myślenia również "prawo pierwszej nocy" feudalnego pana jest prawem, jednakże godnym potępienia, gdyż służy interesom wyzyskiwaczy. Myśl, że to "prawo" w każdym wypadku /nawet gdyby przewidywało np. możliwość przespania się całej rady robotniczej z córką fabrykanta/ jest pozaprawną i sprzeczną z prawem przemocą, gdyż stosunek między ludźmi, jaki kształtuje, zmienia jednego z uczestników w przedmiot zależny od woli drugiego, nie dając mu żadnej możliwości wystąpienia w charakterze podmiotu - ta myśl w oficjalnej sowieckiej teorii prawa po prostu nie występuje. Prawo jest więc w istocie tylko formą sprawowania władzy. Wyjawszy sprawę "treści klasowej" norm prawnych, prawnicy stalinowscy zgadzaliby się w pełni z faszystowskimi.

Toteż sowieckie wydziały prawa nie wychowują ludzi myślących kategoriami prawnymi, lecz "specjalistów prawniczych": ludzi, którzy wiedzą, co w jakim wypadku władza każe robić, jak każe postępować, a jak postępować zabrania, którzy znają dziesiątki przepisów prawnych i wiedzą, gdzie znaleźć inne przepisy, których nie znają. Uczelnie opuszczają więc wykwalifikowani biurokraci. W porównaniu z biurokrataimi niewykwalifikowanymi mają oni zresztą, również z punktu widzenia tych, nad którymi panują, jedną istotną zaletę: wiedzą, co w stosunku do nich wolno, a czego nie wolno, gdzie są granice przynajmniej takiej samowoli, która nie korzysta z błogosławieństwa zwierzchności i nie jest przewidziana żadnym przepisem, żadną normą. Wobec powszechności panowania biurokratycznej samowoli często jest to niemało i ma dla ludzi znaczenie.

W ciągu pięciu lat, gdy stawałem się "specjalistą prawniczym", tj. na sowiecką modłę wykwalifikowanym biurokratą, miałem więc możność dowiedzenia się, co w różnych dziedzinach życia w ZSSR wolno, a czego nie wolno, na co przepisy zezwalają, czego zaś - przeciwnie - zabraniają. W tym, nawet jeżeli nieco krzywym, zwierciadle ukazywały mi się stopniowo życie w kołchozach i fabrykach, stosunki rodzinne i majątkowe obywateli sowieckich, świat urzędów i petentów. Rezultatem było dosyć konkretne wyobrażenie o tym, jak biurokracja sowiecka zarządza społeczeństwem.

Z jednej strony, budziło to we mnie uczucie szacunku. Wszystko było stosunkowo przemyślane, a przede wszystkim - szczegółowo uregulowane. Na szereg pytań, które zadawałem sobie przed wyjazdem do Moskwy - jak właściwie powinien i będzie wyglądać w socjalizmie ten czy ów problem codziennego życia, jak powinno się kierować produkcyjnymi oraz innymi procesami w nowym społeczeństwie /na które to pytania dzieła Lenina ani Stalina konkretnie nie odpowiadały/ - tu znajdowałem odpowiedzi. Wiele z nich wydawało mi się słuszne i uważałem, że po powrocie do kraju znając doświadczenia sowieckie będę umiał właściwie, "w interesie klasy robotniczej" rozwiązywać w praktyce szereg spraw. Ale wiele z tych realnych sowieckich doświadczeń wzdragałem się uznać za ideał, który miałby być wcielony w życie także w Czechosłowacji.

Nasza wiara komunistyczna, choć także stalinowska, popadała zarazem w ostrą sprzeczność z podstawową tendencją sowieckiej praktyki państwowej

- z tendencją do biurokratycznej reglamentacji wszystkiego, co dzieje się w społeczeństwie. Mieliśmy mentalność radykałów, nie zaś biurokratycznych konserwatystów. Ideologiczna sofistyka mogła wprawdzie zdziałać niemało, sami siebie przekonywaliśmy, że to i owo z biurokratycznych praktyk jest właśnie rewolucyjne, gdyż leży w "interesie klasy robotniczej" - ale miało to swoje granice.

Podobnie jak nasi sowieccy koledzy mieli raczej cechy Rosjan z opowiadań Czechowa, niż bohaterów "Kodeksu Gwardii" Fadiejewa, również wielu biurokratów, z którymi mieliśmy codziennie do czynienia, bardziej przypominało postaci z "Rewizora" Gogola, niż ucieleśnienie wyobrażeń z "Państwa a rewolucji" Lenina. Nie chodziło jedynie o to, że nigdzie nie było ani śladu jakiegokolwiek oddolnego samorządu, będącego jedną z idei wchodzących w skład naszej ideologicznej wiary. Co ważniejsze, nadętość sowieckich biurokratów, ich niczym nie maskowana pogarda dla petentów w długich kolejkach czekających na taką czy inną "būmażkę", brak kultury, tępota i zarazem pycha tych urzędników były czymś, czego w Czechosłowacji po prostu nigdy nie widzieliśmy.

Na ostatnim roku studiów, w zimie 1954 r., odbywałem praktykę w prokuraturze miejskiej w Moskwie. Jeden dzień w tygodniu przewidziany był na ustne "skargi i zażalenia ludzi pracy": setki osób tłoczyły się, żeby przedstawić prokuratorowi swoje kłopoty z praworządnością. Prokurator, który miał dyżur, wysłuchiwał skarg i od ręki rozstrzygał: miał około 5-10 minut na każdą sprawę. "Nowi sowieccy ludzie", owi "twórcy historii" wystawali tutaj z czapkami w rękach i z bojaźliwą unізonością bąkali coś o swych krzywdach, a prokurator za masywnym biurkiem zazwyczaj rozpatrywał jeszcze jakieś inne papiery, słuchał jednym uchem i w 99 procentach wypadków uznawał skargi za nieuzasadnione. Starszy robotnicy i zaharowane wiejskie baby postaci jakby żywcem wzięte z widzianych przez nas filmów, o Rewolucji Październikowej, tutaj nie unosiły pięści i nie domagały się swoich praw, lecz trwożnie czekały na wyrok z ust władnoży, który z kolei przypominał mi czynownika z jakiejś sztuki Gogola.

Jesienią 1954 r. przeprowadziłem się do uroczyscie otwartego nowego gmachu Uniwersytetu Moskiewskiego na Mzgórzach Leninowskich. Do tego czasu mieszkalem w starym akademiku uniwersyteckim, zwanym Stromyńką: kiedyś były to koszary tzw. preobrażeńskiego pułku Piotra Wielkiego, nad którymi władza sowiecka dobudowała jeszcze dwa piętra, po czym ułokowała w nich około 10 000 studentów. Mieszkało się w pokojach po siedmiu, a nawet po piętnastu na kilkuset studentów przypadała na piętrze zawsze tylko jedna zbiorowa latryna z umywalnią i jedna wspólna kuchnia, na wszystkich zaś razem jedna rosyjska "bania" na podwórzu. Nowy akademik uniwersytecki promieniował komfortem: studenci byli zakwaterowani pojedynczo w małych, nowoczesnie wyposażonych pokojach, każda para pokoi miała wspólny normalny klozet ze spuszczaną wodą i kącik z prysznicem. Nawet my uznaliśmy te warunki za nowoczesne i kulturalne - a dla większości studentów sowieckich było to zapewne najbardziej luksusowe mieszkanie w całym ich życiu po dzień dzisiejszy. Stamtąd jako praktykant dojeżdżałem do miejskiej prokuratury.

I oto któregoś dnia przyjęć przyszła do prokuratora delegacja z kołchozu, oddalonego od nowego gmachu uniwersytetu o jakieś dwadzieścia kilometrów, z następującą skargą: żeby można było otworzyć nowy uniwersytet, ich wsi, jak również kilku innym, odcięto dopływ prądu, bo inaczej wydajność elektrowni nie wystarczałaby na oświetlenie uczelni. Minął rok, a u nich elektryczności wciąż nie ma, chociaż im powiedziano, że to tylko na krótko.

- Nie ma podstawy prawnej, by domagać się elektryczności - wyjaśnił prokurator. - Nie ma ustawy, która mówiłaby, że musicie mieć prąd. To sprawa

możliwości gospodarczych. Żadne przepisy prawa nie zostały tu naruszone i prokuratura nie widzi powodu wkraczać w tę sprawę.

Delegacja przez chwilę próbowała wyjaśniać, że pisuje i chodzi od elektrowni aż do sądu miejskiego, ale nikt jej nie odpowiada ani nie chce z nią gadać. Na prokuratorze nie zrobiono to najmniejszego wrażenia, trwał przy swoim. Wtedy jeden z kołchoźników wpadł na pomysł i powiedział, że prokuratora powinno by to jednak zainteresować, bo grozi niebezpieczeństwo pożaru: świeci się lampami naftowymi i łuczywami, od otwartego ognia może się coś zająć.

Taka przebiegłość rozgniewała prokuratora.

- Od kiedy mieliście prąd? - zapytał rebelianta.

Ten odparł, że od 1938 r.

- No tak - prokurator na to. - A przedtem czym świeciliście?

- Łuczywami.

- Czyli dobrze umiecie się nimi posługiwać. Będzie pożar, to przyjeżdżamy i będzie dochodzenie. A winnych się posadzi.

Przedstawiciele kołchozowego chałtopstwa, drugiej z dwóch głównych klas panujących w państwie, nie powiedzieli już nic i grzecznie opuścili gabinet. Po skończonej audiencji w rozmowie z prokuratorem nawiązałem do tego wydarzenia i wyraziłem pogląd, że chyba można było coś w tej sprawie zrobić. Prokurator wyjaśnił mi, że jeśli on zacznie, to szef prokuratury go ochrzani, bo znów szefa ochrzanią w miejskim Komitecie partii, gdyż powinien wiedzieć, jakie są z tym trudności. Ze szczerym przekonaniem bronił swojej postawy: mężczyźni dobrze wiedzą, jak obchodzić się z łuczywami, i tylko chcieli mu zrobić na złość.

Długo jeszcze nie mogłem zapalić światła w komfortowym pokoju na Wzgórzach Leninowskich, by zaraz nie przypomniała mi się ta scena. A podobnych wrażeń z praktyk sowieckiej biurokracji miałem więcej, nie był to wcale wyjątek. Nawet moje wielkie uświadomienie ideologiczne nie pomagało mi w takich razach uznać, że jest to wzór postępowania z ludźmi w ustroju socjalistycznym, że tak samo powinniśmy robić również w Czechosłowacji.

Większość młodych komunistów czechosłowackich studiujących w sowieckich wyższych uczelniach w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych powróciła do kraju z zachowaną wiarą ideologiczną. Jechaliśmy do Moskwy z nadzieją, że zobaczymy także naszą przyszłość. Lecz potem nie rozumieliśmy, że było nam dane zobaczyć ją naprawdę: nasza komunistyczna wiara nie chciała jeszcze podporządkować się własnemu, osobistemu doświadczeniu. U olbrzymiej większości z nas wiara ta była jednak osłabiona w jednym z głównych swych ogniw: nie wierzyliśmy już, że ZSSR jest urzeczywistnieniem naszych ideałów, że jest wzorcem, który obowiązuje bez zastrzeżeń. Zamiar, jaki przyświecał kierownictwu partii, gdy wysyłało nowy narybek na studia do Związku Sowieckiego, w większości wypadków nie powiódł się. Zamiast stalinowców jeszcze bardziej przekonanych i mających wyższe kwalifikacje wracali co prawda jeszcze stalinowcy, ale już z zadatkami przyszłej herezji: ludzie, dla których utraciło znaczenie jedno z najsilniejszych zaklęć polityki partyjnej - obowiązywanie "sowieckiego wzoru". Swoją stalinizm ratowaliśmy paradoksem: aby zachować stalinowską wiarę, musieliśmy degradować ideologicznie stalinowską rzeczywistość. Był to w istocie na małą skalę prototyp postępowania, jakie później usiłowała przyswoić sobie również sama partia - zarówno sowiecka za Chruszczowa, jak i czechosłowacka za Novotnego.

Wiara w ideologię komunistyczną stalinowskiej proweniencji była jednak zależna nie tylko od naszych własnych doświadczeń - a to dlatego, że opierała się też częściowo na podstawach dla nas, przy ówczesnym zasobie naszej wiedzy, w istocie niesprawdzalnych. Mianowicie na określonym

obrazie ideologicznym nie tylko socjalizmu, ale również kapitalizmu oraz świata w ogóle.

Związek Sowiecki, choć nie pod każdym względem wydawał się nam wzorem dla naszej socjalistycznej przeszłości, pozostawał wciąż w naszych oczach jedyną siłą na świecie, która broniła socjalistycznych perspektyw i była w stanie obronić je przed atakami wroga klasowego w skali międzynarodowej, przed światowym imperializmem.

Nasze wyobrażenia o świecie nie były wprawdzie tak prymitywne jak młodych ludzi w ZSSR, ale kształtowała je ta sama ideologia. I sprawdzenie ich przez poznanie rzeczywistości było dla nas w owych latach tak samo nie możliwe: dla absolutnej większości ówczesnych młodych komunistów podróż na Zachód była zupełnie niedostępna. Prawdę mówiąc, nawet nam na takiej podróży nie zależało - bo i czego tu szukać pośród wrogów klasowych w okresie, gdy w kraju czeka nas tyle rewolucyjnych zadań? Toteż w świecie, jaki podawały w tych czasach do wierzenia komunistyczne gazety, żyliśmy niczym w świecie realnym i jedynym prawdziwym. Nie usprawiedliwia to nas, rzecz jasna, ale tak było.

Jakkolwiek działo się w ZSSR, nie było tam jednak przecież prywatno-kapitalistycznego wyzysku, nie było bogaczy zawdzięczających swą pozycję faktowi posiadania fabryk i dziedzicznej przynależności do klasy mającej, nie było bezrobocia i - jak się nam wtedy wydawało - ani władze polityczne, ani rząd nie dążyły tam do agresji, nie było sił prących do nowej wojny. Ówczesną atmosferę zimnej wojny i dostosowaną do niej propagandę braliśmy po prostu za prawdziwy obraz świata. Takie konflikty, jak np. wojna w Korei, nie budziły w nas najmniejszych wątpliwości, że również zbrojenia i jawny militarizm ZSSR i Czechosłowacji owego okresu są tylko uzasadnionym dążeniem do zwiększenia zdolności do obrony przed imperializmem i imperialistami. Zdawało się nam, że w Niemczech Zachodnich naprawdę znów wyrastały objawy hitleryzmu, polityka USA była dla nas bezdyskusyjnie nie dająca się niczym usprawiedliwić polityką imperialistycznej agresji.

Stosunki wewnętrzne w kapitalistycznych krajach Europy wyobrażaliśmy sobie jako analogię stosunków, które pamiętaliśmy z Protektoratu i z końcowego okresu pierwszej Republiki Czeskosłowackiej, sprzed układu monachijskiego. Szerzenie więc poglądu, że kryzys gospodarczy i związana z nim niedza bezrobotnych oraz ogółu ludzi pracy to tylko kwestia czasu, było dla oficjalnej propagandy nadzwyczaj łatwe. Również starsi od nas wierzyli takim prognozom, gdyż utwierdzało ich w tym osobiste doświadczenie sprzed wojny.

Byliśmy przekonani, że także w skali światowej powtórzeniu się wydarzeń z lat trzydziestych oraz kolejnej wojnie można zapobiec jedynie w taki sposób, że również w innych krajach stopniowo zwycięży socjalizm - i to rozumiany tak, jak sami go sobie wyobrażaliśmy. Wszystko to niezmiernie zmniejszyło znaczenie czynników, które wskutek naszych własnych doświadczeń i obserwacji polityki wewnętrznej stawiały niektóre artykuły naszej komunistycznej wiary pod znakiem zapytania. Problemy zaś międzynarodowe układały się w jeden wielki wykrzyknik, który nakazywał tę wiarę umacniać.

W takim stadium rozwoju świadomości zastał mnie rok 1956, zapoczątkowany tajnym referatem N.S. Chruszczowa o "kulcie jednostki" i niektórych zbrodniach J.W. Stalina, wygłoszonym na XX zjeździe KPZS w Moskwie. Rewelacje Chruszczowa, których efekt w całym ruchu komunistycznym można przyrównać do wybuchu bomby, mnie także oszołomiły. Ale - oto paradoksalny rezultat mego "sowieckiego wyszkolenia" - mimo wszystko wewnętrznie byłem przygotowany na nie bardziej, niż ogromna większość moich towarzyszy w Czechosłowacji. Ostatecznie dwa lata, które spędziłem w Moskwie, po śmierci Stalina, pozwalały już bowiem przewidywać możliwość, że będzie on krytykowany "odgórnie", przez śwych dziedziców na Kremlu.

Marcowe dni 1953 r., gdy Stalin umarł, przeżywałem w Moskwie. I właśnie wtedy do wszystkich moich dotychczasowych doznań doszło jeszcze jedno: pojąłem, że dla ludzi w ZSSR Stalin był w istocie siejącym strach, a zarazem umiłowanym carem: nic mniej, ale też i nic więcej.

Kiedy radio doniosło, że ciało Stalina wystawione jest w trumnie w moskiewskim Domu Związków Zawodowych, z wielu naszymi i "sowieckimi" studentami dołączyłem, rzecz jasna, do stutysięcznych tłumów, które chciały je zobaczyć. Nikt nie wydał żadnych instrukcji, którzydy będzie można dojść do Domu Związków, setki tysięcy ludzi waliły więc do centrum Moskwy na ślepo. Na peryferiach ulice były luźne i nic się nie działo, ale w miarę zbliżania się do śródmieścia rosła liczba ulic i zaułków zabarykadowanych ciężarówkami, pilnowanych przez wojsko i milicję, do których wstęp był zakazany. Napotykając te przeszkody, tłum metodą kolejnych prób i błędów szukał dozwolonej drogi do trumny zmarłego Wodza. W ten sposób wydostał się wreszcie na główną ulicę śródmieścia, którą wiodła jedyna dalsza trasa, i tam zmienił się w wielokilometrową kolejkę, powoli posuwającą się w kierunku katafalku.

Łańcuchy wojska i milicji bezwzględnie spychały ludzi na jedną stronę ulicy. Rząd samochodów ciężarowych, też z wojskiem i milicją, wyznaczał tam obszar pomiędzy środkiem jezdni i ścianami domów, gdzie wszyscy mieli się zmieścić. Ciężka przerywała kordon żołnierzy i przelewała się za ochronny wał ciężarówek.

W takich chwilach pojawiała się milicja na koniach, by przywrócić porządek. Milicjanci nie strzelali ani nie rąbali szablami, jak robili to carscy kozacy, ale bo też nie było to potrzebne. Mur milicyjnych koni napierał ławą na ludzi, ciało na ciało - a że koń jest przecieź silniejszy od człowieka, żółta rżęta spychały ich na dawne miejsce. Nie mogąc iść do przodu, konie stękały dęba. Widok Kopyt nad głową budzi w człowieku atawistyczny instynkt samozachowawczy, toteż masa cofała się tak samo, jakby jej pierwszy szereg naprawdę cięto szablami. A gdzie to nie starczało - pomogły gumowe pały.

Gęstość tłumy doszła do granic znanych mieszkańcomi miasta z przepełnionego tramwaju, lecz jednocześnie z tyłu nieustannie parły dziesiątki tysięcy ludzi, a z przodu konie i żołnierze, po obu stronach zaś znajdowały się ciężarówki i ściany domów. Była zima, nogi ślizgały się na rozmiękłym śniegu. Kto upadł, miał znikomą nadzieję, że się jeszcze podniesie, i nikt nie mógł udzielić mu pomocy. Oczywiście nigdy nie ukazał się żaden komunikat o liczbie zdeptanych, zabitych i poranionych, więc trudno ją ocenić. Ale sam tej nocy widziałem dziesiątki rannych i nieprzytomnych; niektórzy z nich już nie żyli. Żołnierze i milicjanci kadowali rannych i trupy na ciężarówki i stopniowo gdzieś wywozili.

Wszędzie, gdzie przemocą zmuszano tłum do zwarcia szeregów, jak i wszędzie, gdzie ludzie zdokali przerwać kordon i wojsko z konną milicją przywracało "porządek", ścisk przechodził wszelkie wyobrażenia. Miejsca te widać było z daleka, bo w ciemnościach unosił się nad nimi słup białej pary. Tłum zaczął nazywać je "szpuntami" i brawurowo atakował, wzmagając nacisk, z początku żywiołowo, a potem już rytmicznie, przy akompaniamencie okrzyków "ej-uch!". Bez szwanku przepłynąłem przez pierwszy "szpunt", a po kilku godzinach miałem za sobą także z pięć dalszych - lecz następnego, bynajmniej nie ostatniego, nie udało mi się już sforsować: znalazłem się w skrajnym szeregu, tuż pod kańczuchem ciężarówek. Było to niebezpieczne, gdyż tłum pchał mnie nie na miękkie ciała sąsiadów, ale na metalowe ściany samochodów. Skórzany płaszcz puścił w szwach i dał się o różne wystające części wozów. Nie ruszałem się już, toczono mnie niczym martwy przedmiot. Pozostawała mi jedna nadzieja: kiedy dotoczą mnie do maski, spróbuję wdrapać się na nią i przeskoczyć na drugą stronę. Oznaczało to wprawdzie, że nie zobaczę Stalina w trumnie, ale też pozwalało uniknąć jej samemu. Jakos mi się udało.

Tłum, w którym spędziłem wówczas wiele godzin i który po trupach parł do trumny Stalina, w gruncie rzeczy o Stalinie nawet nie myślał. Nie byli to ludzie przytkoczeni żakobą, która przecież zawsze wprowadza element pewnej dyscypliny i wyklucza reakcje charakterystyczne dla motłochu. Tutaj, jeżeli tylko robiono się gdzieś luźniej, rozmawiano i żartowano jak w tłumie śpieszącym na mecz piłki nożnej. Tutaj także kradziono, pakowano ręce pod spódnice, pito wódkę prosto z przyniesionej w kieszeni butelki. Ten tłum łączyła chęć zobaczenia widowiska - bez różnicy, czy będzie to pogrzeb, czy egzekucja. Wychoząc z domu miałem w pamięci sceny z sowieckich filmów: zdyscyplinowany, ogarnięty smutkiem lud, idący do trumny zmarłego Lenina. Może i tamte sceny były tylko na filmach, może w rzeczywistości też wyglądało to tak samo jak teraz? Choć myślę, że jakaś różnica była. W każdym razie tłum, z którym ja się zetknąłem, z pewnością był taki sam, jak ta tłuszcza na Rusi, którą można było zobaczyć podczas publicznych egzekucji, na koronacjach carów i przy innych podobnych okazjach. Tym razem była to tłuszcza na pogrzebie cara.

Gdy po drugiej nad ranem dotarłem wreszcie do akademika na Stroomynce, czterej z moich sześciu współlokatorów spokojnie spali. Na stole stały dwie butelki po wódce. Kolega obudzony moim przyjściem spojrzął na mój podarty płaszcz i powiedział:

- Ech ty, durek! Wyśpij się, a rano bierz paszport, jedź metrem do śródmieścia, tam wysiądź i udawaj, że po rosyjsku znasz tylko słowo "naczalnik". Milicjanci doprowadzą cię do "naczalnika", a ten doprowadzi cię do Stalina!

Usłuchałem tej rady i w końcu do trumny Stalina dotarłem.

W dniach po śmierci Stalina wśród sowieckich studentów i w społeczeństwie w Moskwie panowało coś więcej, niż smutek: był to szok, któremu towarzyszyły obawy, a nawet strach przed przyszłością. Rozmawiając z sowieckimi kolegami zacząłem z wolna nabierać przekonania, że w rzeczywistości nie umieją sobie wyobrazić, co będzie dziać się dalej w ich kraju. Choć nie mówili tego głośno, to przecież przeczuwali, że mogą zajść jakieś bardzo istotne zmiany. W następnych miesiącach wszystko to przybierało na sile, a pod koniec roku - po aresztowaniu i straceniu Berli - wciąż mnożyły się symptomy zmiany ogólnej atmosfery. Początkowy strach przed przyszłością zniknął, jego mroczne przyczyny zaczęły przybierać wyraźniejsze kontury.

Było coraz bardziej widoczne, że również ci obywatele sowieccy, których sam dobrze znam, w rzeczywistości znacznie lepiej wiedzieli, jakie znaczenie ma w ich kraju atmosfera stalinowskiego terroru, niż wydawało

mi się na podstawie kontaktów z nimi, dopóki Stalin żył. W latach 1954-55 mówiono o tym wszystkim coraz bardziej otwarcie. Zmienił się nawet stopniowo ton prasy: zaczęto pisać o niezbędności "kolektywnego kierownictwa", występować przeciw metodom sowieckiej biurokracji, podkreślać potrzebę krytyki. Jednocześnie ustały kampanie przeciw "kosmopolityzmowi", zmniejszyła się podejrzliwość. Na domiar wszystkiego Chruszczow poleciał do Belgradu i już na lotnisku zwrócił się do niedawnego "agenta imperializmu" i "krwawego psa", Tity, per "drogi towarzyszu"! Z kół aparatu partyjnego przenikały coraz częściej do komunistów oraz do społeczeństwa różne informacje świadczące, że sytuacja zmienia się również "na górze".

Przemówienie Chruszczowa o Stalinie oszołomiło mnie przede wszystkim konkretnymi danymi o zbrodniach sowieckiego aparatu bezpieczeństwa, o torturach i wymuszonych przyznaniach się do winy w procesach politycznych. Było to coś, czego wtedy zupełnie sobie nie wyobrażałem, a co dotyczyło bezpośrednio również Czechosłowacji: każdy człowiek myślący zobaczył niedawne procesy polityczne w świetle, w jakim my, uświadomieni stalinowcy, do tego czasu ich nie widzieliśmy. Poza tym jednak linia polityczna XX zjazdu KPZS jako całość pokrywała się organicznie z tym kierunkiem rozwoju, na jaki pobyt w Moskwie przygotował mnie przynajmniej częściowo, toteż nie była dla mnie niespodziewanym gromem z jasnego nieba.

Dla wierzących komunistów w Czechosłowacji sytuacja przedstawiała się inaczej. Gdy w tydzień po Stalinie - jak gdyby nawet pod tym względem zdyscyplinowanie podporządkowywał się Moskwie - zmarł Gottwald, na czele KPCz stanęli Zapotocky i Novotny. Skład politbiura partii pozostał nie zmieniony: stanowili je ludzie, którzy na kwartał przed śmiercią Stalina poskaki na szubienicę jedenaście osób ze swego grona. W dwa lata po śmierci Stalina i straceniu Berii, w Czechosłowacji nadal toczyła się fala procesów politycznych - to przecież w 1954 r. skazańo Gustava Husaka wraz z grupą "burżuazyjnych nacjonalistów słowackich"; w tymże roku wykonano jeszcze ostatni wyrok śmierci w cyklu politycznych morderstw w majestacie prawa. Latem 1955 roku Antonin Novotny przyjął twardy kurs na dokończenie kolektywizacji rolnictwa i pełną parą ruszyła w związku z tym machina policyjnych oraz sądowych represji wobec chłopów, którzy nie chcieli wstępować do spółdzielni. Oficjalną ideologią w owym czasie była w Czechosłowacji stalinowska teoria o "zaostrozaniu się walki klasowej" w miarę odnożenia przez socjalizm kolejnych sukcesów. Śmierć Stalina dla KPCz oznaczała w istocie wezwanie, by konsekwentnie iść jego drogą, by doprowadzić do końca dzieło zmarłego "wodza światowego proletariatu".

Powróciłem do Pragi latem 1955 r. - i nagle znalazłem się w zupełnie innym świecie, niż ten, który opuściłem przed pięciu laty, i niż ten, z którego przyjechałem. Atmosfera szczęśliwej sekty młodych, uświadomionych ideologicznie komunistów zniknęła bezpowrotnie. Sekretariaty, w których kiedyś płynęło nasze życie, w których spieraliśmy się i agitowaliśmy, zmieniły się w duże biura pełne dobrze opłacanych pracowników, wśród których panowała biurokratyczna hierarchia. Fabrykowano tam różne wytyczne i urzędowe pisma. Większości nowych ludzi w tych biurach wcale nie znałem, oni także nie znali mnie. Wielu z tych, których znałem, nie należało już do czołówki politycznej, niektórzy w większym lub mniejszym stopniu padli ofiarą czystek w minionych latach. Wśród młodych komunistów panowała atmosfera strachu: nie mówili już o tym, co naprawdę myśleli, chyba że tylko w kółku najbliższych osobistych przyjaciół. Komuniści sami cenzurowali swe myśli i wypowiedzi. Powszechnie panował sformalizowany rytuał lojalności politycznej, pod którym ledwie można było domyślać się głęboko ukrytych sprzeczności i konfliktów, jeszcze w 1948 r. będących przedmiotem publicznych dyskusji wśród komunistów.

Było to paradoksalne, bowiem powrót do kraju pod wielu względami był dla mnie w gruncie rzeczy czymś podobnym do przyjazdu do Moskwy pięć lat temu: to, co wtedy mnie tam raziło, zdążono już z powodzeniem importować do Czechosłowacji. I odwrotnie - w ostatnich latach w Moskwie niektóre z tych cech życia politycznego, przeniesionych do Pragi, zaczęły nadwerężać powolny, ale wyraźny podskórny ferment. Uświadomieni komuniści sami siebie, za pomocą ideologicznej sofistyki, mozolnie przekonywali, że zmiany, które zaszły w ich życiu, to jest właśnie ów rewolucyjny postęp, gdyż w ten sposób zbliżyli się do ideału sowieckiego. Ale w tym samym czasie w Moskwie zaczynało się już debatować półgłosem nad tym, że akurat te cechy są "wypaczeniami z czasów kultu jednostki". Początkowo trudno było porozumieć się nawet z przyjaciółmi i znajomymi, gdy chcieliśmy sobie opowiedzieć, co każdy z nas przeżył: ja w ZSSR, a oni w tym czasie w kraju.

W tej atmosferze referat Chruszczowa dla komunistów czechosłowackich rzeczywiście był bombą. W kierownictwie KPCz wywołał szok, z którego zrodziła się fala dyskusji wśród komunistów. Była to w istocie pierwsza dyskusja w partii od lutego 1948 r. - i wyraźnie świadczyła, jak zmieniło się od tamtego okresu oblicze KPCz: nie była to już partia polityczna zrzeszająca ludzi, jak mówił statut, dobrowolnie, na gruncie przekonania o słuszności programu. Była to organizacja skupiająca swych członków na zasadzie stosunku do władzy, ale także osoby, którym ta władza po prostu przynosiła korzyści. Dla ich postawy osobiste przekonania miały znacznie mniejsze znaczenie, niż stosunek do władzy.

W toku dyskusji wywołanej przez XX zjazd KPZS wytworzyły się w partii trzy główne grupy.

Przede wszystkim grupa złożona zarówno z wierzących stalinowców, jak i z karierowiczów, która była do tego stopnia związana z krytykowanymi faktami i ponosiła za nie odpowiedzialność tak bezpośrednią, że utrzymać się na swoich pozycjach mogła nadal jedynie pod warunkiem, że zdoła choćby na pewien czas powstrzymać falę krytyki. Na gruncie negatywnego stanowiska wobec krytyki stalinizmu dołączało do niej również wielu przekonanych stalinowców, którzy osobiście często wcale nie byli odpowiedzialni za terror polityczny, lecz tak głęboko zgadzali się z całą polityką Stalina, że zerwania z nią nie umieli sobie wyobrazić. Krytykę Stalina uważali za coś, co w końcu okaże się kolejnym "odchYLENIEm" i podjętą przez "wroga klasowego" próbą osłabienia partii.

Grupie tej przeciwstawiali się ci, którzy dotychczas też byli wierzącymi ideologicznie stalinowcami, ale którym chruszczowska krytyka dała impuls do ujawnienia wszystkich już wcześniej narastających stopniowo wątpliwości co do słuszności polityki partii i własnych postaw w niedawnej przeszłości. Z reguły nie byli bezpośrednio odpowiedzialni za fakty stanowiące przedmiot krytyki stalinizmu. Przeciwnie, niektórzy w różnym stopniu wskutek nich ucierpieli.

Trzecią grupę stanowili członkowie KPCz nie uczestniczący raczej w dyskusjach i czekający na wynik sporu. W KPCz byli przeważnie z przyczyn koniunkturalnych, nie należeli jednak do karierowiczów, którzy wskutek swojej nadmiernej gorliwości stali się również osobiście odpowiedzialni za krytykowany stan rzeczy. Także w przeszłości trzymali się na uboczu, robili to tylko, co było trzeba, by dać dowód lojalności wobec władzy, to, co zabezpieczało ich przeciętne kariery. W duchu grupa ta sympatyzowała raczej z chruszczowską krytyką, nie myślała jednak na razie kłaść z tego powodu palców do ognia. Jeżeli dochodziło do głosowania, podnosiła ręce "za linię XX zjazdu KPZS".

Ogólnie więc w organizacjach KPCz przeważało poparcie dla kursu Chruszczowa. Układ sił był w różnych ogniwach partii rozmaity. W wyższych instancjach i w aparacie silniejsza była grupa pierwsza, prostalinowska; bardzo silna była też ona wśród komunistów na ważnych stanowiskach w aparacie władzy. Odwrotnie było w środowiskach intelektualistów oraz powszechnie wśród młodszych kadr partyjnych: tu silniejsza była grupa krytyków.

W toku dyskusji partyjnej w KPCz wiosną 1956 r. zazwyczaj nie wyrażano jednak wątpliwości co do podstawowych cech systemu totalitarnej dyktatury partii. Uważano za aksjomat, że sam fakt jedynowładztwa KPCz w państwie jest warunkiem "budowania socjalizmu i komunizmu". Tak samo też w praktyce nie negowano tezy, że walka klasowa zakłada istnienie dyktatury politycznej: podawano w wątpliwość niektóre jej metody, zwłaszcza jeżeli stosowano je również wobec samych komunistów.

Granice tej dyskusji przekraczała nadzwyczaj rzadko, najczęściej w środowiskach intelektualistów, gdzie na czoło wysuwała się kwestia fałszywego obrazu rzeczywistości, będącego płodem ideologii stalinowskiej. Torowało to już drogę do debat nad problemami o podstawowym znaczeniu dla samego systemu totalitarnej dyktatury - przeważnie jednak tylko na płaszczyźnie abstrakcyjnej, teoretycznej. Także te najradykałniejsze kręgi komunistyczne nie domagały się wówczas jeszcze likwidacji dyktatury, ale chciały tylko swobody dla radykalnej marksistowskiej krytyki jej teorii i praktyki.

Najdonioślejszym z radykalnych postulatów politycznych w ówczesnej dyskusji w KPCz było żądanie zwołania nadzwyczajnego zjazdu partii. Ekipa stojąca na czele partii widziała w nim bezpośrednie zagrożenie swoich pozycji, toteż wystąpiła przeciwko niemu. Ostatecznie zamiast zjazdu zwołano ogólnokrajową konferencję, która - w odróżnieniu od zjazdu - nie miała prawa wyboru nowego Komitetu Centralnego. Konferencja opowiedziała się naturalnie za nową linią rodem z Moskwy, uznała, że niektóre ideologiczne i polityczne tezy stalinizmu nie obowiązują także w Czechosłowacji, nie przyniosła jednak zmiany jakościowej ani w kierownictwie KPCz, ani w decydującym aparacie politycznym.

Kierownictwu KPCz udało się przytłumić wiele politycznych konsekwencji nowej, chruszczowskiej linii. Żadnymi posunięciami nie mogło jednak przeszkodzić temu, żeby główne uderzenie chruszczowskiej krytyki naruszyło stalinowską wiarę również czechosłowackich komunistów. Sądzę, że główny cios stalinowskiej wierze zadał Chruszczow przez to, że usiłując zważyć całą winę i odpowiedzialność na Stalina, sam w istocie postawił problem osobistej odpowiedzialności komunistów za ich myśli i czyny.

Marksiści z szeregów komunistów reformistycznych po dziś dzień zarzucają zazwyczaj Chruszczowowi, że jego krytyka stalinizmu jest krytyką osoby Stalina, podczas gdy należy poddać krytyce sam system stalinowski. Widzą tu wyłącznie negatywny moment chruszczowskiej krytyki, a przeciętne ograniczenia upatrują z kolei w tym tylko, by przerosła w krytykę systemu. W rzeczywistości jednak sprawa jest bardziej skomplikowana: w sferze myślenia racjonalnego krytyka systemu jest wprawdzie radykalniejsza i gruntowniejsza, ale problemy moralne, problemy odpowiedzialności ludzi, którzy tworzą ów system, spycha na dalszy plan, podobnie jak robiła to ideologia stalinowska. Natomiast prymitywniejsza z punktu widzenia racjonalizmu krytyka chruszczowska kwestię winy i odpowiedzialności jednostki stawia na pierwszym miejscu. Inna rzecz, jak na nią odpowiada - ale ważne jest przede wszystkim, że ją stawia.

My, przekonani stalinowcy, problemem własnej odpowiedzialności zbytnio się wtedy nie kłopotaliśmy. Ostatnią instancją, decydującą o słuszności danego poglądu czy też czynu, w systemie wartości mojej wiary nie był mój własny osąd - było nią obiektywne znaczenie poglądu albo czynu, jego stosunek do "interesu klasy robotniczej", a więc do interesu rewolucji, socja-

lizmu, komunizmu itd. W praktyce o obiektywnym znaczeniu sprawy orzekała partia. A to znaczyło - organy i przywódcy partii. Na szczycie piramidy stał Stalin: jego stanowiska były więc także często stanowiskami najwyższej instancji - również w mej osobistej, przyjętej na użytek prywatny hierarchii instancji potwierdzających słuszność moich myśli i czynów.

Jednakże Stalin, Gottwald, politbiuro partyjne czy partia jako taka nigdy nie byli dla mnie tym, czym dla wierzącego chrześcijanina jest Bóg. Byli tym, czym dla oddanego Kościołowi katolika są papież, kardynałowie, sobory i sam Kościół. Bogiem wierzącego komunisty jest dopiero Obiektywne Prawo Dziejowe, zmierzające do realizacji "interesu klasy robotniczej", do postępu ludzkości w rozumieniu, jakie nadaje mu wiara komunistyczna. Oczywiście wierzący komunista tak samo jak oddany Kościołowi katolik zakłada, że jego papież i kardynałowie także wyżej od siebie stawiają Boga, że może ufać w to, że ich myśli i czyny są owocem konfrontacji ich dusz z Bogiem. Ponadto również jako wierzący stalinowiec zawsze dopuszczałem, że mój papież-Stalin nie jest nieomylny, że ostatecznie może nawet zgrzeszyć, a tym bardziej że mogą zgrzeszyć kardynałowie i sobory. Ale że mogliby nie mieć nad sobą Boga - Obiektywnego Prawa Dziejowego, że "interes klasy robotniczej" mógłby nie być tym, z czym wciąż od nowa zgodnie ze swym sumieniem konfrontują swe myśli i uczynki - tego w mojej pierwotnej wierze nie przypuszczałem.

Chruszczowska krytyka Stalina mówiła jednak jednoznacznie: ten papież działał sam z siebie i wielokrotnie dawał się poznać jako ateista. Zabijał nie dlatego, że wymagało tego Obiektywne Prawo Dziejowe, ale po to, żeby utrzymać się przy władzy. Mordował w tym celu również wiernych synów Kościoła. My, kardynałowie, wiedzieliśmy to lub przynajmniej domyślaliśmy się, ale nie mogliśmy nic poradzić bo nas także wysłałby do kryminału i na szafot. Najgorszego kardynała, który stale pomagał papieżowi i psuł go jeszcze bardziej, już kazaliśmy stracić. Naradziliśmy się nad wszystkim kolektywnie i doszliśmy do wniosku, że nie potrzebujemy papieża. Teraz będziemy zawsze kolektywnie badać, czego wymaga Obiektywne Prawo Dziejowe, będziemy naradzać się nad tym i z wami, wierzącymi. Wiercie więc nadal nam i Obiektywnemu Prawu - a dojdziemy do realizacji "interesu klasy robotniczej", tym razem już naprawdę i bez "wypaczeń". Obiektywne Prawo Dziejowe istnieje i Kościół "w istocie" zawsze widział je dobrze i postępował zgodnie z jego nakazami.

Ciągnąc dalej tę analogię historyczną /która zresztą, jak każda analogia, jest nieściśnięta/, moglibyśmy przyjąć, że chruszczowska krytyka "kultu jednostki" jest w sumie mniej więcej takim rozwiązaniem problemu, jak gdyby po śmierci Aleksandra VI Borgii jego kardynałowie zebrali się i uznali, że są "kolektywnym papieżem", w nadziei, że w ten sposób zapobiegą schizmie i całej reformacji protestanckiej. Oni również nie odrzuciliby sukcesu, i to nie tylko dlatego, że im także brakowałoby krytyki systemu, lecz dlatego, że wierzący chrześcijanie stwierdziwszy, iż papież i kardynałowie są ateistami, sami zaczęliby szukać wyjścia w wierze w Boga bez pośrednictwa kardynałów i papieża, w bezpośredniej, osobistej łączności z Bogiem /co właśnie jest istotą reformacji protestanckiej/. Mówiąc bardziej ogólnie: wierzący chrześcijanie zadawali sobie pytanie o osobistą odpowiedzialność wobec Boga za swą wiarę i swe uczynki - i w nowy sposób na nie odpowiadali - gdyż uznali, że na papieżu, kardynałach oraz Kościele katolickim jako gwarancji łączności z Bogiem polegać już nie można.

Identyczne pytanie nieuchronnie stawiała przed wierzącymi komunistami chruszczowska krytyka Stalina: by pojawiło się to pytanie, nie było trzeba krytyki systemu. I wielu komunistów na to nowe pytanie zaczęło też po nowemu odpowiadać. Sytuacja wierzących komunistów od samego początku jednak różni się zasadniczo od sytuacji wierzących chrześcijan: podstawowe

wartości wiary chrześcijańskiej człowiek może realizować we własnej duszy, może łączyć się z Bogiem w swym indywidualnym życiu, ale podstawowych wartości wiary komunistycznej nie można realizować bez transformacji stosunków ponadindywidualnych, społecznych, bez zmiany zewnętrznych warunków własnego, indywidualnego życia. Wierzący chrześcijanin zadowolony jest z własną duszą i swym sumieniem, może obejść się nawet bez Kościoła. Wierzący komunistą potrzebuje instrumentu przemian przerastającego jego samego - a więc nie obejdzie się bez partii.

Dla komunisty zatem sprawa osobistej odpowiedzialności za własne myśli i czyny, odpowiedzialności wobec "interesu klasy robotniczej" czy też wobec historii, od początku łączy się organicznie z problemem: jak zreformować "wypaczoną" partię? Bez partii jako takiej komunistą może obejść się albo za cenę wyrzeczenia się w istocie swej wiary, albo wtedy, gdy zdecyduje się głosić wiarę wyłącznie teoretycznie /być niezależnym marksistowskim, komunistycznym intelektualistą, który zadowolony jest z nadawaniem swym myślom postaci literackiej/. Wierzącemu komunistcie, który odrzuci obie te drogi, pozostaje już tylko jedna: problem osobistej odpowiedzialności za swoje myśli i uczynki rozwiązywać co prawda w nowy sposób, lecz jednocześnie łączyć go z zabiegami o takie zreformowanie partii, by w jej szeregach móc zgodnie ze swym rozumieniem własnej odpowiedzialności dążyć do osiągnięcia podstawowych celów i wartości swojej wiary.

W 1956 r. zacząłem dopiero domyślać się istnienia całego tego kompleksu zasadniczych problemów i bynajmniej go jeszcze dobrze nie rozumiałem. Zachwiana była już jednak moja dotychczasowa bez troska, wynikająca z przekonania, że jeśli robię to, czego żąda partia, to działam w "interesie klasy robotniczej" i nie ponoszę odpowiedzialności za ewentualne błędy, gdyż tę wobec historii ponosi partia. Teraz ta partia jednoznacznie pociągnęła do osobistej odpowiedzialności Stalina: sam ma ponosić odpowiedzialność. Ale co wobec tego ze mną? Czy może być inaczej?

Problem osobistej odpowiedzialności w 1956 r. uważałem za pierwszoplanowy również z racji mej specyficznej pozycji w zawodzie. Od jesieni 1955 r. zajmowałem stanowisko kierownika wydziału w Prokuraturze Generalnej w Pradze, na które zostałem mianowany jako obiecujący partyjny fachowiec z sowieckim wykształceniem. Na stanowisku tym nie miałem wprawdzie do czynienia z procesami politycznymi ani z polityką penitencjarną, gdyż wydział, którym kierowałem, zajmował się nadzorem nad przestrzeganiem praworządności w pracy organów administracji państwowej. Administracja ta jednak także była skutecznym instrumentem represji politycznych: na rozmaite sposoby preferowała lub dyskryminowała obywateli zależnie od ich postaw, jej organy zabierały ludziom mienie oraz mieszkania, na wsi komitety narodowe/x/ dokonywały przymusowej kolektywizacji itd. Również w tej dziedzinie było wtedy pod dostatkiem powodów, by zastanawiać się nad odpowiedzialnością za podejmowane decyzje. Ponadto prokuratura jako całość była w przeszłości jednym z ogniw maszyny terroru politycznego i problematyka niepraworządnych represji, procesów politycznych i mordów w majestacie prawa dosłownie wisiła w powietrzu.

Kto konkretnie jest u nas za te rzeczy odpowiedzialny? Było to pytanie, które wśród komunistów w tej instytucji, i skoro tylko zostali zaangażowani z chruszczowską krytyką "kultu jednostki", nie mogło pozostać bez odpowiedzi. Prokuratorem generalnym był wówczas V. Alesz, jeden z oskarżycieli na procesie R. Słanskiego. Główny oskarżyciel na tym procesie

/x/ Komitety narodowe - jednolite organy władzy i administracji państwowej, odpowiednik rad narodowych przed gierkowskiej reformy administracji w PRL.

sie, J. Urvalek, był prezesem Sądu Najwyższego. Zastępcą prokuratora generalnego do spraw karnych był E. Szvach, oskarżyciel z procesu Marii Szvermowej. W Słowacji prokuratora generalnego zastępował L. Geszo, oskarżyciel z procesu G. Husaka. W tej sytuacji pytanie o odpowiedzialność za "wypaczenia" i sprzeczne z praworządnością represje dalekie było od dyskusji akademickiej; oznaczało konflikt z tymi wysokimi dygnitarzami - oraz z jeszcze wyższymi, którzy mianowali ich na te stanowiska.

Na zebraniach partyjnych i poza zebraniem, gdy debatowaliśmy nad tą odpowiedzialnością, stopniowo odsłaniał się przede mną całkiem konkretny obraz strasznej rzeczywistości: tak, ci ludzie, i inni również, wiedzieli - albo mogli to bez trudu zrozumieć na podstawie tego, co wiedzieli - że posyłają do więzienia lub na śmierć ludzi, których wina nie została dowiedziona, była sporna, a także takich, których niewinność była oczywista. Lecz ich postawa była jednoznaczna: A bo to, oni są za to odpowiedzialni? Oni przecież wprowadzali w czyn rozkazy z góry, uchwały partii, wyraźne dyrektywy partyjnych dygnitarzy. Albo zatem winna jest "partia", albo w istocie nikt - po prostu "miały miejsce" łamanie praworządności i "wypaczenia". Była to ta sama logika, na jakiej budowali zazwyczaj swą obronę na procesach oskarżeni zbrodniarze hitlerowscy: oni wykonywali tylko rozkazy Wodza.

Pamiętam rozmowę z Aleszem, gdy dowiedziałem się, że na procesie Slanskiego oskarżyciele i oskarżeni uczyli się na pamięć swoich ról z taśmy magnetofonowej, a następnie w sądzie wygłaszali odpowiednie kwestie niczym w teatrze. Nie zaprzeczał, przeciwnie, bronił się tym: odpowiedziałny jest przecież ten, kto scenariusz napisał i wyreżyserował. Przyznałem, że on osobiście nie mógł całej sprawie zapobiec, ale spytałem, dlaczego zgodził się grać aktywną rolę w tej tragikomedii. Mógł przecież odmówić udziału, skoro wiedział, że to jedynie teatr, i gdy nie miał pojęcia, czy zeznania oskarżonych są prawdziwe i czy cokolwiek w ogóle dowiedziono.

- No cóż - odrzekł ten według konstytucji naczelny strażnik praworządności - teoretycznie było to wprawdzie możliwe, ale faktycznie oznaczałoby znalezienie się obok nich na ławie oskarżonych.

Strach o własną skórę także jest argumentem, choć z moralnego punktu widzenia nie może się ostać. Uznałem również to i spytałem, dlaczego więc, jeżeli tak to widział, nie spróbował jakoś tak się wykręcić, żeby nie narazić się na niebezpieczeństwo: mógłby np. sam zadać sobie jakąś ranę, która uniemożliwiłaby mu udział w procesie.

- Nie wpadło mi to do głowy - brzmiała odpowiedź.

W ciągu kilku miesięcy pracy w prokuraturze poznałem Alesza w różnych sytuacjach. Uważam, że nie był to osobnik bez charakteru, jak Urvalek, agent polityjny w aparacie wymiaru sprawiedliwości w południowych Czechach, skąd następnie policja polityczna wywindowała go, by odegrać swą główną rolę. Nie był też złym człowiekiem, jak Szvach, bezwzględny i upojony władzą karierowicz, pierwotnie "młody człowiek" od Bati/x/, który szybko stał się "rewolucjonistą" i jako "działacz robotniczy" został skierowany do prokuratury. Nie był także prymitywem, jak Geszo, indywiduum bez własnego oblicza, bez kręgosłupa, gotowe świadczyć wszelkie usługi swoim

/x/ "Młodzi ludzie od Bati" - uprzywilejowana grupa wykwalifikowanych robotników wielkiego koncernu obuwniczego w okresie międzywojennym. Założyciel firmy, Tomasz Bat'a, propagował solidaryzm społeczny i zapewniał swym pracownikom lepsze warunki pracy i zaspokajania potrzeb, niż inni przedsiębiorcy czechosłowaccy.

panom. Przed wojną Alesz był sędzią powiatowym; ten człowiek o mentalności małego urzędnika, na swój sposób przekonany o słuszności ideałów komunistycznych /które przed robotnikami i drobnymi urzędnikami otwierały drogę do "miejsc na górze"/, osobiście raczej ascetyczny, nie dążył do władzy dla swych osobistych korzyści, lecz kochał władzę jako środek pozwalający mu wznieść się ponad szarzyznę akt sądu powiatowego i stać się współtwórcą historii. Nie wątpię, że kiedyś, w sądzie powiatowym, sądził sumiennie i zgodnie z prawem, że wtedy odrzuciłby jako absurd pomysł, że sędzia albo prokurator może nauczyć się swej roli na pamięć ze scenariusza, który mu da ktoś inny.

Kiedy jednak naprawdę znalazł się w takiej sytuacji, chyba rzeczywiście nie wpadło mu do głowy, jak się wykręcić - lecz nie wpadło dlatego, że poważnie się nad tym nie zastanawiał. Prawdopodobnie bał się naprawdę. Bał się konsekwencji zewnętrznych, a nie swego sumienia, które kiedyś, dawno, jako prawnik chyba miał, ale utracił z chwilą, gdy zamiast wgłębiać się w akta zgodnie z prawem, zaczął "tworzyć historię". Tak więc wydając wyrok za kradzież kury poczuwał się kiedyś do odpowiedzialności, ale odpowiedzialność za jedenaście wyroków śmierci na "zdrajców ludzu, agentów imperializmu i antysocjalistycznych szkodników" lekką ręką przeniósł z siebie na "partię". Tutaj czuł się bezpieczny, tego się nie bał, nie wpadło mu do głowy, jak można się wykręcić, bo nie wpadło mu też zupełnie, że kiedyś ktoś mógłby pociągnąć go za to do odpowiedzialności jako za jego osobisty krok i czyn. Był to przecież krok w imię "wyższych celów"...

Czym więc różnił się od prokuratora czy sędziego w imię "wyższych celów" ideologii nazistowskiej /w którą tamten subiektywnie też wierzył/ wydającego wyroki w sądzie hitlerowskim? Tym, że zamiast w wyższość "rasy germańskiej", wierzył w "interes klasy robotniczej"? W atmosferze dyskusji o winie w prokuraturze w 1956 r. ta przeraźliwa analogia wciąż nasuwała mi się na myśl i choć usiłowałem zwalczyć ją w sobie różnymi argumentami ideologicznymi, nie mogłem uwolnić się od niej bez reszty. Było to dla mnie coś zupełnie nowego. Przecież o miesiąc wcześniej także wiedziałem o procesach politycznych - i sam dokonywałem ich oceny z punktu widzenia "wyższych interesów" walki klasowej, sam w taki sposób uzasadniałem to, co rodziło różne wątpliwości. Prawda, nowe było to, że teraz znałem więcej spraw zakulisowych i byłem świadom, że nie chodziło tu o normalny sąd. Ale przecież jeszcze trzy lata temu na seminarium w Moskwie sam twierdziłem, że nie są to "normalne sądy", że presumpcja niewinności tu nie obowiązuje, że w istocie sprawę rozstrzyga na swą odpowiedzialność partia. Nowym faktem, który spowodował tę zmianę, była koniec końców chruszczowowska krytyka Stalina. I sprawiła to, choć była prymitywna, choć bynajmniej nie była krytyką "systemu", choć normalną ludzką moralność wpuściła do polityki jedynie kuchennymi drzwiami, w wyniku pragmatycznej kalkulacji. W każdym bowiem razie wynikał z niej prosty fakt: nawet odpowiedzialność za Stalina nie spadnie na partię - odpowiedzialny jest on sam. Kto więc będzie odpowiadał za mnie?

Pozostawało jedno: starać się postępować tak, żebym sam mógł ponosić za to odpowiedzialność. W Prokuraturze Generalnej w Pradze nie było to wtedy - ani też nigdy później - łatwe. Obok prawa oficjalnego, publikowanego w Dzienniku Ustaw, w prokuraturze i sądzie obowiązywało jeszcze inne, w miejscowym żargonie nazywane "prawem powielaczowym": poufne i tajne dyrektywy, jak postępować w określonych kategoriach spraw. Otrzymywał je - niezależnie od znaczenia kwestii - albo każdy prokurator, albo kierownik wydziału, albo zastępca prokuratora generalnego. Dyrektywy te, dla prokuratury wydawane przez prokuratora generalnego, a dla sądów przez ministra sprawiedliwości albo prezesa Sądu Najwyższego, stanowiły bez owijania w bawełnę, co i jak robić. Dla mojego wydziału np. ustalono obowiązujące, że zażaleń obywateli na określone decyzje /pewne wypadki eksmisji, konfiskaty mienia,

kroki podejmowane przeciw "kułakom", a związane z odbieraniem im gruntów i inwentarza itd., itd./ w ogóle nie rozpatruje się merytorycznie i prokuratura oddała je jako bezzasadne. Pozwalało to łatwo załatwić setki spraw jednym zdaniem: prokuratura powiadamiała petenta, że "nie znalazła powodów" zmiany pierwotnej decyzji. Podpis i data. Ale czyj podpis? Zazwyczaj któregoś z referentów, lecz i wtedy pisano: "Kierownik Wydziału - w.z., XY". Czyli w gruncie rzeczy w moim imieniu. W niektórych zaś wypadkach, gdy referent sam już się wahał, przysyłał akta wprost do mnie z uzasadnieniem, że wobec "złożoności" albo "znaczenia" sprawy prosi mnie o decyzję osobistą. Gdyby chodziło tylko o znalezienie sobie alibi, mógłbym od czasu do czasu zrobić tak samo i przesłać wyżej. Ale i to jedynie wyjątkowe, a poza tym i tak nie uważałem, by było to najlepsze rozwiązanie.

W atmosferze, jaka wytworzyła się po XX zjeździe KPZS, ludzie, którzy w minionych latach ucierpieli wskutek łamania praworządności, zaczęli masowo domagać się naprawy krzywd i składali zażalenia. Trzymanie się "prawa powielaczowego" równałoby się wzięciu na siebie odpowiedzialności nie tylko za obojętny stosunek do losu poszczególnych osób, ale i za to, że nadal prowadzi się dawną politykę, teraz powszechnie krytykowaną. Prokurator generalny nie chciał odwołać swych poleceń oraz tajnych dyrektyw, dopóki nie będzie w tej sprawie odpowiedniej uchwały organów partyjnych, kiedyś bowiem dyrektywy te opracowano i wydano także na podstawie uchwał partii. Chodziło przeważnie o różne kampanie związane z "zaostrzeniem się walki klasowej" - wszyscy wiedzieli, że z punktu widzenia obowiązujących ustaw podczas takich kampanii działy się rzeczy nie mające z prawem nic wspólnego. Pozostawała mi więc jedyna droga: udowodnić, że w konkretnych wypadkach występują problemy polityczne, które po XX zjeździe KPZS muszą być rozwiązane, doprowadzić stopniowo do odwołania dyrektyw, które to uniemożliwiają, a następnie przystąpić do rzeczowego i zgodnego z prawem rozpatrzenia zażaleń obywateli i naprawić, co się da.

Zdawało mi się, że rozpocząć najlepiej będzie od tzw. "akcji B"/x/, podczas której na początku lat pięćdziesiątych w Pradze, /a następnie również w Brnie, Pilźnie i innych miastach okręgowych/ usunięto wiele setek osób z ich mieszkań; "w interesie społecznym" mieszkania były konfiskowane, a ich użytkownicy przesiedlani do wiosek na pograniczu, do rozpadających się chałup, opuszczonych przez wysiedlonych Niemców. W ramach tejże "akcji B" w okolicach Pragi konfiskowano także domki kempingowe i wille. Właściciele mieszkań i domków uznano za "elementy wrogie klasowo", cała zaś akcja została później uzasadniona "interesem społeczeństwa i państwa" oraz "potrzebami klasy robotniczej". Niepraworządność tego proceduru była oczywista, a w wielu konkretnych wypadkach budził też oburzenie sposób przeprowadzenia akcji. Liczba poszkodowanych była ograniczona, w porównaniu z innymi problemami /np. kolektywizacją wsi/ nie była to wielka sprawa. Z biegiem czasu niektóre z tych wypadków de facto same się rozwiązały: ludzie starsi umarli, u młodszych uległa zmianie sytuacja rodzinna, po zawarciu małżeństwa osiedli na stałe gdzie indziej itp. Ci, którzy wnosili zażalenia, często nie domagali się nawet zwrócenia dawnych mieszkań, lecz tylko jakiegoś rozsądnego załatwienia sprawy: uwolnienia ich od piętna "wrogów klasowych" i położenia kresu przymusowemu faktycznie pobytowi we wsiach na pograniczu. Takie rozwiązanie nie było niemożliwe.

Zgromadziłem dostępny materiał w tej sprawie. Wynikało z niego wyraźnie, że ani jednego z mieszkań skonfiskowanych "w interesie klasy robotniczej" nie otrzymał robotnik. "szystkie zostały przydzielone oficerom

/x/ Akcje B - od słowa "byt", czyli "mieszkanie".

wojska i bezpieki, częściowo też pracownikom aparatu KPCz i innych aparatów politycznych. Domki wypoczynkowe i wille zabrali KC KPCz który częścią z nich dzielił się z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Poza tym z "klasowego punktu widzenia" dawni właściciele mieszkań bynajmniej nie należeli do burżuazji: wielką ich część stanowili ludzie z warstw średnich, lekarze, adwokaci, urzędnicy. W rzeczywistości wybierając ofiary główną uwagę zwracano na jakość mieszkań, a nie "klasową" jakość ich właścicieli.

Z dokumentami i propozycją, jak rzecz załatwić, udałem się do przewodniczącego Komisji Kontroli Partyjnej, Jana Harusa, do Komitetu Centralnego. Nie był przeciw, ale nie był też za. Zrobił mi wykład o walce klasowej i obiecał całą sprawę rozpatrzyć. Rezultat? Do jesieni 1956 r. żaden, a po interwencji sowieckiej na Węgrzech - oskarżenie, że "sprzyjam wrogowi klasowemu". Wtedy nie stawiane otwarcie, rozgłoszone zostało dopiero po usunięciu mnie z KPCz w 1970 r., a następnie raz jeszcze, gdy w 1977 r. podpisałem "Kartę 77".

Tymczasem zresztą trzeba było rozwiązywać szereg konkretnych spraw innego charakteru. W instrukcjach i okólnikach, które na swym odcinku sam wydawałem dla prokuratur okręgowych i powiatowych, starałem się ustalić taką linię postępowania, która wprawdzie niczego radykalnie nie naruszała, ale zobowiązywała do ścisłego przestrzegania obowiązujących norm prawnych. Już samo to przecież było dla ówczesnych powiatowych dygnitarzy prawdziwą rewolucją. Korzystając z przysługujących mi uprawnień złożyłem także kilka protestów przeciw decyzjom ministerstw, co było do tego czasu niby teoretycznie możliwe, ale czego prokuratura nigdy nie robiła. Stopniowo zauważyłem, jak okrężnymi drogami, poprzez aparat partyjny, organizuje się opór przeciw takim tym poczynaniom. Ale panująca powszechnie atmosfera niepewności biurokracji partyjnej po XX zjeździe KPZS i moje "moskiewskie wykształcenie" sprawiały, że udawało mi się unikać poważniejszych konfliktów. Aż wreszcie dopuściłem się rzeczy tak niesłychanej, że ten numer przejść już nie mógł.

Ówczesny minister spraw wewnętrznych, Rudolf Barak, wtedy także członek politbiura partii i najbardziej bodaj zaraz po Nowotnym wpływowo funkcjonariusz, w ciągu godziny wylał z pracy jednego z pracowników ministerstwa, z sektora na ogół bardzo niepopularnego, z cenzury prasowej. Powodem był jakiś zatarg o charakterze osobistym. Poszkodowany zjawił się u mnie w dniu przyjęć z zeznaniem - i stwierdziłem, że postępowanie Baraka było w najwyższym stopniu niepraworządne. Zdając sobie sprawę z wyjątkowej pozycji Baraka, chciałem unikać sądu, rozstrzygnąć sprawę bez skandalu, metodami raczej gabinetowymi - i wysłałem do Baraka protest prokuratorski; pozwalało to załatwić wszystko w cichości.

Mniej więcej w trzy dni później rozszalała się burza z piorunami. Barak zatelefonował do prokuratora generalnego, że chyba zaszczyt jakieś nieporozumienie, że jego podwładni wtrącają się w kompetencje ministra i że on żąda, by prokurator zrobił z tym porządek. Oczywiście prokurator generalny uniżenie na to obiecał. Mnie wesała jego zastępca: nawet całkiem przyjaźnie starał się mi wytłumaczyć, jakiego dopuściłem się nietaktu, i powiedział, że wszystko wroci do normy, gdy wycofam mój protest. Wywiązała się dyskusja, a następnie sprzeczka, gdyż odmówiłem. I o dziwo: moi przełożeni mogli unieważnić mój protest swoją własną, podpisaną decyzją - ale na to także nie mieli chęci. Dla nich bowiem też było jasne, że postępek Baraka był jawnie niepraworządny. Obrali inną drogę: kazali mi wycofać protest. W ustawie o prokuraturze znajduje się jednak postanowienie, że prokurator może odmówić wykonania polecenia przełożonego, jeśli treść tego polecenia jest sprzeczna z prawem. Skorzystałem z tego paragrafu i powołując się na niego odmówiłem posłuszeństwa.

Coś takiego zdarzało się przez cały czas istnienia prokuratury zupełnie wyjątkowo i zawsze pociągało za sobą jakieś konsekwencje. Ostatecz-

nie zastępca prokuratora generalnego, J. David, sam unieważnił mój protest - ale i ja, i moi przełożeni wiedzieliśmy, że na tym się nie skończy.

Barak był wprawdzie zadowolony, lecz jego zadowolenie nie trwało długo: w pięć lat później popadł w konflikt z Novotnym, który podejrzewał go o próbę puczu w kierownictwie partii. Barak szukał oparcia w Moskwie, ale mimo swoich stosunków w tamtejszej bezpiece przegrał: Chruszczow pozostawił w tej sprawie Novotnemu wolną rękę i Novotny kazał wytoczyć Barakowi proces o "nadużywanie stanowiska". Oskarżycielem był główny prokurator wojskowy, J. Samek, jeden z zastępców prokuratora generalnego w okresie mej utarczki z Barakiem. Gdy czytałem o procesie w gazecie, ciekawiło mnie, czy Barak przystając przed panem głównym prokuratorem wojskowym pamiętał, w jakim poszanowaniu prawa wybhowywał prokuratorę. Okazję zapytania go o to miałem jednak dopiero w 1968 r., kiedy wypuszczony z więzienia Barak wyjednał sobie audiencję u mnie jako u sekretarza KC KPCz. Nabrał różnych życiowych mądrości - i niektórymi dzielił się ze mną; główną jego radą było, żeby mając funkcję partyjną nigdy nie wdawał się w nic z naszą smi sowiecką bezpieką.

- Jaką ja miałem z nimi sztamę - żalił się mój gość - a popatrz tylko; jak na tym wyszedłem!

Ale przygody z 1956 r. w ogóle nie mógł sobie przypomnieć. Tak więc nad tym, co tak mnie ciekawiło, mimo wszystko chyba nigdy się nie zastanawiał.

Moje problemy w Prokuraturze Generalnej ostatecznie pomogli rozwiązać ci, z którymi popadłem w konflikt: kierownictwo prokuratury i aparat KC KPCz chętnie przystały na moją propozycję, że sprawę można załatwić przez moje odejście z tej pracy. Choć na zebraniu partyjnym K. Innemann, kierownik wydziału KC KPCz, stawiał wniosek, żeby najpierw wykluczyć mnie z partii wraz z kilkoma innymi rebeliantami, ostatecznie sprawa zakończyła się kompromisowo. Otrzymałem opinię, w której napisano, że nie mając doświadczenia nie rozumiąłem sytuacji klasowej w Czechosłowacji i dopuszczałem się "mechanicznego przenoszenia doświadczeń sowieckich". Poza tym jednak zwolniono mnie z tym, że mogę podjąć pracę w Instytucie Państwa i Prawa Czechosłowackiej Akademii Nauk i zajmować się teorią.

Pracę w akademii rozpocząłem 15 października 1956 r. W trzy tygodnie później Armia Sowiecka dokonała interwencji przeciw "kontrrewolucji" w Budapeszcie. Już przedtem, podczas polskiego "Października", w rezultacie którego na czele polskiej partii stanął rewolucyjnie krytyczny wtedy, antystalinowski Gomułka, stosunki w Czechosłowacji zaostrzyły się. Po wydarzeniach zaś na Węgrzech szybko nastąpiła wyraźna ofensywa wszystkich sił w KPCz, które obawiały się jakiegokolwiek krytyki stalinizmu, gdyż z nim wiązały się ich pozycje. W partii rozpoczęły się represje przeciwko wielu komunistom, którzy w ciągu kilku poprzednich miesięcy szczególnie bojowo krytykowali istniejące stosunki i domagali się zmian. W Prokuraturze Generalnej również rozpędzono krytykującą opozycję w tamtejszej organizacji partyjnej. Przeciw jednemu prokuratorowi wszczęto nawet postępowanie karne za wypowiedzi, którymi na zebraniu organizacji KPCz miał dopuścić się "szkalowania sojuszniczego państwa", tj. Związku Sowieckiego. Poniektórzy gorliwcy w prokuraturze i w aparacie KC KPCz usiłowali już po moim odejściu dobrać się także do mnie i chcieli, żeby zwolniono mnie z akademii nauk. Istniała jednak wystawiona mi opinia organów partyjnych, licząca sobie ledwie miesiąc, a poza tym w akademii pracowało wtedy sporo ludzi, którzy w poprzednich miesiącach dopuścili się wypowiedzi o wiele bardziej heretyckich niż ja, i to jeszcze publicznie, w druku. Przepływałem więc przez te rafy i w akademii nauk przepracowałem dwanaście lat - aż do "Praskiej Wiosny" w 1968 r.

Salwy na ulicach Budapesztu i interwencja Armii Sowieckiej na Węgrzech były oczywiście na rękę tym siłom w KPCz, które chciały zahamować napór krytyki, utrzymać status quo, a tym samym również pozostać przy władzy. Jednak pacyfikacja tendencji krytycznych w KPCz wynikała nie tylko z represji rozpętanych przez te siły. W różnych wspomnieniach i szkicach napisanych przez byłych komunistów z reguły pominięto milczeniem /lub przynajmniej nie wypuklono dostatecznie wyraźnie/ nader istotną okoliczność, która pod koniec 1956 r. umożliwiła zahamowanie rozwoju krytyki w KPCz: my, komuniści, byliśmy wtedy w strachu.

Nie wiem oczywiście, w jakim stopniu odnosi się to do konkretnych osób, które później reprezentowały czasami w KPCz prąd komunizmu reformistycznego, ale ja osobiście kłamałbym, gdybym dziś twierdził, że z tzw. wydarzeń węgierskich interesowały mnie wtedy wyłącznie ogólne problemy polityczne i ideologiczne. Prócz tych problemów bowiem miałem też przed oczami konkretny obraz tłumu linczującego komunistów i wieszającego ich na latarniach. A z ówczesnych rozmów z bardzo wielu komunistami z różnych pokoleń pamiętam, że oni myśleli o tym samym. Był to istotny czynnik, który pomógł Novotnemu spacyfikować falę krytyki w KPCz, wywołaną przez referat Chruszczowa.

Ze wszystkich ocen rewolty węgierskiej na mnie osobiście najsilniejsze wrażenie wywarła rozpowszechniana w Pradze nielegalnie ocena Edvarda Kardaľja. Zachęciła mnie nawet do podjęcia nauki serbsko-choiwockiego. W sferze teorii wywarła na mnie wielki wpływ, zdawało mi się, że ktoś formułuje tu szereg myśli, które przecież nachodzą również mnie, których jednak nie tylko nie umiem, ale właściwie nawet nie ośmielałem się sformułować i dopytać do końca. Ponieważ tu do dotychczasowej chruszczowowskiej krytyki "kultu jednostki" doszły właśnie istotne elementy krytyki systemu i to krytyki z pozycji ideologicznej wiary komunistycznej. Choć jednak teoria była oczarowana, mimo wszystko w praktyce nie wydawało mi się prawdopodobne, że gdyby akurat teraz po ulicach Pragi zaczęły krążyć uzbrojone tłumy, to wołałyby "Całą władzę w ręce samorządu robotniczego!". Za bardziej prawdopodobne uważałem, że gdyby wszyscy ci petenci, którzy latami dostawali od prokuratur, sądów oraz urzędów państwowych i partyjnych papierki informujące, że "nie ma podstaw do rewizji wydanej już decyzji", skrzyknęli się i uzbroili, to ruszyliby na gmachy tych instytucji i z ich okien powyrzucaliby nie tylko akta.

Problem osobistej odpowiedzialności przybrał nowy kształt poczucia odpowiedzialności zbiorowej, czy raczej osobistej współwiny, i to współwiny za przeszłość jako całość. Staranne rozważanie wielkości przewin indywidualnych w grę nie wchodziło: tłum nigdy czymś takim się nie zajmuje, nawet nie może, choćby chciał - a nigdy nie chce. I my, komuniści, mieliśmy wtedy to budzące strach poczucie współwiny. Po euforii poprzednich miesięcy był to oczywiście bezkłopotny zimny tusz - miałem przyznać, że uczucie strachu w istocie znów zliżę do tych, którymi pogardzałem. Była to prawda. Karel Kuehnl, jeden z moich kolegów jeszcze z czasów najszej odzieżowej, sekcjarskiej działalności w Związku Młodzieży, za radykalną krytykę stalinizmu usunięty z KPCz już jesienią 1956 r., zastanawiał się wtedy:

- Ale co mam począć, kiedy przyjdą z ulicy, żeby powywieszać komunistów? Że już nie jestem komunistą? Im będzie wszystko jedno, jeszcze miesiąc temu nim byłem. A mój sąsiad drzwii we drzwii to stalinowska kurwa! Nie chcę przecież wisieć z nim na tym samym drzewie, więc muszę im powiedzieć: Dobra, panowie, ale proszę o jedno drzewo dalej od tego pana!

I myślę także po latach, że dobrze pokazywało to, jak małe znaczenie miało w 1956 r. zróżnicowanie w partii wśród jednolitych przedtem stalinowców dla bardzo wielu ludzi, którzy nigdy stalinowcami nie byli i dla

których to, co dla nas było niedawnym odkryciem, stanowiło życiową tragedię.

Ulice Pragi i innych miast czecchosłowackich pozostały jednak ciche i spokojne. Kierownictwo partii odzyskało dawną pewność siebie, też stało się spokojniejsze. Społeczeństwo czecchosłowackie i KPCz wkroczyły w ten sposób w dziesięciolecie na pozór spokojnego rozwoju, który jednakże właśnie dzięki temu pozwolił, żeby kryjące się ze swoim krytycyzmem elementy reformistyczne również wewnątrz partii wystąpiły wreszcie w okresie "Praskiej Wiosny", w 1968 r., jako wielka, zorganizowana siła ze stosunkowo przemysłaną koncepcją doniosłych zmian. Siła ta już nie bała się i nie musiała się bać tłumu linczującego na ulicy komunistów. Ale ciekawe, że ludzie, którzy także w okresie "Praskiej Wiosny" przeciwni byli demokratycznej reformie, systematycznie starali się ożywić ten właśnie strach z 1956 r. i ponownie wyzyskać go na swą korzyść - oraz że o to samo po interwencji zbrojnej z sierpnia 1968 r. starali się i sami interwencji, i ich krajowi sojusznicy. Świadczy to, że ci "realni socjaliści" rzeczywiście realnie wiedzieli co w 1956 r. grało istotną rolę w zdławieniu nurtów krytycznych w partii komunistycznej.

Ja sam pod koniec 1956 r., po wszystkich tych przeżyciach, czułem się niezdolny do dalszej aktywności partyjnej. Zbyt wiele elementów mej pierwotnej wiary komunistycznej legło za jednym zamachem w gruzach, sam nie wiedziałem, co z tej wiary właściwie powinno i w ogóle może być zachowane. Koniec końców moja aktywność polityczna zawsze wynikała jedynie z poglądów ideologicznych, było więc nieuniknioną konsekwencją, że teraz nie mogłem się na nią zdobyć. Ponadto byłem w sytuacji partyjniaka, który ledwo ledwo uniknął kary partyjnej, i w partii nie pozostawało mi nic innego, jak siedzieć cicho. Znalazłem się w nowym, niezwykłym środowisku pracy, jako aspirant stałem w instytucie akademii nauk na najniższym szczeblu - i miałem być teoretykiem, pracownikiem badawczym, tj. wykonywać pracę, którą się nigdy nie zajmowałem.

Wszystkie te na pozór niepomysłne okoliczności ostatecznie pozwoliły mi jednak znaleźć najlepsze możliwe wyjście z sytuacji: mogłem po prostu zacząć dalej studiować. Ścisłej mówiąc, mogłem zacząć i po raz pierwszy w życiu zacząłem systematycznie i zgodnie z własnymi zainteresowaniami zajmować się literaturą, której przedtem nigdy nie studiowałem, a która wiązała się bezpośrednio z głównym problemem mojego życia - z polityką i ideologią. Miałem przed sobą trzy lata, kiedy jedynym moim zadaniem było zdanie kilku egzaminów oraz napisanie rozprawy i obronienie tytułu kandydata nauk prawnych w zakresie ogólnej teorii państwa i prawa, którą to dziedzinę sobie wybrałem.

Rychło się przekonałem, że jak mizerne wiadomości w wielu dziedzinach dawał wydział prawa Uniwersytetu Moskiewskiego, nastawiony na przygotowanie wykwalifikowanych biurokratów. Dopiero teraz, mając dwadzieścia sześć lat, pierwszy raz czytałem autorów przedmarksowskich, klasyków nauk politycznych, Platona, Arystotelesa i Machiavallego, utopie społeczne More'a, Campanelli i innych, dzieła ideologów rewolucji burżuazyjnych oraz ich prekursorów - Hobbesa, Locke'a, Montesquieu, Rousseau. Dowiadywałem się dopiero o koncepcjach niemarksistowskich, o poglądach Maxa Webera i Gaetana Moski, o teoriach prawnych szkoły normatywnej, o socjologii prawa i właściwie o literaturze socjologicznej w ogóle. Również sam marksizm ukazał mi się nagle w innym świetle, niż wynikało to z wyboru literatury marksistowskiej na Uniwersytecie Moskiewskim. Wybór ten był co prawda obszerny - od "Kapitału" i wszystkich głównych prac Marksa, Engelsa i Lenina po dzieła Stalina - ale mimo wszystko był solidnie ocenzurowany: brakowało w nim prac Marksa z wczesnego okresu, nawet mowy nie było o Gramscim ani Róży Luksemburg, a jedynie czytając słowa krytyki i stek wyzwisk, jakimi Lenin obrzucał tych działaczy, studenci dowiadywali się nie tylko o socjaldemokratach - Kautskim, Hilferdingu i Bernsteinie, ale

również o niektórych bolszewikach, o Trockim czy Bucharinie.

Toteż dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych przestudiowałem i poznałem to, z czym uniwersytet typu marksistowskiego powinien by zaznajomić swoich studentów w zakresie nauk państwowoprawnych. Znaczenie tych lektur nie ograniczało się jednak dla mnie do doskonalenia się w zawodzie. Platona i Machiavellego, młodego Marksa i Gramsciego czytałem nie tylko jako literaturę stanowiącą składnik wykształcenia akademickiego - zagłębiałem się w nich z wielkim osobistym zainteresowaniem, szukając odpowiedzi lub podnet do rozwiązania problemów, które dla mnie wciąż były najważniejsze - politycznych problemów współczesności. Autorzy starożytni i z czasów niezbyt odległych, marksieści i niemarksieści pomagali mi zrekonstruować, przetworzyć mój własny pogląd na świat. Dawny system ideologii stalinowskiej był rozbity. Na jego gruzach zaczęło wyrastać przekonanie, że marksizm jest racjonalną, pełną wewnętrznych sprzeczności i nie zamkniętą teorią rozwoju społecznego, bynajmniej nie tożsamą z ideologią polityczną, działającą praktycznie w ruchu komunistycznym.

Jednakże w miarę jak przetwarzałem się mój osobisty światopogląd, odradzała się również zdolność i chęć aktywnego udziału w życiu politycznym. Kiedyś, zaraz po wojnie, była żywiołowa: sama epoka wciągnęła mnie do polityki. Swą stalinowską wiarę i aktywność uważałem wtedy w istocie nie tyle za politykę, ile za udział w rewolucyjnym tworzeniu dziejów, tworzeniu nowego świata. W 1959 r., gdy powtórnie wkroczałem na grunt praktyki politycznej, przedstawiało mi się to już zupełnie inaczej. Był to krok w pełni świadomy, decyzja przemyślana. I wiedziałem też, że wkroczałem w świat polityki, w którym obowiązują ściśle określone stosunki, warunki oraz prawa, których nie mogę ignorować, przeciwnie, muszę respektować je, jeżeli chcę coś zdziałać. Wiedziałem, że wiążą się z tym również problemy ludzkiej moralności i że było tak w polityce zawsze.

Jak przedstawiały się moje poglądy w okresie, kiedy podjąłem tę decyzję? Omówię je bardziej szczegółowo, bo pozwoli to lepiej zrozumieć wiele z moich postaw politycznych i poczynań w latach późniejszych, włącznie z "Praską Wiosną" 1968 r.

x x x

Po 1956 r. ci komuniści, którzy początkowo mieli poglądy stalinowskie, ale umieli myśleć, weszli w stadium rozwoju otwierające drogę do tzw. komunizmu reformistycznego. Podstawowym problemem było dla nich, co właściwie Marks /ewentualnie Engels i Lenin/ napisał naprawdę. Studiując literaturę marksistowską dowiedzieli się oczywiście, że wiele myśli Marksa, a częściowo również Lenina pozostaje w zasadniczej sprzeczności z wykładem marksizmu w wykonaniu oficjalnych partyjnych interpretatorów. Na czoło zainteresowań komunistów reformistycznych wysunęły się przede wszystkim humanizm Marksa oraz jego zainteresowanie wolnością i w ogóle emancypacją człowieka - dla których walka klasowa była tylko niezbędnym środkiem, ale nie celem. Logiczną konsekwencją było przeciwstawianie przez krytycznie myślących komunistów Marksa /ewentualnie również Lenina/ ideologii oficjalnej i upatrywanie głównego problemu w tym, że ideologia ta odeszła od pierwotnej myśli Marksa, stając się w rezultacie nie obiektywnym poznaniem naukowym, lecz fałszywą świadomością ideologiczną. Punktem wyjścia krytyki w tym stadium rozwoju komunizmu reformistycznego była kontrapozycja nauki i ideologii w relacji obydwu do prawdy obiektywnej.

W zasadzie też zajmowałem wtedy tę postawę, ale stopniowo przeszedłem w polityce na inne stanowisko. Taka postawa w istocie umożliwiała tylko akademicką, teoretyczną krytykę i działalność: tak ujmowany marksizm nieuchronnie stawał się sprawą wyłącznie intelektualistów, zamykał się w bibliotekach, mógł być głoszony z katedr i na łamach fachowych czasopism, ale nie mógł zastąpić dotychczasowej świadomości ideologicznej w całej partii,

nie mógł wyrugować koncepcji stalinowskich z głów setek tysięcy wierzących, o ideologicznie komunistów. Humanistyczna interpretacja Marksa była bowiem trudną, abstrakcyjną koncepcją teoretyczną, dla olbrzymiej większości komunistów w praktyce politycznej mało zrozumiałą i bardzo odległą od ich konkretnych problemów. Od teorii oczekiwali oni, że będzie "wytyczną działania", tej zaś teoretycy marksistowskiego humanizmu nie potrafili dostarczyć - poddali wprawdzie przekonywającej krytyce wytyczną dotychczasową, stalinowską, ale nie umieli dać komunistom praktykom innej, wytyczną, którą rozumiałej i konkretnej.

W odróżnieniu od niektórych reformistycznych komunistów reprezentujących różne dziedziny nauk społecznych, którzy nie angażowali się bezpośrednio w politykę partii, pod koniec lat pięćdziesiątych reprezentowałem zatem pogląd, że sprzeczności między teorią marksistowską /jako narzędziem do prawdziwego poznania obiektywnej rzeczywistości/ a ideologią komunistyczną /jako wytyczną działania w praktyce politycznej/ nie można rozstrzygnąć po prostu przez odrzucenie ideologii jako świadomości fałszywej, dającej obraz wypaczony, a więc niepotrzebnej. Byłem przekonany, że w interesie nowej polityki trzeba przekształcić dotychczasową świadomość polityczną, zastąpić ją świadomością inną, też ideologiczną. Ta nowa ideologia nie może być utożsamiana z teorią naukową, ona także będzie się od niej różnić - i to upraszczając, w imię celu politycznego dając fałszywy obraz skomplikowanej rzeczywistości. Obraz ten nie powinien jednak być tak fałszowany, żeby całkowicie uniemożliwiało to poznanie prawdy w samej teorii, a w praktyce wspierało siły chcące zapobiec jej poznaniu.

Studia nad przedmarksowskimi teoriami politycznymi, zwłaszcza rewolucyjnymi, doprowadziły mnie do przekonania, że taka rozbieżność między teorią a ideologią istniała zawsze - i nigdy nie usuwano jej przez rezygnację z ideologii, gdyż jest to praktycznie niemożliwe. Teorie Locke'a, Montesquieu i Rousseau były owocem racjonalnego myślenia, w swoich czasach były koncepcjami odpowiadającymi ówczesnej naukowej wiedzy o społeczeństwie. Ideologia, która opanowała umysł Robespierre'a oraz dominowała w nastrojach "stanu trzeciego" i paryskiego ludu w okresie rewolucji, w niektórych punktach wyrastała z tych koncepcji, ale na ogół przetwarzała je nie do poznania: robespierreowski kult religijny Rozumu i praktyczny kult gilotyny odgrywały w tej ideologii ważniejszą rolę, niż koncepcje Rousseau na temat demokratycznego kształtowania "woli ogółu".

Dzieło ideowe Rousseau nie zanikło jeszcze z tego powodu dla potomnych, lecz rzeczywisty rozwój myśli politycznej nie poszedł przecież drogą, jaka wynikałaby z powrotu do "autentycznego" Rousseau.

Generałowie napoleońscy już dzieła Jana Jakuba nie czytali zupełnie, a przecież ostatecznie to oni właśnie utrwalali rzeczywiste następstwa przewrotu społecznego, któremu dzieła te dostarczyły pierwszej koncepcji teoretycznej. Ci, którzy później chcieli pojąć dalej nie tylko w zakresie myśli politycznej, ale także w politycznej praktyce, musieli przede wszystkim reagować na owe rzeczywiste następstwa rewolucji, nie ograniczając się do odkurzania ich dawnej podstawy ideowej.

Dlaczego tak się dzieje? Nie dlatego, że rewolucyjny lud i jego przywódcy polityczni chcą reformować idee, ale dlatego, że chcą je urzeczywistnić. Na skutek tego same idee zmieniają formę swego istnienia: Marks mówił o tym jako o stanie, kiedy idee stają się siłą materialną, ponieważ opanowała masy. Masy i ich przywódcy polityczni jednak nieuniknieni traktują idee jako narzędzia służące im do osiągnięcia swych celów, podporządkowują je swym potrzebom. Nie jest przy tym istotne, czy poznane obiektywną prawdę o społeczeństwie; największe znaczenie ma to, czy dane idee mogą jednoczyć i organizować ludzi w ich politycznym działaniu. Przede wszystkim ta organizatorska, integracyjna funkcja idei decyduje, które idee oraz w jakiej wzajemnej hierarchii i logice złożą się na masową

ideologię polityczną, które zaś zejdą na dalszy plan lub całkowicie znikną z gmachu ideologii. Mogą to być idee wartościowe, niezbędne dla uzyskania prawdziwego obrazu rzeczywistości, ale nie pasujące do celów politycznych i organizatorskich. Tak więc np. racjonalny sceptycyzm naukowy już z góry można uznać za niepotrzebny tam wszędzie, gdzie funkcję mobilizującą, organizatorską lepiej spełni fanatyczna wiara oparta na emocjach, nie na poznaniu. W procesie przekształcania się teorii w ideologię momenty względności i sceptycyzmu są spychane na dalszy plan, a przeważnie giną w ogóle - zastępują je zaś momenty absolutyzacji i wiary. Ludzie dostosowują teorię do swoich potrzeb ekonomicznych, społecznych i politycznych. Jest to zresztą nieunikniona cena, jaką idee płaćą za to, że stają się siłą materialną, upostaciowaną w masowych ruchach społecznych.

Zastanawiając się pod koniec lat pięćdziesiątych nad stosunkiem między teorią Marksa a ideologią funkcjonującą w partiach komunistycznych, nie mogłem ustrzec się przed wrażeniem, że jest on bardzo podobny i że problemu dalszego rozwoju polityki komunistycznej także nie można rozwiązać powrotem do "autentycznego" Marksa /niezależnie od tego, że jest nader problematyczne, co właściwie w polityce można przez to rozumieć: w samych dziełach Marksa występują sprzeczne stanowiska wobec pewnych poważnych kwestii, związanych z jego wizją procesów ekonomicznych, społecznych i politycznych w okresie "przechodzenia od kapitalizmu do komunizmu"/. Byłem przekonany, że komuniści nadal będą wyznawać ideologię ukształtowaną pod wpływem ich interesów politycznych, a nie możliwie najobiektywniejszych, naukowych twierdzeń teoretycznych. I że dlatego oprócz teorii trzeba mieć nową racjonalną ideologię, która będzie udzielać odpowiedzi na szereg aktualnych problemów społecznych i politycznych, odpowiedzi możliwych do pogodzenia zarówno z interesami politycznymi komunistów, jak i z potrzebami społeczeństwa.

Sądzę, że wielu reformistycznych komunistów doszło do wniosku, iż wyznawanej faktycznie ideologii i związanej z nią działalności politycznej całej partii nie wystarcza potępić z pozycji "autentycznego marksizmu", lecz że trzeba realnie zmieniać ją i reformować. W KPCz od końca lat pięćdziesiątych uważała tak znaczna część funkcjonariuszy i członków na różnych odcinkach pracy politycznej, nie tylko zajmujących się teorią. Tym, co skłaniało do takiego poglądu, dla olbrzymiej większości z nich nie były jednak głębsze rozważania teoretyczne i ideologiczne, lecz ich codzienne doświadczenia praktyczne: oceniane racjonalnie, empirycznie i pragmatycznie, te doświadczenia, zdobyte w produkcji, w administracji państwowej, w dziedzinie zabezpieczenia socjalnego i wszędzie indziej, wciąż dowodziły, że rzeczywistość jest zasadniczo inna, niż jej stalinowski obraz ideologiczny - wywoływały więc potrzebę dostosowania obrazu ideologicznego do rzeczywistości.

Myślący w ten sposób komuniści reformistyczni stanowili przy tym swego rodzaju miłą niespodzianką również dla niekomunistów, tj. dla ogromnej większości obywateli Czechosłowacji. Większość ta w rozważaniach tych komunistów występowała już jako czynnik, którego interesy i potrzeby trzeba brać pod uwagę. Komuniści reformistyczni nieuniknienie dochodzili do myśli o takim systemie władzy, w którym mogłyby dojść do głosu również interesy innych grup ludności. Przeważnie jednak tym, co decydowało o słuszności lub niesłuszności wszelkich posunięć politycznych, także dla tych komunistów, pozostawał ich własny, zreformowany ideologiczny system wyobrażeń, hipotez i wartości oraz odpowiadająca mu logika. Nadal też wszelkie interesy ludzi pozostających poza organizmem partii komunistycznej, o ile nie wchodziły w ten system ideologiczny i nie miały w nim określonego miejsca, uważano za nieprzyjemny i w zasadzie niepożądany "nacisk na partię" - częstokroć uznawano za tendencje "niesocjalistyczne", sprzeczne z interesami społeczeństwa. Nawet więc w ówczesnych koncepcjach komunistów reformi-

stycznych prawo decydowania, co leży w interesie społeczeństwa, przysługiwało nie samemu temu społeczeństwu, lecz tylko partii komunistycznej i jej ideologii.

Z punktu widzenia demokracji politycznej również komunizm reformistyczny lat sześćdziesiątych był więc tendencją wciąż jeszcze demokrację tę znacznie ograniczającą. Ale z punktu widzenia realnej ewolucji istniejącego systemu totalitarnej dyktatury był główną siłą, która ten system osłabiała i torowała drogę do demokracji. Nie będąc jeszcze praktycznym rozwiązaniem, prowadził jednak do znalezienia takiego rozwiązania.

Dla komunistów reformistycznych pozostaje głównym problemem, w jaki sposób ich partia i ich ideologia powinny wyzbyć się swoich błędów i należycie "wyrzącać potrzeby całego społeczeństwa". Myśl, że rozwiązanie mogłoby znaleźć samo społeczeństwo, nie przejmując się ich systemem ideologicznym i ich partią, wydaje się im w istocie nie do przyjęcia, gdyż nadal żyją w wierze, iż ich ideologia i partia mimo wszystko lepiej wyraża "rzeczywiste, historyczne i obiektywne" interesy klasy robotniczej oraz całego społeczeństwa, niż jakakolwiek inna ideologia lub inna partia.

Z punktu widzenia człowieka, który sam nie podziela komunistycznej wiary ideologicznej, również komuniści reformistyczni pozostają więc stale zamknięci w jej błędnym kole. Jednakże dla wierzących komunistów komunizm reformistyczny jest siłą rzeczy jedyną drogą, którą mogą się z tego koła wydostać: sam wprowadzić jeszcze go nie likwiduje, tworzy jednak dla swoich zwolenników sytuację, w której stopniowo zaczynają zdawać sobie sprawę z jego istnienia i niezyciowości.

Wkraczając pod koniec lat pięćdziesiątych na drogę aktywności politycznej w nurcie komunizmu reformistycznego, nie uświadamiałem sobie jeszcze wszystkich tych jego ograniczeń. Ale odnosiły się do mnie w tym samym stopniu, co i do wszystkich innych.

Moje przekonanie, że orientacja komunizmu reformistycznego jest słuszną, wynikało oczywiście nie tylko z ogólnych rozważań o roli ideologii. Tak samo jak setki tysięcy innych komunistów, którzy usiłowali krytycznie przewartościować przeszłość, starałem się także ocenić, co dotychczasowy rozwój od 1948 r. przyniósł w rzeczywistości społeczeństwu, ludziom pracy, klasie robotniczej, w której "historycznym interesie" prowadzona była ta polityka, przy moim aktywnym udziale. Dochodziłem do wniosku, że wyników absolutnie nie można redukować do samych negatywów, że - przeciwnie - podstawowe zmiany są pozytywne i dlatego nie tylko rodzą potrzebę reformowania systemu, ale także reformę tę umożliwiającą.

Pod koniec lat pięćdziesiątych i następnie w latach sześćdziesiątych ustabilizowały się już w Czechosłowacji nowe stosunki ekonomiczne i społeczne. Niektóre istotne ideały naszej wiary komunistycznej zostały naprawdę zrealizowane i społeczeństwo je zaakceptowało. Nie było już prywatnych kapitalistów, nie istniał dawny podział klasowy i społeczny, oparty na własności prywatnej. Nędza jako zjawisko społeczne znikła: ludzie w łachmanach, żebracy, przedmiejskie kolonie biedoty - wszystko to, co pamiętałem jeszcze z dzieciństwa /i co znałem z Moskwy/, nieodwracalnie przestało istnieć i młodsze pokolenia znały już takie rzeczy tylko z filmów. Strach, że choroba lub starość może oznaczać katastrofę materialną, także znikł z codziennego życia. Stało się oczywiście, że nie grozi już widmo kryzysu i bezrobocia. Przeciętny poziom życia daleki był wprawdzie od dobrobytu, ale był przyzwoity, a co najważniejsze - chociaż powoli, lecz stale się podnosił. Kryzys mieszkaniowy - najczulszy słaby punkt - zdawało się, że z czasem może być rozwiązany bez większych problemów przez rozwój budownictwa mieszkaniowego, odsuniętego na dalszy plan przez stalinowskie nastawienie na jednostronny rozwój przemysłu ciężkiego.

Chodziło jednak nie tylko o czysto materialną stronę życia. Zabezpieczenie materialne ogromnej większości ludzi było podstawą, na której

rozwijało się ich życie na ogół dość spokojnie i dające zadowolenie - o ile oczywiście życie to pozostawało w sferze prywatnych zainteresowań poszczególnych osób i ich rodzin. Kto trzymał się na uboczu od wydarzeń politycznych, kto osobiście nie przejmował się problemami efektywności gospodarki, rozwojem kultury i wolnością myśli, ten naprawdę mógł być zadowolony, nie obawiając się o swą egzystencję i o zapewnienie egzystencji swych dzieci. Z życia ludzi pracy znikło także zjawisko typowe dla industrialnego społeczeństwa kapitalistycznego - wynikające z wyczerpującej walki konkurencyjnej szybkie tempo pracy i życia. Życie codzienne miało co prawda różne inne cechy negatywne: nienadążanie usług, niedobór urządzeń ułatwiających pracę w gospodarstwie domowym, nie wystarczająca ilość towarów konsumpcyjnych zmuszały do nieustannych poszukiwań, pochłaniających wiele wolnego czasu itp. Ale powolniejsze tempo pracy i całego życia wiele z tych negatywnych cech łagodziło. W stosunkach między warstwami społecznymi, między przełożonymi a podwładnymi w miejscu pracy, między mężczyzną a kobietą, między pokoleniami, między różnymi narodowościami oraz grupami etnicznymi panowała na co dzień zauważalnie większa równość, stosunki te były bardziej demokratyczne, niż w kapitalistycznej przeszłości. W całym życiu codziennym w Czechosłowacji demokratyzm pozapolityczny w odróżnieniu od ZSSR znajdował bardzo szerokie zastosowanie, choć system polityczny i sposób rządzenia społeczeństwem był absolutnie taką samą biurokratyczną dyktaturą.

Także w mentalności znacznej większości ludzi zaszły widoczne zmiany w porównaniu z początkiem lat pięćdziesiątych. Wtedy, w pierwszych latach po Lutym, krytyczne spojrzenie na nowe stosunki znajdowało wyraz w nieustannym porównywaniu ze stosunkami przedlutowymi. Teraz było inaczej: nie słyszało się już uwag, że "przed nacjonalizacją" to czy owo byłoby nie do pomyslenia. Także polityki partii komunistycznej nie oceniano już z reguły przez przymierzanie do polityki stronnictw niekomunistycznych z okresu przed 1948 r. Krytyka i opozycja oczywiście istniała, ale dążyła do zmiany na bazie nowych stosunków ekonomicznych, społecznych i politycznych, a nie do powrotu właściwych dla kapitalistycznej przeszłości. To samo można było zaobserwować nawet na wsi, gdzie kolektywizacja została zakończona ledwie kilka lat temu. Nawet tam dominującym pragnieniem nie była już chęć powrotu do dawnych, prywatnych form gospodarowania - zwłaszcza wśród ludzi młodych.

Sama rzeczywistość społeczna nie wydawała mi się wtedy sprzeczna z ogólnym obrazem, jaki w języku oficjalnej ideologii kreśliły uchwały partyjne owych czasów: zostały "zbudowane podstawy socjalizmu" i teraz chodziło o to, by nie zawracać z tej drogi, lecz iść dalej w "budowie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego". W sensie politycznym nie chodziło już o "walkę klasową o władzę w społeczeństwie socjalistycznym", ale o "pogłębianie demokracji socjalistycznej".

Dzisiaj, po doświadczeniach i przeżyciach od 1968 r., wiem, że również ówczesna moja ocena rzeczywistego stanu społeczeństwa była poważnie uproszczona. Było to wciąż jeszcze spojrzenie ze świata uprzywilejowanych, z którego świat nieuprzywilejowanych i życie w nim widać tylko częściowo i niezbyt prawdziwie. To, co wtedy wydawało mi się wyrażeniem aprobaty dla istniejących stosunków, w istocie było często jedynie rezygnacją ludzi zmęczonych latami stalinowskiej przemocy. Gdy po 1956 r. przemoc ta zelżała, ludzie ucieszyli się i zaczęli dokładać wszelkich starań, żeby urządzić się lepiej w swoim życiu prywatnym. To, co przedstawiało się jako tchnąca spokojem idylla, częstokroć było jedynym wyjściem, na jakie można sobie było pozwolić. W sytuacji, kiedy jakiegokolwiek krytyczne zaangażowanie w sferze problemów społecznych i politycznych większość ludzi uważała za bezna dziejne, również ciśnienie opozycji w tej sferze było naprawdę stosunkowo słabe. Zdławione zainteresowania, potrzeby i poglądy ludzi pozostawały jednak pod powierzchnią, a komuniści reformistyczni szeregiem kompromisów politycznych z powodzeniem pomagali stan ten przedłużać.

Zadowolenie "przeciętnego obywatela", który właściwie przestał już być obywatelem i z życia publicznego, obywatelskiego wycofał się w świat swych prywatnych interesów i potrzeb, było nie tyle przesłanką pomyślnego zreformowania stosunków politycznych, ile "przeciwnie" oparciem dla totalitarnej dyktatury. Ten "przeciętny obywatel" ze swoimi potrzebami i interesami, zredukowanymi już przez dyktaturę, jest jej produktem, i to produktem wymarzoną: do tego stopnia uznaje ją za niezmienną, że całkowicie się do niej dostosował - swoim zdeformowanym życiem wspiera ją więc i umożliwia jej istnienie.

Dyktatura potrzebuje go, bo koniec końców "przeciętny obywatel" właśnie na nią pracuje. Toteż dyktatura "przeciwnie" go karmi, odziewa, bawi państwem telewizyjną i dba o jego zdrowie.

Jednak mimo tych negatywnych aspektów stabilizacji nowych stosunków społecznych, kilka podstawowych faktów odpowiadało prawdzie: olbrzymia większość społeczeństwa otrzymała zasadnicze zabezpieczenie i mogła zaspokajać swe główne potrzeby materialne. Nie szukała więc też drogi powrotu do kapitalistycznych stosunków społeczno-ekonomicznych, które w przeszłości jej tego zabezpieczenia nie dawały. Potwierdziło się to zresztą również w 1968 r.: erupcja najgroźniejszych sprzeczności społecznych i politycznych nawet przy możliwości swobodnego wyrażania różnych tendencji nie prowadziła do pojawienia się jako czynnika politycznego dążności do przywrócenia stosunków kapitalistycznych. Również na wsi nie zaszedł ani jeden wypadek likwidacji spółdzielni produkcyjnej, a do drobnotowarowych, prywatnych form gospodarowania wróciło bardzo niewiele rolników.

Słabą stroną komunizmu reformistycznego nie było więc to, że stanowił tendencję socjalistyczną i zdecydowanie odrzucał możliwość restauracji kapitalistycznych, opartych na własności prywatnej stosunków społecznych. W tym wypadku opierał się na zgodnej postawie absolutnej większości społeczeństwa, był realną alternatywą artykulacji jej rzeczywistych poglądów. Słabą stroną reformistycznych komunistów było w znacznie większym stopniu zbytnie idealizowanie przez nich rzeczywistej sytuacji absolutnej większości społeczeństwa.

To jednak pozwolił mi zobaczyć dopiero dalszy bieg wydarzeń. Pod koniec lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych wydawało mi się, że wszystko jednoznacznie przemawia na korzyść polityki reformistycznego komunizmu. Główny problem widziałem w tym, żeby ideologia reformistyczna stała się oficjalną ideologią KPCz, a żeby władza nią się kierowała. Oznaczało to przede wszystkim, że należy pracować w tym kierunku wewnątrz KPCz, pozyskiwać samo centrum władzy.

Nie było to łatwe, ale nie było też niemożliwe. Od końca lat pięćdziesiątych podobnie myślały tysiące funkcjonariuszy KPCz, toteż w 1968 r. polityka KPCz stała się rzeczywiście polityką komunizmu reformistycznego. W masach członkowskich partii orientacja ta w toku lat sześćdziesiątych też znajdowała coraz większe oparcie. Lecz dla obserwatora z zewnątrz proces ten długo był trudny do zauważenia.

Każda dyktatura polityczna jest nieuchronnie domeną polityki gabinetowej. A w tych warunkach nie ujawniają się na zewnątrz wyraźniejsze różnice wśród tych, którzy znajdują się u władzy. Także w Czechosłowacji przed 1968 r. ludzie na ogół nie mieli możliwości zauważenia różnic w tej części rządzących, która kryła się w mroku partyjnych sekretariatów i aparatu państwowego. Co wiedział kto o tym, czym różnił się Alexander Dubczek od, powiedzmy, Jozefa Lenarta lub Oldřich Czernik od Aloisa Indry przed "Praską Wiosną"? I kogo to w ogóle tak bardzo interesowało?

Już na kilka lat jednak przed "Praską Wiosną" przyciągały uwagę dostojne dla społeczeństwa różnice wśród tych komunistów, których domeną była kultura, publicystyka polityczna i kulturalna. Również oni należeli do uprzywilejowanych, ale ich sytuacja nie znosiła anonimowości, wymagała publicznego przyznawania się do autorstwa. Mimo całej cenzury oraz

autocenzury w tym środowisku jawnie dawano wyraz poglądom i ideom pozwalającym zorientować się w postawach ich autorów. Ludzie sympatyzowali z tymi, którzy coraz otwarciej występowali z krytycznymi zastrzeżeniami wobec istniejącej rzeczywistości, którzy ryzykowali przy tym swoją karierą i od czasu do czasu w toku różnych kampanii bywali dotkliwie gnębieni przez reżim.

Prześladowani za swe poglądy autorzy krytycznych artykułów w czasopiśmie kulturalno-politycznych, mówcy zabierający głos na zjazdach literatów naturalnie - i zasłużenie - zyskiwali autorytet w szerokich masach ludu. Autorzy różnych krytycznych uwag i propozycji działający niejawnie, za murami gmachów rządowych, byli dla ludzi przeważnie anonimowi, o ich zwycięstwach lub klęskach poza wąskim kręgiem profesjonalistów nic nie wiadano.

W rzeczywistości były to jednak dwa odcinki jednego i tego samego frontu: ci znani społeczeństwu nie mogliby działać bez tych anonimowych, nieznanych - i przeważnie również odwrotnie. Mimo to jednak już w czasach Nowotnego ta sytuacja wzmogła tendencję zawsze dość silną w polityce: żeby znaczenie spraw oceniać na podstawie słów i proklamacji adresowanych do społeczeństwa. Tendencja ta utrzymywała się i przybrała znacznie na sile także podczas kilku miesięcy "Praskiej Wiosny" w 1968 r. Proklamacje odgrywały większą rolę, niż realne kroki w sferze samej władzy, choć wprowadzenie proklamacji w życie zależało częstokroć właśnie od owych kroków.

Relacje o "Praskiej Wiosnie", publikowane za granicą przez reformistycznych komunistów po 1968 r., przedstawiają przeważnie doświadczenia, przeżycia i poglądy tych, którzy przed "Praską Wiosną" i podczas niej działali na widocznym publicznie odcinku frontu: dziennikarzy, pisarzy, przedstawicieli nauk społecznych itp. Druga część frontu na ogół nadal pozostaje ukryta. Szkoda, że tak się dzieje - nie tylko dlatego, że w rezultacie wiele momentów ciekawych i ważnych dla poznania całości sprawy pozostaje nieznanych, ale także dlatego, że niektóre problemy przemian w świecie rządzących w przeszłości mają znaczenie również dla oceny przyszłości. Na pytanie, czy możliwe jest powtórzenie się "Praskiej Wiosny", nie można odpowiedzieć nie udzielając odpowiedzi na pytanie, czy i w samej ekipie rządzącej może powtórzyć się sytuacja podobna do istniejącej w ostatnich latach rządów Nowotnego.

W latach sześćdziesiątych czynny byłem jako komunista reformistyczny zarówno publicznie, jak i wewnątrz aparatu partyjnego, co pozwoliło mi wejrzeć w ów - skądinąd niedostępny dla profanów - świat rządzących z tamtych czasów. A właściwie nie tylko wejrzeć: sam byłem wówczas częścią tego świata. Mój los związany był z nim także w 1968 r., co wywarło silniejszy wpływ na dalsze moje życie, niż uprawiana w duchu komunizmu reformistycznego działalność publicystyczna.

x x x

Kiedy gdzieś w 1959 r. centralny organ prasowy KPCz, "Rude Pravo", wydrukował mój pierwszy artykuł ideologiczny, dyrektor Instytutu Państwa i Prawa Czechosłowackiej Akademii Nauk, akademik Viktor Knapp, wezwał mnie do swojego gabinetu i wszczął rozmowę o nim. Powiedziałem mu coś w tym sensie, że chciałbym, żeby pewne moje poglądy ideologiczne stały się znane szerszemu kręgowi czytelników.

- Chyba raczej węższemu, co? - zauważył Knapp, uśmiechając się porozumiewawczo.

Miał rację. Rzeczywiste znaczenie podobnych artykułów w "Rudym Praviě" nie polegało w owych czasach na tym, że mogłaby przeczytać je z zainteresowaniem milionowa rzesza czytelników. Nie zwracała ona na nie uwagi i czytała przede wszystkim rubrykę sportową. Czytali je jednak ci, dla których polityka i ideologia była sprawą profesjonalną lub na pół profesjonalną: pracownicy aparatu politycznego, funkcjonariusze i aktywiści KPCz. Poglądy i sformułowania publikowane w "Rudym Praviě" miały dla nich znaczenie

dyrektyw politycznych. Co było w "Rudym Pravie", to można nie tylko myśleć, ale i głośno mówić, powinno się to nawet propagować.

Poza tym "Rude Pravo" było lekturą kręgu wprawdzie wąskiego, ale za to nadzwyczaj wpływowego i silnego - było lekturą członków politbiura, sekretarzy KC KPCz i kół do nich zbliżonych. Nie czytali oni co prawda wszystkiego, nie czytali też zbyt uważnie, ale mimo to cały podległy im aparat przyjmował, że jeżeli w tych kręgach nie zgłaszano zastrzeżeń wobec czegoś, co zostało wydrukowane czarno na białym w "Rudym Pravie", to można to uważać za tekst zaaprobowany przez najwyższe czynniki.

Tak oto, nie głównym wejściem, ale przez łamy "Rudego Prava" wszedłem więc do świątyni władzy politycznej ówczesnej Czechosłowacji, w krąg aparatu partyjno-politycznego. Długo nie sprawowałem żadnych oficjalnych funkcji, ale zyskałem tam pewien wpływ. Wielkim błędem, popełnianym przez ludzi nie znających istoty sprawy, jest ocenianie rzeczywistego wpływu w strukturze władzy jedynie lub przede wszystkim na podstawie formalnego piastowania różnych stanowisk. Dla takich ludzi czechosłowacki minister jest ważniejszą osobą, niż kierownik wydziału KC KPCz - a to oczywiście błąd. Kierownik wydziału KC bowiem w praktyce pod żadnym względem nie jest zależny od ministra, ale przeciwnie, minister w wielu sprawach zależy od niego. Stoi on bowiem znacznie bliżej rzeczywistego centrum władzy, partyjnego politbiura. On także ma decydujący wpływ na mianowanie, awansowanie bądź upadek wszystkich podwładnych ministra, a wreszcie również samego ministra.

Błąd człowieka nie znającego tych spraw pewne zjawiska z codziennego życia w świecie władzy we wschodnioeuropejskich systemach totalitarnych są więc niezrozumiałe. Gdyby np. zobaczył, jak generał podczas inspekcji w jednostce wojskowej nagle obojętnie mija wyprężonych na baczność wszystkich swych pułkowników i majorów, i z wyciągniętą prawicą sunie do stojącego skromnie w szeregu kapitana, po czym wdaje się z nim w przyjacielską pogawędkę - pomyślałby, że generał jest oryginałem lub wariatem. W rzeczywistości zaś ów kapitan jest referentem z wydziału wojskowego KC KPCz, odbywającym właśnie obowiązkowe 30-dniowe ćwiczenia. A generał oraz jego pułkownicy i majorzy wiedzą, że jedynie na pozór jest to ich podwładny, że tak naprawdę ten kapitan może bardziej wpłynąć na ich stopnie, funkcje i uoszażenie, kariery i upadki, niż oni sami.

Błędem byłoby jednak także myśleć, że pośród wszystkich politycznych aparatów władzy aparat KPCz jest absolutnie najważniejszy i najsilniejszy i że według takiego klucza można już świetnie orientować się w świecie władzy. Przed pracownikiem aparatu KPCz mającym w swojej gestii służbę zdrowia trzęsą się wprawdzie ze strachu ordynariusze szpitali, ewentualnie nawet sam minister zdrowia, ale tenże pracownik musi mieć się na baczności przed oficerem Służby Bezpieczeństwa, który mieszka z nim w jednym domu, choć ten oficer wcale nie jest pracownikiem KPCz. A znów oficer i jego przełożeni podlizują się z kolei referentom z wydziału wojska i bezpieczeństwa KC KPCz, sekretarzom KC oraz ich pomocnikom, ewentualnie również niektórym innym, ściśle określonym pracownikom aparatu partyjnego. Nadskakują im często bardziej, niż ministrowi spraw wewnętrznych, bo i on jest tylko ministrem, chociaż nie "tuzimowym".

W samym aparacie partyjnym także wcale nie zawsze decyduje hierarchia formalna. W latach sześćdziesiątych, za rządów Novotnego, ważnym kryterium rzeczywistego wpływu była np. przynależność do ścisłego grona, które grywał z Novotnym w mariasza. Sekretarz okręgowy lub minister, który z nim grywał, miał czasem większy wpływ i władzę, niż sekretarz KC KPCz, którzy nie grali. Ale i ci, co grali w karty, i ci, którzy nie grali, a koniec końców również sam Novotny, odnosili się z wielką uprzejmością do niektórych na pozór szeregowych i nie mających znaczenia referentów z aparatu KPCz. Gdy zetknąłem się z tym zjawiskiem i dziwiłem się, czemu sekretarz nagle waha się postąpić wbrew zdaniu zwykłego referenta, chociaż w innych

wypadkach zawsze stawiał autorytatywnie na swoim, sekretarz ów mnie pouczył:
- W aparacie są pewni towarzysze, co kiedy z nimi rozmawiasz, to jak-
byś rozmawiał w Moskwie.

Wiedzieć, którzy to towarzysze; było dla praktycznego życia w wyższych kręgach aparatu partyjnego ważniejsze, niż mieć doktorat Wyższej Szkoły Partyjnej. Kto to wiedział, mógł uniknąć niejednej nieprzyjemności. I wiedział też, dlaczego akurat przed 21 sierpnia 1968 r. niektórzy zupełnie szeregowi pracownicy aparatu KPCz wyjechali przypadkowo na urlop do ZSSR albo do NRD. I także dziś się nie dziwi, dlaczego pracownik KC KPCz odpowiedzialny za kierowanie akademią nauk zostaje nagle ministrem spraw wewnętrznych lub dlaczego pracownik wydziału zagranicznego KC nagle okazuje się mieć najlepsze kwalifikacje na stanowisko kierownika wydziału kultury w centrali partii. Kto tego nie wie, ten porusza się po omacku i co chwila spotykają go niespodzianki.

Aby mieć stosunkowo znaczny wpływ, nie zawsze trzeba sprawować wysokie funkcje oficjalne. Nie grywałem w karty z Nowotnym ani nie wystugiwałem się KGB, lecz należałem do ludzi, którzy tworzyli grzybnię struktury władzy, nie dostrzegalną z zewnątrz, ale życiowo ważną dla samej tej struktury; bez grzybni nie mogłyby istnieć też dumne grzyby władzy, jej oficjalny wykwit. Poszczególne osoby i całe organy władzy zależą od owej grzybni, czerpią z niej ożywcze soki, których im samym częstokroć brakuje.

To, czy organ partyjny - i to również organ najwyższy, zjazd partii, KC lub jego politbiuro - zatwierdzi w swojej uchwale określoną konkretną sprawę, określoną propozycję, określone sformułowanie, bynajmniej nie zależy od samego tego organu. Jego członkowie zawsze omawiają gotowe już projekty, które przygotowuje, formułuje i pisze aparat: nie sekretarze i nie kierownicy wydziałów, lecz aparat pomocniczy tych funkcjonariuszy. To prawda, że projekty te są jakoś korygowane, podczas dyskusji na posiedzeniach organów to czy owo ulega w nich zmianie, ale w istocie zawierają to właśnie, co zawarli w nich niźsi, dla społeczności /także partyjnej/ zupełnie anonimowi pracownicy aparatu. Od nich w znacznym stopniu bezpośrednio zależy, jakimi słowami przedstawiono takie czy inne myśli w uchwałach KC, zjazdów partyjnych, w uchwałach rządu, w ustawach, a nawet w konstytucji: gdyż również teksty ustaw, z konstytucją włącznie, zatwierdza politbiuro, do którego wpływają zaprojektowane, sformułowane i przygotowane przez aparat, jego różne komisje oraz "grupy robocze".

Walka o rzeczywisty wpływ na decydowanie jest więc także walką o pozycje w niższych, na pozór niezbyt ważnych ogniwach aparatu. Sami sekretarze KC KPCz troszczą się o to, żeby w sekretariatach i w różnych wydziałach aparatu mieć swoje własne, prywatne "agentury", ludzi oddanych im osobiście albo przyjaciół ludzi im oddanych. Szczególnie cenna była taka agentura w osobistym sekretariacie najwyższego władcy, pierwszego sekretarza, którym w latach sześćdziesiątych był Antonin Novotny. Rzeczywisty wpływ poszczególnych sekretarzy, kierowników wydziałów i innych wyższych funkcjonariuszy jest różny, w zależności od tego, ilu swych zwolenników, ludzi mających wobec nich pewne zobowiązania, pomieszczała w różnych niższych ogniwach aparatu. Tam zaś działają różne nieformalne, dla nie wtajemniczonych nie dostrzegalne grupy i kliki, które łączy wspólna orientacja.

Wszystko to może służyć wyłącznie osobistej karierze popierających się wzajemnie członków takich klanów. Lecz w sytuacjach, gdy w samym biurokratycznym systemie władzy w grę wchodzi również problemy wyższe od osobistych, gdy ścierają się różne orientacje i koncepcje polityczne - wówczas ta biurokratyczna dżungla może paradoksalnie stać się też polem walki o antybiurokratyczny, demokratyczny kierunek rozwoju polityki w ogóle. I taka właśnie była sytuacja w Czechosłowacji lat sześćdziesiątych. Niektóre grupy i klany w aparacie władzy z biegiem czasu coraz bardziej stawały się narzędziem w rękach komunistów reformistycznych, podczas gdy inne - przeciwnie -

były narzędziem sił konserwatywnych, starających się politykę reform hamować i uniemożliwić.

Jawne wystąpienia publicystyczne na łamach "Rudego Prava" na tematy teoretyczno-ideologiczne były więc dla mnie w rzeczywistości początkiem niejawnego praktycznej aktywności politycznej w strukturze władzy i aparacie partyjnym. Aż do 1968 r. nie byłem pracownikiem aparatu partyjnego, tym miejscem pracy nadal była Czechosłowacka Akademia Nauk. Ale moja działalność w latach sześćdziesiątych przesunęła się coraz bardziej do sfery aparatu partyjnego.

W miarę tego, jak coraz częściej pojawiałem się jako autor teoretycznych rozważań ideologicznych w prasie partyjnej, zaczęto także coraz częściej powoływać mnie w skład różnych "grup roboczych" przygotowujących dla aparatu i organów partii materiały związane zarówno z problematyką ideologii partyjnej, jak i - zwłaszcza - z problematyką państwa, prawa, organizacji społecznych i całego w ogóle systemu politycznego. W latach sześćdziesiątych grupy te były coraz częściej stosowaną metodą opracowywania przez aparat partyjny najrozmaitszych zagadnień. Znaczenie ich było kontrowersyjne, na ogół jednak prowadziły stopniowo do umacniania się pozycji zarówno inteligencji partyjnej stojącej poza aparatem, jak i komunizmu reformistycznego. Oficjalnie grupy te były wyrazem tendencji do zwiększania stopnia naukowości w kierowaniu społeczeństwem. Praktycznie często były wyrazem przede wszystkim tego, że sam aparat nie potrafił dokonywać analiz i opracowań uogólniających.

Stopniowo na niemal wszystkie ważne obrady w aparacie partyjnym materiały przygotowywały "grupy robocze" złożone z ludzi spoza tego aparatu: pracowników instytucji państwowych i gospodarczych, wyższych uczelni i instytutów naukowych. Ludzie ci faktycznie sporządzali i formułowali analizy i projekty odnoszących posunięć. Opracowane przez nich materiały były następnie odpowiednio preparowane przez różne ogniwa aparatu partyjnego, żeby stały się możliwe do przyjęcia przez kierownictwo partii. Sam aparat partyjny pełnił zatem dwojakie, wzajemnie sprzeczne funkcje: gromadził materiały często dosyć krytycznie ukazujące rzeczywiste problemy - i zarazem te materiały cenzurował, preparował kompromisowe propozycje rozwiązań, niekiedy pozbawiając je nawet ich zasadniczego sensu. Uchwały i decyzje podejmowane potem na tej podstawie przez organy partii i państwa różniły się czasami bardzo od pierwotnych materiałów "grup roboczych", ale chociaż w postaci kompromisowej, mimo wszystko odzwierciedlały przecież realne problemy.

W istocie taki sam system stosowany był również przy przygotowywaniu w Czechosłowacji lat sześćdziesiątych referatów i różnych przemówień najwyższych dostojników partyjnych i państwowych. Sekretarze KC KPCz i członkowie rządu dokonywali osobiście ostatecznej redakcji tekstów swoich przemówień, ale de facto zawsze - z nielicznymi wyjątkami - czytali teksty napisane przez pomocników w różnych "grupach roboczych".

Udział w tych "grupach" pozwalał mi więc w coraz większym stopniu przemycać pewne własne poglądy - nawet jeśli w postaci rozmaicie zdeformowanej - do tekstów uchwał organów partyjnych oraz przemówień wysokich dygnitarzy partyjnych i państwowych. Później znów mogłem opierać się na tych fragmentach uchwał i oficjalnych referatów i interpretować je tak, żeby powiększyć obszar krytycznej analizy i idei reformy. Moja aktywność na obydwu płaszczyznach - w jawnej publicystyce politycznej i w działalności niejawnego - wiązała się wzajemnie: to, czemu dawałem wyraz w publicystyce, znajdowało oparcie w decyzjach politycznych oraz oficjalnych przemówieniach, i oczywiście także odwrotnie.

Nie ja jeden jednakże znajdowałem się w latach sześćdziesiątych w podobnej sytuacji. Tak samo w zasadzie działały wtedy dziesiątki komunistów reformistycznych z różnych instytutów naukowych i wyższych uczelni. Wielu

ekonomistów i socjologów także tylko w analogiczny sposób mogło nadać swoim koncepcjom praktyczne znaczenie polityczne. Wszyscy, którzy uzyskiwali na tej drodze pewien wpływ w biurokratycznym mechanizmie władzy, płacili też jednak za to nieuniknioną daninę: sprzężenie między nimi a władzą, na którą mogli wpływać, nie było tylko jednokierunkowe - władza ta jednocześnie wpływała także na ich koncepcje reformistyczne. Jeżeli władza miała służyć potrzebom tych reformistów, oni również musieli służyć potrzebom władzy.

Pamiętam wiele konkretnych wypadków, gdy rozważałem wszystkie za i przeciw, i musiałem się zdecydować, co warto jest jakiej ceny. Nie chodziło bowiem jedynie o to, że przygotowując projekt uchwały politbiura albo referat sekretarza KC KPCz czy premiera nie zawsze mogłem przedstawiać poszczególne problemy w całej pełni i tak, jak o nich myślałem. Ostatecznie miały one charakter tylko roboczy. Gorzej było, gdy ze względu na swą pozycję w mechanizmie partyjnym musiałem jednoznacznie i publicznie "bronić linii partii" również wtedy, gdy o słuszności tej linii bynajmniej nie byłem już przekonany.

A więc np. w 1961 r., gdy Antonin Novotný raz jeszcze uznał problem procesów politycznych z lat pięćdziesiątych za "ostatecznie rozwiązany", nie byłem przekonany, że problem ten naprawdę już nie istnieje. Mimo to ostatecznie na zebraniach i w prasie broniłem tezy Novotnego, że Slansky nigdy nie zostanie zrehabilitowany, ponieważ sam brał udział w zbrodniach lat pięćdziesiątych, podobnie jak swego czasu Jeżow, Jagoda oraz Beria w Związku Sowieckim, którzy także nie byli zrehabilitowani. W 1962 r. jako lektor KC KPCz na zebraniach partyjnych broniłem oficjalnego stanowiska kierownictwa partii w sprawie aresztowania Rudolfa Baraka: postępowanie karne przeciw niemu uzasadniano tym, że nadużył stanowiska ministra spraw wewnętrznych do wzbogacenia się, sprzeniewierzał obce waluty itd. Sam Novotný kazał nawet urządzić wystawę, która miała unaocznic to prostemu ludowi. Pokazywano tam garnitury i koszule obok zagranicznych banknotów, różnych obrazów i dzieł sztuki. Było to żenujące, wiedziałem, że cała sprawa ma tak polityczne, że Novotný podejrzewał Baraka /bodajże słusznie/ o dążenie do puczu w KPCz. A mimo to "broniłem linii partii".

Przeważnie nie będąc osobiście przekonany, toczyłem szereg polemik z "rewizjonizmem", zwłaszcza z pewnymi koncepcjami jugosłowiańskimi, o których w rzeczywistości myślałem, że mogą stać się po części punktem wyjścia do przekształcenia systemu politycznego również w Czechosłowacji. Był to okres, kiedy "krytyka rewizjonizmu" wysunęła się na czołowe miejsce, jeśli chodzi o linię KPCz w zakresie ideologii. Odejście w takiej chwili od "linii partii" nieuchronnie oznaczałoby utratę wszystkiego, co przez lata zyskałem, utratę możliwości zabiegania o reformę całej polityki partii kolejnymi krokami w samym aparacie i strukturze władzy.

Z punktu widzenia kalkulacji politycznej usprawiedliwienie takiego postępowania nie było nazbyt trudne. Doskonale wiedziałem, że za tę cenę zyskuję możliwość wpływania na koncepcję polityki partyjnej i współtworzenia jej, co się dotyczy dalszego rozwoju systemu politycznego w kraju, że zabezpieczam sobie w ten sposób w mechanizmie partyjnym pozycję, która umożliwi mi to również w przyszłości. A to uważałem za najważniejsze. Koniec końców mą dysertację pisałem w 1959 r. o Machiavellim - i wiedziałem, że już czterysta lat temu władza polityczna poczyniała sobie tak samo, co Machiavelli miał odwagę wyraźnie dostrzec. Doszedł do wniosku, że zasady indywidualnej moralności człowieka /konkretnie - moralności chrześcijańskiej / nie zawsze mogą być drogowskazem dla polityka, który chce osiągać sukcesy, że w kwestiach dotyczących władzy ludzie uznają za moralne i słuszne takie postępowanie, które leży w ich interesie i prowadzi do osiągnięcia celu.

Z punktu widzenia własnego sumienia, w świetle poczucia indywidualnej odpowiedzialności, które po 1956 r. już miałem, takie łatwe to jednak nie było. Rozstrzygnąłem tę sprzeczność tak, że wyznaczyłem sobie ściśle granice, których nie zamierzałem przekroczyć w imię kalkulacji politycznej. Taką

granicą było dla mnie z jednej strony postępowanie sprzeczne z prawem, zbrodnicze - a z drugiej postępowanie, z którego wynikałyby szkody polityczne przeważające nad tym, co sam dla siebie uznałem za użyteczność moich działań. Myślę, że w całym okresie mojej aktywności w strukturach dyktatorskiej władzy po 1956 r. granic tych nie przekroczyłem. A groziło mi to dwukrotnie. Pierwszy raz w stopniu nie tak znów wielkim, ale mimo wszystko całkiem wyraźnie. W 1966 r., gdy w okresie zaostrzenia kursu ideologicznego /zakaz wydawania niektórych czasopism, represje wobec ludzi działających w kulturze itd./ doszedłem do wniosku, że nadal "popierając linię partii" bezwzględnie przekroczę granicę, czego nie da się usprawiedliwić korzyścią polityczną, przestałem uprawiać publicystykę polityczną, zrezygnowałem z niektórych funkcji i nastawiłem się całkowicie na pracę w zakresie teorii. Wynikiem było powstanie interdyscyplinarnego zespołu badawczego rozpatrującego zagadnienia systemu politycznego. Pracą tego zespołu kierowałem do wiosny 1968 r. Po raz drugi niebezpieczeństwo przekroczenia moich wewnętrznych granic groziło mi w stopniu bez porównania większym po zbrojnej interwencji sowieckiej w sierpniu 1968 r. Wyjście znalazłem w listopadzie tegoż roku, rezygnując ze wszystkich funkcji politycznych. Ale o tym bardziej szczegółowo opowiem dalej.

Komuniści reformistyczni, którzy jak ja działali bezpośrednio w strukturze władzy i w aparacie politycznym, byli jednak ograniczeni tym wszystkim już nawet wtedy, gdy puszczali wodze własnym myślom. Nawet jeżeli starali się obiektywnie analizować sytuację i ustalić, czego wymaga dalszy rozwój społeczeństwa, czego samo to społeczeństwo mogłoby sobie życzyć - już na początku swoich rozważań zawsze brali pod uwagę również inny punkt widzenia: co jest realnie możliwe do przyjęcia w danej sytuacji dla partii, dla jej struktury władzy, co można, a czego nie można w tej strukturze zaakceptować. Prowadziło to do rozwoju autocenzury nie tylko w ich wypowiedziach, ale nawet w myśleniu. Kwestiami, które dla struktury władzy były wrażliwe od początku nie do przyjęcia, nie zajmowali się poważniej już nawet we własnych myślach, odsuwali je na dalszy plan, jako problemy, których w możliwym do przewidzenia terminie nie można wprowadzić do oficjalnej ideologii politycznej, a tym bardziej do praktyki partii.

Toteż ta grupa komunistów reformistycznych w latach sześćdziesiątych różniła się często wyraźnie od innej grupy, która działając poza aparatem władzy także starała się znaleźć i sformułować odpowiedzi na ogólniejsze pytania dotyczące rozwoju społecznego i politycznego. Komuniści reformistyczni działający w różnych dziedzinach życia kulturalnego, pisarze, artyści, dziennikarze, a także ci pracownicy instytutów naukowych i wyższych uczelni, którzy nie angażowali się bezpośrednio w politykę partii, w organach partyjnych i w aparacie, w niemożności realizowania określonych koncepcji przez te organy i aparat nie widzieli czynnika limitującego ich własne rozważania. Oczywiście nie rezygnowali z dążenia do przeformowania swych poglądów w praktyce politycznej, ale uważali, że uda się im to dzięki naciskowi wywieranemu na strukturę władzy z zewnątrz: przez opinię publiczną, różne grupy społeczne /przede wszystkim z szeregów inteligencji/, różne luźno tylko powiązane ze strukturą władzy, organizacje /np. związki twórcze pracowników kultury, instytucje badawcze, szkolne i oświatowe itp./.

W sumie poglądy polityczne tej grupy reformistycznych komunistów były więc demokratyczniejsze i radykalniejsze, niż grup działających w samych strukturach władzy. Dla lat sześćdziesiątych wymowną ilustracją może być różnica między ówczesnym organem Związku Pisarzy Czechosłowackich, "Literární Noviny", a prasą partyjną. Prowadziło to często do konfliktów między grupą radykalniejszą a władzą. Komunistom reformistycznym zatrudnionym w strukturach władzy podczas takich konfliktów przypadała zazwyczaj rola nie do pozardroszczenia - linoskoczków balansujących między obu biegunami. Była to jednak raczej sprzeczność związana z ich różnymi funkcjami, niż z rzeczywistymi ich poglądami i dążeniami.

Jakie były realne rezultaty mej działalności politycznej w duchu komunizmu reformistycznego w latach sześćdziesiątych?

Moją osobistą pozycję w strukturze władzy /a ściślej - w aparacie KC KPCz/ od 1964 r. określał fakt, że byłem sekretarzem komisji prawnej KC KPCz, a zarazem oficjalnym doradcą, konsultantem wszędzie, gdzie różne organy partyjne i państwowe musiały ustosunkować się ogólnie do spraw systemu politycznego, demokracji i prawa/x/. Można powiedzieć, że przy podejmowaniu wszystkich ważniejszych decyzji partyjnych i państwowych w kwestiach tego rodzaju od 1964 r. na etapie przygotowawczym mogłem przedstawiać również własne poglądy i zapatrywania.

Oczywiście przed 1968 r. komisja prawna KC KPCz nie zmieniła całości kształtu stosunków w aparacie państwowym, co się dotyczy tworzenia i stosowania prawa. Niemniej jednak w latach 1964 - 1967 przyczyniła się do tego, że problemom prawa i praworządności poświęcano coraz więcej uwagi, że dyskutowano już nad szeregiem zagadnień, które potem, podczas reformy 1968 r., wysunęły się na plan pierwszy, i krytycznie ustosunkowywano się do istniejącej praktyki, że również pewne konkretne normy nowelizowano, nadając im charakter bardziej demokratyczny, itd.

Jako funkcjonariusz kierownictwa tej komisji stałem się - z moimi poglądami - działaczem korzystającym z oficjalnego biogospodarstwa. Prócz udzielania konsultacji na użytek najwyższych organów i funkcjonariuszy, poza udziałem w dziesiątkach różnych "grup roboczych" przygotowujących podstawy prawne decyzji i uchwał, byłem także jednym z oficjalnych interpretatorów ideologii i polityki, o ile wiązały się z problematyką państwa, demokracji, prawa i w ogóle systemu politycznego. Wygłaszałem prelekcje na setkach różnych szkoleń i zebrań /w latach 1964 - 66 w niektórych miesiącach miewałem po dwadzieścia i więcej tego rodzaju prelekcji/ - dla aktywu partyjnego, dla funkcjonariuszy w okręgach i powiatach, dla pracowników

/x/ komisja prawna była jedną z kilku komisji KC KPCz, które kierownictwo partii powołało w latach sześćdziesiątych jako swoje organy doradcze. Prócz niej istniały jeszcze: komisja ekonomiczna, ideologiczna, do spraw rolnictwa, do spraw młodzieży. Przewodniczyli komisjom sekretarze KC /prawnej - V. Koucky/. Członkami ich byli funkcjonariusze aparatu KC KPCz na danym odcinku /w komisji prawnej: kierownik wydziału bezpieczeństwa, wojska i aparatu wymiaru sprawiedliwości M. Mamula, kierownik wydziału państwowych organów przedstawicielskich i organizacji społecznych V. Vedra, kierownik sekretariatu pierwszego sekretarza KC KPCz, A. Novotnego, P. Auersperg/, ministrowie i szefowie centralnych urzędów państwowych /w komisji prawnej: minister spraw wewnętrznych L. Štrougal, później J. Kudrna, minister sprawiedliwości A. Neumann, prokurator generalny J. Bartuszka, prezes Sądu Najwyższego J. Litera, kierownik Urzędu Prezydium Rządu J. Moural, szef Arbitrażu Państwowego CSRS J. Dohnal, prezes Centrali Czechosłowackiej Adwokatury Z. Hrazdira/ i pracownicy instytucji naukowych oraz wyższych uczelni /w komisji prawnej: dyrektor Instytutu Państwa i Prawa Czechosłowackiej Akademii Nauk V. Knapp, dziekan wydziału prawa w Pradze O. Prusza, Z. Jiczinsky z wyższej Szkoły Partyjnej, dziekan wydziału prawa w Bratysławie P. Colotka, dyrektor Instytutu Państwa i Prawa Słowackiej Akademii Nauk w Bratysławie L. Kosztal i in./.. Komisja KC rozpatrywała wszystkie ważne propozycje, które otrzymywało następnie politbiuro. Znaczenie jej polegało m.in. na tym, że stała między politbiurem a właściwym aparatem KC, nadsyłającą do niej projekty, które ze swą opinią przekazywała bezpośrednio politbiuru. /Przyp. aut./.

aparatu państwowego, z bezpieczeństwem i armią włącznie. Byłem autorem dziesiątków broszur i tekstów wydawanych do użytku wewnętrznego przez aparat partii i organy państwowe. Tysiące funkcjonariuszy partyjnych i państwowych znało moje poglądy z tych szkoleń i zebrań i przeważnie odnosiło się do nich z sympatią.

Koncepcję ideologiczno-polityczną, którą jak tylko mogłem propagowałem w latach sześćdziesiątych w środowisku funkcjonariuszy partii i organów państwowych, i która stała się wówczas w istocie oficjalnie propagowaną koncepcją KPCz, można zwięźle przedstawić następująco:

Jak pokazuje doświadczenie ZSSR, zwycięstwo socjalistycznych stosunków społecznych sprawia, że bardzo wiele rzeczy ulega zmianie. Walka klasowa nie jest już głównym problemem społeczeństwa: nie ma kogo uciskać jako klasy. Państwo dyktatury proletariatu przekształca się w państwo ogólnonarodowe. Głównym problemem polityki jest należyte wyrażanie potrzeb i interesów całego społeczeństwa, pilnowanie, żeby cząstkowe, specyficzne potrzeby i interesy ludzi pracy nie wzięły góry nad ich interesami całościowymi, ogólnymi.

Dawniej łatwiej było rozstrzygnąć, co leży w interesie socjalizmu: było to ograniczanie i likwidowanie własności prywatnej oraz związanych z nią stosunków klasowych. Do tego nie trzeba było większej wiedzy, wystarczył "instykt klasowy". Każdy mógł zauważyć, gdzie jest nieupństwowiona fabryka albo prywatny przedsiębiorca nie należący do spółdzielni. Ale jak poznać, czy leży w interesie całego społeczeństwa, by produkcja chemiczna wzrastała o pięć procent, czy lepiej, by o pięć procent wzrosła produkcja kukurydzy, czy może grochu? Co lepiej służy ogólnym potrzebom społeczeństwa socjalistycznego: walczyć czy jazz?

Stawianie tego rodzaju pytań nie ma sensu, takie podejście do kierowania społeczeństwem jest szkodliwe. Ustalić, co leży w interesie całego społeczeństwa w socjalizmie możemy tylko przestrzegając dwóch warunków: że wszelkie problemy będą rozpatrywane na gruncie wiedzy fachowej - oraz że samo społeczeństwo będzie mogło powiedzieć, co uważa za swój interes. Te dwie zasady muszą być przestrzegane w całym systemie politycznym.

W gospodarce, tak samo jak w kulturze, trzeba umożliwić fachowcom działalność zgodną z ich poglądami. Bez wykształcenia, bez wiedzy fachowej nie można już dziś w większości wypadków określić, co leży "w interesie klasy robotniczej". A jednocześnie konieczne jest także, żeby wszystkie organizacje istniejące w naszym systemie politycznym mogły wypowiadać się co ma być treścią polityki państwa. Chodzi głównie o to, żeby związki zawodowe, organizacje młodzieżowe, różne organizacje branżowe mogły rzeczywiście powiedzieć, co uważają za swój interes, a czego nie. Interes ogólnospołeczny da się trafnie określić jedynie wtedy, gdy szukając go można realizować interesy cząstkowe. Odnosi się to również do interesów lokalnych - dlatego musi wzrastać rola komitetów narodowych i w ogóle samorządu terytorialnego.

Żeby można było trafnie określić, co jest interesem całego społeczeństwa, również każda jednostka musi mieć możliwość artykułowania swych interesów, potrzeb, a więc także poglądów. Istotną rolę odgrywa tutaj prawo. Przez prawo nie należy rozumieć dowolnego zestawu rozporządzeń. Prawo musi zagwarantować, że również nosiciele interesów cząstkowych (grupy i poszczególne osoby) będą mogli artykułować swe interesy: pozbawienie ich tej możliwości jest zanegowaniem prawa. Wielu ludziom można nie przyznać racji - ale muszą mieć możliwość wyrażenia swych interesów. Nie może to, co prawda, dotyczyć interesów godzących w społeczeństwo - ale takie wypadki precyzyjnie określono w ustawach. Tylko ograniczenia uwzględnione w ustawach mogą krępować ludzi w ich uprawnieniach.

Partia komunistyczna jest kierowniczą siłą całego systemu społecznego. Ale jej kierownicza rola nie jest dana raz na zawsze dzięki minionym zasłu-

gom w walce klasowej. W nowych warunkach partia musi tę rolę stale odra-
dzać i osiągać na nowo. Jeśli popełnia błędy, jeżeli nie reprezentuje nale-
życie interesów ogółu - osłabia swą kierowniczą rolę. Partia powinna umożli-
wiać również artykulację takich interesów i potrzeb, których sama nie uważa
za ogólnospołeczne. Musi uzasadnić, dlaczego. Musi też sama decydować ze
znajomością rzeczy, uchwały partii muszą przygotowywać komuniści z wykształ-
ceniem fachowym. Metoda nakazów na długo nie wystarczy. Błędne jest także
zastępowanie przez partię instytucji państwowych i organizacji społecznych,
które muszą być samodzielne. Rolą partii jest rola dyrygenta - on też nie
może starać się grać zamiast całej orkiestry.

Nawet w czasach, kiedy głosiłem te koncepcje, nie uważałem ich za
twierdzenia naukowe. Ten zestaw tez ideologiczno-politycznych można krytyko-
wać i ośmieszać zarówno z punktu widzenia jakiegokolwiek teorii konsekwen-
tnie demokratycznej, jak i z punktu widzenia samej teorii Marksa. Lecz ani
wtedy nie wydawało mi się to sprawą istotną, ani nie wydaje się dziś. Za
najważniejsze uważałem, że w systemie totalitarnej dyktatury panującej w
Czechosłowacji w latach sześćdziesiątych myśl siły, na której dyktatura ta
się opierała - myśl tysięcy funkcjonariuszy komunistycznych - stopniowo
zwracała się krytycznie przeciw tej dyktaturze. Chociaż krytyka bazowała na
tej samej ideologii i była niekonsekwentna, to jednak była krytyką. A właśnie
dlatego, że stanowiła wykwit mentalności ludzi, którzy przez długie lata
służyli dyktaturze, była skuteczna w praktyce. Myśl, że dalszy rozwój po
staremu nie jest możliwy, że w interesie socjalizmu i komunizmu niezbędna
jest również reforma polityczna, stawiała się z wolną oczywistością, z którą
zgadzano się także w strukturze władzy.

Dziś nie byłbym już zdolny poświęcić kilku lat życia, by propagować
podobną ideologię wśród funkcjonariuszy czeskosłowackiego reżimu Husaka.
Uznałbym to z góry za trud daremny, bo dziś olbrzymiej większości tych lu-
dzi chodzi nie tyle o socjalizm, interesy całego społeczeństwa i wreszcie
rolę partii komunistycznej z punktu widzenia jej "misji dziejowej", ile
o własną władzę i osobiste korzyści. Z czasem zapewne także będą zmuszeni
zreformować swój system, ale motywem skłaniającym ich do tego będzie jedynie
fakt, że bez tego władza ich nie da się dłużej utrzymać, nie zaś ich wiara
w komunistyczną ideologię. Wtedy jednak, przed 1968 r., podejmowałem takie
wysiłki, przekonywałem się bowiem w praktyce, że ma to sens dla dziesiątków
tysięcy komunistów, naprawdę szukających wyjścia nie tylko dla siebie, ale
też dla zasad socjalizmu i możliwości realizacji ich w społeczeństwie.
Że nie było to złudzenie, dowiódł wreszcie rok 1968, a po nim również 1970:
ponad pół miliona komunistów musiano wyrzucić z KPCz, gdyż trwali przy swych
poglądach reformistycznych.

Gdyby nie to, że znaczna część funkcjonariuszy i członków KPCz już
na kilka lat przed 1968 r. nie tylko w świetle swych praktycznych doświad-
czeń widziała konieczność reformy, ale też dzięki ewolucji swego sposobu
myślenia, swego ideologicznego stosunku do sprawy była przygotowana do stop-
niowej demokratyzacji systemu politycznego - kilka miesięcy "Praskiej Wio-
sny" nie mogłoby się urzeczywistnić. Gdyż sukces polityczny "Praskiej
Wiosny" możliwy był tylko dlatego, że "oddolny" ruch społeczeństwa mógł
spotkać się i w pewnej mierze połączyć z "odgórnym" ruchem w KPCz. To zaś
byłoby niemożliwe, gdyby nie kilka lat działalności ideologicznej reformi-
stycznego komunizmu w samej strukturze władzy dyktatury partii komunistycznej.

x x x

Reformistyczni komuniści, działający w strukturach władzy politycznej,
nie mogliby tam oczywiście działać bez wiedzy najwyższego kierownictwa partii
na którego czele stał Antonin Novotny. Uważam, że faktyczne stosunki w KPCz
w latach sześćdziesiątych przedstawia się bardzo fałszywie, gdy o całym

okresie rządów Novotnego mówi się jako o erze stalinowskiego mroku, w który w styczniu 1968 r. wdarło się nagle światło reformistycznej polityki Dubczeka. Szczególnie paradoksalne jest, gdy erę Novotnego maluje w ciemnych barwach husakowskie kierownictwo KPCz, które w społeczeństwie i w KPCz zaprowadziło metody, o jakich w ostatnich latach swoich rządów Novotny nie mógłby nawet myśleć, a coś dopiero stosować je w praktyce. Także wielu publicystów na Zachodzie bardzo upraszcza sprawę: uważają np. obecny stan na Węgrzech za szczyt liberalizmu, a jednocześnie często mówiąc o Czechosłowacji całą erę Novotnego utożsamiają ze stalinizmem. W rzeczywistości zaś nawet najliberalniejsze plody "kadaryzacji" na Węgrzech pod koniec lat siedemdziesiątych są niezwykle podobne do cech reżimu Novotnego w Pradze w latach 1964 - 67.

Reforma ekonomiczna, nazywana "nowym systemem planowania i zarządzania gospodarką" i związana przede wszystkim z nazwiskiem Oty Šzika, za Novotnego nie była pokątnie uprawianą herezją, lecz została zatwierdzona przez kierownictwo partyjne i realizowana ją jako oficjalną politykę partii i państwa. Jedynym problemem była niekonsekwencja, z jaką to kierownictwo podchodziło do reformy gospodarczej, bojąc się, że doprowadzi ona do komplikacji politycznych i sprawa "wymknie mu się z rąk".

Dopiero husakowskie kierownictwo KPCz potępiło całą tę reformę jako "rewizjonistyczną szikowszczyznę" i zabroniło w ogóle o niej dyskutować. Mimo to, z powodów pragmatycznych, niektóre jej elementy w praktyce gospodarczej zostały utrzymane.

Po 1956 r. intelektualistów komunistycznych spotykały periodycznie różne szykany, w toku różnych kampanii krytykowano ich, a na niektórych spadały od czasu do czasu represje: zakaz publikacji albo pracy w instytucjach naukowych lub kulturalnych. Również to jednak było przeważnie przejściowe, represjonowani po pewnym czasie wracali do udziału w życiu publicznym, a w okresie największych prześladowań - z nielicznymi wyjątkami - nie umożliwiano im całkowicie pracy umysłowej zgodnej z ich kwalifikacjami. Mimo ograniczeń cenzury wychodziły "Literarni Noviny" i inne czasopisma o nastawieniu jednoznacznie krytycznym wobec reżimu i reformistycznym. Setki pisarzy, artystów, historyków, socjologów, ekonomistów, prawników i filozofów, którzy od 1970 r. utrzymują się z pracy w kotłowniach, z dorywczych zajęć fizycznych, mycia okien itd., siedzieli w instytucjach naukowych i kulturalnych, opracowując w różnych aspektach jeden ogromny temat: krytykę reżimu Novotnego. I wszystko to w okresie rządów Antonina Novotnego.

Czyżby więc sam Novotny był komunistą reformistycznym? Uważam, że nie był, że rzeczywiście był reliktem okresu stalinowskiego. Jego rola nie była jednak wyłącznie negatywna, można się w niej dopatrzeć wewnętrznych sprzeczności, rzecz była bardziej skomplikowana. I to samo odnosi się do niektórych innych ludzi w ówczesnym kierownictwie KPCz oraz aparacie partyjnym i państwowym. Po styczniu 1968 r. polityka reformistyczna łączyła się wyraźnie z nazwiskami niektórych członków najwyższego kierownictwa partii z ery Novotnego, przede wszystkim Alexandra Dubczeka i Oldřicha Czernika. I przeciwnie, rok 1968 innych członków tegoż kierownictwa zniósł ze sceny, jak np. sekretarzy KC KPCz Jiřzega Hendrycha i Vladimira Kouckiego. Osobiście jestem jednak przekonany, że właśnie oni w latach sześćdziesiątych umożliwiali rozwój komunizmu reformistycznego w KPCz bardziej, niż niektórzy z tych, których potem ta reforma wyniosła na kierownicze stanowiska lub na nich zostawiła. Jak każdy przewrót polityczny, również reforma dubczekowska w 1968 r. rozliczała się z ludźmi nie tylko według zasług, ale często także kierując się osobistą nienawiścią z jednej, a osobistą protekcją z drugiej strony. M.in. za to też przyszło jej zapłacić.

Antonin Novotny należał do "starej gwardii" komunistów. Był członkiem KPCz od założenia jej w 1921 r., przed wojną był funkcjonariuszem partyjnym

w skali okręgowej, wojnę spędził w jednym z najgorszych hitlerowskich obozów koncentracyjnych, w Mauthausen. Jego współwięźniowie z tego okresu poświadczają, iż zarzekał się tam, że po wojnie nie chce już mieć nic wspólnego z polityką, że będzie troszczyć się tylko o rodzinę, domek i działkę. Nie wytrwał jednak w tym postanowieniu i w 1945 r. został pierwszym sekretarzem komitetu okręgowego KPCz w Pradze.

Pamiętam Novotnego już z tych czasów, z lat 1947 - 50. Większość okręgowych funkcjonariuszy KPCz widziała w nim wtedy raczej administratora niż polityka. Autorytatywną głową organizacji okręgowej był jej przewodniczący, Josef Krosnarz, a horyzontami politycznymi i zdolnościami organizacyjnymi przerastali Novotnego jego zastępcy, wśród nich zwłaszcza František Kriegel. Liczne drobne epizody z życia codziennego raczej nie wskazywały, by Novotny odznaczał się błyskotliwą inteligencją.

Awans Novotnego, wejście w skład sekretariatu KC, wiąże się z jego aktywnością w "demaskowaniu wrogów w partii", gorliwością podczas przygotowywania procesu sekretarza generalnego KPCz, Rudolfa Slanskiego, w latach 1951 - 52.

Novotny już urodził się chyba bez pewnych cech, które zazwyczaj ludzie posiadają. W krótkim okresie mej działalności w Prokuraturze Generalnej w Pradze widziałem urzędowe dokumenty świadczące o czymś niewiarygodnym: po straceniu działaczy skazanych na procesie Slanskiego ich mienie rozsprzedano za grosze między pozostałych przy życiu wysokich funkcjonariuszy - i przy tej okazji rodzina Novotnych /pani Bożena Novotna osobiście/ kupiła także bieliznę pościelową i chiński porcelanowy serwis po Vladimirze Clementisie!

W XX wieku w Europie trudno uwierzyć, że pierwszy sekretarz rządzącej partii i głowa państwa sypia na prześcieradłach należących uprzednio do człowieka, którego sam pomagał doprowadzić pod szubienicę. Ale tak było. I nie zaszkodziło tu nieporozumienie, nie było tak, że rodzina Novotnych być może nie wiedziała, co nabyła. W 1956 r. rozmawiałem o tym z panią Lidą Clementisovą i dowiedziałem się od niej, że ta chińska porcelana bardzo podobała się pani Novotnej, kiedy wraz ze swym mężem była u Clementisów z wizytą, jeszcze w czasach, gdy Clementis był ministrem spraw zagranicznych. No więc po jego egzekucji pani Bożena te cacka sobie kupiła.

Nie po to po dwudziestu latach wyłekałam tę brudną bieliznę /dosłownie!/, na widok publiczny, żeby szkalować Novotnego. Uważam jednak, że ten drobiazg lepiej od długich analiz różnych dowodów politycznych świadczy, jakie mógł mieć poczucie moralnej odpowiedzialności za procesy z ery stalinowskiej. Jakim człowiekiem był ten, kto w 1954 r., już jako szef całej partii, sam także decydował o wyrokach w kilku następnych procesach politycznych /w tym jednym zakończonym wyrokiem śmierci/.

W tym samym czasie, w 1954 r., bratanica Novotnego, wówczas studentka w Moskwie, opowiadała jednak w ścisłym kółku przyjaciół, jak Novotny pija kawę z jej ojcem, ścisła głowę w dłoniach i pochlipuje:

- Na tej funkcji to nie dam sobie rady, tego robić nie mogę, ja nie mam tych zdolności.

Wierzę, że myślał tak rzeczywiście. Gnębiła go obawa, czy nie zaszkodzi socjalizmowi, klasie robotniczej, sprawując funkcję, do której sam nie czuje się wystarczająco zdolny. Zakup prześcieradeł po Clementisie w jego umyśle nie kojarzył się jednak z interesami klasy robotniczej - toteż wcale się nad nim raczej nie zastanawiał.

Novotny był wprawdzie zbiurokratyzowany, stoczył się aż do zbrodni, lecz z pochodzenia mimo wszystko pozostał funkcjonariuszem robotniczym. Reprezentował charakterystyczną mieszankę przekonania o słuszności doktryny komunistycznej, o tym, że przynosi ona korzyści robotnikom, z politycznym szachrajstwem i z talentem do biurokratycznych intryg w walce o utrzymanie się przy władzy, w praktyce coraz to bardziej górujących nad pierwszymi motywami postępowania.

Będąc u szczytu władzy, kazał zbudować nad zalewem na Wełtawie, w pobliżu zamku Orlik, "ośrodek wypoczynkowy" dla najwyższej śmietanki. Na tym ogrodzonym, strzeżonym przez policję terenie stoją nowoczesne wille, wyposażone według standardu zachodnioeuropejskiego, a przydzielone w użytkowanie poszczególnym członkom politbiura, ambasadorowi sowieckiemu i innym dygnitarzom. Oddzielony od tego wszystkiego, na wzgórku, stoi samotny dom, w owym czasie nazywany w aparacie "orlim gniazdem" - obiekt rekreacyjny samego Antonina Nowotny. Nie naśladuje jednak willi zachodniego kapitalisty: jest imitacją czeskiej budowli wiejskiej, chłopskiej chałupy. Przed chatą stoi ogromna piwowska kufa, w której ustawiono krzesła i stół. I przy tym stole w niedzielę siadywał Nowotny ze swymi najbliższymi /nie według stanowisk, lecz osobistej przyjaźni/ i spędzał czas zgodnie ze swym zamiłowaniem - rżąc w mniarsza. To oczywiście także był snobizm elity, ale snobizm w wydaniu, do jakiego dochrapał się robotnik z Czakovic, dostrzegalny w tym wszystkim w potwornie skarykaturowanej postaci.

W ostatnich latach swych rządów Nowotny był przekonany, że na swej funkcji nie tylko daje sobie radę, ale radzi sobie po prostu wyśmienicie. Pewnego razu w prywatnej rozmowie następująco ujął swe credo polityczne:

- Ludzie nie muszą cię lubić, nie muszą się z tobą zgadzać - ale ważne jest, żeby się z tobą liczyli. A najważniejsze w partii: nie wolno ci dopuścić, żeby przeciwko tobie utworzyła się opozycja z lewa! Ta z prawa nic nie szkodzi, ale na lewo od ciebie żadna grupa nie może się utworzyć.

Dość proste to, lecz dla rzeczywistych warunków funkcjonowania systemu władzy w "realnym socjalizmie" wcale nie takie głupie. Jest to wyraz praktycznych doświadczeń biurokracji partyjnej w krajach bloku sowieckiego. Wie ona, że może rządzić niedemokratycznie, nie zważać na opinię publiczną, ale - że lekceważenie ludu też ma pewne granice: granice, poza którymi lud przestaje liczyć się z władzą, albo dlatego, że okazałaby się niezdolna zaspokajać jego elementarne potrzeby, albo dlatego, że okazałaby się słaba i niezdolna bronić swych własnych interesów. Credo zaś ideologiczne tej biurokracji partyjnej - nie pozwolić na opozycję z lewa, tj. samej być jedynym możliwym wariantem polityki lewicowej w oczach ludu - jest tylko dostosowaną do nowych warunków starą myślą Machiavellego: państwa trwają dlatego, że trwają przy idei, w której imię powstały.

Novotny bezsprzecznie był politykiem pragmatycznym i nawet nie usiłował udawać, że sam jest twórcą teorii i ideologii. Ideologia partyjna miała jednak dla niego wartość jak gdyby powszechnego kryterium słuszności polityki. Inna sprawa, co stanowiło dla niego całość kształtu "prawidłowości i nauk" tej ideologii i teorii - była to niewątpliwie kupa wulgarnych, oficjalnych broszurkowych dogmatów. Lecz jedno zasługuje w związku z tym na szczególne podkreślenie: koniec końców ta prymitywna figura, w istocie autorytatywna, nie przedstawiała samej siebie jako ostatecznego kryterium słuszności myśli i czynów, lecz uznawała istnienie kryterium nadrzędnego, któremu sama też czuła się podporządkowana - kryterium określonych idei oraz zasad, a nie jedynie siły.

Antonin Novotny należał jeszcze do tych dawnych funkcjonariuszy komunistycznych, dla których ideologia partyjna miała znaczenie głęboko osobiste: całe ich życie, ukształtowanie się ich osobowości, wszystko, co sami w swoim życiu cenią, jest dla nich następstwem faktu, że za najwyższą wartość uważali partyjną ideologię /nawet jeśli w wynaturzonej postaci/. Osobiście znam szereg takich funkcjonariuszy, dla których właśnie z tego powodu "partia jest wszystkim", którzy nawet po wykluczeniu z tej partii oświadczają: "Tym, czym jestem, uczyniła mnie partia" /w tej opinii nie brak też niezamierzonej ironii - w pewnym sensie jest ona przecież prawdziwa/.

Dla ludzi tego typu treść ideologii może jednak stać się obowiązującym kryterium dopiero wtedy, kiedy staje się ona oficjalną ideologią

partii, kiedy przebiera postać jej działań i dyrektyw. W imię ideologii partyjnej-ludzie ci mogą postępować zbrodniczo i nie uważać swych poczynań za zbrodnie, bo prócz systemu wartości zawartego w tej ideologii żadnego innego nie mają. Skoro zaś ideologia oficjalnie się zmieni, oni też skłonni są postępować inaczej i są szczerze zdziwieni, jeśli ktoś im wytyka ich poprzednią działalność. Tak więc np. Ladislav Koprziva, stary funkcjonariusz komunistyczny /moim zdaniem, tego samego gatunku, co Antonin Novotny/, który jako minister bezpieczeństwa aktywnie przygotowywał inscenizowane procesy na początku lat pięćdziesiątych, w 1963 r. oświadczył przed komisją partyjną:

- Tak, te aresztowania były sprzeczne z prawem, ale wtedy nie zwracało się na to uwagi, to dopiero później uchwalono, że trzeba trzymać się ustaw.

Znalazłszy się na szczycie hierarchii władzy i w istocie samodzielnie decydując, co jest oficjalną ideologią partyjną, taki człowiek nie jest skłonny wprowadzić do tej ideologii niczego, co stawiałoby jego przeszłość w złym świetle. W pewnych jednak, wyjątkowych okolicznościach może się na to zdobyć. Na Novotnego wywarło wpływ kilka takich szczególnych okoliczności.

W Związku Sowieckim, tj. w instancji stojącej nad Novotnym i ponad całą KPCz, za Chruszczowa ideologia oficjalna nabrała nowej, antystalinowskiej treści. Również Novotny - biurokrata znalazł się więc pod presją, która wymagała od niego zmiany dotychczasowej orientacji. Pod koniec lat pięćdziesiątych pozycja Novotnego w kierownictwie partii nie była jeszcze tak silna, żeby mógł zważyć winę za terror polityczny na innych i samemu nie ponieść przy tym szkody - lecz na początku lat sześćdziesiątych ten czynnik także się zmienił. Dwaj wybitni członkowie starego, gottwaldowskiego kierownictwa - Antonin Zapotocky i Vaclav Kopecky - zmarli. Rudolfa Baraka, który w walce o władzę wewnątrz politbiura usiłował wykorzystać winę Novotnego za procesy polityczne z zyskiem dla siebie, Novotny z biogospawieniem Chruszczowa wpakował do więzienia. Zamiast tych ludzi miał już w politbiurze nowych, przychylnych sobie: Jirzega Hendrycha, Drahomira Koldera i Michala Chudika; w sekretariacie miał po swej stronie nowego sekretarza, Vladimira Kouckiego; miał też nowego ministra spraw wewnętrznych, Lubomira Sztrougala. W kierownictwie KPCz sytuacja zmieniła się więc na niekorzyść tych, którzy byli osobiście odpowiedzialni za procesy z lat pięćdziesiątych: Novotny mógł sobie wreszcie pozwolić na konsekwentniejszą krytykę tych lat i konsekwentniejszą rehabilitację ofiar procesów politycznych, z realną nadzieją, że jego pozycja osobista nie tylko wskutek tego nie będzie oszabiona, lecz przeciwnie, okrzepnie. Ukonał tego w 1963 r. Winę zważył na trzech członków kierownictwa, którzy pozostali z ery Gottwalda - na Viliama Szirokiego, Karola Bacilka i Brunona Kohlera. Do prezydium partii wprowadził trzech nowych funkcjonariuszy - Alexandra Dubczeka, Jozefa Lenarta i Martina Vaculika.

Dopiero wtedy, w 1963 r., Novotny miał w kierownictwie KPCz taki stosunek się, jaki Chruszczow wytworzył sobie w Moskwie już pod koniec lat pięćdziesiątych, usuwając "grupę antypartyjną" złożoną z Mokotowa, Malenkowa, Bułganina i Kaganowicza, tj. z większości dawnego politbiura Stalina. Szczytowy okres władzy Novotnego wiąże się więc - choć brzmi to paradoksalnie - z wyeliminowaniem z kierownictwa KPCz ekipy gottwaldowsko-stalinowskiej. Dopiero teraz mógł przestać się obawiać, że prowadząc politykę chruszczowowską, zagrozi własnej pozycji, przestał dręczyć go koszmar, jakim musiała być dla niego przewlekła sytuacja, w której przez siedem lat /od 1956 r./ problem odpowiedzialności za procesy polityczne w dostrzegalny sposób zagrażał również jego pozostawaniu u władzy. Teraz miał rzeczywiście własne kierownictwo partii, złożone z ludzi, którym nie zawdzięczał swojego stanowiska, których - przeciwnie - on sam mianował tym, czym się stali.

Najdonioślejszy krok polityczny tego niezauważalnie ukształtowanego nowego kierownictwa KPCz polegał na tym, że na kryzys ekonomiczny, którego objawem było zawalenie się trzeciej pięcioletki już w pierwszym roku jej realizacji /w 1963 r./ zareagowało nie - jak dawniej - próbą powrotu do starych, zdyskredytowanych metod, lecz przeciwnie: chęcią pójścia dalej i bardziej konsekwentnie drogą reformy ekonomicznej, wprowadzenia "nowego systemu planowania i zarządzania gospodarką narodową". Istotą nowej linii było ograniczanie biurokratycznego centralizmu i wyzwalanie samodzielnej aktywności przedsiębiorstw państwowych, uwzględnienie wpływu rynku i dążenie do większej efektywności gospodarowania. Naruszyło to poważnie system totalitarnej dyktatury w sferze gospodarki - i stwarzało realne możliwości stopniowej reformy systemu również w innych sferach życia społecznego. Także skład personalny kierownictwa partii nadal zmieniał się na korzyść ludzi, stojących na pozycjach reformy gospodarczej: do prezydium KC KPCz wchodzi Oldrzych Czernik, a sekretarzem KC do spraw rolnictwa zostaje Lubomir Sztrougal.

Na kilka lat przed 1968r. nowotnowskie kierownictwo KPCz składa się już więc z ludzi, którym w znacznej większości nieobca jest myśl, że dalszy rozwój wymaga przemian i reformy. To samo odnosi się do wielu pracowników etatowego aparatu partyjnego, którzy w ówczesnych latach służyli temu kierownictwu. Sama myśl o niezbędności reform, samo przekonanie, że stary system kierowania społeczeństwem musi ulec zmianie, określa atmosferę tych lat także w aparacie władzy. Inna sprawa, jak kierownictwo i jego aparat wyobrażały sobie charakter takich przemian. Tu oczywiście przeważało dążenie do ograniczenia reformy we wszystkich sferach życia do takich kroków, które nie stanowiłyby zagrożenia dla pozycji nie tylko kierownictwa i jego aparatu, ale także większości konkretnych osób, mających jakieś znaczenie w tym aparacie. Ogólnie biorąc, w istotny sposób utrudniało to podjęcie jakichkolwiek praktycznych kroków reformatorskich i prowadziło do stanu, gdy o reformie głównie /w miarę możliwości nie publicznie/ myślano i mówiono, zamiast naprawdę dokonywać odpowiednich posunięć. Dominującą tendencją było najczęściej gromadzenie wszelkich argumentów mających udowodnić, dlaczego tego czy owego kroku zrobić nie można /albo w danej chwili, albo w ogóle w proponowanej postaci/. Ale ani kierownictwo partii, ani jego aparat koniec końców nie miały wątpliwości, że za jakiś czas i może w innej postaci, mimo wszystko reformy - i to także systemu politycznego - będą niezbędne.

Myślę, że przekonanie to podzielał również sam Antonin Novotny. Skoro udało mu się nie tylko utrzymać się, ale jeszcze umocnić swą pozycję na gruncie chruszczowskiej orientacji ideologicznej i politycznej - naprawdę i z całej duszy uznał tę orientację za własną. Z niej - już nie ze stalinowskiej ideologicznej przeszłości - sam dla siebie stworzył kryterium słuszności swego postępowania. Wewnętrzne przejście Novotnego na pozycje ideologii i polityki chruszczowskiej dokonało się jednak zbyt późno: pod koniec roku 1964 Chruszczow został obalony.

Wiadomo, że Novotny wraz ze swym politbiurem zdobył się wtedy na czyn, niebывały - na krytyczne zastrzeżenia przeciwko sposobowi, w jaki Breżniew przeprowadził swój antychruszczowski pucz na Kremlu. Protest ten do dziś często uważany jest raczej za komiczne kuriozum. Co do mnie, sądzą jednak, że ten "bunt" tradycyjnie posłusznego Moskwie wasala, jakim był Antonin Novotny, dowodzi, że dla niego osobiście przyjęcie w 1963 r. orientacji chruszczowskiej było krokiem do tego stopnia doniosłym, że musiał się bronić, kiedy zdawało się, że nowy kierunek wydarzeń w Moskwie zagrozi również jego metamorfozie.

Od 1964 r. mamy więc paradoksalną sytuację: za rządów Novotnego, powszechnie uważanego za posłuszną moskiewską marionetkę /wśród ludu charakteryzowano go wierszykiem: "Nasz Antonin Novotny - do wszystkiego ochotny"/,

nie tylko w czechosłowackim społeczeństwie, ale również w samej KPCz oraz w strukturach władzy politycznej rozwija się dopiero w pełni reformistyczna krytyka antystalinowska, podczas gdy w Moskwie kamaryla Breżniewa coraz jawniej odchodzi od niej, spycha ją na dalszy plan, ożywiając coraz więcej elementów stalinizmu, wznaga to nieuchronnie utajone, na zewnątrz nie dostrzegalne rozbieżności między Novotnym a Moskwą.

Nieprzychylność Breżniewa Novotny odczuwa jako niebezpieczeństwo. W 1967 r. prawdopodobnie spróbował znaleźć w Moskwie samodzielną siłę, na której chciał się oprzeć: zbliżył się do grupy marszałkowskiej, skupionej wokół dowódcy Paktu Warszawskiego, Jakubowskiego, która stała bliżej Szelesta niż Breżniewa. Pozycja samego Breżniewa była w Moskwie roku 1967 jeszcze niepewna, toteż niektórzy wasale stawiali raczej na inne ugrupowania w moskiewskiej hierarchii władzy. W Novotnym troska o zachowanie własnej pozycji zaczyna znów przeważać nad przemianą ideologiczną w duchu chruszczowowskim. Znowu stara się "przykręcić śrubę" w polityce wewnętrznej i począwszy od lata podejmuje szereg kroków w tym kierunku: występuje przeciw pisarzom i reformistycznym intelektualistom, przeciw tym, którzy krytykowali go w samym KC, przedsięwzięła rozmaite akcje policyjne itd.

Wzrasta wpływ grup funkcjonariuszy armii oraz bezpieczeństwa, orientujących się na moskiewskie "jastrzębie", a w KC KPCz reprezentowanych przez kierownika wydziału wojska i bezpieczeństwa, Mirosława Mamulę. Breżniew śledzi to wszystko siłą rzeczy z rosnącym niezadowoleniem. I gdy Novotny zaprasza go w grudniu 1967 r. do Pragi, mimo wszystko spodziewając się po nim poparcia przeciw opozycji w KC KPCz, on słynnym zdaniem "Eto wasze dzieło" zostawia wolną rękę właśnie tej opozycji. Ponieważ trudno sobie wyobrazić, by Breżniew życzył sobie takiej zmiany po to, żeby mogło dojść do "Praskiej Wiosny", przeciw której wysłał w końcu swe czołgi, pozostaje jedno wytłumaczenie: chciał obalenia Novotnego, gdyż ten nie był już dostatecznie posłusznym, odpowiednim narzędziem jego osobistej polityki/x/.

Novotny nie miał wykształcenia, zastępowała mu je przypadkowa mieszanina wiadomości, które zdobył w związku ze sprawowaniem swych funkcji. W odczytywanych przezeń tekstach przemówień obca słowa zawsze musiały być pisane fonetycznie, żeby uniknąć blamażu. Prezydent cierpiał na kompleks częsty u ludzi niewykształconych. Był mściwy wobec każdego, kto pozwalał sobie na aluzje do luk w jego edukacji. Jego kompleks miał jednak także odwrotną stronę, w praktyce raczej pozytywną: czuł szacunek dla wykształcenia, był przekonany, że wykształcenie i nauka są komunizmowi niezbędne. Wobec inteligencji potrafił być grubiański, władczo niegrzeczny, lecz na ogół szanował ją. Pochlebiało mu także, gdy mógł stykać się z czołowymi jej przedstawicielami. Urządzał spotkania z pisarzami i artystami - oczywiście nieprzypadkowo właśnie w Lanach, gdzie przed wojną odbywały się spotkania intelektualistów z T.G. Masarykiem.

/x/ Wielcy dostojnicy oczywiście zawsze jeżdżą na wizyty z zespołem swoich pomocników z aparatu. Z rozmów pomocników Breżniewa z pomocnikami Novotnego wiem, że przed odjazdem do Pragi Breżniew pytał wtedy swojego pomocnika, eksperta od spraw Czechosłowacji: "Kto u nich w gruncie rzeczy jest drugi?". Lepiej poinformowany o stosunkach w Pradze pomocnik mógł mu jednak tylko powiedzieć, że w istniejącej sytuacji wcale nie jest to takie jasne. "No dobrze" - zamknął sprawę szef KPZS. Widocznie uznał wówczas, że koniec końców nie jest aż tak ważne, czy będzie to Hendrych, Lenart, Dubczek, czy ktoś inny. Swego poglądu nie zmienił nawet po osobistych rozmowach z członkami kierownictwa KPCz. Stąd jego tydzieńskie słowa "to ważna sprawa".
/Przyp. aut./.

W polityce Novotny często był wrogiem reformistycznych intelektualistów komunistycznych, zwłaszcza jeśli nie chcieli podporządkować się jego wskazanom i respektować jego władzy. Zarazem jednak raczej starał się ich pozyskać, niż zdławić, pragnął wciągnąć ich wszystkich do "partii politycznej" - a nie w ogóle odsunąć od politycznej aktywności. Chciał, by inteligencja była zarówno ozdobą jego panowania, jak i "instrumentem budowy komunizmu". Zależnie od tego, czy zdawało mu się, że to osiąga, czy przeciwnie - że intelektualiści niweczą jego zamiary - polityka Novotnego wobec inteligencji oscylowała między pochwałami, preferancjami i korupcją a zastraszaniem i represjami.

Tę jego politykę wobec inteligencji w praktyce prowadzili, konkretyzowali i modyfikowali przede wszystkim dwaj sekretarze KC - Jirzi Hendrych i Vladimír Koucky. W odróżnieniu od Novotnego obaj mieli niejako wykształcenie, nie ukończoną wyższą uczelnię. Byli też naturalnie inteligentniejsi. Moim zdaniem, Koucky był w ogóle najinteligentniejszym członkiem kierownictwa partii za Novotnego. Studiował kiedyś logikę i matematykę, był zdolny do myślenia abstrakcyjnego, znał kilka języków i miał dużą wiedzę o świecie i kulturze. Obydwaj zaczęli swą drogę polityczną jako komunistyczni dziennikarze - Hendrych jeszcze przed wojną, Koucky zaś w podziemnym "Rudym Pravie" podczas wojny. W 1945 r. mieli około trzydziestki. W latach pięćdziesiątych za Stalina, nie wchodzili w skład najwyższego kierownictwa KPCz. Samodzielniejszy wpływ na politykę partii uzyskali dopiero po 1956 r., swą przyszłość polityczną i karierę łączyli z chruszczowską linią ideologiczną i polityczną.

Obaj należeli do ludzi, którzy w latach sześćdziesiątych kształtowali politykę Novotnego z wszystkimi jej sprzecznościami, lecz niewątpliwie mieli istotny wpływ na to, że owa polityka jako całość coraz wyraźniej rozwijała się jako polityka chruszczowska. Byli oczywiście "ludźmi Novotnego": to on wprowadził ich na stanowiska, do najwyższej biurokracji partyjnej. Lecz także po Novotnym nie byli bez przyszłości. Przeciwnie, z racji pokoleniowych i politycznych na odejściu Novotnego mogli jedynie zyskać - co prawda, pod warunkiem, że także wtedy zostanie zachowana w KPCz zasadnicza ciągłość jej polityki.

Ideologia komunizmu reformistycznego w KPCz wyrastała w latach sześćdziesiątych nie tylko za ich wiedzą, ale także przy ich poparciu. Gdyby nie bezpośrednie poparcie i ochrona ze strony Hendrycha, Radovan Richta nigdy nie mógłby rozwijać w swoim zespole badawczym ideologicznej wizji rewolucji naukowo-technicznej i wywierać przez to wpływu na oficjalną ideologię partyjną w duchu reformistycznym. Bez poparcia Hendrycha i Kouckiego ja też nie mógłbym propagować mego ujęcia reformy systemu politycznego, nie byłaby możliwa oficjalnie popierana praca zespołu politologicznego, który opracował ogólną koncepcję tej reformy w 1967 r. A ponieważ myśli przyświecające wtedy obu tym zespołom są w istocie całkowicie zgodne z myślami, które wiosną 1968 r. wpisano w Program Działania KPCz, w imię prawdy trzeba powiedzieć, że gdyby Hendrych i Koucky już przedtem, w latach reżimu Novotnego, nie umożliwili skupienia się na tej platformie ideologicznej szerokich partyjnych kolektywów, wysiłki reformistycznych komunistów nie doprowadziłyby także do powstania tego programu w jego znanej postaci.

Dlaczego więc "Praska Wiosna" zmiotła ze sceny Hendrycha i Kouckiego, jeżeli jednocześnie pozostawiła na niej chociażby Drahomira Koldera i Lubomira Sztrougala, dwóch innych sekretarzy KC z okresu Novotnego, jeśli pozostawiła Jozef Lenarta, który za Novotnego był premierem, i jeśli z Alexandre Dubczeka i Oldřicha Czernika, też członków novotnowskiego politbiura, zrobiła bohaterów narodowych? Myślę, że odpowiedź jest prosta. Związany z obaleniem Novotnego przewrót wewnątrzpartyjny w pierwszej fazie przebiegał tak, jak to odpowiadało reżimowi totalitarnej dyktatury i jej gabinetowej polityce: za zamkniętymi drzwiami sekretariatów, jako walka

o władzę na szczytach biurokracji partyjnej. Jak wszystkie podobne przewroty, musiał poświęcić tych, przeciw którym można było oczekiwać więcej zastrzeżeń w społeczeństwie, by uratować tych, przeciw którym zastrzeżeń było mniej, bo byli społeczeństwu niemal nie znani. Hendrych i Koucky przez wiele lat działali na odcinku oficjalnej ideologii partii: niepopularne akcje przeciw prasie, pisarzom i kulturze w ogóle, powszechnie znane wypadki dławienia krytyki wiązały się z ich aktywnym osobistym udziałem. Było jasne, że nowe kierownictwo nie zyska zaufania opozycyjnej inteligencji partyjnej - a to znaczyło po części także: poparcia dziennikarzy - jeżeli nie pozbędzie się tych publicznie skompromitowanych osób. I odwrotnie: upadek Hendrycha i Kouckiego odciągał uwagę od profilu politycznego niektórych innych karier: awans Vasil Bilaka, Aloisa Indry i Miroslava Jakesza nie napotkał oporu ze strony ludzi, którzy upadek Hendrycha i Kouckiego uważali za swe zwycięstwo.

W ciągu czterech lat pracy w komisji prawnej KC KPCz Vladimira Kouckiego poznałem dosyć dobrze. Pamiętam szereg konkretnych sytuacji, gdy było zupełnie oczywiste, że postępuje wbrew swym poglądom i niezgodnie z sumieniem. Ten człowiek, w życiu prywatnym entuzjastycznie się twórczością Vaclava Havla /pamiętam, jak prywatnie wychwalał "Zawiadomienie"/x//, publicznie nie tylko w imieniu oficjalnej ideologii ferował wyroki śmierci na różne ówczesne utwory literackie i filmy, lecz nawet przed wernisażami na niektórych wystawach własnoręcznie zdejmował ze ścian "szkodliwe ideologicznie" obrazy. Ściany jego mieszkania jednak zdobiły dzieła bynajmniej nie socrealistów, ale malarzy nowoczesnych.

Koucký był bodajże jedynym członkiem kierownictwa KPCz, który już w połowie lat sześćdziesiątych pokładał nadzieje w ewolucji Włoskiej Partii Komunistycznej i spodziewał się, że związanie się z prądami dziś występującymi publicznie jako eurokomunizm mogłoby stanowić silne oparcie również dla ruchu reform w Czechosłowacji. Idea wzajemnego wsparcia europejskich partii komunistycznych - niezależnie od tego, czy są partiami rządzącymi - wiązała się dla niego z perspektywą większych możliwości reformistycznego rozwoju KPCz. Dla opinii publicznej jednak właśnie on był chorążyym promoskiewskiego "proletariackiego internacjonalizmu".

Vladimir Koucky charakter i sumienie złożył w ofierze swym kalkulacjom politycznym. Latami usiłował zostać członkiem prezydium partii: był sekretarzem, lecz w skład prezydium nie wchodził. Żeby osiągnąć ten ostatni szczebel partyjnej drabiny, wysługiwał się Novotnému i wykonywał "czarną robotę w kulturze, w nauce, wśród inteligencji. Polityka, jako taka do tego stopnia złała się dla niego z gabinetowymi intrygami wsparcie władzy, że przestał dostrzegać granicę, za którą nie podobna już naprawić tego, co sprawił, - wiedziony pragnieniem biurokratycznej kariery. Granicę, za którą społeczeństwo nie interesuje się już, co właściwie myśli sobie człowiek skłonny zrobić de facto wszystko, wbrew własnym przekonaniom i sumieniu.

Ludzi zajmujących się polityką, a jednocześnie liczących się ze swym sumieniem, Koucky uważał za przedstawicieli typu ekstrawersyjnego, podczas gdy siebie miał za introwertyka. W rzeczywistości jednak było odwrotnie: zanurzył się wprawdzie w sobie, lecz o jego postępowaniu decydowały głównie bodźce zewnętrzne, czyli akurat to, co charakteryzuje ekstrawertyków.

W kwietniu 1968 r., przed posiedzeniem KC, które miało zadecydować o odwołaniu go z funkcji sekretarza, Koucky rozmawiał ze mną o tym, czy nie powinien dobrowolnie ustąpić ze stanowiska. Z jego słów widać było, że nie rozumie swej sytuacji: dlaczego teraz, gdy chodzi o reformę, której on

/x/"Zawiadomienie" /"Vyrozuměni"/ - sztuka V. Havla z 1965 r.

przecież chciał i którą też przygotowywał, ma odejść? Dlaczego teraz, kiedy międzynarodowe powiązania polityki KPCz będą miały znacznie większe znaczenie, niż dotychczas, ma odejść on, mający doświadczenie i kontakty w tej dziedzinie? O znaczeniu kontekstu międzynarodowego nowej, dubczekowskiej polityki mówił bardzo przewidująco, najważniejsze problemy widział tu niewątpliwie o wiele jaśniej i lepiej, niż ktokolwiek z nowego kierownictwa, z Dubczkiem włącznie. Naprawdę nie pojmował, czemu tylko z tego powodu, że mają doń awersję komuniści w placówkach naukowych, pisarze, artyści i dziennikarze, że nie lubią go poniektórzy Słowacy /bo w stosunku do pewnych spraw słowackich też był w przeszłości narzędziem Novotnego/, nie mógłby nadal być sekretarzem zajmującym się sprawami międzynarodowymi.

Radziłem mu, żeby ustąpił ze stanowiska, ale mówiłem to z mieszanymi uczuciami. Wiedziałem, że nie jest zdeklarowanym stalinowcem i że naprawdę mógłby pracować dla reformy. Wiedziałem jednak także, że nie może się utrzymać. Zrzekł się funkcji i został odsunięty na boczny tor - pojechał jako ambasador do Moskwy: w 1968 r. oraz w jego wypadku było to wyeliminowanie z polityki, gdyż spraw między Pragą a Moskwą nie załatwiano za pośrednictwem ambasadora, a po za tym jego samego nie darzyła niezbędnym zaufaniem ani jedna, ani też druga strona.

Także po 1968 r. Koucky wyraźnie nie zrozumiał niczego ważniejszego ze swej przeszłości. W styczniu 1969 r. na posiedzeniu KC KPCz pierwszy wystąpił z wnioskiem o anulowanie uchwały prezydium partii z 21 sierpnia 1968 r., potępiającej zbrojną interwencję sowiecką jako akt sprzeczny z prawem międzynarodowym. Jestem głęboko przekonany, że sam bynajmniej nie uważał interwencji za zgodną z prawem. Spodziewał się jednak, że za tę cenę wróci do polityki. Również wtedy nie pojął, że zapierając się charakteru nie zdobędzie poparcia tych, którzy także zrezygnowali z charakteru lub go wcale nie mają, lecz w odróżnieniu od niego są już u władzy: dla nich mógł być jedynie nieprzewidzianym konkurentem w walce o szczyble tej władzy.

Podobnie jak Koucky, Jirži Hendrych ostatecznie też padł ofiarą swych własnych kalkulacji i machinacji w świecie biurokratycznego aparatu. Był mistrzem politycznych kompromisów - lecz tylko w kuluarach struktur władzy, nie w polityce robionej jawnie. W aparacie partyjnym mówiło się o nim jako o człowieku, który potrafi "zrobić z jeża kulę", potrafi zaokrąglić kolce wszelkich rozbieżności. Dla szerszych kręgów - i to również partyjnych - był jednak głównym oparciem i niewątpliwym reprezentantem rządów Novotnego w KPCz. Kolca, na który sam się nadział po styczniu 1968 r., nie umiał już przygładzić. Swą sytuację rozumiał jednak lepiej, niż Koucky, na swój sposób pogodził się z nią i przeszedł na emeryturę. Także po sowieckiej inwazji nie starał się tego stanu zmienić.

Teraz, pod rządami Husaka, spotykają go czasem na ulicach Pragi jego dawni znajomi, komuniści reformistyczni - ci, którzy myją okna, pracują dorywczo lub pobierają rentę inwalidzką. Hendrych przystaje z nimi na chwilkę pogawędki - i nigdy nie pominie okazji, by serdeczną rozmowę zakończyć jakimś uszczypliwym pytaniem, jak chociażby:

- No jak, ciągle nie podobają się wam lata sześćdziesiąte?

Po opublikowaniu "Karty 77", w atmosferze wściekłej kampanii reżimu przeciwko jej sygnatariuszom, jeden z nich spotkał na ulicy Hendrycha. Jego ocena "Karty" była nadzwyczaj zwięzła:

- Jeszcze wam mało? Donkiszoci, donkiszoci!

Życie jest i było barwniejsze i bogatsze w paradoksy - i to również w elicie władzy Antonina Novotnego - niż zdaje się po latach, zwłaszcza gdy posługiwać się uproszczonymi schematami. Orientacja reformistyczna w KPCz lat sześćdziesiątych nie była jednolitym, nie zróżnicowanym prądem, którego przedstawiciele, sympatycy i obrońcy tworzyłiby zwarty front opozycyjny przeciw novotnowskiemu kierownictwu partii. Półoficjalna orientacja reformistyczna była charakterystyczna dla atmosfery tego okresu także w samych strukturach władzy dyktatury.

"Praską Wiosną" przeżyłem w tych ówczesnych strukturach władzy, które nie tylko obserwowałem z bliska i od środka, ale też sam starałem się przekształcić. Ówczesny świat władzy również był składnikiem "Praskiej Wiosny". Wyglądał jednak w rzeczywistości znacznie mniej wzniosłe, niż mogłoby się zdawać ze słów, które pozwolił swobodnie głosić w prasie i telewizji.

Rozdział II

"PRASKA WIOSNA" W ŚWIECIE RZĄDZĄCYCH

Dziennikarze, którzy w 1968 r. oceniali historię w takim tempie, żeby swoje oceny ogłosić już nazajutrz w gazecie, dla jasności obrazu podzielnili komunistów czynnych w okresie "Praskiej Wiosny" na postępowych, centrystów i konserwatystów.

Mnie zaliczano zazwyczaj do centrystów. Nie przeszkadzało mi to zbytnio, wiedziałem, czemu tak było: Broniełem prawa władzy państwowej do ingerowania w wolność prasy, ilekroć interes polityki państwa wymagałby takiej ingerencji, oczywiście pod warunkiem, że stawałaby o tym precyzyjnie ustawa, a realizowałaby to sąd. Przeciwwstawiałem się temu, żeby wiosną 1968 r. mogły powstać nowe stronnictwa polityczne. Chciałem jak najszybszego zwołania zjazdu partii i przeprowadzenia wyborów, choć wielu uważało, że zakończy to przedwcześnie burzliwy rozwój ruchu demokratycznego, a zatem trzeba te akcje odroczyć, itd.

Później, gdy na czechosłowacką scenę polityczną wtoczyły się sowieckie czorgi i niejedna rzekoma skala okazała się tylko kupką błota, miałem aż nadto okazji oglądać ewolucję niektórych osób do niedawna jednoznacznie uznawanych za "postępowców": Oldřicha Czernika, Czestmířa Cisarza, Gustava Husaka - ale także Radovana Richty czy Jiržego Szotoli/x/, że o wielu "postępowcach" w Słowacji nawet nie wspomnę.

A jednak swe wspomnienia o 1968 r. zaczynam od tego właśnie problemu - i jak widać, do dziś mówię o nim z pewną goryczą. Nie wynika ona z motywów osobistych, lecz ma uzasadnienie rzeczowe: mierziło mnie wtedy i mierzi po dziś dzień, że tak mało jest w Czechach zrozumienia dla polityki jako sztuki robienia tego, co możliwe, właśnie w sytuacjach, w których dałoby się chyba stosunkowo wiele polepszyć, ale mimo wszystko nie można w ciągu jednej nocy przekształcić zaświeconych latami narodowych stajni Augiasza w "istny raj na ziemi". Mierziło mnie i mierzi, że tylu inteligentnych, uczciwych i ofiarnych ludzi tak dąży do zrealizowania nie dającej się urzeczywistnić utopii, że w końcu traci możliwość poprawy również tego, co zapewne naprawdę dałoby się polepszyć. I że dopiero w kociokwiku, jaki potem przychodzi, zaczyna się gmeranie w strzępkach nadziei i żałośnie zastanawianie się, czy to wszystko nie mogłoby potoczyć się inaczej, gdyby...

Muszę jednak od razu na początku otwarcie powiedzieć, że dziś, po doświadczeniach niemal dziesięciu lat od czasu "Praskiej Wiosny"/xx/, naprawdę nie uważam, że miałem wtedy na wszystko odpowiednią receptę. Wcale nie jestem dziś przekonany, że nawet gdyby wszystko przebiegało zgodnie z moimi ówczesnymi wyobrażeniami o realnych możliwościach rozwoju, byłoby można osiągnąć cele, jakie sobie wówczas stawiałem. Chyba również

/x/ Radovan Richta - wspomniany już w rozdziale I czeski futurolog, autor m.in. znanej książki "Cywilizacja na rozdrożu"; Jirži Szotola - poeta, tłumacz i prozaik.

/xx/ Wydanie oryginalne tej książki ukazało się w 1978 r.

by się to nie udało: byłoby chyba dzisiaj w Czechosłowacji mniej demokracji politycznej, niż sądziłem, że mogłoby realnie być. Byłoby także jasne, że komunizm reformistyczny nie jest optymalnym znalezionym rozwiązaniem. Ale Czesi i Słowacy żyliby może w warunkach, w których takiego rozwiązania - nawet jeśli dopiero w dalszej perspektywie - mimo wszystko mogliby szukać lepiej, niż dziś. I ich życie, normalne, codzienne ludzkie życie, które przecież nie polega wyłącznie na rozwiązywaniu historycznych problemów o światowym znaczeniu, byłoby chyba bliższe życiu w Europie pod koniec XX wieku, niż jest dzisiaj.

Ale możliwe, że nawet tak by nie było. Możliwe, że również reformy w granicach, które uważałem za dopuszczalne, stałyby się powodem takiej samej "bratniej pomocy" Moskwy. W takim zaś razie byłoby to w istocie jeszcze gorsze niż dzisiaj. Naród nie miałby bowiem nawet wspomnień o czasie, gdy niemożliwe zdawało się możliwym. Byłoby tylko absolutnie jasne, że Moskwa zdławi przemocą nie tylko próbę wprowadzenia demokracji pluralistycznej, w której komuniści podlegaliby prawom demokratycznych wyborów powszechnych, lecz także takie reformy, po których komuniści panowałiby wprawdzie nadal, ale już bez totalitarnej dyktatury, jaką uznaje się na Kremlu.

Lecz dość już prorocत्व - wracajmy do rzeczywistości. Podobnie jak lata poprzednie, również rok 1968 chcę przedstawić w tej książce nie z punktu widzenia obiektywnej analizy sytuacji i jej możliwości, lecz tak, jak sam go widziałem. Tak samo jak dotychczas, ukazuje więc tylko mały wycinek ówczesnej rzeczywistości społecznej i politycznej, wybierając to, co wydaje mi się ważne w mojej własnej ocenie.

x x x

Dla mnie osobiście upadek Novotnego był niespodzianką. Przewidywałem, że do zmiany kierownictwa dojdzie dopiero na krótko przed zjazdem partii, który miał odbyć się w 1970 r. Że nie na samym zjeździe, to było oczywiste, gdyż zjazdy rządzących partii komunistycznych tradycyjnie jedynie potwierdzają przewroty, które dokonują się przed nimi, i służą do tego, żeby nowo intronizowany władca mógł utworzyć już według swego gustu cały nowy KC. Zgodnie z takim przewidywaniem planowałem też od początku 1967 r. pracę zespołu badawczego w akademii nauk: spodziewałem się, że do czasu zjazdu w 1970 r. wynikiem prac powinny być koncepcyjne propozycje dla nowego kierownictwa, stymulujące rozwój systemu politycznego w kierunku demokracji.

W styczniu 1968 r. zespół ten miał za sobą niecały rok pracy. Rezultatem jej było już jednak pewne ogólne pojęcie o problemach, które należało rozwiązać teoretycznie, a następnie również praktycznie, jeśli rozpoczętej reformie ekonomicznej miałyby towarzyszyć także reforma polityczna/x/. Rozumiałem już wtedy, że jeżeli reforma systemu politycznego ma mieć rzeczywiste znaczenie, musi nadwerżyć system totalitarnej dyktatury. Wiedziałem także, jakie mniej więcej kroki mogą do tego doprowadzić. Za jedyne możliwe rozwiązanie praktyczne uważałem przekształcenie istniejącego systemu totalitarnej dyktatury w pluralistyczną demokrację w taki sposób, żeby rządząca do tej pory monopolistycznie po dyktatorsku partia komunistyczna dopóty nie utraciła hegemonii, dopóki mechanizmy systemu demokratycznego nie ukształtują się i nie zaczną funkcjonować na co dzień. A był to przecież wielki problem.

Wiem, że niektórzy rozwiązanie tego problemu uważają z góry za niemożliwe, widząc w nim nonsensowną chęć rozwiązania kwadratury koła. Nie

/x/. Nie tu miejsce na bardziej szczegółowe przedstawienie uwag teoretycznych będących wynikiem działalności zespołu. Mówię o tym w pracy "Czechosłowacka próba reformy 1968 r.", wydanej przez "Index" w Kolonii w 1975 r., zwłaszcza na s. 84 - 107. /Przyp. aut./.

podzielałem tego poglądu. Dziś także nie uważam problemu za generalnie nierozwiązalny: skoro można było zreformować system dawnej faszystowskiej dyktatury Franco i przekształcić go w system demokratyczny bez ludowego powstania, musi to być możliwe również w odniesieniu do systemów dyktatorskich proveniencji stalinowskiej. Niezbędny jest jednak - tak samo jak w Hiszpanii - zespół niezmiernie sprzyjających warunków wewnętrznych i międzynarodowych. Otóż w Czechosłowacji w 1967 r. z ekonomicznego, socjologicznego, prawniczego oraz historycznego punktu widzenia zdawało się, że istnieje bardzo wiele wewnętrznych przesłanek powodzenia takiego eksperymentu.

Dokonywana już w praktyce reforma ekonomiczna stwarzała sytuację, w której możliwa była zmiana systemu politycznego. Trzeba tu wskazać na cztery główne punkty:

1. Reforma sprawiała, że niepotrzebne stawało się istnienie gigantycznego aparatu państwowego, kierującego dyrektywnie każdym krokiem w życiu gospodarczym. Z wyjątkiem organów centralnego planowania długookresowego, aparat ten można było stopniowo przekształcać w aparat administracyjny przedsiębiorstw i zjednoczeń oraz oddzielić go od państwowego aparatu politycznego.

2. Wiązała się z tym również ściśle możliwość wyeliminowania problemów dyrektywnego kierowania gospodarką z działalności partii rządzącej i jej aparatu. Pozwoliłoby to zredukować mianem aparatu partyjny, w którym dyrektywne ingerencje w ekonomikę stanowiły około dwóch trzecich całej pracy, a jednocześnie sprowadzić samą partię jako organizm społeczny na płaszczyznę właściwej działalności politycznej, programowej.

3. Reforma tworząca z socjalistycznych przedsiębiorstw samodzielne podmioty aktywności ekonomicznej, które muszą liczyć się z prawidłowościami rynku i dbać o efektywność produkcji, prowadziła zarazem do wzrostu roli kadr o wysokich kwalifikacjach fachowych. Stawianie kwalifikacji wyżej od "pewności politycznej" naruszyłoby podstawy mechanizmu totalitarnej dyktatury. Gdyby ta dyktatura utraciła możliwość uzależniania przywilejów i położenia materialnego ludzi od kryterium "pewności politycznej" - zawaliłby się jeden z głównych jej filarów.

4. I wreszcie reforma ekonomiczna podlegała za sobą potrzebę nowego ustawienia roli zarówno związków zawodowych, jak i załóg robotniczych w kierowaniu fabrykami i przedsiębiorstwami: załogi miały ponieść bezpośrednio konsekwencje złego gospodarowania, obniżałoby ono ich premie /udział w zysku/, musiały więc otrzymać prawo wywierania w jakiejś formie wpływu na zarządzanie. Stąd nacisk na rozwój samorządu robotniczego w szerokim rozumieniu, nacisk na utworzenie jakiejś formy organów samorządowych w przedsiębiorstwach i w ogniwach wyższego szczebla.

W strukturze naszego społeczeństwa nie było takiej klasy czy warstwy, którą jej pozycja socjalna tak zasadniczo przeciwstawiałaby innym klasom lub warstwom, że dla ochrony swych interesów potrzebowałaby totalitarnej dyktatury. Również biurokracja jako całość nie miała takiego charakteru. Najliczniejszy jej składnik, pion zajmujący się kierowaniem produkcją i usługami społecznymi, z systemem dyktatorskim nie był związany nawet swymi przywilejami: system demokratyczny także by go zachował, pod pewnymi względami /odrzucając kryterium "pewności politycznej"/ poprawiając położenie wielu jego pracowników. Biurokracja związana z przywilejami z dyktaturą ograniczała się do ludzi bezpośrednio zaangażowanych w realizację władzy politycznej i jeśli była poważniejszą siłą, to bynajmniej nie wskutek liczebności lub znaczenia dla samego systemu społecznego, lecz jedynie dzięki silnej pozycji w systemie dyktatury. Relatywna równość socjalna społeczeństwa była znacznie korzystniejszą podstawą demokratycznych reform politycznych niż kiedykolwiek przedtem. Z punktu widzenia struktury wieku większość ludności stanowiły już pokolenia, których większa część życia wiązała się ze stosunkami społeczno-politycznymi panującymi po 1945 i 1948 r. Pokolenia panujące społecznie i politycznie do 1948 r. /tj. ów-

czesne czterdziestolatki/ były już w wieku emerytalnym. Zmniejszało to bardzo możliwość, że konflikty między ówczesnymi zwycięzcami i pokonanymi w razie upadku totalitarnej dyktatury KPCz znów stałyby się istotną tendencją polityczną. Wszystkie warstwy społeczne partycypowały w sprawowaniu władzy w stopniu mniej więcej jednakowo małym. Na demokratyzacji struktur politycznych zyskiwały więc wszystkie - traciła tylko wąska grupa biurokracji w aparacie władzy politycznej.

Z historycznego punktu widzenia też wszystko świadczyło na korzyść reform demokratycznych: totalitarna dyktatura była systemem obcym, importowanym z zagranicy /z ZSSR/, podczas gdy na krajową tradycję historyczną ostatniego pięćdziesięciolecia składały się przede wszystkim dążenia do pluralistycznej demokracji.

Ocena z punktu widzenia państwowoprawnego, jak i rozważania politologiczne o strukturach systemu politycznego także przemawiały na rzecz demokratycznej reformy. Pewne doniosłe kroki w kierunku państwa prawnego można było poczynić już na bazie istniejących norm konstytucyjnych i prawnych: same te normy były zwykle sformułowane tak szeroko, że pozwalały na różną, wzajemnie przeciwstawną praktykę - można je było interpretować na korzyść państwa prawnego. Jest to powszechna cecha norm prawnych i konstytucyjnych w reżimach totalitarnych typu sowieckiego, gdyż w odróżnieniu od dyktatur typu faszystowskiego te dyktatury na zewnątrz podają się za systemy demokratyczne, w związku z czym w swoim prawie ogólnikowo i formalnie proklamują liczne zasady demokratycznego ustroju państwowego. Właściwie cały system podziału władzy w państwie i sprawowania nad nią kontroli można było w praktyce zacząć rozwijać nie zmieniając obowiązującej konstytucyjnej pozycji wybieralnych organów przedstawicielskich, organów wykonawczych oraz organów sędziowskich. Według litery prawa sądy są niezależne, a wszystkie organy wykonawcze, z rządem włącznie, są podporządkowane wybieralnemu ciałom przedstawicielskim typu parlamentarnego. Przestrzegając takich obowiązujących formalnie ustanowień w praktyce i reformując ordynację wyborczą można było znacznie nadszarpiąć system totalitarnej dyktatury, nie poruszając na razie problemu nieistnienia kilku stronnictw politycznych.

Tego rodzaju reformy, uzupełnione systemem organów samorządu w socjalistycznych przedsiębiorstwach i w sferze gospodarczej w ogóle, jak również rozwojem samodzielnej aktywności związków zawodowych i innych organizacji społecznych powołanych do obrony interesów swych członków, wydawały mi się realnym, a przy tym bardzo skutecznym wyjściem z sytuacji. Zakładałem, że kiedy tak zreformowany system polityczny będzie już przez jakiś czas funkcjonować, sama praktyka jego działania wskaże najlepsze i najskuteczniejsze drogi dalszych przemian.

Zarazem rozważania natury prawniczej i politologicznej jednoznacznie wskazywały także możliwość realnego rozszerzenia w analogiczny sposób praw i swobód obywatelskich i politycznych poszczególnych obywateli. Również tutaj już samo konsekwentne przestrzeganie szeregu obowiązujących norm prawnych stwarzało wielkie możliwości zmian. Chodziło przede wszystkim o dokonanie przełomu w praktyce polegającej na tym, że we wszelkich kontaktach między instytucjami a obywatelami instytucje zawsze, od lat, znajdowały się w lepszej sytuacji, obywatele zaś nie mogli w stosunku do nich korzystać z przysługujących im formalnie uprawnień. Nowego, zgodnego z duchem reformy, uregulowania prawnego wymagały niektóre zagadnienia związane z wolnością słowa i wolnością poruszania się /np. trzeba było anulować niektóre artykuły kodeksu karnego, ograniczające wolność słowa i informacji, wprowadzić powszechne prawo do paszportu itp./.

Bardzo poważne problemy polityczne wyłaniały się jednak już w toku teoretycznych rozważań o wolności druku i wolności zrzeszania się. Podstawowe znaczenie obu tych swobód dla całego procesu przekształcania totalitarnej dyktatury w system demokratyczny było bezsporne. Ale chodziło o to, jak realizować te swobody w okresie przejściowym, w którym reforma nie

powinna jeszcze postawić na porządku dziennym sprawy systemu władzy jednej partii jako praktycznie aktualnej. Rozważania o reformie politycznej natrafiały tu na dwa istotne problemy, w owym czasie nie wyjaśnione w pełni nawet w debatach teoretycznych: problem jedynej rządzącej partii oraz problem konsekwencji międzynarodowych, jakie ewentualna reforma pociągnie za sobą w innych krajach bloku sowieckiego.

O obu tych problemach uczestnicy dyskusji w zespole nie tylko wiedzieli, ale także mówili. Przeważnie jednak w kuluarach, unikając wypowiedzi na piśmie i notatek: w 1967 r. stawianie tych problemów oficjalnie jako tematów do dyskusji w zespole badawczym oznaczałoby narażanie zespołu na niebezpieczeństwo rozwiązania.

Jaki był mój własny pogląd na oba te problemy?

Byłem reformistycznym komunistą, a nie niekomunistycznym demokratą. Nie ukrywałem tego wtedy i nie widzę powodu, żeby ukrywać teraz. Nie miałem więc oczywiście interesu politycznego, powodów ideologicznych ani chęci, by dążyć do pozbawienia KPČZ władzy - i wcale o to nie zabiegałem. Uważałem jednak za śluzne - i to również w związku z moim rozumieniem socjalizmu i komunizmu - osłabienie systemu totalitarnej dyktatury, w którym jedyną, panującą monopolistycznie i po dyktatorsku siłą polityczną jest KPČZ. Władzę partii komunistycznej chciałem realizować nie w systemie takiej dyktatury, lecz w demokracji pluralistycznej.

Było dla mnie jasne, że nie sposób pominąć przy tym kwestii innych stronnictw, które zgodnie z zasadami demokratycznymi /tj. w wyborach powszechnych/ rywalizowałyby z partią komunistyczną o udział w rządach. W teorii - najmniej nie uważałem, by był to problem szczególnie skomplikowany, i już w rękopisie podsumowującym rezultaty dyskusji z 1967 r. napisałem:

"Moim zdaniem, nie istnieje jednakże argument naukowy, który dla socjalizmu jako ustroju społecznego wykluczałby model polityczny oparty na systemie dwupartyjnym. Przeciwnie, ujmując abstrakcyjnie, dla pluralistycznego modelu socjalistycznego takie rozwiązanie wydaje się optymalne: potrafi dać silną gwarancję ochrony przed tendencją do modelu z jednym, monopolistycznym podmiotem kierownictwa politycznego, potrafi utworzyć w mechanizmie politycznym instrument umożliwiający rozwiązywanie nader istotnej sprzeczności - sprzeczności między hipotezą komunistycznego celu a empiryczną rzeczywistością socjalizmu /partia komunistyczna jako twórca i nosiciel komunistycznej hipotezy byłaby korygowana przez partię kierującą się raczej empirią socjalistycznego "status quo"/. System dwupartyjny powszechnie stwarza niezbędne "szale" w całym mechanizmie politycznym i w odróżnieniu od systemu wielopartyjnego umożliwia zlikwidowanie tych "szal" de facto przez utworzenie koalicji, uniemożliwia uzyskanie pozycji monopolistycznej przez jeden podmiot /koalicję/. Jednocześnie uniemożliwia przeniesienie platformy decyzji politycznych poza państwo /jego organy przedstawicielskie/, do czego - przeciwnie - prowadzi system wielopartyjny /czy to w postaci koalicji, czy np. wskutek ustanowienia trwałej platformy typu naszego Frontu Narodowego w latach 1945 - 48/, podważając w istocie własne państwowoprawne gwarancje procedury demokratycznej, gdyż decyzje podejmowane są poza drogami zagwarantowanymi środkami prawnymi. Chociaż jednak dla stabilnego społeczeństwa socjalistycznego rozwiązanie takie uważam za możliwe, nie mogę abstrahować od konkretnych historycznych warunków współczesnych państw socjalistycznych, z CSRS włącznie, i uważać tego rozwiązania za możliwe do zrealizowania w toku rozwoju naszego modelu politycznego w bliskiej przyszłości. Analiza argumentów przemawiających za tym stanowiskiem wykracza jednak poza możliwości niniejszego artykułu."/x/

/x/ Rękopis, z którego zaczerpnąłem ten fragment, w CSRS już nigdy nie był publikowany. Cytuję według mej - wspomianej już - pracy "Czechosłowacka próba reformy 1968 r.", s. 63-69. /Przyp. aut./.

Jakie miałem wówczas główne argumenty za takim stanowiskiem? Uważam, że nie wiązały się one już tylko z tym, że sam byłem rzecznikiem rządzącej partii komunistycznej; myślę, że argumentów tych nie mógłby bez wahania odrzucić żaden politolog ani polityk, nawet zdecydowanie niekomunistyczny.

Przede wszystkim sądziłem, że stawianie sprawy utworzenia innej partii, mającej rywalizować w demokratycznych wyborach z KPCz o udział we władzy, zanim urzeczywistni się szereg innych demokratycznych zmian w systemie politycznym /z grubsza biorąc - tych, o których właśnie mówiłem/, zagroziłoby reformom demokratycznym albo nawet w ogóle uniemożliwiłoby ich realizację. W takim bowiem wypadku panująca jeszcze monopolistycznie KPCz - dziesiątki tysięcy jej funkcjonariuszy w najrozmaitszych ogniach władzy - zareaguje nie dążeniem do racjonalnej reformy, ale uruchomieniem instynktu samozachowawczego: w przewidywaniu porażki wyborczej skoncentruje się na obronie starego, dyktatorskiego systemu.

Ponadto uważałem, że również obiektywnie, z punktu widzenia rzeczywistych potrzeb samego społeczeństwa, ważniejsze są koniec końców inne formy i sposoby wywierania przez społeczeństwo wpływu na politykę, niż te, które można zapewnić za pośrednictwem stronnictwa politycznego. Także w tradycyjnie dojrzałych systemach demokracji pluralistycznej znaczenie samych stronnictw jako narzędzi naprawdę skutecznego kontrolowania przez lud zarówno życia politycznego, jak i mnóstwa bardzo ważnych problemów specjalistycznych jest w nowoczesnym, industrialnym społeczeństwie niezmierznie ograniczone. Chodzi zawsze o to, jak dana partia w okresie swoich rządów zrealizuje system określonych przedsięwzięć, jak funkcjonują w praktyce wybieralne organy państwowe, różne formy samorządu i współdecydowania ludzi o codziennym życiu ekonomicznym i politycznym, jak poza stronnictwami zagwarantowane są prawa obywatelskie, jak przedstawia się wolność słowa, druku itd. W warunkach socjalizmu zaś za sprawę pierwszej wagi uważałem jak najszybsze uruchomienie takich form współdecydowania ludu, które teoretycznie powinny być najważniejsze właśnie po obaleniu barier własności prywatnej: ażeby związki zawodowe i szereg innych organizacji społecznych stojących na straży interesów swych członków oraz projektowane organy samorządu w zakładach produkcyjnych i w innych dziedzinach życia społecznego miały realny wpływ na kształt decyzji podejmowanych przez władze państwowe. Wyobrażałem sobie zwłaszcza, że wybieralne organy państwa socjalistycznego powinny różnić się od dawnego parlamentu burżuazyjnego m.in. tym, że deputowani do nich byłiby nie tylko eksponentami stronnictw politycznych, ale także reprezentantami wszystkich innych organizacji, szczególnie samorządu: parlament mógłby mieć nawet specjalną izbę, tworzoną przez samorząd, bez pośrednictwa stronnictw.

Dokonanie w toku reformy szeregu takich zmian w systemie politycznym moim zdaniem było zarówno donioślejsze, jak i bardziej realne, niż rojenia, że można przeprowadzić demokratyczne wybory, w których zamiast KPCz zwycięży jakaś nowa partia, i dopiero potem zdemokratyzować system polityczny. Stary system dyktatorski, w którym rządziła KPCz, można było jednakże, jak już wspominałem, stopniowo pozyskać dla reformy - gdyż sam zdawał już sobie sprawę, że przeżywa głęboki kryzys. Zawsze silny na gruncie polityki instynkt samozachowawczy mógł wtedy w Czechosłowacji szukać w ten sposób samozachowawczego właśnie wyjścia dla komunistów jako siły politycznej; rzeczywistym wynikiem byłaby jednak taka transformacja całego systemu i samej KPCz, która równałaby się likwidacji głównych opór totalitarnej dyktatury. A potem - kiedy mechanizm innej, bardziej demokratycznej władzy funkcjonowałby już realnie i był stosunkowo ustabilizowany - na porządku dnia stanęłaby również sprawa pluralizmu stronnictw politycznych. W takich warunkach mogłoby to już być ostatnią, trwałą gwarancją rozwoju demokratycznego systemu pluralistycznego, nie zaś przede wszystkim albo wyłącznie krokiem prowadzącym do rozpętania walki o opanowanie niedemokratycznej, dyktatorskiej maszyny władzy przez inny podmiot polityczny niż KPCz.

Ujmując rzecz w kategoriach czasu, wyobrażałem sobie, że trzeba na to około dziesięciu lat reformistycznego rozwoju, a może nawet nieco więcej. Jeżeli ktoś uważa, że to za wiele, niechaj nie zapomina, że dziesiąta rocznica "Praskiej Wiosny" przypada w roku bieżącym. Powtarzam: nie zamierzam dziś twierdzić, że moje wizje naprawdę mogły być zrealizowane i nie spotkałyby się ze sprzeciwem Moskwy. Referuję jednak tę sprawę dość szczegółowo, gdyż chcę wyjaśnić, dlaczego wobec problemów związanych z nią bezpośrednio zajmowałem w czasie "Praskiej Wiosny" zupełnie określone stanowisko. Obawiałem się wtedy, że ta właśnie kwestia wypłynie przedwcześnie jako pierwszoplanowa w polityce praktycznej, z jednej strony podniesiona przez prasę /co też częściowo się stało/, a z drugiej w związku z dążeniem niektórych ugrupowań politycznych do odgrywania roli nowych stronnictw /określona grupa socjaldemokratów, niektóre grupy w KAN-ie/x//.

Rozumiałem, dlaczego wysuwali tę sprawę ci, którzy po prostu nie wierzyli polityce reformistycznej prowadzonej przez komunistów i chcieli wejść do gry samodzielnie, poza KPCz. Nie potrafiłem jednak do końca zrozumieć, czemu wysuwali ją także niektórzy reformistyczni komuniści, na ogół aprobujący koncepcję reformy politycznej jako takiej. Nie rozumiałem też, jak niektórzy z tych ludzi, należący do mniej więcej tego samego, co ja, pokolenia, mający w zasadzie takie same jak ja doświadczenia, naprawdę mogą myśleć, że nie tylko Bilak i "konserwatyści", ale także Dubczek i "postępowe" skrzydło kierownictwa KPCz zechcą swą nową politykę od wolnych, demokratycznych wyborów, w których KPCz narazi się na konkurencję jakiegoś nowo utworzonego stronnictwa, nie obciążonego dawnymi grzechami komunistów. Nie rozumiałem, jak po tym wszystkim, co widzieli już w polityce i w KPCz, mogli zachować tyle naiwności i romantyzmu w poglądach zarówno na politykę w ogóle, jak i na swoją własną partię. Nie uważałem wtedy i do dziś nie uważam tego za ich zasługę.

Co się tyczy drugiego z podstawowych problemów - konsekwencji i kontekstów międzynarodowych reformy politycznej w Czechosłowacji - oczywiście w zespole badawczym wiedzieliśmy już w 1967 r., że reforma będzie musiała w praktyce obstać również przed sądem Kremla. Na razie jednak nie było to dla nas problemem zbyt poważnym: ograniczenie z tego powodu rozważań i dyskusji teoretycznych nie miało sensu, samo zajmowanie się teorią w wąskim gronie żadnej ingerencji Moskwy spowodować nie mogło. A co stanie się za jakiś czas, gdy reforma będzie już realizowana, i tak teoretycznie nie można było przewidzieć, gdyż zależało to oczywiście od konkretnych stosunków /z personą włącznie/, jakie będą panować wówczas w Moskwie.

Ja sam jednak od początku pracy badawczej przywiązywałem pewne znaczenie do ewentualnych reakcji sowieckich i wiosną 1967 r. pojechałem do Moskwy. Chciałem przekonać się, czy i jakich tendencji można spodziewać się ze strony sowieckich ideologów. W moskiewskim Instytucie Państwa i Prawa Akademii Nauk ZSSR miałem oficjalny odczyt, w którym przedstawiłem istotę opracowywanej przez nas koncepcji reformy systemu politycznego. W kilku oficjalnych i wielu nieoficjalnych rozmowach z ludźmi z placówek naukowych oraz z aparatu partyjnego i państwowego sprawdzałem następnie reakcje na szereg konkretnych zagadnień naszej reformy.

Większość reakcji oficjalnych była nader powściągliwa: moje myśli uznawano za "interesujące" - ale nie precyzując, czy w pozytywnym, czy w negatywnym sensie. Poszczególne osoby zajmujące wysokie stanowiska wśród ideologów akademii otwarcie atakowały całą koncepcję. Tak więc np. dyrektor moskiewskiego instytutu, akademik Czchikwadze /nawiasem mówiąc, później usunięty ze stanowiska za jakąś defraudację i "niemoralny tryb życia"/

/x/ KAN /Klub zaangażowanych nestraników/ - Klub Zaangażowanych Bezpartyjnych spontanicznie utworzona organizacja społeczna działająca w 1968 r.

w dyskusji po tym odczucie prowokacyjnie spytał, czym me poglądy różnią się od pluralistycznych koncepcji burżuazyjnych. Odpowiedziałem, że ogólnie biorąc tym, iż ja zastanawiam się nad pluralizmem w społeczeństwie socjalistycznym, który więc odnosi się do organizacji politycznych ludu pracującego i klasy robotniczej, a nie burżuazji; co się zaś tyczy pewnych problemów szczegółowych, zwłaszcza organizacji i samego mechanizmu jego funkcjonowania, to nie różnią się niczym - i cieszyłbym się, gdyby towarzysz akademik zechciał skonkretyzować, w czym, jak i dla czego miałyby się różnić. Towarzysz akademik oczywiście nic na to nie powiedział: zaparło mu dech, gdy zobaczył, że taki straszak, jak sam termin "pluralizm burżuazyjny", nie został uznany za dostateczny argument, sprawiający, że wszelka dalsza dyskusja staje się zbędna. Sprzeciw budziła też powszechnie koncepcja oddzielenia całego aparatu zarządzania gospodarką od sfery państwa i aparatu politycznego. Tu krytyka godziła już po części w samą reformę ekonomiczną w Czechosłowacji, która w Pradze była wówczas oficjalną linią partyjną.

Rezultaty rozmów nieoficjalnych były diametralnie odmienne. Moi sowieccy partnerzy /często dobrzy znajomi i przyjaciele jeszcze z czasu moich studiów w Moskwie/ uważali, że w ZSSR raczej nie można wprowadzić szeregu naszych koncepcji uważać za reformy dające się realnie przeprowadzić w możliwym do przewidzenia czasie, ale że również dla nich miałyby wyjątkowe znaczenie, gdyby tego rodzaju ewolucja zachodziła w Czechosłowacji naprawdę. Liczyli się z koniecznością reform i demokratyzacji także w Związku Sowieckim. Breżniew był wtedy u władzy ledwie dwa i pół roku i przeważał pogląd /zwłaszcza w aparacie partyjnym/, że władza ta to "rząd tymczasowy", gdyż żadna grupa w partii nie jest na razie wystarczająco silna, by zdominować inne. Nadzieje pokładano najczęściej w zwycięstwie linii racjonalnej, reprezentowanej przez działaczy korzystających z rad fachowców - linii, od której oczekiwano kontynuowania demokratyzacji. Często wiązano ją z osobą Szelepina. Nikt nie zakładał Chruszczowa, którego polityką wewnętrzną młodsi ludzie w aparacie partyjnym uważali przeważnie za nieprzemysłaną, bezkoncepcyjną, a przy tym nieustannie eksperymentującą, dokonującą wielkich i nie dostrzeżonych reorganizacji w różnych dziedzinach życia społecznego. Jedynym wyjątkiem sporadycznie spotykałem się z poglądem, że demokratyzacja w ZSSR nie ma perspektyw. Jeden z moich kolegów uniwersyteckich należał do zwolenników tego właśnie poglądu. Uzasadniał go lapidarnie:

- To, czego ty chcesz, u nas nie wchodzi w rachubę. Podejźmyliby nam gardła.

"Nam" - oznaczało sowiecką biurokrację, "oni" - sowiecki lud.

Wróciłem do Pragi z przekonaniem, że perspektywicznie sytuacja nie jest zła, że również w Związku Sowieckim można spodziewać się pozytywnej ewolucji w kierunku demokratyzacji. Na razie było jednak jasne, że naszą pracę musimy prowadzić bez nadziei na poparcie ze strony placówek teoretyczno-ideologicznych w ZSSR, że od kół oficjalnych, kierownictw tych placówek trzeba raczej oczekiwać reakcji niezyczliwej. Ci, którzy tam sympatyzowali z nami, byli wprawdzie liczniejsi, ale póki co nie mieli władzy i nie zajmowali oficjalnych, kierowniczych stanowisk. Sądziłem jednak, że do 1970 r. ta sytuacja może zmienić się na naszą korzyść. Jak okazało się ostatecznie, było to jedno z najmniej trafnych przewidywań, jakie mi się kiedykolwiek zdarzyły.

Z takim całokształtem poglądów na możliwości oraz realne drogi reformy politycznej w Czechosłowacji wszedłem więc w styczniu 1968 r. w skład "grupy roboczej" mającej przygotować tekst dokumentu, który ostatecznie stał się znany jako Program Działania KPCz i 5 kwietnia 1968 r. został zatwierdzony przez KC partii jako obowiązujący oficjalnie

program polityczny "Praskiej Wiosny"/x/.

Całokształt też moich poglądów zawarłem w tekście tego dokumentu - po raz pierwszy nie pilnując się skrupulatnie, by używać sformułowań możliwie połowicznych i niejaśnych, żeby "przeszły" w partyjnym organie, lecz przeciwnie: starając się, żeby słowa programu były jasne i żeby można było także realizować je w praktyce politycznej. Mimo to jednak koncepcja Programu Działania KPCz odbiegała od moich poglądów w jednej podstawowej sprawie - w kwestii roli stronnictw politycznych i Frontu Narodowego.

Program Działania pomyślany był jako platforma polityczna na stosunkowo krótki okres, pierwszą fazę rozwoju reformy. Jak już mówiłem, byłem zdania, że niesłuszne byłoby stawianie w tej fazie sprawy tworzenia i zadań innych stronnictw, które miałyby w demokratycznych wyborach rywalizować z KPCz o udział we władzy. Dlatego też nie chciałem poruszać tego zagadnienia w programie, zwłaszcza że nie można by rozstrzygnąć go zadowalająco: ograniczenie roli stronnictw w sposób praktykowany od lutego 1948 r. oznaczałoby obronę jednego z filarów systemu totalitarnego, a poza tym z góry skupiałoby uwagę na tej kwestii. Faktyczna i jednorazowa likwidacja tego systemu była jednak ze względów politycznych nierealna, gdyż groziłaby wybuchem poważnego kryzysu i konfliktu między siłami dążącymi do władzy.

Omawianie roli politycznej Frontu Narodowego, którego zadaniem było w istocie ograniczanie stronnictw niekomunistycznych, oznaczało wysunięcie całego kompleksu tych spraw. Mówienie zaś o zadaniach Frontu Narodowego

/x/ Program Działania KPCz z 1968 r. został przygotowany i napisany w "grupach roboczych" złożonych głównie z pracowników instytutów naukowych i wyższych uczelni. Prezydium KC KPCz powołało wprawdzie do przygotowania tego programu "komisję polityczną", której przewodniczył D. Kolder, a której członkami byli członkowie prezydium, sekretarze KC i inni wysocy funkcjonariusze, ale w pracy nad tekstem nikt z nich nie uczestniczył. Sam Kolder pojawił się wśród tych, którzy rzeczywiście pisali, łącznie dwa razy - z tego raz z propozycją, by tekst był zwięzły, by miał około 10 stron, i z informacją, że już umówił się z pisarzem, Janem Prochazką, który gotów jest to napisać, jeśli dostanie stosowne materiały. Miał zatem rację Erezniew, gdy jesienią 1968 r. usiłując dowiedzieć się od B. Szimona, kto właściwie napisał Program Działania KPCz, na twierdzenie swojego interlokutora, że komisja z tow. Kolderem na czele, odpowiedział: "O to nie pytam, ja chcę wiedzieć, kto to naprawdę napisał!".

Ostateczny tekst Programu Działania KPCz pisali następujący autorzy:

Część I: Droga Czechosłowacji do socjalizmu - J. Fojtik, K. Kaplan, R. Richta.

Część II: O rozwój demokracji socjalistycznej, o nowy system politycznego kierowania społeczeństwem - Z. Mlynarz.

Część III: Gospodarka narodowa i poziom życia - B. Szimon, A. Czerwinka, przy współpracy kilku innych ekonomistów, zwłaszcza O. Szika, K. Kouby i in.

Część IV: Rozwój nauki, oświaty i kultury - R. Richta, S. Provažník, przy współpracy różnych autorów opracowań częściowych - ze szkolnictwa, Czechosłowackiej Akademii Nauk i Związku Pisarzy.

Część V: Pozycja międzynarodowa i polityka zagraniczna CCRS - P. Auersperg.

Ci autorzy stanowili główną "grupę roboczą", którą organizacyjnie kierował P. Auersperg i która pracowała w jego gabinecie w praskiej redakcji pisma "Problemy Pokoju i Socjalizmu". Podstawą ich pracy były dziesiątki opracowań cząstkowych, wykonanych przez pracowników instytucji naukowych. Tekst konsultowano także w szeregu grup roboczych opracowujących poszczególne zagadnienia i wprowadzano zmiany uwzględniając uwagi dziesiątków ich członków. /Przyp. aut./.

z pominięciem roli stronnictw nie miało sensu, skoro i związki zawodowe, i inne organizacje powołane do obrony interesów swych członków /wszystkie one były zrzeszone we Froncie Narodowym/ miały, jak uważałem, działać w toku reformy jak najsamodzielniej, bez ograniczeń narzucanych dotychczas właśnie przez mechanizm Frontu Narodowego. Sam ten mechanizm moim zdaniem na początku 1968 r. był już politycznym trupem i osobiście nie widziałem powodu, by go wskrzeszać.

Ponieważ jednak w KPCz występował też inny pogląd, wyznawany zwłaszcza w "grupie roboczej" skupiającej niektórych politologów z R. Rohanem na czele, która to grupa już w 1967 r. opracowywała te zagadnienia pod patronatem Hendrycha, Hendrych przekazał mi - jako materiały do pracy nad Programem Działania - także jej wnioski. Przewidywano w nich możliwość ożywienia Frontu Narodowego i utworzenia z niego mechanizmu, za którego pomocą KPCz będzie wpływać na cały system organizacji społecznych. Problem stronnictw w ogóle przy tym nie rozstrzygnięto - miały nadal być organizacjami czysto formalnymi, służącymi jedynie do "ozdoby" reżimu.

Moje stanowisko w tej sprawie przekazałem już w styczniu 1968 r. na piśmie Hendrychowi, który do marca był członkiem politbiura i sekretarzem KC partii/x/. Dałem wyraz pogładowi, że przyjęcie w programie takiej koncepcji Frontu Narodowego byłoby niefortunne i niezgodne z celem reformy. Zarazem postawienie sprawy stronnictw niekomunistycznych w pierwszej fazie reformy spowoduje nierozwiązalne komplikacje polityczne. Zalecałem więc, żeby problem Frontu Narodowego ująć w Programie Działania tylko bardzo ogólnikowo, cytując słowa obowiązującej konstytucji, głoszącej, że "Front Narodowy Czechów i Słowaków, w którym stowarzyszone są organizacje społeczne, jest politycznym wyrazem kierowanego przez Komunistyczną Partię Czechosłowacji sojuszu ludzi pracy miast i wsi" - a poza tym zostawić ten obumarły organizm w spokoju, faktycznie poza nurtem przemian reformistycznych. Hendrych nie miał przeciw temu zastrzeżeń, podobnie jak nikt inny z działaczy, z którymi rozmawiałem o tym zagadnieniu/, toteż całkowicie gotowy projekt tekstu Programu Działania z marca 1968 r. nie zawierał jeszcze najmniejszej wzmianki o Froncie Narodowym i partiach politycznych.

W marcu jednak na posiedzeniu komisji politycznej pod przewodnictwem Drahomira Koldera doszło do dyskusji i sporów w tej właśnie sprawie. Występując przeciw mojemu pogładowi, niektórzy członkowie komisji wskazywali, że z punktu widzenia praktycznej polityki w danej chwili, sprawy stronnictw niekomunistycznych nie można już po prostu pominać, gdyż właśnie to wzbudzi niepożądane zainteresowanie i spowoduje nacisk, by KPCz zajęła jasne stanowisko. Uważali więc za konieczne, żeby w Programie Działania rolę Frontu Narodowego, a w jego ramach również stronnictw politycznych omówić bardziej szczegółowo. Najenergiczniej forsował wtedy ten punkt widzenia zwłaszcza dzisiejszy premier Czechosłowacji, Lubomir Štrougal, popierał go też Josef Smrkovský. Debatowano tutaj otwarcie nad tym, jak ma wyglądać dalsza polityka: czy należy poważnie liczyć się z perspektywą wolnych wyborów, w których stronnictwa niekomunistyczne wystąpiłyby samodzielnie. Wszyscy uczestnicy owego posiedzenia podzielali pogląd, że nie jest to perspektywa realna. Już wtedy uznano zatem zgodnie, że - przeciwnie - Front Narodowy powinien wykluczyć możliwość powstawania w toku reformy nowych stronnictw poza swymi ramami i w ten sposób uniemożliwić walkę o władzę w państwie, a w każdym razie sprawić, żeby nie prowadzono jej za pośrednictwem partii politycznych.

Początkowo usiłowałem przedstawić ogólniejsze, teoretyczne kontrargumenty i wykazać, że utrudni to następne fazy reformy. W toku dyskusji uznałem jednak, że z praktycznego punktu widzenia raczej mają oczywiście ci,

/x/ Kopię tego dokumentu skonfiskowała mi bezpieka podczas rewizji w mieszkaniu w kwietniu 1975 r. razem z innymi dokumentami, więc nią nie dysponuję. /Przyp. aut./.

k którzy mówią, że teraz już problemu nie sposób po prostu pominąć: w marcu ferment w społeczeństwie, znajdujący wyraz także w prasie, poczynił takie postępy, że sprawa roli stronnictw niekomunistycznych właściwie stanęła już praktycznie na porządku dnia. Po tej dyskusji więc odnośny ustęp Programu Działania KPCz - o Froncie Narodowym i partiach politycznych - zredagowałem ponownie, nadając mu postać, w jakiej został potem zatwierdzony i opublikowany.

Praca nad Programem Działania pokazała mi z całą wyrazistością, że zaczyna się całkowicie nowa, decydująca faza mej działalności w reformistycznym nurcie komunizmu. Rozważania teoretyczne i ideologiczne miały być teraz poddane krytyce realnej polityki, miały wejść w życie społeczeństwa. I to już nie w okrojonej postaci dwuznacznych często sformułowań, aprobowanych w kuluarach zbiurokratyzowanego systemu totalitarnej władzy przy pełnej obojętności większości społeczeństwa - większości stojącej poza strukturami władzy i władzy tej podległej. Miały być zweryfikowane przez praktykę w okresie, gdy system totalitarnej dyktatury walił się, a ogromna większość społeczeństwa coraz aktywniej sama ingerowała w rozwój wydarzeń, gdy aktywne ugrupowania polityczne najróżniejszego autoramentu uzyskały realną możliwość wyrażania, propagowania oraz obrony swoich poglądów. Odrodził się tradycyjny podstawowy element polityki - walka o udział we władzy - a zatem oczywiście zaczęły również grać namiętności, emocje, pojawiać się nieunikniona demagogia.

To jednak, co widziałem, mogąc z bliska, od środka obserwować świat rządzących, strukturę władzy, wywarło na mnie wstrząsające wrażenie: Jakże żałośnie mało jest tutaj koncepcyjnej wizji istotnego sensu i celu reformy, o ile więcej za to utarczek, nawet bójk o pozycje u władzy. Jak łatwo to, co ma znaczenie dla tych utarczek i bijatyk, spycha na dalszy plan problemy zasadnicze, mające znaczenie dla całościowych perspektyw rozwoju polityki i dla dalszego życia społeczeństwa. I jak ludzie w orbicie władzy zmieniają skórę, byle tylko nie przegapić nadarzających się im okazji.

Nie byłem już naiwnym romantykiem. Ale nie byłem też jeszcze cynicznym wygą na politycznym ringu. I oto zobaczyłem, że w życiu codziennym w polityce nie jest to bynajmniej zaletą. Jak romantykom i naiwnym, tak również cynikom żyje się łatwiej niż tym, którzy widzą już, że w walce politycznej o powodzenie nie decydują ideały, lecz jednocześnie jakies ideały jeszcze mają. Widziałem wokół siebie także sporo takich ludzi - w sumie jednak stanowiliśmy mimo wszystko mniejszość: przewagę mieli romantycy oraz cynicy.

X X X

Odwołanie Antonina Novotnego ze stanowiska pierwszego sekretarza KC KPCz do dziś przedstawiane jest powszechnie jako efekt krótkiego, lecz zaskakująco suwerennego rozwoju wypadków w kierownictwie KPCz od października do grudnia 1967 r. W październiku na posiedzeniu KC wybucha konflikt między Novotnym a niektórymi członkami tego Komitetu, przede wszystkim Alexandrem Dubczekiem. Chodzi o różne sprawy, ale głównie o metody pracy partyjnej i o metody stosowane przez samego Novotnego. Konflikt przenosi się do prezydium KC i zaostrzając się przybiera w końcu postać wniosku, żeby Novotny ustąpił z funkcji /zachowując stanowisko prezydenta państwa/. Wytwarza się remisowy stosunek sił - 5 : 5 - po jednej stronie Novotny, Lennart, Chudik, Lasztoviczka, Szimunek, po drugiej Dubczek, Hendrych, Czernik, Kolder i Dolansky. Novotny chce ratować swoją pozycję odwołuje się do Breżniewa, ten jednak nie udziela mu wsparcia, i oświadcza, że cała ta afera jest "wewnętrzną sprawą" KPCz. Pod koniec grudnia zatem KC partii zaczyna dyskutować o rozdzieleniu funkcji pierwszego sekretarza partii i prezydenta państwa, a w styczniu pozbawia Novotnego jego funkcji partyjnej.

Wiadomo też, że przed powzięciem decyzji przez KC określone koła w armii i w bezpiece czynią jakies przygotowania i zanoszą na to, że Novotny może spróbować zgnieść opozycję przeciwko sobie siłą - dokonując

aresztowań i ogłaszając stan wyjątkowy. Ostatecznie jednak do tego nie dochodzi, jeden z generałów wplątanych w tę historię ucieka za granicę /po czym odkryta zostaje jego afera korupcyjna/, inny wciągnięty w sprawę generał popełnia później samobójstwo/x/. Ale usunięcie samego Novotnego przebiega spokojnie.

Na posiedzeniach KC partii w grudniu i w styczniu ujawnia się nie spotykana dotychczas siła opozycji przeciw Novotnemu - obok znanych już wcześniej opozycjonistów nagle po jej stronie angażują się z wielką determinacją ludzie do tej pory wcale nie znani jako opozycyjni demokraci, np. Vasil Bilak i Alois Indra. Historiografowie "Praskiej Wiosny" przyjmują to wszystko po prostu do wiadomości i nie zadają żadnych pytań.

Uważam jednak, że pewne pytania byłyby tu mimo wszystko na miejscu. Do czasu objęcia funkcji pierwszego sekretarza przez Dubczeką było w KPCz normalną praktyką, że w Moskwie zatwierdzano kandydatury nie tylko sekretarzy KC KPCz, ale również szeregu innych, co ważniejszych funkcjonariuszy, z pierwszymi sekretarzami komitetów okręgowych partii włącznie. A teraz nagle Breżniew pozwala wydarzeniom toczyć się własnym biegiem, godzi się, żeby jakaś "opozycja antynovotnowska" utworzyła całe nowe kierownictwo KPCz? Siedzi na Kremlu i pełen napięcia czeka, jakie wiadomości przyniosą mu na ten temat gazety? Novotny szykuje do obrony swojej osoby "wierne kadry" w armii i policji - a Czerwonienko/xx/ nic o tym nie wie? Przecież powszechnie wiadomo, że właśnie te "wierne kadry" są wierne przede wszystkim Moskwie! I czemu ostatecznie zrezygnowano z dramatycznej obrony Novotnego?

Bardzo wątpię, żeby w Moskwie pozostawiono to wszystko przypadkowi i "suwerennej KPCz". Skłonny byłbym uwierzyć w inną wersję: Po wizycie Breżniewa w Pradze również w Moskwie zdecydowano nie przeciągać już sprawy dłużej i pozwolić, by na następnym plenum KC Novotny został obalony. Także zabawa w żołnierzyki została odwołana najpewniej przez samego głównego reżysera - choć jednocześnie sędzę, że sam Novotny ostatecznie nie zdecydował się na ten krok, że nie chciał użyć sił zbrojnych "przeciw partii". Co się tyczy następstwa, na Kremlu z całą pewnością brano pod uwagę, że w politbiurze pozostanie owych pięciu ludzi, którzy występują przeciwko Novotnemu. Z wyjątkiem Dolanskiego, który był już zbyt stary, na miejscu Novotnego musiał więc zasiąść jeden z pozostałych czterech; czy będzie to Dubczek, Hendrych, Czernik, czy Kolder - to już naprawdę pozostawiono "suwerennej" KPCz /Kolder zresztą był niezbyt prawdopodobny - czyli w grę wchodziło tylko trzech kandydatów/.

Moskiewscy reżyserzy musieli jednak przewidywać też dalszą przyszłość. Należało liczyć się z tym, że z pięciu zwolenników Novotnego niektórzy po jego upadku nie utrzymają się w politbiurze i na ich miejsca przyjdą ludzie z opozycji antynovotnowskiej. Na taką ewentualność należało w szeregach tej opozycji mieć swoje, gwarantowane "internacjonalistyczne", zaufane figury. W taki sposób widziałbym nagłą i niezwykle antynovotnowską aktywność niektórych towarzyszy, choć na tę hipotezę nie mam żadnych konkretnych dowodów - oprócz logiki i faktów.

Bo i czym innym można by sobie wytłumaczyć, że Alois Indra, minister komunikacji, wdaje się nagle w tak pryncypialną polemikę polityczną, że aż wszystkich ogarnia zdumienie? Jak to się dzieje, że ten radykalny postępowiec oraz zwolennik nowych metod z owego posiedzenia, od pierwszych chwil konfliktu między Dubczekiem a Breżniewem jest jednym z głównych "konserwatystów" w kierownictwie KPCz - i że później, po przyjeździe do Pragi sowieckich czołgów, na niego powołają się ci, którzy przyjdą aresztować Dubczekę?

/x/ W lutym 1968 r. zbiegł sekretarz organizacji partyjnej MON, gen. Jan Szejna, a w marcu zastrzelił się w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach gen. Bladimir Janko.

/xx/ S.W. Czerwonienko - ówczesny ambasador sowiecki w Pradze.

A Vasil Bilak jako rzecznik "odnowy socjalizmu"? Co prawda jego wystąpienie przeciwko Novotnemu można tłumaczyć tym także, że Novotny popadł m.in. w konflikt z Dubczekiem i przy tej okazji zaatakował całą reprezentację Słowaków w partii, Bilak więc wystąpił w obronie tej reprezentacji. Ale przecież już wtedy było wiadomo, że reprezentuje on również interesy o wiele bardziej wschodnie. Czy możliwe, że to także grało tu pewną rolę? Bilak był w tym okresie bardzo bliskim przyjacielem Dubczeka, może więc i dlatego tak pryncypialnie krytykował Novotnego. Ale co mówi dalszy rozwój wydarzeń? Przecież ten sam Bilak, podobnie jak Indra, od pierwszej chwili konfliktu między Dubczekiem a Breżniewem jawnie reprezentuje w kierownictwie KPCz interesy Breżniewa. A wreszcie 22 sierpnia 1968 r. spotyka się z Indrą w sowieckiej ambasadzie i szykuje się do objęcia stanowiska szefa partii, podczas gdy Indra ma być premierem "rewolucyjnego rządu robotniczo-chłopskiego".

Jeszcze dwaj ludzie, których kariera wiąże się ściśle z wydarzeniami po styczniowym plenum KC KPCz, siedzą tam razem z nimi, usiłując skłecić nowy rząd pod przewodnictwem Indry: Miłosz Jakesz, przewodniczący Centralnej Komisji Kontrolnej i Rewizyjnej KPCz, oraz Oldrich Pavlovsky minister w rządzie Czernika. W jaki sposób Pavlovsky został ministrem? Na osobisty wniosek Indry, zgłoszony zupełnie solo i po terminie na posiedzeniu KC KPCz w kwietniu 1968 r. A kim był przed obaleniem Novotnego Jakesz? Jednym z członków komisji kontroli, której przewodniczącym stał się za Dubczeka. Ponadto jednak był też zastępcą ministra spraw wewnętrznych, Josefa Kudrny, którego "proces odnowy" zmiotł z ministerialnego fotela. A w dodatku był kompanem Aloisa Indry jeszcze z czasów ich wspólnej działalności w Gottwaldowie - tak samo jak Pavlovsky.

Co prawda, zarówno Bilaka, jak i Jakesza zaproponował na ich funkcje Dubczek. Na zastrzeżenia tych, którzy w powiązaniu Jakesza z policją i to ewidentnie nie tylko praską/ nie widzieli najlepszej kwalifikacji na nowe stanowisko, Dubczek odpowiada, że to dobry towarzysz, z którym razem mieszkał w okresie swoich studiów w szkole partyjnej w Moskwie i że wszystko jest w najlepszym porządku. Ale jeśli była tu ręka reżysera, to nie doświadczone - i dobraza takich aktorów, którzy i dla Dubczeka będą możliwi do przyjęcia, jako jego koledzy: sporo miał kolegów wśród tych, którzy od lat słuchali moskiewskich reżyserów.

Nie wiem, o czym Dubczek rozmawiał z Breżniewem w ostatnich dniach stycznia, już jako pierwszy sekretarz KC KPCz. Ale była to pierwsza wizyta w Moskwie przed rozpoczęciem poważniejszych zmian personalnych w kierownictwie partii i państwa - a przy takich okazjach na Kremlu jest w zwyczaju mówić o "zagadnieniach interesujących obie strony" bardzo konkretnie. Nie wątpię, że życzliwość Dubczeka dla Bilaka, Jakesza oraz Indry spotkała się tam z serdecznym poparciem.

Niektórym sprawom, poczynając od obalenia Novotnego, dziwiliśmy się więc raczej jedynie w Pradze, podczas gdy w Moskwie nie były taką niespodzianką. Ironia losu sprawiła jednak w końcu, że ukryty reżyser sam był coraz bardziej zaskakiwany - aż nie nadszedł się dźwić. I właśnie pierwszy wielki grzech Dubczeka polegał na tym, że bezustannie sprawiał Moskwie te niespodzianki: pojawiali się kolejni sekretarze i ministrowie, których kandydatury nie były z góry uzgodnione na Kremlu! Później zresztą Breżniew wypomniał mu to bez osłonek - ale o tym w następnym rozdziale. Dla Breżniewa była to pierwsza oznaka grożącej "kontrewolucji".

Ale również nawet jeśli nie zważać na "konserwatystów" w dubczekowskim kierownictwie partii, start polityki reformistycznej w styczniu 1968 r. bynajmniej nie był imponujący. Obrady plenum KC KPCz w grudniu i styczniu zaprotokołowano co prawda na około 1500 stron, ale sformułowane koncepcyjne idee reformy, zawarte w wypowiedziach dyskusyjnych, zmieściłyby się na około 650 stronach: jedynym wystąpieniem naprawdę koncepcyjnym, w którym,

była mowa o kontekstach społecznych, ekonomicznych i politycznych ewentualnej reformy, jak również o jej celach, było przemówienie Oty Szika. W kilku innych wypowiedziach znajdziemy poszczególne myśli i fragmenty krytyczne, często bardzo szczerze i w owej chwili niewątpliwie odważne, ale daremnie szukać przemyślanych wyobrażeń o kierunku, zakresie oraz sensie polityki, jaką należałoby prowadzić po ustąpieniu Novotnego ze stanowiska pierwszego sekretarza KPCz. Nawet przyszli "postępowcy" nie robią jeszcze w tych posiedzeniach wrażenia polityków, którzy zamierzają zastąpić totalitarną dyktaturę pluralistyczną demokracją.

Kiedy wreszcie Novotny mimo wszystko rezygnuje ze swojej funkcji, obrady kończą się ogłoszeniem komunikatu, w którym nie ma nawet zapowiedzi, że cokolwiek istotniejszego miałyby jeszcze ulegać dalszym zmianom. Nie odpowiada to oczywiście rzeczywistemu przebiegowi plenum KC, świadczy jednak, że w owej chwili organ ten nawet sam nie był zdolny zrozumieć, co uczynił w istocie, obalając Novotnego.

Brzmi to paradoksalnie, ale koniec końców najbliższy prawdy był sam Antonín Novotný, gdy w przemówieniu na ówczesnych obradach KC KPCz łączył swoje odejście z funkcji z dalekosiędnymi zmianami politycznymi i społecznymi, przed którymi zresztą przestrzegał, widząc w nich niebezpieczeństwo dla "interesów klasy robotniczej". Wiadomo też, że po dymisji oświadczył w kręgu swych najwierniejszych:

- Nic się nie bójcie, dobra jest. Dubczek to mięczak, na funkcji nie da sobie rady, a sekretarze srają pod siebie ze strachu. Nadejdzie jeszcze nasza kolej!

Co się tyczy jego osoby, ostatnia część proroctwa nie spełniła się, lecz ogólnie wcale nie było ono takie śmieszne, jak uważało wtedy wielu romantyków i "postępowców".

Alexander Dubczek przed wybraniem na pierwszego sekretarza i potem również mówi wprawdzie, że jest przekonany, iż trzeba rządzić metodami demokratycznymi, ale jest to raczej jego osobiste wyznanie, niż jakiś całościowy i przemyślany program polityczny. Mówi o stosunkach między Czechami a Słowakami w epoce odrodzenia narodowego w ubiegłym wieku, o Bożenie Niemcovej i Ludovicie Szturze/x/ - lecz wcale nie o federalizacji państwa. Mówi, jak to będąc pierwszym sekretarzem w Słowacji nie nakazywał, ale tak długo przekonywał towarzyszy, aż zrozumieli, co jest słuszne. Jako przykład wymienia usunięcie z partii za poglądy niewygodne dla Novotnego: Historyk Gosiorovský, napisał, że interesom Słowacji odpowiadałaby federacyjna struktura państwa, i Novotný postanowił wykluczyć go za to z partii. Dubczek, przekonany, że Gosiorovský jest złym towarzyszem i nieuczciwym człowiekiem /w czym miał, jak sądzę, najzupełniejszą rację/, nie był temu przeciwny, ale organizacja partyjna w miejscu pracy Gosiorovskiego tego nie rozumiała. Toteż Dubczek cierpliwie przekonywał ją całymi miesiącami. Nie kazał po prostu wykonać dyrektywy: dopóki towarzysze nie przekonają się sami, że tak powinno być. I o tym opowiadał Dubczek na posiedzeniu KC KPCz, obiecując, że w taki sam sposób będzie kierować całą partią. Nie ulegało wątpliwości, że ma najlepsze chęci, ale nie można było z tego wywnioskować, jak widzi cały kompleks problemów, z którymi będzie miał do czynienia na nowym stanowisku.

Przed wszystkim Dubczek wcale nie pragnął funkcji pierwszego sekretarza całej KPCz. Pozostali przekonywali go, że powinien ją przyjąć, że mu "będą pomagać" - bo głównym jego argumentem było, że nie czuje się dostatecznie przygotowany i zdolny. Był jedynym kandydatem, na którego mogła się wtedy zgodzić wymagana większość w KC, i to w końcu zdecydowało. Po swym

/x/ Božena Němcová /1820 - 1862/ - pisarka czeska, m.in. utrzymująca żywe kontakty z patriotyczną inteligencją słowacką; Ludovít Štúr /1815 - 1856/ - pisarz i słowacki przywódca narodowy.

wyborze na najpotężniejszego człowieka w kraju natychmiast odjeżdża do Bratysławy - i idzie tam na mecz hokejowy, z obejrzenia którego widocznie nie chciał zrezygnować. Wszystko inne zaczęka, wszystko trzeba rozpatrywać stopniowo, rozważnie, w spokoju i demokratycznie. A lud także się cieszy, że nowy najpotężniejszy człowiek jest wraz z nim na stadionie!

Nie go to piszę o tym wszystkim, by przedstawić Dubczeka jako naiwne-
go prostaczka, który nie powinien zajmować się polityką. Taki pogląd na
niego był i jest dosyć rozpowszechniony, myślę jednak, że nie odpowiada praw-
dzie. Dlaczego - do tego wrócę później. Teraz chcę tylko podkreślić, że w
pierwszych dniach i tygodniach sam Dubczek też nie przeczuwał, co w isto-
cie zaczęło dziać się w społeczeństwie i w KPCz w związku z objęciem przezeń
funkcji pierwszego sekretarza.

Również doświadczeni zapasnicy z ery Novotnego - sekretarze Hendrych
i Koucky - byli spokojni i zadowoleni. Gdzieś w lutym 1968 r. Koucky powie-
dział do mnie:

- No i popatrz, na wstępcznym plenium Novotny prorokował, co to się
będzie działo, jeżeli go zdejmiesz - a co się dzieje? Nic!

Usiłowałem skorygować jego pogląd, mówiłem o wyraźnych zapowiedziach
silnego fermentu w społeczeństwie i w partii: wtedy można było dostrzec to
choćby z prasy, nawet znajdując się w izolacji, jaką stwarzał sekretariat
KC. Ale Koucky nie wierzył, twierdził, że przesadzam. Mniej więcej w dwa
miesiące później musiał sam podać się do dymisji.

W połowie lutego późnym wieczorem spotkałem na korytarzu sekretaria-
tu KC KPCz Hendrycha, który wprost promieniował zadowoleniem. Zaraz wyjaśnił
mi, dlaczego:

- Dogadałem się właśnie z Edą Goldstueckerem/x/ - pozwoliłem na "Lite-
rarki"!

Chodziło o tygodnik Związku Pisarzy, zakazany przez Novotnego jesienią
1967 r. Pismo "Literarni Noviny" /później "Literarni Listy", a jeszcze póź-
niej - po sierpniu 1968 r. - już tylko "Listy"/ było symbolem krytycznej
prasy w erze Novotnego i udzielenie bezwzględnego na wydawanie go równało się
w praktyce zniesieniu wszelkiej cenzury. Staralem się przekonać Hendrycha,
że taki krok przed opublikowaniem Programu Działania KPCz spowoduje, że
prasa zacznie pisać o wiele radykalniej, a wtedy trudno będzie wyznaczać
jej granice oraz narzucać rangę polityczną tego programu.

- Do tego nie dojdzie - twierdził Hendrych. - Omówiłem wszystko
z Goldstueckerem, oni nie będą pisali przeciw nam!

Mniej więcej w miesiąc później pozbawiono Hendrycha funkcji, m.in.
dlatego, że publiczna krytyka jego osoby w prasie była tak silna, że dalsza
jego obecność kompromitowałaby dubczekowskie kierownictwo partii.

Jeśli nie liczyć odwołania Jirzego Hendrycha z odcinka pracy ideolo-
gicznej, całe dawne novotnowskie kierownictwo partii - prezydium i sekreta-
riat KC - pozostają aż do początku kwietnia 1968 r. w dotychczasowym skła-
dzie. Prezydium zostało tylko uzupełnione o kilku nowych członków, którzy
/oprócz Josefa Szpaczka/ nie stanowili poważniejszej zmiany w składzie tego
organu. Podczas ośmiu miesięcy od stycznia do sierpniowej interwencji zbroj-
nej całe trzy miesiące są okresem, w którym kierownictwo KPCz nie proklamu-
je żadnej wyraźniej sformułowanej koncepcji swej nowej polityki - przeciw-
nie, waha się i wyczekuje nie tylko co się tyczy przeprowadzenia reform,
ale także ogłoszenia ich programu.

Chciałbym się mylić, ale obawiam się, że mój pogląd na przyczyny ta-
kiego stanu jest zgodny z prawdą: przez całe trzy miesiące w kierownictwie
partii zajmowano się głównie problemami związanymi z personalnym podziałem
foteli na szczytach aparatu partyjnego i państwowego, i dlatego nie można
było w planowy i przemyślany sposób zapoczątkować nowej, reformistycznej

/x/ Eduard Goldstuecker - literaturoznawca /w latach pięćdziesiątych
dyplomata i więzień polityczny/, w 1968 r. przez Czechosłowackiego Zwią-
zku Pisarzy.

polityki. Społeczeństwo nie czekało jednak na rozstrzygnięcie sporów o fotele sekretarzy oraz teki ministrów - tłumione latami sprzeczności zaczęły przebijać się na powierzchnię. Koncepcje reformy demokratycznej, których kierownictwo KPCz wciąż nie mogło przedstawić, nieuchronnie zaczęły rodzić się poza jego zasięgiem: w prasie, radiu i telewizji, na różnych zebraniach i wiecach.

Dopóki sprawa podziału tek i foteli nie była rozstrzygnięta, walce o nie podporządkowywano nieomal wszystko. Ci, którzy bali się o swe stołki, gdyż powszechnie wiadano, że zyskali je dzięki Novotnemu, a poza tym za jego rządów poczynili niejedyn krok teraz ich kompromitujący, spodziewali się utrzymać swoje pozycje, jeżeli zamaniestują demokrację. Dlatego np. Hendrych zniósł cenzurę. Ci, którzy o stołki zabiegali, manifestowali demokrację w nadziei, że zdobędą je dzięki temu. Względ na własną karierę polityczną nie tylko nie był więc sprzeczny z przytakiwaniem, jak za Novotnego, lecz przeciwnie, wymagał orientacji demokratycznej. Nie chcę przez to powiedzieć, że dążenie członków funkcjonariuszy KPCz do reformy demokratycznej było tylko efektem ich karierowiczostwa: przeczy temu cały dotychczasowy opis rozwoju nurtu reformistycznego w KPCz. Pragnę jednak podkreślić, że w pierwszych miesiącach po upadku Antonina Novotnego demokratyczna "postępowość" funkcjonariuszy nabrała charakteru koniunkturalnego, co na pewien czas zatrzeć różnicę między słowem i czynem tych, którzy rzeczywiście zmierzali do demokratycznej reformy, oraz tych, którzy mieli na oku przede wszystkim własną karierę.

W świecie rządzących panowała powszechna niepewność. Zarówno, w przydzium partii, jak i w jej KC co najmniej połowa członków przewidywała, że nie utrzyma się dłużej na swych pozycjach. W rządzie i parlamencie było tak samo. I podobna była też sytuacja w niższych ogniwach struktury władzy, w okręgach i powiatach. Pracownicy aparatu politycznego od góry do dołu, naturalnie także czuli się niepewnie, byli zdenerwowani i bezradni: ich codzienna praca polegała na dyrygowaniu i nakazywaniu, na administracyjnym decydowaniu i na kontroli. Teraz trafnie przewidywali, że te metody nie mają przed sobą długiego życia, toteż większość powściągała swoją aktywność.

Ta niepewność "na górze" była oczywiście żyzną glebą, na której rozwijała się krytyka "oddolna". Niezdecydowana władza bawiła się w dotychczasowy sposób rozprawiać się z krytykami i oponującymi rebeliantami, bo nawet w atmosferze powszechnej niepewności wszyscy rozumieli, że odwołanie Novotnego z najwyższej funkcji partyjnej jest zwycięstwem krytycznych i opozycyjnych prądów w partii. Zarazem jednak ten stan rzeczy bez wątpienia nie sprzyjał zamysłom reformy politycznej. Im dłużej trwał, tym silniej działały dwa czynniki, dla przemyślanej reformy negatywne: choć programowa koncepcja reformy nie została sformułowana, nasilał się szybko oddolny nacisk na system polityczny - a jednocześnie strach, który z tego powodu ogarniał struktury władzy, sprawiał, że struktury te raczej przeciwstawiały się reformie, niż chciały jej służyć.

Osobiście więc od lutego 1968 r. za główną przesłankę pomyślnego przebiegu reformy uważałem jak najszybsze zakończenie tego prowizorium. Zabierając głos w ścisłym gronie oraz publicznie zabiegałem ze wszystkich sił o jak najszybsze ogłoszenie Programu Działania KPCz jako programowego dokumentu reformy, jak też o bardzo szybkie przeprowadzenie powszechnej i regularnej wymiany ludzi we wszystkich ogniwach systemu politycznego od dołu do góry. Do dziś uważam, że wtedy istniały po temu wszelkie warunki.

Tekst Programu Działania był gotowy - mniej więcej w tej samej postaci, w której został opublikowany w kwietniu - już pod koniec lutego. Proponowałem, żeby zatwierdzić go i opublikować w pierwszych dniach marca. Na marzec bowiem mogły już być zwołane powiatowe konferencje KPCz, wybierające nowe komitety powiatowe partii. Po nich z kolei następowały konferencje partyjne w okręgach. Moim zdaniem konferencje te przy wyborze nowych funkcjonariuszy powinny już kierować się tym, jakie mają oni predyspozycje

z punktu widzenia nowej linii politycznej - w tym celu jednak musiałyby znać tę linię w postaci Programu Działania. Zarazem mogłyby wybrać już delegatów na nadzwyczajny zjazd partii. Do tego jednak trzeba było, żeby KC powziął uchwałę o zwołaniu takiego zjazdu.

Gdyby odpowiednia decyzja zapadła na początku marca, zjazd KPCz mógłby zebrać się w maju i wybrać nowy KC partii. Planowane pierwotnie /niezależnie od obalenia Novotnego/ na maj wybory do komitetów narodowych wszystkich stopni i planowane na lato wybory do parlamentu można było połączyć i przeprowadzić w czerwcu. W ten sposób do lata zakończyłaby się wymiana wszystkich funkcjonariuszy w wybieralnych organach państwowych - od gminnych aż po parlament.

Takie załatwienie sprawy uważałem za optymalne. Pozwalało połączyć pierwszą, nieuniknioną, bardzo silną i wybuchową falę krytyki i niezadowolenia z regularną, demokratyczną wymianą ogółu funkcjonariuszy partyjnych i państwowych. Dawało to możliwość nie tylko nie ograniczania, ale przeciwnie, poparcia dokładnie adresowanej, ostrej i zasadniczej krytyki poszczególnych osób i systemu jako całości - i ukazania także od razu faktycznego rezultatu takiej krytyki, którym byłoby niewybranie już ani w KPCz, ani do organów państwowych tych, w których krytyka godziła przede wszystkim, którzy byli konkretnymi oporami systemu totalitarnej dyktatury. W takiej atmosferze nowo wybrane organy partyjne i państwowe zyskałyby autorytet niezbędny im zarówno do przełomowania po wyborach ogólnej koncepcji reformy, jak i do skutecznego przeciwstawiania się tendencjom ekstremistycznym, które zamiast dążyć do stopniowej demokratycznej reformy całego systemu, parły do szybkiej destrukcji niektórych jego ogniw, nie zważając na to, czy i jak można połączyć to z reformą jako taką.

Z punktu widzenia jednego z głównych problemów reformy - mianowicie żeby w pierwszej jej fazie nie wysuwać sprawy tworzenia opozycyjnych stronnictw niekomunistycznych - omówiona procedura też miała wielką zaletę. Wybory odbyłyby się tak szybko, że tego postulatu nawet nie można by było zrealizować. A do następnych wyborów również to zagadnienie można było rozwiązać już w sposób bardziej przemyślany.

Także z punktu widzenia czynników międzynarodowych, tj. ewentualnej ingerencji Moskwy w naszą politykę wewnętrzną, szybka i regularna wymiana ludzi w organach partyjnych i państwowych dawała wszystkie atuty rzecznikom polityki reformistycznej. Wynisna kadr stalinowskich oraz podporządkowanych Moskwie zostałaby przeprowadzona w zgodzie ze statutem partii i ustawami państwowymi, zanim Kremł zorganizowałby przeciw tej akcji skuteczny opór. Nawet w sytuacji, która faktycznie zaistniała - tj. gdy ewolucja polityczna przybrała postać erupcji w systemie totalitarnym, pod stałym naciskiem odolnym, wyrażanym głównie przez prasę, co doprowadzało Kremł do białej gorączki - w maju wydarzenia nie zaszyły jeszcze tak daleko, żeby można było dokonać zbrojnej interwencji. A po zjeździe partii Moskwa straciłaby już doszczętnie nadzieję, że uda się zmontować z części kierownictwa partyjnego "rewolucyjny rząd robotniczo-chłopski", że "grupa działaczy" sprawujących legalne funkcje niby to "wezwie wojska sojusznicze dla ratowania socjalizmu".

Nie ja jeden miałem podówczas taki pogląd na optymalny rozwój życia politycznego. Bardzo wiele organizacji partyjnych domagało się przyspieszonego zwołania nadzwyczajnego zjazdu, dwie lub trzy organizacje okręgowe przedstawiły nawet ten postulat oficjalnie Komitetowi Centralnemu. Także odroczenie wyborów do organów państwowych bynajmniej nie spotkało się z jedomyślnym poparciem. Mimo to wtedy poglądy te nie odniosły zwycięstwa.

Myślę, że główną przyczyną ich klęski było zjednoczenie się przeciw nim trzech różnych, po części nawet przeciwstawnych sił politycznych.

Procedurze, którą uważałem za słuszną, przeciwstawiali się przede wszystkim rzecznicy radykalnych i konsekwentnie demokratycznych zmian systemu.

politycznego. Byli oni oczarowani niespodziewaną możliwością swobodnego, nie cenzurowanego rozwijania swych demokratycznych myśli i radykalnych recept politycznych na wiecach, w prasie, w radiu i w telewizji. Ludzie słuchali ich z ciekawością, a często z entuzjazmem - i oczywiście nagradzali ich oklaskami. Zwolennicy radykalnych przemian demokratycznych - z szeregow komunistów reformistycznych oraz niekomunistów - sądzili, że im dłużej trwać będzie stan prowizorium, im dłużej struktura władzy będzie niepewna, im dłużej będzie bać się i ustępować przed naciskiem, tym więcej konsekwentnie demokratycznych reform będzie można wywalczyć i zabezpieczyć na przyszłość. I odwrotnie: szybką stabilizację struktury władzy - partyjnej i państwowej - uważali za krok, który konsekwentnej demokracji zagrozi. Zbyt wielu jeszcze pozostanie przy władzy konserwatystów, przede wszystkim zaś "centrystów" - którzy będą hamowali reformę. Wszystko skończy się tak, jak w Polsce za Gomułki: po wielkim entuzjazmie i euforii demokratycznej po cichu, kuchennymi drzwiami wróci dawny system totalitarny. Trzeba więc niszczyć ten system gruntownie i jak najdłużej wywierać nań oddolny nacisk, a jego filary personalne konsekwentnie wyeliminować z przyszłej polityki.

Z zupełnie innych powodów przeciwstawiali się szybkiej wymianie ludzi w strukturze władzy ci, którzy wiedzieli, że nadszedł kres ich kariery: stalinowcy, prawdziwi konserwatyści, agenci Moskwy, karierowicze, którzy w przeszłości zdyskredytowali się wskutek swej gorliwości. W przeciąganiu się stanu niepewności widzieli oni ostatnią swoją szansę lub przynajmniej nadzieję. Oczekiwali, że wydarzenia doprowadzą do takiego kryzysu systemu, że struktura władzy politycznej kierując się instynktem samozachowawczym zmaszona będzie sprzeciwić się reformie jako takiej - a wtedy znów nadzieje ich chwila. Wtedy, wiosną 1968 r., chyba nawet najęmielsi z nich nie spodziewali się, że mogłaby im w tym pomóc Armia Sowiecka. Liczyli raczej tylko na nacisk polityczny z Moskwy i na to, że w obliczu kryzysu sam Dubczek, będzie musiał oprzeć się na nich.

Trzecią wielką siłą polityczną, której koncepcja jak najszybszej zmiany kadr też nie odpowiadała, była Moskwa. Oczywiście stosunek do przemian w Czechosłowacji nie był tam jednolity - ale o tym bardziej szczegółowo w następnym rozdziale. Dla wszystkich trendów politycznych na Kremlu było jednakże ważne, żeby ich wpływ w Pradze w porównaniu z czasami Novotnego nie tylko nie osłabił, lecz przeciwnie, wzógł się. W Moskwie nigdy nie lubią takich rzeczy, jak nadzwyczajny zjazd partii i wybór całego KC w sytuacji, gdy nie trzymają wszystkiego "silnie w ręku". Lepiej poczekać, zabezpieczyć swoje pozycje i zwołać zjazd dopiero wtedy, kiedy z góry będzie wiadomo, jak się to wszystko skończy, kto będzie pierwszy, kto drugi itd.

Oczywiście mój nieszczęsny "centryzm" nie mógł zwyciężyć, mając przeciwko sobie paradoksalny sojusz tych trzech sił - rzeczywisty przebieg wydarzeń od lutego do kwietnia też był inny, niż uważałem za optymalny. A te dwa pierwsze miesiące stanowiły jednocześnie zapowiedź wielu istotnych wydarzeń oraz tendencji miesięcy następnych.

Wielką naiwnością byłoby wyobrażać sobie, że Alexander Dubczek tkwił wśród tego wszystkiego jako święty i prostoduszny demokrat, z prawa i z lewa oszukiwany przez doświadczone wiki. Jeśli Dubczek już w 1963 r. wszedł do prezydium partii, to nie dlatego, że wprowadzili go tam anieli, którzy zeszlizli w tym celu z nieba: miał już wtedy za sobą 14 lat pracy w aparacie partyjnym. Przypuszczać, że nie włodziak, czym jest ten aparat i jak się nim posługiwać - to polityczna naiwność. Znał dobrze jego skryte wektory. I znał także prawdziwe oblicze stosunków między Pragą a Moskwą.

Pogląd, który teraz wyrażę, może zaskoczyć i wzbudzić zastrzeżenia. Moim zdaniem postawa Dubczeka wobec wydarzeń między lutym a kwietniem 1968 r. nie była rezultatem jego przekonania o konieczności szybkiego i radykalnego demokratycznego fermentu w społeczeństwie, ale wynikiem kalkulacji, których dokonywał biorąc pod uwagę przede wszystkim siły w sferze władzy

/w aparacie władzy/ i stanowisko Moskwy. Rzeczywistej siły i perspektywicznych następstw politycznych radykalnej demokratycznej krytyki, której w lutym i marcu 1968 r. pozwalał swobodnie działać, sam wtedy nie rozumiał należyście i nie umiał przemyśleć do końca. Chciał wyzyskać ją dla własnych całkiem konkretnych celów, odmiennych od zamiarów poszczególnych osób i sił społecznych, które krytykę tę uprawiały.

Obejmując stanowisko pierwszego sekretarza partii, Dubczek uściślał się wprawdzie symbolicznie z Novotnym, lecz oczywiście wiedział, że dopóki Novotny będzie prezydentem i członkiem politbiura, on sam nie uzyska wolnego pola dla własnej polityki i nie zdoła też jednoznacznie zabezpieczyć swojej pozycji. Rozumiał i dobrze znał znaczenie różnych klanów i grup nieformalnych w aparacie władzy i wiedział, że Novotny nie jest tylko odosobnionym indywiduum, ale reprezentuje całkiem konkretny i dobrze umocniony na szczytach władzy klan. We własnym interesie Dubczeka - politycznym i osobistym - leżało więc całkowite odsunięcie tego klanu od władzy.

Dubczek rzeczywiście nawet dawniej forsując swe zamiary unikał narzucania swej woli w formie rozkazu, nie działał z pozycji siły. Naprawdę starał się, jak sam mawiał, "przekonywać towarzyszy" o niezbędności podejmowanych przez siebie kroków, tzn. stwarzać sytuacje, w których następstwie jego zamysły ukazywały się jako obiektywnie nieunikniona konieczność. I właśnie w taki sposób chciał pozbyć się definitywnie Novotnego, a z nim również całej jego kamaryli w aparacie władzy. Służyła mu do tego fala krytyki, stopniowo coraz wyraźniej podnoszącej pytanie, czy Novotny w ogóle może być głową państwa. Uważam za prawdopodobne, że w tej sprawie Dubczek nie działał niezgodnie z wolą Breżniewa, choć nie można też mówić o porozumieniu z nim.

Sam Dubczek przy tym żadnej kampanii przeciwko Novotnemu nie prowadził. Zasiadał razen z nim w politbiurze i nawet wciąż wypowiadał się w tym sensie, że towarzysz Novotny jest przecież prezydentem i to właśnie jest demokratyczną metodą rozwiązywania sprzeczności. Ale nie dał mu już przemawiać na manifestacji w związku z dwudziestą rocznicą lutego 1948 r. Osobiście uniemożliwił mu nawet wystąpienie w telewizji, co Novotny chciał zrobić, gdy narastała fala publicznej krytyki jego osoby. Trudno więc mówić o jakichś krokach politycznego naiwniaka, urzeczzonego myślą o nieograniczonej demokracji - mamy tu raczej przemyślane przyczynianie się do powstania sytuacji, w której Novotny sam będzie musiał ustąpić. I taka sytuacja rzeczywiście powstała - co prawda, dopiero w końcu marca.

Co jednak jeszcze kryła w sobie ta sytuacja, której sam pozwolił ukształtować się, by pomogła mu ostatecznie pozbyć się Novotnego - tego sobie dobrze nie uświadamiał. Nacisk krytyki wyrażanej publicznie /przede wszystkim w środkach masowego przekazu/ przynusił do dymisji jeszcze pewną liczbę funkcjonariuszy: ministra spraw wewnętrznych J. Kudrnę, prokuratora generalnego J. Bartuszkę, przewodniczącego związków zawodowych M. Pastyrzika i in. W konkretnych wypadkach wszystko to odpowiadało również osobistym zamiarom Dubczeka, gdyż chodziło o członków kamaryli Novotnego. Dubczek jednak nie zdawał sobie sprawy, że obok tego i ponad tym doszło już do czegoś o znaczeniu o wiele większym: że powstał w praktyce mechanizm zdolny wymuszać zmiany. I że nie jest to ani mechanizm organów partyjnych i państwowych, ani demokratyczna procedura w samych strukturach władzy, lecz mechanizm publicznego nacisku za pomocą wolnej prasy i swobodnego wypowiadania poglądów poza strukturą władzy. Że jest to swego rodzaju mechanizm opozycji pozaparlamentarnej - również w wypadku, gdyby parlament funkcjonował już jako instytucja demokratyczna.

Gdy później, w dalszym rozwoju "Praskiej Wiosny", mechanizm ten nie tylko przybrał na sile, ale w wielu wypadkach przestał też służyć zamiarom Dubczeka i wywierał nacisk w sprawach, w których on sam wcale sobie tego nie życzył - Dubczek spoglądał na to ze zdumieniem, a jednocześnie z zalem.

Częściowo świadkami tego byli niektórzy dziennikarze - w maju i czerwcu zwoływał ich i starał się przekonać, że prasa nie powinna torpedować jego wysiłków, że musi być bardziej zdyscyplinowana. Na tych spotkaniach Dubczek przekonywał tak szczerze, że aż łzy kręciły mu się w oczach. Ale co się tyczy praktycznego wyniku politycznego - na próżno. Pamiętam kilka rozmów, w których poruszał również ten temat.

- Dlaczego mi to robią? - mawiał z nieukrywanym żalem. - Za Novotnego by się bali. Czy nie wiedzą, że mi tym szkodzą?

Kilkakrotnie starałem mu się wyjaśnić, w czym widzę problem. Spodziewałem się, że dzięki temu konkretnemu przykładowi zdołam wzbudzić w nim zainteresowanie koncepcyjnymi problemami rozwoju całego mechanizmu politycznego, że wreszcie mimo wszystko zącznie przeciwieź zajmować się również szerszymi - systemowymi - kontekstami, a nie tylko powiązaniem personalnymi i stosunkami na szczytach władzy. Nie udało mi się. Przez chwilę słuchał, lecz widać było, że w gruncie rzeczy wciąż jeszcze myśli o niewdzięczności dziennikarzy. Moje wyjaśnienia były zbyt abstrakcyjne dla tego słuchacza, który zdecydowanie nie myślał w kategoriach systemowych. Problemami politycznymi przejmował się angażując całą swą osobowość, tak jakos patriarcalnie /podobnie jak i Breżniew/. Skoro tylko przestawał boleć w głębi duszy nad krzywdą, jaką mu wyrządzili tak trudni do przekonania "towarzysze dziennikarze", myśl jego biegła w całkiem innym kierunku i nagle - przerywając mi w połowie zdania - pytał o jakąś zupełnie inną, konkretną sprawę.

To, co w postępowaniu Dubczeka w zakresie polityki powszechnie sprawia wrażenie naiwności, ja rozumiem inaczej. Widzę w tym wyraz szczególnego zbiegu okoliczności, w których kształtowała się jego osobowość: dzieciństwo i młodość spędzone w ZSSR /w Azji Środkowej/x/, doświadczenia polityczne uzyskane wyłącznie w aparacie partyjnym monopolistycznie rządzącej KPCz i doświadczenia życiowe z przetargów politycznych w Słowacji. Te szczególne okoliczności wywierały wpływ na człowieka inteligentnego, ale zupełnie prostego, na człowieka o wielkiej uczciwości osobistej, życzliwego ludziom, nie narzucającego swego autorytetu i czującego potrzebę wiary w wielkie ideały. Wynikiem tego wszystkiego jest postać Alexandra Dubczeka i jej szczególna rola polityczna w okresie "Praskiej Wiosny" w 1968 r.

Mylny jest pogląd, że Dubczek działał pod tak silnym wpływem wiary w ideały demokratyczne, że aż sam myślał, iż w rzeczywistym życiu politycznym oraz w walce o władzę trzeba zawsze przestrzegać tych ideałów, że więc był pod tym względem naiwny. Znacznie bliższe prawdy będzie chyba, że Dubczek w gruncie rzeczy nie wiedział, co to jest demokracja polityczna w życiu społeczeństwa, a więc również w życiu rządzących. Nigdy nie miał z nią do czynienia - a że daleki był od myślenia abstrakcyjnego i systemowego, przeto nie umiał też konsekwentnie przełożyć na język praktyki ogólnych zasad demokratycznych, które sam uznawał za słuszne.

Same idee i zasady marksizmu-leninizmu są dla Dubczeka wielkimi ideałami, są słuszne, sam w nie wierzy, a tych, którzy wierzą w nie tak samo jak on, uważa za dobrych towarzyszy i uczciwych ludzi. Jeżeli w polityce jest to naiwnością, to jest zatem naiwny. Ale wie też, że te "czyste idee" w realnym świecie polityki i władzy przykrywa warstwa zupełnie innych rzeczy, które w praktyce decydują i od których zależy sukces albo niepowodzenie działacza - również komunistycznego. Poznał to bardzo dobrze w ciągu całego życia

/x/ Rodzina Dubczeków spędziła lata 1925 - 38 w ZSSR /głównie w Kirgizji/, gdzie ojciec Alexandra, Sztэфan Dubczek, pracował jako stolarz w złożonej ze Słowaków i Czechów komunistycznej spółdzielni pracy "Interhelpe". Alexander urodził się w 1921 r.

i długoletniej pracy w aparacie partyjnym. Pod tym więc względem wcale nie jest naiwny. A ponieważ swe doświadczenia wyniósł głównie ze Słowacji, na ogół przecenia znaczenie w polityce powiązań czysto personalnych. Przyczynia się do tego również fakt, że w Słowacji nacisk szerokich mas ludu na koła rządzące zawsze był słabszy, że tam "społeczeństwo obywatelskie", stanowiące podstawę demokracji politycznej, także przed wojną było znacznie mniej rozwinięte niż w Czechach.

Znalazłszy się więc na stanowisku dającym największą władzę, na pewno jest zdania, że należy przeprowadzić demokratyczną reformę polityczną, zmienić dotychczasowe metody rządzenia, lecz za decydujące uważa pociągnięcia, które miały wielkie znaczenie właśnie w starym systemie rządów. Jako doświadczony praktyk z aparatu partyjnego wie, że najważniejsza sprawa to odsunąć od władzy grupę, która mogłaby być mu nieprzyjazna, oraz utworzyć i umocnić własną. I wie też, że trzeba sobie zapewnić zaplecze w Moskwie. Obie te sprawy są dlań znacznie ważniejsze, niż deklaracje programowe, rozważania o koncepcji reformy, a także niż zjazd partii i wybory. Tradycyjnie już odbywają się one przecież dopiero wtedy, kiedy nowy pierwszy sekretarz zabezpieczył już sobie pozycję w aparacie i w Moskwie - a nie przedtem. Mniej więc tak samo koniec końców myślą również pozostali członkowie ówczesnego politbiura, przynajmniej większość z nich. Z nowych członków kierownictwa w owym czasie /do końca marca/ najwięcej zrozumienia dla ujęć koncepcyjnych miał bodaj tylko Josef Szpaczek.

Rezultatem jest jednak historyczny paradoks: swoboda prasy i pochodny od niej nacisk opinii publicznej właśnie dlatego rozwijają się w Czechosłowacji wczesną wiosną 1968 r. tak gwałtownie i nieproporcjonalnie do innych form rządów demokratycznych w państwie prawnym, że Dubczek poczyna sobie w gruncie rzeczy w sposób przez wiele lat właściwy kierowniczym grupom w aparacie monopolistycznie panującej KPCz..

Co więc udało się Dubczekowi w okresie od stycznia do kwietnia 1968 roku? Udało mu się utworzyć w kierownictwie partii własną grupę, która praktycznie miała wtedy w rękach decydujące pozycje. Stanowili ją trzech ludzie: Dubczek, Czernik i Kolder. Wszyscy trzech znali się dobrze już z lat wspólnej pracy w aparacie KC KPCz na początku lat sześćdziesiątych i mieli do siebie zaufanie. Wspólnie pousuwali z politbiura tych, którym nie ufali. Z dawnego, nowotnowskiego kierownictwa pozostawili w prezydium partii już tylko trzy osoby: Josefa Lenarta, Antonina Kapka i Martina Vaculika - wszystkich trzech na podrzędnych stanowiskach zastępców członków /zastępcy nie mogą uczestniczyć w głosowaniach na posiedzeniach politbiura/. Martina Vaculika, który ostał się w kierownictwie dlatego, że był pierwszym sekretarzem partii w Pradze, w maju zastąpił nowy sekretarz praski, Bohumil Šimon - kiedyś również współpracownik całej kierowniczej trójki i wieloletni współpracownik Koldera w aparacie KC KPCz. Z innych nowych członków kierownictwa partii pięciu także ma powiązania personalne z triumwiratem, przeważnie bezpośrednio z Dubczekiem: Vasil Bilak /osobisty przyjaciel Dubczeka, dziedziczący po nim stanowisko pierwszego sekretarza w Słowacji/, Jan Piller /przez długie lata na wysokich stanowiskach gospodarczych, skąd zna się głównie z Czernikiem i Kolderem/, Oldřich Šzvestka /redaktor naczelny "Rudého Prava", który już za plecami Novotnego pomagał Dubczekowi/, wreszcie František Barbírek i Emil Rigo /nie odgrywający najmniejszej roli politycznej funkcjonariusze ze Słowacji, których Dubczek zalicza do "swoich ludzi"/.

Z prezydium partii pozostaje jeszcze tylko trzech członków - Josef Szpaczek, Josef Smrkovský i František Kriegl - których droga do tego najwyższego organu KPCz nie jest wynikiem osobistych koneksji z nowym triumwiratem. Szpaczka wynosi na tę funkcję już w styczniu organizacja okręgowa KPCz w Brnie, w której jest pierwszym sekretarzem. Smrkovský dzięki swojej publicznej aktywności po styczniu nie tylko staje się wyjątkowo popularny.

ale praktycznie jest też jednym z poważnych kandydatów na urząd prezydenta państwa: rezultatem tej sytuacji jest jego stanowisko przewodniczącego parlamentu i członka prezydium partii. Stanowi to swego rodzaju "odszkodowanie" za to, że mimo wszystko nie wpuszczono go na Zamek/x/. Kriegel trafia do prezydium partii w następstwie różnych manewrów między grupami w KC. Ani na początku, ani w dalszym przebiegu "Praskiej Wiosny" nie należy do osobistych przyjaciół Dubczeka. Oparcie ma raczej w praskiej organizacji partyjnej, niż w aparacie centralnym, podczas konfliktu z Novotnym sprzymierzył się z Szikiem, Vodsloniem, Prchlikiem, tj. z ludźmi, którzy później nie znaleźli się wśród "wybranych" przez nowy triumwirat. Wejściu do prezydium Oty Szika, od szeregu lat mającego najspójniejsze wyobrażenie o koncepcji reformy ekonomicznej i społecznej, sprzeciwiają się stanowczo Czernik, Kolder i Dubczek. Dwaj pierwsi, moim zdaniem, ze względów osobistych, bojąc się konkurencji.

W skład kierownictwa partii należy jednak prócz politbiura także sekretariat KC. Obok trzech członków prezydium - Dubczeka, Koldera i Lenarta - tworzy go jeszcze sześciu nowych ludzi: Alois Indra /o którego drodze do władzy już wspominałem, a który ponadto od lat z racji swej pracy bliski jest Czernikowi i Kolderowi/, Sztéfan Sadovsky /osobisty przyjaciel Dubczeka/, Oldřich Volenik /sekretarz partii w Ostrawie, będącej jednym z najsilniejszych okręgów komunistycznych, z którego pochodzą Czernik i Kolder/, Czesław Cisarz, Vaclav Slavik i ja.

Droga Cześćmíra Cisarza do sławy była kręta i wielce osobliwa. W latach pięćdziesiątych pracował w aparacie KC KPCz na odcinku ideologicznym, był stalinowcem wierzącym, lecz stosunkowo wykształconym, ukończył francuskie gimnazjum i przed wojną przez krótki czas studiował na uniwersytecie w Dijon/. M.in. napisał pochwalną recenzję z dzieł zebranych Rudolfa Slanskiego - niestety na krótko przed jego upadkiem i aresztowaniem. Przypłacił to zepchnięciem do niższych ogniw aparatu partyjnego, z których po 1956 r. znów wspinał się powoli do góry, aż został redaktorem naczelnym partyjnego czasopisma teoretycznego "Nova Mysl". Za czasów Novotnego napisał książkę "Rośliśmy z biegiem lat"; stylem kulturalniejszym i lepszym, niż było to przyjęte w partyjnej prasie, przedstawił w niej rozwój Czechosłowacji i KPCz jako nieprzerwany ciąg sukcesów, w czym największą zasługę ma kierownictwo, na którego czele stoi Antonín Novotný. Następnie spodobał się osobiście samemu Novotnemu, któremu towarzyszył w jakiejś podróży zagranicznej - i ten w 1963 r. wyniósł go na stanowisko sekretarza KC. W sprzyjających okolicznościach owego roku Cisarz sprawował tę funkcję w sposób stosunkowo liberalny. W szeregach reformistycznej inteligencji praskiej kilka miesięcy jego rządów w KC KPCz zyskało nazwę "łaskawego lata". Potem znowu stracił sympatię Novotnego i powędrował na stanowisko ministra szkolnictwa.

Podczas tradycyjnych majowych juwenaliów w 1965 r. w studenckich "demonstracjach antypartyjnych" uczestniczyła także jego córka. Wylęciał z Ministerstwa Szkolnictwa, wysłano go jako ambasadora do Rumunii, lecz wśród studentów zyskał na popularności. Pomogło mu to niezwykle wiosną 1968 r.: studenci wykrzykiwali i wypisywali na murach hasło: "Cysorz na Zamek!" /xx/- dzięki czemu w opinii społeczeństwa stał się ewentualnym kandydatem na urząd prezydenta. W samej strukturze władzy politycznej nie brano wprawdzie tej kandydatury poważnie pod uwagę, ale - wraz z jego

/x/ Zamek Praski na Hradczanach - rezydencja prezydenta CSRS.

/xx/ Na pojawienie się tego hasła wpłynęło zresztą także zamknięcie studentów do rozmaitych wygłupów. /Przyp. aut./

popularnością wśród części inteligencji - odegrało to pewną rolę przy mianowaniu go na stanowisko sekretarza KC KPCz.

Podobnie jak wielu funkcjonariuszy partyjnych w owych latach, Cisarz reprezentował mieszaninę wiary w ideologię komunistyczną i karierowiczostwa. Gdy został pozbawiony teki ministerialnej i zesłany do Rumunii, spotkałem go przypadkiem przed gmachem KC, jak wychodził właśnie od Novotnego. Był blady, roztrzęsiony, nieszczęśliwy.

- To straszne - rzekł mi. - Byłem u Novotnego. Ja do niego z sercem na dłoni, a on mi na nie splunął.

Odpowiedziałem, że płynie stąd nauka: nie pchaj się z sercem na dłoni do kogoś, komu na nim nie zależy. Cisarz popatrzył na mnie jak na człowieka, którego cynizm przekroczył dopuszczalne granice, i odszedł. W październiku 1968 r., kiedy było już jasne, że ani on, ani ja nie będziemy już długo pełnili swoich funkcji, rozmawiałem z nim o tym.

- No tak - powiedział Cisarz - ale co z sobą zrobić? Przecież nie pójdę gdzieś, gdzie dają mniej niż dziesięć kaflí miesięcznie!

Popatrzyłem na niego jak na człowieka, którego charakter upadł poniżej dopuszczalnego poziomu - i zakończyliśmy rozmowę.

Także Vaclav Slavik wszedł do sekretariatu KC nie tylko dzięki dobrym stosunkom z rządzącym triumwiratem. Był wprawdzie w komitywie z Dubczekiem, ale na jego awansie zaważyło wiele okoliczności. Podobnie jak Smrkovsky, należał do tych członków KC, którzy po obaleniu Novotnego pomagali uruchomić wewnątrz partii falę krytyki dla poparcia reformy. W aparacie partyjnym pracował od lat. Najpierw w "Rudym Pravie", następnie w Bukareszcie, w organie Kominformu "O trwały pokój, o demokrację ludową", od końca lat pięćdziesiątych był kierownikiem wydziału ideologicznego KC KPCz, przez krótką chwilę także sekretarzem partii. Potem został zastępcą redaktora naczelnego międzynarodowego czasopisma komunistycznego "Problemy Pokoju i Socjalizmu", a od 1966 r. był dyrektorem partyjnego Instytutu Nauk Politycznych przy KC KPCz, współpracującego także z moim zespołem badawczym.

W okresie swej różnorodnej działalności w aparacie Slavik nieraz musiał wywijać koźły ideologiczne i polityczne, lecz pod koniec lat sześćdziesiątych był, moim zdaniem, szczerym zwolennikiem reform. Oczywiście także zabiegał o wpływ i stanowisko, nie był jednak karierowiczem, osobiście to człowiek skromny i uczciwy. Toteż różne grupy i klany w aparacie partyjnym odnosiły się do niego z zaufaniem - i chyba właśnie te jego rozmaite kontakty z ludźmi, często stojącymi nawet na przeciwnych biegunach, pomogły mu objąć funkcję członka dubczekowskiego sekretariatu KC. Podczas burzliwych wydarzeń 1968 r. występował też w roli pośrednika ułatwiającego kontakty i kompromisy w wielu zakulisowych starciach, porywach i rokowaniach, zwłaszcza między KC KPCz a miejską organizacją partii w Pradze. Bliski był Dubczekowi i Krieglowi, wielu ludziom wśród radykalnej inteligencji partyjnej i wielu w partyjnym aparacie.

Ja sam w kwietniu 1968 r. stałem się członkiem sekretariatu KC całkiem niespodziewanie - i dla mnie, i dla innych. Przede wszystkim wcale nie byłem członkiem KC partii, byłem jedynie czynny za kulisami aparatu. Sekretarz komisji prawnej KC KPCz nie musiał być członkiem KC, ale członek sekretariatu w normalnych okolicznościach jednak być nim powinien. Jeżeli w kularach zaliczano mnie do jakiegoś "klanu", to do grupy skupionej wokół Kouckiego i Hendrycha, której gwiazda w kwietniu 1968 r. gwałtownie bladła /jeśli nie liczyć awansu Oldrzicha Szvestki/.

Dubczeka osobiście wtedy zupełnie nie znałem ani on nie znał mnie, Czernika znałem przelotnie. Może tylko z Kolderem znaleźliśmy się trochę bliżej, ale nigdy nie łączyły nas osobista współpraca i przyjaźń.

Co prawda, byłem jednym z autorów Programu Działania KPCz, z pewnego punktu widzenia może nawet autorem głównym. Wzmacniało to mą pozycję w kręłarskich władzy, ale nie spodziewałem się, w związku z tym, żadnej funkcji

oficjalnej. Pod koniec marca, podczas kompletowania nowej ekipy w partii i rządzie, zaproponowano mi stanowisko prokuratora generalnego, lecz odmówiłem: chciałem nadal zajmować się teoretyczną pracą koncepcyjną. Wspomniana propozycja pozwoliła mi zorientować się do jakiej kategorii zaliczają mnie nowi władcy - tym bardziej więc nie liczyłem na żadną wyższą funkcję partyjną.

Wraz z innymi członkami "grupy roboczej" piszącej tekst Programu Działania zostałem zaproszony na kwietniowe posiedzenie KC KPCz, na którym program ten miał zostać wreszcie zatwierdzony. Była to stosowana już za Novotnego forma swego rodzaju "honorowej nagrody" dla tych, którzy pracowali w kuluarach. W tym wypadku zależało mi jednak na tym, żeby komentarz polityczny do projektu Programu Działania wyjaśnił również problemy koncepcyjne, które uważałem za mające doniosłe znaczenie. Zgłosiłem się na posiedzeniu KC do dyskusji - i otrzymałem głos. Wprawdzie jako przedostatni - ale przypadkowo to właśnie okazało się bardzo istotne. Bo po mnie zabrał głos najostatniejszy z dyskutantów - Antonin Novotny. Niezamierzenie więc nasze wypowiedzi tworzyły łatwo zauważalną kontrapozycję, a tym samym przyciągnęły większą uwagę. M.in. na zakończenie mojego wystąpienia krytykowałem także dotychczasowe postępowanie dubczekowskiego już kierownictwa partii za to, że traci inicjatywę, że wlecze się w ogonie wydarzeń, zamiast żeby samo przewodziło w polityce i kierowało tym, co dzieje się już w społeczeństwie. Powiedziałem przy tym wyraźnie, że reformie może też zagrozić takie zakończenie "procesu odnowy" jak na Węgrzech w 1956 r. W "Rudym Pravie" co prawda Oldrich Szvestka ocenzurował to zdanie, ale w samym Komitecie Centralnym nie minęło niedostrzeżone. Co więcej, takie słowa chętnie słyszała konserwatywna, stalinowska część członków KC KPCz.

W dyskusji nad projektem Programu Działania Josef Havlin - dzisiejszy, husakowski, sekretarz KC, wtedy ustępujący kierownik wydziału podległego Kouckiemu - zgłosił wniosek, żeby wybrać mnie na sekretarza KC. Podczas przerwy Dubczek podszedł do mnie i zaproponował mi funkcję sekretarza, z tym, żebym razem z Cisarzem kierował odcinkiem pracy ideologicznej. Powiedziałem, że muszę się nad tym zastanowić, ale pracą ideologiczną nie chciałbym kierować. Że chcę zajmować się dalszym opracowywaniem i praktyczną realizacją reformy systemu politycznego i dlatego chciałbym mieć wpływ na działalność organów państwowych, organizacji społecznych, Frontu Narodowego itd. - a nie na odcinek pracy szcysto ideologicznej. W owej chwili Dubczekowi niezbyt to pasowało, bo ten odcinek był już właściwie zastrzeżony dla Aloisa Intry. Uzgodniliśmy więc, że podczas następnej przerwy powiadomię go o mej ostatecznej decyzji.

Zastanowiwszy się nad sytuacją ogólną i moją osobistą doszedłem do wniosku, że z mojego punktu widzenia najlepiej byłoby nadal być w akademii nauk i pracować nad ogólną koncepcją reformy politycznej, ale przy tym mieć oficjalną pozycję członka sekretariatu KC, a z tego tytułu także przewodniczącego komisji prawnej. Wyobrażałem sobie także, że podobnie jak istnieją partyjne czasopisma ekonomiczne zajmujące się problemami reformy gospodarczej, powinno się zacząć wydawać czasopismo partyjne o tematyce politologicznej. Problematyka reformy politycznej nie miała bowiem dotychczas swej trybuny prasowej, pojawiała się tylko na łamach prasy codziennej i tygodników kulturalno-politycznych. Takim pismem chętnie bym kierował. Dubczek zgodził się na to rozwiązanie i oto 5 kwietnia 1968 r. zostałem wybrany na członka sekretariatu KC KPCz bez obowiązków sekretarza.

Dopiero dwumiesięczne doświadczenie udziału w pracy prezydium i sekretariatu KC pod kierownictwem Dubczeka sprawiło, że pod koniec maja sam poprosiłem o funkcję sekretarza: widziałem, że same słowa wypowiedziane na posiedzeniach kierownictwa nie wywierają na nic wpływu, a znaczenie mają tylko w strukturze władzy. Na sekretarza zostałem wybrany 1 czerwca 1968 r.

W tym samym czasie członkiem sekretariatu KC KPCz stał się kolejny nowy człowiek - Evžen Erban. Do tego organu dokooptowano go dlatego, że przed 1948 r. był funkcjonariuszem socjaldemokracji i jego nowa funkcja miała m.in. stanowić dowód, że przed socjaldemokratami otwierają się w KPCz wszelkie możliwości, wobec czego odtwarzanie ich partii jest niepotrzebne. Inna sprawa, że na tych, którzy chcieli odrodzić socjaldemokrację, kariera Evżena Erbana nie mogła wyrzucić poważniejszego wrażenia - i nie wywarła. Erban został zarazem sekretarzem Frontu Narodowego. Zajmował się tam głównie kopaniem dołków pod przewodniczącym, Frantiszkiem Krieglem, dzięki czemu doszedł wreszcie do łask. Dalsze usługi oddane polityce "normalizacji" pozwoliły mu do dziś utrzymać się na nic nie znaczącym, lecz dobrze płatnym reprezentacyjnym stanowisku przewodniczącego Czeskiej Rady Narodowej.

W taki sposób powstało nowe, dubczekowskie kierownictwo KPCz, owoc kuluarowych starć i kompromisów, a częściowo również - nacisku przybierającego na sile ruchu demokratycznego w partii i w społeczeństwie. Z punktu widzenia układu sił w elicie władzy chyba dość dobrze odzwierciedlało ono aktualną sytuację. Z punktu widzenia jednak poważnych problemów politycznych, jakie miały wyrosnąć przed nim w niedalekiej przyszłości, stanowiło konglomerat niezbyt jednorodnych sił politycznych - i dlatego z góry skazane było na zajmowanie się głównie konfliktami we własnym gronie. Już to świadczy, że rządzący triumwirat - Dubczek, Czernik i Kolder - nie przewidział należyście przyszłości i nie docenił powagi sytuacji.

Mniej więcej jednocześnie z utworzeniem nowego kierownictwa partii ustanowiono także nowego prezydenta i nowy rząd. Kierownictwo partii uważało wówczas dość jednolicie, że urząd prezydenta ma znaczenie raczej ogólne, moralno-polityczne, nie zaś takie, jak wypadałoby najwyższej funkcji w państwie. Na urząd ten poszukiwano kogoś, kto miałby autorytet w szerokich masach ludu, a jednocześnie w partii. Stanowisko prezydenta nie miało już być kumulowane z wysoką funkcją partyjną; kierownictwo KPCz instynktownie marzyło o prezydencie "ponadpartyjnym", który choć trochę wywoływałby wrażenie ciągłości z prezydentami pierwszej, przedwojennej Republiki Czeskosłowackiej - ale z drugiej strony nie chciało, żeby prezydent w ogóle nie był komunistą.

- Jakiś profesor gdyby się tak nam trafił... - powiedział kiedyś całkiem trafnie Kolder. - Gdyby tak żył Nejedlý - dodał /już mniej trafnie, bo przechodząc zupełnie do porządku nad różnicą między Nejedlym a Masarykiem/.

Pragnienie, żeby znaleźć "jakiegoś profesora", prowadziło nawet do tego, że pośród kandydatów pojawiło się również nazwisko prezesa Czechosłowackiej Akademii Nauk, Frantiszka Szorma. Ostatecznie, na ogół bez większych zastrzeżeń, wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia, zgodzili się na kandydaturę gen. Ludvika Svobody. Rzeczywiście z różnych przyczyn zdawał się być pożądaną postacią. 30 marca 1968 r. został wybrany na prezydenta. Po swym wyborze złożył wieniec na grobie T.G. Masaryka - co było wydarzeniem od 1948 r. nie spotykanym.

Nowy rząd, na którego czele stanął Oldřich Czernik, ogólnie biorąc miał wyższe kwalifikacje, niż kierownictwo KPCz. Było w nim więcej ludzi lepiej przygotowanych i myślących rozsądniej, wielu z nich rozumiało koncepcję reform. Pewne przesłanki takiego stanu rzeczy pojawiły się już za Novotnego: Jozef Lenart jako ówczesny premier sam był człowiekiem racjonalnym i dobierał sobie współpracowników o wyższych kwalifikacjach, niż Novotny na funkcje w partii. Lenart był jednym z ludzi, którzy w młodości przeszli szkołę Zakładów Bati - i było to po nim znać. W lutym 1967 r. pisałem dla niego referat o komitetach narodowych, którego tekst wieczorem omawialiśmy w cztery oczy. I wtedy Lenart nagle powiedział:

o Lebski gość z ciebie, czego ty ciągle szukasz w tym "gmachu"/x/?
Trzymaj się rządu. Tam się gędzi, robi się tutaj.

W owych czasach taka opinia również dla niego była dość ryzykowna. Lenart jednak nie ograniczał się tylko do krytycznych wypowiedzi: w rządzie i jego aparacie miał wielu ludzi zdolnych, o wysokich kwalifikacjach zawodowych, wśród których znajdowali się także ministrowie z resortów gospodarczych, np. Frantisek Vlasek i Bohumil Sucharda. Reforma ekonomiczna z lat sześćdziesiątych miała wprawdzie błogosławieństwo partyjne, ale dla jej realizacji bardzo wiele uczynił właśnie rząd Lenarta.

Czernik miał więc do czego nawiązywać. Co więcej, do rządu właśnie "odsunięto" niektórych utalentowanych ludzi, którzy nie weszli w skład kierownictwa partii, przede wszystkim Otę Szika i Lubomira Sztrougala, ale także Gustava Husaka. Chociaż późniejsze wydarzenia pokazały, że ze zdolności Husaka i Sztrougala może korzystać również polityka antyreformistyczna, na życzenie Moskwy przywracająca totalitarną dyktaturę, to jednak pozostaje faktem, że są oni zdolniejsi i mają wyższe kwalifikacje niż taki Bilak i Kápek, dzisiaj także będący filarami "normalizacji", a wiosną 1968 r. zdobiący swymi osobami dubczekowskie kierownictwo partii. Niektórzy nowi ministrowie, jak Jirži Hajek w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Vladimír Kadlec w Ministerstwie Szkolnictwa, Miroslav Galuszka w Ministerstwie Kultury, byli ludźmi dużej wiedzy i umiejętności, a zarazem przekonanymi zwolennikami demokratycznej reformy. Z punktu widzenia potrzeb tej reformy obsada personalna wielu odcinków w rządzie była lepsza niż w aparacie partyjnym.

Wreszcie także 22 sierpnia, po interwencji sowieckiej, łącznie dziewięciu członków dubczekowskiego kierownictwa partii wyraża chęć utworzenia kolaboranckiego "rewolucyjnego rządu robotniczo-chłopskiego" /którego organem byłby niewątpliwie również "trybunał rewolucyjny", mający sędzić Dubczeka wraz ze Smrkovskim, Krieglem, Czernikiem i innymi/, podczas gdy z całego rządu Czernika dołącza do tego towarzystwa tylko jeden minister /Oldřich Pavlovsky/. Kilku najwyższych funkcjonariuszy partyjnych przygotowuje potajemnie interwencję sowiecką, ale z funkcjonariuszy rządowych uczestniczą w tym tylko szef Zarządu Łączności K. Hoffmann i wiceminister spraw wewnętrznych V. Szalgovicz.

Ani Pavlovsky, ani Szalgovicz nie znaleźli się w rządzie z inicjatywy Czernika. Pierwszego podsunął mi, jak już wspominałem, Alois Indra, drugiego - osobiście sam Dubczek. Ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Czernika był Josef Pavel, którego na to stanowisko zaproponowałem ja. Kiedy pod koniec marca prezydium partii ustalało projekt nowego rządu, wezwano mnie na to posiedzenie do gmachu KC. Tam Vladimír Koucky zaproponował mi funkcję prokuratora generalnego, a w trakcie rozmowy w tej sprawie powiedział też, że na razie nie ma nowego ministra spraw wewnętrznych. Kilku możliwych do przyjęcia kandydatów odmawia objęcia tego resortu. Konkretnie mówił o Oldřichu Veleniku, sekretarzu komitetu okręgowego KPOz z Ostrawy. Oba byliśmy zgodni co do tego, że trudno się dziwić komuś, kto w obecnej sytuacji nie pali się do funkcji ministra spraw wewnętrznych. Następnie Koucky spytał, kogo ja widziałbym na tym stanowisku. Powiedziałem, że moim zdaniem ministrem powinien być człowiek, który ten resort zna - a przy tym będzie stanowić rękojmię konsekwentnego oczyszczenia całego tamtejszego aparatu z ludzi odpowiedzialnych za łamanie praworządności w minionych latach oraz nie dopuści do politycznego nadużywania Służby Bezpieczeństwa w przyszłości. Znalazienie kogoś takiego było wprawdzie problemem, ale obiecałem, że się nad tym zastanowię. Koucky wrócił na posiedzenie prezydium, a ja myślałem o różnych możliwościach, aż doszedłem do wniosku, że takim człowiekiem mógłby być tylko Josef Pavel.

/x/ "Gmachem" w żargonie aparatczyków nazywano tradycyjnie KC partii.
/Przyp. aut./.

Pavel był przedwojennym komunistą, podczas wojny domowej w Hiszpanii dowódcą brygady międzynarodowej, podczas drugiej wojny światowej służył w oddziałach czechosłowackich w Anglii, po wojnie był kierownikiem wydziału bezpieczeństwa KC KPCz, a później wiceministrem spraw wewnętrznych. W 1951 r. został aresztowany. Należał jednak do tych nielicznych, którzy mimo nieludzkich metod przesłuchań nigdy nie przyznali się do fałszywie zarzucanych im czynów i dlatego nie mógł być wykorzystany w żadnym z inscenizowanych procesów politycznych. Z okresu między lutym 1948 r. a swym aresztowaniem Pavel także miał na sumieniu łamanie praworządności. Lecz jednocześnie z tego czasu dobrze znał aparat bezpieczeństwa, jego metody oraz kadry i nikt nie mógł liczyć na to, że zdoła go jakoś oszukać czy zaskoczyć. Na podstawie tego, co o nim wiedziałem, nabrałem pewności, że jest jednym z tych niesłusznie więzionych komunistów, którzy z tego doświadczenia życiowego wyciągali wnioski nie tylko w słowach, ale także naprawdę głęboko się zmieniając.

Poprosiłem o wywołanie Kouckiego z posiedzenia prezydium i przedstawiłem mu moją propozycję. Koucky wyraził zgodę i powiedział, że zgłosi wniosek na posiedzeniu. Jakie były dalsze rozmowy o kandydaturze Pavla, czy może jeszcze ktoś zgłosił taki sam wniosek, kto był przeciw i dlaczego - tego wszystkiego nie wiem. Ale Pavla naprawdę mianowano ministrem spraw wewnętrznych. Nie tylko pozostał osobie niezależny od Dubczeka, Czernika i Koldera, ale nie miał także niezbędnych "kwalifikacji" na swą funkcję z punktu widzenia Moskwy - nie był w ówczesnej siatce sowieckiej w Czechosłowacji. Jako minister spraw wewnętrznych w 1968 r. nie miał takiego życia. O ile wiem, ściśle spełniał nadzieje, jakie w nim pokładano: poważnie i gruntownie wziął się do czystki w aparacie bezpieczeństwa i skrupulatnie starał się nie naruszać prawa. Posuwał się w tym tak daleko, że nawet mnie wydawało się to niekiedy przesadne.

Tak więc np. po rozmowach z prezydium KPCz z politbiurem sowieckim 1 sierpnia w Cziernej nad Cisą byłem świadkiem, jak Czernik późnym wieczorem telefonował z Cziernej do Pavla i prosił, żeby bezpieka skonfiskowała nakład ostatniego numeru pisma "Reportér", który znalazł się już w kolportażu i rano miał pojawić się w kioskach. W numerze tym była jakaś karykatura, która rozwścieczyła Breżniewa /był już o niej poinformowany/ i przeczyła temu, co kierownictwo KPCz właśnie w Cziernej obiecało - że mianowicie "skończy z polemiką". Josef Pavel odmówił wykonania rozkazu Czernika, powołując się na to, że premier nie ma do tego prawa. Czernik na drugim końcu linii krzyczał, ale Pavel spokojnie odpowiedział:

- No to, towarzyszu premierze, będziesz sobie musiał znaleźć innego ministra spraw wewnętrznych.

I odłożył słuchawkę.

Powiedziałem mu, że moim zdaniem chodzi o sytuację tak wyjątkową, że chyba powinien by spełnić żądanie Czernika.

- Możliwe - odparł - ale w takim razie poślij tam jakichś towarzyszy, nie policję. Zrobię to raz, zrobię drugi - i znajdziemy się tam, gdzie już byliśmy. Wtedy też zaczynało się to jako coś wyjątkowego, aż wreszcie stało się normalną praktyką.

Przypomniałem sobie samego siebie sprzed dwunastu lat, kiedy to odmówiłem wykonania polecenia prokuratora generalnego, jako niezgodnego z prawem, ale przypomniałem też sobie, czym się to dla mnie skończyło. Opowiedziałem o tym Pavlovi, dodając, że w jego wypadku byłaby to szkoda, bo więcej jest do stracenia i nie powinien pozwolić, żeby go usunięto za upór w drobnych sprawach.

- Nic nie poradzę - rzekł Pavel. - W takim razie będzie to musiał robić ktoś inny.

I nie uległ.

Ci, których Pavel powinien pousuwać z aparatu bezpieczeństwa, gdyż nie gwarantowali, że nie dojdzie do nowego łamania praworządności, należeli

jednak często do agenturalnej siatki sowieckiej. Zrozumiałe więc, że Dubczek bardzo prędko znalazł się pod presją Moskwy, żeby położył kres takim wyskokom. W tej sytuacji zrodził się projekt - poparty przez Dubczeka - oddzielenia Służby Bezpieczeństwa od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. I oto kierownictwo partii narzuciło Pawłowi jako wiceministra do spraw Służby Bezpieczeństwa Wiliama Szalgowicza. Że Szalgowicz jest starym agentem KGB jeszcze z wojny - to było powszechnie wiadome. Podczas omawiania w prezydium jego kandydatury na wiceministra spraw wewnętrznych ktoś /niestety nie pamiętam już, kto/ otwarcie zwrócił na to uwagę. Lecz Dubczek jednoznacznie opowiedział się za Szalgowiczem i przeforsował jego nominację. Kierował się tym chyba, że na tej funkcji i tak musi mieć sowieckiego agenta, więc było mu milej, gdy był nim jego kolega, na którym - jak mylnie mniemał - może polegać przynajmniej osobiście.

Ale dlaczego w takim razie Dubczek, który stara się robić koncesje na rzecz Moskwy i sam dobrze zna sowieckie stosunki, mimo wszystko już od pierwszych tygodni swoich rządów natrafia w Moskwie na rosnące trudności, nieufność i sprzeciw? Myślę, że i tym razem odpowiedzi nie można doszukiwać się w naiwności politycznej Dubczeka, jeżeli rozumiemy przez nią wiarę, że Moskwa koniec końców poprze demokratyczną reformę i wszystko zacznie przebiegać bez trudności. Niczego podobnego Dubczek naprawdę nie mógł myśleć. Przeciwnie, dość dobrze wiedział, w jakich sprawach i dlaczego będzie spotykać się z zastrzeżeniami w Moskwie, w Warszawie i w Berlinie.

Przypuszczam, że również w stosunku do Breżniewa usiłował uprawiać taką samą taktykę, jak w polityce wewnętrznej: chciał doprowadzić do stanu, gdy na Kremlu będą w końcu zmuszeni zaprobować jego zamysły i w nim właśnie widzieć gwaranta także dla własnej polityki, bo zrozumieją, że jego pozycjonaria odpowiadają obiektywnym potrzebom sytuacji w CSRS. Również w tym aspekcie szeroki ruch demokratyczny uważał za czynnik, który w końcu posłuży jego zamiarom: wzbudzi wprawdzie w Moskwie obawy, lecz jednocześnie obawy te skłonią Breżniewa do uznania, że to w Dubczeku właśnie ma poręczyciela także swych interesów, że postępując inaczej nie rozwiąże problemu także z punktu widzenia interesów ZSSR.

Zgodnie z najgłębszym osobistym przekonaniem Dubczek wcale nie zamierzał zrywać z Moskwą: w takim zerwaniu widziałaby zagrożenie socjalizmu w Czechosłowacji. Od proklamowanych zasad polityki zagranicznej aż po konkretne sprawy personalne wyraźnie daje Moskwie do zrozumienia, że w kwestiach zasadniczych może ona na nim polegać. Sądzi jednak, że właśnie w taki sposób wywalczy większy obszar dla własnej, samodzielnej polityki tam, gdzie uważa to za potrzebne. Dlatego pozwala sobie na samodzielne posunięcia programowe i personalne: w swych referatach porusza sprawy, o których wie, że Breżniew sformułowałby je zupełnie inaczej lub w ogóle by o nich nie mówił, niektóre stanowiska obsadza ludźmi, których nie przedstawił uprzednio Moskwie do zatwierdzenia. Kiedy jednak wydaje mu się, że grozi to poważniejszym konfliktem, wnet podejmuje kroki zgodne ze skrytymi albo jawnymi życzeniami Moskwy. Ma nadzieję, że w ten sposób "przekona towarzyszy".

Dlaczego mu się to nie udało - o tym bardziej szczegółowo dopiero w następnym rozdziale.

X X X

Co jednak działo się poza strukturą władzy wtedy, gdy w niej same różne ukryte siły wpływały na podział tek i foteli? Co było treścią owego nacisku, o którym już wspominałem, a który ostatecznie wywarł wpływ także na niektóre zmiany personalne w świecie rządzących? Mówiłem już, że nacisk na strukturę władzy występował przeważnie w formach nie sprzyjających reformie, realizacji planu stopniowej demokratyzacji, sformułowanego przez centrum władzy w Programie Działania KPCz. Odnosi się to również do niektórych haseł i konkretnych postulatów politycznych, jak usiłowanie ponownego utworzenia partii socjaldemokratycznej lub przekształcenia w stronnictwo poli-

tyczne poza Frontem Narodowym Klubu Zaangażowanych Bezpartyjnych (KAN) - zmierzały one do konfrontacji, do próby sił z rządzącą KPCz. Znaczenie podobnych tendencji podczas "Praskiej Wiosny" było jednakże i jest przeceniane i rozdmuchiwane jedynie przez ekstremistów po obu stronach barykady. W rzeczywistości nie te tendencje decydowały o najistotniejszej treści wielkiej fali "oddolnej" presji demokratycznej w 1968 r.

Ludziom chodziło przede wszystkim nie o reformy polityczne i mechanizmy demokracji, lecz o samą istotę stosunków między nimi a władzą: początkowo mieli tylko nieśmiałą nadzieję, ale podczas "Praskiej Wiosny" uwierzyli wreszcie, że władza i rząd chyba naprawdę mogłyby być ich władzą i rządem, i że mogłoby mieć znaczenie, czego właśnie oni pragną, co myślą, co mówią i jak pracują. W życiu politycznym ukształtowało się stopniowo jako decydujący czynnik coś, czego - szczerze mówiąc - koncepcje reformistycznych zawodowych polityków nie przewidywały w tej roli: wiara narodu w ideały humanitarne i demokratyczne, wiara, której towarzyszyła nadzieja, że ideały te będą urzeczywistniać reformistyczni komuniści.

Na samym początku, w styczniu 1968 r., po obaleniu Novotnego, wśród ludzi przeważały tylko ciekawość i oczekiwanie, co też "oni" znów zrobią. Mało kto wierzył, że mogłoby to być coś szczególnie ważnego również dla niego osobiście, a tym mniej - że w jego życiu mógłby nastąpić przełom mający jakiś związek z faktem, że "na górze" znów wzięli się za łby. Może jedynie wśród komunistów zmiana w kierownictwie wywołała silniejszy oddźwięk, ale nawet tam, w masach szeregowych członków KPCz w fabrykach i w miastach, znaczenie jej bynajmniej nie było jasne. Przekonanie, że właściwie nic się nie stało, które sekretarz KC KPCz Władimir Koucky żywił aż do marca, prosty lud miał jeszcze w styczniu.

W kilka tygodni później sytuacja zaczęła jednak zmieniać się bardzo szybko. W prasie, radiu i telewizji ludzie spotykają się z wypowiedziami niewiarygodnie wolnomyślnymi. Początkowo słuchają tylko z ciekawości, co też z tego wyniknie. Ale cenzura nie ingeruje, KC KPCz nie zbiera się, żeby ukarać zuchwałych dziennikarzy oraz z naciskiem stwierdzić, że do tego i tego "nie dopuścimy" w interesie "ludu i klasy robotniczej". Przeciwnie: Przemawiając na zjeździe rolniczych spółdzielni produkcyjnych Dubczek mówi nie tylko o nawozach, wydajności, kukurydzy i pogłowiu bydła, ale także o "samo-realizacji człowieka". Pojawia się konkretnie adresowana, publiczna krytyka nie tylko przedsiębiorstw komunalnych i ich dyrektorów, ale też metod pracy KPCz, związków zawodowych, bezpieki i sądów - a rezultatem jest odwoływanie ze stanowisk sekretarzy KC KPCz, CRZZ, ministra spraw wewnętrznych i prokuratora generalnego. Na otwartych zebraniach partyjnych coraz więcej ludzi zabiera głos nie po to, żeby zamianifestować "jedność ludu", ale żeby dać wyraz swym poglądom, dyskutować i proponować, co ma być dalej. Jedno z takich masowych zgromadzeń zakończyło się postulatem, żeby Antonin Novotny odszedł z urzędu prezydenta. Nie rozpadła go policja, nie potępiło ex post "Rude Pravo", jego przebiegu każdy mógł słuchać w radiu. A co już w ogóle wygląda niczym ze świata baśni: w osiem dni później Novotny podał się do dymisji.

Dzieje się to - symbolicznie - pierwszego dnia wiosny: 21 marca 1968 r. I w Pradze w owym dniu wiosna zaczyna się nie tylko astronomicznie, nie tylko politycznie nawet, lecz bez frazesów i naprawdę także w wymiarze ludzkim: w ludziach rodzi się wiara, że mogą sami coś znaczyć, że sami są kowalami swego losu, że sami mogą kierować swymi sprawami wspólnymi, publicznymi.

W życiu publicznym coraz wyraźniej uwidoczniają się rysy znane jedynie z takich historycznych chwil, gdy dzieje się coś o wielkiej doniosłości dla losów narodu - z października 1918 r., z maja 1945 r.: nagła radość, że skończył się długi okres beznadziejności, że nadszedł kres ucisku, upojenie

pierwszymi dniami wolności, nadzieja, że teraz dawne czasy już nie wrócą. Nie jest to sprawa jedynie polityki, a tym mniej sprawa jakichś konkretnych koncepcji politycznych, dotyczących się form i mechanizmów demokratycznych rządów. Ludziom zdaje się, że się zmienia - i to jednoznacznie na lepsze - ich życie.

Podczas gdy w samych strukturach władzy komunistów reformiści, czujący potrzebę demokratyzacji, walczą w-
pływy z komunistami, którzy nie potrafią myśleć i czuć inaczej, niż tylko po dyktatorsku, oraz z podziemnym światem sowieckiej agentury w KPCz, na scenę "Praskiej Wiosny" wkracza - niezależnie od planów i reżyserii reformatorów - czynnik nowy i najsilniejszy: nadzieja, którą cały naród wiąże z tym, co się aktualnie dzieje. Od marca do czerwca ten właśnie czynnik opanowuje coraz wyraźniej życie publiczne i prywatne. Jest to targowisko życzeń i pragnień, na którym nadzieje prywatne przeplatają się z politycznymi i wytwarza się jakby świąteczna atmosfera: w imię lepszych czasów, które zaraz nastaną, naród skłonny jest wielokrotnie darować dawne krzywdy.

Na targowisku pragnień i życzeń "Praskiej Wiosny" można oczywiście wytropić interesy ekonomiczne, socjalne i polityczne różnych warstw i grup społecznych. Robotnicy i inne warstwy ludzi pracy pragnęli wzrostu stopy życiowej, wiara w lepsze zaspokojenie potrzeb materialnych była jedną z doniosłych podnieci nadziei - grał tu więc rolę fakt, że społeczeństwo wkroczyło w konsumpcyjne stadium rozwoju. Poza tym różne warstwy społeczeństwa czechosłowackiego - każda mając na względzie własne interesy - zabiegały o większy udział w podejmowaniu decyzji politycznych. Nie tylko robotnicy, ale także inteligenci byli za Novotného niezadowoleni ze stopnia swego wpływu na kierowanie życiem społeczności. W tych dążeniach różnych warstw społecznych zupełnie nie miały już znaczenia dawne antagonizmy i konflikty klasowe - podstawą, na której rodziły się nadzieje i pragnienia, były nowe stosunki społeczne, ukształtowane po 1948 r. Ludzie domagali się przede wszystkim, żeby reżim respektował ich prawa obywatelskie i polityczne w taki sposób, w jaki respektują je państwa prawne w systemie demokracji pluralistycznej. Wszystko to było - lecz wielu ważnych kwestii jeszcze to nie wyjaśnia.

Państwo zostało tym samym państwem, które ludźmi z minionych lat. Zmieniły się osoby na najwyższych stanowiskach, ale parlament pozostawał organem niewybieralnym, bo przecież każdy wiedział, że dotychczasowe wybory w gruncie rzeczy nie były wyborami. Nadal istniał cały biurokratyczny aparat administracji, nadal istniały również Służba Bezpieczeństwa i zdyskredytowany aparat wymiaru sprawiedliwości - jeśli pominąć kilka zmian personalnych. A ludzie dawali przecież wtedy państwu ślubne obrączki i biżuterię po babci, by zasilić "złoty skarb Republiki". Dlaczego?

KPCz pozostała partią, która dwadzieścia lat rządziła po dyktatorsku. Ma wprowadzić nowe kierownictwo - ale są to przeważnie ludzie, których ćwierć roku temu nikt niemal nie doróżniał od innych na szczytach tejże partii. Ogłosiła nowy program - ale ileż programów ogłosiła już przedtem? Jeszcze pół roku temu w rzeczywistości wolnych wyborach partia ta nie mogła być pewna nawet tego, że dostanie chociażby tyle głosów, ilu ma zarejestrowanych członków. A teraz bardzo obiektywnie prowadzone badanie opinii publicznej ujawnia, że jej politykę popiera około 70 procent ludności, w tym około 25 procent bez zastrzeżeń. Dlaczego?

Socjalizm nie jest dla ludzi pojęciem abstrakcyjnym: jest to ów ustrój, który panował przez ostatnie dwadzieścia lat, którego koniec witają teraz z nadzieją. A przecież około 80 procent ludzi opowiada się za socjalizmem. Co prawda, ludzie głosują tu również za gwarancjami socjalnymi, za troską państwa o zaspokajanie ich potrzeb życiowych itd. Ale gdzie podziało się to niezadowolenie z tysięcznych aspektów codziennego życia, które ci ludzie także obejmują pojęciem "socjalizmu", jaki poznali w praktyce?

A wreszcie - jak zachowywali się ci sami ludzie jeszcze pół roku temu? Ludu przecież nikt nie wymienił. Jest to ten sam lud, który jeszcze niedawno wprowadził na rozkaz z góry dekorował okna w dniach świąt państwowych, marszerował w pochodach i podnosił ręce na zebraniach, gdzie w jego imieniu coś potępiano, zakazywano, na coś nie pozwalano - ale jednocześnie dbał o swoje prywatne interesy, patrzył, jak tu skorzystać na sytuacji, jak okantować państwo i partię, jak myśleć cicho swoje, a głośno mówić to, czego od niego wymagają. I jest to wreszcie ten sam lud, który w dwa lata później znów będzie robił wszystko zupełnie tak samo - czego jednakże wówczas, w okresie "Praskiej Wiosny", sam jeszcze nie przeczuwa. Jak wyjaśnić sobie to wszystko?

Myślę, że na wszystkie te pytania istnieje jedna tylko możliwa do przyjęcia odpowiedź: uwierzywszy swoim nadziejom, w swoim wnętrzu, w swych duszach ludzie na pierwszy plan wysunęli wartości humanistyczne i demokratyczne, które dojrzały w narodzie w ciągu wielu pokoleń i kształtowały się jako wartości nie tylko polityczne, ale przede wszystkim moralne. Jest to system wartości, którym żyło już odrodzenie narodowe w ubiegłym wieku, który rozwijał się w walce o niepodległość za Austrii, na którym budował i który kultywował T.G. Masaryk. Ten demokratyczny i humanitarny system wartości modernizował się i przechodził krytyczny rozwój w latach Pierwszej Republiki/x/, był zduszony przez przemoc w okresie hitlerowskiej okupacji, ale znowu doszedł do głosu w życiu publicznym w 1945 r. Totalitarna dyktatura KPCz po 1948 r. raz jeszcze zdławiła go przemocą, a zarazem demagogicznie nadużywała go, ale bez powodzenia. z nową siłą na scenę wydarzeń politycznych wkroczył wiosną 1968 r.

Lata dyktatury stalinowskiej w Czechosłowacji paradoksalnie umocniły w świadomości narodu te właśnie wartości i ideały, które władza starała się całkowicie usunąć. Dostarczyła bowiem przekonującego praktycznego dowodu, do czego prowadzi ich negowanie. Doświadczenia, które nawet wierzących ideologicznie stalinowców doprowadziły do komunizmu reformistycznego, dla większości narodu były przekonującym świadectwem, że ideały i wartości humanitarne i demokratyczne nadal obowiązują. W świadomości narodu wartości te były dawno i w pełni zrehabilitowane już na długo przed 1968 r. Dla większości ludzi nie przestały nigdy obowiązywać. Co prawda, mało było takich, którzy mieli odwagę przyznawać się do nich w praktyce, starali się żyć w zgodzie z nimi w czasach, gdy pochłaniało to za sobą ryzyko i niebezpieczeństwo. Ale olbrzymia większość ludzi wiedziała, że dzieje się tak tylko wskutek słabości moralnej, że jest to rezultat strachu, jaki sieje dyktatura.

Ani jednostka ludzka, ani grupa społeczna, ani cały naród nie żyją łatwo i chętnie w sytuacji, gdy same wiedzą, że o ich postępowaniu nie decydują wartości, które w głębi duszy uważają za słuszne, ale strach przed postępowaniem tak, jak należałoby. Samo wyzwolenie od takiego strachu uważają więc za odrodzenie. Tego, kto pomógł im uwolnić się od strachu, obdarzają zaufaniem, sympatią i poparciem. Ta właśnie sytuacja jest kluczem do zrozumienia sukcesu komunistów reformistycznych w okresie "Praskiej Wiosny", jak też do zrozumienia legendarnej roli Alexandra Dubczeka - a nie same ich programy reform i nie ich realne walory polityczne.

Wolność od strachu bowiem "Praska Wiosna" dała całemu ówczesnemu społeczeństwu czechosłowackiemu naprawdę i wcale nie iluzorycznie. Gdyż aby to osiągnąć, nie trzeba było dokonywać trwałej i stabilnej zmiany systemu politycznego jako całości, nie trzeba było nawet mieć realnej i jasnej

/x/ Pierwsza Republika - Czechosłowacja w latach 1918 - 1938 /od uzyskania niepodległości do układu monachijskiego/.

koncepcji przemian systemu, nie trzeba było - jeśli wynik miał być tylko przejściowy - nawet całkowicie i konsekwentnie wymienić kadr w strukturach władzy. Wystarczało zachwianie tymi strukturami prowadzące do pewnych kłuzowych przemian oraz na pewien czas paraliżujące niepewnością pozostałe ogniwa mechanizmu dyktatorskiego. Wystarczało nie przeszkadzać swobodnemu wyrażaniu poglądów na wiecach, w druku, w radiu i w telewizji. Już to mogło przynieść - i naprawdę przyniosło - przejściową wolność od strachu.

Wolna od strachu demokratyczna, humanistyczna świadomość narodu jest więc głównym aktorem "Praskiej Wiosny": od kwietnia do czerwca opanowuje suwerennie całą scenę. W lipcu jednak można już dostrzec także silnego konkurenta - Kreml, któremu towarzyszy chór Paktu Warszawskiego. Dostrzegalne staje się niebezpieczeństwo, że wolność od strachu jest tylko przejściowa, że strach sam znów szykuje się do ofensywy. Dotyczy to nie tylko narodu, ale również komunistów reformistycznych, jako jego części składowej: teraz wiąże ich już z narodem wspólny los i obie strony uświadamiają to sobie coraz bardziej. Stopniowo zaufanie narodu do reformatorów przerasta w swego rodzaju pełnomocnictwo lub w - jak to wtedy doskownie mówiono - mandat.

Zarazem jednak widać, że nawet coś tak wielkiego, jak wolność ludzi od strachu, to w świecie władzy i przemocy koniec końców mało, że sama przez się nie zapobiegnie ona szeregowi bardzo poważnych niebezpieczeństw na drodze do demokracji i do wolności w ogóle. Rzeczywisty, nie iluzoryczny bynajmniej dramat coraz bardziej i coraz jednoznaczniej grozi przerośnięciem w tragedię. Na poprawienie scenariusza i wymianę nieodpowiednich aktorów jest już jednak za późno.

Jak wszystko to odzwierciedla się w świecie rządzących?

Wśród rządzących w szerokim tego słowa znaczeniu, w całej KPCz, tj. wśród komunistów w ogóle, czy to reformistycznych, czy konserwatywnych, czy to funkcjonariuszy, czy szeregowych członków partii, zachodzi coraz wyraźniejsze różnicowanie, właśnie w zależności od ich stosunku do tego, czego domaga się świadomość całego narodu. Przyjęcie lub odrzucenie humanistycznego, demokratycznego systemu wartości jako kryterium słuszności rozwoju również dla społeczeństwa socjalistycznego - oto coraz wyraźniejszy wyróżnik poglądów w środowisku samych czechosłowackich komunistów. Problem jest przede wszystkim moralno-polityczny, często nawet raczej moralny niż polityczny. Komuniści są składową częścią swego narodu i ruch ogólnonarodowy ogarnia ich tak samo, jak całą resztę. Ich przeszłość ideologiczna i polityczna staje przed sądem ich sumienia. Przeważnie nie chodzi tu już o racjonalne rozważania polityczne, a tym mniej o polityczne kalkulacje - w grę wchodzi wartości życia ludzkiego, uznawane wewnętrznie i w głębi duszy.

Zapoczątkowana przez komunistów reformistycznych próba dokonania politycznej reformy dotychczasowej totalitarnej dyktatury przerasta więc w szeroki, demokratyczny ruch społeczny o wyraźnym, często decydującym ładunku moralnym. Twarzą w twarz z tym ruchem komuniści w nowy sposób i w wielu wypadkach inaczej niż dotychczas dzielą się w zys dzie na dwa obozy. Ogromna większość dołącza z wewnętrznego przekonania do ruchu ogólnonarodowego, uznaje jego siłę moralną i podporządkowuje się mu. Wielu z nich wprawdzie potem, pod naciskiem przemocy i nowej fali strachu porzuci znów tę postawę - tak samo jak miliony niekomunistów, prostych ludzi, w których duszach świadomość ogólnonarodowa także doszła do głosu tylko w chwili, gdy czuli się wolni od strachu. Niektórzy staną się nawet później aktywnymi "normalizatorami" - też tak samo, jak niektórzy niekomuniści. Ale w owych miesiącach tylko bardzo niewielu komunistów otwarcie odcina się od kryteriów wartości uznawanych przez ruch całego narodu - a ponieważ w tak ostrym konflikcie moralno-politycznym nie można być neutralnym, w istocie tym samym nie tylko wyklucza się z tego ruchu, ale staje się też jego aktywnymi i zajadkimi wrogami. Podział ten ujawni się w całej pełni później, w dniach

sierpniowej interwencji sowieckiej; nastąpił jednak już wcześniej, dokonywał się mniej więcej od maja do lipca. Interwencja zbrojna wniesie do niego już tylko nieznaczne korektury. Ta znikoma mniejszość w KPCz składa się z ludzi, którzy - z różnych przyczyn - za swój system wartości uznali system samodzierżawnego, stalinowskiego despotyzmu i postawili go ponad demokratycznym, humanistycznym systemem wartości olbrzymiej większości swego narodu. Wszyscy oni to jedna rosyjska, sowiecka agentura w Czechosłowacji - bez względu na to, czy poszczególni jej członkowie są pracownikami siatki ambasady sowieckiej i KGB. Często zresztą należą do niej również niekomuniści - niektórzy o znanych nazwiskach /jak ksiądz Plojhar/, inni anonimowi.

Szczytowe miesiące "Praskiej Wiosny" 1968 r. były pod tym względem narodową "godziną prawdy". Nie dlatego, że wszyscy, którzy uznali wtedy system wartości żywy w "duszy narodu", nie mogliby już może znów się go zaprzeczyć, ewentualnie także aktywnie występować później przeciw niemu. Łudziłby się, kto oczekiwałby czegoś takiego. "Godzina prawdy" pokazała jednak, że nikt z tych, którzy podporządkowali się wtedy ruchowi ogólnonarodowemu, nie mógł przeciwstawić się mu, jeśli naród był wyzwolony od strachu. Te miesiące były "godziną prawdy" również w tym sensie, że okazało się, z czym kojarzy się socjalizm w umysłach ogromnej większości narodu. Ludzie aprobowali socjalizm związany z uznawaniem humanitarnego i demokratycznego systemu wartości - a odrzucili związany z orientacją na totalitaryzm. A więc przeciwnie niż przez dwadzieścia lat przedtem - a teraz znowu przez dziesięć już lat potem - twierdził oficjalnie reżim. I przeciwnie niż formalnie wyznaje ta sama większość narodu, gdy rządy strachu nie pozwalają jej wyrażać swych prawdziwych przekonań. Okazało się też, że odnosi się to do olbrzymiej większości ówczesnych komunistów, jako warstwy sprawującej władzę polityczną. Z punktu widzenia Moskwy była to zatem sytuacja naprawdę katastrofalna: w tym świetle interwencja zbrojna była krokiem w pełni logicznym.

X X X

Utworzone na początku kwietnia 1968 r. dubczekowskie kierownictwo partii było, tak jak i cała KPCz, wystawione na konfrontację z tym, co działo się w społeczeństwie, poza strukturą władzy. Także w tym kierownictwie głównym kryterium stał się stosunek poszczególnych jego członków do ogólnonarodowego prądu demokratycznego, do postulatów "procesu odnowy", jak się wtedy mówiło. A ponieważ w społeczeństwie w konkretnych fazach tych przemian nie chodziło o problemy czysto polityczne, lecz moralne, o stosunek ludzi do systemów wartości - te właśnie problemy odnosiły się również do najwyższego kierownictwa partii. Osobiste, ludzkie cechy członków tego kierownictwa nabierały nagle wyjątkowego znaczenia i w wielu sytuacjach politycznych stawały się czynnikiem decydującym. Z punktu widzenia racjonalnie rozumianych potrzeb reformy politycznej prowadziło to jednak do licznych komplikacji i sprzeczności.

W ciągu kwietnia i maja pod naciskiem nowej sytuacji społecznej rozdzielił się przede wszystkim pierwotny triumwirat, który w istocie sformował nowe kierownictwo partii - Dubczek, Czernik i Kolder.

Znaczenie polityczne Alexandra Dubczeka wzrasta w ciągu tych dwóch miesięcy z zawrotną szybkością, co wyraźnie zaskakuje zarówno jego otoczenie, jak i jego samego, a niewątpliwie także władców na Krenlu. I rzeczywiście jest się czemu dziwić: żeby sekretarz partii komunistycznej po dwudziestu latach jej totalitarnej dyktatury stał się charyzmatycznym wodzem demokratycznego i humanistycznego ruchu całego narodu - tego jeszcze w historii komunizmu nigdy i nigdzie nie było. Niezwykły wzrost znaczenia politycznego Dubczeka można jednak wyjaśnić zupełnie racjonalnie, bez sięgania do wzniosłych argumentów moralnych. Doniosłą rolę odegrał tutaj fakt,

że przedstawiciele różnorodnych tendencji - spośród zarówno zwolenników, jak i przeciwników demokratycznej reformy - ze względów politycznych uważali za najdogodniejsze proklamować swoje oddanie dla Dubczeka osobiście. Było to mniej określone, niż gdyby deklarowali np. wierność Programowi Działania KPCz /ponieważ właśnie do jego linii różne grupy miały szereg zastrzeżeń/, mniej zobowiązywało w konkretnych sprawach, a jednocześnie było popularne i skuteczne: zaspokajało żywiołową potrzebę ludu, zazwyczaj utożsamiającego program polityczny z określoną osobą. Rzecznicy różnych tendencji wspólnie hołubią więc i umacniają autorytet Dubczeka w nadziei, że w końcu właśnie ich tendencji uda się wykorzystać ten autorytet na swoją korzyść.

Ale to samo przez się bynajmniej jeszcze nie wyjaśnia roli Dubczeka w okresie "Praskiej Wiosny". Także jego przemówienia polityczne same przez się jej nie wyjaśniają. Jest w nich wprawdzie jakiś pierwiastek osobisty - szczególnie co się tyczy formy - ale na ogół treścią nie odbiegają zbyt od innych ówczesnych oficjalnych przemówień. Powstają również podobnie jak inne przemówienia - tak samo jak dla przywódców KPCz przed Dubczekiem i po nim, piszą je pomocnicy, "grupy robocze" lub inni wyżsi funkcjonariusze /całe wielkie fragmenty pisują często ja/. Rzecznicy różnych tendencji i odcieni politycznych kierują do "grup roboczych" swoich ludzi, toteż - podobnie jak za Novotnego - już w pierwszej wersji tekstu, trafiającej do rąk Dubczeka, występują, mniej lub bardziej wyważone, poglądy tych różnych ugrupowań, działających w KPCz. Nie, samymi przemówieniami Dubczeka też nie można wytłumaczyć roli jego osoby w 1968 r.

Może więc kluczem do zrozumienia jego popularności jest to, że prasa i telewizja pokazują go także w życiu prywatnym, np. jak skacze na pływalni do basenu? Czy może zniewolił ludzi jego uśmiech? Wszystko to również grało pewną rolę, zwłaszcza po latach, w których władcy ukazywali ludowi tylko swe oficjalne, biurokratyczne oblicza. Ale mimo to istoty rzeczy trzeba szukać gdzie indziej. Jeśliby decydował uśmiech, to pierwszym ulubieńcem ludu musiałby być Czestmir Cisarz. Jego uśmiech, zawsze na podporządku, prędzej jednak zainteresowałby jakąś firmę wyrabiającą pastę do zębów, ewentualnie mógłby może zawalczyć na wyborze na senatora w USA. Ale w roli, jaką wiosną 1968 r. grał w Czechosłowacji Dubczek, absolutnie nie mogło to wystarczyć.

Myślę, że główną, najistotniejszą przyczyną popierania Dubczeka przez cały naród było coś zupełnie innego: Alexander Dubczek wierzył w swe ideały. Był wierzącym władcą w okresie, gdy cały naród odczuwał potrzebę wiary. Ludzie nieomylnie wyczuli, że Dubczek wierzy - a on ze swojej strony też czuł, że lud wierzy. Dlatego wierzył ludziom - i myślę, że wierzył im głęboko i szczerze. A oni wierzyli jemu. W coś konkretnie w określonych sytuacjach wierzył Dubczek, a w co naród, to - o dziwo - nie było tak istotne, jak bezsporny fakt samej wiary po obu stronach. To również jest zrozumiałe w okresie, gdy przez lata panowały cynizm i wiara czysto formalna, martwa. I zrozumiałe w narodził się w duchu moralny system wartości, w którym już sama szczerą, humanitarną ludzką wiarą stanowi wartość sama w sobie.

Dopiero w powiązaniu z tym podświadomym faktem mogą nabierać znaczenia również inne, drugorzędne okoliczności, wśród nich przez wszytkim cały zestaw cech osobistych Dubczeka. Dubczek nie był osobowością autorytatywną, to można było dostarczyć na każdym kroku. Występując publicznie zachowywał się raczej niepewnie, miał tremę - i właśnie to także zyskiwało mu popularność, a nawet autorytet. Nie był mówcą wielowym, który umie porwać tłumy - ale w gronie dziesięciu osób urzekł swych słuchaczy. Potrafił także słuchać, co mówią inni - i widać było, że słuchał z zainteresowaniem, że nie należy do tych, którzy z góry zajmują niezmiennie stanowisko, że gotów jest wysłuchać również cudzego zdania, że nie jest niepodatny na perswazję. I choć w końcu stawał na swoim - co zdarzało się w rzeczywistości bardzo często, bo też

naprawdę nakłonić go do zmiany raz przyjętego poglądu wcale nie było łatwe - robił to tak jakoś cicho i dyskretnie, bez ostentacji i nacisku, typowych dla ludzi narzucających swój autorytet innym. Uważam, że z całego kierownictwa partii Dubczek był najmniej autorytatywny - lecz wcale nie najmniej uparty i skłonny ulegać czyjemukolwiek wpływowi.

Wszystkie te cechy Dubczeka wiążą się z jego stosunkiem do siły. Nie należy do ludzi, których siła fascynuje, ani do tych, którzy chcieliby posługiwać się nią dla własnych korzyści. A co w aspekcie politycznym jest tutaj chyba najważniejsze: dla Dubczeka siła nie jest odpowiednim narzędziem wnoszenia w życie społeczeństwa ideałów komunistycznych, które on sam wyznaje. Choć jest wierzącym komunistą, choć sam siebie określa z pełnym przekonaniem jako marksistę-leninowca, nie wierzy w rolę przemocy i siły w ujęciu pozytywnym. Dubczek wyznaje szereg obiegowych, broszurkowych nauk oficjalnego marksizmu-leninizmu o walce klasowej toczącej się w społeczeństwie oraz w skali światowej - ale rolę przemocy i siły widzi w istocie tylko w związku z obroną komunistycznych celów przed atakami wrogów, nie zaś w związku z pozytywną realizacją tych celów. Dopóki więc sam nie jest przekonany, że ma do czynienia z atakiem wroga klasowego, dopóty sprzeciwia się użyciu przemocy i siły jako środka służącego przeforsowaniu własnych ideałów, komunistycznych hipotez i wyobrażeń, w które sam szczerze wierzy.

Gdyby ktoś Dubczekowi powiedział, że jego postawa w tej a tej sprawie nie jest leninowska, tylko masarykowska, spierałby się z nim i zaprzeczał. Po części nie bez racji, gdyż rzeczywiście nie jest masarykowskim humanistą. Lecz w pewnych sytuacjach bardziej niż etykiety ideologiczne, a nawet głębszy kontekst ideowy spójnego światopoglądu, liczą się właśnie postawy w konkretnych sprawach. A postawa Dubczeka wobec metod opartych na przemocy, dyktatorskich, swą treścią była zgodna z demokratyczną i humanistyczną tradycją ogólnonarodową, po masarykowski odrzucającą dyktatorską przemoc i pragnącą demokratycznego reformizmu.

Dubczek więc nieprzypadkowo stał się symbolem "Praskiej Wiosny": naprawdę miał takie cechy ludzkie i polityczne, które do tego prowadziły. Z tego punktu widzenia wybranie go na pierwszego sekretarza KC KPCz jest wyjątkowo szczęśliwe: autorytet reformistycznej polityki KPCz zyskał silne poparcie osobistego autorytetu Dubczeka - a wątpliwe, czy ktoś inny z kierownictwa KPCz mógłby spodziewać się, że zdoła dokonać czegoś podobnego. Z innych jednakże punktów widzenia wybór Dubczeka był już dla reformistycznej polityki KPCz mniej szczęśliwy, jeśli nie wprost niefortunny.

Myślę, że sam Dubczek nie rozumiał dobrze swojej roli - i w tym tkwił pierwszy szkopuł. Nie uświadamiał sobie, jakiemu zbiegowi okoliczności zawdzięcza swą wielką popularność i autorytet, i mniemał, że jest to wyraz absolutnej aprobaty całego narodu dla jego koncepcji politycznych i poglądów. Ujmując rzecz w pewnym uproszczeniu: słusznie czuł, że naród mu wierzy, ale sądził, że tym samym tak samo jak on wierzy również w "marksizm-leninizm" oraz ma zaufanie do wszystkich jego konkretnych poczynań. W miarę tego, jak w całym narodzie wzrastały jego popularność i zaufanie do niego, coraz bardziej przeceniał też - przynajmniej moim zdaniem - swe rzeczywiste możliwości polityczne: zdawało mu się, że z taką popularnością i z takim zaufaniem podoła również przeszkodom, do pokonania których nie wystarczała sama jego dobra wola, lecz trzeba było także większej liczby bardziej przemyślanych posunięć w polityce. Także zbyt wielki /i jak okazało się w końcu, nieuzasadniony/ optymizm Dubczeka, co się dotyczy własnych możliwości w zestawieniu z zamiarami Krenla, wypływał wyraźnie z przekonania, że jego bezsprzeczny ogólnonarodowy autorytet również dla Breżniewa stanie się decydującym argumentem za tym, że w Czechosłowacji nie grozi niebezpieczeństwo "kontrrewolucji".

Liczne dalsze trudności wynikały następnie stąd, że Dubczek miał jeszcze wiele innych cech, prócz tych, które pozwoliły mu zdobyć autorytet

w całym narodzie. Poza tymi, o których już mówiłem - przecenianie momentów personalnych w polityce, wiara, że ludzie zaprzyjaźnieni z nim będą również na gruncie polityki postępować zawsze tak, jak on to sobie wyobraża itd. - było to przede wszystkim niezdecydowanie lub raczej zbyt powolne podejmowanie decyzji w sytuacjach, gdy należało uczynić to natychmiast. Była to odwrotna strona jego skądinąd pozytywnej niechęci do rozstrzygnięcia w sposób autorytatywny, dążenia do "przekonywania towarzyszy". Wielokrotnie gdy wszystkie wchodzące w grę elementy decyzji były już znane, gdy wszyscy do znużenia powtarzali już w kółko te same argumenty za i przeciw, i gdy ostateczna decyzja zależała już jedynie od niego - Dubczek wciąż jeszcze zwlekał. Często wtedy decyzja zapadała gdzie indziej - i inna, niż sam by sobie życzył. W końcu musiał już tylko przyjąć to do wiadomości i samemu podporządkować się zaistniałej sytuacji.

Podczas więc gdy na zewnątrz Dubczek stanowił symbol polityki realizującej wielkie ideały socjalizmu demokratycznego, w samym kierownictwie partyjnym pod wielu względami był kimś zupełnie innym: szefem silnego aparatu politycznego, w którym prowadził w zasadzie po staremu dosyć ograniczoną prywatną politykę i stosował nacechowaną brakiem stanowczości taktykę w sporach i konfliktach między różnymi grupami, a także w sporze z Moskwą. Mimo to jednak również w tym kierownictwie decydujące znaczenie ma jego pozycja w społeczeństwie i nawet ci, którzy w rzeczywistości przeciwni są dubczekowskiej polityce reform, nie ośmielają się wystąpić bezpośrednio przeciwko Dubczekowi, lecz przeciwnie, starają się go pozyskać.

Szczególnie Vasil Bilak wielokrotnie stara się w prezydium partii przekonać Dubczeka, że staje się on ofiarą "sił antysocjalistycznych": tłumaczy mu, że te siły wpuszczają go w malinę, że działają w myśl hasła "Z Dubczkiem przeciw Dubczekowi", podczas kiedy on, Bilak, na wszystko zapatruje się tak samo, jak i Dubczek. Taką samą postawą przybiera czasem Kolder. Kiedy to nie pomaga, na koniec pojawia się także krytyka bezpośrednia: Emil Rigo jako "przedstawiciel mas pracujących" w politbiurze /jest funkcjonariuszem partyjnym we Wschodniosłowackich Hutach Żelaza/ twierdzi, że "ludzie na dole" mówią, jakoby Dubczek tworzył swój "kult jednostki". Do tej krytyki przyłączają się też nieśmiało niektórzy inni - przede wszystkim znowu wspomniani już Bilak i Kolder.

Ale Dubczek nie jest aż tak naiwny, żeby brać to za "życzliwą pomoc" - i wszystkie tego rodzaju wysiłki mijają się z celem.

Drugi członek początkowego triumwiratu - Oldrich Czernik - nie był natomiast wcale typem charyzmatycznego wodza, nie był nawet typem "trybuna ludowego", jak Josef Smrkovsky. Mimo to jednak on również w kwietniu i maju zdobył znaczny autorytet społeczny - demokratyczny i nastawiony humanitarnie "ruch odnowy" całego narodu wzmocnił także jego pozycję polityczną.

Czernik był politykiem rozsądnym, raczej pragmatycznym, typem menedżera, nie zaś ideologa czy agitatora. On także budził w społeczeństwie zaufanie, ale nie swoją wiarą i ludzką otwartością, lecz rzeczowością i kulturalnym sposobem wypowiedzania się. Z tego punktu widzenia Czernik byłby dobrym premierem również w ustroju niekomunistycznym - o ile nie byłby to reżim totalitarny, wykluczający z życia politycznego m.in. racjonalizm, pragmatyzm i rzeczowość. W reżimie totalitarnym należałby zaś do zwolenników racjonalnych i demokratycznych reform - czego zresztą dowiódł w praktyce za rządów Novotnego.

System demokratyczny był dla niego zarazem systemem bardziej racjonalnym i efektywnym niż ograniczone rządy totalitarne - i dlatego głównie był jego zwolennikiem. Czernik był człowiekiem inteligentnym i zdolnym organizatorem. Dlatego też rozumiał dążenie ludzi zdolnych do indywidualnego wybiecia się w systemie, który ceni zdolności jednostek i umożliwia im zajęcie odpowiedniego miejsca w hierarchii społecznej. Również to kształtowało jego stosunek do demokracji i praw obywatelskich.

Moim zdaniem, nie odpowiadałoby więc prawdzie traktowanie związania się Czernika z reformą demokratyczną w 1968 r. jedynie jako koniunkturalnego zwrotu technokraty, któremu właściwie na demokracji nie zależy. Czernik był zwolennikiem ewolucji demokratycznej, rozumiał również ładunek moralny ogólnonarodowego ruchu demokratycznego w okresie "Praskiej Wiosny". Dla niego osobiście ta treść moralna nie była decydującą podstawą działania i nie ona wyznaczała granice jego poczynań. Skoro jednak te ideały moralne odgrywały doniosłą rolę polityczną w społeczeństwie, respektował je i starał się postępować w zgodzie z nimi. Jego związek z Dubczkiem w okresie, kiedy ten stawał się w coraz większym stopniu symbolem "procesu odnowy" również w sensie niepolitycznym, umacnia się więc jeszcze bardziej. Przynosi to Czernikowi korzyści polityczne, kroczy bowiem w cieniu charyzmatycznej postaci Dubczeka. Nie uważam jednak, że robi to tylko dlatego: w tym okresie aprobeuje również treść "procesu odnowy".

Pewnego razu w czerwcu 1968 r. podczas podróży z Bratysławy do Brna spacerowałem z Czernikiem po parku pałacowym w Lednicy na południowych Morawach. Była niedziela, w parku pełno ludzi, wielu nas pozdrowiało, tu i tam zamienialiśmy z kimś kilka słów, Czernik podał piłkę jakiemuś chłopczykowi - słowem, sentymentalne scenki dla kroniki filmowej. Czernik był tym przejęty i widać było, że czuł się znakomicie. Był jednak całkiem inny niż Dubczek w podobnych sytuacjach. Ten ostatni nie zastanawiał się, nie kalkulował, po prostu bawił się razem z ludźmi. Natomiast Czernik w takich chwilach stale pamiętał o swej pozycji urzędowej - choć jednocześnie było mu także pozapolitycznie, zwyczajnie miłe, że ludzie w gruncie rzeczy go lubią.

Gdy zboczyliśmy potem z pełnej ludzi alei i znaleźliśmy się sami, Czernik wdał się niespodziewanie w medytację:

- Popatrz, to wszystko tutaj zostało nam właściwie po feudałach, wyzyskiwaczach. Ale przecież dla ludzi do dzisiaj ma to wartość. Ci arystokraci z pałacu żyją w tym jakby nadal. Jak myślisz, czy po nas także coś pozostanie?

Skąd nagle takie zrozumienie dla feudałów i arystokratów? Myślę, że niechcący i podświadomie Czernik ujawnił tu, jak w gruncie rzeczy czuł się na tym niedzielnym spacerze wśród ludzi w parku: jak władca wśród swego ludu. Ten epizod mówi więc nam coś o tym, jak wyglądał demokracizm Czernika. Był to demokracizm, ale racjonalny i nieco arystokratyczny - a więc zarazem sentymentalny i nie bezinteresowny. Ale mimo wszystko demokracizm - obszaru jego uczuć i myśli nie wyznaczały wartości komunistycznego totalitaryzmu.

Dotychczasowe życie i kariera w aparacie politycznym oczywiście dostatecznie nauczyły Czernika, co i jak musi robić w świecie władzy, by wiodło to do sukcesu. On także prowadzi swą politykę personalną, obsadza różne funkcje ludźmi sobie życzliwymi - i na ogół, jak już mówiłem, ma tu szczęśliwszą rękę, niż Dubczek. Umie działać bardziej stanowczo od Dubczeka, szybciej zajmuje autorytatywne stanowisko, lecz jednocześnie często narzuca swój autorytet. Raczej nie należał do ludzi, których urzeka i nęci siła jako taka. Również na się zapatrywał się jednak bardzo rzeczowo i racjonalnie, jako na środek osiągnięcia określonych celów. Nie należał też do ideologicznych fanatyków, którzy chcą na się uszczęśliwić ludzi wbrew ich woli. Ale na pewno skłonny był użyć siły częściej oraz w takich wypadkach, w których Dubczek wahałby się albo byłby temu przeciwny. Nie wierzył bowiem tak bardzo w potęgę wiary, dobrych chęci i przekonywania - toteż niebezpieczeństwo dla swych zamiarów widział także w takich sytuacjach, w jakich Dubczek ciągle jeszcze spodziewałby się, że "towarzyszy przekona".

Dubczek i Czernik mogli więc tworzyć w polityce parę, w której jeden uzupełniał pozytywnie drugiego i wywierał na niego korzystny wpływ. Niestety jednak ta więź między nimi nie przetrwała ciężkiej próby zbrojnej interwencji sowieckiej - ale o tym później. Również wtedy, gdy stanowili jeszcze

taką parę w kierownictwie KPCz, Czernik nie mógł skutecznie korygować wielu braków Dubczeka: był szefem aparatu rządowego, a nie partyjnego, nie mógł więc bezpośrednio ingerować w konflikty w partyjnej strukturze władzy.

Trzeci członek początkowego triumwiratu - Drahomir Kolder - w ciągu kwietnia i maja 1968 r. znalazł się na zupełnie innych pozycjach niż Dubczek i Czernik. Nacisk ogólnonarodowego ruchu demokratycznego dosłownie usunął mu grunt spod nóg i Kolder coraz lepiej rozumiał, że jeśli wydarzenia nadal będą iść w tym kierunku, perspektywy jego kariery na szczytach władzy politycznej są dość mizerne.

Kolder, kiedyś robotnik w Ostrawie, w aparacie politycznym zatrudniony był od dwudziestego trzeciego roku życia. W 1961 r. został członkiem politbiura, przez pewien czas protegował go sam Novotny. Pod wieloma względami mógł być Novotnemu bliski nawet osobiście, gdyż należał do funkcjonariuszy partyjnych mniej więcej tego samego typu - do tych, którzy "wszystko zawdzięczają partii". Wykształcenie /czy raczej "wyszkolenie"/ otrzymał kiepskie, jedynie partyjno-polityczne, i cały jego status społeczny był rezultatem wyłącznie oddania partii - jej oficjalnej ideologii oraz praktyce politycznej. W aparacie partyjnym przez lata piastował wysokie funkcje na odcinku gospodarczym, żadnej fachowej wiedzy ekonomicznej ani kwalifikacji jednakże nie miał i nie zdobył. Jego pozycja zawsze zależała raczej od tego, na ile zdołał w porę zorientować się w układzie sił w konfliktach wewnątrz aparatu.

Znałem Koldera już przed 1968 r. i myślę, że na swój sposób subiektywnie był człowiekiem szczerym i według własnej skali ocen uczciwym. W wypadku, gdy sam doszedł do wniosku, że coś w polityce partii jest niesłuszne czy złe, zajmował postawę zgodną ze swym sumieniem i był skłonny bronić jej uporczywie, jak buldog, który nie puści tego, w czym zatopił zęby, dopóki sam nie uzna, że już starczy. Nie do pogodzenia z wyznawanymi przezeń w głębi duszy wartościami była np. praktyka inscenizowanych procesów politycznych z lat pięćdziesiątych. Toteż jako przewodniczący ostatniej z działających za Novotnego "komisji rehabilitacyjnych" /w 1963 r./ odegrał rolę nadezwyczaj pozytywną i jak na ówczesne warunki doprowadził rozwiązanie tego dla Novotnego tak delikatnego problemu najdalej. Znane są też z tego okresu wypadki, gdy zachowywał się bardzo przyzwoicie wobec ludzi skrzywdzonych wskutek różnych represji i pomagał tym także, którzy wtedy - na początku lat sześćdziesiątych - byli jeszcze niepraworządnie więzieni i oskarżeni.

Kolder jednak nie był nie tylko masarykowskim humanistą, ale nawet w ogóle demokratą: był to typowy plebejusz. Jego ludowość była niefałszowana, ale też prymitywna i prostacka - wszystkie ludzkie potrzeby redukował do spraw przede wszystkim materialnych. Co się tyczy potrzeb duchowych, uznawał właściwie tylko to, co sam uważał za potrzebne dla własnej duszy i systemu etycznego - a było tego bardzo niewiele. Dla wszystkiego ponad to nie miał większego zrozumienia niż tolerancji - a tym bardziej pokory, jaką zwykli odczuwać ludzie prości i niewykształceni, lecz nie będący przy tym prostakami.

Jeszcze za rządów Novotnego przyjechał kiedyś do Paryża jako szef jakiejś delegacji KPCz. Największe wrażenie zrobił na nim wielki dom towarowy, który uważnie zwiedził od przysięcia aż po najwyższe piętro. Wieczorem zaś w rezydencji ambasadora CSRS leczył swój szok jedną szklanką koniaku za drugą, aż wreszcie szczerze oznajmił:

- To okropne, ilu rzeczy tych naszych ludzi pozbawiliśmy! A czy to oni na to nie zasługują?

Z pewnością wysłał tak rzeczywiście - i chyba także właśnie bodźce silniej zaważyły na tym, że poparł reformę ekonomiczną, niż koncepcje teoretyczne Oty Szika.

Owej historycznej nocy, kiedy sowieckie samoloty wojskowe huczały już nad gmachem KC KPCz, w którym na posiedzeniu politbiura toczył się spór, w jaki sposób wyrazić stanowisko wobec interwencji, Kolder powiedział coś wprost niewiarygodnego:

- My tu sobie gadamy, jak ich potępić, a tymczasem w Ostrawie nasze baby już się z nimi pierdolają!"

Jestem pewien, że naprawdę tak uważał. Nie uświadamiał sobie, że owej nocy nawet ostatnia czeska rogówka nie szła z rosyjskim żołnierzem, bo miała silniejsze hamulce moralne, niż ten członek dubczekowskiego politbiura. I nie poczuwała się do "proletariackiego internacjonalizmu", którym on zapewne uzasadniał etycznie swoje wyobrażenie. A przy tym Kolder nie był etatowym agentem sowieckim w KPCz - jak np. Jakesz i oczywiście również Bilak, Indra oraz niektórzy inni - i jego przejście na stronę sił zdeklarowanie antyreformistycznych, na służbę Moskwy, było wynikiem jego własnej postawy nie tylko jako polityka, ale też jako człowieka.

Rozpowszechniony jest pogląd, że ludzie typu Koldera przeciwstawili się reformie demokratycznej, gdyż byli skorumpowani przywilejami, wysokim uposażeniem itd. Myślę, że nie jest to całkowicie słuszne, władza bowiem korumpowała latami wszystkich wysokich funkcjonariuszy, ale tylko niektórzy z nich przeciwstawiali się reformie z obawy przed utratą swych przywilejów.

Przywileje związane z najwyższymi funkcjami politycznymi zawsze były znaczne. Wiedziałem o nich ogólnie, a coś niecoś również konkretnie od wielu już lat. Ale mimo to kiedy latem 1968 r. jako sekretarz KC KPCz sam znalazłem się w orbicie tego uprzywilejowanego życia, jego codzienność oszołomiła mnie.

Jeśli chodzi o stronę czysto finansową, ze stanowiskiem sekretarza KC łączyło się wtedy uposażenie w wysokości 14 000 koron miesięcznie /z czego 8 000 wynosiła płaca nominalna, opodatkowana zgodnie z przepisami, a 6 000 było specjalnym, nieopodatkowanym funduszem na pokrycie wydatków związanych ze stanowiskiem/. Było to plus minusz dziesięciokrotnie więcej od ówczesnej statystycznie przeciętnej płacy w CSRS, a trzykrotnie więcej, niż dostawałem uprzednio w Czechosłowackiej Akademii Nauk, gdzie byłem zeszerogowany do pierwszej kategorii samodzielnych pracowników nauki. Płacę, jaką ja pobierałem w akademii, w KC KPCz otrzymywali ludzie na stanowiskach pomocników w moim osobistym sekretariacie. A i to jeszcze miałem najniższą płacę sekretarską, bo nie byłem członkiem prezydium: sekretarze, którzy byli jego członkami, otrzymywali więcej. Pierwszy sekretarz KC KPCz, premier i przewodniczący Zgromadzenia Narodowego otrzymywali pobory w wysokości 25 000 koron miesięcznie.

Początkowo sądziłem, że z funduszu "na pokrycie wydatków związanych ze stanowiskiem" muszę naprawdę pokrywać takie wydatki. Lecz byłem w błędzie. Potrawy, napoje, papierosy itp., potrzebne podczas różnych narad i obrad w moim gabinecie, były opłacane oddzielnie, z budżetu mego biura, podobnie jak koszty podróży, które zresztą praktycznie odpadały, bowiem każdy sekretarz miał do swej dyspozycji służbowy samochód z kierowcą, w myśl wewnętrznych przepisów przydzielony mu do użytku osobistego, nie tylko służbowego.

Gdy pierwszy raz jako sekretarz KC byłem w zakładach przemysłowych - bodajże w Brnie - przy odjeździe spostrzegłem na tylnym siedzeniu jakieś pakunki. Najmniej przypuszczałem, że to szofer czekając coś sobie kupił i teraz wiezie do domu. Zapytałem, co też pięknego zdobył. Zdumiony wyjaśnił, że to przecież moje, że to prezenty od dyrektora zakładów. Były tam jakieś szklance i drewniany posążek muflona, ofiarowany w przekonaniu, że ten, dla kogo jest przeznaczony, musi mieć gust socrealistyczny i być namiętym myśliwym, które to cechy mieściły się w standardzie wyższego funkcjonariusza minionych lat. Czyli w sumie drobnostki, nabyte także z jakiegoś "Funduszu na pokrycie wydatków związanych ze stanowiskiem", tym razem - dyrektora zakładów. Nie był to jednak wyjątek, tylko powszechna praktyka - dość było wyrazić życzenie, a nie skończyłoby się na drobnostkach.

Stopniowo zgłębiałem tańki codziennego życia najwyższej elity. Wszelkie kłopoty i problemy wystarczyło zgłosić rano pomocnikowi lub sekretarce: od chęci kupienia garnituru aż po załatwienie czegoś dajmy na to w Paryżu. Reszta należała czy to do dyrektora "Domu Mody", czy do ambasadora

czechosłowackiego w którejkolwiek stolicy świata. Za zamówione rzeczy już się wprowadziło, ale i tutaj ludzie korzystający z największych udogodnień mogli ułatwić sobie sprawę jeszcze bardziej: zakłady produkcyjne /ściślejsze - ich dyrekcje/ poczytywały sobie za zaszczyt, że mogły dostarczyć wyroby "towarzyszowi sekretarzowi"; dbały wtedy zarówno o wysoką jakość, jako niską - rzekłbym: ulgową - cenę. Zrozumiałe jest, że ci, co zamawiali rzeczy "dla towarzyszy", przy okazji załatwiali też to i owo dla siebie na równie dogodnych warunkach.

Mieszkałem w normalnej czynszowej kamienicy i odrzuciłem propozycję przeprowadzenia się do willi, płaciłem więc komorne jak przedtem. Można było jednak przenieść się do budynku należącego do KC KPCz. - a tam już znowu płaciło się tylko jakiś "ulgowy czynsz", wszystkie pozostałe wydatki pokrywała kasa KC. Z funkcją wiązało się też prawo do obiektu rekreacyjnego, willi w ogrodzonym i pilnie strzeżonym rewirze leśnym dla elity koło Orlika. Za korzystanie z takiej willi płaciłem - o ile pamiętam - 290 koron kwartalnie, tj. mniej więcej tyle, ile normalny obywatel płaciłby w owych czasach za dwutygodniowe wczasy w jakichś domkach kempingowych, gdzie sypiałby na pryczy, mył się w jeziorze, a za potrzebą biegał do lasu.

A wszystko to są tylko te korzyści, które najbardziej rzucają się w oczy - finansowe i materialne. Z najwyższymi funkcjami w aparacie władzy wiąże się też niewidoczna sieć wpływów pozwalających śpiewająco omijać tysiące przeszkód, z jakimi normalny obywatel socjalistycznego państwa boryka się dosłownie na każdym kroku. Nawet z taką instytucją jak powszechna socjalistyczna służba zdrowia w tych sferach nie ma się do czynienia: istnieje specjalne Sanatorium Państwowe /Sanops/, w którym w razie choroby człowiek na stanowisku sekretarza KC KPCz leży w apartamencie z salonikiem i telewizorem. Ściągają się do niego sławy medyczne z całego kraju, sprowadza się nieosiągalne dla innych zagraniczne lekarstwa itd. Prawo leczenia tam, ma również cała jego rodzina.

Na wyżynach władzy wszystko to towarzyszy także człowiekowi, który wcale nie chce ciągnąć korzyści z zajmowanej pozycji, tym bardziej zaś nadużywać jej. A co powiedzieć o ludziach, którym na tych korzyściach zależy i którzy starają się zapewnić ich sobie jak najwięcej? Również to należało do codziennego życia najdemokratyczniejszego kierownictwa, jakie KPCz miała od czasu objęcia przez siebie władzy. Same uposażenia, o których mówię, już były trochę obniżone w porównaniu z czasami Novotnego. Dubczek zerwał też ze stosowaną za Novotnego praktyką, znaną wtedy jako "rozdawanie kopert": Novotny regularnie rozdawał członkom politbiura i sekretarzom zalepione koperty z dodatkowymi kwotami, idącymi w setki tysięcy - jako nagrody, oczywiście wyłącznie według własnego uznania.

Ze swoich sekretarskich poborów, przez sześć miesięcy wpłacanych na książeczkę oszczędnościową, później przez około trzech lat polepszałem mą sytuację materialną, gdy - od stycznia 1969 r. - pracowałem w Muzeum Narodowym, otrzymując miesięcznie 2050 koron netto. A ludzie, którzy brali te pensje nie przez sześć miesięcy, lecz przez sześć lat? Do dziś nie jest dla mnie zupełnie jasne, co właściwie robią oni z pieniędzmi: w Czechosłowacji nie wolno przecież zakładać sobie przedsiębiorstw, inwestować, nie wolno przekształcać pieniędzy w kapitał. Na podstawie kilku znanych mi przypadków mogę powiedzieć, że gdy kupią już sobie samochody, wille, różne zbytkowne rzeczy dla swej własnej wygody, wówczas wydają wielkie sumy na to, żeby zapewnić luksusowy i w gruncie rzeczy pasożytniczy tryb życia swoim dzieciom /ewentualnie także dalszym krewnym/ - a więc kupują kolejne samochody i wille. Dziwny to cel, jak na wyższych funkcjonariuszy partii komunistycznej, ale tak właśnie jest.

Zrozumiałe, że ludzie, którzy latami tak żyją, mogą bać się utraty swej pozycji i że ta obawa wywiera wpływ na ich działalność polityczną. W pewnej mierze odnosi się to do każdego. Wiem o tym z własnego doświadczenia, bo już w ciągu pół roku przyzwyczałem się do niektórych z tych przywilejów,

zaakceptowałem je i zacząłem uważać za coś oczywistego. Nie znaczy to, że bym powodowany pragnieniem utrzymania tego wszystkiego zmienił swoje poglądy i postawę - ale też na pewno sam nie proponowałbym likwidacji Sanatorium Państwowego, mimo że uważałem je za instytucję korupcyjną. Krótko mówiąc, przywileje psują ludzi zawsze - a w połączeniu z władzą szczególnie. Jak głęboko sięgną macki korupcji, to już zależy od zasad moralnych danego człowieka, ukształtowanych na długo przedtem, zanim wszedł między silnych i uprzywilejowanych.

Wśród funkcjonariuszy politycznych KPCz poznałem dwa typy ludzi, u których korupcja doszła do tego stopnia, że swe postępowanie podporządkowali jej bezgranicznie. Pierwszy z nich - to ludzie kierujący się rozumem, którzy pierwotnie mieli zasady moralne i dlatego wiedzieli również, że już od nich odchodzą: pomagało im w tym przejście od wiary do cynizmu. Drugą kategorię stanowili ludzie zupełnie inni - plebejusze. Ich także korupcja opanowała bez granic, ale oni pierwotnie, zanim weszli w świat władzy i przywilejów, żadnych zasad moralnych nie mieli: ich skala etyczna była tak prymitywna, że ulegali korupcji bez cynizmu, szczerze i naturalnie. Subiektywnie często nie czuli się nawet skorumpowani i według swych własnych mierników uważali się za uczciwych. W KPCz plebejusze przeważali raczej w starszym pokoleniu. W pokoleniu najaktywniejszym w 1968 r. przeważali już cynicy. Drahomir Kolder duchowo należał jeszcze do pokolenia plebejuszy.

Chociaż korzyści materialne związane z wysoką funkcją w jego wypadku też grały określoną rolę, on sam chyba nie widział sprawy w inny sposób. Władza i stanowisko były dla niego subiektywnie raczej potwierdzeniem własnej ważności, potwierdzeniem sensu jego życia. Należał do ludzi, których wywyższyc mogła jedynie władza polityczna - nie mając w niej oparcia zapadliby się w nicość, upadliby na dno. Wszystko, na czym opierała się ich osobowość, zawsze pochodziło z zewnątrz, brak jej było własnej struktury wewnętrznej. Kiedy Kolderowi taki upadek groził, zwrócił się do jednego, co dawało mu w życiu pewność, do wartości określanych przez władzę totalitarną, usprawiedliwianą "intereselem klasy robotniczej".

Sam z siebie czuł więc potrzebę podporządkowywania się tym wartościom, i to również wtedy, kiedy w ówczesnych warunkach wymagało to pewnej osobistej odwagi. Tak więc np. na posiedzeniu KC KPCz, na którym postanowiono nie wziąć udziału w rozmowach w Warszawie /dokąd Breżniew wraz z przywódcami czterech innych partii z państw bloku sowieckiego ultimatywnie wzywał kierownictwo dubczekowskie w lipcu 1968 r./, Kolder jedyny ze wszystkich członków KC otwarcie powiedział, że podporządkowuje się wprawdzie większości, i dlatego nie przeciwstawia się uchwałom, ale osobiście nie zgadza się z nią i uważa, że Breżniew ma rację. Ten sam człowiek, który z punktu widzenia zasad moralnych, wyznawanych przez cały naród, spaść poniżej poziomu ulicznej prostytutki, czuł potrzebę udowodnienia samemu sobie i innym, że z punktu widzenia komunistycznego "proletariackiego internacjonalizmu" postępuje uczciwie. Prawdą było i jedno, i drugie - i uważam, że należy to widzieć, bez względu na polityczne sympatie czy antypatie.

Zmiana roli Drahomira Koldera była następstwem nader konkretnych zmian okoliczności od niego niezależnych: stawał się w coraz większym stopniu obiektem ataków i publicznej krytyki, przed którą nie mógł się już obronić. Przedtem Kolder - oczywiście w ramach swych osobistych możliwości - stał po stronie reformy politycznej i pragnął ją popierać. Przyczyną zmiany jego postawy nie była więc niezdolność utożsamienia się z kierunkiem reformistycznym - i tym różnił się np. od Vasilija Bilaka, który pewnych koncepcji politycznych z 1968 r. naprawdę nigdy nie uznał za własne. Przyczyną była obawa o własny los, niezdolność rozliczenia się we własnym sumieniu z konsekwencjami nowej sytuacji politycznej. Podobnie było też w wypadku innego członka ówczesnego politbiura, Oldrzych Szewstki.

Można zadać mi oczywiście pytanie, jak po tym wszystkim, co właśnie napisałem o Kolderze, w ogóle mogą poważnie zajmować się jego ewentualną pozytywną rolą dla reformy demokratycznej. Czyż taki człowiek mógł przyczynić się do narodzin demokratycznych reform? A gdyby nawet - to czy warto zabiegać o takich sprzymierzeńców?

Obydwa te pytania liczą się w polityce i na obydwie odpowiem pozytywnie: tak, mógł się przyczynić, tak, warto było zabiegać również o takiego sprzymierzeńca. Uważając inaczej, nie mógłbym parać się polityką w Czechosłowacji i w KPCz nie tylko w 1968 r., ale nawet już w 1958 r. Między polityką a moralnością oczywiście zawsze zachodzi pewien stosunek i w określonych sytuacjach może on być nawet decydujący. Lecz jednocześnie polityka jest sferą, w której liczą się role grane przez ludzi niezależnie od ich subiektywnych walorów, a często także zamiarów. W tym sensie polityka jest sferą działania przede wszystkim uzewnętrznionego, wynikającego ze sprawowanych funkcji. Wiązanie ról odgrywanych przez ludzi w związku z ich funkcjami w jeden węzeł z ich zaletami moralnymi prowadzi do wytworzenia się sytuacji, której z punktu widzenia zamysłów politycznych, stosunku sił i niezbędnej taktyki rozwiązać niepodobna. Ludzie typu Koldera czy Szvestki oczywiście nigdy nie mogli wyrosnąć na jednostki o wielkiej sile moralnej i odgrywać w polityce roli odpowiadającej temu stanowi rzeczy. Ale z punktu widzenia założeń reformy nie było to wcale potrzebne, tego reformy polityczna od nich nie wymagała. Pomogliby jej dostatecznie, grając role, którym mogli podołać, i nie ustosunkowując się do niej nieprzyjaźnie.

Oczywiście byłoby ideałem, gdyby wszystkie ważne role polityczne mogły grać zamiast takich ludzi osoby także pod względem moralnym dojrzałe do działalności publicznej w demokracji. Ale czy zawsze jest to realnie możliwe? Czy konkretnie było to możliwe w systemie wyrastającym na gruncie dwudziestoletniej totalitarnej dyktatury? Kto mógł w takich okolicznościach - w pierwszej fazie, a może również w kilku następnych - objąć najwyższe oficjalne stanowiska? Tylko ten, kto już przedtem stał na takim szczeblu hierarchicznej drabiny, z którego mógł osiągnąć też szczebla najwyższego. A jacy ludzie mogli dotychczas stać na tych szczeblach? Jak wykazała "Praska Wiosna", mogli być dosyć różni, niektórzy nawet zadziwiająco zdolni zmieniać istniejące stosunki. Ale nie mogli to być wyłącznie /ani przeważnie/ ludzie, których walory polityczne równały się moralnym, ludzkim.

Ostatecznie również w funkcjonującej demokracji, która nie wyrosła z totalitarnej przeszłości, stosunki pod tym względem nigdy nie bywają idealne. Czyż w czasach Masaryka spośród przywódcy stronnictw - od agrariuszy po socjalistów narodowych - zawsze idealnie łączyli w sobie walory demokracji politycznej i humanitaryzmu? Czyż nie było tam karierowiczów, ludzi po prostu podłych i skorumpowanych przez politykę? Bezsprzecznie także byli - ale w swych rolach musieli podporządkować się demokratycznemu systemowi rządów i administracji. To ten system - nie zaś czystość charakteru każdej osoby u władzy - stanowił gwarancję demokracji, a w stopniu, w jakim polityka może na to w ogóle wpłynąć, również gwarancją względnego obowiązywania ideałów humanitarnych w praktycznym życiu społeczeństwa.

Co do mnie, uważałem i nadal uważam, że również dla głębszego, ludzkiego i moralnego znaczenia "procesu odnowy" w 1968 r. ważniejsze było zrobienie wszystkiego, co możliwe, dla praktycznego ustabilizowania choćby zarysów bardziej demokratycznego systemu rządów, niż urządzenie polowań na osoby znajdujące się u władzy, w nadziei, że w ten sposób wyeliminowani zostaną karierowicze i osobnicy niemoralni, a ich miejsce zajmą ludzie moralnie godni sprawowania takiej władzy. Myślę, że radykalni komuniści reformistyczni, którzy poszli drogą owych polowań, pozostali bolszewikami bardziej, niż sami skłonni byliby przyznać: jest to przecież stale to samo rewolucyjnie-radykalne oszustwo, jakoby za pomocą polityki i władzy politycznej można było - jeżeli tylko wystarczy konsekwencji i rewolucyjnego idealizmu - zapew-

nić panowanie ideałów moralnych na tej ziemi. A przecież mieliśmy już wtedy w Czechosłowacji bogate doświadczenie w tej dziedzinie!

Przeciwko temu pogładowi świadczą wreszcie również konkretne osoby z 1968 r. Np. ci, co byli zdania, że w imię interesów reformy nie można tolerować pozostawania w politbiurze Koldera i Szvestki, uważali Gustava Husaka za człowieka, który powinien by zasiadać tam zamiast nich. A co uczynił Husak, kiedy wreszcie znalazł się w politbiurze? Lub inny przykład. Na miejskiej konferencji KPCz w Pradze w lipcu 1968 r. w jednym z wystąpień oskarżono Aloisa Indrę, że rzekomo w okresie, gdy był sekretarzem KPCz w Gottwaldovie, należał do tzw. piątki do spraw bezpieczeństwa, tj. organu, który na początku lat pięćdziesiątych wchodził w okręgi w kompetencje sądów i niepraworządnie wtrącał ludzi do więzienia, a niekiedy decydował nawet o karze śmierci. Indra nie był obecny na konferencji, ja znalazłem się tam w delegacji KC KPCz. Wiedziałem, że zarzut jest nieprawdziwy: wtedy, gdy Indra sprawował funkcję w Gottwaldovie, piątki do spraw bezpieczeństwa już nie istniały. Zabrałem przeto głos i powiedziałem to. Nie miałem jednocześnie najmniejszych złudzeń co do orientacji politycznej Indry, była ona już całkowicie jednoznaczna - przeciw reformie, po stronie Moskwy. I oto wieczorem, w prywatnej rozmowie, Radovan Richta dał mi do zrozumienia, że powinienem zastanowić się, czy mając taki stosunek do Indry mogę nadal pozostawać na swoim stanowisku, że powinienem zdać sobie sprawę z tego, że w takich okolicznościach "postępowe skrzydło" w partii nie będzie mnie popierać.

A Richta był wtedy wśród "postępowców" kimś: ideologiem odległej przyszłości komunizmu i rewolucji naukowo-technicznej, a w istocie również autorem sloganu "Socjalizm z ludzką twarzą". To on włożył te słowa w usta Dubczeka i umieścił je w Programie Działania KPCz. Wiem z całą pewnością, że bardzo wielu radykalnych komunistów reformistycznych bez wahania wprowadziłoby wtedy Richtę nie tylko na miejsce Szvestki czy Indry, ale także na moje, gdyż on naprawdę nie był "centrystą". Co jednak pokazał nam Radovan Richta po 1969 r.? Przykład absolutnej podłości, wynikającej ze strachu. Zniszczył był ludzi, którzy przez lata byli mu tak bliscy, że troszczyli się o niego jak o brata, gdy ciężko chory leżał w sanatorium przeciwgruźliczym, gdy nie miał ani stanowiska, ani wpływów politycznych, gdy wydawało się, że długo nie pożyje.

Znany jest również drobny, lecz odrażający epizod już z początku lat siedemdziesiątych. Pewnego razu Richta zabrał do swego auta nieznaną dziewczynę, autostopowiczkę. Kiedy na szosie wyprzedzał kolumnę ciężarówek z sowieckimi żołnierzami, dziewczyna plunęła na nich przez okno. Myślała, bidulka, że wiezie ją jakiś normalny Czech. Tymczasem Richta zatrzymał wóz i wyrzucił dziewczynę na szosę. A wiedział oczywiście, że za chwilę nadjadą żołnierze, na których ośmieliła się splunąć. Twierdzę, że Kolder by tak nie postąpił. Może w ogóle nie brałby obcej autostopowiczki. Ale gdyby to wszystko już się stało, zaczęłyby tę dziewczynę przekonywać i robić jej szkolenie o internacjonalizmie. Potrafił "zaprosić" wojska sowieckie w sierpniu do Czechosłowacji, ale do tego konkretnego czynu nie byłby zdolny. W odróżnieniu bowiem od autora popularnego sloganu o ludzkiej twarzy socjalizmu, nie był tchórzem.

Dostrzegalne codziennie problemy moralne i polityczne, występujące w życiu publicznym, a tym samym również w praktycznej działalności kierownictwa partii, tworzyły latem 1968 r. skomplikowany węzeł. Nie zamierzam jednak już teraz szczegółowo charakteryzować wszystkich członków tego kierownictwa. Ważny jest również całokształt stosunków, jakie w nim panowały.

x x x

Jirzi Hajek, minister spraw zagranicznych w rządzie Czernika, został raz zaproszony na posiedzenie prezydium i sekretariatu KC KPCz, ponieważ omawiane sprawy o znaczeniu międzynarodowym - zbliżające się spotkanie z politbiurem

sowieckim w Cziernej nad Cisą. Podczas pierwszej przerwy, po mniej więcej dwugodzinnej debacie, odciągnę mnie na bok i szeptem spytał:

- Słuchaj, jeżeli to jest kierownictwo partii - jak ja mogę być ministrem spraw zagranicznych?

Odpowiedziałem:

- Nie przejmuj się, ja też jestem tu sekretarzem. Tylko spokój może nas uratować.

Co było powodem takich pytań i odpowiedzi? Posiedzenia kierownictwa partii wypełniały długie monologi poszczególnych jego członków, dotyczące bądź to nader ogólnych zagadnień politycznych i ideologicznych, bądź - przeciwnie - zupełnie konkretnych epizodów, wydarzeń, wygłoszonych gdzieś lub wydrukowanych opinii. Na bezstronnym obserwatorze robiło to wrażenie, że przyśłuchuje się jakiejś debacie, w której ludzie wyjaśniają sobie wzajemnie swój światopogląd, ewentualnie postawę wobec wydarzeń o znaczeniu najogólniejszym - od Rewolucji Październikowej przez drugą wojnę światową aż po XX zjazd KPZS i Program Działania KPCz - albo odwrotnie, że trafił na posiedzenie redakcji jakiegoś pisma a która po wydaniu numeru spiera się, czy trzeba było opublikować ten a ten artykuł, ewentualnie na zebranie terenowej organizacji partyjnej, która zajmuje polityczne stanowisko wobec tego, co ludzie opowiadają sobie u fryzjera. Bezstronny obserwator wciąż czekał, kiedy wreszcie przyjdzie kolej na to, co zapowiedziano w programie. Jirzi Hajek np. czekał, kiedy rozpocznie się dyskusja nad przygotowaniami do spotkania z politbiurem sowieckim. Kiedy zebrani zaczną zastanawiać się, wokół jakich zagadnień chcą skupić rozmowy i dlaczego, jakie mają być nasze argumenty i przeciwnie, jakich argumentów należy oczekiwać z drugiej strony, jak daleko możemy w poszczególnych kwestiach ustąpić, a w jakich punktach już nie, jakie konkretne alternatywy wyników można przewidzieć w określonych sprawach, a wobec tego jak zachowamy się w wypadku alternatywy pierwszej, drugiej itd. itd.

Tego jednak nigdy się nie doczekał. Dowiedział się jedynie, że Antonin Kapek oddany jest Związkowi Sowieckiemu sercem i duszą i że nikt tego nie zmieni. Że Vasil Bilak myśli, że gmach naszego socjalizmu jest znakomity, pytanie brzmi tylko, jak tę budowlę upiększyć, gdzie umieścić kwiatki, a gdzie obrazek - tymczasem niektórzy chcą cały ten gmach zburzyć i zacząć wznosić jakiś dziwaczny nowy dom. Z kolei Jan Piller komunikował, że na naradzie funkcjonariuszy powiatowych jeden towarzysz opowiadał, jak to na zebraniu K-231/x/ pewien mówca chciał powywieszać komunistów, a więc mamy już do czynienia z prawdziwym antykomunizmem; z drugiej jednakże strony Piller jest przekonany, że proces odnowy to rzecz zdrowa i słuszna - i towarzyszom sowieckim należało i wyjaśnić obydwa te aspekty. Czestmir Cisarz zabrał głos na temat wolności prasy, która jest niezbędna i dla socjalizmu zdrowa. Trzeba przeciwstawiać się temu, żeby sporadyczne wypadki stawały się podstawą domatycznej krytyki wszystkiego. Emil Rigo zwrócił uwagę na to, że w jego zakładach funkcyj rusze partyjni czują się niepewnie i boją się, jak się to wszystko skończy, co też zilustrował kilkoma konkretnymi wypowiedziami. Alois Indra notował wszystko starannie w wielkim zeszyte z ponumerowanymi kartkami, przesytyymi sznureczkiem w barwach narodowych, co w Czechosłowacji jest oznaczeniem zeszytów przeznaczonych na tajemnice państwowe - i póki co nic nie mówił. Nie było się zresztą po co śpieszyć: posiedzenia kierownictwa partii trwały po osiem, dziesięć, dwanaście godzin - a wyjątkowo nawet dłużej.

Nie robiłem sobie takich notatek /czego później niekiedy żałowałem/, więc Indra łatwo mógłby mi udowodnić, że wypowiedzi, które tutaj przytaczam,

/x/ K-231 - działający w 1968 r. klub byłych więźniów politycznych; nazwa jego miała sygnalizować, że klub skupia ludzi skazanych na podstawie wydanej w 1948 r. ustawy nr 231.

wcale nie następowały w takiej akurat kolejności, a nawet padły nie na tym akurat posiedzeniu. Możliwe, że miałyby rację. Ale wszystkie można by znaleźć w jego zapiskach: nawet jeżeli ogłoszono je na innym posiedzeniu i w jakiejś innej kolejności, moim zdaniem charakteryzują metodę i ducha obrad dubczekowskiego kierownictwa KPCz w okresie "Praskiej Wiosny".

Prezylujący przy wielkim stole Alexander Dubczek z całą uwagą śledził stałe gęstnienie kaszy poglądów uczestników tych debat. Demokratycznie pozwalał potokowi wymowy płynąć aż do momentu, gdy i on uznał, że towarzysze wypowiedzieli się już w swobodnej dyskusji i nic nowego nie wniosą - a wtedy zwykle też w standardowy już sposób wyrażał swoje credo: Trzeba przede wszystkim skupić siły, by rozwiązać zadania pozytywne, prowadzić pracę pozytywną i w ten sposób przewycięzać również zjawiska negatywne. Nasza polityka ma wielkie poparcie mas pracujących i z taką siłą w końcu nieuchronnie zwycięży.

Nie chcę przez to wszystko powiedzieć, że kierownictwo partii w okresie "Praskiej Wiosny" nie dochodziło do ściśle określonych, jednoznacznych politycznie i doniosłych decyzji. Szereg takich decyzji znamy, istnieją w postaci dokumentów, w prasie, jak i w archiwach, i historycy właśnie na ich podstawie będą oceniać zasługi oraz błędy dubczekowskiego kierownictwa KPCz. Ale sposób, w jaki się te decyzje rodziły, różnił się bardzo od tego, co normalny człowiek wyobrażałby sobie jako demokratyczne podejmowanie decyzji politycznych. Styl pracy ówczesnego kierownictwa partii wyjaśnia także, jak to było możliwe, że owo kierownictwo podjęło wiele decyzji bezsprzecznie w duchu reformy - a jednocześnie niemal połowa jego członków coraz wyraźniej orientowała się przeciw tej reformie, a częściowo nawet już na sowiecką interwencję zbrojną.

Metoda pracy prezidium i sekretariatu KC KPCz, jak też sposób przygotowania materiałów na ich obrady, pozostały w istocie takie same, jak w ostatnich czasach za Novotnego. Na każdym posiedzeniu przedstawiano do rozpatrzenia bardzo wiele punktów i co najmniej kilogram zapisanego papieru - materiałów do przedyskutowania. Świadomie podają wagę, a nie inne dane, gdyż w praktyce dla wszystkich członków kierownictwa partii, którzy na dzień lub dwa przed posiedzeniem znajdowali na biurku paczkę papieru, najważniejsze były jej objętość i waga. Przeczytać tego wszystkiego nikt nie mógł, nawet gdyby chciał. Paczkę przekazywało się pomocnikom i pracownikom aparatu, którzy opatrywali poszczególne teksty uwagami. Teksty, które znajdowały się w paczce, pierwotnie zresztą także sporządzali różni pomocnicy oraz członkowie "grup roboczych" - czasami inni niż ci, którzy potem zgłaszali uwagi, ale czasem ci sami. Tak samo jak za Novotnego, do zatwierdzenia przez "organ" /jak mawiano w aparacie/ przedkładano wiele różnych drobiazgów - niekiedy chyba nawet więcej, gdyż nie czujący się pewnie aparat w niepewnych czasach chciał, żeby wszystko, co robi, miało błogosławieństwo kierownictwa partii, a tym samym żeby nie można było również ustalić konkretnej odpowiedzialności. Bardzo dużo spraw, o których decydowano w ten sposób, większości członków kierownictwa partii zupełnie nie interesowało i nawet nie mogło interesować. Mimo to omawianie ich pochłaniało wiele czasu.

Z reguły tylko około jednej czwartej spraw, którymi zajmowało się kierownictwo, miało naprawdę jakieś ważniejsze i ogólniejsze znaczenie polityczne. Również materiały odnoszące się do takich problemów przychodziły już w postaci, jaką nadawały im różne "grupy robocze", aparat i pomocnicy członków kierownictwa partii. W tej sferze pozycje zwolenników reformy były silne już w czasach Novotnego, wiosną zaś 1968 r. wzmocniły się jeszcze bardziej: z pewnością były silniejsze, niż w samym kierownictwie KPCz. Pracowali w niej również ludzie, których stać było na myślenie koncepcyjne, którzy łączyli swoje koncepcje z projektami o charakterze praktycznym i organizacyjnym. Stąd też często projekty zatwierdzane przez kierownictwo rzeczywiście miały znaczenie polityczne i zwykle były dobrze sformułowane - w odróżnieniu od debat toczących się wokół nich na posiedzeniach najwyższych organów partii.

W wypadkach, gdy kierownictwo KPCz musiało stosunkowo szybko ustosunkować się do nieprzewidzianych wydarzeń i gdy niewidzialna armia pomocników nie miała kiedy przygotować potrzebnych materiałów, wyznaczało ze swego grona dwie albo trzy osoby umiejące opracować tekst stanowiska. I gdy reszta dalej debatowała w sposób, do jakiego przywykła, wytypowani pisali projekt uchwały. Przedstawiony całemu kierownictwu, dawał on powód do nowych wielogodzinnych debat, które znów odbiegały od tematu - aż wreszcie, już pod wpływem fizycznego znużenia i otępienia, kierownictwo zatwierdzało go w zasadzie w takim brzmieniu, w jakim dostało go ileś tam godzin temu.

Wraz z Czestmirem Cisarzem należałem do tych, którym w podobnych sytuacjach najczęściej zlecano napisanie projektów uchwał. Z Cisarzem napisałem np. również dwie bardzo znane uchwały tego okresu: stanowisko prezydium KC KPCz wobec apelu "Dwa tysiące słów" i "Stanowisko prezydium KC KPCz wobec listu pięciu partii komunistycznych i robotniczych", która poprzedzała rozmowy z politbiurem sowieckim w Cziernej nad Cisą.

Sprawa "Dwóch tysięcy słów" jest pod wieloma względami charakterystyczna dla stosunków w ówczesnym kierownictwie KPCz i dlatego zajmę się nią bardziej szczegółowo. Autorem ich był pisarz Ludvik Vaculik i już to stanowiło gwarancję, że są to słowa o znacznej sile oddziaływania, dobrze dobrane, jak też - że polemizowanie z nimi słowami uchwały partyjnej będzie nadzwyczaj trudne i poniekąd z góry skazane na niepowodzenie. Tekst "Dwóch tysięcy słów" ukazał się 27 czerwca 1968 r., w przededniu powiatowych konferencji KPCz, które miały wybrać delegatów na zjazd partii, i to jednocześnie w "Literarnich Listach" oraz w trzech chyba gazetach codziennych. Pod tym apelem złożyło swe podpisy wiele osób - przeważnie intelektualistów, ale także sportowców, popularnych aktorów i ludzi różnych zawodów, szerokiego ogółowi nieznanym - z szeregów komunistów reformistycznych oraz niekomunistów, ludzi od wiosny radykalnych i takich, o których nie można było tego twierdzić.

Sama treść "Dwóch tysięcy słów" nie była w owym czasie niczym wyjątkowym: w wielu innych artykułach prasowych, w wystąpieniach publicystycznych w radiu i telewizji, powszechnie mówiono w różnych wariantach niemal wszystko, co znalazło się i w tym tekście. Może tylko pewne ustępy - np. ten, gdzie Vaculik przedstawia swój pogląd, jak skutecznie zdemokratyzować system polityczny za pomocą "własnych komitetów obywatelskich i komisji" - nigdzie indziej nie było do tego czasu formułowane tak wyraźnie. Nie ulegało wątpliwości, że autor chciał przede wszystkim dać wyraz obawie, powszechnej wśród radykalnej komunistycznej inteligencji: cały "proces odnowy" może zostać zahamowany i znaleźć się w niebezpieczeństwie, gdyż w KPCz i na wielu stanowiskach w całym aparacie władzy jest jeszcze zbyt wielu konserwatystów, zwolenników dawnej totalitarnej dyktatury, którzy w dodatku otrzymują poparcie z zagranicy. To również powiedziano tutaj otwarcie, jasno także sformułowano obawę, że mogłoby dojść do sowieckiej interwencji. W całym tekście poza tym problemy polityczne spletały się w beznadziejny węzeł, z ludzkimi i moralnymi. Wyrażało to atmosferę okresu, dla którego taka symbioza była typowa, lecz na tak postawione pytania nie można było udzielić politycznych odpowiedzi. Na tym polegała również wewnętrzna sprzeczność tekstu; podstawowych problemów ludzkich i moralnych, na których autor chciał skoncentrować uwagę, zupełnie nie było można rozwiązać środkami politycznymi, które sam niejasno proponował. Wszystko to raczej nie spowodowałoby napięcia politycznego, gdyby Vaculik taki sam tekst opublikował jako swój artykuł tylko w "Literarnich Listach". Byłoby to samorodne co prawda, ale rzeczywiście tylko jego osobiste stanowisko wobec problemów chwili.

Lecz tekst miał charakter apelu, manifestu. Podpisało go wielu ludzi, którzy opowiedzieli się za nim i zachęcali innych, żeby poszli w ich ślady. Został ogłoszony w kilku gazetach jednocześnie, i to nieprzypadkowo: miał stać się głównym tematem publicznej dyskusji o problemach aktualnej sytuacji.

I w ten sposób miał wywrzeć wpływ również na doniosłe poczynania samej KPCz, na przygotowania do zjazdu partii. Praktycznie więc podstawą dyskusji politycznych, nie tylko w społeczeństwie, ale też w partii, miał Program Działania oraz jego ujęcia reformy miałyby stać się "Dwa tysiące słów" ze swoim rozumieniem bieżącej sytuacji. Wszystko to oczywiście nie stanowi przestępstwa ani - z punktu widzenia demokratycznych stosunków politycznych - nie jest niczym niezwykłym. W stosunkach demokratycznych normalne jest przecież, że jakaś grupa obywateli przyznaje się publicznie do swych poglądów, stara się zdobyć dla nich więcej zwolenników i w ten sposób wywiera wpływ polityczny na opinię publiczną, a ewentualnie również nacisk na władzę.

Tylko że w Czechosłowacji pod koniec czerwca 1968 r. tego rodzaju stosunków demokratycznych nie było. Nie istniał w niej system pluralistyczny, w którym różne poglądy i interesy zazwyczaj dochodzą do głosu w takich formach - i którego też nic takiego nie może poważnie naruszyć, a tym bardziej stanowić dla niego politycznego zagrożenia: całe społeczeństwo przywykło, że takie rzeczy się dzieją, i wie od dawna, że nie oznacza to ani próby zamachu stanu, ani dążenia tych, którzy wyrazili swoje poglądy, do wejścia w skład rządu. I rządzący w systemie demokratycznym wiedzą to także. W Czechosłowacji jednak wszystko przedstawiało się inaczej. Wciąż utrzymywał się tam system totalitarny, który dopiero miał być demokratyzowany i zmieniony. Zmiany jego struktury istniały tylko na papierze - z jednym poważnym wyjątkiem, jakim była realna wolność słowa. Zarówno rządziący, jak i rządzeni byli przyzwyczajeni do całkiem innych niż demokratyczne form działalności politycznej - i dlatego również apel tego rodzaju, co "Dwa tysiące słów", grał inną rolę. Również rządziący nadawali mu o wiele większe znaczenie, również rządzonych wystraszył znacznie bardziej, niż wynikałoby to z jego treści.

W konie struktury władzy ówczesnego reżimu panowała w czerwcu 1968 r. zupełnie specyficzna sytuacja: chodziło o to, czy na oficjalnej bazie reformy, tj. w ramach Programu Działania KPCz, uda się zjednoczyć jak najwięcej swego rodzaju kontrprogramu nieuchronnie stanowiło zagrożenie tego procesu. A w dodatku trzeba było oczywiście liczyć się z Moskwą. "Dwa tysiące słów" ukazały się mniej więcej na dwa tygodnie przed wysłaniem z Warszawy znanego ultimatywnego listu pięciu partii komunistycznych bloku sowieckiego. Groźby zawarte w tym liście wisiały już w powietrzu - ostatecznie również w tekście "Dwóch tysięcy słów" była o tym wyraźna mowa. Było więc jasne, że ci, którzy opowiadają się za tym apelem, uważają za słuszne także w takiej chwili wystąpić z radykalniejszym programem i poprzeć radykalniejsze siły, niż reprezentowane przez oficjalne kierownictwo partii.

Z punktu widzenia stosunków pośród komunistów reformistycznych była to bezspornie podjęta przez radykalne ich skrzydło - zwłaszcza radykalnych intelektualistów - próba wywarcia presji na kierownictwo partii, żeby się także zradyzalizowało. Ale w jakim kierunku? Żeby usunąć ze stanowisk tych, którzy zaczęli przeciwstawiać się reformie właśnie z tego powodu, że i tak bali się już o swe pozycje. I w jakiej sytuacji? W sytuacji, gdy ludzie ci i tak przeważnie za dwa miesiące mieli być odwołani ze swych stanowisk na zjeździe KPCz. A więc dlaczego? Dlatego, że radykalne skrzydło komunistów reformistycznych obawiało się, iż odwoła się ich zbyt mało - i ta obawa stała się dla niego końskimi okularami, nie pozwalającymi już dostrzec spraw innych, o wiele poważniejszych oraz niebezpieczniejszych dla reformy jako całości.

Co do mnie, uważałem więc opublikowanie "Dwóch tysięcy słów" za sprawę politycznie bardzo doniosłą i właśnie z wymienionych powodów w danej chwili zagrażającą powodzeniu reformy. Nie spodziewałem się, że lub zaczną masowo zakładać "własne komitety obywatelskie i komisje" w myśl recepty Ludvika Vaculika. Bałem się natomiast, że wszystko to stanowiło dowód, iż niektórzy reformistyczni intelektualiści zdecydowali się uruchomić wszystkie

śroki swych wpływów /a były one wtedy pod niejednym względem silniejsze od tych, którymi dysponowało oficjalne kierownictwo/ w sposób, który doprowadzi do takich konfliktów wśród rządzących, że zagrozi to stabilizacji reformy i zwiększy nacisk na kierownictwo partii z zewnątrz, z Kremla. O nic więcej wtedy, uważam, w aspekcie politycznym nie chodziło - ale i to było niemało.

Jak jednak zareagowało na "Dwa tysiące słów" kierownictwo partii jako całość? Dnia 27 czerwca w godzinach popołudniowych zwołano nagle specjalne posiedzenie prezydium i sekretariatu - zdaje mi się, że bez członków spoza Pragi, ponieważ nie mogli oni przybyć w tak krótkim czasie. O ile pamiętam, część obecnych nie wiedziała, o co właściwie chodzi. Czytanie gazet nie leżało w ich zwyczaju - nie było na to czasu. Czytywano specjalne biuletyny informacyjne dla kierownictwa, a tam "Dwa tysiące słów" jeszcze nie zostały odnotowane. Początkowo więc debata utykała, niektórzy z nas ukradkiem, niezbyt uczniowie czytający pod ławką bryki, dopiero w trakcie posiedzenia zaznajamiali się z inkryminowanym tekstem.

Pierwsi zabrali głos ci członkowie kierownictwa, którzy dopatrzyli się w tekście niemal wypowiedzenia wojny Związkowi Sowieckiemu. Mówiono o antysowieckiej prowokacji, o Budapeszcie 1956 r., o wojnie domowej, o wyzwoleniu Czechosłowacji w 1945 r. i podobnych tematach, z którymi "Dwa tysiące słów" nawet przy wielkiej fantazji mogły mieć związek jedynie bardzo odległy. Z pewnością nietypowo - bowiem w innych wypadkach zawsze stał na odmiennych pozycjach - zabrał głos Josef Smrkovsky. Wrócił akurat z Moskwy i najwidoczniej pod wrażeniem tartejszych rozmów oraz tamecznej atmosfery zaczął za aktualne także mówić o wojnie domowej i czołgach.

- I ja nie wezmę na swoją odpowiedzialność - oświadczył dosłownie - żeby wyjściem z tej sytuacji musiał być przyjazd czołgów.

Było jasne, że w takiej chwili nie ma sensu niczego proponować. Czas zrobi swoje - jak zwykle w podobnych sytuacjach. I rzeczywiście - kiedy mniej więcej po godzinie ta tematyka została wyczerpana, podjęto inny temat: zaczęto zastanawiać się nad subiektywnymi zamiarami autorów i sygnatariuszy "Dwóch tysięcy słów". Sygnatariuszy było sporo, nie brakowało więc materiału do debaty: co też kto sobie myśli, do czego zmierza i dlaczego, co kto o nim wie /lub czego nie wie/ z przeszłości, jakiego grzechu zdążył już się dopuścić, lub przeciwnie, co zrobił dobrego itd. Ponieważ wśród sygnatariuszy "Dwóch tysięcy słów" znajdowali się nie tylko szeregowi komuniści, ale także niektórzy członkowie KC KPCz, stało się to powodem dyskusji również o statucie partii, o lenińskich zasadach centralizmu demokratycznego... Wszystko to znów ciągnęło się co najmniej godzinę.

Po takim czasie następowała zazwyczaj przerwa. Przerwy przyczyniały się do zmiany atmosfery, często po nich mówiono już na inny temat, ale czasem - przeciwnie - wszystko znów zaczynało się od początku. Smrkovsky, który zdążył tymczasem pojechać na posiedzenie parlamentu i wrócić, opowiadał o dyskusji wśród deputowanych. Była podobna jak w kierownictwie partii, znalazł się zatem powód, żeby to i owo powtórzyć. Padł także wniosek - bodajże właśnie Smrkowskiego - by do tej sprawy ustosunkował się rząd. To oczywiście dotyczyło osobiście Czernika, w którego interesie było teraz, żeby najpierw zajęło stanowisko prezydium partii, bo niby czym rząd miałby się tu kierować? Zarysował się zwrot w dyskusji: trzeba się zastanowić, co umieścić w uchwale. Otwiera to kolejną turę, teraz już każdy jest zainteresowany w przedstawieniu swego osobistego stanowiska, każdy dba o swe interesy. Zarysowuje się drugi nurt poglądów, wypowiadają się ci, którym polityka reform leży na sercu. Ale znów płyną godziny, a nie wychodzi się poza ogólniki: Program Działania KPCz, pozytywna praca, zalety ruchu demokratycznego, wolność prasy itd.

Po czym wreszcie wyłania się problem: ktoś musi napisać projekt uchwały. Zleca się to Młynarzowi i Cisarzowi. Ponieważ spodziewałem się tego od dłuższego czasu, coś już sobie przygotowałem i teraz poruszam to w dyskusji.

ażebym mógł wyciągnąć z jej przebiegu, co uważam za potrzebne umieścić w uchwale. Potem odchodzimy z Cisarzem, do naszych pokojów i piszemy projekt. Wiem, co mniej więcej napisze on, a on wie, co ja napiszę. Potem sklecimy z tego wspólny tekst - w niektórych miejscach zostawimy fragmenty alternatywne. Staram się zostawić je głównie tam, gdzie spodziewam się, że prezydium przyjmie moją alternatywę - a on ze swojego punktu widzenia stara się o to samo. Czyli ostatecznie przynajmniej my dwaj dyskutujemy między sobą, co i dlaczego chcemy właściwie umieścić w tej uchwale. Tymczasem posiedzenie prezydium ma na pół pauzę, na pół zaś nadal krąży w błędnym kole debaty, o której z góry wiadomo, kto co w niej powie i dlaczego.

Na dworze dawno już zapadł zmrok, normalni ludzie oglądają program telewizyjny, lecz kierownictwo partii wciąż obraduje i o tym, co było w telewizji, dowie się dopiero z jutrzejszych biuletynów specjalnych. Kto wie, czy nie będzie tam czegoś, co stanie się powodem kolejnego posiedzenia? Przed gmachem KC KPCz stoja w mroku czarne limuzyny "tatra-603", w ciemnościach jaśnieją okna sali posiedzeń i przechodnie zapewne - biorąc pod uwagę ówczesną ogólnonarodową gorączkę polityczną - z niejakim szacunkiem stwierdzają, że dubczekowskie kierownictwo partii nawet w nocy kieruje "procesem odnowy". Jeszcze kilka innych okien świeci w ciemności: są to biura członków prezydium i sekretarzy - w każdym siedzi sekretarka, pomocnik i szofer, na wypadek, gdyby towarzysz sekretarz musiał coś podyktować, potrzebował pomocy lub chciał pojechać gdzieś wozem. Póki tego nie potrzebuje, personel rozmawia, czyta, robi swetry na drutach, pije kawę.

Posiedzenie trwa - ja i Cisarz przynosimy projekt uchwały. Daje to oczywiście okazję nie tylko do wniesienia zmian, ale też do powrotu do wszystkiego, co było już powiedziane. Czernik odjeżdża, gdyż musiał zwołać na noc rząd. Zjawia się natomiast Piller, wyraźnie rozgrzany niejednym kieliszkiem alkoholu, i w chwili, gdy dyskutuje się nad tym, czy w uchwale ma znaleźć się także wzmianka, że "nie mamy powodu wątpić w dobre zamiary" autorów "Dwóch tysięcy słów" /bo przecież, jak ktoś powiada, nie wiemy nawet, kto jest ich autorem/, zapewnia kierownictwo partii, że dowódcy Milicji Ludowych/x/ jego okręgu opowiadają się za Dubczkiem i gotowi są porachować się z każdym, kogo on wskaże. Posiedzenie trwa, uwagi zgłaszane są coraz rzadziej, w treści projektu niemal nic nie ulega zmianie i tak oto z wolna rodzi się uchwała najwyższego organu władzy politycznej w kraju.

Sala jest pełna dymu, Jozef Lenart otwiera okno. Na dworze świta.

- Ludzie, nie wykupiajcie się, tam już ptaki śpiewają - mówi Lenart.

Wszyscy na chwilę cichną. Z drugiego brzegu rzeki, z Letniańskich Błoni, rzeczywiście dobiega głośny, radosny, całkiem niepolityczny śpiew kosów i drozdów. Już nikt - ani konserwatyści, ani postępowcy, ani centryści - jakoś nie prosi o głos. Alexander Dubczek dziękuje wszystkim i zamyka posiedzenie. Historyczne stanowisko prezydium KC KPCz wobec manifestu "Dwa tysiące słów" jest już faktem.

Ale wróćmy do polityki. Co oznaczał w istocie taki tryb pracy kierownictwa partii? Poszczególni członkowie tego kierownictwa bynajmniej nie uważali, że to, co zapisano w uchwałach, jest też ich własnym, osobistym poglądem w danej sprawie. Ci, którzy za tekstem "Dwóch tysięcy słów" widzieli widmo wojny domowej i czołgów, nie upierali się wprawdzie, żeby to ich wyobrażenie znalazło wyraz w uchwale - ale sami dla siebie zachowali je nadal /z wyjątkiem Smrkovskiego, który w tej sprawie szybko zmienił zdanie/. Ci, którzy - przeciwnie - najchętniej doszliby do jakiegoś porozumienia z siłami

/x/ Milicje Ludowe /Lidové milice, LM/ - podporządkowane KC KPCz uzbrojone oddziały porządkowe, złożone z robotników wielkich zakładów przemysłowych, rodzaj polskiej OPMC.

radykalnymi, także nie zabiegali o to, żeby uchwała odzwierciedlała ich zapartywania, chociaż sami przy nich wytrwali. Aczkolwiek więc wszyscy powzięli uchwałę, w myśl której głównym problemem były przestrzeganie i praktyczna realizacja linii Programu Działania KPCz i jednoczenie na tej platformie wszystkich komunistów, nie zmienia to postępowania żadnej z grup działających w kierownictwie partii: nadal będą poczynać sobie zgodnie z własnymi poglądami, które miały już przed podjęciem tej uchwały.

Tak więc np. Alois Indra rozsyła do komitetów okręgowych KPCz poufną dyrektywę, w której ocenia sytuację niemal jako przygotowania do kontrrewolucyjnego powstania i poleca trwać w pogotowiu. Tacy ludzie jak Bilak, Kolder, Szvestka, Jakesz i imi przemawiają na różnych zebraniach i naradach aktywnie, głosząc mniej więcej to samo, co mówili już przed zapadnięciem uchwały. A z drugiej strony Kriegel oraz Smrkovsky występując publicznie główny akcent kładąc na pojednanie, raczej w tym duchu, że nic wielkiego się nie stało i liczą się dobre zamiary wszystkich. Taki sam wydzźwięk ma też spotkanie z sygnatariuszami "Dwóch tysięcy słów", w którym uczestniczą Dubczek, Czernik, Smrkovsky, Slavik i bodaj jeszcze niektórzy inni/x/.

Jak powiedziałem już na początku tego rozdziału, nie jestem dzisiaj pewny, czy - nawet gdyby wiosną i latem 1968 r. wszystko przebiegało zgodnie z moimi wyobrażeniami - reforma rzeczywiście dałaby się uratować. Możliwe, że również w tym wypadku doszłoby do sowieckiej interwencji. Lepiej więc w końcu, że istniały te "Dwa tysiące słów". Jeśli bowiem nie oceniamy tego manifestu z punktu widzenia bieżącej taktyki politycznej, trzeba przyznać, że odegrał on wielką rolę pozytywną: wskazywał ludziom, że bez względu na interesy i możliwości władzy obywatele mogą sami poczynać sobie jak ludziom wolnym przystało. Jako akt protestu przeciw despotyzmowi "Dwa tysiące słów" były - w treści i formie - swoistym wzorem na przyszłość. W dziesięć lat po tym apelu Vaculika pojawił się w Pradze tekst inny - a przecież podobny: "Karta 77". Pod nim też podpisany jest Ludvik Vaculik, są tam również podpisy niektórych z tych, którzy kiedyś podpisali "Dwa tysiące słów". Ale tym razem podpisałem się pod nim także ja oraz niektórzy z tych, którzy wówczas zasiadali w kierownictwie KPCz i podejmowali oficjalną uchwałę partyjną przeciwko "Dwóm tysiącom słów": Frantisek Kriegel, Bohumil Šimon, Václav Slavik.

Czy ludzie ci zmienili swe poglądy, czy też zmieniło się jeszcze coś innego? Ewolucja i zmiana poglądów z pewnością także grała tu pewną rolę. W dzisiejszej Czechosłowacji znów istnieje system totalitarnej dyktatury - ale nie zmierza do demokratycznej reformy, przeciwnie, chce ustabilizować się jako despotia. A zatem tym, którzy pragną wytrwać z wyprostowanym grzbietem, jako ludzie wolni, nie pozostaje nic innego, jak tylko w sytuacji, kiedy nie ma wolności, zachowywać się tak, jakby byli ludźmi wolnymi, bez względu na to, jakich kłopotów przysparza to despotycznej władzy. Gdyż liczenie się z husakowskim kierownictwem nie przybliży perspektywy demokracji, natomiast wyprostowany grzbiet wolnych obywateli ma wielkie znaczenie dla czasów, kiedy droga do demokracji znów stanie otworem również w sferze polityki. Ale mają też dla tych czasów znaczenie doświadczenia z 1968 r. - z doświadczeniem "Dwóch tysięcy słów" włącznie. Myślę więc, że również z tej przyczyny jest słuszne, żebym tutaj otwarcie powtarzał również własne poglądy - i mam nadzieję, że nikt z tych, którym chodzi o demokrację w Czechosłowacji, nie będzie widzieć w tym uporze byłego funkcjonariusza, chcącego dowieść, że jego recepta była kiedyś zbawienna. Nie tylko nie chcę tego dowieść, ale raz jeszcze powtarzam, że sam wcale nie jestem tego pewny.

/x/ Jak to zebranie widzieli ludzie nie parający się polityką, przedstawia Josef Škvorecký w powieści "Mirákl" /"Cud mniemaný"/. /Przyp. aut./.

Wtedy, latem 1968 r., byłem jednakże przekonany, że dla demokracji nie ma innych perspektyw, niż stopniowa i nader ostrożna reforma całego systemu politycznego, i że tendencje, które tej prawdy nie uznają, szkodzą realnym możliwościom demokratyzacji. Nie chcę wyjaśniać tu bardziej szczegółowo, jak wyobrażałem sobie ewolucję instytucji politycznych i państwowych po przygotowywanym XIV zjeździe KPCz. Ostatecznie znalazło to wyraz w dokumentach, których jestem autorem, a które zostały opublikowane za granicą/x/.

Krótko mówiąc, wyobrażałem sobie, że w ciągu najbliższych dwóch lat należy wypróbować w praktyce, co przyniosą reformy obiecane już w Programie Działania KPCz. Miał to być okres przejściowy, w którym powinno by się opracować również nową konstytucję. Także parlament byłby więc wybrany tylko na ten okres ustawodawczy. Pod koniec tego dwulecia należałoby - na gruncie doświadczenia - wydać nową, demokratyczniejszą ordynację wyborczą i konstytucyjnie zabezpieczyć pozycję samorządu w zakładach przemysłowych i innych instytucjach. Mielibyśmy już też doświadczenie z pracy bardziej demokratycznych związków zawodowych i innych organizacji oraz z pracy samej KPCz, która również - w duchu nowego statutu, którego projekt także był już opublikowany - przekształciłaby się w organizm znacznie demokratyczniejszy. Hegemonię tak zmienionej KPCz uważałem jednak za potrzebne utrzymać nadal. Byłem zdania, że problem pluralizmu stronnictw politycznych i ich samodzielnego udziału w demokratycznych wyborach można rozwiązać w perspektywie dziesięciu lat. Gdyby się to sprawdziło, w roku bieżącym byłby już więc w Czechosłowacji rozwiązany - zarówno koncepcyjnie, jak i praktycznie.

Z punktu widzenia polityki wewnętrznej latem 1968 r. taki program wydawał mi się realny. Przebieg konferencji partyjnych, które w czerwcu i lipcu wybrały delegatów na zjazd KPCz, wyraźnie pokazał, że w samej partii najsilniejszym nurtem jest właśnie "centrowy". Jego zwolennicy stanowili około 80 procent delegatów, tj. absolutną większość; reszta dzieliła się mniej więcej po równi na radykalne skrzydło komunistów reformistycznych i zwolenników dawnego systemu totalitarnego. Można więc było spodziewać się podobnego podziału sił w nowym KC oraz w jego prezydium.

Poza KPCz, w całym społeczeństwie czechosłowackim przewidywałem na okres po XIV zjeździe partii stopniowe opadanie fali ogólnonarodowego zapachu, pojawienie się trudności, sprzeczności, nastrojów niezadowolenia. Ale istniały przesłanki pozwalające spodziewać się, że również wtedy większa część ludności poprze racjonalną politykę stopniowych reform. Gdyby w nowym, wybranym przez zjazd kierownictwie KPCz przewagę miało takie stanowisko polityczne, jak moje, oznaczałoby to zarazem konflikt z tendencjami radykalnego skrzydła reformistów. Nie widziałem w tym niczego nadzwyczajnego. W systemie demokratycznym nigdy nie można uniknąć konfliktów z ekstremami z prawa lub z lewa - które to konflikty likwiduje się oczywiście w sposób demokratyczny, nie despotyczny.

Lecz nie prowadzone demokratycznie spory i konflikty na gruncie polityki wewnętrznej zadecydowały w końcu nie tylko o spełnieniu się moich wyobrażeń, ale także o losach całego narodu. Zadecydowano o nich - autorytatywnie i na długie lata - na Kremlu.

/x/ Tanky proti sjezdu - Mimořadný XIV. sjezd KSČ, Europa-Verlag, Wien 1970, s. 214 - 229, "Analýza činnosti strany a vývoje společnosti od XIII sjezdu a hlavní úkoly strany v nejbližším období" /Czołgi przeciw zjazdowi - XIV nadzwyczajny zjazd KPCz, "Analiza działalności partii i rozwoju społeczeństwa od XIII zjazdu i główne zadania partii w najbliższym okresie"/, /Przyp. aut./.

20 sierpnia 1968 r. przed północą nagle wywołano Czernika z posiedzenia prezydium partii do telefonu. Gdy wrócił, poprosił o głos i oznajmił, że to dzwonił minister obrony narodowej, Dzur, z informacją, że wojska sowieckie wraz z jednostkami czterech innych państw Paktu Warszawskiego przekroczyły granice Czechosłowacji. Moje pierwsze odczucie, nie kontrolowane przez świadomość, najbardziej dałoby się chyba przyrównać do szoku, jaki przeżyłem przed laty podczas katastrofy samochodowej.

Przez głowę przesuwały mi się obrazy z jakiegoś absurdalnego filmu, w którym sceny z końca wojny, barykady, czołgi, ranni i trupy na ulicach, mieszały się z twarzami moich najbliższych, z plastycznie widzianym pejzażem z południa Czech, ale także z monstrualnym budynkiem Moskiewskiego Uniwersytetu - a wszystkiemu temu towarzyszyło jasne poczucie, że jako komunista poniosłem nieodwracalną życiową klęskę. Następnie przez krótki czas miałem wrażenie bezsensowności wszystkiego - wszelkich myśli i czynów. Dopiero potem doszła do głosu nierealna, a przecież namacalna rzeczywistość: ta sama sala posiedzeń, ci sami ludzie, co kilka sekund temu - a przecież jakiś całkiem inny świat, który z tym, co było tu przed chwilą, właściwie nie ma już nic wspólnego.

Jak w kinie rejestruję, co dzieje się dokoła, słyszę, jak Czernik szczegółowo wyjaśnia, że minister Dzur został faktycznie zaaresztowany w swym gabinecie przez dwóch oficerów sowieckich, że pozwolono mu tylko zatelefonować do premiera i przekazać mu tę wiadomość, ale poza tym w ogóle nie może już nic robić, że w podobnej sytuacji znalazła się chyba cała kadra dowódcza armii. Potem odzywa się Dubczek:

- Więc jednak to zrobili - i zrobili to mnie!

Głosy mieszają się, ktoś - chyba Kriegel - mówi o zdradzie wobec narodu, ktoś proponuje, żeby niezwłocznie wezwać na posiedzenie prezydenta Svobodę. Vasil Bilak wstaje, zdenerwowany przechodzi za rzędem foteli i wykrzykuje:

- No to możecie mnie zlinczować, dlaczego mnie nie zabijecie?

Nikt nie reaguje, większość może nawet tego nie zauważa, podobnie jak głosów, wypowiedzi, gestów, porużeń innych uczestników zebrania. Przez najbliższe minuty każdy zajęty jest własnymi doznaniem. Myślę, że również ci, którzy - jak Bilak - wcześniej już wiedzieli o interwencji i czekali, kiedy ten moment nadejdzie. że dla nich też miał on wyjątkowe znaczenie. Nie przeżywali szoku z powodu niespodziewanej katastrofy, lecz odprężenie po długo ukrywanym napięciu w ich wypadku także przybrało postać działań nie kontrolowanych, podświadomych.

Coraz silniej opanowuje mnie myśl, że jest to beznadziejny krach wszystkiego, czemu latami poświęcałem me życie, że nadszedł również kres ostatniej postaci mego zaangażowania politycznego - reformistycznego komunizmu. Dla mnie, jak widać z tej książki, komunizm reformistyczny był przede wszystkim polityką, a wskutek zbrojnej interwencji sowieckiej polityka ta skrachowała definitywnie. Liczenie na możliwość reformy politycznej także po irwazji wydaje mi się nagle absolutną niedorzecznością. I widzę jasno, że w takiej sytuacji - o której oczywiście jako o możliwości teoretycznej wiedziałem i nad którą zastanawiałem się - moja koncepcja znalazła się w ślepych zaułku, poniosła klęskę, stała się zbędna i utraciła sens.

Kiedy zaczynam więc mówić, oświadczam, że rezygnuję z mej funkcji, bo już nie jestem w stanie nadal patrzeć o to, o co dotychczas z przekonaniem walczyłem. Dubczek również mówi to samo, podaje się do dyktanda. Myślę, że to, co się stało, też przeżywa jako swój kłamstwisty, oczywiście z

powodów. Mówi tak, że widać, jak bardzo go to dotknęło, widać, że wydarzenia polityczne traktuje - jak już pisałem - niejako patriarchalnie. Słowa, które teraz wygłasza, świadczą, że czuje się w roli Janosika:

- Jeśli mają coś przeciw mnie, dlaczego nie załatwiają tego ze mną? Choćby mieli powiesić mnie za żebro/x/ - gotów jestem za wszystko odpowiadać!

To stopniowo przywraca wszystkim poczucie rzeczywistości. Zaczyna się mówić, że nikt nie może rezygnować, że - przeciwnie - wszystkie legalnie utworzone organy i ich funkcjonariusze muszą pozostać, gdyż nie wolno dopuścić, do tworzenia nowych organów i do żadnych zmian na stanowiskach pod presją interwencji. W tej części obrad uczestniczy już także Ludvík Svoboda. Jest blady, na zewnątrz spokojny, lecz wewnętrznie wzburzony. W ciągu całego posiedzenia mówi mało, ale - o ile pamiętam - wyraźnie opowiada się za poglądem, żeby nikt nie opuszczał swego urzędu i nie porzucał funkcji.

W tragikomicznej formie również w tej sytuacji odbywa rutyna posiedzeń politbiura: należy przygotować uchwałę - poleca się to Mlynarzowi /zdaje mi się, że propozycja wyszła od Dubczeka/. Trzeba zwołać plenum KC KPCz, rząd, parlament. Dyskutuje się o niemożliwości zbrojnej obrony przed interwentami. Właściwie nie jest to dyskusja, raczej zgodne stwierdzenie faktu. Nikt nie proponuje takiej ewentualności; jeśli mówi się o tym, to jedynie gromadząc argumenty za niemożnością i nieskutecznością takiego kroku.

Dlaczego? Dla wielu ludzi, którzy nie zasiadali w kierownictwie partii, rezygnacja ze zbrojnego oporu ani nie była wtedy, ani dziś nie jest całkowicie bezsporna. Dlaczego zatem w tym kierownictwie jednogłośnie opowiedziano się przeciw zbrojnej obronie? Zaczę od argumentów rzeczowych, które stały w punkcie wyjścia.

Przede wszystkim: armia czechosłowacka - tak samo jak armie innych krajów bloku sowieckiego - nie jest samodzielna. Kluczowe stanowiska zajmują w niej oficerowie sowieccy, jej uzbrojenie i technika kierowania nią /łączność, szyfry itd./ nie tylko nie są Armii Sowieckiej nie znane, ale znajdują się pod jej kontrolą. Jej dyslokacja wyklucza natychmiastową efektywną obronę w razie przekroczenia granic przez "sojuszników" z Bloku Warszawskiego. Za wielu dowódców nie można było poręczyć, czy w wypadku takiego konfliktu nie staną po stronie sowieckiej. Nawet więc gdyby nie brać pod uwagę gigantycznej przewagi sił napastnika, z wojskowego punktu widzenia skuteczna obrona państwa przed krajami bloku sowieckiego jest niemożliwa. Co najwyżej można by przez pewien czas stawiać lokalnie opór przycym naprzód znacznie silniejszymi armiom interwentów.

Aby w pełni przedstawić konkretną sytuację z sierpnia 1968 r., należy jeszcze powiedzieć, że zmiany personalne w kierownictwie armii, przeprowadzone przez Dubczeka, należały do kategorii zmian dokonywanych głównie pod kątem sympatii osobistej. Minister obrony narodowej i szef Sztabu Generalnego z tego punktu widzenia byli wprawdzie "ludźmi Dubczeka", ale odznaczali się też innymi właściwościami. Np. minister Dzur już w maju rozmawiając z dowódcą Paktu Warszawskiego, marszałkiem Jakubowskim, przedstawiał mu sytuację w armii czechosłowackiej w ciemnych barwach i mówił o jej małej zdolności bojowej. Jakubowski uściskał go wtedy serdecznie, mówiąc:

- Przyjaciel zrozumiał przyjaciela!

Co to znaczyło? Martin Dzur w gruncie rzeczy dostarczał sowieckim marszałkom argumentów na rzecz ich koncepcji, że dla zabezpieczenia "obronności

/x/ Powieszenie za żebro - kara stosowana w XVII - XVIII w.

Wobec szlachty w XVII w. i w XVIII w. w 1774 r. w Warszawie.

wspólnoty socjalistycznej" niezbędna jest obecność wojsk sowieckich, gdyż w wypadku "napaści imperialistów" na samej armii czechosłowackiej nie można polegać. Szefem Głównego Zarządu Politycznego za Dubczeka został generał Bedrzych. Wprawdzie niezdolny i o poglądach stalinowskich, ale za to kolega Dubczeka z lat dzieciństwa: jako chłopcy obydwaj przebywali w sowieckiej Azji Środkowej. Natomiast generał Prchlik, który powołując się na literę Paktu Warszawskiego starał się zwiększyć relatywną samodzielność armii czechosłowackiej, pod naciskiem sowieckim został zwolniony ze stanowiska kierownika wydziału wojska i bezpieczeństwa KC KPCz, które objął w styczniu 1968 r., po usunięciu oddanego Novotnemu Miroslava Mamuli. Od lipca kierował tym wydziałem sam Dubczek - ściślej mówiąc, wydział przestał odgrywać jakąkolwiek rolę. Ale o tym piszę naprawdę tylko po to, żeby obraz był pełny. Nawet gdyby było nieco inaczej, armia czechosłowacka nie mogłaby obronić państwa przed krajami Paktu Warszawskiego.

Z politycznego punktu widzenia było oczywiste, że opór zbrojny - który w praktyce zredukowałby się do konfliktów lokalnych - jest tym właśnie, czego interwencji najbardziej by sobie życzyli. Wytworzyłaby się sytuacja ściśle odpowiadająca wzorowi węgierskiemu z 1956 r.: strzelanina, starcia zbrojne, zabici - wszystko to przydawałoby wiarygodności argumentowi, że w kraju istniały "siły kontrrewolucyjne", gotowe wszcząć wojnę domową. I odwrotnie: jednostronna przemoc zbrojna interwentów w stosunku do kraju, w którym nikt nawet nie wystrzelił, była dla całego świata - i pozostała - najbardziej przekonującym dowodem, kto tu jest agresorem.

Oprócz tych argumentów rzeczowych istniały jednak również argumenty o charakterze ideologicznym i psychologicznym. Cała koncepcja polityki dubczekowskiego kierownictwa partii, Program Działania KPCz i osobiste poglądy komunistów reformistycznych w tym kierownictwie wyraźnie wychodziły z założenia, że reforma demokratyczna nie jest sprzeczna z dotrzymanywaniem wszystkich zobowiązań Czechosłowacji wobec innych krajów Paktu Warszawskiego. Nie był to frazes na eksport - była to rzeczywista treść całej koncepcji. Kierownictwo KPCz nie dążyło do rozbratu ze Związkiem Sowieckim, podobnego jak z Jugosławią w 1948 r., i nie chciało go. Przeciwnie, uważało, że dowiedzenie możliwości istnienia samodzielnej linii politycznej w ramach wspólnoty z innymi krajami bloku sowieckiego ma ogromne znaczenie.

Zarazem w kierownictwie partii za możliwością stawienia sowieckiej inwazji oporu zbrojnego nie przemawiały też żadne motywy psychologiczne. Trudno tu oczywiście mówić za innych, lecz we własnym imieniu mogę śmiało oświadczyć, że nie wziąłbym wówczas na swe sumienie życia ani jednego człowieka, gdyby człowiek ten miał ponieść śmierć w rezultacie wezwania do zbrojnego oporu, rzuconego przez kierownictwo KPCz: to bowiem, co owo kierownictwo mogłoby zagwarantować jako realny wynik polityczny takiego czynu, nie byłoby warte ludzkiego życia. Osobiście tej nocy pierwszy raz /a drugi podczas rozmów na Kremlu/ znalazłem się w sytuacji, w której byłem świadomy, że moje poglądy polityczne mają bezpośredni związek z życiem lub śmiercią może nawet wielu tysięcy ludzi. A jest to całkiem inna sytuacja niż wtedy, kiedy człowiek snuje ogólne rozważania, jakie postępowanie można by uznać za słuszne, pryncypialne i moralne - lecz wie, że ich wynik nie ma wpływu na niczyje życie. Dlatego też rozumiem stanowisko prezydenta Svobody, który wtedy wciąż mówił, że nie chce spowodować niczyjej śmierci - i nie mogę odnosić się do tego argumentu z pogardliwą wyższością, jak poniektórzy publicyści, po wszystkim już piszący o ogólnych zasadach i wiedzący, że nie ciąży na nich odpowiedzialność za ludzi.

Na samym jednak posiedzeniu prezydium partii w nocy 20 sierpnia mówiono tylko o względach politycznych i o odpowiedzialności za życie obywateli. Pozostałe argumenty, które tu przedstawiłem, działały na świadomość uczestników

narady, lecz ich nie podnoszono. Dla tej zaś części kierownictwa partii, która wysługiwała się już interwentom, cały problem oczywiście w ogóle nie istniał - z zupełnie innych powodów.

Potem nagle Dubczek oznajmia, że trzy dni temu otrzymał od Breźniewa list, z którym teraz uważa za niezbędne zaznajomić prezydium. Jest niezwykle przejęty i czytając zaczyna się bardziej niż zwykle. List pełen jest standardowej moskiewskiej gadaniny owych czasów o tym, co antysowieckiego i antysocjalistycznego napisano w "Literarnich Listach" czy w "Reporterze" i jak narusza to porozumienia z Cziernej i Bratysławy. Ktoś może jeszcze tego słucha, ale w ogóle jest to już tylko absurdalne widowisko: ludzie, którzy z niepokojem myślą, co w najbliższych godzinach stanie się z narodem i z nimi samymi, którzy chociaż o tym nie mówią, liczą się z możliwością aresztowania i deportacji, z drugiej zaś strony ludzie, którzy najchętniej byliby już w sowieckiej ambasadzie i organizowaliby nowy rząd, siedzą razem, pochłonięci własnymi myślami, puszczając mimo uszu zająkliwe odczytywane frazesy, których autor już wtędy, kiedy je podpisywał, zdecydował się wydać rozkaz ustalający godzinę "H" - termin zbrojnej agresji.

Wielu idzie do telefonów. Myślę, że dzwonią głównie do swoich domów, do rodzin - też chciałbym, lecz nie mogę: pichcę projekt stanowiska wobec zaistniałej sytuacji. Dubczek kończy. Któryś z tych, co są już umówieni z interwentami, usiłuje wszcząć jeszcze dyskusję na temat, jakiego fatalnego błędu dopuścił się Dubczek, przez trzy dni zatajając list Breźniewa. Nie wywołuje to już jednak polemiki. Ktoś proponuje, żeby Dubczek zadzwonił do Breźniewa. Ten iście po janosikowsku odmawia - i prywatnie dodaje:

- Przecież oni sami się odezwą.

Przedstawiam projekt uchwały, czy właściwie odezwę "Do całego ludu Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej".

Wylatuje z niego zdanie, w którym napisałem dlaczego nie możemy bronić się z orężem w rękę. Kierownictwo partii nawet same słowa o zbrojnym oporze uważa za niebezpieczną, choćby mówiły tylko o rezygnacji z niego. Bez zmiany pozostaje jednak zdanie następne, zaczynające się od słów: "Dlatego też nasza armia ... nie dostała rozkazu obrony kraju". Brak wyjaśnienia, dlaczego. Ale nikomu to nie przeszkadza - i o dziwo, do dzisiaj w żadnej pracy o "Praskiej Wiośnie", gdzie ten tekst się cytuje, nikt jakoś tego nie spostrzegł. Może dlatego, że w tekstach uchwał partyjnych często trafiają się większe nielogiczności.

A potem rozpoczyna się spór, który przerasta w kłótnię, a kończy się sławetnym głosowaniem, decydującym o tym, czy przynajmniej opróż bez broni - polityczny i moralny - przeciwko interwencji zyska poparcie kierownictwa KPCz. Chodzi o zdanie: "Prezydium KC KPCz uważa ten akt nie tylko za sprzeczny z wszelkimi zasadami stosunków między państwami socjalistycznymi, ale także za zaprzeczenie podstawowych norm prawa międzynarodowego". Z tych, którzy mają prawo głosu w prezydium, przeciwstawiają się temu zdaniu Bilak, Kolder, Szvestka i Rigo. Z tych, którzy prawa głosu nie mają, popierają ich Indra, Kapek i Jakesz. Ale przecież nawet oni wtędy nie mówili, że interwencja jest zgodna z prawem międzynarodowym. Twierdzili tylko, że takie sformułowanie skomplikuje sytuację, że chodzi o konflikt między partiami komunistycznymi, ten zaś nie powinien wychodzić za mury "wspólnego domu". Nawet oni nie mówili o zasadności samej interwencji, powtarzali wciąż tylko, że to i nasza wina, że nie dopeniło się tego niebezpieczeństwa. Słów, którymi będą szermować później, jak "braterska międzynarodowistyczna pomoc braci klasowych", "niezbędny ratunek socjalizacji w Czechosłowacji" itd., owej mcy żaden z nich nie ma jeszcze na języku.

Wreszcie podczas kłótni, która wybucha, gdy Kriegel i Smrkovsky kategorycznie mówią, że każdy, kto aprobeuje interwencję, dopuszcza się zdrady narodu, wszyscy pozostali opowiadają się za projektem. Z tych, którym przysługuje prawo głosu, są to Smrkovsky, Kriegel, Szpaczek, Czernik, Filler i

Barbirek, z tych, którym nie przysługuje - Szimon, Cisarz, Slavik, Sadovaky i ja. Nie pamiętam już, jakie stanowisko zajął Lenart, ale nie przypominam sobie, żeby poparł grupę Bilaka. Dubczek waha się tylko przy słowach "zaprzeczenie... prawa międzynarodowego". Kiedy w końcu Smrkovsky zmusza już prezydium do głosowania i każdemu imiennie zadaje pytanie, czy jest za, czy przeciw, Dubczek mówi:

- Ale co tam - przecież to prawda!

I głosuje za słowami określającymi interwencję jako zaprzeczenie norm prawa międzynarodowego.

Ludvik Svoboda został jedynie zaproszony na posiedzenie, nie ma więc także prawa głosu; nie przypominam sobie, by włączył się do ówczesnego sporu.

Jest niemal wpół do drugiej nad ranem. Myśl, która prześladuje mnie natrętnie od dwóch godzin, mianowicie że nasz komunizm reformistyczny nie ma już nic do powiedzenia, znajduje wyraz w słowach Dubczeka, którymi kończy posiedzenie prezydium i wszystkich jego uczestników wysyła do "ich miejsc pracy". Cała grupa promoskiewska spływa z wyraźną ulgą - prócz Jakesza; widocznie reżyser wyznaczył mu inne zadanie: ma doglądać innych. Z pozostałych Czernik odchodzi na posiedzenie prezydium rządu, także Cisarz opuszcza gmach KC. Cała reszta zostaje.

X X X

O tym, co poprzedziło tę noc, jeśli chodzi o kształtowanie się stosunków między dubczekowskim kierownictwem KPCz a politbiurem KPZS, napisano już wiele artykułów, opracowań i książek. Osobiście nie uczestniczyłem w żadnej z rozmów, podczas których zastrzeżony był stopniowo stosunki między reprezentacją KPZS a przedstawicielami KPZS i innych partii bloku sowieckiego, zwłaszcza Polski i NRD: 23 - 24 marca 1968 r. w Dreźnie, 3 - 4 maja w Moskwie i 29 lipca - 1 sierpnia w Cziernej nad Cisą. Dopiero na spotkaniu przedstawicieli sześciu partii bloku sowieckiego w Bratysławie nie tylko byłem obecny, ale wspólnie z Dubczekiem i Czernikiem brałem udział w debacie nad uchwalonym wreszcie "Oświadczeniem partii komunistycznych i robotniczych krajów socjalistycznych" - w roboczej części posiedzenia, na której każda partia była reprezentowana przez swojego pierwszego sekretarza oraz premiera, ewentualnie także ich doradców i tłumaczy.

Całe obrady przebiegały nadzwyczaj prosto: Breżniew w imieniu delegacji sowieckiej przedstawił projekt "Oświadczenia", który następnie zdanie po zdaniu omawiano przez kilka godzin. Skład narady był taki, że inicjatorem różnych uwag do tego tekstu była przede wszystkim delegacja KPCz. Tekst, jak wiadomo, składa się z frazesów spotykanych zazwyczaj we wstępniakach sowieckiej prasy, toteż szkoleń nie widać, nie mówiąc nawet pewne trudności ze zrozumieniem, jak to możliwe, że najwzrostliwiejsi politycy i rządów bloku mogli debatować nad nim przez kilka godzin. A przecież tak właśnie było.

Spotkanie w Bratysławie stanowiło, jak wiadomo, owoc rozmów politbiura KPZS i prezydium KPCz w Cziernej nad Cisą. Wieczorem 31 lipca zakończyły się one w istocie zatargiem po przemówieniu Piotra Szelesta, który najordynarniej obrał delegację czeskosłowacką i wygłosił chamskie poglądy, że zmierzają do odłączenia Galicyjskiej Ukrainy od Związku Sowieckiego, jak też - że Krieger to dla niego nie partner, tylko "żył z Galicji", Dubczek i inni członkowie delegacji KPCz wyszli. Potem sowieckie politbiuro przeprosiło ich, ale dalsze rozmowy toczyły się już tylko w grupkach. 1 sierpnia przed południem Dubczek rozmawiał jedynie z Breżniewem - i wtedy zrodził się pomysł spotkania sześciu partii w Bratysławie/k/.

/x/ O rozmowach w Cziernej nad Cisą urzędowo nie opublikowano nigdy nic poza zwięzłym komunikatem. Istnieje jednak oficjalny protokół, objętości około 500 stron, przechowywany w KC KPCz jako tajny dokument. Czytali go ci członko-

O ile mi wiadomo, Dubczek po rozmowie z Breżniewem sądził, że ten naprawdę szuka jakiegoś wyjścia z sytuacji, by oprzeć się grupie "jastrzębi" we własnym politbiurze /której przedstawicielem był także Szelest, ale głównie zaplecze stanowili marszałkowie ze starszej generacji/ oraz naciskowi Ulbrichta i Gomułki, którzy wspólnie z sowieckimi "jastrzębiami" parli do otwartego konfliktu i ingerencji wojskowej w Czechosłowacji. Za kulisami podstawą argumentacji nie były raczej cytaty z "Literarnich Listów" - to była propagandowa, ideologiczna jej postać; tam zaś operowano twierdzeniami o zagrożeniu całego bloku sowieckiego i jego bezpieczeństwa, o tym, że stosunki w Czechosłowacji wywierają wpływ na zdolność tego bloku do obrony, a także na jego jedność polityczną pod hegemonią Moskwy.

W rozmowach między Breżniewem a Dubczkiem wyłonił się jednak mimo wszystko pewien punkt stykowy, w którym ich interesy się spotykały: starania Breżniewa o zademonstrowanie nierozzerwalności bloku były Dubczekowi na rękę, ponieważ dzięki temu przedmiotem wspólnych roztrząsań nie musiały już stać się problemy polityki wewnętrznej CSRS. Można było rozmawiać o zasadach, których Czechosłowacja zobowiązuje się przestrzegać w stosunku do bloku i na tym gruncie dojść do porozumienia, co w wypadku debaty o sprawach wewnętrzno-politycznych byłoby raczej niemożliwe. Pod tym warunkiem Dubczek skłonny był uczestniczyć w spotkaniu z pięciu partiami bloku, które przedtem obradowały już w Warszawie, a Breżniew ze swej strony wyrażał zgodę, żeby wewnętrzna sytuacja Czechosłowacji nie była tam dyskutowana. Za tę cenę w istniejącej wówczas sytuacji Dubczek gotów był podpisać każdy dokument, którym uznałby hegemonię Moskwy i przynależność CSRS do bloku sowieckiego. Sądził, że w ten sposób wyzwoli się spod presji "jastrzębi" i zapobiegnie niebezpieczeństwu interwencji. A zresztą, odpowiadało to również jego zapatrywaniom - jak powiedziano już, o oderwaniu Czechosłowacji od tego bloku naprawdę nigdy nie myślał. Był wtedy przekonany, że sam Breżniew nie życzy sobie interwencji i że postępując w ten sposób zyska jego życzliwość. Breżniew obiecał także Dubczekowi, że zadba, żeby nikt w/t.j. szczególnie Ulbricht oraz Gomułka/ podczas spotkania w Bratysławie nie krytykował wewnętrznych problemów Czechosłowacji.

W rzeczywistości jednak sowiecki projekt "Oświadczenia", które miało być uchwalone w Bratysławie z udziałem przedstawicieli KPCz, zawierał szereg sformułowań dotyczących wewnętrznych spraw CSRS. Wprawdzie nie bezpośrednio, ale w ten sposób, że w istocie potwierdzały słuszność krytyki zawartej uprzednio w liście uczestników narady warszawskiej. Taki był ukryty sens zdań brzmiących jak stereotypowe frazesy ze wstępniaków - toteż nie były one tak znów niewinne. I dlatego wywiązała się kilkugodzinna dyskusja.

Widziane z pewnego dystansu, po doświadczeniach sierpnia 1968 r., wszystkie zwycięstwa delegacji KPCz w Bratysławie, polegające na uzyskaniu zmiany słów albo sformułowań, zdają się śmieszne i pozbawione jakiegokolwiek znaczenia - nie wydają się, żeby jeszcze mogło coś od nich zależeć. Tak więc np. po długich zabiegach uzyskano zmianę pierwotnego sformułowania, że sytuacja międzynarodowa uległa zapoznaniu i wzrosło niebezpieczeństwo konfliktu z imperializmem. Zamiast tego ostatecznie napisano, że "w rezultacie agresywnej polityki imperializmu sytuacja międzynarodowa pozostaje złożona i niebezpieczna". O ile w projekcie sytuację Niemiec przedstawiono w ten sposób, że odwetowemu rządowi RFN przeciwstawiają się dwie tylko "siły pokoju" - NRD i partia komunistyczna w RFN - to w "Oświadczeniu" ostatecznie mowi się tylko

wie kierownictwa KPCz, którzy nie brali udziału w rozmowach, a więc i ja. Rozmawiałem też wówczas o wielu szczegółach z uczestnikami rokowań - z Dubczkiem, Smrkovskim, Szpaczkim i Szimonem. Pewne fakty ogłoszono w rozmowie ze Smrkovskim, po jego śmierci opublikowanej za granicą /"Listy" nr 2, 1975 r./.

/Przyp. aut./.

o "aktywizacji sił odwetu, militarystyce i neonazizmie w Niemczech Zachodnich" i stwierdza się wyraźnie, że prócz Waltera Ulbrichta i KPN należy popierać również "te siły, które walczą przeciw militarystyce i odwetowcom o demokratyczny postęp". W akapicie, w którym mowa o znaczeniu "wspólnych prawidłowości budowania społeczeństwa socjalistycznego" delegacja KPCz wymogła umieszczenie zdania: "Każda z bratnich partii rozwiązuje przy tym twórczo zagadnienia dalszego rozwoju socjalistycznego, uwzględniając swoiste cechy i warunki narodowe".

W bratysławskim "Oświadczeniu" znajduje się też zdanie, które po sierpniu 1968 r. obrońcy "normalizacyjnego" kursu KPCz przedstawiają jako dowód słuszności interwencji, jako coś, czym przecież także Dubczek w istocie zobowiązał się wyrazić zgodę na interwencję. Z niewielkimi zmianami zdanie to umieszczono również w układzie czechosłowacko-sowieckim z 1970 r. - i w ogóle występuje ono jako ideologiczne uzasadnienie tzw. doktryny Breżniewa o ograniczonej suwerenności krajów bloku sowieckiego. Brzmi ono: "Poparcie, ochrona i umocnienie zdobyczy, które narody osiągnęły dzięki swym bohaterstwu i ofiarnej pracy ludu każdego kraju, stanowią wspólny międzynarodowy obowiązek wszystkich krajów socjalistycznych".

Nad tym zdaniem rzeczywiście dyskutowano w Bratysławie dosyć długo. Myślę, że nikomu z delegacji KPCz nie wpadło wprawdzie do głowy, że kiedyś można by je interpretować jako wstępną zgodę na interwencję, ale pewne obawy budziło. Z tekstu "Oświadczenia" widać bowiem wyraźnie, że jego inicjatorem nie chodziło tylko o jeden frazes więcej. Przecież zaraz za nim dodano słowa szczególnie podkreślające jego znaczenie: "Jest to wspólny pogląd wszystkich uczestników narady..." Wzbudziło to we mnie podejrzenie, że komuś skrycie zależy na tym, by można było powoływać się na zgodę KPCz z tym właśnie zdaniem. Zaproponowałem więc rozszerzenie go o słowa: "przy poszanowaniu suwerenności i niezależności narodowej każdego kraju". Uzupełnienie to chciałem połączyć z głównym zdaniem myślnikiem - i dopiero za nim postawić kropkę.

W dyskusji natychmiast zabrał głos Breżniew, zgłaszając niewiarygodne zastrzeżenie: myślnik jest w tym wypadku sprzeczny z duchem języka rosyjskiego! Następnie z punktu widzenia poprawnej ruszczyzny nie do przyjęcia były ani przecinek, ani średnik - słowem, nic, co sprawiłoby, że uzupełnienie stałoby się nieodłączną częścią głównego zdania, stanowiącego przedmiot sporu. O suwerenności i niezależności narodowej mówi się przecież wyraźnie dwa akapity dalej, podobnie jak o równoprawności, integralności terytorialnej i braterskiej współpracy. Po co więc mówić o tym wszystkim w każdym zdaniu? Innych, równie niepodważalnych zasad też nie powtarza się w tekście, tekst powinien być zwięzły itd.

Ta reakcja Breżniewa oczywiście wzmacniała tylko podejrzenie, że inkryminowanemu zdaniu przyświeca jakiś skryty nieczysty zamiar. Lecz tekst był wspólny i ani Ulbrichtowi, ani Gomułce i Żiwkowi to nie przeszkadzało - wszyscy oni popierali tezę Breżniewa o czystość języka w tekście, który od początku do końca jest przykładem partyjnego żargonu, zarówno po rosyjsku, jak - dajmy na to - po węgiersku. A propos węgierskiego: hadar, jeśli dobrze pamiętam, w tej sprawie nie popierał Breżniewa i w ogóle w toku ówczesnych debat kilkakrotnie opowiedział się nawet za zmianami tekstu, zaproponowanymi przez delegację KPCz.

Czy sam Breżniew już wtedy przewidywał, że to zdanie ma uzasadnić wojсковą interwencję? Chyba tak - ale myślę, że jedynie na wszelki wypadek, że wtedy nie był jeszcze zdecydowany dokonać jej w siedemnaście dni po bratysławskiej naradzie.

Dubczek usiłował też w Bratysławie grać na zwłokę i doprowadzić do poprawy stosunku sił. Wskazał więc, że "Oświadczenie" miałoby o wiele większe znaczenie międzynarodowe, gdyby podpisali je także przedstawiciele Rumunii, Jugosławii, a ewentualnie również Albanii. Zaproponował swoje pośrednictwo

przy okazji mających nastąpić wizyt Tity i Ceausescu. Do tego czasu można by sprawę "Oświadczenia" odłożyć. Reakcja uczestników narady przypominała jednak reakcję es po włożeniu kija w ich gniazdo i te zabiegi były z góry skazane na niepowodzenie.

Tak więc wszystko zakończyło się późnym popołudniem wspólnym obiadem, uroczystym złożeniem podpisów, uściskami i całusami na dworcu. Pierwszy to raz zdarzyło mi się uczestniczyć w rozmowach "na najwyższym szczeblu" w bloku sowieckim - i wywarły one na mnie wstrząsające wrażenie.

Walter Ulbricht i Władysław Gomułka byli przede wszystkim pełnymi złości, zarozumiałymi i już sklerotycznymi staruchami. Było zupełnie oczywiste, że nie tylko nigdy nie rozumieją żadnych problemów związanych z przemianami w ich własnych krajach, a tym bardziej w ościennych, ale też z góry odniosą się do nich negatywnie. Z obydwu było samolubne upojenie własną władzą.

W trakcie rozmowy Ulbrichta z Dubczkiem byłem świadkiem, jak Ulbricht oświadczył:

- Zdawało mi się, że to ja przyjechałem tutaj z wizytą. Ale na lotnisku słyszałem tylko "Dubczek" i "Dubczek". Może czegoś nie rozumiałem, bo nie umiem po czesku?

Upatrywałem w tym oczywiście dowód odejścia Czechosłowacji od internacjonalizmu. Ani trochę nie żenowało go domaganie się wiwatów na własną cześć i z pewnością, gdyby Dubczek polecił żołnierzom albo uczniom wznosić okrzyki "Ulbricht! Ulbricht!", uznaliby to za przejaw przyjaźni do "ludu NRD".

Konwencjonalną konwersacją towarzyską Gomułka oraz Ulbricht bez przerwy szpikowali jadowitymi aluzjami do sytuacji w CSRS. Nie był to tylko wyraz wrogości politycznej. Była w tym osobista wściekłość, złość, nienawiść do czegoś, co im samym w kraju sprawia kłopoty, czego boją się, a zarazem wobec czego czują bezsilność całej swej dyktatorskiej władzy.

Todor Žiwkowi był jeszcze wtedy młody /nie miał nawet 55 lat/, za to wyróżniał się zupełnie wyjątkową tępotą. Długoletnie kontakty z wielu wysokimi funkcjonariuszami sprawiły, że nie miałem przesadnych wymagań, ale mimo to przyglądanie się z bliska żywemu Žiwkowi było przeżyciem niecodziennym. Jeśli chciał śledzić czyjąś wypowiedź, robił to z widocznym wysiłkiem i w skupieniu - jak człowiek, który z własnego doświadczenia wie, że inaczej nie pojmie, o czym mowa. W toku narady roboczej bodajże ze dwa razy włączył się do debaty w taki sposób, że w istocie sprzeciwiał się Breżniewowi, choć oczywiście starał się udzielić mu wsparcia. Działo się tak dlatego, że nie dostrzegaliśmy, kiedy Breżniew zmieniał już stanowisko i zamierzał uwzględnić zgłoszone uwagi. Właśnie wtedy Žiwkowi występował w obronie pierwotnego projektu i utrudniał mu zadanie. Zauważyłem, że ze dwa czy trzy razy Breżniew udawał, że nie widzi, jak Žiwkowi prosi o głos - albo uciszającym gestem dłoni dawał mu do zrozumienia, by się nie wtrącał.

Całe to towarzystwo znacznie przeczekał Janos Kadar, czy to jako polityk, czy jako człowiek. Z różnych źródeł wiedziałem, że stosunek Kudara do "Praskiej wiosny" różni się bardzo od stosunku innych przywódców bloku sowieckiego. Osobiste zetknięcie się z nim w Bratysławie przekonało mnie o tym, a ponadto odniosłem wrażenie, że Kadar jest interesujący również z ludzkiego punktu widzenia, że przeżycia z 1956 r. były i pozostały dla niego czymś, co wywarło wpływ nie tylko na politykę, ale także na jego osobowość.

Po obiedzie Kadar pozostał z Dubczkiem i ze mną i przez pół godziny rozmawiał z nami o swych poglądach na sytuację. Był zdania, że w Czechosłowacji stoimy przed alternatywą: albo sami użyjemy przemocy wobec niektórych tendencji, albo grozi niebezpieczeństwo, że przemoc nadejdzie skądinąd. Ani razu nie posłużył się sformułowaniem, za które można by go obwiniać, że mówi o interwencji sowieckiej - ale analogiami do Budapesztu z 1956 r. wystarczająco jasno wskazywał, co ma na myśli. Mówił, że w sukcesie reformy czechosłowackiej widzi szansę również dla rozwoju wydarzeń na Węgrzech. A także

o swych osobistych problemach i uczuciach, o sprawach swego sumienia w okresie, gdy po sowieckiej interwencji objął rządy na Węgrzech. Usilnie nalegał na Dubczeka, by sobie wyobraził, o ile cięższe było ówczesne położenie w porównaniu ze wszystkim, co może spotkać jego, dopóki jeszcze jest panem sytuacji. Podczas tej rozmowy nabrałem przekonania, że Kadar jest zupełnie innym człowiekiem, niż Gomułka /i niż dziś w Pradze Husak/: ma cechy polityka, który umie pracować, by w beznadziejnych na pozór warunkach uratować choćby minimum interesów narodu, polityka wytrwałego, nie zepsutego własną władzą, nigdy nie tracącego z oczu swego celu. Zapewne jest politykiem właśnie takiego minimum i możliwe, że w sytuacji, gdyby można już było pójść dalej, konserwatywnie broniłby się przed tym. Ale obserwacja węgierskiej polityki wewnętrznej w dziesięciolecie, które upłynęło od tego spotkania, wskazuje raczej, że choć powoli i niedostrzegalnie, ale jednak umie on to minimum rozszerzać. Co zrobi i co będzie mógł zrobić, jeśli Węgry drobnymi kroczkami dojdą do punktu, gdy na porządku dnia znajdzie się przemysłana i bardziej zasadnicza demokratyczna reforma - to jest już oczywiście inna sprawa.

Wiadomo, że 17 sierpnia z inicjatywy Kadara nastąpiło jego spotkanie z Dubczekiem w nadgranicznym miasteczku Komarno. Wrażenie, jakie na mnie wywarł, jak i to, co słyszałem o tym spotkaniu od Dubczeka, nąsuwa mi myśl, że Kadar podjął podówczas próbę ostrzeżenia Dubczeka, wiedząc, że w Moskwie decyzja o zbrojnej interwencji już zapadła. Nie zdradził tego Dubczekowi, ale wyraźnie dał mu do zrozumienia, że taki zamiar istnieje. Po interwencji sam Dubczek przyznał, że pewne wypowiedzi Kadara można było zrozumieć w taki sposób. Powiedział także, że na koniec, gdy zegnali się już na peronie, Kadar spytał go nieśmiało z rozpaczą:

- Czy naprawdę nie widać, z kim macie do czynienia?

Tegoż dnia Breżniew w imieniu moskiewskiego politbiura przesłał Dubczekowi ów list, który Dubczek odczytał na posiedzeniu prezydium KC KPCz dopiero fatalnej nocy 20 sierpnia. Wszystko to z pewnością doprowadziło też Dubczeka do wniosku, że w Moskwie zaszedł nowy, niepomyślny zwrot i że interwencja zbrojna znów stała się aktualna. Moim zdaniem jednak nie widział możliwości szybkiego dokonania czegoś efektywnego, toteż - jak w tylu innych wypadkach - postanowił poczekać, aż sytuacja się wyklaruje. Gdy po trzech dniach istotnie się wyklarowała, nie mógł już decydować o niczym.

Po 20 sierpnia 1968 r. niezliczoną już ilość razy zadawano pytanie, czy Dubczek i kierownictwo KPCz mogli jakoś zapobiec interwencji, ściślej mówiąc, czy mogli ubiec Moskwę i stworzyć sytuację, w której ZSSR nie sięgnąłby po interwencję jako ostatni środek ratunku swej hegemonii. Ci, którzy już w sierpniu 1968 r. stanowili w ówczesnym kierownictwie KPCz agenturę Moskwy i chcieli skorzystać z interwencji, by umocnić własne pozycje, wraz z późniejszymi zwolennikami polityki "normalizacyjnej" twierdzą, że było to możliwe. Oskarżają Dubczeka, że nie poinformował kierownictwa partii o rozmowach w Dreźnie i w Moskwie, że "zataił" ostatni list Breżniewa itd. Oskarżenia te są niedorzeczne i służą jedynie osobistym interesom "normalizatorów". Aby można było poważnie szukać odpowiedzi na powyższe pytanie, należy znać przyczyny, dla których kierownictwo sowieckie zdecydowało się ostatecznie na interwencję zbrojną.

Uważam, że przyczyny te wiążą się z dwójakimi interesami: z jednej strony wielkomocarstwowej polityki zagranicznej ZSSR, z drugiej zaś - różnych grup w kierownictwie sowieckim, walczących między sobą o władzę. Jedne i drugie w październiku 1964 r. doprowadziły do obalenia Chruszczowa. Kulminacyjnym punktem walki o dalszy kierunek polityki, która rozgorzała podówczas w Moskwie, była właśnie interwencja w Czechosłowacji w 1968 r.

Z punktu widzenia wielkomocarstwowej polityki zagranicznej ZSSR rezultaty polityki Chruszczowa można oceniać rozmaicie, nawet kontrowersyjnie - w zależności od tego, w czym widzi się główny wkład w zabezpieczenie interesów sowieckich na świecie. Era Chruszczowa oznaczała zakończenie okresu

"zimnej wojny", zmniejszyła niebezpieczeństwo konfliktu wojennego z Zachodem, zapoczątkowała korzystną współpracę gospodarczą ZSSR ze światem, pozwoliła Związkowi Sowieckiemu przenikać w różne regiony świata - zwłaszcza do krajów rozwijających się - innymi środkami niż za Stalina: dyplomatycznie, ekonomicznie, a wreszcie również militarnie. Z tego punktu widzenia Chruszczow bezsprzecznie wzmocnił pozycje ZSSR jako supermocarstwa w nowej sytuacji powojennego świata. Zarazem jednak utracił Chiny i Albanie, nie zyskując w gruncie rzeczy Jugosławii. Armia Sowiecka została wycofana z Austrii. Antystalinowskie nastawienie Chruszczowa spowodowało ferment wewnętrzny w Polsce, na Węgrzech, a wreszcie także w Czechosłowacji, z dyscypliny bloku sowieckiego zaczęła wyłamywać się Rumunia. W krajach nie należących do bloku ruch komunistyczny zaczął dostrzegalnie tracić znaczenie jako agentura polityczna Moskwy i jej wielkomocarstwowych interesów. Z tego punktu widzenia pozycje ZSSR jako supermocarstwa zostały przez Chruszczowa dotkliwie osłabione.

Co jednak jest ważniejsze? Że zmniejszyło się napięcie w stosunkach z USA, czy że Chiny stały się mocarstwem antysowieckim? Że ZSSR zwiększył wpływy w niektórych krajach Afryki i Ameryki Łacińskiej, daleko poza granicami swego imperium, czy że z punktu widzenia hegemonii Moskwy skomplikowała się sytuacja wewnątrz tego imperium, w Europie wschodniej oraz środkowej? Odpowiedź zależy od tego, co uzna się za najlepszą strategię - zarówno polityczną, jak wojskową. I tutaj problemy interesów wielkomocarstwowych stykają się bezpośrednio z walką między różnymi grupami w sowieckiej strukturze władzy: bowiem właśnie te grupy oceniały tę sprawę rozmaicie.

O ile przed wojną decydującym elementem mechanizmu władzy z punktu widzenia wielkomocarstwowych interesów ZSSR były raczej dyplomacja i Międzynarodówka Komunistyczna, o tyle po drugiej wojnie światowej stała się nim armia. Pod koniec ery Chruszczowa wielkie wpływy w Armii Sowieckiej mają jeszcze marszałkowie z generacji wojennej. To pokolenie marszałków stoi na gruncie koncepcji strategicznych drugiej wojny światowej i epoki Stalina; w wielkim uproszczeniu ich myśl strategiczna daje się ująć w formułę: "Co mam w garści, to się liczy". Był to typowy pogląd Stalina, pogląd, który wyraz ideologiczny znalazł w stalinowskiej teorii zwycięstwa socjalizmu w jednym kraju i otoczenia kapitalistycznego. Dla Stalina głównym problemem było, jak w strefie, którą opanował już bezpośrednio - tj. wojskowo i politycznie - stworzyć jak największą potęgę wojskową i przemysłową. Cała ta strefa stanowiła dla niego teren owego "socjalizmu w jednym kraju" /i nie było istotne, że w tym "jednym kraju" istnieje - powiedzmy - dziesięć formalnie niepodległych państw/. W stosunku do reszty świata, stanowiącej "otoczenie kapitalistyczne", "socjalizm w jednym kraju" prowadził politykę izolacjonistyczną. Swe pozycje w tym świecie opierał na agenturze ideologicznej i politycznej, w którą z powodzeniem przekształcił kierowany z Moskwy ruch komunistyczny.

Z punktu widzenia takiej strategii i tak rozumianych wielkomocarstwowych interesów ZSSR okres Chruszczowa jest właściwie serią klęsk: w praktyce "socjalizm w jednym kraju" rozpadł się. W dodatku Chiny zaczęły stawać się wrogiem, przed którym wszystkie imperia rosyjskie tradycyjnie już trzęsły się ze strachu - wrogiem ze Wschodu, z Azji, w którym odżywa widmo Dżyngis-chana i dawnego ujarznienia Rosji. Dla sowieckich marszałków ze starszych pokoleń, myślących przede wszystkim w kategoriach broni konwencjonalnych i takich wojen, nieuchronnie było to widmo znacznie straszniejsze od całego "imperializmu amerykańskiego" za oceanem, dysponującego najnowocześniejszą techniką niekonwencjonalnej wojny przyszłości.

Myślę, że filozofia sowieckich marszałków z generacji wojennej była jedną z głównych sił, które spowodowały obalenie Chruszczowa; a także zbrojną interwencję w Czechosłowacji. Związały się również z nimi potężne

ugrupowania w cywilnych ogniach sowieckiego mechanizmu władzy - w aparacie partyjnym, politycznym i policyjnym - wychowane w tym samym stalinowskim okresie i w polityce Chruszczowa upatrujące przyczynę rozkładu dawnej stalinowskiej dyscypliny w krajach całego imperium, jak też i w samej Rosji.

Polityka Chruszczowa nie była jednak polityką jednego tylko człowieka: ona także w strukturze władzy w ZSSR miała wpływowych i potężnych obrońców. W mechanizmach związanych z wielkomocarstwową polityką ZSSR można zaliczyć do nich grupy zainteresowane rozwojem nowoczesnego przemysłu zbrojeniowego i powiązanych z nimi innych marszałków i generałów /wojska rakietowe itd./, jak również ludzi czynnych w dyplomacji i handlu zagranicznym. Ich zapatrywania na wielkomocarstwowe interesy ZSSR są niewątpliwie szersze i nowocześniejsze od filozofii starych marszałków i sprzymierzonej z nimi biurokracji politycznej. Interesy ZSSR jako supermocarstwa ci ludzie widzą w tym, żeby Związek Sowiecki sprostał konkurencji, jaką w wielkomocarstwowej rywalizacji stanowią przede wszystkim Stany Zjednoczone: od nowoczesnego uzbrojenia przez gospodarcze, polityczne i militarne przenikanie do odległych, lecz ważnych strategicznie regionów, aż po ofensywę ideologiczną, pozwalającą ZSSR zająć korzystne pozycje w światowej konstelacji sił.

Dla rzeczników takiej wielkomocarstwowej strategii ZSSR era Chruszczowa nie była niepomysłna, przeciwnie, mogła wykazać się działaniami ofensywnymi w kierunkach zgodnych z jej wskazaniem. Pod koniec jednak swojego panowania już nawet dla tej grupy Chruszczow nie był najlepszym reprezentantem: był nazbyt impulsywny, podjął szereg nierozważnych decyzji, które pociągnęły za sobą niepożądane następstwa, i budził stale rosnący opór w szeregach sowieckiej biurokracji. Zwiększało to siły ortodoksyjnie stalinowskie, a tym samym zagrażało interesom ugrupowań stojących na gruncie niestalinowskiej koncepcji strategicznej wielkomocarstwowych interesów ZSSR. Zarazem również te siły uznawały, że Chruszczow spowodował różne niepowodzenia, zwłaszcza utratę Chin.

Tak samo jak do starych marszałków, również do tych rzeczników innych koncepcji wielkomocarstwowych dołączały wpływowe grupy w organach polityki wewnętrznej, przede wszystkim w aparacie partyjnym. Nie byli to zwolennicy stalinowskich metod gospodarczego i politycznego kierowania społeczeństwem, lecz ludzie reprezentujący tendencje racjonalistyczne, przeważnie technokratyczne, ale także na sowiecką modłę demokratyczne.

Wszystkie rozbieżności związane z tymi różnymi tendencjami przenikały także do sowieckiego politbiura. Doprowadziły one do upadku Chruszczowa i wprowadzenia na stanowisko sekretarza generalnego partii Breżniewa. Stało się to w październiku 1964 r. W ciągu następnych trzech lat - do czasu obalenia Nowotnego w Pradze - rozbieżności nie były jeszcze przezwyciężone. Jak zwykle w podobnych sytuacjach, również wtedy człowiek pozornie najsilniejszy, Leonid Breżniew, w istocie był carem z łaski i z konieczności: żadna grupa nie miała dosyć sił, by samodzielnie przechwycić rząd, wobec czego wszystkie razem na szczycie piramidy władzy utrzymywały Breżniewa. Breżniew nie miał jeszcze "swojego" politbiura: nie mianował żadnego z członków tego organu, przeciwnie, to oni mianowali jego. Dopiero po 1970 r. stopniowo usuwa większość kierownictwa partii i zastępuje ludźmi, którzy są już zależni od niego.

Jak wyglądała "Praska Wiosna" widziana przez pryzmat wszystkich tych rozbieżności i powiązań na Kremlu?

Już samo obalenie Nowotnego miało związek z tymi rozbieżnościami. Pod koniec 1967 roku Nowotny był osobą, na której Breżniewowi zbytnio nie zależało. Miało to dwie przyczyny: po pierwsze Nowotny był reliktem ery Chruszczowa i z Breżniewem nie łączyła go wzajemna sympatia, a po drugie od lata 1967 r. wiązał się w Moskwie raczej z grupą marszałków. Ten stosunek też nie był sprawą prostą. Otóż Nowotny bronił się przed trwałym rozmiesz-

zaniem w Czechosłowacji wojsk sowieckich, czego Moskwa domagała się już od 1966 r. Zgadzał się na wprowadzenie broni strategicznej i jej wyspecjalizowanej obsługi /w liczbie około 3 000 ludzi/, ale nie na garnizony z bronią konwencjonalną i większą liczbą żołnierzy. Można się spotkać z poglądem, że powiązania Novotnego z moskiewską grupą "jastrzębi" wynikały stąd, że chciał w ten sposób uwolnić się od nacisku na rozmieszczenie w Czechosłowacji sowieckich garnizonów: wyobrażał sobie, że obierając sztywny kurs w polityce i wyrażając zgodę na dyslokację broni strategicznej zaskarbi sobie zaufanie "jastrzębi" i sprawi, że nacisk Moskwy osłabnie, mimo niedobrych stosunków osobistych z Breżniewem. Sam widocznie uważał Breżniewa za figurę znajdującą się u steru przejściowo, niestabilną, z którą wiązać swe losy byłoby nie rozsądnie.

Zgadając się na zastąpienie Novotnego kimś innym, Breżniew spodziewa się więc m.in. zwiększenia swoich wpływów w Czechosłowacji i zarazem osłabienia wpływów marszałków. Ale też właśnie dlatego grupa "jastrzębi" w Moskwie już samo obalenie Novotnego uważa za swą przegraną, a winę za szybki rozwój ruchu demokratycznego, który uwidocznił się wkrótce, przypisuje personalnie Breżniewowi. Z grupą moskiewskich "jastrzębi" powiązani są wtedy bezpośrednio Ulbricht oraz Gomułka - prowadzone przez nich działania przeciwko "Praskiej Wiosnie" też mają od początku charakter skoordynowany. Obydwaj - i Ulbricht, i Gomułka - mają zresztą ku temu wyraźne powody wewnątrzpolityczne: ich reżimy, ich władza osobista przeżywa taki sam albo i głębszy kryzys, jak reżim Novotnego, a demokratyczna zaraza szerzy się za miedzą, w sąsiednim państwie.

Agentura sowiecka w Czechosłowacji /w KPCz oraz w bezpieczeństwie, armii i innych organach państwowych/ w istocie w Moskwie także podłączona jest pod grupę "jastrzębi". Należy do niej również zespół, który panuje wówczas w sowieckiej ambasadzie w Pradze /Czerwonienko - Udalcow/. Wszelkie informacje docierające na Kreml tą drogą od początku są tendencyjne, przemawiają na korzyść "jastrzębi".

Właś o wpływy w Czechosłowacji - a więc również o to, jaka interpretacja wydarzeń czechosłowackich stanie się wersją oficjalną - w Moskwie od początku nie jest bynajmniej płodem ortodoksji ideologicznej, lecz stanowi ważki i nieodłączny element starć między różnymi ugrupowaniami w sowieckiej strukturze władzy. Od początku też, ze względu choćby na swe interesy osobiste, silnie angażował się w niej Leonid Breżniew.

Podczas rozmów na Kremlu 26 sierpnia 1968 r. Breżniew niejako na marginesie nawiąknął, że decyzję o interwencji zbrojnej jako jednym z wariantów "rozwiązania" podjęto w maju. A więc nie tuż po uchwaleniu Programu Działania KPCz i nie po zmianach personalnych, przeprowadzonych do dnia 5 kwietnia - ale także nie dopiero po uchwale KC KPCz o zwołaniu nadzwyczajnego zjazdu partii i nie dopiero po ukazaniu się manifestu "Dwa tysiące słów", lecz przed obu tymi wydarzeniami. Decyzja o interwencji jako wiariencie brany pod uwagę /choć nie jedynym i jeszcze nie zatwierdzonym/ zapadła najwyraźniej jeszcze przed majowym plenum KC KPCz /odbywało się ono od 29 maja do 1 czerwca 1968 r. /, gdy bowiem we wspomnianej rozmowie padła wzmianka o maju, Breżniew powiedział:

- Potem zdawało się, że to nie będzie potrzebne. Pojawiała się pierwsza jaskółka - majowe plenum KC KPCz.

Dnia 4 maja bawiła w Moskwie delegacja KPCz w składzie: Dubczek, Czernik, Smrkovsky i Bilak. Choć zarzuty co do wydarzeń w Czechosłowacji były ostrzejsze, niż pod koniec marca w Dreźnie, mimo wszystko wtedy jeszcze nie zdecydowano się na wariant interwencyjny. Przebieg rozmów /podobnie jak ówczesna kampania prasowa i ideologiczna / świadczy, że na Kremlu uznano, iż nacisk polityczny i gospodarczy będzie środkiem wystarczającym.

A jednak później bardzo szybko przyjęto, że jednym z rozwiązań może być interwencja zbrojna - stało się to gdzieś między 5 a 29 maja. Najprawdopodobniejsze wydaje się, że kierownictwo sowieckie doszło do tego wniosku po powrocie z Pragi zarówno marszałka Greczki /który przebywał w CSRS z delegacją wojskową od 17 do 22 maja/, jak i Aleksieja Kosygina /ten znów od 17 do 25 maja był "na kuracji" w Karłowych Warach/. Przedtem - 8 maja - odbyła się w Moskwie tajna narada szefów pięciu partii /późniejszych interwentów/. KPCz nie była nie tylko obecna, ale nawet zaproszona /tak samo jak partia rumuńska/. Presją ze strony Gromyki i Ulbrichta była już tam zapewne tak silna, że zaczęto zastanawiać się także nad możliwością interwencji wojskowej. Ostateczną decyzję samego sowieckiego politbiura poprzedziły jednak jeszcze "podróże inspekcyjne" przedstawiciele obu ugrupowań: marszałków i technokratów, czy ściślej - polityków. Wynikiem był kompromis: zgoda na interwencję, ale tylko w zupełnej ostateczności. Na razie postanowiono wpływać na bieg wydarzeń innymi dostępnymi środkami.

Co przeszkadzało przedstawicielom racjonalniejszej, w istocie chruszczowskiej tendencji dojść do porozumienia z "jastrzębiami" w sprawie interwencji zbrojnej w Czechosłowacji? Z pewnością nie przekonanie, że "socjalizm z ludzką twarzą", demokratyzacja i przygotowywana reforma w CSRS są szansą dla socjalizmu i Związku Sowieckiego. Na bieg wydarzeń czechosłowackich patrzyli okiem sowieckiej biurokracji, jej metod rządzenia we własnym społeczeństwie i w całym bloku sowieckim - w gruncie rzeczy tak samo, jak "jastrzębie". Interwencji byli jednak przeciwni, obawiając się, że taki krok zagrozi wszystkim - z ich punktu widzenia pozytywnym - rezultatom polityki Chruszczowa w skali światowej: atmosferze odprężenia w stosunkach z Zachodem, perspektywie rozwoju stosunków gospodarczych i politycznych ZSSR ze światem. Bali się, że i w kraju, w Związku Sowieckim, w końcu osłabi to ich pozycje, a wzmocni pozycje bardziej ortodoksyjnych sił stalinowskich.

Czynniki kształtujące w politbiurze sowieckim siły w pewnym sensie życzliwe reformie czechosłowackiej nie powstały więc pod wpływem samej tej reformy. Żadne kierownictwo KPCz nie mogło wywrzeć wpływu na ich powstanie: istniały niezależnie od przebiegu wydarzeń w Czechosłowacji, były przedem interesów i konfliktów sowieckich - wewnątrzpartyjnych i międzynarodowych. To samo odnosi się do powstania i istnienia czynników reformie czechosłowackiej nieżyczliwych: kremłowskie "jastrzębie" i ich koncepcje także istniały już przedtem i niezależnie od takiej czy innej polityki KPCz.

Reforma 1968 r. mogła być zrealizowana - i to, jak się zdaje, w stopniu jeszcze bardziej ograniczonym, niż zakładał Program Działania KPCz - jedynie pod warunkiem, że w Moskwie nadal utrzymywały się swego rodzaju pał między głównymi rywalizującymi tam ze sobą siłami, że nie doszłoby między nimi do aliansu właśnie w kwestii postępowania wobec Czechosłowacji, że nie byłyby zgodne co do potrzeby dokonania zbrojnej interwencji. Polityka kierownictwa KPCz mogła wpłynąć tylko i wyłącznie na tę okoliczność - i na nią więcej. Ale i na nią oprócz polityki kierownictwa KPCz i rozwoju wydarzeń w CSRS wpływali szereg innych czynników - międzynarodowych i wewnętrznych, sowieckich.

W listopadzie 1968 r. w prowadzonej w cztery oczy i jak na owe czasy naprawdę przyjacielskiej rozmowie Breżniew powiedział Bohumilowi Szimonowi, który stał na czele delegacji KPCz na obchody rocznicy Rewolucji Październikowej:

- Myśleliście, że skoro macie władzę, to już możecie robić, co się wam żywnie podoba. Ale to kardynalny błąd. Nawet ja nie mogę robić tego, co bym chciał - z tego, co chciałbym urzeczywistnić, mogę zrealizować chyba zaledwie jedną trzecią. Jeżeli bym wtedy w politbiurze nie podniósł ręki za akcję wojskową, co by się stało? Ty na pewno byś teraz tu nie siedział. Ale ja także może bym tu nie siedział!

Osobiście wierzę, że Breżniew rzeczywiście tak myślał, toteż traktuję te jego słowa z należytą powagą. Uważam, że potwierdzają mój pogląd na ówczesną sytuację. Kremłowskiej grupie "jastrzębi" udało się właśnie ze sprawy postępowania wobec procesu demokratyzacji w CSRS zrobić problem • kluczowym w danej chwili znaczeniu również dla wewnętrznych sporów • władzę w Moskwie. Postąpiła tak w pełni świadomie, uważając, że sprawa ta jest dla niej wyjątkowo dogodna, a dla drugiej tendencji, racjonalniejszej /chruszczowskiej/ w tym samym stopniu niedogodna. Z punktu widzenia wektorów działających wówczas w sowieckiej strukturze władzy miała tu całkowitą rację.

Wracając pod koniec maja z Pragi, marszałek Greczko z pewnością miał pod dostatkiem argumentów przemawiających za koncepcją marszałków. Z czym jednak mógł powrócić Kosygin? Myślę, że z jednym naprawdę poważnym ustaleniem: Związanie losów grupy, która chce racjonalniej kontynuować politykę chruszczowską, ze stanowczym wzięciem w obronę Dubczeka i jego reformy jest bardzo ryzykowne, dla tej grupy zbyt niebezpieczne. Mogłoby to kosztować ją utratę dotychczasowych pozycji w strukturze władzy. Gdyby "nie podniosła ręki" za argumentami "jastrzębi" - wtedy jeszcze bez jednoznacznego wniosku, kiedy wojska mają przystąpić do działania - może naprawdę wkrótce nie zasiadałaby już w politbiurze.

Dlaczego? Czy dlatego, że w Czechosłowacji "socjalizm był zagrożony", groziła wojna domowa i istniały realne siły pragnące "powrotu kapitalizmu"? Czy dlatego, że kierownictwo KPCz zamierzało wyrwać Czechosłowację z bloku sowieckiego? Skądże znowu - Kosygin wiedział, że wszystko to są brednie na użytek ideologii i propagandy: ideologiczna zasłona, pod którą musi kryć się istota rzeczy w sporach w ruchu komunistycznym. Co rozumiejsi przedstawiciele tego ruchu, uczestniczący w takich sporach, wiedzą, o co właściwie chodzi - toteż nawet wspomniana zasłona nie wyklucza niekiedy merytorycznie słusznych rozwiązań. Niniejsza książka nie jest jednak głosem w dyskusji na posiedzeniu politbiura partii komunistycznej - mogą więc śmiało obyc się bez wszelkich zasłon/x/.

Chociaż Kosygin patrząc na wydarzenia w okresie "Praskiej Wiosny" nie kierował się filozofią starych sowieckich marszałków oraz ich sprzymierzeńców, to jednak z całą pewnością nie tracił z oczu wielkomocarstwowych interesów ZSSR. I co widział? Wiele informacji otrzymał już na pewno w Moskwie, nowe uzyskał w Czechosłowacji. Rozmawiał tu z niektórymi członkami dubczekowskiego kierownictwa KPCz - m.in. również z takimi, których w Moskwie w gruncie rzeczy nie znano, jak np. z Czesławem Cisarzem. Przez kilka dni oddychał też bezpośrednio atmosferą "Praskiej Wiosny" - chociaż tylko w miejscach tak ekskluzywnych, jak deptak w Karłowych Warach. Jako przedstawiciel interesów hegemonii sowieckiej, nawet jeśli realizowanej nie w pełni po stalinowsku, z wszystkiego, czego dowiedział się i czego sam doświadczył, musiał wyciągnąć pewne wnioski, które chcąc nie chcąc nasuwały mu myśli zbieżne z poglądami "jastrzębi".

Wiedział, że w Czechosłowacji system totalitarnej dyktatury nie tylko przeżywa głęboki kryzys, ale zaczyna być zmieniany, i to zarówno oddolnie, jak odgórnie. Że mechanizmy, które - jak cała biurokracja sowiecka - uważał za nieodłączne gwarancje jej rządów, w Czechosłowacji już nie funkcjonują.

/x/ Tym różni się w niektórych ważnych kwestiach obecny mój komentarz od tego, który przedstawiłem w pracy "Czechosłowacka próba reformy 1968 r." /Index, Kolonia 1975/. Wtedy miał to być przyczynek do dyskusji w ruchu komunistycznym przed konferencją europejskich partii komunistycznych w czerwcu 1976 r. Prześlałem wówczas tekst osobom, które doręczyły go kierownictwom kilku partii, przede wszystkim w ZSSR, w CSRS, na Węgrzech, a ponadto we Włoszech i we Francji. Był więc on wtedy napisany w ten sposób, by mógł stanowić możliwą do przyjęcia podstawę dyskusji. /Przyp. aut./.

W tej sytuacji władza nieuchronnie /i słusznie/ wydawała mu się niestabilna. Z pewnością przy tym nie podzielał wiary Dubczeka ani w jakiś działający bez przymusu "marksizm-leninizm", ani w demokratyczne i humanistyczne uczucia narodów CSRS - i na pewno nie umiał sobie wyobrazić, jak na takich podstawkach potrafiłaby władać partia komunistyczna, mogąca jednocześnie zapewnić w swoim kraju realizację wszystkich interesów Moskwy. Nie podzielał poglądu, na którym również w ujęciu Programu Działania KPCz opierała się cała koncepcja reformy, mianowicie że taki demokratyczny eksperyment w Czechosłowacji zapewni Moskwie niezbędną porękę jej hegemonii. Biurokracja sowiecka obaliła przecież Chruszczowa za eksperymenty znacznie mniej śmiałe i znacznie mniej dla imperium ryzykowne.

Również pewne własne przeżycia w ówczesnej Czechosłowacji niewątpliwie wyprowadzały Kosygina z równowagi. Przecież władze tego kraju nie potrafili nawet jego, drugiego po carze głównego przedstawiciela imperium, uchronić przed natrętnymi dziennikarzami: spacerując po deptaku z flaszczyką wody karlsbadzkiej, został napadnięty przez wścibską redaktorkę, sfilmowaną, i potem można było widzieć go w telewizji, jak wije się i wykręca od odpowiedzi na niemiłe pytania. Musiała także wzbudzić w nim wątpliwości rozmowa z sekretarzem KC KPCz, Cisarzem, któremu wypomniał jakieś niestrawne dla Moskwy zdania o leninizmie i jego powszechnym znaczeniu dla całego świata, wygłoszone niedawno w referacie na akademii ku czci Marusa. Z punktu widzenia doświadczonych władców Kremla Cisarz zachowywał się jak beniaminek, który zapewne nie wie nawet, o co naprawdę chodzi: bronił swoich przekonań ideologicznych, chociaż powinien był zrozumieć, że najwyższy rewizor sprawdza właśnie, czy nacjuje się na członka władz ważnej guberni. Zrozumiał poniewczasie. Opowiadał mi o jakimś konkretnym sformułowaniu z owej rozmowy, które wszystkiemu zawiniło - i zwał wszystko na swoją słabą znajomość rosyjskiego. Złe wrażenie, jakie wywarł na Kosyginie, starał się zatrzeć za wszelką cenę, szczególnie zaś gorliwie po sierpniu 1968 r. Ale już nadaremnie. Chyba nie tylko wskutek słabej znajomości rosyjskiego języka, ale również rosyjskiej literatury: Już z opowiadań Czechowa znana jest przygoda urzędnika, któremu zdarzyło się kichnąć w obecności jakiegoś Jego Błagorodija; następnie zdał sobie sprawę, że mogło to zaszkodzić jego karierze i zaczął się natrętnie usprawiedliwiać - czym dopiero zaszkodził sobie ostatecznie, gdyż wykazał, że nie tylko nie umie opanować się przy zwierzchniku, ale jeszcze mu się naprzykrza.

Odwiedzając w maju Czechosłowację, Kosygin przekonał się osobiście, że dubczkowskie kierownictwo KPCz nie jest jednolite, że zagrzeździła się w nim agentura moskiewskich "jastrzębi". Niewątpliwie to także grało bardzo doniosłą rolę: nie można było wykluczyć, że działaniem "jastrzębi" w końcu doprowadzą do zwycięstwa swych interesów w Czechosłowacji również bez pomocy bardziej umiarkowanego ugrupowania na Kremlu i w ten sposób - okólną drogą - zyskają nad nim przewagę. Wszystko to razem moim zdaniem prowadziło do tego, że gdzieś pod koniec maja kierownictwo sowieckie przyjęło do wiadomości, iż jednym z możliwych wariantów jest interwencja zbrojna. Aby do niej nie doszło, musiało w zdarzyć się coś, co wznocniłoby bardziej umiarkowane, racjonalniejsze z kremlofskich ugrupowań, by nie musiało obawiać się konfliktu z "jastrzębiani" na tle sprawy czechosłowackiej.

Nic takiego nie zdarzyło się wtedy jednak ani w ZSSR, ani w polityce światowej, ani w samej Czechosłowacji. Przeciwnie - wszystko toczyło się w takim kierunku, że interwencja stawała się coraz bardziej możliwa. Widać to wyraźnie po majowym posiedzeniu KC KPCz, które uchwaliło dość istotną rezolucję, a zarazem ustaliło termin nadzwyczajnego XIV zjazdu partii na 9 września. Określenie politycznych i chronologicznych limitów starcia z przeciwnikami reformy pobudziło ich oczywiście do podjęcia działań zaczepnych. Przygotowania do tej ofensywy dostrzegalne są od połowy czerwca 1968 r.

W wypowiedziach o "Praskiej Wiośnie" do dziś przeważa pogląd, że majowa rezolucja KC KPCz była zwycięstwem sił konserwatywnych, atakiem na reformę. Twierdzi się powszechnie, że za główne niebezpieczeństwo uznano w niej "siły prawicowe". Rzut oka jednak do tekstu pozwala się przekonać, że to po prostu nieprawda. Pisałem tę rezolucję i pamiętam, jak bardzo uważałem, żeby niezbędnej polityki wymierzonej przeciw ekstremom zarówno z lewa, jak i z prawa, nie zastąpić jakimś sformułowaniem jednostronnym. W rezolucji majowego plenum KC czytamy: "Za sprawę podstawową w obecnej sytuacji partia uważa, żeby nic nie mogło zagrozić socjalistycznemu charakterowi władzy oraz ustroju społecznego, i to z żadnej strony - ani tendencje prawicowe, antykomunistyczne, ani siły konserwatywne, którym odpowiadałby powrót do stosunków jeszcze sprzed stycznia 1968 r., nie mogących zapewnić rozwoju socjalizmu". Cała dalsza treść rezolucji majowej mieściła się ściśle w ramach polityki wyznaczonej przez Program Działania KPCz, ale też pod żadnym względem ram tych nie zawężała. Znacznie konkretniej, niż w Programie Działania, mówiło się tu o systemie samorządu jako o aktualnym zadaniu praktycznym, o stosunkach we Froncie Narodowym, a także o działalności prasy i środków masowego przekazu. Obie ostatnie kwestie budziły awersję w radykalnym skrzydle komunistów reformistycznych. Ale skrzydło to starało się przekroczyć ramy Programu Działania w kierunku radykalniejszych ingerencji w system polityczny, i dlatego rezolucja wydawała się mu zwycięstwem konserwatywnym. Uważam jednak, że w rzeczywistości była typowym przykładem orientacji przez radykałów nazywanej "centryzmem": trzymała się ram Programu Działania, wbrew tendencjom zarówno konserwatyw-
stów, jak i radykałów.

Prawdą jest, że siły konserwatywne - z agenturą sowiecką w KPCz włącznie - usiłowały przedstawić tę rezolucję wyłącznie jako krytykę radykałów i nadużywać jej przeciw nim, korzystając z faktu, że w pewnych punktach istotnie ich krytykowała. Radykałowie jednak nie bronili się na gruncie Programu Działania, lecz przypuszczali coraz to nowe ataki na konserwatystów, mniej lub bardziej z pozycji manifestu "Dwa tysiące słów". W sumie więc wysiłki zarówno radykałów, jak i konserwatystów zmierzały w czerwcu do zaostrzenia walki między oboma kierunkami, nie zaś do zjednoczenia maksimum sił politycznych na bazie rezolucji majowej. Ponieważ radykalni komuniści reformistyczni panowali w prasie, radiu i telewizji, walka ta wypełniła całą scenę dostrzegalną dla szerokich kręgów społeczeństwa i na pozór stała się dominującą tendencją rozwojową. W samej KPCz jednak w rzeczywistości przeważała wówczas orientacja "centrystyczna": jej zwolennicy stanowili około 80 procent delegatów na zjazd, wybranych pod koniec czerwca i na początku lipca. Dla sił przeciwnych reformie - włącznie z sowieckimi "jastrzębiami" - obydwa te zjawiska były oczywistą klęską: jawne naciski radykałów i faktyczne wielkie zwycięstwo "centrystów" w KPCz skłaniały je do podjęcia działań ofensywnych. Jako pretekst najlepiej nadawały się wystąpienia publiczne radykałów, ale naprawdę atak wymierzony był już we wszystkich reformistów, w "centrystów" w KPCz. W liście pięciu późniejszych interwentów z Warszawy za rzeczników "platformy kontrrewolucyjnej" uważani są jeszcze sygnatariusze "Dwóch tysięcy słów". Ale 21 sierpnia ani żołnierze sowieccy, ani ludzie Szalgowicza ze Służby Bezpieczeństwa nie szukają Ludvika Vaculika i w ogóle nikogo z owych sygnatariuszy, tylko w gmachu KC KPCz aresztują Dubczeka, Czernika, Smrkovskiego, Krieglę, Szpaczka i Szimona.

Skoro już pod koniec maja - jeszcze przed uchwaleniem rezolucji KC KPCz - moskiewskie "jastrzębie" /marszałkowie w sojuszu z częścią sowieckiej biurokracji politycznej, a ponadto szczególnie z Ulbrichtem i Gomułką/ używały błogosławieństwo dla interwencji zbrojnej jako dopuszczalnego wariantu, postanowiły nie zmarnować tej szansy. Przez krótką chwilę utrudnia im ofensywę właśnie majowa rezolucja KC KPCz - Braźniow nazwie ją później "pierwszą

"jaskółką" ewolucji mogącej sprawić, że interwencja okaże się niepotrzebna. Wówczas z pewnością argumentowali tak zwolennicy umiarkowania nawet w sowieckim politbiurze. Nie trwa to jednak długo: w dwa-trzy tygodnie później "jastrzębie", którym wojna między radykałami a konserwatystami w Pradze dostarcza pod dostatkiem amunicji, uzyskują przewagę. Umiarkowani dysponują jedynie słowami rezolucji, "jastrzębie" natomiast powołują się na tę wojnę, demagogicznie przedstawiając ją jako rozłam w KPCz, i to rozłam zagrażający podstawom władzy w CSRS - a zatem oczywiście również interesom sowieckim. Napastliwie domagają się interwencji. Wyraźnym ich sukcesem jest właśnie spotkanie w Warszawie, na które KPCz "zaproszono" w taki sposób, żeby przybycie tam było dla niej jak najtrudniejsze lub zgoła niemożliwe - żeby więc rozbrat przybrał konkretną postać również na najwyższym szczeblu.

Czy dubczekowskie kierownictwo KPCz mogło przyjąć to "zaproszenie" do rzekomej dyskusji? Zapewne, mogło, ale tylko za cenę takich konfliktów wewnątrzpolitycznych, że zwolennikom interwencji dążyłoby to bez liku dalszych argumentów. W rzeczywistości bowiem nie chodziło już o dyskusję i ewentualne porozumienie: był to trybunał z gotowym już wyrokiem, którego tekst przybrał następnie formę listu. Przyjęcie warszawskiej oceny sytuacji wewnątrzpolitycznej w CSRS oznaczałoby dla kierownictwa KPCz nie tylko rezygnację z kursu reformatorskiego, ale w dodatku zrobienie tego w sposób, który musiałby wzbudzić w kraju potężną falę nieufności, niezadowolenia i sprzeciwu mas wobec takiego kierownictwa. Pojechanie zaś do Warszawy i nieprzyjęcie przygotowanego już wyroku równałoby się doprowadzeniu do jawnego i nieodwracalnego zerwania z Moskwą i czterema innymi państwami bloku, a więc znów dostarczenia nowych argumentów rzecznikom zbrojnej interwencji.

Wybrane rozwiązanie - nie wziąć udziału w spotkaniu, a jednocześnie wezwać do rozmów bilateralnych - było oczywiście jedynym możliwym. Spowodowało jednak tylko niewielką przerwę w ofensywie "jastrzębi", nie mogło już jej powstrzymać. Dlaczego? Myślę, że z przyczyn, które nie zależały już od Dubczeka.

Spotkanie pięciu partii w Warszawie doprowadziło "jastrzębie" do punktu, z którego właściwie nie można się już było wycofać, gdyż taki odwrót byłby dla nich polityczną klęską. Mogły tylko iść dalej drogą, na którą wkroczyły - i w końcu albo dokonać zbrojnej interwencji, albo pożegnać się ze swą pozycją na szczytach władzy. Po przejściowych perypetiach, spowodowanych rozmowami w Czernej nad Cisą i w Bratysławie, w nową, ostatnią fazę ofensywy "jastrzębie" weszły, moim zdaniem, gdzieś około 10 sierpnia.

Po spotkaniu w Bratysławie w początkach sierpnia politbiuro sowieckie rozjeżdża się na urlopy. Nieobecność różnych osób na Kremlu tradycyjnie już uważana jest za dogodną okazję do prób - udanych i nieudanych - przewrotów pałacowych. Nie mam wprawdzie na to żadnych konkretnych dowodów, lecz przypuszczam, że około 10 sierpnia wytworzyła się jakaś nowa koalicja "jastrzębi" oraz części tych, którzy dotychczas wahali się między nimi a rozwiązaniem bardziej umiarkowanym. U podstaw takiego aliansu musiało leć coś ważnego: najprawdopodobniej złożenie komuś oferty, by został sekretarzem generalnym zamiast Breżniewa. Kandydaci na takie stanowisko zawsze się znajdują - i wtedy byli na pewno. Nie wiem, kto to był, czy - powiedzmy - Szelepin, czy ktoś inny, ale sądzę, że nikt mniejszego kalibru. Kto zaś mógł uczestniczyć w tej próbie puczu? Ci, których później Breżniew pozbawia stopniowo funkcji w politbiurze i w kierownictwie partii.

Marszałkowie przygotowali sprawę od strony wojska: szefem sztabu Paktu Warszawskiego został mianowany nagle generał Sztienienko, niezaprzeczalnie przedstawiciel ekipy stalinowskiej. Do połowy sierpnia występuje zwiększona aktywność: najważniejsi marszałkowie latają z Ukrainy do NRD i do Polski, dają się zauważyć ruchy wielkich jednostek wojskowych. Około 15 sierpnia członkowie politbiura przerywają urlopy i niespodzianie powracają do Moskwy.

wkrótce zaś potem - 17 i 18 sierpnia - odbywają dwa posiedzenia, bodajże rozszerzone o osoby nie będące członkami tego organu; zapada na nich decyzja o interwencji.

Uważam za prawdopodobne, że Breżniew i bardziej umiarkowane ugrupowanie w sowieckim politbiurze szybko przejęli inicjatywę i zapobiegli próbie puczu na Kremlu, porozumiewając się z "jastrzębiami" co do zbrojnej interwencji w Czechosłowacji. Obalili to główne argumenty antybreżniewowskich oponentów. Oczywiście w tej sytuacji wszelkie kroki Dubczeka były już zupełnie daremne i w żaden sposób nie mogłyby mieć wpływu na interwencję.

Jedyną rzeczą, która by w dniach sierpniowych mogła zapewne jeszcze wpłynąć na decyzję w tej sprawie, było niebezpieczeństwo wywołania przez interwencję większego konfliktu wojennego. Starcie z samą armią czechosłowacką nie kryło w sobie takiego niebezpieczeństwa. Już mówiłem, dlaczego. Musiałoby to być niebezpieczeństwo konfliktu z Zachodem - a takie wówczas nie istniało. Bieg wydarzeń w Czechosłowacji w 1968 r. ani w państwach zachodnioeuropejskich, ani w USA nie spowodował spadku zainteresowania utrzymaniem status quo w Europie. Co się tyczy USA, Breżniew całkowitej pewności nabrał 18 sierpnia /dlaczego - o tym będzie jeszcze mowa/.

Kto zatem winien jest interwencji zbrojnej?

Wina spada niewątpliwie na tego, kto w sierpniu 1968 r. był agresorem: na Związek Sowiecki, jego kierownictwo polityczne. To kierownictwo bowiem uznało interwencję za metodę przeforsowania swych interesów w Czechosłowacji. Wszystkie rozbieżności między różnymi ugrupowaniami i poszczególnymi osobami w tym kierownictwie zostały koniec końców przejściowo przezwyciężone, mianowicie kosztem czechosłowackiej reformy demokratycznej. Stopień winy tych ugrupowań jest wprawdzie różny, ale winne są wszystkie: wszystkie razem bowiem składają się na taką władzę, która inaczej, niż jawnie zadając gwałt nawet swym własnym sojusznikom, nie potrafi zabezpieczyć swoich - w istocie despotycznych i skrajnie hegemonistycznych - interesów w zróżnicowanym narodowościowo i cywilizacyjnie imperium. Z punktu widzenia polityki i moralności na pytanie o winę za sierpień 1968 r. nie można dać innej odpowiedzi.

Jednakże sprawa winy nie jest jedyną kwestią, jaka nasuwa się w tym kontekście. Ważne jest także, czy nieuchronnie, czy koniecznie musiało dojść do tego, że władcy Kremla zdecydowali się na interwencję zbrojną jako na środek zabezpieczenia swych interesów. Czy można było tak wpłynąć na rozwój sytuacji, żeby nie zdobyli się na ten krok, czy to dlatego, że nie byłiby co do niego jednomyślni, czy dlatego, że baliby się go - znowu mając na względzie swe interesy. Otóż odpowiedź na to pytanie nie jest prosta i moim zdaniem w ogóle nie może być jednoznaczna. Ma ponadto nieuniknienie wartość jedynie hipoteczna, jest i zawsze będzie tylko zastanawianiem się nad możliwością, która nie przeszkadza próbie praktyki i nigdy już jej nie przejdzie. Zdając sobie w pełni sprawę z ograniczonego znaczenia mych rozważań, mimo wszystko uważam, że czechosłowaccy komuniści reformistyczni mogli byli - i w istocie powinni - uczynić znacznie więcej, ażeby kierownictwo sowieckie w kwestii interwencji zbrojnej nie doszło do jednomyślnego wniosku, a poza tym - żeby musiało bardziej bać się takiego kroku.

Jak pisałem już w poprzednim rozdziale, wciąż myślę, że decydujące znaczenie miał okres od stycznia do maja. Wydaje się, że był on decydujący również dla pierwszego zwycięstwa "jastrzębi" w Moskwie. Gdyby nie odwlekano stabilizacji stosunków, gdyby niezwykajny zjazd KPCz odbył się już w maju, mielibyśmy zapewne także większe szanse, że kierownictwo moskiewskie w sprawie interwencji pozostanie niejednolite. Co prawda w takim wariantcie "Praska Wiosna" nie przerosłaby zapewne w ów ogólnonarodowy ruch demokratyczny i humanistyczny, jakim się stała, i pozostałaby raczej tylko stopniową, realizowaną głównie odgórnie reformą instytucjonalną, bardzo wolno niszczącą

system totalitarnej dyktatury politycznej. Nie rozbudziłaby więc też takich nadziei i zapału - ale może uniknęlibyśmy również takiego ogromu beznadziejności, zawodu i apatii. Jest także prawdopodobne, że mimo to Moskwa wywierałaby na CSRS silną presję antyreformistyczną i że nawet koncepcja Programu Działania KPCz w praktyce nie mogłaby być zrealizowana w całości ani szybko.

W okresie od czerwca do sierpnia znaczenie czechosłowackich wydarzeń wewnątrzpolitycznych dla decyzji w sprawie interwencji wyraźnie coraz bardziej malało: zastanawiając się nad nią działano już pod wpływem czynników od reformistycznych komunistów w CSRS niezależnych. Wydarzenia wewnętrzne dostarczały co prawda rzecznikom interwencji argumentów oficjalnych, ideologiczno-propagandowych, ponieważ jednak prawdziwy powód był inny, trudno uwierzyć, że w braku takich argumentów, jak np. "Dwa tysiące słów", siły pragnące interwencji nie znalazłyby innych.

W tym okresie agentura sowiecka w Czechosłowacji coraz częściej już sama produkowała takie argumenty /we współpracy z odpowiednimi służbami NRD/. Wiadomo o kilku łatwych do udowodnienia prowokacjach: znajdowaniu "amerykańskiej broni" przy szosie pod Sokolovem; kolportowaniu różnych ulotek itp. Prowokacją były też akcje zbierania podpisów pod petycją domagającą się rozwiązania Milicji Ludowych. Rozmawiałem wtedy z ministrem spraw wewnętrznych, Pavlem, i zgodnie doszliśmy do wniosku, że warto sprawdzić, kto robi największy szum w związku z tą akcją /główne jej centrum znajdowało się przy ulicy Na Przikopie w Pradze/. Wysłani przez Pavla funkcjonariusze stwierdzili następnie, że wśród aktywnych agitatorów za likwidacją Milicji Ludowych jest ponad pięćdziesięciu agentów Służby Bezpieczeństwa. Była to z całą pewnością akcja prowokacyjna, zorganizowana przez prosowiecką agenturę w SB. Także znany "List 99 pracowników Zakładów Samochodowych Praga" był wyraźnie zamówiony przez agenturę sowiecką. Wszystkie takie wydarzenia w Czechosłowacji zawsze nader operatywnie, przesadnie i demagogicznie wyzsikiwała prasa ZSSR.

Także w kierownictwie KPCz można zaobserwować, że od czasu spotkania przyszłych interwentów w Warszawie cała grupa promoskiewska - Bilak, Indra, Jakesz, Kolder, Szvestka - już zupełnie świadomie przestaje popierać wszelkie dążenia, które Moskwa w zasadzie winna przyjmować z zadowoleniem. Przed rozmowami w Cziernej nad Cisą złożyłem prezydium KC dwie konkretne propozycje: projekt pełnomocnictw nadzwyczajnych, upoważniających rząd do zawieszania na okres trzech miesięcy czasopism, które opublikują materiały mogące przynieść szkodę interesom państwa na forum międzynarodowym, oraz projekt ustawy o Froncie Narodowym, dzięki której front ten stałby się jedyną legalną platformą wszystkich nowych organizacji chcących pełnić zadania partii politycznych. Wychodziłem z założenia, że w Cziernej delegacja KPCz z pewnością będzie musiała przyjąć podobne zobowiązania, leży przeto w interesie reformy, żeby stało się to jeszcze przed tymi rozmowami. Merytorycznie zresztą obydwie propozycje nie wykroczały poza ramy koncepcji Programu Działania.-

Żadnej z nich prezydium nie przyjęło. Przeciwwstawili się im radykalni reformiści, wywierający wpływ na niektórych członków kierownictwa partii. Pod ich to wpływem także Smrkovsky i Czernik, z którymi przedtem - tak samo jak z Dubczkiem - uzgodniłem swoje postępowanie, nie dotrzymali wstępnego porozumienia i ostatecznie projektów nie poparli. Dubczek również w końcu nie opowiedział się za nimi. Ciekawe jednak, że nie poparł ich też nikt z grupy promoskiewskiej: choć jej członkowie już dłużej niż ćwierć roku nie przepuszczali żadnej okazji, żeby na posiedzeniach kierownictwa przedstawiać różne artykuły prasowe i działalność organizacji politycznych poza Frontem Narodowym jako główny problem i zagrożenie socjalizmu - ani jeden z nich nie udzielił poparcia moim ówczesnym wnioskom. Przed spotkaniem warszawskim na pewno by tak nie było. Przyczyna mogła być tylko jedna: grupa

promoskiewska w kierownictwie KPCz orientowała się już świadomie i jednoznacznie na wojskową interwencję sowiecką, na sukces moskiewskich "jastrzębi" - i dlatego nie była już zainteresowana łagodzeniem konfliktów, których wybuch groził w Czerwonej nad Cisą.

Jeśli więc w kilku miejscach wytykałem radykalnym komunistom reformistycznym, że krótkowzrocznie i czasem nieodpowiedzialnie przyczyniali się swymi postawami do wytwarzania się sytuacji nie sprzyjającej reformie, nie oznacza to, że nie widzę istotnej i świadomej roli antyreformistycznej bojowych konserwatystów w KPCz i agentury sowieckiej w Czechosłowacji. Od lipca siły te występują już całkiem wyraźnie jako pomocnicy zbrojnej interwencji. Ale nie uważam ich za zwolenników demokratycznej reformy i dlatego nie mogę mieć im za złe, że występowały przeciwko niej. Z punktu widzenia własnych zamiarów działały logicznie i słusznie - czego jednak nie można powiedzieć o radykalnych komunistach reformistycznych, którzy niewątpliwie zawsze byli zwolennikami reformy.

Co się tyczy jednakże postawy wobec ewentualnej interwencji zbrojnej, radykalne skrzydło komunistów reformistycznych odznaczało się jedną niewątpliwą zaletą: widziało to niebezpieczeństwo lepiej i prawdziwiej, niż dubczekowskie kierownictwo KPCz. Radykalni komuniści reformistyczni nie mieli pod tym względem złudzeń i mniej więcej od maja często otwarcie ostrzegali przed niebezpieczeństwem, że Moskwa zdławi w końcu proces demokratyczny w Czechosłowacji, i to nawet zbrojnie. Dlatego też więcej zastanawiali się nad niezbędnymi krokami, mogącymi uchronić reformę przed tym niebezpieczeństwem, skłonni byli szukać sprzymierzeńców wśród sił komunistycznych i lewicowych poza blokiem sowieckim i liczyć się z tym, że Czechosłowacja musiałaby otwarcie przeciwstawić się blokowi, podobnie jak w 1948 r. zrobił to Tito w Jugosławii.

Ponieważ najsilniejsze pozycje w okresie "Praskiej Wiosny" skrzydło radykalne miało wśród inteligencji związanej z prasą i innymi środkami masowego przekazu, przeto niekiedy tym poglądom dawano wyraz również publicznie. Oczywiście wynikała stąd bardzo nieprzyjemna sytuacja dla dubczekowskiego kierownictwa, gdyż w Moskwie powoływano się na to jako na wymowny dowód "antysowietyzmu", dążeń do "rozbitcia jedności państw socjalistycznych" i zagrożenia tym samym interesów całego bloku sowieckiego. Toteż kierownictwo KPCz kilka razy nadzwyczaj ostro występowało przeciw poglądom radykalnych komunistów reformistycznych w tej kwestii. Tak więc np. już w przytoczonej rezolucji z majowego plenum KC KPCz czytamy:

"Niedopuszczalne jest, by komuniści zapominali, że przedstawianie w fałszywym świetle i rozdmuchiwanie pewnych różnic w poglądach, aż do rozpowszechniania kłamliwych informacji o "niebezpieczeństwie interwencji zbrojnej" /np. w związku z manewrami jednostek Paktu Warszawskiego itp./ szkodzi bardzo poważnie całemu kursowi obecnej polityki i działa na korzyść dążeń określonych kół krajów kapitalistycznych do rozbitcia jedności krajów socjalistycznych.

KC KPCz oświadcza, że wszystkie rozmowy na szczeblu partyjnym i rządowym, które toczyły się i toczą z przedstawicielami ZSSR, prowadzą do pozytywnych wniosków, jak również, że otwiera się możliwość pogłębienia współpracy i pomocy, mająca niezwykle znaczenie dla wyjścia z pewnych naszych obecnych trudności gospodarczych oraz że towarzysze sowieccy wykazali dobrą wolę udzielenia nam takiej pomocy."

Dubczekowskie kierownictwo KPCz zwyczajnie i świadomie zatajało tu więc rzeczywisty stan rzeczy i kłamało w interesie Moskwy, gdyż sądziło, że kłamie zarazem w swym własnym interesie. W świetle jednak wydarzeń późniejszych nic nie może przesłonić faktu, że rację mieli w tej sprawie ci, którzy wskazywali na niebezpieczeństwo interwencji wojskowej i w narastających rozbieżnościach w rozmowach z przedstawicielami Moskwy widzieli zagrożenie

reformy. Usprawiedliwianie przez ówczesne kierownictwo KPCz przekręcania i ukrywania rzeczywistości kalkulacjami politycznymi niczego tu nie zmienia - m.in. również dlatego, że ostatecznie te kalkulacje okazały się błędne, że były owocem złudzeń.

Myślę, że z politycznego punktu widzenia nie było realnie możliwe, by kierownictwo KPCz liczyło się też z ewentualnością zerwania z Moskwą i całym blokiem sowieckim. Jedyną podstawą zachowania jedności i uniknięcia takich sprzeczności wewnątrzpolitycznych /w społeczeństwie i w KPCz/, z którymi nie mogłoby już sobie poradzić, była ta, którą uznawało naprawdę: że warunkiem przeprowadzenia reformy jest dochowanie wszystkich zobowiązań i utrzymanie wszystkich powiązań Czechosłowacji z ZSSR i blokiem Paktu Warszawskiego. Prawdę mówiąc, uważam jednak również, że postawa kierownictwa dubczekowskiego w tej kwestii nie wynikała jedynie ze zrozumienia tej konieczności; sądzę, że wielką - jeżeli nie decydującą - rolę odgrywały tu ideologiczne złudzenia reformistycznych komunistów zasiadających w tym kierownictwie.

W tej delikatnej materii trudno mówić za innych i nie chciałbym roztrąbiać poglądów członków ówczesnego kierownictwa KPCz, nawet gdy je naprawdę znam. Będę więc mówić tylko we własnym imieniu. W okresie "Praskiej Wiosny" nie żuździłem się, że kierownictwo partii w Moskwie mogłoby widzieć w naszej reformie jakiś upragniony wzór do naśladowania. Co się tyczy ZSSR, byłem zdania, że tam naprawdę nie ma nawet warunków do podobnej reformy politycznej, że problem demokratyzacji życia społeczeństwa będzie tam rozwiązywany jeszcze długo i z wielkimi komplikacjami. Nie żuździłem się także, iż polityka zagraniczna ZSSR nie jest polityką wielkomocarstwową, iż sprawy wpływów sowieckich w innych państwach bloku nie przedkłada nad publicznie deklarowaną zasadę poszanowania niepodległości i suwerenności tych państw. Nie sądziłem też, by w politbiurze moskiewskim zasiadali ludzie, których główną troską byłoby zastanawianie się, jak najlepiej rozwijać socjalizm zgodnie z kryteriami humanizmu i demokracji, zawartymi w europejskiej tradycji socjalistycznej, a wreszcie również w pierwotnych hipotezach Marksa. A przecież miałem jeszcze sporo złudzeń, które rozwiązała dopiero zbrojna interwencja w sierpniu 1968 r.

Przed interwencją myślałem, że moskiewskiemu politbiuru mimo wszystko chodzi jeszcze o rozwój socjalizmu, nawet jeśli w postaci skrajnie zwulgaryzowanej. Że pozostaje jeszcze pod wpływem idei socjalistycznej, przynajmniej w takim stopniu, jak - powiedzmy - politbiuro KPCz za Novotnego. Było to jednak złudzenie. Dla politbiura moskiewskiego jako całości pojęcie "socjalizmu" zlało się już z wizją jego władzy, z wizją ustroju, jaki samo ono narzuca i utrzymuje w ZSSR. Nawet to minimum wyobrażeń o jakimś ustroju lepszym i doskonalszym, swobodniejszym i demokratyczniejszym od obecnie już "realnie istniejącego", minimum, które naprawdę uznawał ponad sobą również Novotny, dla politbiura Breżniewa nie istniało. Dla mnie ideologia komunistyczna była jeszcze programem takich zmian politycznych i społecznych, o jakich piszę w tej książce. Dla politbiura moskiewskiego w najmniejszym stopniu nie jest już korektorem jego własnych, czysto mocarstwowych interesów.

Przed sierpniową inwazją przypuszczałem, że ZSSR po 1956 r. stał się już mocarstwem, które uczy się /i opanowało już przynajmniej najprymitywniejsze podstawy tej nauki/ prowadzić politykę wielkomocarstwową środkami lepiej dostosowanymi do specyficznych cech krajów, którymi włada. Uważałem, że po doświadczeniach z Jugosławią, Chinami, a także z Polską i Węgrami w 1956 r., Kreml będzie już elastyczniej dobrać metody uzależniania gospodarczego, militarnego i politycznego, żeby ich skutki nie były odwrotne do zamierzonych. Może prawdą jest, że część moskiewskiego politbiura /ci, którzy w sprawie interwencji wykazywali więcej umiarkowania i wahań/ myślała

podobnie. Lecz ostatecznie jako całość politbiuro to miało wszystko dowiedzieć, że tam, gdzie ZSSR nie musi pać się siły, trzyma się najprymitywniejszych metod panowania i wielkomocarstwowej hegemonii nawet w stosunku do własnych sojuszników. Że w istocie nie zależy mu na sojuszu chociażby relatywnie niepodległych państw narodowych, jeśli może bez obaw o następstwa typu wojny światowej zastąpić sojusz bezpośrednią hegemonią, całkowitym podporządkowaniem innych krajów nieograniczonemu dyktatowi Moskwy.

Złudzenia ideologiczne przeszkadzały mi więc widzieć prawdziwie reakcyjną rolę polityczną, odgrywaną przez Związek Sowiecki w stosunku do socjalistycznych sił demokratycznych, które działają już w ramach jego imperium. Nie rozumiałem też należycie znaczenia zmian, zachodzących stopniowo po obaleniu Chruszczowa. Fakt, że w Czechosłowacji właśnie lata 1964 - 67 były okresem szybkiego zwycięstwa reformistycznego nurtu w KPCz, przysłaniał mi - a sędzę, że także wielu innym komunistom czechosłowackim - rzeczywistość sowiecką, w której w tym samym czasie zachodził proces odwrotny. Samego Chruszczowa wprowadzić do komunistów reformistycznych można zaliczać tylko z wielkimi zastrzeżeniami, lecz mimo wszystko jego polityka prowadziła systematycznie do destrukcji wielu mechanizmów stalinowskiego systemu rządów. Gdy został obalony, stopniowo dochodziło do restauracji niektórych z tych mechanizmów.

Interwencja wojskowa na Węgrzech w 1956 r. przypada wprowadzić na okres rządów Chruszczowa. Przed sierpniem 1968 r. jednak również tę sprawę tłumaczyłem sobie zgodnie z ideologią komunistyczną: sądziłem, że bodźcem do interwencji były dopiero wystąpienia zbrojne przeciw niektórym ogniom totalitarnej dyktatury z czasów Rakosiego. Ponadto uważałem, że istotną rolę odgrywało to, że wówczas, niedługo po XX zjeździe KPZS, kierownictwo chruszczowowskie nie czuło się wystarczająco pewnie. Co się tyczy Czechosłowacji w 1968 r., zdawało mi się, że oba te czynniki nie występują już, a zatem interwencja wojskowa jest wykluczona. Okazało się to złudzeniem, gdyż w Budapeszcie strzelanina na ulicach wyraźnie była dopiero następstwem sowieckiej prowokacji, mającej usprawiedliwić wkroczenie armii. Złudzeniem było też myśleć, że jakiegokolwiek politbiuro na Kremlu nie będzie czuć się niepewnie, jeśli gdziekolwiek w granicach sowieckiego imperium objawia się dążenia do reform demokratycznych i niezawisłości narodowej. Dopóki w Związku Sowieckim będzie się utrzymywał reżim totalitarnej dyktatury, dopóty kierownictwo na Kremlu będzie wiedzieć, że "sajuz nieruszimyj swobodnych narodow" jest tylko frazesem w tekście sowieckiego hymnu, w rzeczywistości zaś wszelki narodowy ruch demokratyczny w imperium stanowi niebezpieczne ognisko zarazy dla samego ZSSR.

Jestem zdania, że te i podobne złudzenia ideologiczne były główną przyczyną, dla której całe dubczekowskie kierownictwo KPCz nie starało się od samego początku wytworzyć sytuacji umożliwiającej reformie zyskanie zwolenników za granicą i zmuszającej politbiuro sowieckie do większej ostrożności z obawy przed konsekwencjami międzynarodowymi. Dubczekowskie kierownictwo KPCz od początku uprawiało wprost przeciwną politykę: wciąż powtarzało, że reforma jest wyłącznie wewnętrznym problemem czechosłowackim. Chodziło o to, żeby nie drażnić Moskwy. Nawet gdy - od końca marca - było już jasne, że ofensywa ruszy od strony Kremla /a także Ulbrichta i Gomułki/, kierownictwo KPCz nie zareagowało zmianą pozycji: odwrotnie, stale na nowo podkreślało, że reforma jest sprawą wewnętrzną, że my się nie wtrącamy w wewnętrzne sprawy innych, więc oni również nie powinni wtrącać się w nasze. Obrano taktykę uspokajania Moskwy ustawicznym powtarzaniem obietnic, że Czechosłowacja nigdy i w niczym nie sprzeniewierzy się interesom ZSSR w bloku sowieckim i prosi tylko, żeby wolno jej było odmiennie rozwiązywać specyficzne problemy wewnętrzne.

Toteż kiedy wreszcie w nocy 20 sierpnia 1968 r. Związek Sowiecki napadł na Czechosłowację, mógł być pewny nie tylko tego, że nie spotka się ze

skuteczną obroną militarną, ale też - że CSRS nie zatroszczyła się nawet o obronę polityczną na forum międzynarodowym. Miała oczywiście sympatię demokratycznej opinii publicznej, miała również poparcie kilku partii komunistycznych, ale brakowało jej systemu w przemyślanym sposobie nawiązanych stosunków o takim charakterze, żeby zagrożenie ich przez interwencję zbrojną musiało budzić na Kremlu obawy przed skutkami politycznymi dla wielkomocarstwowych interesów ZSSR. Jak świadczy przykład Rumunii, wytworzenie takiego systemu stosunków jest realnie możliwe. Pozostaje kwestią, czy może się to udać w ciągu zaledwie półrocza. Faktem jest wszakże, iż dubczekowskie kierownictwo KPCz od początku reformy nie podjęło nawet prób w tym kierunku.

Jeśli więc Praga w ogóle miała realne możliwości wywarcia wpływu na bieg wydarzeń skłaniających Moskwę do interwencji zbrojnej, to - jak sądzę - możliwości te ograniczały się do dwóch spraw: szybkiego wymienienia kadr w całym aparacie partyjnym i państwowym przez nadzwyczajny zjazd KPCz oraz wybory i ustabilizowania w ten sposób do czerwca 1968 r. całego systemu politycznego /tym samym jednak ograniczenia w istotnym stopniu swobodnego rozwoju ogólnonarodowego ruchu demokratycznego, którym wsławiła się "Praska Wiosna"/ - jednocześnie zaś prowadzenia ofensywnej polityki zagranicznej /w ruchu komunistycznym, w stosunku do Jugosławii, Rumunii i Chiń, do ważnych krajów "Trzeciego Świata", a także w kontaktach z demokratycznymi siłami politycznymi i państwami na Zachodzie/, polityki odpowiadającej ogólnemu duchowi całej reformy czechosłowackiej.

Ja sam w owym okresie zabiegałem co prawda o pierwszą z tych spraw, lecz nie o drugą. Żywiąc złudzenia ideologiczne co do charakteru mocarstwowej polityki Moskwy, oceniałem kontekst międzynarodowy "Praskiej Wiosny". Nie wydaje mi się natomiast uzasadniony zarzut, że wskutek tego winne jest /lub współwinne/ samej interwencji zbrojnej. Podstawą takiego zarzutu jest bowiem ta sama logika, zgodna z którą człowiek, który nie uzbroił się dostatecznie i nie zabezpieczył na wszystkie strony, ponosi winę za to, że napadł go bandyta. Może naprawdę powinien być poczynać sobie z większą ostrożnością, być mniej naiwny, wiedzieć, że ten, kogo uważa za przyjaciela, w rzeczywistości jest bandytą - ale wszystko to nie znaczy, że winien napadu jest ktokolwiek inny niż sam bandyta.

Krytyka kierownictwa dubczekowskiego, od sierpnia 1968 r. po dziś dzień hałaśliwie uprawiana przez zwolenników promoskiewskiej "normalizacji", wysuwa zupełnie inny zarzut. Twierdzi, że powinno było już od początku prowadzić politykę "normalizacji" - a do żadnej interwencji by nie doszło. To prawda, ale wypada dodać, że nie mogłoby także dojść do żadnej reformy politycznej - i to ani w postaci prawdziwej "Praskiej Wiosny", ani w ramach koncepcji przedstawionych w Programie Działania KPCz, nawet gdyby zostały nie wiem jak okrojone. Ta krytyka całkiem rezygnuje z reformy. Gdyby w styczniu 1968 r. w skład kierownictwa nie weszli żadni komuniści reformiści, ale jedynie Bilak, Indra, Jakesz, Kapek i im podobni, naprawdę nie doszłoby do zbrojnej interwencji sowieckiej. Ta sytuacja jednak miałaby jedną tylko zaletę: w przeciwieństwie do czasów obecnych nie trzeba by było powoływać na najwyższe stanowiska Gustava Husaka.

x x x

Gdy w nocy z 20 na 21 sierpnia Alexander Dubczek formalnie zakończył posiedzenie prezydium partii, na korytarzach wokół sali posiedzeń wrzało jak w ulu. Dziesiątki funkcjonariuszy partyjnych i dziennikarzy biegały we wszystkie strony, zbierały się w grupki, czekały na jakieś wskazówki. Ale żadnych wskazówek w gruncie rzeczy nie było - choć w drodze improwizacji udało się jeszcze załatwić kilka doniosłych spraw.

Ówczesny minister łączności i agent sowiecki, Karel Hoffman, we współpracy z sowiecką agenturą w Służbie Bezpieczeństwa /Szalgowicz/ i w Czesko-słowackiej Agencji Prasowej /Sulek/ w myśl uzgodnionych uprzednio planów usiłował uniemożliwić pracę radia i telewizji. Po pierwszym zdaniu oświadczenia prezydium KC KPCz nadajnik radiowy zamilkł, w odbiornikach nastąpiła złowieszczą cisza. Podobnie Oldřich Szvestka, naczelny redaktor "Rudego Prava", zakazał drukować oświadczenie prezydium KC KPCz i sam przygotowywał jakiś inny tekst. Dzięki energii Smrkovskiego i przytomności ludzi z radia, którzy niezwłocznie uruchomili nadajniki rezerwowe, po drugiej w nocy oświadczenie dubczekowskiego kierownictwa KPCz mimo wszystko znalazło się na falach eteru, jak i na maszynach rotacyjnych "Rudego Prava".

Drugą ważną sprawą, omawianą wtedy metodą improwizacji, było zwołanie XIV nadzwyczajnego zjazdu KPCz. Inicjatywa wyszła od kierownictwa komitetu miejskiego partii w Pradze, którego pierwszym sekretarzem był Bohumil Šimon. On to zwrócił się owej nocy do Dubczeka, czy nie powinien natychmiast zwołać zjazdu. Dubczek, o ile mi wiadomo, nie był zdecydowany. Myślę, że przede wszystkim bał się, żeby w tej sytuacji zebrani delegaci nie zostali po prostu zmasakrowani przez wojsko, i niezbyt wierzył, że zjazd mógłby się odbyć. Ostatecznie jednak nie był przeciwny temu, żeby komitet miejski w miarę swych możliwości zwołał delegatów. Tak więc już w nocy ruszyły pełną parą przygotowania organizacyjne do zwołania zjazdu KPCz, którego delegaci zebrali się następnie 22 sierpnia rano w sali stołówki jednego z zakładów przedsiębiorstwa CzeKaDe na Wysoczarach w Pradze.

Samoloty wojskowe, transportujące czołgi i wojsko na praskie lotnisko Ruzyně, huczały nad gmachem KC coraz regularniej i w coraz krótszych odstępach. Budynek opróżniał się: funkcjonariusze z powiatów i z fabryk rozeszli się do swych miejsc pracy, dziennikarze udali się do redakcji. W gmachu pozostała część członków kierownictwa partii i ich aparat pomocniczy, było też trochę pracowników KC, którzy usłyszawszy wiadomość w radiu zdążyli jeszcze przyjść. Około czwartej rano siedziałem w gabinecie Dubczeka, gdzie oprócz niego byli jeszcze Smrkovsky, Kriegel, Špaczek, Šimon, Sadovsky, Slavik, Jakesz i Kapek. Taki skład utkwił mi w pamięci zupełnie ściśle. Poza tym byli chyba obecni jeszcze dwaj członkowie kierownictwa, Barbírek i Rigo, ale tego już tak dobrze nie pamiętam i ręczyć za to nie mogę. Jak sobie przypominam, nie został z nami Filler - ale może się mylę. Z całą pewnością nie było wtedy w gabinecie Dubczeka Bilaka, Koldera, Szvestki, Indry, Volenika i Erbana. Erban chyba w ogóle nie był obecny na posiedzeniu już po południu 20 sierpnia. Przynajmniej nie przypominam sobie żadnego jego wystąpienia.

Gdzieś po czwartej przed gmach KC KPCz zajechała czarna "wołga" sowieckiej ambasady, a w ślad za nią przybyły transportery opancerzone i czołgi. Z wozów wyskakiwali żołnierze w mundurach sowieckich spadochroniarzy, w czerwonych beretach na głowach, pod bluzami mieli marynarskie koszulki, w rękach pistolety maszynowe. Czołgi i żołnierze otoczyli gmach, gęste łańcuchy żołnierzy zablokowały dojścia do gmachu na wszystkich jego rogach. Kilku oficerów i pluton spadochroniarzy wbiegli do środka.

Patrząc na to razem z innymi z okna miałem nierzeczywiste poczucie, że oglądam sceny z jakiegoś filmu. Ale świadomość mówiła mi zupełnie jasno: tak, ci żołnierze w sowieckich mundurach, których pierwszy raz tak radośnie witałeś i ścisnąłeś 9 maja 1945 r., z którymi potem przez pięć lat pijałeś wódkę i przyjaźniłeś się w Moskwie, nie są zjawą z ekranu i już za chwilę wymierzą swoją broń nie w junkrów w Pałacu Zimowym i nie w niedobitki straży Reichstagu, ale w ciebie. Choć wszystko to wiedziałem, jakiś wewnętrzny głos stale mi szeptał, że mimo wszystko to chyba jakieś nieporozumienie: znam ich język, mentalność, regulaminy wojskowe, komendy, potrafię sobie wyobrazić, o czym rozmawiają po służbie, jak zapatrują się na swych pułkow-

ników i na samego Breżniewa. To przecież niemożliwe, żeby mnie tak po prostu rozwalili!

Niemożliwe? A to niby dlaczego? Czyżbym już nie pamiętał historii opowiadanych mi przez frontowców, z którymi mieszkałem w akademiku na Stromyńce? Czy nigdy nie rozwalili nikogo, kogo wcale nie znali, kto w danej chwili nie był dla nich niebezpieczny, nie miał broni? A jednak przeżywam tę chwilę inaczej niż pamiętną noc podczas wojny, w okresie tzw. heydrichiady. Wtedy, gdy hitlerowcy szukali sprawców zamachu na Heydricha, /x/ patroly wojska i policji - także z pistoletami maszynowymi w rękach - na chybił trafił przeczesywały wszystkie dzielnice Pragi. Zjawiały się też na ulicy, przy której mieszkałem z rodzicami: widziałem z okna szare widma wchodzące do domów i mieszkań. Wiedziałem, że mój ojciec, przedwojenny oficer, nie tylko ma w szafie mundur, ale schował gdzieś także broń. Czułem zwyczajny, wielki strach i wiedziałem, że jeżeli żołnierze przyjdą do naszego mieszkania, to już koniec. Przypadek chciał, że nie przyszli.

Przed tymi, którzy zjawili się teraz, takiego zwierzęcego strachu nie czułem. Oczywiście, nie byłem już małym chłopcem, bez znaczenia dla tych, którzy za chwilę wejdą. Wiedziałem, że mają rozkazy - i to raczej nie takie, żeby po otwarciu drzwi gabinetu Dubczeka wpakować w nas serię z pistoletów maszynowych. Znacznie prawdopodobniejsze było, że zostaniemy aresztowani, gdzieś wywiezieni - a potem chyba również sądzeni, ale z pewnością wszystko się jeszcze nie kończy i może jeszcze być rozmaicie. Nie był to jednak wynik zastanawiania się - raczej jakies podświadome uczucia i podświadoma pewność. Skąd się to brało? Chyba z mej komunistycznej wiary, a zarazem z wieloletniej przynależności do uprzywilejowanych i rządzących w systemie komunistycznej władzy.

Moje uczucia były podobnego rodzaju, jak uczucia tych funkcjonariuszy KPCz, których aresztowano przed procesem Słanskiego. Wielu z nich świetnie znało bezpieczeństwo, niektórzy jeszcze niedawno polecali jej aresztować innych. Gdy SB przyszła po nich, początkowo mieli podświadomą pewność, że to nieporozumienie - przeciwko nim ta władza nic przecież mieć nie może. Była to fałszywa pewność wierzących komunistów, a jednocześnie ludzi uprzywilejowanych, dotychczas sprawujących władzę, rządzących. Uczucie to jest chyba znacznie starsze od wiary i władzy komunistycznej: sędzię, że dostojnicy kościelni, którzy trafili przed sąd inkwizycji, początkowo musieli czuć tak samo - nim poznali narzędzia tortur, a wreszcie również stos. Czy zatem rzeczywiście dość było samego faktu sowieckiej interwencji, żebym wyzbył się wszystkich złudzeń? Raczej jeszcze nie.

Znow trudno w takiej sprawie mówić za innych, ale zdawało mi się, że to ukryte, podświadome uczucie miałem nie tylko ja jeden. Świadczyło o tym przynajmniej zachowanie wszystkich, którzy już za chwilę mieli na długie godziny znaleźć się w czymś w rodzaju niewoli, pod lufami sowieckich pistoletów maszynowych. Josef Smrkeovsky w ogłoszonych pośmiertnie wspomnieniach opowiada, jak to wtedy, gdy pod oknami gabinetu Dubczeka sowiecki spadochroniarz nieumyślnie zastrzelił młodego człowieka idącego na czele spokojnego pochodu, którego uczestnicy nieśli tylko flagi państwowe i śpiewali czechosłowacki hymn, natychmiast zadzwonił do Czerwonienki i obarczył go odpowiedzialnością za tę śmierć. Czy mógłby tak zareagować człowiek, który - choć w jego potylicę mierzył pistolet maszynowy - nie czułby się wciąż jeszcze partnerem potęgi okupanta, jednym z rządzących, członkiem elity, do której należą także Czerwonienko i Breżniew?

Lecz myślę też, że to poczucie nie było jednostronne, że dzielali je również żołnierze z pistoletami maszynowymi i ich oficerowie.

/x/ Zamach na Reinharda Heydricha, pełniącego obowiązki protektora Czech i Moraw, został wykonany w Pradze 27 maja 1942 r.

Raptem drzwi gabinetu Dubczeka rozwarły się, wtargnęło przez nie chyba z ośmiu żołnierzy i młodszych oficerów z pistoletami maszynowymi. Obstąpili nas od tyłu wokół wielkiego stołu i wycelowali broń w nasze karki. Za nimi weszli dwaj oficerowie. Wyższy rangą, pułkownik, był niższy wzrostem, nieomal karłowaty. Ale miał mnóstwo odznaczeń, bodajże nawet złotą gwiazdę "bohatera ZSSR". Zachowywał się jak przystało, na zarozumiałego zupaka. Oświadczył, że bierze nas "pod ochronę", i zaczął wydawać różne rozkazy. Ktoś - chyba Dubczek - coś powiedział. Pułkownik rozkrzyczał się:

- Nie rozmawiać, siedzieć cicho! Nie rozmawiać po czesku!

Może gdyby darował sobie to uzupełnienie - "Nie rozmawiać po czesku!" - nie zwracałbym na niego uwagi. Ale tak mnie nim rozwścieczył, że nie umiałem zapanować nad gniewem, poniżeniem, strachem i tą dziwną pewnością siebie rządzących, którzy już nie rządzą. Podniesionym, rozkazującym głosem zwróciłem się do niego po rosyjsku:

- Zachowujcie się, jak wam kazano! Myślicie, że gdzie jesteście? Jesteście w gabinecie pierwszego sekretarza partii komunistycznej. Macie rozkaz zmusić nas do milczenia? Nie macie! No to wykonujcie rozkazy!

Pułkownik osłupiał, chciał coś powiedzieć - lecz w końcu nic nie powiedział. Rozejrzał się cicho dokoła - i wyszedł z pokoju. Wkrótce wrócił z jakimiś innymi. Nadal zachowywał się dość bezczelnie, ale o zakazie rozmów nie padło już ani słowo. Zaczął spisywać imienną listę wszystkich obecnych: jego przełożeni nie orientowali się widać, gdzie kogo zatrzymali, nie mieli nawet pojęcia, gdzie znajdują się członkowie przyobiecane "rządu rewolucyjnego" i "rewolucyjnego trybunału".

Żołnierze pozrywali wszystkie przewody telefoniczne, pozamykali okna, żeby nie było słychać tłumu, który zebrał się za kordonem spadochroniarzy, śpiewał hymn i skandował na przemian różne hasła oraz nazwisko Dubczeka. Ale i przez zamknięte okna wszystko to docierało do pokoju, wraz ze sporadycznymi okrzykami gdzieś w oddali. Siedzieliśmy dokoła stołu, teraz już milcząc, z wymierzoną w plecy bronią spadochroniarzy. Bohumil Szimon sięgnął za siebie do biblioteki i na ślepo wyciągnął książkę. Była to jakaś historia starożytnej Grecji.

- No to zobaczymy, co nas czeka - powiedział i zgodnie z zasadami znanej zabawy towarzyskiej otworzył książkę na przypadkowej stronie, po czym na chybił trafił wskazał palcem zdanie, które odczytał na głos. Relacjonowało pogląd - bodaj Platona - że demokracja nie jest najlepszym ustrojem, bo prowadzi do powszechnego spadku dyscypliny i w rezultacie nawet byłoby swobodnie chodzi po ulicach.

- No i widzicie, towarzysze, dlaczego ich tu mamy - rzekł Szimon i zamknął książkę.

Przełamało to duszną atmosferę, znów zaczęliśmy rozmawiać.

Frantisek Kriegel popatrzył na zegarek: było kilka minut po piątej rano - 21 sierpnia 1968 r.

- Myślę - powiedział - że teraz co najmniej do ósmej nic nie będzie się działo, zanim się jakoś w tym wszystkim nie połapią. Wszyscy jesteśmy niewyspani i radzę każdemu, żeby się przespał. Jasny umysł może nam być potrzebny.

Co powiedziawszy, wstał od stołu, przeszedł na wolne miejsce za przydialnym fotelem Dubczeka, wyciągnął się na dywanie, podłożył teczkę pod głowę i szykował się do snu.

Kriegel był jedynym prócz Smrkovskiego przedstawicielem dawnego, przedwojennego jeszcze pokolenia komunistów w dubczekowskim kierownictwie KPCz. Do Czechosłowacji przybył w początkach lat dwudziestych, uchodząc z pogranicza ukraińsko-polskiego; przewalały się tam wówczas rozmaite armie, z których większość przejawiała zamiłowanie do pogromów. Dlatego dla Szelesta był "Żydem z Galicji". Już jako komunista brał udział w wojnie domowej w Hiszpanii, a potem w Chinach - w obydwu w charakterze lekarza, który to zawód zdobył

podczas pobytu w Pradze. Ludzie świadomi rzeczy twierdzili, że jest dobrym lekarzem. Na pewno nie należał do tych, którzy swoją pozycję w medycynie zawdzięczali wyłącznie zaangażowaniu politycznemu.

Znałem Kriegla już od 1947 r., gdy był zastępcą Novotnego w sekretariacie komitetu okręgowego KPCz w Pradze. Zawsze należał do najinteligentniejszych ludzi w kręgach partyjnych: wykształcony i kulturalny, niezależny w swych sądach, wyróżniał się wielkimi zdolnościami organizacyjnymi oraz wielkim doświadczeniem życiowym i politycznym. Horyzontami znacznie przerażał większość funkcjonariuszy. Wszystko to właśnie, w połączeniu z faktem, że był Żydem i uczestnikiem hiszpańskiej wojny domowej, spowodowało jego upadek polityczny w latach pięćdziesiątych. Przeżył ten okres w niełasce, początkowo pracując w administracji służby zdrowia, następnie jako normalny lekarz. Lecz w latach sześćdziesiątych jeszcze Novotny wybrał go, podobnie jak Smrkovskiego, z tych, na których chciał zademonstrować swą chęć zrehabilitowania ofiar lat pięćdziesiątych - i Kriegel stał się członkiem KC KPCz, deputowanym i w ogóle osobą czynną w życiu publicznym.

Nie był wtedy człowiekiem aparatu partyjnego, nie należał do żadnego z jego "klanów" i nigdy nie był w nim popularny. Jak już pisałem, także w 1968 r. do kierownictwa KPCz wszedł nie będąc ani człowiekiem aparatu, ani osobistym przyjacielem Dubczeka czy Czernika, a już tym mniej Koldera. W kierownictwie tym zajmował zwykle pozycje bardzo bliskie radykalnemu skrzydłu komunistów reformistycznych. O polityce jednak zawsze myślał w kategoriach racjonalizmu. Uważam nawet, że najmniej z całego dubczekowskiego kierownictwa KPCz ulegał złudzeniom ideologicznym - ze złudzeniami co do charakteru wielkomocarstwowej polityki sowieckiej włącznie. W niektórych sprawach nie miał chyba najmniejszych złudzeń.

Moje stosunki osobiste z Krieglem długo jednak - aż do połowy lat siedemdziesiątych, gdy obaj znajdowaliśmy się już w getcie złożonym z ludzi usuniętych przez partię poza nawias - dalekie były od przyjaźni i zaufania. Sądzę, że oprócz różnic, które w 1968 r. dzieliły nas w konkretnych sprawach, w zapatrywaniach na możliwości reformy, jej tempo i metody oraz granice dopuszczalne ze względów politycznych, zaważyły na tym też pewne cechy naszej osobowości. Kriegel jest, moim zdaniem, w polityce racjonalista, lecz zarazem człowiekiem nadzwyczaj pewnym siebie, autorytatywnie forsującym swoje poglądy i koncepcje, względem wszystkich uważających inaczej niż on raczej nieufnym, choć bynajmniej nie wrogim i nie podstępny/x/. A że ja również w dyskusjach przejawiałem podobne właściwości - przypuszczalnie to właśnie decydowało o tym stosunku do Kriegla i odwrotnie, póki obaj obracaliśmy się w świecie polityki i władzy.

Frantisek Kriegel należał do tych funkcjonariuszy KPCz, dla których polityka nie sprowadzała się wyłącznie do problemów rządzenia i walk o władzę w mechanizmach totalitarnej dyktatury. Dla niego była ruchem i procesami zachodzącymi w samym społeczeństwie, w Czechosłowacji i na świecie. Dlatego również jako polityk przywiązywał większe znaczenie do sił, które w 1968 r. składały się na ogólnonarodowy ruch demokratyczny, niż do sił działających w samej strukturze władzy. Nie oznacza to jednak, że nie orientował się w dżungli zakulisowych walk między różnymi grupami albo że ich unikał: przeciwnie, na tej scenie także umiał zabiegać o swe interesy. Zawsze jednak najważniejsze było dla niego to, co działo się w samym społeczeństwie - nie więc dziwnego, że pierwszy stał się głównym celem ataków stalinowców; to, że na domiar złego był "Żydem z Galicji" i w ogóle z punktu widzenia KGB miał życiorys niestosowny i podejrzany, już tylko pogarszało jego i tak dostatecznie złą sytuację.

/x/ Gdy ukazał się oryginał tej książki, Kriegel żył jeszcze: zmarł w Pradze 3 grudnia 1979 r.

Poza polityką Frantiszek Kriegel jest zacnym człowiekiem. Nie znam chyba nikogo, kto by tak naturalnie i spontanicznie umiał poprawiać ludziom nastroj, przywracać im nadzieję i pewność siebie w sytuacjach skrajnej depresji, zagrożenia i stresu. Jest lekarzem nie tylko z wykształcenia, ale i z charakteru. Że jednak nawet lekarz nie jest aniołem, on też bywa czasem uparty, podejrzliwy i chyba uprzedzony do tych, którym z jakichś przyczyn nie wierzy.

Na dywanie w gabinecie Dubczeka 21 sierpnia 1968 r. nad ranem Kriegel naprawdę zasnął. Po jakichś dziesięciu minutach z miejsca, gdzie leżał, zaczęło dobiegać chrapanie tak potężne, że w pierwszej chwili cała ósemka spadochroniarzy zastygła w gotowości i instynktownie wycelowała swe pistolety maszynowe w śpiącego. Początkowo myślałem, że Kriegel udaje dla kawału. Chrapał jednak tak spokojnie i w tonacji tak naturalnej, że wszyscy, łącznie z naszymi stróżami, rychno zrozumieliśmy, że śpi naprawdę. Lufy pistoletów maszynowych znów skierowały się w potylice tych, którzy siedzieli przy stole.

Jak Kriegel słusznie przewidział, chyba przez trzy godziny nic się nie działo. Siedzieliśmy przeważnie pogrążeni we własnych myślach, czasem ten i ów zamieniał kilka słów ze swym sąsiadem, ktoś coś czytał. Przy gabinecie Dubczeka znajdowała się oddzielna umywalnia i ubikacja. Każdemu, kto odwiedził te pomieszczenia, towarzyszył spadochroniarz. Czekał przy drzwiach umywalni, ale do jego obowiązków należało także wejście tam po nas i sprawdzenie wszystkiego. Robił to sumiennie, kiedy wracał, prawy rękaw miał zmoczony do łokcia: widocznie sięgał do rezerwuaru WC, a może i w głąb sedesu.

Koło dziewiątej, gdy Kriegel już się obudził i rzeczywiście świeższy zasiadł z nami do stołu, w drzwiach znów pojawił się kurdupłowaty pułkownik, tym razem w asyście jeszcze dwóch oficerów sowieckich i trzech cywilów, w których - zanim jeszcze zdążyli otworzyć usta - domyśliliśmy się przedstawicieli naszych, czechosłowackich organów bezpieczeństwa. Jednego z nich, jasnowłosego, dość tęgiego czterdziestolatka, ani chybi skądś znałem: może uczestniczył kiedyś w prowadzonym przeze mnie szkoleniu na temat demokracji socjalistycznej, może pracował przedtem w jakimś ogniwie aparatu politycznego i widzieliśmy się wiele razy? Ten jednak stał w milczeniu. Zabrał głos wyższy, brunet. Zwrócił się do Dubczeka, Smrkovskiego, Kriegla i Szpaczka, żeby z nim poszli.

Któryś z wezwanych, zdaje mi się, że Dubczek, spytał, dlaczego. Na to czarnowłose ubek wygłosił dłuższą formułkę, której w dosłownym brzmieniu nie zdołałem spaniętać, ale istotę jej stanowiły słowa: "w imieniu trybunału rewolucyjnego, którym kieruje towarzysz Alois Indra". Smrkovsky zapytał go, co to za organ, bo on, jako przewodniczący Zgromadzenia Narodowego, o niczym takim nie wie, i w konstytucji także nic o tym nie ma. Dubczek jednak zapobiegł ewentualnej ścysji, mówiąc:

- Daj spokój, Josefie, nie warto...

Następnie funkcjonariusz SB wezwał wszystkich czterech, żeby oddali mu swoją broń. Smrkovsky roześmiał się, sam zaczął się demonstracyjnie rewidować, wywracał kieszenie na lewą stronę, wreszcie położył na stole kieszonkowy scyzoryk, ze słowami:

- My żadnej broni przeciw własnemu ludowi nie potrzebowaliśmy.

Zbici z tropu funkcjonariusze, którzy tymczasem podeszli bliżej do Dubczeka, stanęli jak wryci. Dubczek rozłożył ramiona i ze swym rozbrajającym uśmiechem rzekł temu, który stał bliżej:

- No to szukajcie, szukajcie!

Sowiecki pułkownik, choć nie rozumiał rozmowy, pojął niestosowność tej sceny i wezwał wszystkich do wyjścia z pokoju. Smrkovsky włożył jeszcze do kieszeni kilka kostek cukru, które leżały na stole, i zwrócił się do nas wszystkich:

- Wy także weźcie, to się przydaje, mam doświadczenie z Ruzyni/x/.

I wraz z innymi został wyprowadzony/xx/.

Dla wszystkich było więc jasne, na co się tu zanosí.

- Robi się gorąco - ktoś zauważył.

Przez dłuższy czas panowało pełne napięcia milczenie. Ci, których to mogło dotyczyć, wyobrażali sobie rozprawę przed "trybunałem rewolucyjnym". Takie przewidywania były znacznie bardziej konkretne i logiczne, niż początkowe, że wkroczenie uzbrojonych spadochroniarzy zapowiada już ostatnie nasze chwile.

Czas, w którym nic się właściwie nie działo, płynął niepostrzeżenie i nie mogę sobie przypomnieć ani dokładnej chronologii, ani też kolejności poszczególnych wydarzeń. Oficerowie sowieccy przyszli raz jeszcze - już bez czeskiej asysty - i wywołali Szimona, Jakesza oraz Kapka. Wyprowadzili ich z pokoju. Był to zadziwiający zestaw, toneliśmy w domysłach, jak sobie wytłumaczyć taki skład tej trójki. Szimon nie należał przecież do tegoż ugrupowania, co dwaj pozostali, w tym wypadku nie mogło chodzić o postawienie przed "trybunałem rewolucyjnym". Jak okazało się później, Szimona dołączono do pierwszych czterech aresztantów, a Jakesza i Kapka zawieszono na jakowąś naradę z działaczami sowieckimi.

Potem sbradzicy widocznie otrzymali jakieś rozkazy, które spowodowały zmianę ich zachowania. Siedli na zwolnionych krzesłach, pistolety maszynowe już w nas nie celowały, położyli je na kolanach lub przed sobą na stole.

W południe nagle rozległy się syreny praskich fabryk. Soudierze początkowo zerwali się i znów stanęli w pogotowiu, ale wkrótce uspokoili się.

- Co to? - zapytał mnie porucznik, którego pieczy zostałem powierzony.

Nie był w mundurze spadochroniarskim, lecz normalnym, wojsk lądowych. Od początku zachowywał się przyzwoicie. To jego właśnie widać na filmie dokumentalnym, wyglądającego z okna gabinetu Dubczeka. Smrkovsky mówi o nim, że wyglądali razem, kiedy na dole zastrzelono młodego Czecha, i dodaje: "To był taki przyzwoity chłopak". Pamiętam, że wtedy, gdy na ulicy doszło do strzelaniny, porucznik zupełnie się rozkleił i w pewnej chwili z wyraźnym trudem wstrzymywał się od płaczu.

- Jak to co - odpowiedziałem - fabryczne syreny.

- Ale dlaczego? - nie dawał za wygraną.

- Nie wiem, wypuście mnie, to się dowiem, sam chciałbym wiedzieć.

- Kiedy nie mam prawa - rzekł porucznik.

Dodałem, że zapewne robotnicy zaczęli strajk i zawiadamiają o tym syreną.

- Robotnicy uruchomili syreny? - spytał z niedowierzaniem.

- A czemu by nie?

- E tam, po co te bajki - ciągnął porucznik. - Robotnicy nie dostaną się przecież do syreny. Dyrekcja poleciła, to i syreny wyją.

Tak rozpoczął się dyskurs z nadzorującym mnie porucznikiem. Zacząłem od tego, że u nas jest inaczej i on też musi przecież zrozumieć, że sytuacja jest wyjątkowa i że reakcje ludzi także są niecodzienne. Nie wydawał się przekonany. Potem spytałem go, jak myśli, dlaczego właściwie przysłano go do Pragi. Całkiem spójnie i z grubeza biorąc na tym samym poziomie, co Breżniew w swoich listach, zaczął robić mi wykład o "kontrrewolucyjnej sytuacji" w CSRS. Znał cytaty z "Literarnich Listów" i z "Reportera", jak również nazwy tych pism. Mówił językiem ludzi wykształconych i z pewnym zaangażowaniem ideowym. Spytałem, dlaczego on osobiście poczuł się zagrożony artyku-

/x/ W dzielnicy Ruzynie prócz lotniska znajduje się także więzienie.

/x x/ W ogłoszonym pośmiertnie wywiadzie /"Listy" nr 2, 1975/ Smrkovsky przedstawił te szczegóły nieco nieścisłe. /Przyp. aut./.

łami w naszych czasopismach literackich. Jego odpowiedź wprawiła mnie w osłupienie: powiedział, że jest absolwentem moskiewskiego Instytutu Literatury, ale nie znalazł odpowiedniej pracy - więc wstąpił do wojska!

Także między innymi strażnikami a ich podopiecznymi wywiązywały się rozmowy, jeśli tylko pozwalała na to znajomość rosyjskiego pilnowanych. Spadochroniarz strzegący Vaclava Slavika zaczął nawet konwersować z nim po francusku: ten młody człowiek także miał wyższe wykształcenie, z którego jednak teraz robił użytek w taki szczególny sposób.

Gmach KC KPCz zajęły pododdziały skynnej Dywizji Tamarskiej, tradycyjnie asystującej także przy różnych przewrotach pałacowych na samym Kremlu. Jest to jednostka elitarna, doborowa. Trzeba przyznać, że dobór - choć czasami pod całkiem nieoczekiwanymi względami - doprawdy był znakomity.

Po południu osobisty szofer Dubczeka, Jożko Briznik, zdobył dla nas jedzenie z kuchni partyjnego hotelu. A co więcej, zatelefonował również do naszych rodzin, powiadomił je, co się z nami dzieje - i pod serwetką na tacy z kawą znaleźliśmy karteczki z pozdrowieniami od naszych bliskich, z którymi rozmawiał. Briznik znał się z Dubczekiem jeszcze z partyzantki, z tych też czasów znał mentalność sowieckich żołnierzy i oficerów oraz język rosyjski. Jak dowiedziałem się później, wyjść z otoczonego budynku, a potem wrócić do niego udało mu się dzięki bardzo prostemu fortelowi. Z wielką pewnością siebie mówił wartownikom jedno tylko zdanie:

- Ja wam nie podlegam, ja mam własne rozkazy i własnych naczelników.

Ponieważ kręciło się tam sporo ludzi z różnych formacji wojskowych i policyjnych oraz z instytucji politycznych, w których żaden wartownik nie potrafił się wyznać, wszędzie mu się to udawało.

Podjedźszy, zauważyliśmy, że nasi "opiekunowie" wpatrują się żarłocznie w postawione kawałki salcesonu, kiełbasy, w chleb oraz piwo. Aż któryś z nas zapytał, czy nie są głodni. Wtedy zdradzili nam tajemnicę wojskową: ostatni raz jedli i pili wczoraj wieczorem. Rzucili się chciwie na jadło - i to przełamało resztę ich służbowej czujności. "Mój" porucznik chętnie rozłożył na części swój pistolet maszynowy, kiedy mu powiedziałem, że sam, jako podporucznik Armii Sowieckiej na studium wojskowym w Moskwie, miałem do czynienia z innym modelem automatu. Wyjaśniał mi różnice między starym a nowym i wychwalał zalety swojej broni: jest równie niezawodna w upalnym klimacie Azji Środkowej, jak za kręgiem polarnym. Dopiero gdy powiedziałem, że może byłoby lepiej, gdyby poszli ze swą wspaniałą bronią za krąg polarny, zrozumiał nienaturalność tej sytuacji, szybko złożył pistolet i odsunął go na bok.

Doszedłem do przekonania, że gdybyśmy przez tydzień razem mieszkali i popijali, to porucznik mimo swojej obecnej roli uznałby chyba bezsens całej tej zbrojnej interwencji. Możliwe, że pośród interwentów było takich niemało. Przecież nie tylko my, w ekskluzywnych pomieszczeniach gmachu KC, debatowaliśmy ze strażnikami z elitarniej jednostki. Na ulicach Pragi i innych miast toczyły się w tymże czasie tysiączne dyskusje między prostymi obywatelami CSRS a żołnierzami Armii Sowieckiej. Ci nie należeli już do elity, więc nie wiedzieli, dlaczego przysłano ich do Czechosłowacji, a nawet - że to w ogóle Czechosłowacja. Znane są wypadki, gdy szeregowi żołnierze byli przekonani, że znajdują się w Niemczech Zachodnich lub nawet w Izraelu. Cóż to jednak ma za znaczenie, że w głębi duszy tacy żołnierze myślą sobie nawet, że lepiej byłoby siedzieć spokojnie w domu? Przecież w najmniejszym stopniu nie zmienia to faktu, że ich dowództwo i rząd mogą poczynać sobie z nimi niczym z bezmyślnym stadem, że skoro otrzymają rozkazy, będą strzelać, zabijać, kogo tylko dowódcy im wskażą.

W pięć dni później na Kremlu wspomniałem marszałkowi Greczce o moich spostrzeżeniach i powiedziałem, że moim zdaniem w Czechosłowacji armia rozkłada mu się ideologicznie.

- Możliwe - odparł Greczko - ale nie szkodzi. Gdyby się rozłożyła, wymienimy ją. Mogę wymienić ją dziesięć razy!

Powiedział to z taką pewnością siebie, że sprowokował mnie do pytania:

- Tylko dziesięć?

Wypnął wściekle swym marszałkowskim okiem, lecz nic już nie rzekł i odszedł.

Mniej więcej o dziesiątej wieczorem znowu wszedł kurdupłowaty pułkownik, ale z twarzą zupełnie odmienioną. Sypiąc uśmiechami oświadczył, że zaczynają się rozmowy na najwyższym szczeblu, w których z naszej strony uczestniczą Dubczek i pozostali towarzysze. My zaś możemy iść, dokąd chcemy, jesteśmy zupełnie wolni - a rano możemy normalnie przyjść do gmachu KC do pracy. Dodał nawet, jak bardzo cieszy się, że wszystko wraca do normy. Odesłał strażę, zaczął podawać nam rękę, wreszcie przysiadł się do któregoś z nas - zdaje się, że do Sadowskiego - i wdał się z nim w rozmowę. Wstałem i wyszedłem.

Mieszkałem blisko gmachu KC, szedłem więc do domu pieszo. Za kordonem spadochroniarzy stało sporo ludzi - czekali, co jeszcze będzie się działo. Do kogoś, kto swobodnie wyszedł z budynku, grzecznie przepuszczony przez sowieckich żołnierzy, oczywiście nastawieni byli podejrzliwie. Potem ktoś poznał mnie, zawołał po nazwisku. Natychmiast otoczył mnie wianuszek ciekawych, co dzieje się z Dubczkiem. Powiedziałem im zgodnie z prawdą, że w gmachu KC nikogo z kierownictwa partii już nie ma - i że podobno zanosi się na jakieś rozmowy polityczne, w których Dubczek ma uczestniczyć. Wtedy bowiem nie przyszło mi do głowy, że kurdupłowaty pułkownik mógł sam coś takiego wymyślić i puścić tę wersję w obieg na własną odpowiedzialność. Chyba też naprawdę jej nie wymyślił, pewnie tak powiedzieli mu jego przełożeni. Trudno jednakże orzec, czy już wtedy któryś sowiecki dygnitarz rzeczywiście doszedł do wniosku, że w Moskwie trzeba będzie rozmawiać również z Dubczkiem. W Pradze - w ambasadzie sowieckiej i na Zamku - sprawa ta wyjaśniła się dopiero w 24 godziny później, a na Kremlu Dubczek znalazł się aż po jakichś 48 godzinach. Przez cały dzień 22 sierpnia nic jeszcze na to nie wskazywało. Przeciwnie, tego dnia w ambasadzie sowieckiej w Pradze zamierzano utworzyć "rewolucyjny rząd robotniczo-chłopski" pod przewodnictwem Aloisa Indry.

X X X

Rano 22 sierpnia musiałem się zdecydować, czy iść na zgromadzenie delegatów na XIV zjazd KPCz, na Wysoczany, czy też do gmachu KC, żeby zorientować się w sytuacji. Już w nocy dowiedziałem się, że poprzedniego dnia - wtedy, gdy byliśmy internowani w gabinecie Dubczeka - promoskiewska grupa w kierownictwie partii, reprezentowana głównie przez Bilaka, Indrę, Jakesza i Koldera, przyszła do hotelu partyjnego "Praha" na zebranie około 50 członków KC KPCz. Wiedziałem także, że na zebraniu tym padały wypowiedzi świadczące, że określona frakcja w KC przejawia chęć kolaborowania z armią Sowiecką, że wybrano tam jakąś grupę z Bilakiem na czele, której zlecono prowadzenie rozmów z dowódcą wojsk okupacyjnych itd. Wszystko to nie tylko przeczyło słowom sowieckiego pułkownika o rozmowach z udziałem Dubczeka, ale potwierdzało też podejrzenia, jakie naszły mnie, gdy aresztowano Dubczeka i innych członków kierownictwa partii w imieniu "trybunału rewolucyjnego" i osobiście Aloisa Indry. Można się było spodziewać, że grupa promoskiewska podejmie próbę utworzenia jakichś nowych, kolaboranckich kierowniczych organów KPCz i państwa. Za sprawą najważniejszą urażenia dowiedzenie się czegoś konkretniejszego na ten temat. Toteż uzgodniwszy sposób porozumiewania się z ludźmi zebrany na nadzwyczajnym posiedzeniu delegatów na XIV zjazd na Wysoczanach, pojechałem do gmachu KC.

Przed gmachem nadal stały czołgi, był również kordon żołnierzy, ale za okazaniem legitymacji służbowej KC KPCz można było bez przeszkód wejść do środka. Wnętrze nie było już obsadzone wojskiem - przynajmniej nie było go widać. Nasze pokoje były wolne. Z członków kierownictwa partii zebrała się tam grupa w składzie: Bilak, Indra, Kolder, Jakesz, Lenart, Szvestka, Piller, Barbirek, Rigo, Sadovsky i ja. Czyli razem jedenastu, na ogólną liczbę dwudziestu dwu. Brakowało aresztowanych wczoraj członków przydziału: Dubczeka, Czernika, Smrkovskiego, Krieglę, Szpaczka i Szimona, a z pozostałych - trzech członków sekretariatu: Cisarza, Slavika i Erbana. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie wtedy był jeszcze jeden jego członek, Oldrich Volenik, czy był w gmachu KC i czy brał udział również w późniejszych rozmowach. Podobnie nie pamiętam, co działo się z Antoninem Kapkiewem, myślę jednak, że tego dnia go nie było. Ale ponadto na zebraniu niedobitków kierownictwa partii zjawili się dwaj ludzie, którzy do niego wcale nie należeli, chociaż byli członkami KC: generał Ritirz, były szef Sztabu Generalnego za Novotnego, i minister handlu wewnętrznego w rządzie Czernika, Pavlovsky.

Zebranie zaczął prowadzić Bilak. Obecność Ritirza i Pavlovskiego uzasadnił tym, że wczoraj na posiedzeniu członków KC KPCz razem z nim i innymi zostali wybrani w skład delegacji pertraktującej z dowództwem wojsk sowieckich. Następnie przeszedł do informacji o wynikach tych rozmów: jego zdaniem pertraktacje z dowództwem wojsk i z ambasadą sowiecką były podstawowym warunkiem znalezienia jakiegoś wyjścia z sytuacji. Domagał się, by kadłubowe kierownictwo partii dało odpowiednie wytyczne w tym duchu okręgom, jak też organom państwowym - i żeby samo ogłosiło się organem prowadzącym rozmowy na "najwyższym szczeblu".

Wraz z Sadovskim zadałem pytanie, co dzieje się z Dubczkiem i innymi. Konkretnej odpowiedzi Bilak nie potrafił udzielić, rzekł tylko, że otrzymał zapewnienie, iż towarzysze znajdują się w bezpiecznym miejscu, pod sowiecką ochroną. W dalszej dyskusji również inni jej uczestnicy - Piller, Barbirek, Rigo, a chyba nawet Szvestka i Lenart - opowiedzieli się za wnioskiem, że celem jakichkolwiek rozmów musi być przede wszystkim nawiązanie kontaktu z aresztowanymi członkami kierownictwa partii. Propozycja Bilaka, żeby wobec tego znowu powołać jakąś delegację, została odrzucona, zwyciężył natomiast wniosek, żeby dalsze rozmowy prowadziła cała reszta kierownictwa KPCz bez wyjątku - i to nie z dowództwem wojsk, ale z ambasadorem. Pierwszym postulatem było, żeby domagać się od Czerwonienki skontaktowania z Breżniewem, a następnie zażądać od tego ostatniego zwolnienia sześciu aresztowanych - i by dalsze rozmowy prowadziło kierownictwo KPCz kolektywnie. Nawet Bilak, Indra, Kolder i Jakesz nie sprzeciwiali się tym zgłoszonym przez kilka osób naraz propozycjom. Przeciwnie - wszystkie zaakceptowali i Bilak wyszedł, żeby zatelefonować do Czerwonienki.

Około południa porozumienie z Czerwonienką zostało osiągnięte i wszystkich jedenastu członków kierownictwa partii miało pojechać do ambasady, gdzie obiecano nam połączenie z Kremlem /bezpośrednia linia telefoniczna z gmachu KC wskutek akcji żołnierzy od wczoraj była nieczynna/. Jednocześnie Bilak oznajmił, że Armia Sowiecka umożliwi nam przejazd swoimi pojazdami. Wszyscy obecni jednak - z wyjątkiem Bilaka i Indry - nie chcieli skorzystać z takich środków transportu. Bilak i Indra wyszli więc na dziedziniec, gdzie były podstawione sowieckie transportery opancerzone, a reszta wsiadła do czterech bodaj samochodów KC KPCz - i ruszyliśmy do ambasady.

Okolice ambasady była oczywiście otoczona kilkoma pierścieniami czołgów, transporterów oraz kordonów wojska. Wnętrze budynku, klatka schodowa i korytarze wyglądały jak kwatery wojskowe: żołnierze oraz mundurowi i cywilni funkcjonariusze KGB leżeli i siedzieli w pełnym rynsztunku na schodach, stali we wszystkich drzwiach i przy oknach. Wpuszczono nas do pokoju obok gabinetu Czerwonienki. Na stołach stały butelki z wódką, koniakiem, winem, kanapki,

kawior - ale nie było tam nikogo, z kim moglibyśmy rozmawiać. Towarzysz ambasador kazał usprawiedliwić swą nieobecność i prosił, byśmy zechcieli zaczekać.

Czekaliśmy więc. Nic się nie działo. Mniej więcej po pół godzinie podszedł do mnie nie znany mi cywil, najwyraźniej funkcjonariusz sowieckiej bezpieki, i poprosił o chwilę rozmowy. Wyszedłem z nim za drzwi. Przekazał mi pozdrowienia od jednego z dawnych moich kolegów z Moskwy, o którym wiedziałem, że jest podpułkownikiem KGB, i zaoferował się, że może udzielić mi pomocy. Odpowiedziałem, że nie wiem, jak mógłby mi pomóc - chyba, że potrafi sprawić, iż przyjdzie Czerwonienko i umożliwi nam rozmowę z Breżniewem. Roześmiał się i oświadczył, że tutaj jego kompetencje są za małe. W tej chwili przypomniałem sobie, że właściwie powinienem zadzwonić do ludzi utrzymujących łączność z nadzwyczajnym zjazdem partii i że z budynku ambasady trudno będzie to zrobić. Powiedziałem mu więc, że mam jeszcze jedną prośbę, o wiele mniejszą: chciałbym zatelefonować, o ile to możliwe, przez aparat podłączony do sieci specjalnej, który musi tu gdzieś być. I w tym pomógł mi rzeczywiście; wskazał pokój, gdzie był taki telefon. Później ogółem trzy razy przekazywałem stamtąd wiadomości o przebiegu rozmów, podawane następnie dalej /choć czasem w trochę przekręconej postaci/, delegatom na nadzwyczajny zjazd partii.

Wskutek tego doszło niechcący do komicznej sytuacji. W pokoju, w którym najpierw czekaliśmy na Czerwonienkę, a potem rozmawialiśmy z nim, stał odbiornik radiowy. Słyszeliśmy więc szczegółowe informacje o obradach zjazdu na Wysoczanach i w ogóle wszelkiego rodzaju komunikaty. Wśród nich także, że w ambasadzie sowieckiej promoskiewska grupa członków prezydium KC KPCz prowadzi rokowania w sprawie utworzenia kolaboranckiego rządu, że niektórzy członkowie zamierzają wejść w jego skład, inni zaś odmówili. Wśród obecnych wywołało to przerażenie. Drahomir Kolder kilka razy głośno wykrzyknął:

- Kurwa, skąd oni mogą to wiedzieć?

Nikt mu nie odpowiedział. Widać było, jak bardzo deprymuje to również pozostałych. Czy nawet tutaj nie mogą czuć się pewnie? O tym, że to ja mógłbym telefonować z aparatu Czerwonienki - nikt nie pomyślał.

Czekanie na Czerwonienkę trwało kilka godzin. Dłużej też niż godzinę nie było pośród nas Bilaka oraz Indry, którzy jedyni jechali sowieckim transporterem opancerzonym. Kiedy wreszcie dobili do celu, okazało się, że spóźnienie zawdzięczają właśnie temu środkowi lokomocji. Transporter wyjechał spod gmachu KC, przebył most na Wełtawie - i na drugim brzegu został zablokowany, bo doszło tam do jakiegoś zderzenia tramwaju z sowieckimi autami wojskowymi. Nie mógł się też wycofać. Dowódcą wozu zaproponował Bilakowi i Indrze, by przesiedli się do innego pojazdu. Ale dokoła zebrał się tłum ciekawych prażan - i obaj bali się, żeby nie zobaczono, jak wysiadają z transportera okupacyjnej armii. Prawie godzinę siedzieli w środku stalowego potwora, prażonego w dodatku przez sierpniowe słońce. Przyjechali w stanie godnym pożalowania i w bardzo smętnym nastroju.

Po południu zjawił się wreszcie Czerwonienko. Wysłuchał prośby o połączenie z Breżniewem i znów odszedł. Wrócił mniej więcej po godzinie i powiedział, że łączność telefoniczna z Moskwą niestety nie funkcjonuje. Zaproponowałem, żeby może skorzystał z połączenia, którym dysponuje dowódca wojsk, generał Pawłowski.

- Tam także łączność nie działa - twierdził bezczelnie Czerwonienko.

Powiedziałem, że to musi być straszne, kiedy cała armia nie może porozumieć się, dajmy na to, z marszałkiem Greczką - na co spokojnie odpowiedział:

- Tak, to bardzo nieprzyjemna sytuacja.

Po czym przeszedł prosto do rzeczy: Dalsze czekanie to zbędna strata drogiego czasu, łączność zostanie w końcu nawiązana i wtedy będzie można także uzgodnić dalsze postępowanie z Dubczekiem, Czernikiem i innymi członkami politbiura. Ale na razie on sam radziłby zastanowić się konkretnie, jak

by tu na ten wyjątkowy okres powołać jakiś - też wyjątkowy - organ, jednoczący w sobie funkcje kierownictwa partii i państwa: powinien by to być rewolucyjny rząd robotniczo-chłopski. On osobiście sądzi, że właśnie obecni tu towarzysze winni by stanowić jego trzon, ponieważ zajmują dotychczasowe legalne stanowiska i cieszą się zaufaniem towarzyszy sowieckich. Zalecił, żebyśmy nad tym pomyśleli, i znów odszedł.

Wszystko było więc jasne, zaczęła się debata. Wtedy było już tam obecnych owych jedenastu członków kierownictwa partii, których wymienilem, a ponadto minister Oldrich Pavlovsky, poza tym zaś Szalgovicz, który był już w sowieckiej ambasadzie, gdy tam przyjechaliśmy. Natomiast generała Ritirza, jeśli dobrze pamiętam, podczas rozmów w ambasadzie już z nami nie było.

Początkowo dyskusja nie mogła się rozwinąć, nikt nie zgłaszał rzeczowych propozycji. Następnie Vasil Bilak wytyczył ramy rozmowy: nie chodzi w istocie o nic innego, jak tylko o to, co uzgodniliśmy przed południem. Zanim jednak doczekamy się na połączenie z Moskwą, możemy wstępnie przygotować projekt, o którym mówił towarzysz Czerwonienko. On sam uważa to za słusne. Ostateczna decyzja zapadnie wszakże dopiero po rozmowie z tymi, których tu na razie brakuje.

Dla Jana Pillera była to sytuacja zbyt skrajna, najchętniej jakoś by się wymigał - i trapiło go chyba, w jaki sposób w chwili tak niebezpiecznej pozbyć się mnie i Sadovskiego, bo nasze dotychczasowe postępowanie pozwalało przypuszczać, że nie weźmiemy udziału w przygotowywanej imprezie. Toteż zaproponował, żebyśmy we trzech - on, ja i Sadovsky - pojechali na Vysoczany jako delegacja prezydium KC KPCz i pomogli nadać odpowiedni kierunek obradom zjazdu. Wiedzieliśmy z radia, że zgromadzenie delegatów ogłosiło się już zjazdem KPCz i że dokonuje się tam wyboru nowego KC. W swoim imieniu odmówiłem, argumentując, że to kierownictwo, które tu ma zajmować się projektem jakiegoś rewolucyjnego rządu, nie może mieć z wysoczanckim zjazdem nic wspólnego i nie zgadzam się występować w roli pośrednika między nimi. Poza tym rano ustaliliśmy, że z Czerwonienką ma rozmawiać całe kierownictwo i teraz ja tych rozmów nie opuszczę. Sadovsky też odmówił. W rezultacie wytworzył się impas: z obecnych już nikt inny nie mógł sobie pozwolić na zjawienie się wraz z Pillerem na Vysoczanach, a sam tylko Piller nie mógł przecież być "delegacją" - i w ten sposób pomysł nie został zrealizowany.

Pozpoczęła się dwugodzinna mniej więcej debata o składzie rewolucyjnego rządu robotniczo-chłopskiego, mającego być również kierownictwem partii. Jak twierdzili niektórzy dyskutanci, ta karkołomna kombinacja byłaby w gruncie rzeczy zgodna również z uchwałą prezydium KC KPCz z przedpoprzedniej nocy, stanowiącą, że wszyscy mają pozostać na swych legalnych stanowiskach. Ponieważ jednak chodziło o intronizację nowego kierownictwa, mimo wszystko trzeba było mianować też nowych szefów. Proponowano, żeby sprawami partii i aparatem partyjnym kierował Vasil Bilak, a sprawami państwowymi - Alois Indra.

Jeżeli mówię "proponowano", to dlatego, że w istocie wnioski rodziły się stopniowo, w trakcie dyskusji. Występowała w niej wyraźnie zgrana i z góry umówiona paczka w składzie: Bilak, Indra, Kolder, Jakesz, Lenart, Savestka i Pavlovsky. Chyba należał do niej także Piller, ale czasami - chociaż możliwe, że celowo - jakoby się wahał. Barbirek i Rigo, jak mi się zdaje, nie zostali wcześniej uswiadomieni, o co chodzi, i często psuli scenariusz. Szalgovicz, jeśli dobrze pamiętam, podczas dyskusji o składzie rewolucyjnego rządu przeważnie był nieobecny. Sadovsky i ja nie należeliśmy do gry.

Vasil Bilak przyjął funkcję nowego szefa partii po pewnym - udawanym - wzdraganiu. Jego zgodzie towarzyszyły frazesy, że skoro spotyka się z tak wielkim zaufaniem ze strony towarzyszy, nie będzie szczenić się, by zgodnie ze swym sumieniem nie pozostawić partii w tak trudnej chwili na pastwę losu.

W wypadku Indry jednak pojawiły się komplikacje. Kiedy też zaczął dla formy się certować, któryś z dyskutantów przyznał mu rację i powiedział, że nie powinien obejmować takiego stanowiska. Zdaje mi się, że pierwszy rzekł to Sadowsky. Ja dołączyłem się i zaproponowałem, żeby w tej sprawie wypowiedział się Lenart: był już premierem za Novotnego, dlaczego nie mógłby być nim i teraz? Ktoś, bodajże Barbirek, poparł ten projekt. Lenart zabrał głos i odmówił - powołując się na to, że zgodnie z uchwałą prezydium pozostanie na dotychczasowym stanowisku! Zupełnie jakby nie odnosiło się to również do Indry czy Bilaka.

Tak oto w toku doniosłych, historycznych obrad wyłonił się poważny szkopuł - i Vasil Bilak zniżył się do tego, że podszedł do mnie i szepnął mi do ucha:

- Indra to weźmie, teraz jest tylko znaczone, już mu jest wszystko jedno.

Indrze wtedy chyba naprawdę było już wszystko jedno, nie podejmował najmniejszego wysiłku, żeby obrady ruszyły z martwego punktu - toteż nie zamykając sprawy szefa rządu rewolucyjnych robotników i chłopów, przeszliśmy do obsadzania poszczególnych resortów administracji politycznej i państwowej.

Oldrich Pavlovsky zaproponował, ażeby objął resort polityki kulturalnej i prasy. Nawet gdybym brał to na serio, musiałbym poczuć się dotknięty: niewdzięczniejszą funkcją trudno sobie było w owej chwili wyobrazić. Poza tym postawił mnie w ten sposób w niezręcznej sytuacji: Musiałem się wypowiedzieć, a nie chciałem ujawniać już teraz, że z całym tym organem w ogóle nie zamierzam mieć nic wspólnego - uważałem, że byłoby z mojej strony krótkowzrocznością, gdybym pozwolił, by wykluczono mnie z dalszych obrad już w tym ich stadium i tu, w budynku sowieckiej ambasady. Powiedziałem więc, że chyba większe znaczenie ma jak najszybsze zajęcie się ważniejszymi resortami - np. Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. O dziwo jednak, do tej funkcji nikt się nie palił. Pamiętam, że Jakesz wykręcał się jak tylko mógł, kiedy padła jego kandydatura.

Niespodzianie i nagle włączył się do debaty Emil Rigo - oświadczając, że on wcale nie chce być żadnym ministrem w żadnym rządzie i że teraz, gdyby chciano zrobić go ministrem, nie mógłby nawet pozostać w kierownictwie. Także Barbirek obstawał przy tym, że jest funkcjonariuszem Słowackiej Rady Narodowej i nie chce być ministrem w Pradze, gdyż chce pozostać w Bratysławie. Te oświadczenia obu najmniej znaczących członków prezydium KC KPCz z pewnością były zupełnie nieplanowane i poważnie naruszyły scenariusz. Bilak, Kolder, Lenart i inni nie szczędząc czasu zaczęli przekonywać towarzysza Rigo, że on także mógłby zostać ministrem.

Emil Rigo był pierwszym w historii ruchu robotniczego - i kto wie, czy nie ostatnim - Cyganem, który doszedł do członkostwa prezydium KC partii. W niektórych chwilach przejawiał nieujarzmiony i niełatwo ulegający wpływowi charakter swego narodu - jego niechęć do ministerialnego fotela była absolutnie niezachwiana. Dopiero Czerwonienko, który wreszcie znów się pojawił, bez trudu dał sobie radę z tym problemem:

- Macie rację, towarzyszu Rigo, nie musicie być ministrem. Zostaniecie w swoich zakładach, we Wschodniosłowackich Hutach Żelaza - ale będziecie członkiem rządu robotniczo-chłopskiego, całkiem tak samo, jak dotychczas byliście członkiem prezydium.

Gdy Czerwonienko przemówił tak uprzejmie, Rigo spokojnie odparł, że skoro tak, no to może, czemu by nie.

Czas płynął, dyskusja wciąż nie wiodła do konkretnych wniosków, i Czerwonienko, gdy zjawił się raz jeszcze, ku swemu niezadowoleniu stwierdził, że rewolucyjnego rządu wciąż nie ma. Ani nawet jego premiera. Był już wieczór, zgodnie z planem wszystko dawno już miało być gotowe, tak więc Czerwonienko nie pozostało nic innego, jak samemu wziąć się do dzieła. Oznajmił, że właśnie odbył rozmowę z prezydentem Svobodą i zawiadomił go, że wkrótce przedstawi mu opracowane przez to zebranie kierownictwa KPCz propozycje dalszych poczynań - a zatem musimy dojść już do jakichś wniosków.

Było jasne, że dłużej zwlekać nie można. Uzgodniłiśmy szeptem z Sadovskim, że wypowiemy się za odrzuceniem całej koncepcji i rezygnacją z dalszych rozmów, i znów wrócimy do pierwotnego żądania: żeby zejść się z Dubczkiem i innymi i dopiero wtedy rozmawiać. Jednocześnie powiedzieliśmy sobie, że trzeba wynieść z tego budynku całą skórę i nie spotkać się z Dubczkiem tam, gdzie go teraz trzymają. Nie wiedzieliśmy, gdzie - Czerwonienko łąkał nawet w żywe oczy, że Dubczek i inni znajdują się na terenie Czechosłowacji. Byłoby to prawdą, gdybyśmy stali na gruncie przedwojennych granic, bowiem wszyscy aresztowani przebywali owej nocy na terenie Zakarpackiej Ukrainy, rozmieszczeni po dwóch w barakach KGB.

Nzmianką o rozmowie z prezydentem Svobodą Czerwonienko podsunął mi pomysł, który - jak mi się wydawało - umożliwił wyjście z sytuacji, na jakie mogli zgodzić się wszyscy. Poprosiłem o głos i przedstawiłem propozycję dalszego postępowania. Powiedziałem, że według konstytucji CSRS dopuszczalne jest, by prezydent przewodniczył rządowi, jeżeli premier nie może wykonywać tych funkcji. Że przecież podczas gdy tu obradujemy, nadal istnieje rząd, nawet jeśli pozbawiony premiera. Że towarzysz Indra sam tu powiedział, że chyba nie mógłby kierować sprawami państwa. Nie doszliśmy do porozumienia nawet co do odpowiedzialności za różne resorty, które przecież mają swoich ministrów. Proponuję więc, żeby całe nasze zgromadzenie udało się na Zamek, do prezydenta, i tam kontynuowało obrady. Co się mnie tyczy, odmawiam przyjęcia jakiegokolwiek funkcji w organie, o którym mówiono tu jako o rewolucyjnym rządzie robotniczo-chłopskim. Byłaby to próba zastąpienia istniejących, konstytucyjnych organów, sprzeczna z wyraźną uchwałą prezydium KC KPCz, a o ile się orientuję, również z poglądem prezydenta, który uczestniczył w posiedzeniu tego organu przedpoprzedniej nocy. Sytuacja jest nierozwiązalna, póki nie zacznie się mówić o fakcie interwencji zbrojnej i o wycofaniu wojsk.

Z grubszą w tym samym duchu wypowiedział się też Sadovsky. Czerwonienko na pozór zachował spokój, ale musiał zdać sobie sprawę, że jego plan utworzenia rewolucyjnego rządu skończy się fiaskiem. Wskazywały na to również wyniki jego rozmowy ze Svobodą, który - jak dowiedziałem się później - już odrzucił jego aluzje na ten temat i domagał się, by ambasador umożliwił mu odjazd do Moskwy, z delegacją rządową. Rząd zasiadał wtedy na Zamku pod przewodnictwem Lubomira Sztrougala - o czym ja jednak nie wiedziałem.

Najpierw jednak Czerwonienko zwrócił się do mnie i zaczął mnie przekonywać, że popełniam błąd, odmawiając udziału w nowym kierownictwie. Jego zdaniem jestem człowiekiem zdolnym i nie ma powodu, bym odmawiał. On sam rozumie, że teraz wszystko zdaje mi się nierozwiązalne, że zdaje mi się, iż wszystko legło w gruzach. Ale to krótkowzroczność, trzeba natomiast patrzeć perspektywicznie. Za pięć lat, podobnie jak na Węgrzech, wszystko będzie wyglądało inaczej, co dzisiaj zdaje się raną nie do zagojenia, zagoi się. Zamiast ulegać emocjom ciwili, powinien bym pomyśleć o przyszłości ludu, partii - i swojej własnej. Przecież nie myślę chyba, że wojska, które przyszły, mogłyby teraz odejść: co działałoby się wtedy, w tym kraju?

- Naprawdę nie myślę - odpowiedziałem, że skoro już zdecydowali się na interwencję, to dziś lub jutro odejdą. Błędem jest jednak to, że w ogóle przyszli. Następstwa tego kroku będą tak długotrwałe, że nawet za pięć lat sprawa daleka będzie od załatwienia. Na Węgrzech także nie jest załatwiona - co się stało, to się nie odstań. Ale w każdym razie obstać przy tym, żeby wszelkie dalsze rozmowy toczyły się na najwyższym szczeblu - i ponownie proponuję je - chać na Zamek oraz domagać się tego, czego domagaliśmy się na początku: skontaktowania z Dubczkiem i innymi.

Wywiązała się krótka dyskusja - i o dziwo, nikt nie sprzeciwił się propozycji, żeby dalsze rozmowy toczyły się na Zamku. Sam Czerwonienko rozpytał się jeszcze dość szczegółowo o możliwość konstytucyjnego rozwiązania problemu z udziałem prezydenta - po czym także wyraził zgodę.

Był już późny wieczór, około jedenastej, gdy w asyście sowieckich oficerów i wozów opancerzonych dotarliśmy na Zamek. Czerwonienko był już u Svobody przed nami i widocznie powiadomił go o projekcie, by objął przewodnictwo rządu. Rząd Czernika, obradujący pod przewodnictwem Sztrougala, znajdował się w sąsiedniej sali, nieomal w pełnym składzie. Siedzieliśmy i czekaliśmy. Dyskutowano nad tym, kto w imieniu kadłubowego kierownictwa partii zreferuje Swobodzie wnioski z rozmów w sowieckiej ambasadzie. Ostatecznie otrzymał to zadanie Piller - Bilak i Indra nie mieli ochoty.

Potem otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju, w którym urzędował Svoboda. Wyszedł z nich rozwścieczony Czerwonienko, przeszedł przez naszą salę i zniknął. Po chwili zjawił się Ludvík Svoboda. Był wzburzony, lecz panował nad sobą, trzymał się prosto, po wojskowemu, co rzucało się w oczy bardziej niż kiedy indziej. Przywitał się z nami i zaproponował, żeby w dalszych obradach uczestniczyli przedstawiciele rządu, który zasiadał obok. Odszedł do rządu, po czym, jeśli dobrze pamiętam, wrócił z trzema jego członkami: Sztrougalem, Machaczową i Kuczera.

Sztrougal usiadł za stołem naprzeciw mnie i szeptem spytał:

- O co chodzi?

Napisałem na skrawku papieru: "Chodzi o to, czy wejdiesz do rewolucyjnego rządu robotniczo-chłopskiego". Podałem świstek Sztrougalemu. Chwilę patrzył zdziwiony, następnie coś napisał i posłał mi paperek z powrotem. Znajdowało się tam pytanie: "Co to takiego?" Zanim jednak mogłem mu odpowiedzieć, Piller zaczął referować wnioski z rozmów w ambasadzie sowieckiej/x/.

Gdy Piller skończył, ja i Sadovsky poprosiliśmy o głos, i obaj powtórziliśmy - z uzasadnieniem, które przedstawiliśmy już Czerwonience - naszą decyzję nie brania udziału w proponowanym rządzie. Wtedy Svoboda spytał, czy wszyscy inni wyrażają zgodę. Sztrougal w imieniu rządu nadzwyczaj reolutnie i kategorycznie odrzucił propozycje Pillera. Po czym Svoboda oświadczył:

- Tego, co mi tutaj proponujecie, zrobić nie mogę i nigdy nie zrobię. Gdybym coś takiego zrobił, naród musiałby przepędzić mnie z Zamku jak parazytycznego psa!

Następnie wyłożył swoją koncepcję: pojedzie do Moskwy i będzie rokować z Breżniewem w sprawie powrotu Dubczeka, Czernika, Smarkovskiego i innych. Już przedtem powiadomił Czerwonienkę, że chce postępować tylko w ten sposób. Teraz sprawa jest już uzgodniona i rano odlatuje. Będą mu towarzyszyć trzej członkowie rządu: wicepremier Gustav Husak, minister obrony narodowej Martin Dzur i minister sprawiedliwości B. Kuczera, który nie jest komunistą, a więc będzie tam także przedstawiciel innych ogniw Frontu Narodowego. Proponuje, żeby również to, co zostało z prezydium KC KPCz, wybrało trzech swoich członków, którzy będą mu towarzyszyć do Moskwy. Następnie mówił, że zna towarzysza Breżniewa, osobiście zna sowieckich marszałków, toteż jest niemożliwe, żeby to całe tragiczne nieporozumienie nie było wyjaśnione. Wierzy, że w bezpośrednich rozmowach w Moskwie zdoła wszystko załatwić. I na koniec oświadczył:

- Kiedy potem sowieccy żołnierze będą stąd odchodzili, zobaczycie, że lud obsypie ich kwiatami - jak w 1945 r.!

Sprzeczność między pierwszym a ostatnim zdaniem ówczesnego przemówienia Svobody wywarła na mnie piorunujące wrażenie. Lecz nie miało to być ostatnie zaskoczenie w kontaktach z Ludvíkiem Svobodą. Wówczas, w nocy 22 sierpnia 1968 r., najistotniejsze było, że Svoboda ostatecznie storpedował próbę utwo-

/x/ Świstek, o którym mowa, z własnoręcznym dopiskiem Sztrougala, zachował się jakimś cudem w mojej kieszeni i miałem go do kwietnia 1975 r. Podczas rewizji domowej funkcjonariusze SB znaleźli go i skonfiskowali. Możliwe, że dopiero z tej książki dowiedzą się, co posiadają. /Przyp. aut./.

rzenia kolaboranckiego rządu. Ujmując rzecz politycznie, decydującą rolę niewątpliwie odegrały tu nie słabnący od dwóch dni opór całego narodu przeciwko okupacji, a także obrady XIV zjazdu KPCz na Wysoczanach. Pozostaje jednakże faktem, że nader doniosła rola w uniemożliwieniu tego moskiewskiego planu przypadła osobiście Ludwikowi Svobodzie - czego nie powinna przesłaniać jego późniejsza ewolucja oraz całkiem już niefortunna działalność polityczna.

Słowa Svobody podziały na kadłubowe kierownictwo partii już nie jak zimny prysznic, ale dosłownie niczym seria policzków. Vasil Bilak wyglądał, jak gdyby dostał lanie. Nagle każdy mógł się przekonać, że jest to przecież tylko niedouczony krawczyzna, rozpierany ambicją, żądzą władzy i wściekłością, lecz teraz przede wszystkim trzęsący się ze strachu. Siedział skulony, nie patrzył nikomu w oczy, nerwowymi, urywanymi ruchami miał coś w rękach - a kto na chwilę podchwycił jego wzrok, widział w jego oczach strach, niezmierny, zwierzęcy wprost strach przed klęską w owej fatalnej chwili. Zbite resztki prezydium partii musiały jednak jeszcze wybrać spośród siebie towarzyszy Svobody. Stali się nimi Bilak, Indra i Piller.

Tej nocy przez około pół godziny rozmawiałem z Ludwikiem Svobodą w cztery oczy. Mówił mi, jak telefonowała do niego jakaś kobieta i namawiała go, by zastrzelił się w proteście przeciwko okupacji. Jak wytłumaczył jej, czemu tego nie robi: uważa za swój obowiązek znaleźć wyjście z sytuacji. Kobieta miała mu powiedzieć: "Ach, panie prezydencie, ale byłoby pięknie, gdyby się pan zastrzelił". Nie wiem wprawdzie, jak nieznana kobieta mogła uzyskać połączenie z prezydentem - ale ostatecznie w owych dniach wszystko było możliwe. Niewykluczone jednak, że Svobodzie wszystko to tylko się przywidziało. Później słyszałem od kilku osób, że opowiadał im podobną historyjkę, lecz w nieco innej wersji. Bezspornie również inne wypowiedzi Svobody owej nocy świadczyły, że jego myśli biegły dziwnymi drogami. Mówił, że głównym celem jego podróży jest doprowadzenie do powrotu Dubczeka, Czernika i Sarkovskiego. Jest przekonany, że osiągnie to u Breżniewa i sowieckich marszałków.

- A potem - rzekł bez żadnego przejścia - towarzyszu Dubczek poda się do dymisji i wszystko się załagodzi.

Przed pożegnaniem zapewnił mnie jeszcze, że nigdy, do samej śmierci nie zapomni o nikim, kto stał przy nim w tej trudnej chwili. Niech się dzieje co chce, na to wszyscy, którzy stoją przy nim, możemy liczyć.

Dojechałem do domu z poczuciem, że chyba przez cały dzień dręczyły mnie jakieś zwidy. W gruncie rzeczy już trzecią noc nie spałem, więcej niż 48 godzin upłynęło mi w nieustannym napięciu. Wykąłem jakieś proszki, ale ledwo zacząłem zasypiać, zadzwonił telefon. Był to Vieniek Szilhan, którego nowy KC KPCz wybrał na zjeździe wysoczańskim do prezydium partii, polecając mu kierować jego pracą do powrotu Dubczeka. Powiadomił mnie, że na posiedzeniu prezydium postanowiono, żebym sprawował funkcję sekretarza KC na Wysoczanach, więc muszę tam przyjechać. Umówiliśmy się, że pojedę rano, i uzgodniliśmy, w jaki sposób to zrobić.

x x x

W drodze na Wysoczany w piątek 23 sierpnia rano właściwie pierwszy raz widziałem w świetle dziennym ulice i ludzi w okupowanej Pradze. Krótka trasa dzień przedtem do ambasady sowieckiej prowadziła ulicami całkowicie obsadzonymi przez sowieckich żołnierzy, a następnie dzielnicą willową na Bubenczu, gdzie lud nie mieszkali i na porór panował spokój. Teraz droga ze śródmieścia na Wysoczany, ^{Wiedla}przez główne dzielnice robotnicze - Karlin i Libeń. Skupienie czołgów i wojska było tu mniejsze, za to ogólnonarodowy opór przeciwko okupacji przybierał formy poglądowe i przekonywające.

Ściany domów pokryte były napisami, hasłami i różnymi ręcznie wykonanymi afiszami. Ludzie czytali gazety i plakaty, które mimo wszelkich zabiegów okupanta wypuszczają najrozmaitsze drukarnie. Był to obraz miasta, którego

mieszkańcy zjednoczyli się w biernym oporze przeciw obcym najeźdźcom. Chorągwie i herby państwa w różnych postaciach zdobiły ulice, wystawy oraz klapy marynarek przechodniów. W miejscach, gdzie ktoś padł od sowieckiej kuli, wznosiły się improwizowane pomniczki, pokryte mnóstwem kwiatów i państwowymi flagami. Tabliczki z nazwami ulic albo były zerwane, albo też zaklejone innymi nazwami /często np. "Aleja Dubczeka" itp./, ewentualnie zastąpione tabliczkami z nazwami niewłaściwymi. Drogowskazy na skrzyżowaniach były połamane, obrócone w niewłaściwych kierunkach, często także przemalowane i uzupełnione innymi napisami, jak np. "Moskwa - 2 000 km". Ściany domów nosiły gdzieś niedługo ślady pocisków, podobnie jak wystawy sklepów, które w wielu wypadkach zmieniły się w wystawy twórczości ludowej, pomysłowo agitujące przeciwko okupacji.

Treść większości haseł poświęcona była obronie suwerenności państwa i narodu, lecz bardzo często występowały one w powiązaniu z postulatami demokratycznego socjalizmu. Widać było cytaty z Lenina albo hasła w rodzaju "Leninie zbudź się - Breżniew zwariował". Nazwiska Dubczeka i Svobody jaśniały wielkimi literami na ścianach, płotach i parkanach, hasła głoszące zaufanie do Dubczeka, Svobody, Sarkovskiego i Czernika stanowiły główny element dekoracji ulic. Napisy w rodzaju "Wynocha do siebie" mieszały się z innymi, w których odzwierciedlał się długoletni wpływ propagandy antyamerykańskiej, obecność armii USA w Europie zachodniej i w innych regionach świata przedstawiającej jako imperialistyczną okupację. Szerzone kiedyś przez międzynarodową propagandę hasło "Ami go home" przybrało postać "Iwany go home", pojawiły się napisy "USA w Wietnamie - ZSSR u nas" i podobne. Skrót ZSSR pisano czasem w ten sposób, że litery S miały kształt błyskawicy i składały się na hitlerowski znak SS. Trafiły się także sierpy i młoty połączone znakiem równości ze swastyką. Typowe były ironiczne napisy, anegdoty i karykatury ośmieszające żołnierzy okupacyjnej armii już nie politycznie - jako durni, którzy dali się zrobić. Trafiły się również napisy po rosyjsku, często niechęć poprzekręcane, z czeskimi słowami pisany cyrylicą.

Zarówno te napisy, jak i grupki dyskutujących z żołnierzami na chodnikach, świadczyły, że lud starał się oddziaływać na okupacyjnych żołnierzach argumentami. Było to coś, co nie wystąpiło i wystąpić nie mogło po wkroczeniu armii hitlerowskiej w marcu 1939 r. Ludzie byli przekonani, że "Iwany" są oszukani przez własny rząd głupcami, którzy sami nie wiedzą, co czynią - i chcieli im to wytłumaczyć. Również wśród ludu działało więc coś z tego, o czym mówiłem jako o moim własnym odczuciu - odczuciu komunisty, który przez lata należał do rządzących: wiara, że mimo wszystko zasłabnie chyba jakieś nieporozumienie, że to wszystko nie może być prawdą.

Nowe prezydium partii, wybrane na nadzwyczajnym zjeździe, urzędowało na terenie olbrzymiego kompleksu budynków fabrycznych przedsiębiorstwa CzeKaDe na Wysoczanach. Dostępu do jego biur strzegli uzbrojeni członkowie Milicji Ludowych. Dokumenty samego XIV zjazdu KPCz, jak i główne posunięcia polityczne wybranego na nim kierownictwa są powszechnie znane, zostały ogłoszone również za granicą. Opiszę więc jedynie niektóre swe wrażenia z dwudniowej pracy na Wysoczanach.

Myślę, że obrady XIV zjazdu KPCz w dniu 22 sierpnia 1968 r. pod wielu względami odegrały wyjątkowo uciążliwą i pozytywną rolę. To dzięki nim głównie KPCz jako partia utrzymała decydujący wpływ na świadomość polityczną większości ludności. Zjazd zajął stanowisko ściśle odpowiadające zaistniałej sytuacji. Skonkretyzował ogólne i ramowe potępienie agresji, dokonane w nocy z 20 na 21 sierpnia przez dubczekowskie kierownictwo KPCz, i nadał mu postać kilku związanych i zrozumiałych żądań: przede wszystkim wycofania okupacyjnych wojsk, powrotu wszystkich legalnych działaczy na swoje stanowiska, przestrzegania norm prawa międzynarodowego, włącznie z samym Paktem Warszawskim. A przy tym zjazd KPCz - oczywiście pamiętając o wydarzeniach węgierskich z 1956 r. - nie poparł postulatu wystąpienia CSRS z tego paktu i proklamowania neutral-

ności. Zarazem zwrócił się z prośbą o pomoc do międzynarodowego ruchu komunistycznego i wyraźnie odmówił jakichkolwiek kompetencji promoskiewskiej i konserwatywnej grupie w KPCz, której członkom nie przyznał żadnych stanowisk w nowo wybranych organach. Dzięki postawie Zgromadzenia Narodowego i rządu, które publicznie uznały XIV zjazd na Wysoczanach, wszystko to razem umocniło w świadomości narodu przekonanie, że KPCz nadal działa jako kierownicza siła polityczna - i to w duchu dotychczasowej linii "Praskiej Wiosny". Zjazd sprawił, że przez kilka dni utrzymywało się złudzenie, że siły reformistycznej polityki "Praskiej Wiosny" odniosły jednoznaczne zwycięstwo - w okolicznościach, które znamionowały całkowitą ich klęskę.

Wszystko to miało wielkie znaczenie nie tylko wewnątrzpolityczne, ale również co się tyczy dalszych poczynań Moskwy. Obrady XIV zjazdu KPCz spowodowały, że politbiuro moskiewskie znalazło się w sytuacji niespodziewanej i bardzo trudnej. Cała koncepcja polityczna zbrojnej interwencji została wprowadzie pomyślana wadliwie, oparta głównie na demagogii, lecz mimo wszystko zmierzała do zalegalizowania tej akcji. Opierając się na tym, co pisała prasa sowiecka z pierwszych dni interwencji, na wydarzeniach od 20 do 22 sierpnia w kierownictwie KPCz, oraz na informacjach, z którymi zapoznałem się później, sądzę, że polityczny plan interwencji przedstawiał się mniej więcej następująco:

Grupa w kierownictwie KPCz, w której główne role grali Bilak, Indra, Kolder i Jakesz, a do której należeli także Szvestka, Piller, Lenart i Kapek /i która liczyła też na poparcie ze strony Rigo, Barbirka, a chyba i Volenika/, obiecała Kremłowi, że dostarczy mu wewnątrzpolitycznego uzasadnienia, że zalegalizuje interwencję. Ostatnie zebranie przygotowawcze odbyła 20 sierpnia przed południem w pokoju Aloisa Indry w KC KPCz. Na posiedzeniu prezydium KC KPCz, rozpoczynającym się o czternastej, pierwszym punktem porządku dziennego miało być omówienie wniosków Indry i Koldera w związku ze sprawozdaniem sytuacyjnym, już tydzień przedtem przedstawionym przez komórkę informacyjną aparatu KC /kierował nią J. Kaszpar/, a stanowiącym niejednorodną mieszaninę obiektywnych i tendencyjnie poprzekręcanych danych o sytuacji gospodarczej i politycznej w kraju. Opracowane na podstawie tego sprawozdania wnioski Koldera i Indry miały dostarczyć argumentów Moskwie: jednostronnie przedstawić sytuację w taki sposób, by wytworzyć wrażenie, że jeszcze przed zjazdem KPCz grozi poważne niebezpieczeństwo antysocjalistycznego wystąpienia "sił kontrrewolucyjnych".

Grupa związana z interwentami spodziewała się skłonić większość prezydium do poparcia tych wniosków. Decydującą rolę miały przy tym odegrać głosy Pillera, Barbirka i Rigo. Co prawda Piller i Barbirek nie głosowali potem za aprobatą dla interwencji - ale też w myśl zamiarów grupy promoskiewskiej nad tym nie miano wtedy głosować. Gdyby zaś głosowano nad wnioskami Koldera oraz Indry, prawdopodobnie obaj wypowiedzieliby się za. W ten sposób wytworzyłaby się większość /w stosunku 6 : 5/ przeciw Dubczekowi. Z zastępców członków prezydium przyłączyliby się do niej Lenart i Kapek, podczas gdy do Dubczeka tylko Szimon. Z członków kierownictwa partii nie wchodzących w skład prezydium do grupy promoskiewskiej należałoby Jakesz, Indra i chyba Volenik, a do grupy Dubczeka Cisarz, Sadovsky, Slavik i ja. Formalnie więc 3 : 4, faktycznie jednak w aparacie pozycje owej trójki były silniejsze, niż stanowiącej pozornie większość czwórki: kierowała wszystkimi ogniwami aparatu zajmującymi się kierowaniem sprawami wewnątrzpartyjnymi, dysponowała też jednym z najsilniejszych okręgów - Ostrawą. Cisarzowi i Slavikowi podlegały odcinki ideologiczne, Sadovskiemu rolnictwo i administracja gospodarcza. Mnie wprowadzie z punktu widzenia polityki partyjnej podlegały istotne ogniwa systemu władzy - ale w wypadku puczu wszystko zależałoby od stosunku sił między działającymi w nich klikami, a nie od sekretarza KC, opracowującego na płaszczyźnie partyjnej ogólną linię ich działalności.

Stosunek sił wśród 21 członków kierownictwa partii był taki, że w razie konfliktu na tle wniosków Koldera i Indry nieznaczna większość /11 wobec 10/ opowiedziałyby się za tymi wnioskami. Dwunasty członek kierownictwa - członek sekretariatu KC i sekretarz Frontu Narodowego, Evžen Erban - jeśli dobrze pamiętam, nie był wtedy obecny. Trudno powiedzieć, czy przypadkowo. Co się tyczy jednak Erbana, nie można było absolutnie wykluczyć jego akcesu do konserwatystów, chociaż możliwe też, że starałby się zachować neutralność lub dołączyłby do Dubczeka.

Prawdopodobnie gdyby wspomniana większość zaaprobowała wnioski Koldera oraz Indry, natychmiast wymogłaby również odczytanie i omówienie listu Breżniewa. Dałoby to okazję do napisania odpowiedzi - i tak właśnie mógłby narodzić się list z prośbą o "bratnią pomoc" Moskwy. Możliwe także, że nieznaczna konserwatywna większość w toku dyskusji nad listem Breżniewa dążyłaby do rozbitcia kierownictwa, połączyłaby się z agentami sowieckimi w organach państwowych - jak Pavlovsky, Szalgovitz, Hoffmann i niektórzy inni /zwłaszcza w armii/ - i wydała taki list samodzielnie. Natychmiast po przybyciu wojsk zaś ogłosiłaby się "rewolucyjnym rządem robotniczo- chłopskim" i uruchomiłaby swój "trybunał rewolucyjny".

Pewne jest, że czeski tekst listu, który moskiewska "Prawda" opublikowała 21 sierpnia 1968 r. bez podpisów, jedynie jako list "grupy działaczy" KC KPCz, parlamentu i rządu, istniał w owych dniach w Pradze naprawdę. Jeden egzemplarz został znaleziony w gabinecie dyrektora Czechosłowackiej Agencji Prasowej, Sulka, również sowieckiego agenta. Był jednak niepodpisany. Moim zdaniem, żadne podpisy w ogóle nie istnieją - i dlatego do dziś nie mogły być ogłoszone. Inna sprawa, że nawet gdyby istniały, nie można by ich ujawnić, gdyż niektórzy najwyżej postawieni reprezentanci "kursu na normalizację" - od Husaka poprzez Sztrogala aż po Kempnego i Colotkę - nie mogliby wykazać się wtedy swoimi ówczesnymi zasługami. I przeciwnie: wielu niewygodnych dla nich skrajnych stalinowców z okresu Novotnego takimi zasługami mogłoby się pochwalić - lecz w tym znów kierownictwo husakowskie nie jest zainteresowane. Podpisy zaś nie istnieją dlatego, że poniósł fiasko plan utworzenia nowego kierownictwa, że zawiodła koncepcja "rewolucyjnego rządu robotniczo- chłopskiego". Ten rząd bowiem miał list podpisać - a do jego powstania już nie doszło.

20 sierpnia po południu posiedzenie prezydium rozpoczęło się od dyskusji - i to nadzwyczaj ostrej - o kolejności omawiania poszczególnych punktów porządku dziennego. Ostatecznie na pierwszym miejscu znalazły się projekty dokumentów zjazdowych, a wnioski Indry i Koldera miały być rozpatrzone dopiero po nich. Upierał się przy tym stanowczo sam Dubczek. Nie sądzę, by domyślał się, że miało to związek z interwencją, która zaczęła się w niewiele godzin później. Raczej pragnął odsunąć na sam koniec odczytanie listu Breżniewa - gdyż słusznie przewidywał, że stanie się on przyczyną poważniejszego konfliktu w kierownictwie, i chciał, żeby koncepcja materiałów zjazdowych była już wtedy zatwierdzona. Było wszak oczywiste, że list wypłynie w powiązaniu z omawianiem wniosków Indry i Koldera.

Jakkolwiek może się to wydać niewiarygodne, realizację pierwszej fazy natarcia grupy promoskiewskiej uniemożliwiła więc biurokratyczna rutynna procedura. Wskuję, że można wytłumaczyć to dwiema okolicznościami: po pierwsze miał to być pucz biurokratyczny - a dla takiego puczu właśnie przeszkody natury biurokratycznej mogą okazać się nieprzezwyciężalne - a po drugie grupę promoskiewską paraliżował strach. Skoro porządek obrad uległ zmianie, kilku jej członków musiałoby śmiały i otwartym wystąpieniem doprowadzić do wybuchu konfliktu i przeforsować swój zamysł nie zważając na ustaloną kolejność rozpatrywania spraw. Było to wprawdzie możliwe, lecz tylko pod warunkiem, że zdecydują się momentalnie - bez uprzedniego naradzenia się. W minutę lub dwie potem było na to za późno - referowano już przedstawione na piśmie materiały zjazdowe. Zamachowcom zabrakło stanowczości oraz odwagi.

Ujawniało się to zresztą już przedtem, a również potem. Dowodem może być także przebieg rozmów w ambasadzie sowieckiej 22 sierpnia. Niekontrolowany okrzyk Bilaka w nocy z 20 na 21 sierpnia - "No to możecie mnie zlincować!" - także świadczy o strachu. Jan Svoboda, jeden z najbliższych ludzi Novotnego, przez pewien czas kierujący jego sekretariatem, opowiadał już w wiele czasu po sierpniu, jak to przed interwencją grupa stalinowców i sowieckich agentów zeszała się w Peczkach pod Nymburkiem, by poczynić tajne przygotowania do niej. Na spotkanie mieli też przybyć przedstawiciele promoskiewskiej grupy w kierownictwie KPCz.

- Do ostatniej chwili strasznie się bali - mówił Jan Svoboda. - W końcu zjawił się tylko Bilak. Miał pełne portki ze strachu, niemal słowa nie mógł z siebie wydusić...

Po południu i w nocy 20 sierpnia 1968 r. plan politycznego wsparcia interwencji zawiódkł więc po raz pierwszy. Lecz reżyserzy utrzymali go w mocy i nadal się go trzymali. Pod wieczór 22 sierpnia w ambasadzie sowieckiej w Pradze jego realizacja zawiodła jednak po wtóre. A jedną z głównych przyczyn stał się wówczas XIV zjazd KPCz na Vysoczanach. Naczelnicy reżyserzy w Moskwie zostali zmuszeni do zmiany planu i wyrażenia zgody na rokowania. Wykorzystali do nich Ludvíka Svobodu, ale musieli także zgodzić się jako na partnerów na tych, którzy właśnie mieli już być skazani przez "trybunał rewolucyjny": na Dubczeka, Smrkovskiego, Czernika i innych.

W piątek 23 sierpnia przed południem ich sytuacja ulega zmianie: wszyscy byli internowani w barakach KGB w Karpatach, ale owego dnia przed południem Dubczek otrzymuje telefon od Breżniewa, po czym razem z Czernikiem zostaje przewieziony do Moskwy. 25 sierpnia rano dołączają do nich oraz do delegacji pod przewodnictwem Svobody pozostali aresztanci /prócz Kriegla/, a także członkowie kierownictwa partii przywiezieni samolotem z Pragi - wśród nich i ja. Moskwa, zmuszona do rokowań, ostatecznie nie miała innego partnera do rozmów, prócz dubczekowskiego kierownictwa KPCz: jej agentura okazała się niezdolna do dokonania zamachu stanu, a kierownictwo wybrane przez XIV zjazd KPCz nie wchodziło w grę.

Mimo wielkiego znaczenia zjazdu na Vysoczanach dla rozwoju sytuacji poczynając od 22 sierpnia, od początku występowały tu również słabe strony, szczególnie nowych, wybranych przez zjazd organów. Nie mam na myśli "słabych stron", o których mówiła później i mówi po dziś dzień propaganda "normalizatorów". Jej twierdzenie, że same obrady zjazdu, a więc także wybory nowego kierownictwa były nielegalne i sprzeczne ze statutem KPCz, pozbawione jest sensu. Każda organizacja, które za swój naczelnny organ uznaje zjazd, musi też uznać, że zebrawszy się w wymaganej większości, należyście wybrani delegaci na taki zjazd mogą prawnie poczynić sobie jako najwyższy organ: nie są skrupowani uchwałą o dacie zjazdu, a nawet niektórymi punktami statutu, mają bowiem prawo zmienić i unieważnić statut, podobnie jak wszelkie inne uchwały z poprzedniego okresu, z uchwałą o dacie zwołania zjazdu włącznie. Według statutu KPCz cała władza KC, jego prezydium i aparatu zawsze była pochodną władzy zjazdów partyjnych: mówienie więc, że podjęta przez dwie trzecie delegatów decyzja ogłoszenia swych obrad obradami zjazdu stanowi uzurpację władzy i pogwałcenie statutu, jest niedorzeczne. Słabymi stronami nowych organów, wybranych przez XIV zjazd KPCz, było coś innego.

Kierownictwo partii wybrane przez zjazd na Vysoczanach samo uważało się za organ prowizoryczny - i tak też traktowało je społeczeństwo. Inne rozwiązanie nie byłoby chyba możliwe. Zjazd i wybrane przezeń organy musiały przede wszystkim potwierdzić zajmowanie dotychczasowych stanowisk przez aresztowanych i wywiezionych za granicę członków kierownictwa partii: Dubczeka, Czernika, Smrkovskiego, Kriegla, Szpaczka i Szimana. Wszyscy oni zostali więc ponownie wybrani do prezydium - ale faktycznie byli nieobecni. A przy tym stanowili część kierownictwa mającą największy autorytet. W rzeczywistości

więc organy i organizacje KPCz oraz społeczeństwo wiedziały, że dopiero ich powrót będzie bardziej perspektywicznym rozwiązaniem, że trwa prowizorium, podczas którego czeka się właśnie na nich. Ci, którzy w praktyce sprawowali funkcje członków kierownictwa partii - wśród nich także zastępujący Dubczeka Vieniek Szilhan - często nie byli dostatecznie znani nie tylko w społeczeństwie, ale nawet w KPCz oraz jej aparacie, i sami też wiedzieli, że działają przejściowo. XIV zjazd więc tylko na pozór utworzył nowe kierownictwo partii: w rzeczywistości wsparł tę część kierownictwa dubczekowskiego, która miała zostać obalona przez interwencję. Wybrany na Vysoczanach KC w praktyce w jej ręce złożył losy reformy, całej partii i swoje własne. Ona jednak nie była obecna nie tylko na zjeździe, ale nawet na terenie Czechosłowacji. I kiedy w Moskwie sowieckie politbiuro zaczęło z nią rokować, była partnerem, który długo - aż do 25 sierpnia - wcale nie wiedział, co dzieje się w CSRS i jakie są jego pozycje podczas tych rozmów.

Wybrane na Vysoczanach prezydium składało się z 28 osób. 18 z nich było już przedtem członkami KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji i Komunistycznej Partii Słowacji lub piastowało wysokie stanowiska państwowe /wicepremierzy Husak i Colotka/. Piętnastu członków prezydium /tj. przeszło połowa/ nie było w ogóle w Pradze, a więc nie brało udziału w obradach tego organu. Nieobecni byli właściwie wszyscy mający wówczas największy autorytet polityczny: prócz sześciu uwięzionych byli to Ota Szik /znajdował się w Jugosławii/, Gustav Husak /był w Moskwie jako członek delegacji rządowej/, Czestmir Cisarz - /aż do 26 sierpnia ukrywał się poza Pragą/ - a ponadto cała reprezentacja słowacka /przebywająca w Bratysławie/ - Peter Colotka, Jozef Zrak, Anton Tiažky, Viktor Pavlenda i in. Ci członkowie vysoczańskiego prezydium, którzy w dniach od 23 do 26 sierpnia - tj. do czasu powrotu kierownictwa partii z Moskwy - faktycznie sprawowali swe funkcje, byli przeważnie funkcjonariuszami partyjnymi z różnych okręgów, powiatów i zakładów przemysłowych /np. L. Hrdinova, J. Litera, V. Kabrna, Z. Moc i in./, lub wywodzili się spoza aparatu KPCz i nie mieli w nim niezbędnego autorytetu ni oparcia /Vieniek Szilhan, profesor Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Pradze, Zdeniek Hejzlar, od czerwca 1968 r. dyrektor radia, kiedyś wysoki funkcjonariusz partyjny, po 1951 r. dotknięty jednak represjami/. Główną oporą działalności vysoczańskiego prezydium partii stały się aparat komitetu miejskiego KPCz w Pradze oraz część aparatu KC KPCz: tej jednak przewodził już Martin Vaculik, za Novotnego zastępca członka politbiura, nie będący członkiem prezydium wybranego na Vysoczanach. Ja sam także nie byłem członkiem tego organu, działałem jednak w dniach 23 i 24 sierpnia na Vysoczanach jako sekretarz KC KPCz. Prowadziłem głównie takie rozmowy, w których druga strona wolała mieć do czynienia z kimś, kto sekretarzem KC był już przed zjazdem: rozmawiałem z kierownictwem związków zawodowych o formie i organizacji strajków, z dowódczszą Milicji Ludowych o sprawach dotyczących tej formacji, z przedstawicielami Frontu Narodowego itp.

Myślę, że poczucie tymczasowości, świadomość, że vysoczańskie kierownictwo partii może tylko wypełniać lukę przez kilka dni, zanim główni działacze nie wrócą z Moskwy, miało wówczas też wielu z tych, którzy działali na Vysoczanach nie piastując stanowisk pochodzących z wyboru: wielu ludzi z aparatu partyjnego wykonujących setki uciążliwych zadań organizacyjnych, ludzie, którzy peragali pisać i redagować różne odezwy i oświadczenia, dziennikarze, którzy utrzymywali łączność z radiem i prasą. Im dłużej trwało prowizorium, im dłużej Svoboda i Dubczek nie wracali z Moskwy, tym więcej było również na Vysoczanach niepewności, czasem też nerwowości i obaw szeregu osób o dalsze losy państwa i własne. XIV zjazd KPCz nie był i nie mógł być niczym innym, niż tylko rozwiązaniem na okres przejściowy.

W tym okresie przejściowym ukształtowała się liczna grupa funkcjonariuszy i pracowników aparatu KPCz - chyba jakieś 40 - 50 procent ogółu - która aktywnie, w pełni uświadamiając sobie ryzyko, stanęła do dyspozycji XIV zjazdu, wcielała w życie akcje, do których nawoływały uchwały i dyrektywy organów

wybranych na Vysoczanach. Wraz z wielką liczbą tych, którzy wprawdzie także poparli linię zjazdu i jego działania, lecz zachowywali ostrożność i liczyli się z możliwością, że za jakiś czas sytuacja zmieni się diametralnie, stanowią olbrzymią większość - chyba około 90 procent - aktywu partyjnego, przeciwstawiającą się zamiarom okupanta, opowiadającą się za Dubczkiem oraz za aresztowaną częścią politbiura, i bynajmniej nie skłoną kolaborować.

Na odwrotnych pozycjach znajdowała się tylko garstka funkcjonariuszy i pracowników aparatu. Ci byli gotowi podjąć kolaborację, liczyli na ostateczną klęskę reformy i przywrócenie totalitarnej dyktatury - lecz do czasu powrotu kierownictwa KPCz z Moskwy /t.j. do 27 sierpnia/ wielu z nich biernie czekało na koniec prowizorium, nie odważając się ani kolaborować z sowieckimi żołnierzami, ani w ogóle ujawniać swych poglądów. Tylko nieliczne jednostki w aparacie KC KPCz - ledwie 20 osób z ogólnej liczby około 500 pracowników - również po 22 sierpnia pracowały w zajętych gmachach KC, w którym jako "kierownictwo partii" urzędował Drahomir Kolder. O tym, jak się tam czuł, najlepiej świadczą jego słowa, kiedy zadzwonił do mnie do domu z wiadomością, że mam lecieć do Moskwy. Usłyszawszy, że nie ma mnie w domu i nie wiadomo, gdzie jestem, Kolder odparł:

- Też mi coś, nie wiadomo! Gdzie miałyby być, jak nie na Vysoczanach? Prawie wszyscy tam są - no to czego się boją? Ja jestem tutaj sam - to ja powinienem się bać.

Główne kadry agentury sowieckiej w aparacie KPCz przebywały w owych dniach w Dreźnie i w Moskwie. Tam gorączkowo przygotowywały wszystko, co mogłoby się przydać propagandzie okupantów: z ich warsztatu wychodziły oszczerstwa, kłamstwa i stalinowskie propagandowe frazesy, emitowane następnie przez radiostację "Wełtawa" i drukowane w piśmie "Zprawy" oraz prasie sowieckiej i czterech innych państw uczestniczących w interwencji. Lecz mówić przed mikrofonami "Wełtawy" nie odważyli się, chociaż tam jak powietrza potrzebowano kogoś, kto tylko umiałby mówić po czesku: spikerzy tej rozgłośni swoją czeszczyzną dziwnie przypominali tych, którzy z podobnym akcentem przemawiali do narodu czeskiego w marcu 1939 r. Jeden wszakże zabrał głos w tej "Wełtawie" - Pavel Auersperg. Rommawiąłem z nim podczas posiedzenia KC KPCz 31 sierpnia, już po powrocie z Moskwy. Na swą obronę powiedział bez osłonek:

- Oni mi obiecali, że zmienią modulację mojego głosu. Ale potem tego, sraluchy, nie zrobili. Ten mój sznapsbaryton każdy pozna - i teraz nic na to nie poradzę.

Niektórzy przedstawiciele promoskiewskiej grupy z kierownictwa KPCz w kilkudniowym okresie przejściowym wycofali się nawet w zacisze domowe i tam czekali, co będzie dalej. Odnosi się to np. do Antonina Kapka. Ze zwolenników reformy ukrywał się Czestmír Cisarz. W nocy z 20 na 21 sierpnia, gdy Dubczek rozwiązał posiedzenie prezydium, on jeden po prostu pojechał sobie do domu. Rano zajwili się tam ludzie Szalgovicza z SB i aresztowali go /"wzięli pod ochronę", jak sami potem mówili/. Po kilku godzinach jednak go wypuścili - zapewne dlatego, że scenariusz, przewidujący utworzenie "trybunału rewolucyjnego" pod przewodnictwem Indry, w tym punkcie uległ zmianie już 21 sierpnia przed południem. Następnie Cisarz aż do przedostatniego dnia wysoczańskie prowizorium ukrywał się w domku swojego znajomego - dziekana wydziału prawa, O. Prszy - w Kersku pod Podiebradami. Przysłał stamtąd list, ogłoszony w radiu i prasie 24 sierpnia, w którym pisał, że był aresztowany, "ale udało mu się zbiec", a teraz jest "u dobrych czeskich komunistów, czeskich patriotów" i śle wszystkim "bojowe pozdrowienie".

Decydującym czynnikiem, który umożliwił sukces polityczny XIV zjazdu KPCz, sukces pozycji Zgromadzenia Narodowego oraz rządu i zniweczył nadzieje na kolaboranckie zmiany w strukturze władzy, bezsprzecznie była negatywna postawa całego narodu wobec sowieckiej interwencji zbrojnej. Ujawniły się tu następstwa faktu, że "Praska Wiosna" z próby dokonania reformy instytucji politycznych przerodziła w ogólnonarodowy ruch demokratyczny, humanistyczny, że

dla narodu stała się sprawą ponadpolityczną - sprawą moralności i człowieczeństwa. Obok uwag, które wypowiedziałem już w sprawie stosunków międzynarodowych, właśnie ta okoliczność jest źródłem moich wątpliwości, czy rzeczywiście miałem rację w 1968 r., zajmując postawę "centrową". Gdyby bowiem wszystko ograniczyło się do kroków związanych z ogólną reformą instytucjonalną - przy czym zapewne także doszłoby do zbrojnej interwencji - raczej nie mielibyśmy tak wielkiego i intensywnego, powszechnego oporu całego narodu /połączonego z wyjątkowym zdyscyplinowaniem i z przejawami zaufania do polityki dubczekowskiego kierownictwa/, jaki przejawiał się w dniach sierpniowych. Oglądając się wstecz widzę to więc mniej więcej tak, że przebieg reformy, jakiego sobie życzyłem, przyniósłby rezultaty tylko w wypadku, gdyby nie było ingerencji wojskowej ZSSR.

Sprzeciw całego narodu wobec interwencji rodził tysiące konkretnych pomysłów sprawiających, że życie codzienne przekształcało się w system nader skutecznych przejawów biernego oporu, w obliczu których machina przemocy agresorów była bezsilna i bezradna. Toteż moskiewskie politbiuro stanęło wkrótce przed pytaniem, które stało się dlań podstawowym problemem: co dalej? Objęło cały kraj kontrolą swego wojska, lecz ta kontrola była bezsilna w konfrontacji z tym, co się stało. Nikt nawet pod przymusem nie robił więcej, niż to, do czego rzeczywiście można zmusić przemocą. A jeżeli władze wojskowe nie chcą uciec się do brutalnych akcji masowych, do mordowania całych grup ludności, do przymusowego objęcia swoją administracją całego życia kraju - tego, do czego można ludzi przymusić, jest w istocie załośnie mało. Nadal działało radio, nadal ukazywały się gazety i ulotki - i wszystko to utrudniało okupantowi spełnienie jego zamiarów. Nadal istniały własne organy administracji - od komitetów narodowych po rząd - które nie tylko nie podporządkowały się władzy okupacyjnej, ale nawet nie nawiązały z nią stosunków i nie wdawały się w rozmowy. Ludzie nie tylko myśleli swoje, ale także w życiu codziennym postępowali tak, jakby rząd nie był obalony, jakby szło tylko o przejściowy epizod, który skończy się i znów wszystko wróci w stare koleje, jak przed inwazją.

Co prawda, wszystko to na swój sposób nie ma znaczenia w zestawieniu z faktem, że kraj zajęły obce wojska. I jasne jest też, że wszystko to nie może trwać bez końca, że jest to stan prowizoryczny. Lecz na jak długo? Dopóki taki stan się nie skończy, dopóty wojsko okupacyjne jest bezsilne - jeśli naprawdę nie ma brutalnie użyć siły przeciw ludności cywilnej. Na to zaś Moskwa nie mogła sobie pozwolić ze względu na swe interesy międzynarodowe.

Tak więc cały naród napadnięty przez olbrzymie mocarstwo w rzeczywistości na krótki okres politycznie zwyciężył. Był tego świadom, umacniało go to w oporze. Porównanie, jakie pojawiło się wtedy w którejś z gazet, miało wicie że słoń nie może rozdeptać szpilki, dość wiernie ujmowało ówczesną sytuację. I to zarówno w sensie dla narodu korzystnym, a okupantowi sprawiającym trudności nie do przewyciężenia, jak i odwrotnie: słoń był wielki i pojawił się u nas - jakieś więc rozwiązanie musiało się w końcu znaleźć. Z pewnością wszyscy byli wtedy świadomi, że bierny opór jest wprawdzie bronią wyjątkowo skuteczną, lecz nie jest i nie może być uznany za definitywne rozwiązanie: może stanowić tylko prowizorium na krótki czas, dopóki nie będzie ono znalezione. A mandat na znalezienie go naród - podobnie jak nadzwyczajny zjazd komunistów na Wysoczanach - złożył podówczas w ręce kilku ludzi znajdujących się w Moskwie: Dubczeka, Svobody, Czernika i Smrkovskiego.

Poczucie prowizoryczności sytuacji stanowi nieodłączny składnik heroicznej atmosfery owych dni - od 21 do 26 sierpnia 1968 r. - w świadomości zarówno ludu, jak i rządzących tymczasowo reformistycznych komunistów. Torowało też sobie oczywiście drogę do świadomości okupantów i ich naczelnego dowództwa. Wybierając się od wieczora 24 sierpnia w podróż do Moskwy, miałem poczucie, że w końcowej fazie tego prowizorium sądzono mi jest odegrać ważną rolę.

Moja podróż do Moskwy nastąpiła z inicjatywy Alexandra Dubczeka, który domagał się, żeby brał udział w rozmowach na Kremlu. Miałem ponadto pełnomocnictwo udzielone przez wysoczańskie prezydium KC KPCz. Ale leciałem razem z resztkami starego kierownictwa partii - ze Szvestką, Lenartem, Jakeszem, Barbirkim i Rigo. Kolder został w Pradze, w okupowanym gmachu KC. Antonin Kapek ukrywał się chyba gdzieś poza Pragą. Członków sekretariatu - Cisarza, Sadowskiego, Slavika, Erbana i Volenika - nie zaproszono do Moskwy, a pozostali członkowie dubczekowskiego kierownictwa KPCz byli już na Kremlu. Część z nich znalazła się tam w świącie Ludvika Svobody, część zaś w delegację partyjną przekształciła się z więźniów, przemocą wywiezionych z kraju w sowieckich samolotach, a następnie przetrzymywanych pod nadzorem KGB w jakichś obiektach policyjnych w Karpatach.

Z Pragi lecieliśmy samolotem wojskowym, w którym prócz nas podróżowało tylko paru oficerów i kilka skrzyń materiałów filmowych, nakręconych przez sowieckich operatorów w Pradze w pierwszych dniach okupacji. Siedzieliśmy w milczeniu, nie było zresztą o czym mówić po wszystkim, co wiedzieliśmy wzajemnie o swoim zachowaniu w ostatnich dniach. Około dziewiątej rano czasu moskiewskiego w niedzielę 25 sierpnia samolot wylądował na lotnisku Wnukowe pod Moskwą. Okazałe rządowe limuzyny marki "czajka" zawiozły nas do rządowych willi na Wzgórzach Leninowskich, zaledwie kilkaset metrów od gmachu uniwersytetu.

Tak więc po trzynastu latach oglądałem tę samą panoramę Moskwy, którą widywałem codziennie, gdy mieszkając tu jako student. Dobrze znany mi widok, we wspomnieniach związany raczej tylko z miłymi zdarzeniami z lat studiów, stał się nagle rzeczywistością. A jednocześnie tylko niewiele godzin dzieliło mnie od rzeczywistości praskiej. W porannym słońcu rozciągała się przede mną ta sama Moskwa, co przed laty, ale obraz jej przesłaniała mi sceneria ulic mojego miasta, w których o świącie widać było długie lufy czołgów i sylwetki obcych żołnierzy z pistoletami maszynowymi. Nie byłem w Moskwie meji młodości, ale w stolicy okupanta. Miejsce kolegów ze studiów zajęli grzeszni wprawdzie, lecz wciąż czujni cywilni i mundurowani nadzorcy z KGB. Absurdalność tej chwili unaoczniała mi absurdalność mojego dotychczasowego życia; ogarnęło mnie gorące pragnienie, by w ogóle nie istnieć. Istniałem jednak - a co więcej, za chwilę już miałem z jasnym umysłem rozmawiać o tym, co będzie dalej, jakim nowym absurdem pokryć wszystkie uprzednie.

Na Kremlu wprowadzono nas do sali, w której byli już ci, co składali się na orszak Svobody, ale stał też tam Czernik, już znowu jako premier, znajdowali się także Smkovsky, Szpaczek i Szimon. Brakło jednak Dubczeka, Kriegla - oraz Indry. Przywiozłem z Pragi wielką teczkę pełną różnych materiałów - gazet, ulotek, informacji od kierownictwa partii z Wysoczan - a dla wszystkich początkowo aresztowanych miałem również prywatne listy od ich współpracowników, dla niektórych zaś także od rodzin. Były tam też listy wysoczańskie prezydium do Dubczeka i do Svobody. Chciałem więc jak najszybciej porozmawiać z Dubczekiem. Ludvik Svoboda powiedział, że Dubczek leży i nie może uczestniczyć w rozmowach, lecz zaprowadzi mnie do niego. Leżał w jednym z pokoiów przydzielonych Svobodzie i jego świącie bezpośrednio na Kremlu. Wiódł mnie bodajże przez dwa sąsiednie pokoje, potem otworzył kolejne drzwi i ujrzałem Dubczeka.

Leżał w łóżku, a że było gorąco, odsunął kołdrę. Był półnagi, bezwładny, jakby pod wpływem jakichś środków uspokajających. Na czole miał niewielką ranę, zaklejoną lepkoplastem. Na twarzy malował mu się nieobecny wyraz człowieka oszołomionego narkotykami. Oprzytomniał jednak, gdy wszedłem, otworzył oczy i uśmiechnął się. Przypominały mi się obrazki ze świętym Szczepanem, uśmiechającym się w chwili męczeńskiej śmierci: Dubczek miał taką samą cierpienniczą minę, a linie rozchodzące się promieniści po wielkiej białej po-

duszcze, w której toniła jego głowa, zastępowały brakującą aureolę. Podszedłem do niego i pogładziłem go po twarzy. Mówił z przerwami i bełkotliwie. Powiedział, że teraz nie może czytać żadnych listów i prosił, żebym wsunął mu je pod poduszkę. Zrobiłem to i usiłowałem jeszcze przekazać mu coś ustnie. Jego stan nie pozwalał jednak na rzeczową rozmowę. Posiedziałem chwilę na jego łóżku, po czym się z nim rozstałem.

Dubczek był wtedy kompletnie załamany nerwowo. Czoło skaleczył uderzając się o kant unywalki, kiedy upadł w łazience. Opatrzył go osobisty lekarz prezydenta. Po południu jego stan się poprawił. Rozmawiał z nim wtedy Czernik, a zdaje mi się, że także Smrkovsky. Ja widziałem się z nim powtórnie dopiero następnego dnia, tuż przed rozpoczęciem oficjalnej części rozmów, kiedy mieliśmy już podpisać osławiony "protokół moskiewski". W czasie przygotowywania tekstu tego protokołu Dubczek nie uczestniczył w żadnych naszych kolektywnych rozmowach i dyskusjach.

W rokowaniach nie uczestniczył także Frantisek Kriegel, którego nie było wcale na Kremlu. Jak okazało się następnego dnia, kierownictwo sowieckie dokładało starań, by nie był dopuszczony na obrady, a później również - by w ogóle nie wrócił już do Pragi. Lecz o tym będzie jeszcze mowa.

Również Alois Indra nie brał udziału w ówczesnych rozmowach. Był chory i leżał gdzieś poza terenem Kremla, chyba w szpitalu. Wtedy mówiono, że cierpi na chorobę Ménière'a. Pasowałoby to niezmiernie do sytuacji, choroba ta polega bowiem m.in. na zaburzeniach równowagi. Niezależnie od swych dolegliwości Indra miał wtedy dość powodów, żeby nie czuć się pewnie, i naprawdę nie wiedział, czy jest na wozie, czy pod wozem. Bezsporne było tylko, że z rewolucyjnego rządu robotniczo-chłopskiego nic nie wyszło.

Dwaj członkowie rządu, ministrowie Dzur i Kuczera, też nie uczestniczyli w rozmowach o tekście protokołu moskiewskiego. Prowadziło je prezydium partii, a z innych osób wypowiadali się w tej sprawie tylko Ludvík Svoboda i Gustav Husak. Jak zobaczymy, w ogóle jednak trudno nazwać to rozmowami - i to z dwóch względów: Ze strony sowieckiej aż do podpisania protokołu wieczorem 26 sierpnia naszymi partnerami nigdy nie były żadne organy, tylko różne osoby, które przedstawiały projekty w formie ultimatywnej. Także po stronie czechosłowackiej z wyjątkiem posiedzenia w nocy 25 sierpnia nie można mówić o jakimś kolektywnym stanowisku. Przyczyny takiego postępowania strony sowieckiej były jasne: nie chodziło jej o rozmowy, tylko o to, byśmy przyjęli narzucone warunki kapitulacji. Koniec końców już doświadczenie z Czerwnej nad Cisą wskazywało, że nawet kilkudniowe rozmowy nie wiodłyby do spełnienia sowieckich zamiarów. Również po stronie czechosłowackiej sytuacja była jasna: kierownictwo partii rozdzieliło się na tych, którzy chcieli utworzyć "rewolucyjny rząd robotniczo-chłopski", i na tych, których rząd ten miał postawić przed sądem. Było z góry pewne, że grupa, która wykazywała gotowość pojęcia na tę imprezę, tym bardziej wyrazi zgodę na wszystko, co politbiuro moskiewskie wpakuje do końcowego protokołu. Zaangażowana w rozmowami była więc tylko pozostała grupa z kierownictwa dubczekowskiego - Czernik, Smrkovsky, Szpantek, Szimon i ja - jak też Svoboda i Husak, którzy wtedy nie należeli jednoznacznie do żadnej z wymienionych grup.

Gdy przed południem 25 sierpnia zjawiłem się na Kremlu, coś niecoś było już - w ciągu uprzednich dwóch dni - uzgodnione. Nie dysponuję szczególnymi informacjami, jak przebiegały rozmowy przed moim przybyciem, kto brał w nich udział i jakie poglądy reprezentował. Mówiąc więc o rozmowach mam na myśli ich przebieg w dniach 25 i 26 sierpnia. Przed moim przyjazdem zostały już rozstrzygnięte trzy ważne zagadnienia. Pierwsze - na korzyść grupy Dubczeka: odpadła możliwość zainstalowania jakiegś innej ekipy kierowniczej, niż ta, która stała na czele partii i państwa przed dniem 20 sierpnia 1968 r. - czyli strona sowiecka w tym punkcie pogodziła się ze swą porażką. Jednakże dwie pozostałe rozpatrzone już sprawy rozstrzygnięto na korzyść Moskwy: obrady XIV zjazdu KPCz na Wysoczanach uznano za nieważne, a poza tym przedstawiciele

CSRS zgodzili się, by Rada Bezpieczeństwa ONZ zdjęła problem Czechosłowacji z porządku dziennego. Zdaje mi się, że również Smrkovsky, Szpaczek i Szimon przybyli dopiero wtedy, gdy decyzje w tych sprawach już zapadły. W omawianiu ich uczestniczył Ludvik Svoboda ze swoją świtą, a także Dubczek i Czernik.

Powróciwszy z pokoju, gdzie leżał Dubczek, poinformowałem wszystkich obecnych o sytuacji w kraju, a ściślej mówiąc - o moim poglądzie na tę sytuację. W wielkim skrócie me stanowisko było mniej więcej takie: W rezultacie biernego oporu całego narodu władza okupantów przeżywa kryzys i nie dysponuje środkami, które pozwoliłyby jej skutecznie zapanować nad sytuacją - jeśli nie zdecyduje się podjąć działań zbrojnych przeciw ludności cywilnej. Zjazd wysoczański sprawił, że KPCz cieszy się wśród ludności autorytetem, parlament i rząd uznają ten zjazd i stanowczo przeciwstawiają się okupacji. Wszystko to razem powoduje, że struktura władzy jest ustabilizowana, okupant nie zdolał jej zburzyć. Stan ten jest jednak typowym prowizorium, co może być niebezpieczne: wystarczy kilka niezbyt skomplikowanych prowokacji, a dojdzie do konfliktów, władza okupacyjna przestanie panować nad swoimi nerwami i sytuacja wywniknie się obu stronom z rąk. Powszechnie oczekuje się, że rozwiązanie zostanie znalezione tutaj, w toku rozmów na Kremlu. Dubczek, Svoboda, Czernik i Smrkovsky mają ogromny autorytet i jeśli jednomyślnie opowiedzą się za rozwiązaniem, które zdokony osiągnąć w Moskwie, zaaprobuje je również olbrzymia większość ludzi w kraju. Składnikiem kompromisu, do którego tu dojdzie, musi być jednak gwarancja, że obce wojska zostaną wycofane z Czechosłowacji, i to w miarę możliwości z określeniem terminu, jak też druga - że linia polityczna nadal pozostanie zgodna z duchem Programu Działania KPCz. Następnie przedstawiłem bardziej szczegółowo doniosłą rolę radia i prasy oraz warunki, w jakich pracują. I rozdałem obecnym całą teczkę gazet i ulotek, poglądowo dokumentujących sytuację.

Padło wiele pytań, a ponadto wywiązała się dyskusja nad różnymi aspektami obecnego położenia. Z nowo przybyłych mówili głównie, jeśli dobrze pamiętam, Szvestka i Lenart. Nie podkreślali tak bardzo siły oporu całego narodu, lecz przeciwnie, wszelkimi sposobami zwracali uwagę na niebezpieczeństwo, jakim groziło dalsze odleknięcie znalezienia wyjścia. Mówili o potrzebie współpracy między naszymi organami państwowymi a władzą okupacyjną w kwestiach praktycznych, które w przeciwnym razie mogłyby prowadzić do niepożądanego konfliktów między wojskami okupantów a ludnością itd. W sumie jednak nawet oni nie proponowali innego rozwiązania politycznego, nie przeczyli, że wycofanie obcych wojsk i potwierdzenie linii Programu Działania są koniecznym warunkiem wszelkich rokowań. O niezbędnej "bratniej pomocy przeciw kontrrewolucji" ani o tym, że polityka Programu Działania jest "prawicowo-oportunistyczna", wtedy nie padło jeszcze ani słowo.

Następnie w prywatnej rozmowie poinformowałem jeszcze zwięźle Czernika, Smrkovskiego, Szpaczka i Szimona, jak w ambasadzie sowieckiej Bilak, Indra, Jakesz i inni usiłowali skompletować rząd i czym się to skończyło. Oni zaś opowiedzieli mi pokrótce, jak spędzili czas od chwili, gdy 21 sierpnia widzieliśmy się po raz ostatni w gabinecie Dubczeka. Uzgodniliśmy też jednolite postępowanie naszej piątki w nadchodzącej fazie rozmów moskiewskich - i oczywiście także jedność z Dubczekiem, kiedy znów będzie zdolny wziąć udział w rokowaniach.

Potem Czernik powiedział mi, że musimy opracować nasz wniosek na posiedzenie końcowe i jak najszybciej przedstawić go politbiuru sowieckiemu. Miał już własny szkic, który jeszcze przedyskutowaliśmy z innymi, po czym wraz z Bohumilem Szimonem zacząłem opracowywać definitywną wersję tekstu. Po południu w kremłowskiej hali maszyn dyktowałem ją po rosyjsku tamtejszej maszynistce.

Co się tyczy treści, projekt był w istocie zmienionym wariantem stanowiska, jakie zajęło prezydium KC KPCz w lipcu wobec warszawskiego listu pięciu

przyszłych interwentów. Oczywiście niektóre argumenty, jak i ogólny ton dostowaliśmy do nowej sytuacji: Wypukłone zostały wprowadzić cechy negatywne, w szczególności uznaliśmy, że silny nacisk polityczny był sprzeczny z zamiarami kierownictwa i wynikał się jego kontroli, nadal jednak odmawialiśmy uznania sytuacji za "kontrrewolucyjną", a za główną tendencję uważaliśmy pozytywny socjalistyczny i demokratyczny nurt ruchu całego narodu. Zgadzałyśmy się, że sytuacja w CSRS mogła dawać pięciu bratnim krajom powody do niepokoju oraz że kierownictwo KPCz nie doceniło tego faktu - samą interwencję jednakże ocenialiśmy jako krok, który nie przynosi pożądanego rozwiązania, jest w istocie tragicznym błędem, toteż należy przede wszystkim wycofać wojska pięciu państw z Czechosłowacji. Na tej podstawie trzeba będzie, ujmując rzecz skrótowo, dostosować dalszy przebieg reformy w CSRS do wspólnych interesów wszystkich państw socjalistycznych. Pod tym względem za możliwy punkt wyjścia uznawaliśmy porozumienie zawarte w Bratysławie. Co się tyczy polityki wewnętrznej, również na przyszłość za podstawowy dokument, określający jej dalszą linię, uważaliśmy Program Działania KPCz. Tekst projektu przekazał politbiuru sowieckiemu, o ile się nie mylę, Oldrich Czernik.

Projekt doprowadził sowieckie politbiuro do wściekłości. Zwróciło go z uwagą, że nasza delegacja powinna sobie uświadomić, że nie jest w położeniu, które by pozwalało jej przedkładać ultimata. I żebyśmy to należycie pojęli, strona sowiecka przedstawiła swój projekt, który naprawdę miał postać ultimatum - i który ostatecznie stał się podstawą podpisanego "protokołu moskiewskiego". Początkowo to sowieckie ultimatum odrzuciliśmy właściwie wszyscy. Nie opowiedzieli się za nim nawet członkowie grupy promoskiewskiej. O naszym negatywnym stanowisku powiadomił sowieckie politbiuro Smrkovsky.

Dziś już nawet dokładnie nie pamiętam, ile razy i z jakich powodów różne wersje projektu były zwracane i przerabiane. Arkusze z różnymi projektami tekstu i z uwagami do nich dwaj albo trzej członkowie naszej delegacji przekazywali zawsze jednemu lub dwóm przedstawicielom strony sowieckiej. Ci - zależnie od tego, czy byli, czy nie byli upoważnieni do natychmiastowego zajęcia stanowiska - albo zwracali nam papiery od razu, albo po pewnym czasie, przeważnie odrzucając nasze projekty i uwagi. Z naszej strony występowali przy takich okazjach: Czernik, Smrkovsky, Szvestka, Lenart, Szimon i Mlynarz. Partnerami ze strony sowieckiej byli Kosygin, Susłow i Ponomariow. Ja wraz z Szimonem miałem do czynienia z Ponomariowem.

Podczas gdy toczyła się ta papierkowa wojna, reszta zajmowała się czym kto chciał. W ciągu dnia Breżniew i Kosygin rozmawiali także oddzielnie z niektórymi członkami naszej delegacji. Nie wiedziałem, co robią członkowie promoskiewskiej grupy naszego kierownictwa - Bilak, Jakesz i inni - ale już mnie to nie ciekawiło. Ponieważ pisałem różne projekty i uwagi, rzadko byłem obecny w pokoju, w którym jakoby kolektywnie obradowano. Przeważnie jednak znajdowała się tam tylko mała część delegacji i obecni debatowali w małych grupkach o najróżniejszych sprawach.

Późnym popołudniem, gdy politbiuro sowieckie stanowczo odrzuciło nasz projekt jako niedopuszczalne "ultimatum", rozmawiało się już wyłącznie o projekcie sowieckim. Pierwotna jego wersja różniła się od ostatecznej, podpisanej później, głównie w trzech punktach: 1. Zawierała tezę uznającą interwencję zbrojną za uzasadnioną. 2. Nie było w niej natomiast ani słowa na temat wycofania wojsk sowieckich z Czechosłowacji. 3. I wreszcie nie uznawała też słuszności linii politycznej KPCz; przeciwnie, sformułowania zobowiązujące do nieuznania XIV zjazdu oraz do pozbycia się niektórych funkcjonariuszy /konkretnie Kriegla, Cisarza, Szima, ministra spraw wewnętrznych Pavla i ministra spraw zagranicznych Hajka/ można było odczytać jako oskarżenie przeciw całej w ogóle reformistycznej polityce partii. Przewlekłe rokowania skoncentrowały się więc na doprowadzeniu do zmiany tekstu w tych trzech konkretnych punktach.

Promoskiewska grupa w dubczekowskim kierownictwie KPCz na ogół zachowywała się biernie. Z jej punktu widzenia było to nawet rozsądne: wiedziała, że słowa nie mają aż tak wielkiego znaczenia. Dlatego żaden z jej członków nie popierał otwarcie projektu sowieckiego w pierwotnym brzmieniu i nie sprzeciwiał się zabiegom naszej delegacji o zmiany. Sami jednak żadnych zmian nie proponowali, czekając tylko na ostateczny wynik słownego pojedynku. Aktywnie za to zamysły sowieckie pomagali forsować dwaj członkowie naszej delegacji, nie należący wówczas do kierownictwa partii: Ludvik Svoboda i Gustav Husak. Svoboda przy tym - nawet jeśli było to jednostronne - wychodził przynajmniej z założenia, że każda godzina zwłoki zwiększa niebezpieczeństwo wybuchu w Czechosłowacji konfliktu między obcym wojskiem a ludnością cywilną. Husak natomiast najzwyczajniej wysługiwał się stronie sowieckiej, wszelką dyskusję o XIV zjeździe KPCz sprowadzając do argumentu: zjazd wysoczański trzeba uznać za nieważny, gdyż odbywał się bez udziału delegatów ze Słowacji.

Wszystko wskazuje na to, że Svoboda pogląd na sytuację wyrobił sobie już w nocy z 20 na 21 sierpnia i potem się go trzymał. Właściwie nie tylko nie był politykiem reformistycznym, ale też politykiem w ogóle. Był to żołnierz, przedwojenny oficer armii pierwszej Republiki Czechosłowackiej, który w wyniku zbiegu okoliczności został dowódcą naszej jednostki podczas wojny walczącej w ZSSR, u boku Armii Sowieckiej. Już wtedy, podczas wojny, stał się zwolennikiem koncepcji związania Czechosłowacji ze Związkiem Sowieckim, ze wszystkimi wynikającymi stąd konsekwencjami. Jako minister obrony narodowej przed lutym 1948 r. formalnie był wprawdzie bezpartyjny, faktycznie jednak reprezentował nie tylko KPCz, ale także orientacją zdecydowanie prosowiecką, bez nadmiernych ceregieli, jeśli chodzi o suwerenność państwa wobec ZSSR. Myślał dychotomicznie, oceniając wszystko z żołnierską szorstkością: albo z Armią Sowiecką, albo przeciwko niej. Chyba w ogóle bardziej był prosowieckim żołnierzem, niż komunistą. Dogmaty komunistycznej ideologii i praktyka totalitarna były mu raczej dość obce, lecz żywił przekonanie o konieczności orientowania się Czechosłowacji na Związek Sowiecki.

W tych kategoriach, siłą rzeczy, oceniał sytuację również w sierpniu 1968 r. Zbliżało go to nieuniknienie do rozumowania sowieckich marszałków, dla których problemy demokracji istniały tylko o tyle, o ile wiązały się ze sprawą panowania militarnego nad obszarem geograficznym, na którym leży Czechosłowacja. Ludvik Svoboda nie miał nic przeciw temu, żeby opanowali ten obszar - tu mamy klucz do zrozumienia jego postawy politycznej. Po wybraniu go na prezydenta w marcu 1968 r. złożył co prawda wieniec na grobie Masaryka w Lanach, i zrobił to zapewne czując pewien sentyment do tego założyciela państwa: chciał chyba być podobny raczej do przedwojennych poprzedników na tym urzędzie, niż do Nowotnego. Gdyby nie doszło do interwencji zbrojnej, również Svoboda nadal byłby za rozwojem w CSRS demokracji. Lecz skoro musiał podjąć decyzję, czy podporządkować się orientacji na ZSSR, czy też nie - jego wybór był po żołniersku jednoznaczny: promoskiewski.

Gdy w nocy 22 sierpnia powiedział mi, że pojedzie do Moskwy, by doprowadzić do powrotu Dubczeka, i zaraz dodał, że Dubczek poda się następnie do dymisji i wszystko będzie w porządku, widziałem w tym jeszcze niewytłumaczalną sprzeczność. Teraz jednak, kiedy obserwowałem go na Kremlu, sprzeczność przestała być dla mnie niewyjaśniona. Na gruncie jego poglądów chyba nawet nie było jej zupełnie. Istniała tylko dla tych, którzy interesy demokratycznej reformy politycznej w Czechosłowacji stawiali wyżej, niż wyniki rozważań sowieckich marszałków. Skoro zaś on - przeciwnie - demokratyczną reformę uzależniał od tego, czy można ją pogodzić z koncepcjami militarnymi owych marszałków, sprzeczność zniknęła. Był przeciwny zakatwieniu sprawy jak u Tatarów: przez porwanie i zamordowanie działaczy państwowych. Ale nie był przeciwny odsunięciu od władzy polityków niemiłych Moskwie w sposób kulturalniejszy - chociażby w drodze dymisji. Nie był zwolennikiem interwencji ze wszystkimi

wynikającymi z takiej postawy konsekwencjami, chciał jedynie, żeby forma i metoda przewrotu nie była barbarzyńska i nie prowadziła do rozlewu krwi.

Podczas rozmów na Kremlu pewnego razu Svoboda zaczął krzyczeć na całe dubczekowskie kierownictwo:

- Znowu głędzicie i głędzicie! Doględziliście się już do tego, że kraj jest zajęty! To już zachowujcie się odpowiednio do tej sytuacji i rokujcie. Ja widziałem w moim życiu stosy trupów i nie pozwolę, by przez wasze gadanie zginęły tysiące ludzi!

Niebezpieczeństwo rozlewu krwi nie było owocem fantazji Svobody. Przecież także w liście skierowanym do niego przez wysoczańskie kierownictwo partii, prezydium Zgromadzenia Narodowego i rząd /sam przywiozłem mu go do Moskwy/ pisano: "Niebezpiecznym czynnikiem jest wzrost zmęczenia i napięcia nerwowego wojsk okupacyjnych oraz naszej ludności". Nadawcy tego listu na pierwszym miejscu stawiali jednak interes demokracji w CSRS, toteż zachęcali Svobodę, by przerwał pertraktacje moskiewskie, razem z Dubczkiem i Czernikiem wrócił do Pragi, pomógł uspokoić nastroje, skonsultował się w kraju, a potem znów kontynuował rokowania.

Sam Svoboda zapatrywał się na sprawy inaczej: on też chciał wrócić jak najprędzej, ale z układem w kieszeni - i w ten sposób zakończyć prowizorium. W Moskwie rozmawiał nie tylko z Breżniewem, ale i z marszałkami. Co do swojej pozycji, nie żywił chyba tylu złudzeń, co ci, którzy napisali do niego listy w Pradze. Wiedział, że choćby nawet chciał, nie powróci do Pragi, dopóki nie podpisze układu, czyli ściślej - dyktatu Kremła. Wewnętrznie nie szkodziło mu to, wyjeżdżał z kraju mając już świadomość, że to zrobi. Z jego punktu widzenia opór nie miał sensu, było to tylko głędzenie polityków.

Co się tyczy żywionego przez Svobodę przekonania, że śmierć ludzi była by w istniejącej sytuacji ofiarą z góry daremną, powiedziałem już na początku rozdziału, że w pełni je podzielałem. Podczas rozmów na Kremlu Svoboda wciąż groził naszej delegacji tymi ofiarami oraz stosami trupów, przymuszał ją do szybkiego zakończenia rozmów i było mu zupełnie obojętne, jaki obszar działania wyznaczy tekst protokołu przyszłej polityce KPCz. Niewątpliwie w ten sposób działał na rzecz strony sowieckiej. A mimo to przeciwny jestem utożsamianiu Ludvika Svobody z ludźmi typu Bilaka, Indry, Jakesza i innych, którzy jako zwolennicy totalitarnej dyktatury po kryjomu uczestniczyli już w przygotowaniach do zbrojnej interwencji, a także typu Husaka, który niewłocznie stanął po stronie interwentów, by zaspokoić swą żądzę władzy. Motywy postępowania Svobody były inne. Osobiście nie zgadzam się z nimi, nie były moimi motywami wtedy i nie są dziś - staram się je tylko zrozumieć, nie zaś usprawiedliwić.

Moim zdaniem problem Ludvika Svobody nie polega na tym, że w decydującej chwili zarządził demokratyczną reformę "Praskiej Wiosny". W rzeczywistości stało się tak, że "Praska Wiosna" zrobiła głową państwa człowieka, który nigdy nie był politykiem demokratycznym; mianowicie naszego, czechosłowackiego starszego marszałka, którego mentalność pod niejednym względem przypominała mentalność starych marszałków w Moskwie. Czechosłowacja nie jest mocarstwem, toteż i nasz marszałek nie miał agresywnych, wielkomocarstwowych apetytów. Przeciwnie, jako mały marszałek po żołniersku podporządkowywał się marszałkom wielkim, z którymi dawno już - i na zawsze - związał swe losy.

W sierpniu 1968 r. Moskwa użyła Ludvika Svobody. W następnych latach zaś go - wraz z husakowskim kierownictwem KPCz - już nadużyła. Svoboda zabrnął w antyreformistyczną politykę "normalizacji" i służył jej jako smutna dekoracja. Stało się to możliwe dzięki jego prymitywnym prosowieckim poglądom, potęgąjącej się sklerozie, a chyba także zarozumiałstwu, tak często spotykanemu u tych, którzy są żołnierzami nie tylko z zawodu, ale i z charakteru. Wreszcie stał się personą dla narodu żenującą, a dla rzeczywistych władców nie do zniesienia, wobec czego w 1975 r. został usunięty ze sceny.

Gustav Husak wówczas na Kremlu podjął swą wielką grę, w której stawką było najwyższe stanowisko w KPCz. Prawdą jest, że popierał wtedy dwa główne postulaty reformistycznego skrzydła kierownictwa partii: żeby w protokole końcowym znalazła się gwarancja wycofania obcych armii z terytorium CSRS oraz żeby potwierdzić w nim słuszność linii Programu Działania KPCz. Zarazem jednak konsekwentnie i nieustępliwie bronił postulatu sowieckiego: uznania XIV zjazdu KPCz na Vysoczanach za nieważny. Ta sprawa, jak już mówiłem, została wstępnie rozstrzygnięta przed moim przyjazdem. Pomimo to raz jeszcze stała się przedmiotem dyskusji - szukano możliwości wyjścia strawniejszego politycznie, kompromisowego.

Byłem bardzo zainteresowany, żeby się takie wyjście znalazło. Uważałem za absurd, żeby na mocy jakiegoś porozumienia z politbiurem moskiewskim XIV zjazd KPCz, który w aspekcie wewnątrzpolitycznym odegrał tak doniosłą rolę dla ratowania zarówno pozycji KPCz wśród ludności, jak i życia oraz stanowisk aresztowanych członków dubczekowskiego kierownictwa, został po prostu skasowany. Przyjechałem do Moskwy także z ramienia kierownictwa partii wybranego przez ten zjazd i koniec końców zobowiązywało mnie to również osobiście. Sam co prawda nie byłem członkiem prezydium, które wybrał nowy KC KPCz na Vysoczanach, byli nimi jednakże Dubczek, Czernik, Smrkovsky, Szpaczek, Szimon i Husak. Formalnie biorąc, oni więc byli bardziej powołani do obrony /albo przeciwnie, potępienia/ pozycji vysoczańskieg0 zjazdu. Żaden z nich jednak nie był na Vysoczanach, nie wyobrażał sobie, jaka tam panowała atmosfera i jakie są również teraz nadzieje tych, którzy reprezentują tam KPCz. Ja natomiast wciąż miałem przed oczyma konkretne osoby tam, w zakładach CzeKaDe, i nie mogłem nie myśleć, co powiedziałoby na propozycje, by wszystkie ich wysiłki w dniach okupacji uznać po prostu za "niebyłe".

Także Smrkovsky, Szpaczek i Szimon, którzy przybyli na Kreml, gdy nasza delegacja wyraziła już wstępnie aprobatę dla wniosku o uznanie zjazdu za nieważny, starali się, żeby to zagadnienie jeszcze raz stało się tematem dyskusji. Oni też nie uważali, że można tak zwyczajnie zrezygnować z wyników XIV zjazdu, który uratował również ich osobiście. Debатовano więc wciąż nad tym problemem, szukając nowego rozwiązania. Możliwy do przyjęcia kompromis dostrzeżliśny wreszcie w tym, by nie uznać za ważne wyborów do nowego KC - na czym politbiuru moskiewskiemu zależało najbardziej. Punktem wyjścia mogło tu być stwierdzenie samego XIV zjazdu, że wyniki wyborów nie są ostateczne, że obrady nie zostały zamknięte. W najbliższym czasie - wtedy spodziewaliśmy się, że w terminie do dwóch miesięcy - po wycofaniu większości wojsk sowieckich z terytorium CSRS, zjazd zbierze się ponownie, skoryguje swoje uchwały i wybierze nowy KC. Zanim to nastąpi, do starego KC oraz jego prezydium dokooptuje się takich członków KC vysoczańskieg0, którzy zapewnią przewagę w tych organach komunistom reformistycznym. W protokole końcowym więc sprawa nieważności obrad zjazdu na Vysoczanach miała być tak ujęta, by umożliwić tego rodzaju rozwiązanie. Ostatecznie powiodło się to i kompromis wszedł w życie na posiedzeniu plenarnym KC KPCz 31 sierpnia, po powrocie kierownictwa dubczekowskiego z Moskwy do Pragi.

Husak, który prowadził zakulisowe rozmowy z członkami politbiura sowieckiego, najwidoczniej przyrzekł im przeformować w delegacji KPCz ich postulat unieważnienia XIV zjazdu - i dokonał tego, utrudniając osiągnięcie kompromisu. Ostatecznie jednak on też wyraził zgodę na rozwiązanie kompromisowe, bo przyswierał mu silny motyw osobisty: dotychczas nie był nawet członkiem KC KPCz - a tu zjazd vysoczańsk0 wybrał go do prezydium. Kompromis zapewniał mu więc, że będzie dokooptowany do tego organu. Początkowo Husak planując swą karierę brał pod uwagę także inny wariant: liczył na to, że w Słowacji, na zjeździe KPS, będzie wybrany na pierwszego sekretarza tej partii i w ten sposób stanie się niezależny od zjazdu vysoczańskieg0. Telefonował przeto z Moskwy do Bratysławy i domagał się odroczenia zjazdu

słowackiego - który został zwołany na 26 sierpnia - do czasu powrotu delegacji z Moskwy. Jego ludzie obiecali mu to i gdy przybyłem do Moskwy, Husak żył w przeświadczeniu, że zjazd w Słowacji jeszcze się nie odbędzie. Powiadomiłem go, że się myli, że wiem z całą pewnością, iż zjazd zacznie się jutro, że zaaprobuje obrady zjazdu wysoczańskiego i że będzie na nim obecna delegacja z Vysoczan. Podałem mu też jej skład, który został ustalony, zanim opuściłem Vysoczany. Husak wysłuchał, co mu miałem do powiedzenia, z pewnym siebie i pogardliwym uśmieszkiem popatrzył na mnie jak na głupka, który nie wie, jak robi się politykę, i zarozumiale orzekł, że wszystko to jest bzdurą: zjazd w Bratysławie nie będzie, on wie to doskonale i zależy to przecież od niego.

Do wieczora już chyba sprawdził, że w Bratysławie zjazd rzeczywiście rozpocznie się nazajutrz. Wiedział więc też, że będzie się odbywać pod jego nieobecność. Nadszarpnęło to jego pewność siebie i sprawiło, że stał się bardziej skłonny w sprawie wysoczańskiego zjazdu KPCz poszukać kompromisu, który umożliwiłoby dokooptowanie niektórych wybranych tam osób do najwyższych organów partii. Bo i dla niego w końcu mogło to stać się jedyną drogą do władzy. Udało mu się jednak urzeczywistnić również początkowy zamiar: zjazd KPS zaczął się wprawdzie 26 sierpnia, ale już następnego dnia zdażył się na nim zjawić. Przerosował tam unieważnienie zjazdu wysoczańskiego, wywiązując się ze swych moskiewskich zobowiązań - a zarazem dzięki wybraniu go na pierwszego sekretarza partii w Słowacji automatycznie miał przed sobą otwartą drogę do politbiura w Pradze, niezależnie od zjazdu wysoczańskiego. Pierwszego wieczora obrad, pod nieobecność Husaka, zjazd słowacki podjął jednak uchwałę przeciwko interwencji, w tym samym duchu, co i zjazd wysoczański.

Podczas rozmów na Kremlu Husak zawsze poczynił sobie tak, żeby sprawiać wrażenie przyjaciela i sprzymierzeńca Dubczeka, Svobody i Czernika. Zwłaszcza Svobodę zawsze w jakiś sposób popierał, bezpośrednio albo pośrednio. Natomiast jego stosunek do Štikovskiego już wtedy cechowała pewna rezerwa i powściągliwość. Tacy ludzie jak Szpacniak, Šimon czy ja nie byli dla niego dostatecznie ważnymi figurami w strukturze władzy, żeby miał uzewnętrzniać swe nastawienie do nich. Wtedy jednak nie wiązał się też z grupą promoskiewską - ze swymi dzisiejszymi kamratami: Bilakiem, Indrą, Jakeszem i innymi. Na członkach moskiewskiego politbiura wywarł wszakże dobre wrażenie. Przed odlotem z Moskwy rzekł mi wtedy Kosygin:

- A ten towarzysz Husak to taki zdolny towarzysz, wspaniały komunista. Nie znaleźliśmy go osobiście, ale tutaj bardzo się nam spodobał.

Nie należałem nigdy do tych, którzy mieli zdziwienia co do Husaka. Osobiście poznałem go bardzo późno - dopiero w marcu 1963 r. - kiedy obaj byliśmy jeszcze pracownikami akademii nauk, on w Bratysławie, a ja w Pradze. Na posiedzeniu zespołu badawczego, którym kierowałem i który zajmował się problematyką ewolucji systemu politycznego w Czechosłowacji, omawiano wtedy zagadnienie państwoprawnego uregulowania stosunków narodowościowych między Czechami a Słowakami. W posiedzeniu brał udział także Gustav Husak.

W owym czasie wiedziałem już o nim wiele od różnych jego przyjaciół i wrogów. Spodziewałem się ambitnego polityka, starającego się powrócić do świata władzy - lecz rzeczywistość przeszła wszelkie moje oczekiwania. Na posiedzeniu zespołu, gdzie wszyscy zwykliśmy zabierać głos rzeczowo, otwarcie i z tolerancją dla rozmaitych poglądów, Husak przemawiał jak przywódca polityczny, który daje wytyczne i życzliwie objaśnia ciemnemu ludowi słuszną "linię". Jeśli chodzi o treść, jego przemowa była nader konserwatywna: powtarzał banalne frazesy z "Państwa a rewolucji" Lenina - przede wszystkim takie, których treść dawno już została zanegowana przez przemiany zachodzące w Związku Sowieckim i innych państwach sowieckiego bloku - i pryncypialnie odrzucał wszelkie koncepcje zmierzające do nadania socjalistycznemu systemowi politycznemu postaci pluralistycznie-demokratycznej. Za rozwiązanie

kwestii narodowej uważał federalizację państwa. Całe jego wystąpienie było apodyktyczne, miejscami zaś aroganckie i demagogiczne.

Podsumowując dyskusję powiedziałem mu wówczas, że jako przemówienie na wiecu byłoby to nienajgorsze, ale myśli to w jego wystąpieniu nie było żadnej. Husak ledwie hamował wybuch wściekłości: było jasne, że zrobiłem sobie z niego wroga. Ale wrażenie, jakie wtedy na mnie wywarł, było tak jednoznacznie negatywne, że nie pragnąłem się z nim zaprzyjaźnić i było mi to zupełnie obojętne.

Husak, z wykształcenia prawnik, już przed wojną należał do kręgu komunistycznej inteligencji w Słowacji, potem działał w podziemiu, a swą szczytową rolę odegrał podczas słowackiego powstania narodowego w sierpniu 1944 r./x/. Od słowackiego powstania datuje się jednakże szczególnie, pełna sprzeczności polityczna i osobista ewolucja tego człowieka. Z pewnością można mówić o tragedii jego życia, lecz ważniejsze wydaje mi się, że ostatecznie wynikała z tego tragedia narodu, którym Husak przy sowieckiej pomocy rządzi już od dziesięciu lat.

Kontrowersyjność Husaka polega przede wszystkim na tym, że z jednej strony jako polityk należący do stalinowsko-gottwaldowskiej ekipy w KPCz, lansował jej linię i stosował jej metody, a z drugiej zawsze był postacią wyróżniającą się, przerastał zdolnościami większość ówczesnych przywódców komunistycznych, miał własne poglądy i przekonania /szczególnie co się tyczy problemów Słowacji/ i dlatego nieuniknienie popadł w konflikt ze wspomnianą ekipą. Ta podstawowa sprzeczność dostrzegalna jest w całej jego działalności politycznej.

Podczas wojny, w podziemiu komunistycznym, Husak jest nosicielem ówczesnych oficjalnych poglądów Komintermu. Tak więc np. proponuje Gottwaldowi, jako ewentualne rozwiązanie powojenne, przyłączenie Słowacji do ZSSR jako republiki związkowej, co argumentuje twierdzeniem, że jest to rzekomo skryte marzenie większości narodu słowackiego. Jednostronnie i hurtem określa Czechów, którzy w czasach faszystowskiego Państwa Słowackiego pozostali w Słowacji, jako grupę kolaborującą z Niemcami i wskazuje też, że Łydzi w ruchu oporu są elementem niepewnym i właściwie powinni być z niego usunięci. Stalinowska mentalność, założenie, że jakaś grupa społeczna - wyodrębniona według kryteriów klasowych, narodowych lub religijnych - stanowi element podejrzany, który trzeba dyskryminować albo w całości zlikwidować, jest dla Husaka równie typowa, jak dla innych członków stalinowsko-gottwaldowskiej ekipy w KPCz.

W latach powojennych, w okresie do aresztowania, które nastąpiło w 1951 r., należy do aktywnych i zdolnych realizatorów polityki stalinowskiej. Po wyborach w 1946 r. został przewodniczącym słowackiego Zespołu Pełnomocników/xx/. Było to w sytuacji, gdy komuniści w Słowacji przegrali wybory. Metody, jakie stosuje Husak, są w istocie pierwowzorem tych, które KPCz zastosuje w całym państwie w lutym 1948 r., ażeby monopolistycznie objąć władzę bez względu na wyniki wyborów. Nie waha się rozbić i dyskredytować swych przeciwników politycznych - ówczesnej Partii Demokratycznej i Kościoła katolickiego - wymyślnymi prowokacjami: jako przewodniczący Zespołu Pełnomocników aktywnie uczestniczył w montowaniu prowokacji przygotowywanych przez bezpiekę przeciw politykom niekomunistycznym i księżom. Nie ulega kwestii, że poniektórzy ludzie z szeregów opozycji antykomunistycznej w Słowacji byli wówczas powiązani z siłami pokonanymi w wojnie, z faszyzującym słowackim katolicyzmem politycznym. Husak jednak posługując się policyjnymi prowokacjami

/x/ Słowackie powstanie narodowe wybuchło 29 sierpnia i trwało do przełomu października - listopada 1944 r.

/xx/ Zespół Pełnomocników był słowackim najwyższym organem wykonawczym, istniejącym podczas powstania narodowego oraz w latach 1945 - 1960.

stwarza wrażenie, że odnosi się to do absolutnie wszystkich prądów, że wszystkie oprócz komunistów stanowią poważne zagrożenie dla samego istnienia czechosłowackiego państwa demokracji ludowej. Nie liczy na uzyskanie większości w demokratycznych wyborach, ale uprawia politykę gabinetową, której składnikiem są również policyjne prowokacje i dyktatorska przemoc.

Stalinowiec Husak różni się jednak zarazem od innych stalinowców w Bratysławie i w Pradze. Np. rzeczywiście zabiega o to, żeby interesy narodowe Słowaków nie były tłumione przez praski centralizm. Nie należy także do ludzi aparatu, których siła wynika z przeciętności i anonimowości ekipy sprawującej władzę. W znacznie większym stopniu jest zwolennikiem inteligentnej manipulacji, uprawianej przez ludzi posiadających odpowiednie zdolności, przez wykwalifikowaną elitę. Toteż ci, którym pomaga zmonopolizować władzę - stalinowski aparat KPCz oraz aparat państwowy, z policją polityczną włącznie - nigdy nie uważają go za kogoś ze swego środowiska, lecz za obcego, ambitnego indywidualistę, którego sami trochę się obawiają. W aparacie władzy mówi się o nim jako o "jaśniepańskim komuniście" - i powtarza to w różnych odmianach oficjalna propaganda partyjna w czasie jego pobytu w więzieniu oraz przez długi czas po zwolnieniu go z kryminału. Husak, który sam przyczynił się wydatnie do zwycięstwa w Czechosłowacji stalinizmu, pada jego ofiarą, gdyż innym stalinowcom wydaje się osobą niebezpiecznie utalentowaną, a rzecznikom praskiego centralizmu - niebezpiecznym przedstawicielem słowackich interesów narodowych.

W gruncie rzeczy jest więc człowiekiem wyjątkowo pechowym. Podczas słowackiego powstania pomógł Słowacji wrócić do jednolitego państwa czechosłowackiego /zapominając o uprzednich projektach przyłączenia do ZSSR/ w nadziei, że Słowacja - a tym samym również on, jako polityk słowacki - naprawdę zyska obszar, na którym będzie realizować swe interesy narodowe. W rzeczywistości jednak narodził się następnie reżim dyktatorski, centralistyczny, a wskutek tego tłumiący różne interesy społeczne, wśród nich raz jeszcze także interesy Słowacji. W latach 1945 - 51 robi wszystko, żeby umocnić monopolistyczną władzę KPCz - a tym samym również swą własną, jako polityka komunistycznego. W rzeczywistości jednak ostatecznie zostaje aresztowany i skazany na dożywocie, gdyż dyktatura, którą współtworzył, nie przyjęła go do grona swoich najwyższych i nietykalnych faworytów, ci bowiem bali się go, jako zdolnego konkurenta.

Uwięzienie Husaka było w znacznym stopniu następstwem personalnych konfliktów między nim a Viliamem Szirokim, który w politbiurze Gottwalda, później zaś Novotnego, reprezentował ów kierunek stalinowców słowackich, który skłonny był bez reszty podporządkować słowackie interesy narodowe dyktatorskiemu centralizmowi. Husak i Sziroki konkurowali z sobą o miejsce w świecie władzy w początkach lat pięćdziesiątych. Gdyby zwyciężył wtedy Husak, myślę, że kazaliby zamknąć Szirokiego i uważaliby, że postępuje słusznie. Lecz nie zmierza to do faktu, że zamknięty był Husak, że to jego skazano za "zbrodnie", których nigdy nie popełnił, i że przez dziesięć lat przeszedł golgotę stalinowskich, a później novotnowskich więzień.

Kiedy wreszcie w 1963 r. został zrehabilitowany, Novotny zaproponował mu - podobnie jak np. Smrkovskiemu - powrót do życia politycznego i objęcie stanowiska wiceministra finansów. Husak jednak odmówił. Nie sąłem go wtedy osobiście, ale sądzę, że kierowały nim dwa główne powody: słusznie wyczuł, że Novotny chce go w ten sposób ściągnąć ze Słowacji do Pragi i odizolować od jego rzeczywistego zaplecza politycznego, a jednocześnie to stanowisko wydawało mu się wtedy zapewne zbyt mało znaczące. Myślę, że spodziewał się już w tym okresie zmian większych i bardziej zasadniczych, i liczył na to, że odegra o wiele wybitniejszą rolę.

Jako polityk zdolny i niezmiernie ambitny, przebywając w więzieniu nieco się zmienił, ale pod wielu względami pozostał taki jak przedtem. Na własnej skórze przekonał się, czym jest reżim komunistycznej dyktatury dla tych, któ-

rzy znajdują się na dnie. Siebie samego jednak z pewnością nie zaliczał do ludzi, których zepchnięto tam na zawsze i "słusznie": przeciwnie, wyszedł na wolność z przekonaniem, że "słusznie" należy mu się miejsce całkiem gdzie indziej - na szczycie. Chce przecież jak najlepiej dla komunizmu, interesów klasy robotniczej i interesów Słowacji, jest przecież zdolniejszy od tych, którzy rządzą obecnie. Żywił wtedy na pewno przekonanie, że reżim trzeba zmienić. Jego wyobrażenia o niezbędnych zmianach były jednak uwarunkowane tym, w czego obronie sam występował przedtem już; wpłynęła na nie także długa izolacja od przemian zachodzących w społeczeństwie, gdy przebywał w więzieniu. Zwolniony z kryminału Husak bardziej niż polityka demokratycznego przypominał silną jednostkę przekonaną o własnym mesjanizmie i pragnącą odsunąć od władzy hultajów oraz durniów, by następnie pokazać, jak należy uprawiać politykę.

Uważam, że jest to człowiek, którego potrzeba samorealizacji wiąże się nierozłącznie ze światem polityki i władzy. W głębi duszy uważa się za powołanego do wskazywania innym, kędy biegnie właściwa droga. Jeden z czołowych komunistów reformistycznych w Słowacji, Miroslav Kusy, opowiadał mi o swym spotkaniu z Husakiem przed budynkiem KC KPS w Bratysławie rankiem 21 sierpnia 1968 r. Koło nich przejeżdżały czołgi, w mieście panowała już atmosfera pierwszych godzin okupacji. Pierwsze zdanie starającego się przekrzyknąć warkot czołgów Husaka brzmiało:

- Ja naród z tej katastrofy wyprowadzę.

Coś takiego mógł być wtedy powiedzieć tylko ktoś głęboko przekonany o swoim mesjanizmie.

Po 1963 r. Husak z własnej inicjatywy związał się z wielu komunistami reformistycznymi w Bratysławie i w Pradze, zwłaszcza z kręgów inteligencji. Szereg lat występował w roli pryncypialnego krytyka Antonina Novotnego, umiejętnie skupiając wokół siebie różne siły opozycyjne. Doszło do tego, że liczni wpływowi komuniści reformistyczni zaczęli uważać go za ewentualnego kandydata na miejsce Novotnego. Sam Novotny bał się go coraz bardziej i chciał ograniczyć jego wpływy polityczne. Nadal dyskryminował go na najróżniejsze sposoby /do więzienia wpakować już go nie mógł/, czyni jednak w gruncie rzeczy przyczyniał się tylko do wzrostu jego popularności. Husak umiał to zręcznie wykorzystać.

Po obaleniu Novotnego, kiedy Dubczek z Czernikiem i Kolderem montowali nową ekipę kierowniczą, Husakowi znowu się nie powiodło. Nikomu z triumwiratu nie zależało na wyniesieniu go na szczyty hierarchii partyjnej. W Słowacji Dubczek jako pierwszego sekretarza partii zainstalował swojego ówczesnego przyjaciela, Bilaka - więc w Bratysławie także nie miał się czego spodziewać. Znowu najwyraźniej miał pecha i ostatecznie musiał zadowolić się funkcją wicepremiera.

Okres "Praskiej Wiosny" uważał za prowizorium i wiedział, że o definitywnym układzie sił i pozącjach w strukturze władzy zadecyduje dopiero przyszłość. Znajdował się w bardzo trudnej sytuacji. Wewnętrznie wcale nie był przekonany, że radykalne tendencje reformatorskie, przybierające postać dążeń do pluralizmu politycznego, są słuszne, a poza tym uważał je za nierealne. W prywatnych rozmowach radykalnych komunistów reformistycznych - zwłaszcza z kręgów inteligencji praskiej - nazywał "grabarzami procesu odnowy". Dubczeka i innych członków kierownictwa partii uważał za naiwniaków i dyletantów, którym daleko do niego, jeżeli chodzi o zdolności oraz poczucie realizmu. Nie miał, myślę, nadmiernych żądzeń co do wielkomocarstwowej polityki ZSSR: ostatecznie nauczył się czegoś już podczas słowackiego powstania, które poniosło klęskę militarną, bo Armia Sowiecka nie udzieliła mu bezpośredniej pomocy, gdyż nie było to zgodne z pewnymi założeniami strategicznymi Stalina. Za absolutną konieczność jednak - i to zarówno jako przekonany ideologicznie komunista, jak i jako realista w polityce - uważał uniknięcie konfliktu z Moskwą. W razie takiego konfliktu był oczywiście z góry zdecydowany szukać

jakiegoś kompromisu. Lecz mając takie poglądy, nie mógł znaleźć siły, która wyniosłaby go na najwyższe szczeble władzy: prosowieckiej i stalinowskiej klice w KPCz nie zależało na nim jako na sprzymierzeńcu. Był więc zmuszony ostatecznie wziąć się raczej z nurtami radykalnymi, domagającymi się dalszych zmian personalnych. Przed nimi wszakże nie mógł chwalić się prawdziwymi swoimi poglądami lub nawet musiał je starannie ukrywać.

W latach sześćdziesiątych, a następnie podczas "Praskiej Wiosny" wielu komunistów reformistycznych uważało Husaka za swego sojusznika politycznego, często nawet za osobistego przyjaciela. Husak zaś uważał tych ludzi raczej za niezbędne, ale bynajmniej nie najlepsze narzędzie do urzeczywistnienia własnych mesjanistycznych rojeń i zaspokojenia żądz władzy. Wielu z nich poznało tę prawdę zbyt późno, po 1969 r., gdy Husak naprawdę znalazł się na szczycie.

Najwymowniejszy jest kazus historyka Milana Hübla, w 1968 r. rektora Wyższej Szkoły Partyjnej KC KPCz. Hübl był jednym z tych, którzy już w ostatnich latach rządów Novotnego robili, co w ich mocy, żeby Husak nie tylko był zrehabilitowany, ale także powrócił do życia politycznego. Współpracował z Husakiem w jego opozycyjnych działaniach przeciwko Novotnemu i m.in. dlatego także w 1965 r. Novotny wyrzucił go z Wyższej Szkoły Partyjnej. Jeszcze w kwietniu 1969 r., kiedy Husak zajął miejsce Dubczeka na stanowisku sekretarza generalnego KC KPCz, Hübl bardzo aktywnie pomagał zdobywać dlań głosy komunistów reformistycznych w KC i silnie wierzył, że jest to najlepszy polityk na okres "kadryzacji", który uratuje resztki polityki reform z 1968 r. Ale już w 1972 r. Hübl został aresztowany i skazany na sześć i pół roku więzienia za "działalność na szkodę państwa". A przecież nie robił nic innego, niż przedtem: usiłował zachować resztki polityki reform, starał się skupić wokół siebie reformistycznych komunistów o podobnych poglądach oraz szukał oparcia w partiach komunistycznych we Włoszech i we Francji. Husak, który kiedyś sam był niesłusznie więziony, trzymał Hübla za kratami do końca 1976 r., chociaż dokładnie wiedział zarówno o przyczynach aresztowania go, jak i o poniżających i szkodliwych dla jego zdrowia warunkach, w jakich się tam znajdował.

Po 1969 r. Husak w gruncie rzeczy zlikwidował ogromną większość tych, którzy pomogli mu wrócić do życia politycznego i popierali jego dążenie do najwyższych funkcji partyjnych. Związał się natomiast z wieloma, którymi przedtem gardził, uważając ich za nieudolnych skugusów reżimu Novotnego: na pierwszym miejscu znajdował się wśród nich Vasil Bilak. Co prawda, do obu tych posunięć zmusiła go sytuacja: człowiekiem nr1 w KPCz stał się w chwili, kiedy na takim stanowisku mógł się utrzymać jedynie wiernie służąc Kremłowi. A Kremł życzył sobie, by jego dawni przyjaciele polityczni byli zlikwidowani i przeciwnie, żeby jego starzy wrogowie doszli do władzy. To jednak, z łaski Moskwy obejmując najwyższe stanowisko w KPCz, Husak musiał wiedzieć - i wiedział: nie jest głupi, inteligencją przerasta większość swych dzisiejszych kompanów w politbiurze. Objął to stanowisko ze świadomością, co to będzie oznaczać i jak będzie się musiał zachowywać. Przez całe życie śnił o najwyższym szczeblu władzy - i gdy trafiła mu się okazja zajęcia miejsca na szczycie za cenę wyrzeczenia się wielu dawnych poglądów i likwidacji ludzi, z którymi był dawniej związany, nie potrafił się oprzeć i zapłacić ją, za co Moskwa mianowała go władcą okupowanego kraju.

Instalując na najwyższym stanowisku w KPCz Gustava Husaka, politbiuro moskiewskie początkowo uzyskało w Czechosłowacji sytuację bardzo dla siebie pomyślną. Ponieważ Husak nie należał uprzednio do sowieckiej agentury w KPCz, a w latach sześćdziesiątych związany był z wielu komunistami reformistycznymi, przeto długo budził nadzieję, że "nie dopadnie do najgorszego", że będzie reprezentować jakiś nurt "centrystyczny". Drugo wierzyło w to wielu ludzi w Czechosłowacji i do dziś głoszą to dziennikarze zachodni, wciąż na nowo piszący o Husaku jako o polityku, który nie dopuszcza do głosu sił ekstremistycznych. W rzeczywistości jednak takie twierdzenia nie są oparte na niczym. Husak

uprawia taką jedynie politykę, jakiej wymagają na Kremlu: jeśli czasem ekstremiści nie postawią na swoim, to dlatego, że nie chce tego Moskwa. W samej KPCz, w aparacie władzy i w różnych podskórnych ugrupowaniach w partii Husak nigdy nie miał i do dziś nie ma na kim się oprzeć: nie należy ani do tzw. zdrowego jądra KPCz, tj. do tych, którzy w 1968 r. pomagali przygotować sowiecką interwencję, ani do pragmatyków w aparacie politycznym i gospodarczym. Jest osobą mianowaną ponad i poza nimi wszystkimi, z woli Kremla. Stanowi to o jego sile - ale także słabości. Nie jest i nigdy nie będzie niczym innym, niż tylko sowieckim namiestnikiem w Czechosłowacji, którego w razie potrzeby kremlowscy protektorzy bez litości usuną.

Jest zupełnie prawdopodobne, że w sierpniu 1968 r. na Kremlu Husak sam nie przewidywał, jaki reżim wewnątrzpolityczny powstanie ostatecznie w Czechosłowacji pod jego rządami. Sądzę, że nie należał do tych, którzy już wtedy chcieli zlikwidować jedną trzecią ogółu członków KPCz jako "pomagierów kontrrewolucji" i nie wyobrażał też sobie, że Vasil Bilak, którego lekceważył i którym gardził, stanie się dlań głównym oparciem. Ale w każdym razie już wtedy świadomie wkroczył na drogę prowadzącą do najwyższych stanowisk partyjnych i państwowych, i dla zaspokojenia swej żądzy władzy gotów był też w zasadzie złożyć w ofierze politykę reform "Praskiej Wiosny".

Późnym wieczorem 25 sierpnia na Kremlu, pod nieobecność Dubczeka i Krieglę, pięciu zwolenników demokratycznej reformy - Czernik, Smrkovský, Szpaczek, Szimon i ja - przeciwstawiało się siedmiu zwolennikom grupy pro-moskiewskiej /Bilakowi, Jakeszowi, Szvestce, Pillerowi, Lenartowi, Barbirkowi i Rigo/, której ósmy członek - Alois Indra - także nie był obecny. Wciąż jeszcze zabiegaliśmy o jakieś zmiany w sowieckim projekcie dokumentu końcowego, ażeby pole działania reformistycznej polityki KPCz pomimo wszystko było choć trochę szersze. Wrzeszczał na nas Ludvík Svoboda, a również - tak samo często - Gustav Husak. Scenie tej przyglądali się ministrowie Dzur i Kuczera oraz ówczesny ambasador w Moskwie, Vladimír Koucky. Nie włączali się do dyskusji, ale było widoczne, że podpiszą projekt sowiecki bez oporu.

A przy tym politbiuro sowieckie w trakcie rokowań wywierało na nas systematycznie nacisk. Działo się to zarówno podczas rozmów prowadzonych odrębnie z poszczególnymi członkami naszej delegacji, gdy pogroźkami na przemian z uprzejmościami i obietnicami wzbudzano w niektórych nadzieję, że mogą zyskać dla siebie poparcie strony sowieckiej, jak i przez wytworzenie ogólnej atmosfery, na której zaważyły głównie dwie groźby.

Pierwszą była świadomość, że nie odjedziemy z Kremla, dopóki nie podpiszemy sowieckiego ultimatum, co najwyżej z jakimiś drobnymi poprawkami. Strona sowiecka nie tylko tego nie tała, ale nawet wyraźnie wiele razy podkreślała: nie stanie się to jutro, no to za tydzień. Że Kreml stać na spełnienie tej groźby, co do tego nie było wątpliwości. Sześciu początkowo aresztowanych członków prezydium partii przekonało się o tym już nawet pogładowo. Znajdowali się w sytuacji ludzi, którzy mieli za sobą drugie stadium przesłuchań w inkwizycji: pokazano im narzędzia tortur. Dosłownie, nie w przenośni. Wiedzą, że wszyscy już żegnali się z życiem. Dodaje to wprawdzie siłę, gdyż miejsce strachu przed śmiercią zajmuje pogodzenie się z losem, psychologicznie jednak sytuacja zmienia się, gdy perspektywę nieuchronnego końca znów zastępuje wizja życia. Samobójca, który przypadkowo ocalał, też nie powtarza zaraz swojego czynu.

Lecz nie dość na tym, że sytuacja niektórych członków dubczekowskiego kierownictwa bardziej przypominała położenie osób szantażowanych przez gangsterów, niż pozycję członków delegacji państwowej prowadzącej rozmowy polityczne. Sedno sprawy tkwiło w tym, że wszyscy wiedzieliśmy, iż w pewnych istotnych zagadnieniach Kreml nie poczyna ustępstw nawet za cenę wielkiego i bezsensownego rozlewu krwi w Czechosłowacji. I to była druga groźba, stale uaoznaczana nam przez kierownictwo sowieckie nie tylko za pośrednictwem Svobody, ale także w rozmowach z innymi członkami naszej delegacji. Jeśli

dojdzie do konfliktów z ludnością, wojsko ma rozkaz użyć broni. Musimy przecież zrozumieć, że oni teraz nie mogą iść na żadne ustępstwa, dopóki nie osiągnie się choćby ramowego porozumienia. Jeśli wszystko odwleka się i przeciąga, to tylko i wyłącznie z naszej winy - i to my jesteśmy odpowiedzialni za życie ludności cywilnej w CSRS.

Teraz, gdy wszystko dawno jest już za nami, łatwo twierdzić, że Moskwa nie uciekłaby się do kroków tak drastycznych, lub że gdyby się na nie zdecydowała, miałyby to dla niej katastrofalne następstwa międzynarodowe, a dla naszego narodu stałoby się doniosłym historycznie i moralnie zwycięstwem, bo po tylu kapitulacjach w swoich dziejach znów mógłby się poszczycić bohaterским oporem względem przemocy agresora, co pozwoliłoby mu wyprostować grzbiet. Takie uwagi jednak, które wtedy wszystkim nam przychodziły na myśl, to za mało, żeby wziąć na siebie odpowiedzialność za postępowanie mogące doprowadzić do krwawej masakry. I nie mogliśmy nawet pocieszać się nadzieją, że dopóki na Kremlu nie uda się dojść do porozumienia, taka masakra nie nastąpi: doprowadzenie do rezygnacji ZSRR z pierwotnego planu i wytworzenie sytuacji, w której Kreml zabiegał o porozumienie z tymi, którzy początkowo mieli stanąć przed "trybunałem rewolucyjnym" - to już było maksimum wszystkiego, co mogła osiągnąć siła biernego oporu ludu. Gdyby rokowania nie dały rezultatu, Kreml nie miałby innego wyjścia, jak tylko wrócić do początkowej koncepcji w jeszcze krwawszym wydaniu. Ludziki by się, kto by myślał, że bandyta, który wprawdzie jedynie grozi bronią, póki udaje mu się osiągnąć cel i bez niej, naprawdę jej nie użyje, jeśli znajdzie się w trudnej sytuacji i nie będzie widział innego wyjścia. A politbiuro sowieckie nie było niedoświadczonym nowicjuszem: bogata stalinowska tradycja masowych zbrodni, podobnie jak Buda-pestz z 1956 r., były pod tym względem dostatecznie wymowne.

Oczywiście również dla Moskwy z politycznego punktu widzenia rozwiązanie polegające na wprowadzeniu w Czechosłowacji na jakiś czas bezpośredniej okupacyjnej administracji wojskowej, a tym samym na przypiecztowaniu agresji wszystkimi jej atrybutami, nie było zbyt dogodne. Ale siły, które zdecydowały się już na okupację, mogły zdecydować się także na to - i w pewnych okolicznościach nawet musiały. W praktyce nie było nawet trzeba decyzji politbiura: wystarczyło, że opowiedziałyby się za tym "jastrzębie" wśród generalicji. Generałów czy marszałków stać było na rozpętanie masakry, a następnie zrzuć winę na "niepokoje" wszczęte przez "kontrrewolucję" i obywateli czechosłowackich.

Wiedzieliśmy, że kierownictwo sowieckie, zmuszone koniecznością do rokowań z Dubczkiem, chce wyzyskać go oraz innych rzeczników reformy do tego, by ich rękami wykonać, co nie udało się wykonać rękami Bilaka i Indry. Ten cel zależał jednak również od realizatorów. Narzędzie, którym Moskwa chciała się posłużyć, było obosieczne i raz jeszcze stwarzało pewne możliwości polityczne. Droga kompromisu niewątpliwie dawała niejakię szansę, których wykorzystanie zależało w pewnym stopniu od nas samych. Choć trudno było wiązać z tym większe nadzieje, jednak otwierała się realna perspektywa, którą w zestawieniu z ewentualnością masakry uznaliśmy za jedyną możliwą do przyjęcia ze względu na interes nie tylko polityki reform, ale w ogóle narodu.

Nie było tajemnicą, że w politbiurze sowieckim nie wszyscy byli zgodni w ocenie wydarzeń czechosłowackich, ściślej mówiąc, w kwestii, czy należy interweniować zbrojnie. Liczyliśmy więc również na to, że niepowodzenie metod wojskowych raz jeszcze wzmocni pozycję tych, którzy początkowo byli im przeciwni. Kompromis polityczny z Moskwą w każdym wypadku będzie jednostronnie korzystny dla Kremla, ale nie musi całkowicie zniweczyć reformistycznej polityki KPCz: postulaty "jastrzębi" można spełnić godząc się na rozmieszczenie w CSRS niewielkiej liczby sowieckich jednostek wojskowych /przede wszystkim broni strategicznych/, co nie musiałoby stanowić niebezpieczeństwa dla - powiedzmy nawet, że znacznie okrojonej - polityki reform. Istnieje więc możliwość swego rodzaju "kadaryzacji" w lepszych warunkach, bez

rozlewu krwi, wywózek i represji policyjnych, w sytuacji, która nie będzie oznaczała kompletnej likwidacji tendencji reformistycznych i przywrócenia totalitarnej dyktatury bez żadnych perspektyw dalszej ewolucji wewnętrznej.

Z grubsza biorąc, rozmawialiśmy w ten sposób wszyscy - Czernik, Smrkovský, Szpáček, Szimon i ja. Zarazem jednak każdy z nas miał własną koncepcję, często dosyć odmienne, i one także grały tu jakąś rolę. Występowały również w naszej piątce różnice stopnia optymizmu, z jakim ten czy ów z nas patrzył w przyszłość. Że nasze kombinacje są hipotezami, w których często dochodzą do głosu pobożne życzenia, że chcemy widzieć to tylko, co w danych możliwościach najlepsze - z tego zdawaliśmy sobie sprawę bodajże wszyscy. W rozmowach między sobą nie kryliśmy wątpliwości, niekiedy sami kpiliśmy z własnej wiary, chwilami ten czy ów z nas popadał w niewiarę. Pamiętam, że kilka razy nagle, w jakimś przebłysku jasnowidzenia, bez logicznych przesłanek i argumentów, doznawałem uczucia, że wszystko to nie ma sensu, że wmawiamy coś sami w siebie, a prawda jest całkiem prosta: podpisujemy kapitulację, rezygnujemy ze wszystkiego, naród w kraju nie będzie mógł zrozumieć tego inaczej, niż tylko jako zdradę. W jednym z takich momentów powiedziałem Smrkowskiemu /zdaje mi się, że byli przy tym także Szpáček i Szimon/, że dla mnie osobiście zyskiem z tych pertraktacji jest coś zgoła niespodziewanego: zrozumiałem Emila Hacha/x/. Nikt się nie obruszył: Hacha przypominał się tam chyba każdemu z nas. Różnice między nami polegały m.in. na tym, że jedni pozbywali się wątpliwości szybciej i konsekwentniej niż inni. Myślę, że pierwszy do przekonania o bezwzględnej konieczności przyjęcia sowieckiego ultimatum doszedł podówczas Czernik.

Oczywiście wprowadzało to zasadniczą zmianę do wszystkich kalkulacji i rozważań o różnych możliwościach. Wiedomo było, że ultimatum, bez względu na jego postać, podpisze cała promonikiewska większość uczestników rokowań, a razem z nią ministrowie Dzur i Kuczera oraz ambasador Koucky. A poza tym podpiszą też Svoboda i Husak. Skoro jednak stało się pewne, że i Czernik podpisze, do pełnego sukcesu sowieckiego brakowało właściwie już tylko podpisu Dubczeka. Brak podpisu Smrkovskiego stanowiłoby wprowadzenie znaczne utrudnienie, ale ostatecznie można by się bez niego obyć. Pozostali - mój, Szpáček, Szimona i Kriegl - nie miały większego znaczenia, nie mogły już zaważyć na niczym.

Stanowisko Dubczeka pozostawało jednak nie wyjaśnione aż do 26 sierpnia, do uroczystego posiedzenia, które miało zakończyć się złożeniem podpisów - a i tam ulegało jeszcze zmianom. W nocy 25 sierpnia Dubček nie brał jeszcze udziału w rozmowach; ilekroć ktoś do niego przychodził, popierał wszystkie proponowane przez nas zmiany, chciał, żebyśmy nadal pracowali nad tekstem i kontynuowali rokowania, lecz co się tyczy jego podpisu, na wiecie jednoznacznie "tak" nie powiedział i nie chciał powiedzieć, póki dokument nie nabierze ostatecznej postaci.

Późną nocą 25 sierpnia cała delegacja czechosłowacka z wyjątkiem Dubczeka, Kriegla i Indry zebrała się przy stole pod przewodnictwem Oldřicha Czernika i każdy miał wypowiedzieć się, czy podpisze jutro protokół. Sam protokół nie był jeszcze całkowicie gotowy, definitywnie ustalić jego brzmienie mieliśmy dopiero nazajutrz, na wspólnym posiedzeniu z całym politbiurem KPZS - istniała więc możliwość wprowadzenia pewnych zmian. Póki co strona sowiecka nie zaakceptowała nawet tego sformułowania o wycofaniu wojsk z terenu Czechosłowacji, które później znalazło się w podpisanej wersji. Toteż uważałem, że jest za wcześnie, żeby każdy z góry zobowiązywał się do wyrażenia zgody, nawet jeśli tylko w zasadzie, nie rezygnując z zabiegów o dalsze

/x/ Emil Hacha, ostatni prezydent przedwojennej Czechosłowacji, wezwany do Berlina w nocy z 14 na 15 marca 1939 r. został zmuszony do podpisania "prośby" o rozciągnięcie przez hitlerowskie Niemcy protektoratu nad Czechami i Morawami.

zmiany. To właśnie na tym zebraniu Ludvík Svoboda krzyczał na wszystkich, że doględzili się do zajęcia kraju przez obce armie i ciągle jeszcze gędzą. Także Husak nalegał na zebranych, by się wypowiedzieli. Atmosfera była bardzo ciężka, napięta i histeryczna. Co do mnie, odmówiłem jeszcze powiedzenia "tak" i zapowiedziałem, że zdecyduję się dopiero następnego dnia, zależnie od wyników rozmów. Wszyscy inni swoje "tak" wtedy powiedzieli. Jeśli chodzi o nieobecnych, nie było oczywiście wątpliwości, jaką postawę zajmie Alois Indra. Postawa Kriegl'a była absolutnie nie znana, a Dubczek także nie chciał wypowiedzieć się w sposób wiążący aż do jutra. Tylko jego więc stanowisko mogło jeszcze wpłynąć poważniej na sytuację.

Posiedzenie skończyło się między drugą a trzecią rano 26 sierpnia. Do willi rządowej na Wzgórzach Leninowskich dotarłem po trzeciej. W przedpokoju, tak samo jak na Kremlu, stały stoliki z wódką, koniakiem, kawiozem, jesiotrem oraz innymi frykasami. Poszedłem do swojego pokoju, i zmordowany, zwałem się na kółko. Dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi. Otworzyłem - i ujrzałem pannicę w twarzowym szlafrocuku, pod którym, jak się zdało, nie miała już na sobie nic więcej.

- Życzycie sobie czegoś, towarzyszu? - zaszcebiotało to stworzenie z uwodzicielskim uśmiechem.

Nie wiedziałem, z jakich to jeszcze usług mógłbym skorzystać jako gość rządu na Kremlu, ale nawet nie miałem chęci tego sprawdzać. Mruknąłem, że życzę sobie, żeby wszyscy dali mi święty spokój, i zatrzasnąłem drzwi.

Od owej fatalnej nocy 20 sierpnia spałem wszystkiego trzy razy, a i to ledwie po jakieś cztery godziny. Wypaliłem setki papierosów, wypikłem dziesiątki filiżanek czarnej kawy. Przez cały czas żyłem w nieustannym napięciu - czy to w gabinecie Dubczek'a, z pistoletem maszynowym wycelowanym w mój kark, czy w ambasadzie sowieckiej, na Wysoczanach czy w Moskwie, od rana na Kremlu. Ogarnęło mnie tak nieludzkie zmęczenie, że daremnie usiłowałem zasnąć. Przez głowę przewlały mi się nawet nie myśli, tylko jakieś obrazy i uczucia, nie kojarzące się, pobawione wszelkiej logiki filmy czy zwidy. A w przerwach między nimi zupełnie niespodzianie z wyjątkową jasnością widziałem położenie, w jakim się znaleźliśmy.

Otworzyłem okno i zapatrzyłem się na ogród. Świeże powietrze poranka działało uspokajająco, przywidzenia zaczęły ustępować myślom. Dopiero teraz mój mózg zaczął rozpatrywać sytuację globalnie i porządkować to, co istotne. Dopóki bowiem tkwiłem w nieprzetwarzanym wirze wydarzeń, rozmów, narad, podejmowania decyzji o dziesiątkach konkretnych spraw, póki pisałem projekty i uwagi, przekładałem na rosyjski i rozpatrywałem realnie w danym momencie możliwości - żyłem tym tylko, co wchodziło w zakres moich obowiązków, niczym dobrze zaprogramowany komputer. To, co rozgrywało się poza mną, stanowiło jedynie kulisy albo dostarczało mi bodźców do dalszego celowego działania. To zaś, co rozgrywało się we mnie, odkładało się gdzieś w rolni wnętrzu, ale mózg nie miał czasu, żeby to opracować. Z tego właśnie zasobu przeżyć, doznań, uczuć i nie wypowiedzianych słów cisnęło mi się teraz do głowy mnóstwo pytań, na które należało udzielić odpowiedzi. A wszystkie one składały się z kolei na jedno, podstawowe: Co się w ogóle stało i jaka jest w tym wszystkim moja rola?

To, że znajduję się teraz w Moskwie jako na pół zakładnik, a na pół gość tutejszego rządu, jest logicznym następstwem całego mego życia, mej aktywności politycznej. Sam zgłębowałem sobie tę sytuację. W grudniu rzeczy jest ona konsekwencją nie 20 sierpnia 1968 r., lecz 25 lutego 1948 r. Wtedy bowiem jednoznacznie, z własną, nieprzymuszoną wolą i z przekonaniem przyłączyłem się do tych, którzy - też jednoznacznie i także z własnej woli - "na wieczne czasy" /x/ podporządkowali się Moskwie i jej celom. Teraz nie ma

/x/ "Ze Związkiem Sowieckim na wieczne czasy i nigdy inaczej" - slogan komunistycznej propagandy czechosłowackiej, zaczerpnięty z jednego z przemówień Klementa Gottwalda.

już znaczenia, dlaczego to zrobiłem i dlaczego uczynili to inni, czy poglądy i ideały, które nas do tego skłoniły, nie zostały nadużyte. Stało się to - i sam tak postanowiłem. Co prawda, od przeszło dziesięciu lat wiem już, że Moskwa była siedliskiem zbrodni i nie chcę się jej wypigiwać. Co jednak robię? Chcę zmienić to reformami u nas, w Czechosłowacji - i ufam, że koniec końców Moskwa również ma szczerą wolę położenia kresu zbrodni, więc udzieli mi swojej zgody. Mam niejaki powody, żeby tak sądzić, lecz jednocześnie od lat istnieją także oczywiste dowody czegoś wręcz przeciwnego. Ale tych nie doce尼亚łem i nie zwracałem na nie uwagi, bo mi nie pasowały do moich koncepcji reformistycznie komunistycznych.

Tydzień temu nie stało się właściwie nic sprzecznego z logiką rzeczy: Moskwa postanowiła tylko nie dopuszczać już dłużej do eksperymentów reformistycznych, gdyż uznała je za zbyt niebezpieczne dla swoich interesów. I z punktu widzenia samej Moskwy jest też całkiem logiczne, że stawia mnie przed sądem Kremla i pyta:

- No to jak, jesteś z nami "na wieczne czasy" czy nie? Coś takiego mówiłeś przecież przez ostatnie dwadzieścia lat?

I chce usłyszeć tylko "tak" albo "nie" - szczegóły jej nie interesują. Jest tak nie tylko ze mną, ale również z innymi, którzy znaleźli się tu w podobnej roli - sekretarzy i członków delegacji rządowej.

Ma rację w gruncie rzeczy stary generał Svoboda, gdy nam wymyśla i chce, żebyśmy jasno uświadomili sobie swą sytuację. On ją rozumie i jednoznacznie powiada Moskwie "nie". Doręga się, żeby zrobili to wszyscy - a kto nie chce, no to niech powie "nie", ale niechaj już tego nie przeciąga. Czujemy się zaskoczeni, że politbiuro sowieckie poczyną sobie niby banda gangsterów. Ale to także nasza wina. Skuszenie przeciw Kadar pytał Dubczek: "Czy naprawdę nie wiecie, z kim macie do czynienia?" Uważał, że to niemożliwe, żeby Dubczek nie wiedział. Właściwie jesteśmy głupcami, ale ta nasza głupota ma postać ideologii reformistycznego komunizmu.

Cierpię mi noga, kiedy tak stoję, wchodzę więc na parapet, by usiąść w otwartym oknie. Z cienia pobliskiej tui momentalnie wynurza się cywil, którego zawód nie budzi we mnie najmniejszej wątpliwości, podchodzi pod moje okno i zadaje mi identyczne pytanie jak panienka za drzwiami:

- Życzycie sobie czegoś, towarzyszu?

Mówię, że nie, schodzę z okna i kładę się na kółku. Również ten człek w ogrodzie świadczy, że Moskwa lepiej wszystko przemyślała, niż ja. Chyba stoi tam po to, bym nie wyskoczył oknem, gdyby mi wpadło do głowy uchylić się od wyraźnej odpowiedzi. Zapewne dmuchnąłby w gwizdek i nadbiegliby dwaj inni funkcjonariusze KGB: okno nie jest wysoko, na dole złapałoby mnie bez trudu, pewnie nawet nogi bym sobie nie złamał.

Dochodzi szósta, o dziewiątej na Kremlu znów zaczną się rozmowy. Zastanawiam się, czy podpisać sowieckie ultimatum. Wiem, że zostanie podpisane i że podpisy pod nim właściwie także będą logiczną konsekwencją całego życia tych, którzy je złożą. Nie podpisać - to znaczy zacząć nowe, zupełnie inne życie. Czy mogę? Czuję, że chciałbym. Praktyczne rezultaty wszystkich moich wysiłków politycznych - z ostatnim, reformatorskim etapem włącznie - są przecież katastrofalne. Dobre chęci to mało, już Dante wiedział, że piekło jest nimi wybrukowane. Postanawiam, że protokołu nie podpiszę. Zmożony, wreszcie zasypiam.

Po dziewiątej znów spotykamy się wszyscy na Kremlu. Powiadamiam Czer-nika, że zdecydowałem się nie podpisywać protokołu, mówię to także Bilakowi jako przedstawicielowi grupy promoskiewskiej - niech wszyscy wiedzą. Proponuję strawną formę załatwienia tej sprawy: pójdę do lekarza prezydenta, który jest moim znajomym, położę się, udając chorego, i na kolektywne rozmowy naszego prezydium w sowieckim politbiurze już nie przyjdę. Przyjść i nie podpisać - to znaczy wywołać skandal. Tego nie chcę, nie chcę także wywierać wpływu na innych, którzy podjęli już decyzję. Ale podpisać nie zamierzam. Bilak mówi

coś w tym rodzaju, że mogą sobie robić, co chcą, lecz nie jest zachwycony, minę ma chmurną, kwaśną. Czernik ściąga Szpaczka i wszczynamy dyskusję o tym postanowieniu. Potem rozmawiam jeszcze odrębnie ze Smrkovskim oraz z Szimonem. W następstwie rozmów ostatecznie zmieniam zdanie. Dlaczego?

Wszyscy czterej powiedzieli mi, że też przeszli taką samą fazę. W ich wypadku stało się to zaraz po przekształceniu się z jeńców w członków delegacji rządowej. Nimi też kierowało przekonanie, że nie mogą już odpowiedzialnie decydować. A jednak ostatecznie zmienili stanowisko: doszli do przekonania, że jest to tylko wyjście z własnych trudności, lecz nie z sytuacji politycznej, za którą sami także są odpowiedzialni, a przeciw od tej odpowiedzialności nikt ich nie może uwolnić. Poza tym moja wczorajsza argumentacja jeszcze bardziej umocniła ich w przekonaniu, że kompromis nie jest wejściem w ślepy zaułek, że w Czechosłowacji warunki mogą być lepsze i rokować lepsze perspektywy niż na Węgrzech po interwencji w 1956 r. Oczywiście sam mogę robić jak chcę, lecz muszę wiedzieć, że zakatwiam w ten sposób problem własnej osoby i własnego sumienia, ale nie perspektyw politycznych. Jeśli odejdę teraz z kierownictwa partii, utrudni to ich sytuację i narażę na szwank wiele z tego, co można by jeszcze uratować. A co więcej: postawię ich wszystkich w złym świetle, wywołam wrażenie, że podpisanie było sprawą honoru i sumienia, któremu sprzeniewierzyli się podpisując, a nie - że wynikało z obowiązku znalezienia politycznego wyjścia z sytuacji, za którą wszyscy jesteśmy odpowiedzialni. Jednocześnie dowiedziałem się, że Dubczek weźmie udział w posiedzeniu końcowym i że będzie obstawał jedynie przy niektórych nie rozstrzygniętych jeszcze zmianach tekstu, głównie w ustępie o wycofaniu wojsk z Czechosłowacji.

Nie była to już noc, podczas której byłem zupełnie sam - z sobą i moim dotychczasowym życiem. To już był nowy dzień i znowu znajdowałem się pośród innych, znowu wszedłem w swą rolę, mój mózg znowu zaczynał funkcjonować jak zaprogramowany komputer. A niezależnie od tego w głębi duszy musiałem uznać jeden z głównych ich argumentów: ja też ponoszę polityczną odpowiedzialność za wszystko, co się stało - gdybym nie starał się znaleźć jakiegoś wyjścia, oznaczałoby to uchylanie się od odpowiedzialności. Dyskutowałem więc jeszcze raz z całą czwórką o tym, jak wyobrażamy sobie różne szczegóły politycznego rozwiązania sprawy.

Kiedy w końcu zmieniłem pogląd i wyraziłem zgodę na podpisanie protokołu razem z innymi, przyszłą sytuację wyobrażałem sobie następująco:

Protokół, bez względu na wszelkie poprawki, da Moskwie przewagę, jednostronne korzyści polityczne i możliwość wywierania systematycznego nacisku, szkodliwego dla reformistycznej polityki KPCz. Lecz jednocześnie stworzy też szereg możliwości obrony tej polityki i jej pola działania. Ostatecznie tym, co zadecyduje o rezultatach, nie będzie tekst protokołu, ale stosunek sił zarówno w Czechosłowacji, jak i w Moskwie. Po powrocie do Pragi najważniejsze pozycje rządowe i polityczne pozostaną w rękach zwolenników reformy. Ogromna siła ogólnonarodowego oporu przeciwko okupacji jeszcze bardziej osłabi znaczenie grup promoskiewskich w całej strukturze władzy, od góry do dołu - chociaż protokół wyraźnie bierze je w obronę, można będzie zepchnąć je na pozycje o mniejszym znaczeniu od dotychczasowych. Decydujące będzie uzyskanie do końca roku wycofania wojsk sowieckich, z wyjątkiem niewielkich liczebnie sił, o których dyslokację Moskwa zabiega już dwa lata, i których stacjonowaniu nie będzie można zapobiec. W tymże czasie trzeba będzie zwołać XIV zjazd partii i wybrać nowy KC. Jedno i drugie mogłoby się udać, gdyż w następstwie wielkiego odłamku międzynarodowego, potępiającego okupację, Moskwa będzie zainteresowana w załagodzeniu sytuacji. Prawdopodobne jest, że "jastrzębie" w moskiewskim politbiurze znajdują się teraz w defensywie.

Wszystko to jest możliwe, ale przecież niepewne. Jeśli do końca roku okaże się, że sprawy toczą się inaczej, że polityki reform nie uda się

utrzymać, pozostanie jedna możliwość: ekipa reformistyczna musi ustąpić w taki sposób, żeby sama jeszcze mogła wyznaczyć swych następców i tym samym uniemożliwić dorwanie się do władzy ekipy "rewolucyjnego rządu robotniczo-chłopskiego", tj. uczynienie z kierownictwa KPCz zwykłej agentury sowieckiej. Moskwa wyraziłaby zgodę na taką zmianę warty: uzyska w rezultacie usunięcie Dubczeka - a Biłak z Indrą sprawili jej teraz taki zawód, że przestali już jej konweniować, toteż zaakceptuje "trzecią ekipę". Ta zaś przez kilka lat będzie realizować jakąś odmianę "kadaryzacji", po której dopiero będzie można przejść do nowego okresu reform. Wszystko to pod warunkiem, że KPCz utrzyma kadry, które przez lata opowiadały się za linią reformistyczną, że kierownictwa nie opanuje klika sekciarzy i agentura sowiecka, która już w samej partii zlikwidowałaby wszelkie możliwości przyszłej ewolucji demokratycznej.

Powodzenie tego wszystkiego zależało moim zdaniem od absolutnie nie-naruszalnej jedności grupy reformistycznej, skupionej wokół Dubczeka. I właśnie to sobie wtedy przyrzekliśmy. Nigdy nie miałem złudzeń, co się tyczy stosunków międzyludzkich w kierownictwie KPCz: niewiele lat temu dokonywano tam zabójstw, zawsze intrygowano, a ledwie przed tygodniem jedna część kierownictwa była aresztowana na rozkaz innej. Lecz teraz nie chodziło o tę inną część ani o jakiś klan w aparacie biurokratycznym. Część kierownictwa dubczekowskiego przeżyła w tych dniach tyle, że uwierzyłem, iż także w polityce oraz w tym gronie można trwale budować na osobistym zaufaniu, na godności i sumieniu, na obietnicy i słowie honoru. Nie upłynęły dwa miesiące, gdy okazało się, że było to tylko jeszcze jedno złudzenie. I równie złudna okazała się nadzieja, że Kreml będzie zabiegać o cokolwiek innego, niż o realizację, choćby nawet stopniową, swych pierwotnych zamiarów.

Jak to było możliwe, że jeszcze tam, gdzie naprawdę czuliśmy się jak zakładnicy w rękach gangsterów, myśleliśmy na serio, że Kreml będzie chciał spokoju w Czechosłowacji, a nie całkowitej likwidacji wszelkich niewygodnych dla siebie sił politycznych? Prawdopodobnie można udzielić dwóch tylko odpowiedzi: Pragnęliśmy, żeby tak było, więc sami w siebie to wmuśialiśmy, a poza tym ciągle jeszcze byliśmy wierzącymi komunistami - nawet jeśli reformistycznymi. Oczywiście jest to jedynie wyjaśnienie: usprawiedliwienia - czy to politycznego, czy moralnego - znaleźć nie sposób.

Kiedy koło południa powiedziałem, że zmieniam zdanie i że podpiszę protokół wraz ze wszystkimi innymi, Oldrich Czernik uściskał mnie z niekłamana, rzeczywistą radością. Mimo wszystko miała ona w istocie podłoże egoistyczne - cieszył się, że nikt się od niego nie różni i nie będzie nikogo, kto kiedyś mógłby powiedzieć: "A ja tego nie podpisałem". Ale była to radość przedwczesna, bowiem wkrótce już miał zmazać ją Kriegel.

O tym, dlaczego Kriegla nie ma między nami, mówiło się już wczoraj. Strona sowiecka wykręcała się jak tylko mogła i w rozmowach z poszczególnymi członkami kierownictwa KPCz starała się wznieść mur między nim a całą resztą. Skoro jednak teraz miało się już składać podpisy, sprawy nie można było dłużej przewlekać i wreszcie został przywieziony na Kreml. Najpierw, w innym pokoju, rozmawiał z nim Smrkovsky, a potem, po południu, zjawił się pośród nas. Sytuacja była dla niego upokarzająca, a dla nas wszystkich wstydliva. Niezależnie od takich czy innych powodów i wykrętów, obradowaliśmy bez Kriegla, a teraz stanął wobec faktu dokonanego: miał podpisać protokół. Ale Frantiszek Kriegel z całą mocą odmówił. Oczywiście, na początku zachowywaliśmy się tak wszyscy - on zaś był teraz na początku, jak my wczoraj. Tyle tylko, że już z tej fazy nie wyszedł i poglądu nie zmienił.

Przekonywaliśmy go wszyscy. Ludvik Svoboda specjalnie dla niego jednego powtórzył swój wczorajszy występ i dał się tak, że Kriegel w końcu odpowiedział tym samym. Pamiętam jego słowa:

- Co mi mogą zrobić? Ześlą mnie na Sybir albo rozstrzelają. Liczę się z tym i ani myślę podpisać.

Nie chciał słyszeć o politycznych przyczynach kompromisu i perspektywach, jakie kompromis ten otwiera, nie życzył sobie o tym rozmawiać. Nie sprawił nawet wrażenia polityka: w tej chwili był człowiekiem, któremu bandyci grożą śmiercią, jako okupu żądając nie pieniędzy, ale jego honoru, jego dzieci lub żony. I człowiek ten powiada: "Nie - to mnie w takim razie zabijcie!" Myślę, że Kriegel, którego również przez ostatnie trzy dni trzymano wciąż jako więźnia w izolacji, doszedł do przekonania, że jest skazany na śmierć, i pogodził się z tym. Nie widział teraz powodu, żeby w ostatnich chwilach życia wszystko zepsuć, dopuszczając się czynu sprzecznego z głosem sumienia.

Nie po to piszę o tym, by pomniejszać polityczne znaczenie odmowy Kriegla. Robię to, gdyż myślę, że było tak naprawdę: że działał wtedy przede wszystkim jako człowiek, a nie jako polityk. Jak okazało się później, było to zachowanie w tej sytuacji o wiele stosowniejsze, niż nasze: rzeczywiście byliśmy bowiem ludźmi szantażowanymi przez gangsterów, lecz ulegliśmy złudzeniu, że jesteśmy politykami, z którymi inni politycy rozmawiają o problemach politycznych.

Następnie Kriegel sam powiedział, że nie weźmie udziału w żadnym posiedzeniu wspólnym z sowieckim politbiurem i chciał, żeby odprowadzono go z powrotem do izolacji. Natomiast strona sowiecka wyszła z inicjatywą, żeby był obecny przy rokowaniach - widocznie reżyserzy chcieli doprowadzić do kłótni i zerwania pozostałych członków delegacji z Krieglem w obecności sowieckiego politbiura. Dubczek jednak stanowczo się sprzeciwił i posiedzenie odbywało się pod nieobecność Kriegla. Dla symetrii w tym posiedzeniu nie uczestniczył też nadal Indra. W końcu - tym razem z Dubczkiem - zasiedliśmy po jednej stronie wielkiego stołu, po drugiej zaś zasiadło politbiuro sowieckie.

Obrazy rozpoczęły się późnym popołudniem. Zagał je Breżniew. Nawet się nie zarumienił, jedylnym tonem deklamując frazesy o przyjaznych stosunkach i wspólnych interesach, stanowiących podstawę rozmów, w których dojdziemy do porozumienia w sprawie dalszego postępowania w złożonej i poważnej sytuacji. Mówił, z jak wielkim żalem i bólem kierownictwo sowieckie podjęło decyzję o zbrojnej interwencji, ale inaczej postąpić nie mogło, gdyż interesy socjalizmu są mu droższe nad wszystko. Chwalił godny męża staru rozum Ludwika Svobody, wiernego przyjaciela Związku Sowieckiego i bohatera drugiej wojny światowej, wyznawca miłość do Czechosłowacji i widać było, że sam wzrusza się tymi frazesami.

Według planu kilkoma podobnymi frazesami miał odpowiedzieć przedstawiciel strony czechosłowackiej, po czym mieliśmy omawiać poszczególne akapity projektu protokołu. Dubczek ciągle był w złym stanie psychicznym: lekarze przygotowali go do udziału w obradach zastrzykami - toteż słowo wstępne wygłaszał Czernik. Mówił raczej rzeczowo, unikał gładzenia o braterskich stosunkach i wieczystej przyjaźni. Bardzo ostrożnie bronił linii Programu Działania KPCz, między wierszami odrzucił też twierdzenie, że interwencja zbrojna była podjęta w interesie socjalizmu.

Na to zareagował jakas uwaga ktoś z sowieckiego politbiura, co sprawiło, że atmosfera stała się bardziej napięta. Następnie do debaty wniósł się Breżniew - i zanegował jakas tezę Czernika. Nastąpiła chwila nieprzyjemnej ciszy. Gdy Czernik skończył swe przemówienie, o głos poprosił Dubczek - czy też może po prostu zaczął mówić bez proceduralnych formalności. W pierwszych zdaniach zaczął się, nie mógł poprawnie wymawiać słów - ale stopniowo opanał się i płynnie wygłosił całą przemowę po rosyjsku. Była to płomienna, pełna uczucia obrona "procesu odnowy" w Czechosłowacji, coraz wyraźniej przerastająca w polemikę i w akt oskarżenia przeciwko interwentom. Dubczek improwizował, mówił po prostu to, co myślał - dzięki czemu treść oraz forma jego przemówienia robiły jeszcze większe wrażenie.

Przeciw Dubczekowi natychmiast - również improwizując - wystąpił Breżniew. Było to chyba jedyne rzeczywiście ciekawe przemówienie strony sowieckiej

podczas całych ówczesnych obrad: Breżniew bowiem także mówił to, co naprawdę myślał. Zwięźle i zrozumiale odpowiedział na trzy podstawowe pytania: co najbardziej przeszkadzało Moskwie w "Praskiej Wiosnie", jak Moskwa odnosi się do suwerenności państw w swoim bloku oraz - co uważa za ważne w polityce międzynarodowej.

Tym razem zrezygnował z długiej oficjalnej mowy o "siłach kontrrewolucyjnych" i "interesie socjalizmu". Konkretnie i jasno wypomniał Dubczekowi, że ten prowadził politykę wewnętrzną, która nie była uprzednio przezeń zatwierdzona i zaaprobowana, a nawet wyraźnie nie zważał na jego wskazówki i rady.

- Ja przecież od początku chciałem ci pomóc przeciwko Novotnemu - rzekł Breżniew pod adresem Dubczeka - i już w styczniu pytałem ciebie: A jego ludzie ci nie zagrażą? Nie chciałbyś ich pozmieniać? Chcesz zmienić ministra spraw wewnętrznych? A ministra obrony narodowej? I kogo jeszcze? Ale ty twierdziłeś, że nie, że to dobrzy towarzysze. Aż tu nagle dowiaduję się, że zmieniałeś ministra spraw wewnętrznych, obrony i innych, że zmieniałeś sekretarzy Komitetu Centralnego.

- Już w lutym przekazywałem ci uwagi do twego referatu - kontynuował. - Zwracałem ci uwagę, że niektóre sformułowania nie są słuszne. A ty ich mimo to nie zmieniałeś! Czy można tak pracować? U nas nawet ja sam, jak przygotowuję referat, to daję go do oceny wszystkim członkom politbiura. Słusznie mówię, towarzysze - zadałem retoryczne pytanie i powiódłem okiem po całym politbiurze, które kiwając głowami i mrucząc potakująco, potwierdzało słusność słów swego szefa. - Bo u nas mamy kierownictwo kolektywne - a to znaczy, że musisz swoje poglądy podporządkować innym.

Breżniew czuł się osobiście dotknięty i był szczerze rozgoryczony, że Dubczek zawiódł jego zaufanie i nie przedstawiał każdego swego kroku do zatwierdzenia na Kremlu.

- Ja ci wierzyłem i broniłem cię przed innymi - wyrzucił Dubczekowi. - Mówiłem: "Nasz Sasza to przecież dobry towarzysz". A ty tak strasznie nas wszystkich zawiódłeś...

W takich miejscach głos mu załósniło drżał, mówił jękliwie, jakby miał się rozplakać. Sprawiał wrażenie głęboko dotkniętego patriarchy, który naprawdę uważa za naturalne, że ponieważ jest głową rodu, wszyscy krewni winni mu się bezwzględnie podporządkować i być posłuszni, bo przecież jego zdanie i wola jest ostatecznym autorytetem, a dla wszystkich w rodzinie pragnie on jak najlepiej. Myśli, że mogłoby /albo nawet powinno/ być inaczej, jest mu kompletnie obca i oczywiście widzi w niej przejaw wrogości oraz zdrady.

Dopiero z tego grzechu głównego - mianowicie że Praga nie zawsze zabiegała o aprobatę Kremla - wywodził wszystkie pozostałe: rozpowszechniły się "tendencje antysocjalistyczne", prasa pisze, co chce, powstają "organizacje kontrrewolucyjne" i kierownictwo KPCz znajduje się pod presją tych sił, ciągle im ustępując. Gdyby Dubczek nie zrobił nic, czego Breżniew mu nie zatwierdził lub nie poradził, gdyby ze swoich referatów wykreślał słowa, które zalecał mu wykreślić oraz gdyby mianował takich tylko ministrów i sekretarzy, na których również wyraziłby swą zgodę - nic z tych okropności nie mogłoby się stać. Taki był w skrócie pogląd Breżniewa na "Praską Wiosnę".

Potem Breżniew wyjaśnił Dubczekowi, że w następstwie tego wszystkiego Moskwa pojęła w końcu, że na jego kierownictwie KPCz nie można polegać. On sam, który przez długi czas brał "naszego Saszę" w obronę, musiał to przyznać. Ponieważ odnosiło się to już do sprawy całkiem innej i najważniejszej - rezultatów drugiej wojny światowej.

Breżniew obszernie mówił o ofiarach poniesionych przez Związek Sowiecki w drugiej wojnie światowej, o poległych żołnierzach i wymordowanej ludności cywilnej, o gigantycznych stratach materialnych, o cierpieniach obywateli sowieckich. Za tę cenę ZSSR zapewnił sobie bezpieczeństwo, którego gwarancją jest powojenny podział Europy i konkretnie to również, że Czecho-

słowacja związana jest ze Związkiem Sowieckim "na wieczne czasy". Zdaniem Breżniewa jest to logiczne i uzasadnione następstwo faktu, że tysiące żołnierzy sowieckich oddało życie również za nasze wyzwolenie - i ich groby nasz lud powinien czcić, nie zaś bezczęścić. Nasze granice zachodnie są nie tylko naszymi granicami, lecz wspólnymi granicami "oboju socjalizmu". Sowieckie politbiuro nie ma prawa narażać na szwank rezultatów tej wojny, gdyż nie ma prawa profanować ofiar poniesionych przez sowiecki lud.

Breżniew przyznawał, że teraz, po interwencji zbrojnej, sytuacja w CSRS jest trudna: Ludzie kierują się emocjami. Również dubczekowskiemu kierownictwu partii można darować, że nie wszystko jeszcze widzi tak, jak należy.

- Dzisiaj - rzekł Breżniew - akceptacja tego wszystkiego zdaje się wam niemożliwa. Ale spójrzcie nie tylko na Gomułkę. W 1956 r. był, jak wy, przeciw temu, żeby nasze wojska w Polsce pomogły. Gdybym jednak dzisiaj powiedział, że wojska z Polski odwołam, Gomułka wsiądzie w specjalny samolot, przyleci tutaj i będzie mnie błagać, żebym tego nie robił.

Breżniew nie powoływał się na ani jeden dowód, który świadczyłby, że "imperialiści zachodni" naprawdę zagrażają Czechosłowacji. Nie przytoczył ani jednego z oficjalnych kłamstw, jakich pełno było w tym czasie w sowieckich gazetach: że "odwetowcy zachodniemieccy" już już szykują się do zbrojnej napaści, że Praga zalana jest udającymi turystów oficerami amerykańskimi itd. Jego logika była prosta: Doszliśmy na Kremlu do przekonania, że nie możemy już na was polegać. W waszej polityce wewnętrznej robicie, co chcecie, także to, co się nam nie podoba, i nie można wam tego wyperswadować. Ale wasz kraj leży w strefie, w której podczas drugiej wojny światowej stanęła stopa sowieckiego żołnierza. Okupiliście to wielkimi ofiarami i z tej strefy nie odejdziecie. Jej granice są również naszymi granicami. Ponieważ nas nie słuchacie, czujemy się zagrożeni. Wielu poległych z drugiej wojny światowej, którzy oddali życie również za waszą wolność, ma więc pełne prawo postać do was naszymi żołnierzami, żebyśmy w naszym wspólnych granicach czuli się naprawdę bezpieczni. Nie ważne, czy ktoś zagraża nam, czy nie, bo sprawa zasadnicza, niezależna od okoliczności zewnętrznych. I jest tak od drugiej wojny światowej po "wieczne czasy".

Breżniew był nawet jakby osobiście zdumiony: przecież to takie proste, jak to możliwe, że nie możecie tego zrozumieć? Takie słowa, jak suwerenność, niezależność narodu i państwa w całej jego oracji nie pojawiły się ani razu. I tak samo nie było tam też innych potocznych frazesów, którymi uzasadnia się oficjalnie "wspólnotę interesów krajów socjalistycznych". Była tylko jedna, nieskomplikowana myśl: nasi żołnierze doszli podczas wojny do Łaby - tam więc jest teraz również nasza, sowiecka granica.

- Rezultaty drugiej wojny światowej - ciągnął Breżniew - są dla nas nienaruszalne i będziemy bronić ich, nawet gdyby miało to grozić nowym konfliktem wojennym.

Następnie kategorycznie oświadczył, że zbrojnej interwencji w Czechosłowacji dokonano by również za cenę takiego ryzyka. Po czym jednakże dodał:

- Ale teraz taki konflikt nie grozi. Pytałem prezydenta Johnsona, czy rząd amerykański nadal w pełni uznaje wyniki konferencji jałtańskiej i poczdamskiej. I 18 sierpnia otrzymałem odpowiedź: co się tyczy Czechosłowacji i Rumunii, uznaje bez najmniejszych zastrzeżeń, co zaś do Jugosławii, trzeba by to przedyskutować. Więc jak wylicicie, co stanie się na waszą korzyść? Nic się nie stanie. Wojny z tego nie będzie. Wygłosił przemówienie towarzyszy Tito i Ceausescu, wygłosi towarzyszy Bealinger. No i co? Liczy cie na ruch komunistyczny w Europie zachodniej - ale on już pięćdziesiąt lat nie ma najmniejszego znaczenia!

Te słowa także były proste i zrozumiałe. Nam, komunistom reformistycznym, Breżniew udzielał naprawdę cennych nauk: My, durnie, zastanawiamy się nad jakimś modelem socjalizmu, który nadawałby się dla Europy, z zachodnią włącznie, ale on, realista, wie, że tam ruch ten już pięćdziesiąt lat nie ma naj-

mniejszego znaczenia. A dlaczego? Przecież dlatego, że granice socjalizmu, czyli granice ZSSR, na razie są na Łabie. Również prezydent USA wyraził na to zgodę, więc zapewne na następne pół wieku jest to niezmiennie. A co tam jakiś Berlinguer? Czy ma czołgi? Czy może umie zmienić rezultaty drugiej wojny światowej?

Breżniew spodziewał się widocznie, że po tym jasnym i zrozumiałym wykładzie również Dubczek pojmie już, na jakim świecie żyje - i będzie można zacząć rozmawiać o tekście protokołu, który ma być uroczystie podpisany. Ale tak się nie stało i Dubczek zaczął oponować. Nie pamiętam już, jakimi słowami i w jakiej konkretnie sprawie. Powiedział jednak coś, co wyprowadziło Breżniewa z równowagi. Przerwał mu i zaczął krzyczeć, jego twarz stała się purpurowa, wreszcie wściekle oświadczył: Całe dotychczasowe rozmowy najwidoczniej nie miały sensu, wszystko powtarza się jak w Czarnej nad Cisą - jest to zbędne, do niczego to nie prowadzi, wobec czego on przerywa obrady.

Wstał i zamierzał odejść, a wraz z nim wszyscy członkowie sowieckiego politbiura. W rozgardiaszu, jaki zapanował w sali, zaczął mówić coś Ludvík Svoboda, raz jeszcze usiłując zażegnać burzę. Breżniew zatrzymał się, wysłuchał go, lecz następnie skierował się do wyjścia. Powiedział tylko, że dalszą procedurę trzeba uzgodnić - i wyszedł, a w ślad za nim gęstego opuściło salę całe sowieckie "kolektywne kierownictwo".

Do dnia nie jestem pewny, czy było to przypadkowe. Wtedy miałem wrażenie, że to zowczasu zaplanowane przedstawienie. Reakcja Breżniewa i jego sygnał do odejścia były bowiem niewspółmierne do sytuacji. Naprawdę nie pamiętam już słów, które stały się przyczyną incydentu, myślę więc, że Dubczek nie powiedział nic tak strasznego, przynajmniej nic takiego, czego w gruncie rzeczy nie mówiłby już przelotem. Także dalszy przebieg rozmów świadczył raczej, że politbiuro sowieckie zaplanowało ten krok, ażeby zatwierdzenie tekstu protokołu odbyło się w atmosferze, w której czechosłowaccy reformiści będą już ostrożniejsi i ograniczą swe niowczesne uwagi do minimum. Niezależnie jednak od przyczyn owej sceny, wywołała ona w sali panikę.

Dubczek znowu był bliski zakamienia. Drżał, mówił coś nerwowo i bez związku. Zjawili się lekarze z jakimiś zastrzykami. Opędzał się od nich - i nagle ku powszechnemu przerażeniu ośmiąknął:

- No to ja tego nie podpiszę! Niech sobie robią, co chcą - nie podpiszę!

Niektórzy, wśród nich Czernik, Svoboda i Smukovský, podeszli do niego i zaczęli go jeden przez drugiego przekonywać, że tak nie można, że teraz nic się już nie poradzi. Ja też myślałem, że teraz taki zwrot w rokowaniach nie jest możliwy. Ponadto byłem przekonany, że Dubczek mówi tak wskutek stanu psychicznego, w jakim się aktualnie znajduje, i że wkrótce znów zmieni zdanie. Rozmawiając z nim przez chwilę, powiedziałem mu to - coraz ktoś inny podchodził i usiłował wpłynąć na niego, by można było kontynuować rokowania. Dubczek słuchał, co mówiliśmy, nie zaprzeczał, ale postawy nie zmienił.

- Czyżbyś nie widział, jacy są - przecież zupełnie nie zrozumieli, co zrobili - rzekł w odpowiedzi na wszystkie me argumenty i znów powtórzył: Ja tego nie podpiszę!

Dubczek miał swoją proroczą chwilę. Może gdyby uczestniczył w naszych rozmowach już wczoraj w nocy i zajmował taką samą postawę, wywarłoby to istotny wpływ na ich przebieg. Ale teraz już nie. W końcu pozwolił zrobić sobie zastrzyk uspokajający i w drugiej turze nacisków uległ.

Nim się to stało, obie strony przejawiały gorączkową inicjatywę, by doprowadzić do ponownego nawiązania rokowań. To Svoboda i Czernik albo inni zę skrzydła reformistycznego, to Bilak i Jakeš wybiegali z sali w jakieś kulatory, gdzie zjawiali się Susłow, Ponczariow i chyba również niektórzy inni. Wreszcie Svoboda został przyjęty przez Breżniewa i wspólnie coś uzgadniali. Wskutek tego wszystkiego przerwa w obradach trwała około godziny. Gdy znów się rozpoczęły, był późny wieczór.

Przebieg wznowionych rozmów nie był już zbyt dramatyczny. Rozpatrywało się tekst protokołu, akapit po akapicie. Strona sowiecka była na ogół ustępliwsza, niż dotychczas. Nie pamiętam już ściśle, co w tej ostatniej fazie zmieniono w słowach protokołu. Ale przedłożone zostały dwa ważne sformułowania: o wycofaniu wojsk po ich "tymczasowym" pobycie, z tym, że wycofanie to wiąże się z postępem w "normalizacji", a poza tym o poparciu przez stronę sowiecką linii politycznej styczniowego i majowego plenum KC KPCz. W związku z tym wywiązała się dyskusja na temat plenum kwietniowego, na którym doszło do zatwierdzenia Programu Działania. Jak swego czasu w Bratysławiu, tak i teraz Breżniew "ze względów stylistycznych" nie zgadzał się na propozycję, żeby w zwrocie "plenum ze stycznia i maj" zamiast "i" był myślnik, wskutek czego zostałyby tu uwzględnione również plenum kwietniowe. W końcu otwarcie powiedział, że w Programie Działania sowieckie politbiuro niektórych sformułowań nie uważa za słuszne i dlatego nie podpisze czegoś, co świadczyłoby o zgodzie z tym programem. Koniec końców my też powinniśmy zrozumieć, że teraz program ten wymaga pewnych korektur. Politbiuro sowieckie popiera jednak bez zastrzeżeń rezolucję majową, w której przede wszystkim Program Działania został uznany nie tylko za słuszny, ale także za zasadniczą linię. Zarezerwowałem jednak w rezolucji mowę się też o siłach wrogich socjalizmowi. Na tym stanęło i wyraźna aprobata Programu Działania KPCz nie znalazła się w protokole moskiewskim.

Na krótko przed północą wszystko było gotowe i nastąpił moment składania podpisów. Nagle wielkie drzwi sali otworzyły się i do środka dosłownie wtargnęło z dziesiątciu fotografów i operatorów. W tejże chwili jak na komendę całe politbiuro sowieckie wstało i każdy jego członek z rozwarzonymi, gotowymi do uścisków ramionami nacisnął się poprzez stół do swego czechosłowackiego vis-à-vis. Była to absurdalna scena: w świetle fleszów wyciągały się ponad stołem dziesiątki ramion członków sowieckiego politbiura - i nagle wydało mi się, że to jakaś fantastyczna, mięsożerna roślina stara się nas pochwyć swymi lepкими mackami. Zamiast wstać i wykonać taki sam gest, odepchnąłem się od stołu i mój fotel przejechał po wywoskowanym parkiecie pod znajdującą się trzy metry za nim ścianą. Zatrzymałem się koło ambasadora Kowalczyka, który siedział tam wraz z innymi nie mieszczącymi się już przy stole, i spojrzałem na mnie z wyrazem niekłamnego przerażenia w oczach i szepnął cicho.

- Ty chyba zacznieś?!

Powiedziałem, że możliwe, ale - dodałem - przede wszystkim nie chcę się ścisnąć, po prostu nie mogę. Tymczasem akt kolektywnych uścisków dobiegł końca, utrwalony przez aparaty filmowe i fotograficzne.

Potem uwieczniono jeszcze głównych przedstawicieli obu stron w chwili podpisywania protokołu. I zaraz, równie nagle jak ich wpuszczono, usunięto filmowców i dziennikarzy z sali obrad i drzwi zostały zamknięte. Od stołu usłyszałem głos Podgórnego:

- A towarzysz Miłnarz nie podpisze?

Dostrzegłem moją ucieczkę, trudno, by jej nie dostrzegł: siedziałem akurat naprzeciw niego i właśnie do mnie wyciągał swe ramiona. Inni, którzy jeszcze nic nie zauważyli, zaczęli się rozglądać, co właściwie ze mną się dzieje. Powiedziałem więc, że podpiszę, wstałem i odcibiłem własnoręcznym podpisem wyrok skazujący komunistyczną reformę demokratyczną w Czechosłowacji na śnieg.

Oprężenie, jakie następuje po każdej trzymającej w napięciu akcji - bez różnicy, tragedii czy komedii - przyszło również po zakończeniu ceremonii składania podpisów. Wkrótce jednak znowu zapanowało napięcie, które wnet przywróciło nas do rzeczywistości. Spowodował je epizod związany z odlotem Frantiszka Kriegla: pasowałyby raczej do powieści kryminalnej ze świata gangsterskiego, ale wydarzył się na Kremlu, podczas rozmów, które - jak głosił komunikat - "przebiegały w serdecznej, przyjaznej atmosferze".

Przy omawianiu spraw technicznych, związanych z odlotem do Pragi, ktoś zwrócił uwagę na konieczność zapewnienia przyjazdu Kriegla na Kreml, ażeby

mógł odlecieć wraz z całą delegacją. Na to odezwał się sam Breżniew, mówiąc, że może byłoby lepiej, gdyby Kriegel nie leciał do Pragi ze wszystkimi.

- Zostawcie go nam tutaj - powiedział. - Nie podpisaj protokołu i będzie wam robił trudności.

Dubczek, a bodaj także Svoboda, zareagował dosyć gwałtownie i oświadczył, że delegacja wróci do Pragi cała, bez Kriegla wrócić nie może. Breżniew jednak nadal nalegał i rozwodził się, jak to Kriegel będzie sabotować protokół, jak będzie się przechwalał, że on jeden go nie podpisaj, i organizować opozycję przeciw "wysiłkom konsolidacyjnym".

Sądzę, że za całą tą sprawą krył się jakiś scenariusz, którego trzymał się również Breżniew. Wszyscy zrozumieliśmy nagle, że Kriegel jest właściwie nadal w areszcie, jest tylko zakładnikiem, a nie zarazem delegatem, jak my. Sam Breżniew mówił o nim jako o więźniu, który nie ma przecież z nami nic wspólnego. Ludvik Svoboda rzekł, że po przylocie do Pragi umieści Kriegla i jego żonę w Lanach. Breżniew zrozumiał to jako ofertę, że Svoboda w istocie zamierza zamknąć Kriegla w jakimś luksusowym kryminalu, i zauważył:

- On wam ucieknie! Kto z was może za niego poręczyć?

Nie wymagano więc za zwolnienie zakładnika okupu, ale szef gangu chciał osobistej poręki - jak w kryminalnej powieści. Nie porozumiewając się między sobą, trzech z nas - Szpaczek, Szimon i ja - spontanicznie powiedzieliśmy, że poręczymy. Lecz to nie wystarczało i rozpoczęły się kłopotliwe pertraktacje • wypuszczenie jeńca. Dubczek, Svoboda, Czernik i Smrkovský przeszli z kierownictwem politbiura do saloniku obok i tam rozstrzygali ten problem za zamkniętymi drzwiami. Jeśli dobrze pamiętam, również Jakesz starał się wtedy wpłynąć na uwolnienie Kriegla poprzez swoje kontakty, chyba bezpośrednio z aparatem policyjnym głównego reżysera. Rezultatem było haniebne, dla Kriegla znów upokarzające, porozumienie: jeńiec zostanie dostarczony wprost na lotnisko, na Kraml nie może być wpuszczony.

Po tym wszystkim dostojnicy kramlowscy zaproponowali jeszcze, ażeby przed odlotem nieformalnie, przyjaźliwie "posiedzieć". Kosygin, do którego jowialne zachowanie zupełnie nie pasuje, zaczął dowcipkować i powoływać się na stary rosyjski zwyczaj, że drodzy goście, zanim opuszczą dom gospodarza, muszą przed odejściem bez pośpiechu posiedzieć i wypić strzemiennego. Przypomniało mi się, że czytałem gdzieś o zwyczaju jakiegoś plerienia mongolskiego, które szczególnie ulubionych jeńców przywiązywało do szych jurt jeszcze lepszym sposobem: w podeszwy takiego jeńca wbijano kawałki końskiego włosa, które następnie zarastały i zupełnie jeńcowi nie przeszkadzały - chyba, że chciałby wstać i uciec. Wspomniany przez Kosygina zwyczaj zatrzymywania miłych gości był znacznie bardziej humanitarny. Tak więc wszyscy siedliśmy z naszymi gospodarzami.

"Posiedzenie" trwało około godziny, w końcu zmieniło się w rozmowy wę dwóch albo w niewielkich grupkach i stanowczo nie było ciekawe. Do mnie podszedł Kosygin i po kilku konwencjonalnych zdaniach zapytał, czy uważam realizację protokołu za możliwą, jakie widzę problemy i jak zapatruję się na niektóre sprawy personalne. Na sprawach personalnych jego uwaga skupiała się coraz bardziej - w końcu pojąłem, że chce w ten sposób wysondować moje rzeczywiste poglądy: był to sposób pewniejszy i jednocześnie prostszy, niż wdawanie się w pogawędki na tematy polityczno-ideologiczne. Odpowiedź na pytanie, co myślę o "socjalizmie z ludzką twarzą", nie dałaby mu tyle, co - co myślę o Czerniku, Husaku albo Indrze.

Otwarcie powiedziałem wteły Kosyginowi, że moim zdaniem miałyby katastrofalne następstwa, gdyby politbiuro moskiewskie główną oporę widziało w ludziach, którzy w sierpniu mieli wystąpić w roli twórców "rządu rewolucyjnego" - i wymieniłem Bilaka oraz Indrę.

- Też mi ktoś - rzekł Kosygin i machnął pogardliwie ręką.

Następnie niezwykle pochwalił Husaka. Zapewne chciał w ten sposób również mnie ukatwić orientację. Bynajmniej nie sprzeciwił się, gdy mu mówiłem,

że teraz najważniejszą sprawą będzie niedopuszczenie do umocnienia się tendencji ekstremistycznych. Powiedziałem z naciskiem, że odejście ze swych stanowisk Kriegla, Cisarza, Pavla, Hajka i innych możliwe jest jedynie pod warunkiem, że odejdą też ludzie, którzy w sierpniu kompletnie się skompromitowali. Wydawało mi się, że Kosygin patrząc w przyszłość życzy sobie szybkiego odprężenia, że więc jego poglądy są zgodne z naszymi zapatrywaniami na możliwość przyjęcia kompromisu.

Na drugi dzień, już w Pradze, dowiedziałem się jednak od Dubczeka, że od niego Breżniew żądał pozostawienia Vasila Bilaka i Aloisa Indry na ich dotychczasowych funkcjach partyjnych, uzależniając od tego jakiekolwiek dalsze dobre stosunki.

Breżniew i inni członkowie sowieckiego politbiura pojechali z nami aż na lotnisko, gdzie z kolei nastąpiło oficjalne pożegnanie, uwiecznione przez fotografów. W podstawionym samolocie rzeczywiście siedział już Kriegel. Około drugiej nad ranem czasu moskiewskiego 27 sierpnia 1968 r. samolot wystartował. Tym razem też siedzieliśmy w milczeniu, ale teraz już z całkiem innych powodów: każdy z nas wyobrażał sobie, co na "protokół moskiewski" powiedzą ludzie w kraju. I myślałem, że nikt nie był tu optymistą.

Główne role na chwile po lądowaniu były już rozdzielone. Svoboda pierwszy wygłosił publiczne przemówienie, po nim zrobił to Dubczek. Czernik uda się rano do rządu, Surkovsky do parlamentu. Wkrótce po przylocie Dubczek przeprowadzi rozmowy z wysoczańskim prezydiem KC KPCz. Ponieważ jednak w miarę możliwości już po południu ma wygłosić przemówienie do narodu, trzeba mu je przygotować. Znowu jak przed 20 sierpnia: polica się to Mlynarowski i Szimonowi. Siedzimy więc w samolocie i piszemy, gdyż okres lotu to chyba dwie najspokojniejsze godziny, jakich możemy się dziś spodziewać.

Myślałem, że było to najważniejsze przemówienie ze wszystkich, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się pisać. Dubczek poprawił je jeszcze i uzupełnił, zarówno na papierze, jak i - głównie - już w trakcie wygłoszenia. Jest to owo znane przemówienie, w którym obok słów tak wielką rolę odegrały również tłumione łzy. Tym przemówieniem Dubczek osiągnął to, co w głębi duszy wszyscy uważaliśmy za niemożliwe: naród jraz jeszcze uwierzył, że nie wszystko stracone, że jest jeszcze iskra nadziei i że Dubczek jest tym, kto nadzieję tę spełni.

EPILOG

Rozwój wydarzeń jesienią 1968 r. ledwie przez miesiąc odpowiadał moim oczekiwaniom, temu, co wyobrażałem sobie na Kremlu. W początkach października zaczęło mi już świtać, że były to tylko złudzenia i że wszystko potoczy się inaczej. Pojawiły się pierwsze poważne symptomy niepowstrzymanego rozpadu dubczekowskiego kierownictwa partii, tej jego części, której jedność warunkowała nadzieję na realizowanie zapoczątkowanej polityki, obecnie prowadzonej w warunkach narzuconych przez z góry niedogodny kompromis z Moskwą.

Osiągnięciem było właściwie to tylko, że 31 sierpnia 1968 r. prezydium partii zostało powiększone o grupę nowych członków, wśród których było siedmiu wybranych przedtem do prezydium wysoczańskiego. A przy tym oprócz Františka Kriegla nadal byli w nim wszyscy uprzednio aresztowani i wywiezieni do Moskwy, natomiast z czołówki, która w nocy 20 sierpnia sprzeciwiała się potępieniu sowieckiej interwencji, pozostał tylko jeden - Vasil Bilak, a i to wskutek osobistych zabiegów Breżniewa. Również Alois Indra z tych samych przyczyn nie utracił stanowiska sekretarza. Nie wrócił jednak jeszcze do Pragi: będąc chory pozostał w Moskwie i było oczywiste, że decyzja o dalszych jego losach zapadnie później. W kierownictwie partii nadal znajdowali się także Piller, Lenart i Barbirek, którzy 22 sierpnia wyrazili zgodę na udział w

"rewolucyjnym rządzie robotniczo-chłopskim". Wszyscy oni jednak stanowili w nowym, 24-osobowym prezydium KC KPCz mizerną mniejszość. Członkami prezydium byli teraz co prawda również Husak i Svoboda.

We wrześniu zjechał do Pragi emisariusz Moskwy, ówczesny wiceminister spraw zagranicznych, Kuzniecowa. Wyposażony w znaczne pełnomocnictwa również po linii partyjnej, natychmiast wziął się do pracy: rozmawiał po kolei z członkami kierownictwa partii, zaznajamiał się z sytuacją, odnotowywał i umiejętnie podsycał rozbieżności, których istnienie stwierdzał w toku rozmów. Z rozmowy, jaką z nim miałem, oraz z tego, co wiem o jego rozmowach z innymi członkami kierownictwa, wywnioskowałem, że głównym jego zadaniem było sygnalizowanie Moskwie, których członków kierownictwa KPCz trzeba popierać, a których - przeciwnie - należy jak najszybciej usunąć. Zaczynał zawsze od ogólnikowych pochwał pod adresem tego, z kim akurat rozmawiał. Mnie np. zaraz na wstępie przekazał osobiste pozdrowienia od Leonida Breżniewa i podkreślił, że towarzysze Breżniew niezmiernie ceni sobie mój artykuł, który napisałem wtedy do "Rudego Prava". Z kolei Josefa Szpaczka zapewniał, że aresztowanie go 20 sierpnia było kompletną pomyłką, że towarzysze w Moskwie żałują, iż tak się stało, i że on, Szpaczek, cieszy się pełnym zaufaniem Kremla. Następnie w swobodnej i utrzymanej w liberalnym tonie rozmowie sprawdzał, jak jego rozmówca zapatruje się na szereg konkretnych zagadnień związanych z interpretacją "protokołu moskiewskiego". Wiele pytań oraz niby to swoje osobiste poglądy świadomie formułował przy tym w sposób prowokacyjny. Wreszcie niepostrzeżenie przechodził do kwestii personalnych: jak się kto zapatruje na tego czy owego członka kierownictwa partii - od Dubczeka po Indrę.

M.in. dzięki swojemu pogładowi na przyszłość Aloisa Indry chyba definitywnie trafił wtedy w notisie Kuzniecowa na listę tych, na których dłużej liczyć już nie można. Zapytał mnie, jak sądzę, co "powinno by się zrobić" z Indrą. Powiedziałem, że Indra ciągle jeszcze jest przecież w Moskwie, więc nie jest to znowu taki problem. Dla mnie mógłby wcale nie wracać do Pragi. Oblicze Kuzniecowa, i tak niezbyt uprzejme, zeszytniało. Może zrozumiał to jako aluzję do losu różnych funkcjonariuszy komunistycznych, którzy w czasach Stalina nigdy już nie wrócili z kremłowskiego szpitala. Dodałem więc, że mam na myśli pozostawienie Indry w Moskwie np. jako przedstawiciela w RWFG. Uzasadnikiem też, dlaczego: jego rola w sierpniu wyklucza, moim zdaniem, powrót na funkcje polityczne w kraju, o czym rozmawiałem już na Kremlu z Kosyginem i ten nie tylko nie przeczył, ale nawet jakby mój pogląd akceptował. Po tych słowach rozmowa z Kuzniecowem utraciła już resztki fałszywej serdeczności - i szybko dobiegła końca.

Myślę, że pierwszy - już w trakcie rozmów z Kuzniecowem, a następnie podczas solowych wizyt w Moskwie - umowę o jedności działania złamał Czernik. Od jedności z Dubczkiem, Smrkovskim i innymi, do której zobowiązał się w sierpniu na Kremlu, zaczął odchodzić już we wrześniu, mając nadzieję, że w ten sposób zapewni sobie poparcie Moskwy nawet w zmienionej konstelacji sił. Za tę nadzieję sprzedał mnie, potem też Smrkovskiego, a na koniec Dubczeka. Związał się ze Sztrougalem, z którym łączyła go przyjaźń osobista, a także z Husakiem i Svobodą. Prawdopodobnie liczył na to, że po dymisji Dubczeka może uda mu się zostać pierwszym sekretarzem KPCz. Sam Dubczek, kiedy w kwietniu 1969 r. pod naciskiem Moskwy musiał zrezygnować ze swojej funkcji, koniec końców jako swego następcę rzeczywiście zaproponował Czernika. Za żadne skarby nie chciał, żeby to stanowisko przypadło Husakowi: bał się - i jak się okazało, nie bezzasadnie - że niepohamowane ambicje, żądza władzy i inne cechy Husaka doprowadzą całą partię do jeszcze gorszej katastrofy, niż ta, do której i tak już doszło. Czernik natomiast, choć okazał się słabego charakteru, dawał przynajmniej pewne gwarancje, że "normalizacji" rozumianej racjonalnie i pragmatycznie nie zastąpi nieokiełznane panoszenie się stalinowskich szumowin w KPCz, pozbawionych władzy już w czasach Novotnego.

Podczas rozmów w Moskwie Czernik przede wszystkim sprzeniawierzył się ustaleniom uzgodnionym w kierownictwie KPCz w sprawie stopniowego wycofania z Czechosłowacji wojsk sowieckich. Nie zważając na to, że w myśl tych ustaleń mieliśmy we wszelkich okolicznościach stać na gruncie słów "protokołu moskiewskiego" o całkowitym wycofaniu wojsk, Czernik pierwszy wyraził zgodę na to, co ostatecznie przybrało postać zawartego w październiku 1968 r. układu o pobycie wojsk sowieckich w CSRS, de facto legalizującego pobyt około 100 000 sowieckich żołnierzy na czas absolutnie nie określony.

Swoim postępowaniem osiągnął tyle, że utrzymał się na stanowisku premiera do stycznia 1970 r. Przeżył o kilka miesięcy nie tylko upadek Dubczeka, ale również usunięcie z KC KPCz wszystkich, których w sierpniu 1968 r. na Kremlu czule ścisnął i zapewniał o niezłomnej jedności działania. W końcu jednak on również został złożony w ofiarze, a jego fotel zajął jego przyjaciel, Lubomir Sztrougal. Przedtem jeszcze Czernik - jedyny z tych, którzy w sierpniu mieli stanąć przed "trybunałem rewolucyjnym" - publicznie opluwał reformy demokratyczne roku 1968 i własny udział w ich realizacji. Dopiero wiosną 1970 r., gdy usunięto go z KPCz, znów miał chwilę widzenia rzeczy takimi, jakie są, i w prywatnej rozmowie oświadczył zwięźle:

- Przesrałem i pozycję, i honor.

Także Alexander Dubczek od września 1968 r. za bardzo liczył na to, że stosując metody polityki gabinetowej oraz porozumiewając się bezpośrednio z Breżniewem zdoła utrzymać się na swym stanowisku i zyskać poparcie Moskwy. Nie rozumiał, że Moskwa właśnie jego spisała definitywnie na straty, że całą grę rozpoczętą przez Kuzniecowa i kontynuowaną wielu innymi środkami, Kreml prowadzi m.in. po to, żeby w funkcji pierwszego sekretarza zastąpił go ktoś inny. Ostatni raz przekonywałem go o tym w styczniu 1969 r. Nie chciał się ze mną zgodzić, twierdził, że jest wprost przeciwnie, że w Moskwie już wygrał, że gdy tylko uda mu się ostatecznie przekonać Breżniewa, jak dobrze panuje nad sytuacją - wojska zostaną wycofane.

- Gdyby nie to, że ciągle brzdąca mi pewni dziennikarze i ludzie, którzy nie potrafią zrozumieć, że dla Moskwy są nie do przyjęcia - mówił mi wtedy Dubczek - wszystko miałbym już uzgodnione.

Działo się to na dzień przedtem, gdy w Pradze - protestując przeciw przybierającej coraz większe rozmiary kapitulacji wobec okupanta - spalili się Jan Palach.

Dubczek naprawdę wierzył, że decydujące znaczenie mają jego kuluarowe rozmowy z Breżniewem w Moskwie albo podczas polowania na dziki pod Kijowem. Mniej więcej tydzień wcześniej, wskutek nacisku Kremla, odczono realizowanego głównie przez Gustava Husaka, Josef Smekovsky został zmuszony do rezygnacji z funkcji przewodniczącego parlamentu. Dubczek pozostawał jeszcze na swoim stanowisku, lecz w najbliższym kierownictwie otaczali go jedynie Czernik, Husak, Sztrougal oraz Svoboda. Wśród sekretarzy KC utrzymywał się tylko jeden reformator - Josef Szpaczek. Pozostałymi sekretarzami byli już wyłącznie Bilak, Indra, Lenart i Josef Kempny, wtedy będący po prostu czkowiekiem Czernika. Moskwie rzeczywiście wystarczyło pozbyć się już tylko Dubczeka - a mimo to on owej chwili myślał, że wygrał na całej linii! Nie umiałem wytłumaczyć sobie tego wtedy i dziś także nie umiem. Prawdopodobnie wszyscy, poczynając od samego Breżniewa, zgali mu w żywe oczy. Ale jak mógł wtedy jeszcze im wierzyć?

Moją osobą Dubczek spisał na straty na długo przedtem, już podczas rozmów w Moskwie 4 października 1968 r. Początkowo na te rozmowy została wyznaczona delegacja czteroosobowa: Dubczek, Czernik, Husak i ja. Powierzono mi nawet przygotowanie materiałów na obrady, co też zrobiłem, ale tuż przed odlotem usunięto mnie z delegacji. Dubczek uzasadnił mi to tym, że Breżniew chce mieć tylko trzech partnerów, bo ze strony sowieckiej też będzie tylko trzech. Oczywiście nie traktowałem tego poważnie, wiedziałem, że mam być niedopuszczony do rozmów z jakichś innych powodów - może na życzenie Breżniewa, może Husaka i Czernika, ewentualnie nawet wszystkich razem. Trójca -

- Dubczek, Czernik i Husak - wróciła z Moskwy z kolejnymi, dodatkowymi warunkami kapitulacji, wykraczającymi poza ramy uprzedniego "protokołu moskiewskiego". Delegacja zaakceptowała pobyt wojsk sowieckich na czas nieokreślony, zgodziła się na odroczenie ad calendas Graecas zjazdu partii i przyjęła do wiadomości pogląd sowieckiego politbiura, że Program Działania KPCz jest w gruncie rzeczy dokumentem niesłusznym. Ponadto spisano na straty kolejną grupę osób, wśród nich mnie.

O tym, że wtedy w Moskwie mnie sprzedał, Dubczek powiedział mi dopiero w kilka tygodni później. I bez tego zrozumiałem to jednak natychmiast po powrocie delegacji. Rozmawiając z Dubczkiem w cztery oczy, wskazywałem mu, że celem wzmagającego się nacisku Moskwy jest stopniowe usunięcie z kierownictwa wszystkich reformatorów, a zatem czas już zastanowić się nad drugim, alternatywnym rozwiązaniem: on i jego ludzie powinni sami wycofać się, wyznaczając takich następców, którzy zagwarantują, że utrzymane będzie minimum warunków reformy, że nie dojdzie do ofensywy szumowin stalinowskich i agentury sowieckiej w KPCz, że cała KPCz nie zostanie w końcu rozbita i na przyszłość zupełnie wyeliminowana jako partia zdolna do ewolucji reformistycznej. Bilak np. bynajmniej nie ukrywał, że jego zdaniem chcąc być naprawdę "partią leninowską", KPCz powinna by mieć około połowy swoich obecnych członków. Wtedy widziałem już tylko jedną możliwość zapobieżenia temu, żeby Bilak, Indra, Jakesz i w ogóle ekipa: "rewolucyjnego rządu robotniczo-chłopskiego" stali się w końcu panami sytuacji: przeciwstawienie im innej ekipy, niż Dubczek, Szarkovsky, Szpaczek, Szimon i ja. Konkretnie myślałem o Czerniku jako szefie partii i Sztrougalu jako szefie rządu. Jeśli ci ludzie znajdą się na najwyższych stanowiskach, to utrzymają Husaka w Bratysławie, uzyskają poparcie Moskwy i utrzymają też w cuglach stalinowskie męty w KPCz, gdyż sami nie są związani z nimi, tylko z rozsądniejszymi, pragmatycznymi siłami w aparacie partyjnym, państwowym i gospodarczym. Reforma polityczna będzie wprowadzić na jakiś rok pogrzebana, ale potem, w drodze swego rodzaju odmiany "kadaryzacji", dalszy rozwój znów potoczy się mniej więcej w tymże samym kierunku.

Dubczek nie zgadzał się ze mną. Nie widział sytuacji tak czarno - ani w ogóle, ani co się tyczy jego osoby. Nie myślał rezygnować ze swojej funkcji. Nie namawiał mnie jednak, bym i ja też pozostał na swojej. Wywnioskowałem z tego, że na Kremlu chyba rozmawiano z nim na ten temat. Wziąłem więc dwutygodniowy urlop i wyjechałem z Pragi. Kilka dni przespaliśmy, a potem na świeżym powietrzu, w lesie, zastanawiałem się nad sytuacją. Nie zmieniłem jednak poglądu na dalsze perspektywy polityczne. Podpisując "protokół moskiewski" kierownictwo KPCz straciło możliwość opierania się jako na głównej sile na masowej swobodnej aktywności ludu. Akceptując linię "normalizacji" zrezygnowaliśmy z ogólnonarodowego ruchu demokratycznego w postaci, w jakiej występował on przed sierpniem 1968 r., kiedy ludzie mogli swobodnie wyrażać swoją wolę. Przeciwnie od powrotu do Pragi pod koniec sierpnia dubczekowskie kierownictwo partii w istocie nie robiło nic innego, tylko stopniowo pacyfikowało opór narodu przeciwko okupacji, łagodniło go i starało się nadać mu takie formy, żeby w Moskwie nie wzbudzić nowej fali niezadowolenia i nowego nacisku na przyspieszenie "normalizacji". Można było liczyć tylko na ciche wzajemne zrozumienie między kierownictwem KPCz a narodem: naród zrozumie, że poświęcono bardzo wiele, ale w rzeczywistości uczyniono tak, by zachować siły na przyszłość.

W tej sytuacji jednak absolutnie konieczne było zachowanie tych sił naprawdę. Nie widziałem innego sposobu dokonania tego, poza tym, o którym rozmawiałem z Dubczkiem. W przeciwnym razie Moskwa będzie kontynuować natarcie, aż wreszcie i tak doprowadzi do usunięcia Dubczeka i jego ludzi. Może się jednak zdarzyć, że zmobilizuje do tego siły, które w KPCz usunął już ze sceny bieg wydarzeń lat sześćdziesiątych, że wszystko, co od przeszło dziesięciu lat rozwijało się tu w duchu reformistycznym, zostanie całkowicie zlikwidowane i powstanie taka partia, jaką wyobraża sobie Vasil Bilak. Postanowiłem więc

podjąć jeszcze jedną próbę wpłynięcia na Dubczeka i innych. Jeśli mi się nie uda, to bezwzględnie podam się do dymisji ze wszystkich moich stanowisk, gdyż piastując je nadal nie będę już miał żadnej możliwości oddziaływania na to, co się dzieje. Ileś jeszcze tygodni czy miesięcy utrzymamy się na swych funkcjach, ale potem tak czy owak /w Moskwie decyzja już zapadła/ wszyscy będziemy usunięci. Dla perspektyw reformy nie będzie to już miało żadnego pozytywnego sensu, wprost przeciwnie.

Powróciwszy do Pragi pod koniec października, rozmawiałem w tej sprawie ze Smrkovskim, Szpaczkiem, Szimonem i jeszcze raz z Dubczekiem. Pierwsi trzej na ogół zgadzali się ze mną, ale swoją decyzję uzależniali od postawy Dubczeka: jeśli on nie odejdzie i nie mianuje się nowego pierwszego sekretarza, ich odejście nie będzie przecież miało niezbędnej wymowy. Jeden Bohumil Szimon był wtedy bliski tego, by odejść nawet samotnie. Lecz Dubczek nie zmienił swego zdania. Teraz, w pierwszych dniach listopada, powiedział mi już jednak wyraźnie, że moja dymisja ukatwiłaby sytuację, gdyż mówiono z nim o tym na Kremlu. Oczywiście, nawet po dymisji nie przestanę grać roli politycznej: on będzie się ze mną konsultować, jego drzwi, jak i drzwi innych członków kierownictwa, będą dla mnie otwarte w dzień i w nocy. A następnie zaproponował mi tękę ministra kultury.

Powiedziałem mu, że takie samo stanowisko mogłem przyjąć już w sierpniu w sowieckiej ambasadzie, lecz odmówiłem wtedy i teraz też odmawiam. Stanowiska miały dla mnie sens, dopóki mogłem mieć nadzieję, że dzięki nim wywrę praktyczny wpływ na przebieg demokratycznej reformy. Teraz jest to już niemożliwe, zajmę się więc własnymi sprawami, wrócę do pracy badawczej i zrezygnuję z funkcji politycznych. Dubczek nie oponował, toteż łatwo doszliśmy do porozumienia.

Ostatnim moim zadaniem na stanowisku sekretarza KC było jeszcze przygotowanie razem z Josefem Szpaczkiem tekstu rezolucji, uchwalonej następnie w listopadzie 1968 r. na posiedzeniu plenarnym KC. Była to z mojej strony ostatnia próba choćby słownego wyznaczenia ram, w których a nuż mogłaby utrzymywać się jeszcze linia polityki reformistycznej. Nie miałem już jednak wewnętrznego przekonania, że się to uda. Ostatecznie nawet sam tekst rezolucji nie utrzymał się w postaci, jaką mu nadałoby. Ostatniej nocy przed plenum Dubczek /bodajże jeszcze z Czernikiem i Husakiem/ polecił na konsultację do Breżniewa. W rezultacie z projektu znikły ustępy mające zapobiec ewentualnemu uznaniu zbrojnej interwencji za uzasadnioną - przeciwnie, pojawiły się w nim zdania o niebezpieczeństwie "prawicowego oportunizmu" w KPCz. Szczerze mówiąc, wtedy było mi to już całkiem obojętne: zrezygnowałem z możliwości wywierania jeszcze jakiegosć wpływu na bieg wydarzeń.

Posiedzenie KC KPCz 16 listopada 1968 r. przyjęło moją dymisję ze wszystkich funkcji w kierownictwie partii. Pozostałem wprawdzie jeszcze zwykłym członkiem KC, ale również w posiedzeniu tego organu uczestniczyłem potem już tylko raz - w styczniu 1969 r. Posiedzenie to rozpoczęło się 16 stycznia, w dniu, w którym spalił się w Pradze Jan Palach. Kiedy wiadomość o tym doszła na Zamek, gdzie zasiadał KC, znana lekarka, dr Helena Raszková, zabrała głos i powiedziała, że wstydzi się słuchać tutejszych wystąpień i przychodzi jej na myśl, iż Palach może słyszał co się tu mówi, i to skłoniło go do rozpaczliwego protestu. Po tych słowach uczestnicy plenum przerwali jej jordanymi okrzykami, stalinowcy i agenci sowieccy dosłownie ujadali na nią. Vilem Novy, który później zasłynął jako człowiek bez charakteru i sługus "normalizacji", natychmiast wygłosił cyniczną mowę o Palachu. Śmierć, która w następnych dniach wstrząsnęła sumieniem całego narodu, nie wywarła najmniejszego wrażenia na tych, którzy siedzieli tutaj - i byli wszystkiemu winni.

Już przed tym posiedzeniem, na zebraniu prezydium i sekretariatu, na którym, jak gdyby nigdy nic, znów pojawił się dostarczony z Moskwy Alois Indra, poczułem, jak mnie mdli. Siedzieli tam z nim wszyscy, których miał sądzić jego "trybunał rewolucyjny". oprócz jednego tylko Kriegla. I także

udawali, że nic się nie zdarzyło. Ot, po prostu towarzysze Indra znów jest między nami. I tak samo zemdliło mnie na posiedzeniu KC, gdy część obecnych na znak protestu wszczęła raban i wrzeszczała na Helenę Raszkovą. Pomyślałem że w tej ferajnie może wkrótce znów znową się wzajem aresztować, a kto wie, czy nie mordować. Kiedy do tego dojdzie, chyba również Kreml uzna, że stosunki w KPCz znów są w pełni normalne.

Potem nie chodziłem już tam nigdy, ani w kwietniu, gdy wybrano Gustava Husaka na nowego szefa partii, ani we wrześniu, gdy usunięto mnie z tego organu. A przecież byli to ci sami ludzie, którzy kiedyś obalili Antonina Nowotnego i wybrali Alexandra Dubczeka, zatwierdzili Program Działania i dokoopowali też mnie.

Dlaczego spodziewałem się po nich, że właśnie faza "Praskiej Wiosny" będzie ich ostatnią i rzeczywiście szczerą postawą polityczną? Czyżbym od przeszło dziesięciu lat nie wiedział, że Antonin Zapotocky był zarówno mądrym, tatem, jak i człowiekiem, który głosował za karę śmierci dla swoich długoletnich przyjaciół i towarzyszy? A ci tutaj znów tylko postępują w sposób chyba naprawdę normalny w tym środowisku.

Nim we wrześniu 1969 r. zostałem usunięty z KC, wezwano mnie przed komisję prezydium partii, złożoną z trzech ludzi, z którymi przez cały ten czas przedtem zasiadałem w kierownictwie KPCz: Jana Pillerá, Evžena Erbana i Oldřicha Volenika. Początkowo rozmowa przypominała przyjacielskie spotkanie starych znajomych, którzy przypadkiem długo się nie widzieli. Następnie Piller bez owijania w bawełnę pogodnym tonem przedstawił mi propozycję prezydium partii, od dawna już husakowskiego: towarzysze przyznają, że nigdy nie należałem do ekstremistów i prawicowców, cenią to nawet i tym bardziej mają nadzieję, że bez trudu spełnię ich życzenie. Na przygotowywanym posiedzeniu plenarnym mam zabrać głos w dyskusji i powiedzieć dwie rzeczy: że w lipcu 1968 r. odmówienie udziału w rozmowach z przysiężnymi agresorami w Warszawie było niesłuszne i że już latem tegoż roku powiedziałem Smrkovskiemu, że jego polityka zależy od tego, skąd wiatr wieje. Nic innego ode mnie nie chcą. Jeśli to zrobię, nadal będę członkiem KC. Na pytanie, co stanie się, jeśli tego nie zrobię, Piller dał krótką odpowiedź:

- To członkiem Komitetu Centralnego być nie możesz.

Powiedziałem więc, że nie. Jeśli chodzi o obecność w Warszawie - bo wcale tak nie myślę. Jeśli chodzi o Smrkovskiego - bo wprawdzie rzeczywiście mówiłem coś podobnego, ale bynajmniej nie uważam, bym mógł scharakteryzować go taką wypowiedzią. Gdybyśmy znów kiedyś zasiadali razem w prezydium i uznałbym, że postępuje niewłaściwie, powiedziałbym mu to raz jeszcze - ale jemu w oczy, a nie o nim, wysługując się czyniasz brudnym zamiarom.

Na co Piller:

- A wiesz, że ja myślałem, że ty tego nie zrobisz? Mnie się to nawet podoba. To okropnie, tak patrzeć, jak ludzie wywracają teraz kota ogonem. Przed tobą był tu Cisarz i powiem ci, że chciało mi się rzygać!

Sam Piller zresztą też należał do ludzi, którzy kota wywracali ogonem nader chętnie, acz niezbyt zręcznie. Powiedziałem mu więc, jak bardzo mnie z kolei cieszy, że jemu przy wywracaniu kota ogonem chce się rzygać i że w takim razie nie będzie miał teraz lekkiego życia. Przestał paplać i śpiesznie skończył rozmowę. Jak dowiedziałem się później, ci trzej przedstawili następnie Komitetowi Centralnemu pisemne uzasadnienie, w którym pryncypialnie potępiali moją "działalność prawicowo-oportunistyczną", stanowiącą powód usunięcia mnie z KC.

Razem ze mną usunięto wtedy z KC praktycznie wszystkich, którzy wytrwali przy linii politycznej "Praskiej Wiosny", wśród nich również Josefa Smrkovskiego, którego miałem oczernić i w ten sposób zapewne zasłużyć na dalsze należenie do tego organu. Smrkovsky, niegdyś robotnik w piekarni, był starym funkcjonariuszem komunistycznym, jeszcze z lat przedwojennych. Ukończył Leninowską Szkołę Kominternu w Moskwie, podczas wojny działał w podziemiu, od 1944 r.

jako członek podziemnego KC KPCz. W czasie powstania w Pradze był od 5 maja 1945 r. wiceprzewodniczącym Czeskiej Rady Narodowej, potem aż do 1951 r. członkiem kierownictwa KPCz i wiceministrem rolnictwa. W latach 1951 - 55 był niepraworządnie więziony, skazany na dożywocie. Po rehabilitacji w 1963 r. Novotny znów wciągnął go do życia politycznego: został ministrem, deputowanym, a w 1966 r. członkiem KC KPCz. Czek Kriessla był w dubczekowskim kierownictwie jedynym reprezentantem starej gwardii funkcjonariuszy komunistycznych i bardzo wyraźnie ucieleśniał typowe ich cechy - pozytywne i negatywne.

Politykiem był bojowym, skoro jakies stanowisko uznał za słuszne - forsował je zaciekle, ze skłonnością do demagogii, właściwą mówcom wiecowym i trybunom ludu. Szybko i trafnie chwycił polityczne znaczenie zjawisk i zdarzeń, szybko się też decydował. Miał jednak wiele doświadczenia życiowego, które go przekonało, że błędnych decyzji nie należy uparcie bronić i że trzeba je w porę zmienić. Totż w dyskusji nie pozostawał głuchy na żadne argumenty i stosunkowo łatwo - łatwiej, niż np. Dubczeka - można go było przekonać, że jego pogląd nie jest słuszny i że powinien go zmienić. Jeśli dał się przekonać, nowego poglądu bronił z tą samą werwą i takimi samymi metodami, jak poprzedniego. To było główną przyczyną, dlaczego w wielu sytuacjach można było powoływać się na zmianę jego postawy, co rzecznicy "normalizacji" po dziś dzień przedstawiają jako dowód braku charakteru, kolportując oszczercze broszurki zatytułowane "Polityk o dwóch twarzach".

Jestem pewien, że powodem niekiedy naprawdę dość karkołomnych zwrotów w postawie politycznej Smrkovskiego nigdy nie był brak charakteru. Ilekroć znalazł się w sytuacji kryzysowej, poważnej, gdy chodziło nie tylko o karierę, ale często również o głowę, w ciągu cało go swego życia - co łatwo udowodnić - zachowywał się jak przystało człowiekowi z charakterem, i to niezłomnym. Odnosi się to do jego działalności podczas wojny, w okresie pobytu w więzieniu, gdy bronił się, jak mało kto z więzionych wówczas komunistów, aż po dni sierpniowe 1968 r. W takich chwilach nie tylko nie zmieniał zdania, ale bronił go tak nieustępliwie, jak tylko człowiek przekonany i wierzący może bronić na jwższych wartości. "Praska Wiosna" bezsprzecznie była dlań spełnieniem się nadziei i wiary całego jego życia - i z tą też świadomością służył jej ideałom. Dawała mu także realną możliwość ostatniego wystąpienia na scenie politycznej: miał 57 lat i nie był zdrowy. Było więc w pełni naturalne i ludzkie, że szukał w tym okresie również samorealizacji. Lecz jeżeli dzisiejsi nie liczący się z niczym karierowicze w "znormalizowanej" KPCz przedstawiają jego aktywność jako przejaw karierowiczostwa - jest to jedno z najpodlejszych kłamstw w ich bogatym repertuarze.

Gdy jednak sytuacja nie była skrajna, kryzysowa - nieraz zachowywał się chwiejnie. Mówiłem już o tym, opisując dyskusję w kierownictwie partii nad manifestem "Dwa tysiące słów" w czerwcu 1968 r. Podobny charakter miał też epizod, o którym miałem opowiedzieć, żeby utrzymać się w KC KPCz. Kiedy przed rozmowami w Cziernej nad Ciseą przedstawiałem prezydium partii projekt ustawy o Froncie Narodowym, która - jak sądziłem - mogła polepszyć naszą pozycję w rokowaniach z politbiurem sowieckim, Smrkovsky z góry obiecał mi poparcie. Ale potem, na posiedzeniu, zmienił pogląd: wywarli na niego wpływ jego doradcy z kół radykalnych intelektualistów. Podczas przerwy w obradach, przy kolacji siedziałem koło niego - i wtedy powiedziałem mu coś w tym sensie, że politykuje zależnie od tego, skąd wiatr wieje. Wiedział, że mnie oszukał, i myślę, że się wstydził. Totż w swojej obronie powiedział coś dosyć żenującego:

- Popatrz na tabelę popularności w dzisiejszej gazecie. Znalazłem się już na piątym miejscu!

Wzruszył mnie tym i spytałem, czym będzie się kierował, gdy w gazetach znowu nie będzie wolno publikować tabel popularności. Na to już nic nie odrzekł i w milczeniu jadał zupę. Ci, co siedzieli blisko, słyszeli tę rozmowę - myślę, że był tam również Piller.

Po 1970 r. Smrkovsky był pierwszym z usuniętych członków kierownictwa partii, który wypowiedział się przeciw polityce "normalizacji". Dubczek, Kriegel, Szpaczek, Szimon, Slavik i ja siedzieliśmy wtedy cicho, każdy chyba z innych powodów, ale de facto milczeliśmy. A przecież chodziło o to, czy ludzie poddadzą się bez oporu, jak pędzone do rzeźni bydło; i pozwolą nałożyć sobie chomąto staro-nawej totalitarnej dyktatury i czy też odezwie się choćby jeden z tych, którzy tak niedawno występowali jako odpowiedzialni przywódcy polityczni. We wrześniu 1971 r. przemówił więc Smrkovsky: komunistyczne pismo włoskie "Vie nuove Giorni" zamieściło wywiad z nim - pierwszy publiczny głos krytyki kogoś z dubczekowskiego kierownictwa KPCz w związku z polityką "normalizacji". Smrkovsky nie tylko nie zawahał się, ale znów gotów był narazić skórę - jak tyle już razy w swoim życiu w sytuacjach naprawdę poważnych.

Naturalnie przyniosło mu to zarówno autorytet w oczach całego narodu, jak i nienawiść oraz wzmożony nadzór policyjny ze strony reżimu Husaka. Wszystko to towarzyszyło mu do ostatnich dni życia - zmarł w 1974 r. Reżim mści się na nim nawet po jego śmierci: Smrkovsky do dziś nie ma w Pradze prawa do grobu. Wkrótce po złożeniu do grobu rodzinnego urna z jego prochami została ukradziona. Służba Bezpieczeństwa udawała następnie, że znalazła ją w ustępie /sic! / w ekspresie jadącym z Pragi do Wiednia - i wymyśliła bajkę, że miał być "prowokacyjnie pochowany w Austrii". Policja zwróciła wprawdzie urnę rodzinie, lecz zakazała pochować ją na praskim cmentarzu, bo mógłoby raz jeszcze dojść do "prowokacji". Przedtem tylko Jana Palacha reżim Husaka tak się do tego stopnia, że zlikwidował jego grób na Olszanach w Pradze. I to samo zrobił też Josefowi Smrkovskiemu. Taki ustrój jak "znormalizowany" reżim praski nie może oddać nikomu większej czci.

Po usunięciu mnie z KC partii przez pół roku miałem jeszcze legitymację członkowską KPCz. W marcu 1970 r. - właśnie gdy rozpoczynał się dwudziesty piąty rok mej przynależności do partii komunistycznej - zostałem wezwany do Milosza Jakesza, do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej. Zaczynała się największa czystka w dziejach tej partii, która miała zakończyć się niewydaniem nowych legitymacji mniej więcej jednej trzeciej dotychczasowych członków. Mnie zaliczono do pierwszych, pokazowych przypadków, które innym organom i organizacjom miały służyć za wzór - kogo i za co usuwać. Sam Jakesz wykręcił się od udziału w mojej sprawie, zastępował go wiceprzewodniczący komisji, O. Mandiak.

W ciągu niecałej godziny to, co trwało ćwierć wieku, zostało zakończone. Ja sam nie chciałem przyjąć nowej legitymacji, uzasadniając, że nie zgadzam się z interwencją zbrojną w sierpniu 1968 r. i z polityką, jaką KPCz prowadzi już od roku, a więc nie mogłbym z przekonaniem spełniać obowiązków członka partii. Lecz KPCz jest taką organizacją, że wstąpić można do niej co prawda z własnej woli, ale nie można w taki sam sposób z niej wystąpić, jeżeli kierownictwo sobie tego nie życzy. A husakowski KC nie życzył sobie, żeby legitymacji nie miał z tego tylko powodu, że sam jej nie chce; pragnął, żeby został przykładnie ukarany przez wykluczenie.

Tekst, który miał uzasadnić usunięcie mnie, był już napisany zawczasu. Odmówiłem jednak podpisania go, bo niektóre fragmenty brzmiały niczym ustępy z przemówień prokuratorów na procesach politycznych z lat pięćdziesiątych. Wspomniana niecała godzina upłynęła, zanim komisja wykreśliła albo zmieniła zakwestionowane przeze mnie sformułowania i spisała protokół.

Gdy wszystko było skończone, zaszedłem jeszcze w gmachu KC do toalety. Po chwili drzwi tego przybytku otworzyły się i przynaglony taką ludzką potrzebą wbiegł truchtem Mandiak - ten, co przewodził trybunałowi weryfikacyjnemu. Gdy mnie zobaczył, wyraźnie chciał się cofnąć, ale nie miał już czasu. Stał więc obok mnie przy porcelanowym pisuarze i zachował się jak każdy inny pan w podobnej sytuacji.

- Masz z nami mnóstwo pracy? - spytałem.

- No, dzisiaj jeszcze trzech - odparł i znów staliśmy milcząc.

Mogłem już odejść, lecz haumyślnie przeciągałem tę scenę. Chciałem, żeby on odszedł pierwszy - żeby musiał wybrać jakąś formułkę pożegnania. Byłem ciekaw, czy do kogoś odtrąconego już przez partię zwróci się oficjalnym pozdrowieniem, stosowanym w KPCz: "Cześć pracy!". Mandiak śpieszył się, w końcu musiał już iść naprawdę - i zdecydował się na kompromis:

- Do widzenia, towarzyszu! - powiedział i szybko wybiegł z toalety.

Gdyby ćwierć wieku temu, gdy pełen entuzjazmu i ideałów wstępowałem do KPCz, ktoś mi powiedział, jak farsowo zakończy się me członkostwo w tej partii, zrobiłby sobie ze mnie śmiertelnego wroga. A przecież teraz przebiegło to tak właśnie. Ćwierć wieku temu myślałbym, że usunięcia z partii po prostu nie przeżyję. A teraz wyraźnie zrozumiałem, że zakończył się tylko jeden etap w moim życiu, że następny, pod niejednym względem ważniejszy, dopiero się zaczyna. Było w tym wszystkim również - wprawdzie niejasne jeszcze - poczucie wyzwolenia.

Siedem lat spędzonych jeszcze potem w Czechosłowacji minęło mi już nie w świecie uprzywilejowanych i rządzących, ale wśród usuniętych na margines. Partia, której oddałem dwadzieścia pięć lat życia, zepchnęła mnie tam, lecz to nie znaczy, by przestała poświęcać mi uwagę. Tyle tylko, że teraz to zadanie zleciła tym, za których pośrednictwem styka się z ludźmi nie uznającymi jej prawa do rządów totalitarnych: funkcjonariuszom policji politycznej. Doświadczenia owego siedniolecia to już jednak materiał do całkiem innej opowieści.

NOTA O AUTORZE

Zdeniek Mlynarz urodził się w 1930 r. Zaraz po wojnie, jeszcze jako uczeń gimnazjum, wstąpił do Komunistycznej Partii Czechosłowacji. W latach 1950-1955 studiował prawo na Uniwersytecie im. M.W. Lomonosowa w Moskwie. Następnie przez krótki czas pracował w Prokuraturze Generalnej w Pradze, a w latach 1956-1968 był pracownikiem naukowym Instytutu Państwa i Prawa Czechosłowackiej Akademii Nauk. W latach sześćdziesiątych był jednocześnie sekretarzem komisji prawnej utworzonej przy KC KPCz. W 1968 r. został sekretarzem KC, a następnie również członkiem prezydium KC KPCz. W listopadzie 1968 r. wycofał się z czynnego życia politycznego i został współpracownikiem Oddziału Entomologicznego w praskim Muzeum Narodowym. W 1970 r. usunięto go z KPCz. Uprawiał opozycyjną publicystykę polityczną, był jednym z inicjatorów i sygnatariuszy Karty 77. Latem 1977 r., zmuszony do opuszczenia kraju, emigrował do Austrii.

SPIS TREŚCI

Pr o l o g	5
Rozdział I: Od Chruszczowa do Dubczeka	16
Rozdział II: "Praska Wiosna" w świetle rządzących	56
Rozdział III: Przed sądem Kremla	107
E p i l o g	177
Nota o autorze	185

NAKŁADEM NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ UKAZAŁY SIĘ:

- Jerzy Andrzejewski - MIAZGA
Stanisław Barańczak - JA IWIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE
Stanisław Barańczak - KNEBEL I SŁOWO
Władysław Bartoszewski - POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE 1939-1945/zeszyt TKN/
Władysław Bieńkowski - SOCJALIZM PO SZESĆDZIESIĘCIU LATACH
Jacek Biereziński - W POŁOWIE ŻYCIA
Kazimierz Brandys - NIERZECZYWISTOŚĆ
Kazimierz Brandys - MIĘSTCE
Bertolt Brecht - BELEGŁE BUKOWSKIE I INNE WIERSZE
Josif Brodski - WIERSZE I POEMATY
Tomasz Burek - JAKIEJ HISTORII LITERATURY DZISIAJ
POTRZEBUJEMY /zeszyt TKN/
Bohdan Cywiński - HISTORIA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W
POLSCE NIEPODLEGŁEJ /zeszyt TKN/
Józef Czapski - WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE
Ludwik Dembiński - PRAWO I WŁADZA
Andrzej Drawicz - INNA ROSJA /zeszyt TKN/
Lech Dymarski - ZA ZGODĄ AUTORA
Jerzy Ficowski - GRYPY
Jerzy Ficowski - ODCZYTANIE POPIELÓW
Władysław Gnomacki - TOWA SZHACIAK
Witold Gombrowicz - WSPOMNIENIA POLSKIE
Igor Gołomsztoł - JEZYK ARTYSTYCZNY W WARUNKACH
TOTALITARNYCH
Günter Grass - BŁAZNANY BŁEBENEK
Leon Grosfeld - POLSKIE ASPEKTY STOSUNKÓW NIEMIECKO-
-SOŁEICKICH W PRZEDDZIEŃ I PIERWSZYM
OKRESIE II WOJNY ŚWIATOWEJ
Jan T. Gross - W ZABORZE SOWIECKIM
Gustaw Herling-Grudziński - INNY ŚWIAT
Marek Hłasko - ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA
Bohumil Hrabal - ZBYT GŁOŚNA SAMOTNOŚĆ
Paweł Jasienica - ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ
Zdzisław Jaskuła - DWA POEMATY
Jerzy Jedlicki - NOWA UMOWA SPOŁECZNA /zeszyt TKN/
Jerzy Jedlicki - FORMA I TREŚĆ "UMOWY SPOŁECZNEJ" /zeszyt TKN/
Wieniedikt Jerofiejew - MOSKWA - PIETUSZKI
Andrzej Kijowski - NIEDRUKOWANE /wyd. I i II-gie/
Marcin Król - STYLE POLITYCZNEGO MYŚLENIA
Marcin Król - JÓZEF PIŁSUDSKI - EWOLUCJA MYŚLI POLITYCZNEJ
/zeszyt TKN/
Waldemar Kuczyński - PO WIELKIM SKOKU
Jacek Kuroń - MYŚLI O PROGRAMIE DZIAŁANIA. ZASADY IDEOWE,
UWAGI O STRUKTURZE RUCHU DEMOKRATYCZNEGO
/wyd. I i II-gie/
Sándor Kopacsi - TRZYNAŚCIE DNI NADZIEI /PPZ/
Tadeusz Kowalik - SPORY O USTRÓJ SPOŁECZNO-GOSPODARCZY POLSKI
1944-1948 /zeszyt TKN/
Antonin H. Liehm - NOWA UMOWA SPOŁECZNA
Zdzisław Łapiński - MIĘDZY POLITYKĄ A METAFIZYKĄ /o poezji
Czesława Miłosza/
Osip Mandelształ - PÓŻNE WIERSZE
Tomasz Masaryk - WYBÓR PISM
Adam Michnik - CIENIE ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW
Czesław Miłosz - ZNIEODOLNY UMYŚL
Czesław Miłosz - TRAKTAT POETYCKI, TRAKTAT MORALNY
Czesław Miłosz - KRÓL POPIEL I INNE WIERSZE

- Czesław Miłosz - MIASTO BEZ IMIENIA
 Czesław Miłosz - GDZIE SŁOŃCE WSCHODZI I KĘDY ZAPADA
 Czesław Miłosz - ŚWIATŁO DZIENNE
 Czesław Miłosz - ZDOBYCIE WŁADZY
 Czesław Miłosz - GUCIO ZACZAROWANY
 Jan Nowak - KURIER Z WARSZAWY /wyd. I i II-gie/
 George Orwell - FOLBARR Z WIERZĄCY
 Maria Ossowska - O PEWNYCH PRZEBIEGANIACH ETYKI WALKI
 Borys Pilniak - ŚMIERĆ KOMANDARNA
 Józef Piłsudski - BIBUŁA
 Jan Polkowski - TO NIE JEST POEZJA
 Dominique de Roux - ROZMOWY Z GOMBROWICZEM
 Aleksander Sołżenicyn - LBEM W MUR /PPZ/
 Aleksander Sołżenicyn - JEDEN DZIEŃ IWANA DENISONICZA
 Mieczysław Szerer - KOMISJA DO BADANIA ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA
 ŁAMANIE PRAWORZĄDNOŚCI W SĄDOWNICTWIE
 WOJSKOWYM
 Janusz Szpotoński - UTWORY WYBRANE
 Józef Światko - ZA KULISAMI BEZPIEKI I PARTII
 Marek Tarniewski - POCHODZENIE SYSTEMU
 Marek Tarniewski - BIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ
 Piotr Wierzbicki - CYRK
 Piotr Wierzbicki - GNIDZI PANNAS
 Kazimierz Wierzyński - CZARNY POLONEZ
 Kazimierz Wierzyński - KRZYŻE I MIECZE
 Witold Wirpsza - POLAKU-KIM JESTEŚ
 Wiktor Woroszyński - JESTEŚ I INNE WIERSZE /wyd. I i II-gie/
 Stefan Żeromski - NA PROBOSTWIE W WYSZKOWIE
 Zygmunt Żukawski - WSPOMNIENIA
 - WOKÓŁ REWOLUCJI ROSYJSKIEJ
 - Zygmunt Bauman
 - Zbigniew Brzeziński
 - Krystian Rakowski
 - DOKUMENTY BEZPRAWIA /opracowanie ISS "KOR"/
 - DWIE ROZMOWY MOSKWA 1960 /stenogram rozmów polsko-chińskich/
 - OBYWATEL A SEULBA BEZPIECZAŃSTWA. /poradnik/
 - OPRACOWANIA ZESPOŁÓW PROBLEMOWYCH PPN
 - PAKTY PRAW CZEŁOWIEKA I OBYWATELA
 - PRAWDA /wybór artykułów z września 1939 r./ /wyd. I i II-gie/
 - RAPORT O STANIE RZECZYPOSPOLITEJ /opracowanie DiP/
 - STOSUNKI SOWIECKO-NIEMIECKIE /październik 1939 - czerwiec 1941/
 - DOKUMENTY MSZ III RZESZY
 - ZERODNIA KATYŃSKA W ŚWIETLE DOKUMENTÓW
 - Z KSIĘGI ZAPISÓW GUKPPIW
 - ANTYSEMITYZM
 - EUROKOMUNIZM
 - KULTURA /wybór z rocznika 1978/
 - NOCNE ROZMOWY Z JOSEFEM SARKOVSKIM
 - UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ KRAJU
 - ŚPIEWNIK DOMOWY I ULICZNY
 - ŚPIEWNIK WARCHOLA
 - ANEKS cz. II /wybór artykułów/

Ponadto nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej ukazało się:
 16 numerów kwartalnika literackiego ZAPIS w tym

- Tadeusz Konwicki - KOMPLEKS POLSKI
 Tadeusz Konwicki - MAŁA APOKALIPSA
 Julian Strykowski - WIELKI STRACH

10 numerów kwartalnika literackiego PULS

7 numerów kwartalnika politycznego KRYTYKA



**NIEZALEŻNA
OFICYNA
WYDAWNICZA**

pragnie przełamywać państwowy monopol wydawniczo-informacyjny.

**NIEZALEŻNA
OFICYNA
WYDAWNICZA**

nie reprezentuje żadnego kierunku politycznego, chce służyć różnorodnym inicjatywom twórczym.

**NIEZALEŻNA
OFICYNA
WYDAWNICZA**

spełni swoje zadania, jeśli społeczeństwo udzieli jej pomocy;
jej powodzenie zależy od dostarczanych nam tekstów, pomocy w kolportażu, zdobywaniu sprzętu i materiałów poligraficznych, pomocy finansowej.

**OD NAS SAMYCH
ZALEŻY LOS WOLNEGO SŁOWA W POLSCE!**

Niniejsza pozycja była sprzedawana w punktach kolportażu w cenie 170 zł. za egzemplarz.

WARSZAWA, MARZEC 1981r.